PRZEGLĄD

P

C

PRZEGLĄD
POLSKI.

Rok XXXIII.

Kwartał II.

(Październik, Listopad, Grudzień).

Ogólnego zbioru tom 130.

(Zeszyty od 388 do 390).



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1898.

Tom 129. Nr. 388.

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK TRZYDZIESTY TRZECI.

Zeszyt IV. Miesiąc Październik 1898 r.

W KRAKOWIE,
Administracya i ekspedycya w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.
1898.

SPIS RZECZY.

 **Adres Redakcyi: Rynek główny Nr 44, II piętro.**

Bismarck po zgonie.

Pokolenie nasze większą część życia przepędziło z Bismarckiem i przyszło mu powiedzieć za ministrem Mostowskim: „Chroń nas Boże od geniuszów“.

Ten człowiek tak bardzo zapełnił czynami swojemi i osobą nasze czasy, że jeżeli pisało się o sprawach publicznych, nieuniknienie powiedziało się o nim za jego życia wszystko, co powiedzieć się miało i umiało, tak, że po jego zgonie nic nie pozostało nowego do powiedzenia i nieuniknienie powtórzyć się trzeba, nie wkraczając przedwcześnie w dziedzinę historyi. Pozostaje nadzieja, raczej pewność, że to, co się powiedziało, zapomnianem zostało i ta pociecha, że w społeczeństwie, które mało czyta i w którem mało było się czytanym, znanem to było nie wielu.

Dziadów naszych czasy zapełnił sobą inny wielkich rzeczy sprawca, a wspomnieniem swojem czasy naszych ojców.

Ze współżycia z Bismarckiem nie pozostało nam ani dobre wspomnienie, ani dobre uczucie, i nic nie pozostało dla wyobraźni. Inaczej zaznaczył się w pamięci naszych dziadów i ojców Napoleon I, chociaż do niego stosował Mostowski wyżej przytoczone słowa! On, pomimo upadku, podniosłe wywarł wrażenie. Bismarck niezachwianem powodzeniem przygnębiający wywarł wpływ, który następcy nasi odziedziczą. Pierwszy pozostał pełen uroku, drugi nigdy go nie miał. Wiele jest tego przyczyn; pierwszą niezawodnie

że Bismarck nie połączył, jak Napoleon, czynów politycznych z chwałą wojenną. Ale pochodzi to ztąd także, że Napoleon należał do typu, w którym wciela się wszechświatowość, myśl powszechności, co przemawia zawsze do uczuć i wyobraźni ludzi, a zostawia niezatarte po sobie wspomnienie, czy było uosobione przez Aleksandra Wielkiego, czy przez stary Rzym, przez papiestwo, czy Karola Wielkiego, przez państwo, w którem słońce nie zachodziło, czy napoleonizm, przez grecką cywilizacyę, czy chrześciaństwo, przez Odrodzenie, czy przez język, literaturę i ogładę francuską. A to dążenie do powszechności, to wszechświatowe pragnienie, dla tego tak wielki ma urok i tak potężny wywiera wpływ, bo odpowiada ludzkiej żądzy — nieskończoności.

Bismarck miał ograniczone, bo pruskie pragnienia, a dążenia jego nie sięgały po za świat niemiecki. Stąd działania jego, cechy powszechności nigdy nie miały. Nietylko przezorność wstrzymywała go od zapędów w tym kierunku, ale także jego istota. Nie miał do tego w sobie potrzebnego żywiołu, nie miał iskry, świętego ognia, nie miał podniosłości ducha. Bismarck nie miał nigdy owego snu Juliusza Cezara, przez wróżbitów w ten sposób wytłómaczonego, iż był przepowiednią panowania nad całą ziemią.

Po Bismarcku nic się nie zostało, coby było wspólną wszystkich własnością, myślą, uczuciem. Więcej już do ogółu przemawia postać Moltkego, dlatego, że w dziedzinie wojny, która jest wspólną, stworzył to, co się stało własnością wszystkich, nowy system.

Czegokolwiek dotknął się Napoleon, temu nadał piętno wielkości; Bismarck tylko polityce. Wpływ Napoleona był ogromnym, pozostał niezmiernym po jego upadku. Wpływ Bismarcka był ograniczonym, znikł po jego zgonie, nawet przed jego zgonem. Chociaż pierwszego dzieło zaprzepaszczonem zostało, a drugiego pozostało nietkniętem — pierwszy nie przestaje przemawiać do ludzi, drugi jest dla nich zamkniętą na zawsze książką. Napoleon zadaje kłam teoryi powodzenia; Bismarck uczynił ją wstrętną. A tak dwóch wielkich w sprawach ludzkich działaczy stało się w odmienny sposób zaprzeczeniem pierwszego i głównego warunku polityki — po-

wodzenia. Stało się to jednak tylko w dziedzinie duchowej, a ta jest w sprzeczności z polityczną; polityka obcą jest duchowości, a duchowość polityce. Polityka jest najbrutalniejszą na świecie rzeczą, ze wszystkich ludzkich najbardziej zwierzęcą, a na przemian posługuje się i pomiata tem, co stanowi wyższość człowieka nad zwierzęciem; jest sztuką zbiorowego egoizmu, za pomocą której osobisty znajduje swoją korzyść. Jest obrzydliwością. Bismarck był wielkim politykiem.

I.

Patrząc się na niego ze stanowiska wyłącznej i ścisłej sztuki politycznej — sam powiedział, że polityka nie jest nauką, lecz sztuką — widzi się jeden z doskonałych okazów, a w tym człowieku, który zmysłu piękna nie miał, podziwiać przychodzi piękno sztuki politycznej. Miał wszystkie po temu proporcye, warunki, zalety, i tę także, że umiał nieszkodliwemi uczynić dla całości swojego dzieła własne wady.

Bismarck nietylko że nie spotkał się z nikim, któryby mu był równym, ale natrafił na wyradzające się już pokolenie mężów stanu. Nie miał do czynienia ani z Pittem, ani z Wellingtonem, ani z Aleksandrem I, ani nawet z Metternichem. Przyszło mu się mierzyć z miernościami, z politykami, jednymi nieożywionymi prawdziwą i potężną żądzą znaczenia, lecz próżnością, z drugimi nietylko nie twórczymi, ale istnymi niewolnikami rutyny, lub z marzycielami, z ludźmi przeżytymi i chylącymi się już do upadku, nie z całymi, w pełnej sile, mężami stanu. Wśród nich być olbrzymem, mogłoby nieco zmniejszyć rozmiary olbrzyma. Ten brak nie już równych, ale nawet godnych współzawodników, ludzie nazwą szczęściem. Ale temu twierdzeniu zadaje kłam to, że nikt inny nie umiał tak skorzystać z niższości, głupoty, niedołęstwa, zaślepienia, krótkowidzenia, nieporadności, wreszcie marzycielstwa i złudzeń lub zmiękczenia, słowem ze wszelkich braków i niedostatków współczesnych polityków, jak Bismarck. Albowiem tego określić nie można nic nieznaczącem mianem szczęścia, gdyż to było jego właściwością poli-

1*

tyczną, jego zasługą polityczną, jego znakomitością polityczną, iż zrozumiał, że w wielkiej grze stanowić to będzie jego korzyść i że tę zużytkował. I nie wiedzieć co bardziej podziwiać, czy sposób w jaki współczesnych wyzyskiwał, czy pogardę, jaką dla nich miał.

Polityki każdej ostatnim wynikiem jest powiększenie terrytoryalne. Wszystko inne jest literaturą, wymową, poezyą, filozofią, moralnością, miłosierdziem, socyologią, najczęściej bałamuctwem, ale nie polityką. Przygotowawcza robota, nagromadzenie środków i żywiołów, należy także do polityki, ale ostatnim jej wyrazem i objawem jest nabytek terrytoryalny, którego następstwem względna lub bezwzględna potęga. Wszelkie inne wcielenie i ujawnienie mocy państwowej jest albo sztucznem, albo złudzeniem, które wcześniej czy później rozwieje się. Dwa tego są rozstrzygające dowody: że wszelka utrata terrytoryalna jest zapowiedzią klęsk innych i początkiem upadku państwa, oraz że państwo, które nie nabywa terrytoryów, zwykle je utraca. Nabytek terrytoryalny musi przedstawiać rzeczywistą wartość dla nabywcy, inaczej staje się także fikcyą. Nabytek powinien przewyższać lub przynajmniej być wart wyłożonego kapitału i ryzyka. Ale wartościowy nabytek terrytoryalny jest w swej istocie i ostatnich następstwach — zadaniem polityki. A to tak dalece, że z chwilą, w którejby przestał niem być, polityka przeistoczyłaby się w coś zupełnie innego, jak to, czem jest i przestałaby być tą sztuką, której dotąd dajemy tę nazwę, a którą przekształci chyba ogólne rozbrojenie i wieczny pokój.

Polityka dodatnia polega zatem w swym wyniku na zabieraniu—bierna na strzeżeniu tego, co się ma, przed zabraniem. Bismarck był wielkim politykiem. Zabrał bardzo wiele na rzecz Prus, nic nie pozwolił zabrać Niemcom, z których uczynił dźwignię potęgi Prus. Bismarck w znaczeniu wyłącznie politycznem był politykiem dodatnim; naprzód myślał o zabieraniu, w drugim rzędzie o tem, aby nie dać zabrać—naprzód o zwiększeniu Prus, następnie o tem, aby sąsiedzi i przeciwnicy nie zwiększyli się.

Aby poczynić nabytki terrytoryalne, trzeba mieć lub nagromadzić potrzebne środki i żywioły. Tak zatem polityka

rozpada się na dwa wielkie działy: zachowanie lub nagromadzenie środków i żywiołów, oraz umiejętność użycia ich dla powiększenia terrytoryalnego, względnie potęgi. Te dwa działy są sztuką rządzenia, czyli dzierżenia i wykonywania władzy, wewnątrz i zewnątrz. W obydwóch Bismarck był znakomitym politykiem.

Aby człowiek spełnił zadanie polityki, nie dość po temu środków państwowych, trzeba, aby zdobył sobie osobiste: znaczenie i władzę, czyli możność zastosowania środków państwowych. Człowiek, czujący w sobie zdolność i siłę do spełnienia zadania polityki i posiadający je rzeczywiście, musi zatem dążyć do znaczenia i władzy. Niech pospólstwo zwie to ambicyą czy próżnością, reklamą czy żądzą karyery, samolubstwem czy pychą, jestto spełnieniem politycznego obowiązku, bo wytworzeniem jednego z niezbędnych warunków do podjęcia zadania polityki.

Bismarck zdołał z niczego wznieść się stopniowo do najwyższego znaczenia i pozyskać pełną władzę, a to w sposób niepospolity, niezwykły--nietylko zdolnościami umysłu, ale właściwościami charakteru, nietylko świetnemi i obliczonemi pomysłami, ale odwagą osobistą i cywilną, hartem duszy. Umiał od pierwszej chwili publicznego zawodu zwrócić na siebie uwagę, wysunąć się na pierwszy plan, coraz większe na nim zająć miejsce. Nie obawiał się wystawiać wobec ludu na małe i wielkie burze niepopularności, oraz osobę i stanowisko na monarszą niełaskę. Staczał w tej mierze umiejętnie i śmiało zacięte walki, posługując się na przemian przebiegłością i gwałtownością. Rósł bez przerwy; celu dopiął; górował nad ludem, zapanował nad monarchą; stał się — nie posiadając najwyższej władzy — wszystkiem i pierwszym w państwie.

Kilku zaledwie ludzi politycznych pozostało typami i wzorami, a nieliczne ich nazwiska stały się nieśmiertelnemi. Jak w dziedzinie sztuk pięknych jest w każdem dziale zaledwie kilka arcydzieł, tak w galeryi, poświęconej sztuce politycznej, jest zaledwie kilka okazów publicystów i ludzi czynu, mających znamiona doskonałości.

Jednym z takich okazów jest Bismarck.

Zdobywszy sobie spiesznie osobiste warunki, potrzebne do spełnienia zadania polityki, przystąpił odrazu do tego, co jest każdego polityka obowiązkiem pierwszym: oddał całą swoją bogatą indywidualność, oddał się całkowicie nagromadzeniu środków i wytworzeniu żywiołów państwowych, potrzebnych do spełnienia zadania polityki. W jego wykonaniu okazał się mistrzem w użyciu środków i żywiołów. Rzecz niezwykła z punktu widzenia sztuki politycznej, w której tylko geniusz zastąpić może doświadczenie; najmędrszem, najwytworniejszem, najdoskonalszem było Bismarcka początkowe i pierwsze, jako kierującego męża stanu, działanie— inne zaś jego dzieła już tylko tego pierwszego działania następstwami. Jak najświetniejszemi, najbardziej zdumiewającemi i genialnemi były pierwsze Bonapartego we Włoszech kampanie, bo były objawem twórczości, tak Bismarcka-Schönhausen konflikt z parlamentem, umożebnienie reorganizacyi armii i pokierowanie wojną duńską, były politycznemi czynami, w jego zawodzie najtrudniejszemi, najbardziej podziwu godnemi, mistrzowskiemi, bo objawami niezwykłej pomysłowości.

W dziale przygotowawczym miał Bismarck pierwszorzędnych współpracowników, zwłaszcza technicznych i pomoc ze strony monarchy, posiadającego zmysł władzy, a nie odczuwającego zazdrości władzy. Co się tyczy użycia przygotowanych środków i żywiołów — nie zastosowania ich technicznego, co jest znowu czemś innem i szczegółem, acz ważnym — Bismarck był sam i był samorodnym, potężnym twórczością, niewyczerpanym w pomysłach, niezrównanym w wykonaniu. Był myślą i czynem, zdolnością myślenia i zdolnością czynu, niezwykłym, niepospolitym.

Nie mówiąc o bystrości politycznej, o przenikliwości wzroku, które zaraz na wstępie, w Frankfurcie, pozwoliły mu dostrzedz, ocenić, rozpoznać w czem i gdzie tkwiła główna dla terrytoryalnych nabytków Prus przeszkoda, a może już także, na czem polegała łatwość usunięcia jej, wiedział Bismarck, jaką należało obrać drogę, jakie wyznaczyć etapy, aby spełnić zadanie. Od początku do końca miał jasne zrozumienie środków i celu, i ani chwili nie zawachał się. Przy sile rozumu miał siłę woli.

Reorganizacya armii, której pragnął król Wilhelm, którą obmyślił jenerał Roon, była pierwszym i niezbędnym warunkiem nabytków terrytoryalnych Prus, bardziej może im, niż jakiemukolwiek, za naszych czasów, państwu potrzebnych, zarówno ze względu geograficznego bezpieczeństwa i bezwzajemnej komensacyi, jak ich przyszłości. Wobec butnej małoduszności sejmu, wtedy gdy zdawało się, że wszystko stracone, gdy nikt już zadania podjąć się nie chciał, a monarcha od niego odstąpić i ponoś złożyć koronę zamyślał, Bismarck wziął się do dzieła i przeprowadził je z całą odwagą, stanowczością, siłą, zręcznością i wytrwałością, które znamionują nietylko wielkiego polityka, ale męża, *vir*.

Zadanie polityczne, o którem mowa, wymagało nietylko nagromadzenia niezbędnych środków, ale także wytworzenia właściwych żywiołów. Nie wystarczało wojsko; trzeba było powagi, uroku i siły władzy monarszej. Niedawne wypadki nauczyły były, że w braku tych środków i tych żywiołów, na falach ludowych, za pomocą opinii publicznej, celu dopiąć nie można było.

Bismarck w konflikcie z sejmem o reorganizacyę armii nietylko ją przeprowadził, ale walcząc zarazem o władzę monarszą, uratował, nawet spotęgował ją—to jest utwierdził zasadę państwową; a tak jednocześnie dostarczył środków i wytworzył żywioły, potrzebne do spełnienia zadania polityki.

Bismarck okazał tu doskonałe zrozumienie warunków już nietylko potęgi, ale istnienia państw. Robota zaś jego była tem misterniejszą, że nie pokusił się o zdruzgotanie instrumentu, który dysharmonię w państwo wprowadził, lecz dostroił go do jego potrzeb. Nie zniósł konstytucyi, nie usunął parlamentu, nie ogłosił rządów absolutnych—co przecież uśmiechać mu się mogło—ale stanowczością, stałością i czynami nie dozwolił sejmowi przeszkodzić spełnieniu zadań polityki i w końcu zmusił go do ułożenia się do państwowej równowagi. Zrozumiał, iż parlament był potrzebnym, jeżeli nie niezbędnym, to pożądanym w nowoczesnem gospodarstwie państwowem środkiem; zrozumiał bowiem, że obecne gospodarstwo nie może się obejść bez maszyn, że maszyną pomocniczą jest parlament. Zarazem przekonanym był, że sejm nie był niczem innem, ani niczem więcej, jak maszyną,

że był środkiem, nie celem, że nie był pierwiastkiem dobra publicznego, lecz narzędziem, ułatwiającem osiągnięcie dobra publicznego. Ztąd wynikało, że z chwilą, w której maszyna nie spełniała zadania, rozmijała się z celem, że skoro przestała żąć, orać czy siać, nietylko nie dopomagała, ale utrudniała, a na razie wstrzymywała gospodarcze funkcye. Wtedy powstawał obowiązek, potrzeba, konieczność gospodarowania bez maszyny, odłożenia jej na bok do chwili, w której naprawiona da się znowu zużytkować. Żeby zaś wszystko miało stanąć dlatego, że maszyna nie spełniała zadania, byłoby największą niedorzecznością.

Tam, gdzie parlament przestaje być patryotycznym, ustaje powód używania go, tem więcej słuchania i szanowania go. Wogóle gdzie sprawa publiczna przepada w braku rozumu i sumienia, tam każdy do tego zdolny powołanym jest postąpić sobie wedle rozumu i sumienia, a gdzie taki się nie znajduje, tam jest upadek. Bismarck w konflikcie z sejmem nietylko był wielkim politykiem, ale także mężem silnym i patryotą pruskim. Był prócz tego własnym *pacemacherem*, torującym sobie drogę do czynów, które spełniać miał.

Nie wiemy, czy sumienie, ale to niezawodne, że rozum wyrobił mu przekonanie, a nie zawiodła go przenikliwość. Szedł wciąż i postępował dalej, jak człowiek silnie przekonany a jasnowidzący, i dlatego był wtedy wspaniałym, i dlatego, jeżeli nie miłość ogółu jednać sobie, to uwagę jego zwracać na siebie począł. Żadnej w tym czasie nie dostrzegamy w nim słabości, żadnej wątpliwości, żadnego wachania. Wielką odpowiedzialność dźwiga bez znużenia, wielką niepopularność bez omdlenia. Jeżeli to tylko ambicya, to taka, co ma moc przekonania. On jeden podjął się zadania, on go sam dokonał. Tej zatem co on miary, nie było żadnego.

„Czy chcesz pan — zapytał go był król — także i przeciw większości kraju przyjąć władzę i wykonywać ją?“ — „Niezawodnie“. — „I także bez budżetu?“ — „Tak“. Na co król podarł swoją abdykacyę.

I jak powiedział, zrobił Bismarck. „Przeciw większości kraju“, „bez budżetu“ władał, ale nie bez sejmu. Rządził krajem, a z sejmem się rozprawiał. Wchodził do izby sejmowej, jak poskromiciel do klatki nieułaskawionych, dzikich

zwierząt rozjuszonych, nad któremi zapanować próbował wzrokiem. A wzrok ten musiał być nieznośnym, strasznym. Broniono się przed nim nawet współczuciem niemieckiem dla Polaków, które nie było kordyałem dla Polski, ale jadem rzuconym w twarz poskromiciela.

Podziwiać trzeba wpływ politycznego, zarazem męskiego postępowania. Pomimo konfliktu, pomimo zatem opłakanych wewnętrznych stosunków, niepewnej przyszłości, przed dokonaniem reorganizacyi armii, dlatego, że znalazł się wielki polityk i silny człowiek, Prusy nie utraciły swojego na zewnątrz stanowiska; w równej jak przedtem, może w większej mierze, liczyć się z niemi przyszło, i Bismarck stawił w tym czasie i mógł bezkarnie stawić ważne, doniosłe kroki na gruncie związkowym, zuchwałą posługiwać się wobec Austryi mową i śmiało odmówić udziału króla pruskiego w frankfurckim zjeździe książąt niemieckiego Związku.

Spiesznie zastosował Bismarck nagromadzone środki i wytworzone żywioły. Reorganizacyę armii, jeszcze nie skończoną, ale już rozpoczętą wbrew sejmowi, oraz uratowaną w konflikcie parlamentarnym władzę, podniesiony urok monarchy, czyli powagę państwa, zwrócił bezpośrednio i natychmiast zużytkował w sprawie księstw duńskich. Byli, zwłaszcza za naszych czasów, politycy, którzy próbowali zażegnywać wewnętrzne przesilenia zewnętrznemi zawikłaniami. Bismarck wśród przesilenia, mając już na karku wewnętrzny konflikt i przyjąwszy go w zamiarach i celach zewnętrznych, nie zawachał się podjąć zewnętrznego przedsięwzięcia. Nie chciał on przez to pozbyć się bezpośrednio kłopotu wewnętrznego, gdyż wprost szedł do ostatecznego celu polityki, do nabytku terrytoryalnego—dostrzegł jednak, że będzie to najkrótsza droga do zakończenia konfliktu.

Z zatargiem wewnętrznym więc na barkach, rozpoczął zewnętrzny pokojowy spór w Związku niemieckim i rozpoczął zewnętrzną wojnę z Danią. Wybrał wprawdzie w sporze związkowym, dogodnego przeciwnika dla okazania swej wyższości politycznej i dyplomatycznej—w wojnie zaś nieprzyjaciela najwłaściwszego i najbezpieczniejszego dla wypróbowania przygotowujących się środków, bo małe i słabe państewko. Do wojny wciągnął jako sprzymierzeńca, gló-

wnego w pokojowym sporze związkowym przeciwnika, a odosobnił najzupełniej owego słabego nieprzyjaciela, posługując się wypadkami polskiemi. Zwyciężył, ominął wszystkie niebezpieczeństwa zwycięstwa; korzyści wszystkie, bez wyjątku i bezlitośnie, dla siebie zachował, podczas gdy pokrzywdzeni i oszukani stali się politycznymi karykaturami. I czyż można zaprzeczyć, że w całości i szczegółach, ze stanowiska sztuki politycznej, konflikt wraz z wojną duńską, było to arcydzieło. Większe potem zdziałał Bismarck rzeczy, doskonalszej nie. Umiejętność odosobnienia przeciwnika, jedną z najważniejszych w polityce, posiadał Bismarck może w najwyższym stopniu i do końca był w niej mistrzem. Zastosował ją w wojnie z Danią jakby *in anima vili*, taksamo jak wojsko pruskie wypróbowało iglicówki na Duńczykach.

Jedyny to okres w zawodzie Bismarcka, z którego świat mógł skorzystać, coś po nim odziedziczyć i czegoś od jego twórczości się nauczyć; ale nauka poszła w las.

II.

I przychodzi się zapytać, czy to znowu niższość niesłychana innych ludzi politycznych, czy bezwzględna wyższość polityczna Bismarcka sprawiła, że zaraz, bezpośrednio ta sama metoda, ten sam system i ta sama umiejętność odosobnienia nieprzyjaciela nie zawiodła, powiodła się doskonale, jeszcze lepiej, jeszcze w wyższej mierze i większych rozmiarach, jeszcze w donioślejszych następstwach, z nieprzyjacielem niepodrzędnym, ale równym — o wiele przeszłością, tradycyą, dostojnością i wszystkiem, co do szlachetnych i wzniosłych uczuć ludzi przemawiało zawsze, wyższym.

Bismarck stoczył o panowanie w środkowej Europie wojnę z Austryą w takich warunkach odosobnienia jej, a do tego przyspożywszy jej nieprzyjaciela we Włochach, że tylko jego przezorność i to umiarkowanie, które było u niego brakiem dążeń do powszechności oraz wszechświatowych pragnień, przeszkodziły zupełnemu jej znicestwieniu. Tu wyższość Bismarcka polegała na tem, że nicość otaczających go ludzi politycznych umiał wyzyskać bez nadużycia jej, skoro to ani

potrzebnem mu było, ani odpowiadało jego ostatecznemu i ograniczonemu wprawdzie celowi. Był to człowiek, który zawsze wiedział, czego chciał, a nigdy nie chciał, czego nie wiedział. Co za różnica między nim a tylu innymi, zwłaszcza między nami!

Jedną zdumiewającą właściwością polityczną Bismarcka było, iż przy gwałtownych namiętnościach, które były przecież także sprężyną jego czynności, przy wypieszczonej urazie i wydoskonalonej zemście, był on w wielkich swoich działaniach wytrawnym. Chciał wyprzeć ze Związku niemieckiego Austryę, ale nie chciał jej znicestwić; wyparł ją, ale zachował jej byt. Chciał złamać opór sejmu, ale nie zniweczyć konstytucyi; złamał opór sejmu i zachował system parlamentarny.

Po zwycięstwie i pokoju zawartym z Austryą, bez z jej strony strat terrytoryalnych na korzyść Prus, Bismarck zażądał bezpośrednio od sejmu ryczałtowej indemnizacyi za cały czas swoich rządów od 1862 r. sprawianych wbrew, acz nie bez parlamentu. W mowie tronowej z 5 sierpnia 1866 r. znajdował się następujący ustęp:

„Jeżeli wszelako rząd mój prowadził gospodarstwo państwowe przez lat kilka bez tej prawodawczej podstawy, stało się to, po sumiennem zbadaniu, w obowiązkowem przekonaniu, że dalsze prowadzenie prawidłowej administracyi, spełnienie prawnych zobowiązań względem wierzycieli i urzędników państwa, utrzymanie armii i instytucyj państwowych były rzeczami, od których byt państwa zawisł był i że stąd owo postępowanie rządu było jedną z tych nieodzownych konieczności, przed którą żaden rząd, w interesie kraju, nie może i nie powinien się cofnąć. Żywię nadzieję, że ostatnie wypadki dopomogą do tego, aby niezbędne porozumienie do tyla sprowadzić, iżby rządowi mojemu udzieloną została chętnie indemnizacya, której od reprezentacyi kraju żądać należy za prowadzenie administracyi, bez ustawy o zarządzie państwowym, i ażeby przez to dotychczasowy konflikt na zawsze zakończonym został, tem pewniej, iż należy się spodziewać, że polityczne stanowisko ojczyzny dozwoli rozszerzenia granic państwa i utworzenia pod kierunkiem Prus

zjednoczonej armii związkowej, której ciężary ponoszone będą równomiernie przez członków Związku".

Jestto doskonałe określenie obowiązku każdej sumiennej, szanującej się, patryotycznej władzy, wobec zaślepionej, niepatryotycznej i znarowionej, temsamem mijającej się z powołaniem swojem reprezentacyi ludowej; jestto uwidocznieniem tej prawdy, że konstytucya wszelka dla dobra ojczyzny, nigdy dla jej zguby wykonywaną być nie powinna i że konstytucyjne postępowanie kończyć się musi tam, gdzie rozpoczyna się szkoda i niebezpieczeństwo państwa. Przychodzi chwila i zachodzi wypadek, w którym wszelka kazuistyka, wszelkie interpretacye, wątpliwości, skrupuły i wahania ustają, a zdrowy rozsądek rozstrzyga. Dodajmy, że ów konflikt Bismarcka z sejmem rozgrywał się między rządem, raczej między państwem, a większością.

Nie nadeszły były jeszcze czasy, w których sztuka rządzenia tak nisko upadła, a zamięszanie pojęć tak wzrosło, iż w systemie parlamentarnym mniejszość stała się czynnikiem tamującym bieg spraw państwowych, iż łudził się ogół, że z tą aberracyą parlamentaryzm istnieć może, iż nie umiano, ani zdołano, chcąc go utrzymać, zaradzić, ani poskromić, ani usunąć tej potworności, iż nie potrafiono zasłonić państwa przed szkodą i niebezpieczeństwem, pochodzącem nie już od większości, ale od mniejszości parlamentarnej. Bismarck przyjął w interesie państwa konflikt z większością i zwyciężył. Byliśmy świadkami rządów, zmuszonych ustąpić przed mniejszością i rządów wobec niej bezsilnych. A w tym stanie rzeczy, wśród tych zboczeń niesłychanych i niepojętych, pozostanie bądź co bądź zaszczytem próba, choć nieudana, przełamania złego, chęć, choć bezowocna, usunięcia aberracyi, zamierzenie się, choć bezskuteczne, na potwora. Bo nie to było największem w Bismarcku, iż zwyciężył, ale że podjął walkę; podjął ją bowiem w imieniu prawdy państwowej, przeciw fałszowi państwowemu.

Dla odniesienia zwycięstwa, które święcił Bismarck, otrzymując 8 września 1866 r. od sejmu indemnizacyę, nie danem jest każdemu użyć takiego argumentu, jak Sadowa, ani też tego na razie może silniejszego, zawartego w słowach: „Nasze zadanie nie jest jeszcze rozwiązane, wymaga

ono jedności całego kraju dla czynu i dla wrażenia na zagranicę". Nie danem jest bowiem każdemu mieć przyszłość.

Bismark rozpoczął zawód jako skrajny konserwatysta, zaciągnął się na wstępie do lekkiej kawaleryi tak zwanej reakcyi i wysuwał się na najdalsze placówki, nietylko, aby walczyć, także, aby odznaczyć się. Jego istota i całe postępowanie, myśli i czyny, świadczą, że jego konserwatyzm nie wynikał z zasad, lecz z instynktu czy pierwiastku, znajdującego się w każdym wielkim polityku, mocą którego wtedy nawet, kiedy jest na usługach lub posługuje się radykalizmem czy rewolucyą, hołduje wewnątrz siebie zachowawczości dlatego, że pierwszym warunkiem nabywania jest zachowanie. Chęć nabywania bez umiejętności posiadania byłaby czemś tak chorobliwem i niemal szalonem, jak marnotrawstwo. Ztąd w ludziach prawdziwie politycznych, zawikłanych w działania rewolucyjne nawet najskrajniejsze, następuje zwrot na korzyść powagi i siły władzy, nie najmniejszy u największych rewolucyonistów, byle politycznie wyższych.

W Bismarcku ten instynkt, ten pierwiastek, był silnie rozwiniętym i stanowił jego konserwatyzm.

Że zasady były niczem dla niego, a przekonań nie miał, dowodem tego, iż powaga monarsza nie pozostała dla niego świętą. Podziwiać tu przychodzi słabość, kruchość, nikczemność natury ludzkiej. Wśród mdłości z utraty własnej władzy, Bismarck z krzywdą państwa, bez pożytku dla siebie, przez lata, z lekkomyślnością młodzieńca, mściwością starca, poświęcał i narażał z Friedrichsruhe powagę monarszą w Prusiech i w cesarstwie niemieckiem, zatem zasadę władzy w państwie. Ten człowiek wielkiego rozumu politycznego, ten człowiek silny, ani zrozumieć tego nie zdołał, ani zapanować potrafił nad tą słabością. A tak jedyny w nim pierwiastek zachowawczy, instynkt władzy, przeistoczył się w anarchiczny, gdy zaś zwykle najwięksi anarchiści, byle politycznie wyżsi, kończą zwrotem na rzecz władzy, jej powagi i siły, największy naszych czasów autokrata i największy polityk skończył na tem, że szkodził jej. Wielki upadek ludzkiej natury, ale też niemała igraszka losu!

Że Bismarck podczas swojego wielkiego działania zadawał kłam zasadom konserwatywnym, choć rozpoczął od przemawiania w ich imieniu, że ten konserwatysta zrywał z konserwatystami, to objaw nie nowy, ani jedyny w dziejach i to należy do innego rzędu myśli i faktów.

Wogóle trudno, niemal niepodobna człowiekowi politycznemu, w wielkim stylu, pogodzić swoje zamiary i działania z konserwatyzmem, już dla tego, że celem takiego polityka musi być nabywanie, podczas gdy konserwatyzm tak zaślepia się i zacietrzewia w zachowaniu, iż przestaje zwykle czuć i widzieć, że nieraz, najczęściej warunkiem zachowania jest nabywanie, czego niezrozumieć nie może wielki polityk. Ztąd zaraz powstają sprzeczności: nieruchomość konserwatyzmu, a rzutkość wielkiego polityka, uczciwość pierwszego, a bezwzględność drugiego, i tak gdy pierwszy krępuje drugiego, drugi niepokoi, zamąca, w końcu burzy konserwatyzm. Bismarck był równie wielkim politykiem, jak wielkim burzycielem konserwatyzmu. Konserwatyzm dlatego tylko nie przeszkodził spełnieniu dzieła Bismarcka, że on nie dał się nim krępować.

Stronnictwo zastąpić może w państwie brak wielkiego polityka — wielki polityk nie może się dać zastąpić przez stronictwo i dlatego poświęca je. Dla zwykłego zaś polityka stronnictwo jest użyteczną, nawet niezbędną podporą, której wyzbywać się nie powinien, bo ono dopomaga mu do spełnienia tego, co spełnić ma, a nie przeszkadza mu w dokonaniu tego, czego dokonać nie ma.

Stronnictwo każde, choćby najbardziej patryotyczne, nie jest syntezą państwa, wielki polityk musi przedstawiać interes całości. Taki polityk, dążący do zdobyczy i nabytków, działa w imieniu nie części, ale całego społeczeństwa, czyli państwa. Trudnem, acz nie byłoby to niepodobnem naczelnikowi stronnictwa, który musi mieć wciąż na oku interes części i występuje w jej imieniu. Nie zawsze interes całości zrozumianym jest przez część, ale rzadziej jeszcze część postępuje sobie zgodnie z interesem całości. Stronnictwo może wprowadzić system lub przeprowadzić użyteczną reformę dla całości, ale zużytkować pierwszy lub drugą dla niej, już mu trudniej i nie zawsze temu zadaniu sprosta.

Szczęściem dla całości, gdy pojawia się wielki polityk, który zastępuje w tej mierze stronnictwo; ale to rzadko się zdarza. A tylko te stronnictwa były doniosłemi, potężnemi i zapisały się w dziejach złotemi literami, które wyjątkowo dokonały całego dla całości dzieła, to jest, które wprowadziły odpowiedni system, przeprowadziły potrzebną reformę, a zużytkowały pierwszy i drugą nie dla swojego, lecz państwa dobra; ale nie często się to stało. I tylko wtedy, gdy całość sprostała w całej pełni zadaniu, to jest obowiązkowi względem siebie, ustalało się państwo, lub zbawioną była ojczyzna.

W szczegółach i w wykonaniu wielki polityk przedstawia znaczniejszą sumę energii, stanowczości, jednolitości i działalności, niż stronnictwo; tych przymiotów bowiem zdolniejszą jest jednostka, niż ciało zbiorowe; najmniej zaś może odznacza się niemi każde stronnictwo konserwatywne, mające nieraz wrodzony wstręt do działania, skłonność do rozdwojenia i wybujałą w sobie bezczynność—przy stanowczości w zasadach, chwiejność zdania i niezdolność do czynów. Konserwatyzm daje wielkiemu politykowi podstawę przez to, że zachowuje, ale rzadko mu jest pomocnym, gdy idzie o nabycie, to jest o zużytkowanie tego, co się posiada. Konserwatyzm, to wielka skarbnica cnót, uczciwości, zasług, rozumu, zasobów, słowem samych klejnotów i złota w sztabach, z której nie danem jest wielkiemu politykowi czerpać—kraść tylko z niej może. Na takiej kradzieży nieraz schwytanym został Bismarck, na szczęście dla Prus, bezkarnie.

W galeryi, o której mówiliśmy, okazów polityków, mających znamiona arcydzieł, mało takich, którzyby pozostali ludźmi stronnictwa, którzyby swoim stronnictwom byli wiernymi, którzyby nie przechodzili z jednego do drugiego i którzyby nie oszukali wszystkich, tem lepiej, im więcej któremu zawdzięczali. Wielu nie należało do żadnego stronnictwa, a najczęściej ci, co do stronnictw należeli, zgotowywali im, jako stronnictwom, srogie zawody i rozczarowania. Nie było w stosunkach do stronnictw większych Don Juanów, jak wielcy polityk[y]cy, bo ulegali prawu zdobyczy. I niezawodnie wyjątkowej trzebaby cnoty, wyjątkowego zapar-

cia się siebie i może wyjątkowej dobroduszności, aby wielki polityk wyżył przykładnie, wiernie w związku małżeńskim, ze stronnictwem konserwatywnem. A prawdopodobnie takie pożycie pozostałoby bezpłodnem.

W Anglii ludzie polityczni mogli pozostać zwykle ludźmi stronnictwa, dlatego, że tam egoizm wobec całego świata przewyższa stronniczy. Przecież i w Anglii niejeden torys zadał cięgi konserwatyzmowi. Gdyby Bismarck nie był ich zadał pruskiemu konserwatyzmowi, gdyby nie był zrywał z konserwatystami, nie byłby zabrał księstw Danii, nie byłby wyparł Austryi ze Związku niemieckiego, niebyłby przyłączył do Prus Hanoweru i innych krajów, niebyłby zapewnił przewagi Prus w Niemczech, niebyłby zwyciężył Francyi, niebyłby zdobył Alzacyi i Lotaryngii, niebyłby stworzył nowego Związku niemieckiego z powszechnem głosowaniem, niebyłby włożył na głowę króla pruskiego korony cesarskiej, niebyłby zawarł trójprzymierza.

III.

Kiedy Bismarck wystąpił jako kierujący mąż stanu, w Anglii lord Palmerston kończył swój zawód; Gladstone wielkiemi odznaczał się zdolnościami, lecz od początku był niepoczytalnym w polityce zewnętrznej, a Disraeli rozpoczynał zawód męża stanu w dobrym, ale nie w wielkim stylu. Na stałym lądzie, po śmierci Cavoura, który jakby na zawołanie ustąpił z tego świata, Bismarck, jak powiedzieliśmy, nie miał się z kim mierzyć i nie miał nietylko sobie równego, ale siebie godnego polityka. Jeden Napoleon III zachował był pozory człowieka politycznego, bądź co bądź niezwykłego. Sposób niepospolity, w jaki zdobył był władzę, zapanowanie nad wzburzonem i zrewolucyonizowanem społeczeństwem francuskiem, pierwsze jego działania i czyny w stosunkach międzynarodowych, śmiałe myśli i doniosłe hasła rzucone w świat — otaczały go wyjątkowym blaskiem, użyczały mu świetności od dawna niewidzianej i wywierały, zapewniały mu, na razie, znany wpływ i niezaprzeczone znaczenie, które pozostały pierwszem wspomnieniem

naszego pokolenia, podczas gdy drugiem stały się rządy Bismarcka.

Jednym z darów, którym bogato obdarzony był Bismarck, była zdolność rozpoznania, zgłębienia, przeniknięcia ludzi, z którymi miał do czynienia, zarówno jak wszelkich żywiołów, czynników, słowem wewnętrznych stosunków ościennych państw. Posiadał w tej mierze moc röntgenowskich promieni. Zastosował ją do Francyi i Napoleona III.

Przeszywa go nią, przenika go i widzi, że albo prawdziwym politycznym człowiekiem nigdy nie był, albo że przestał nim być; widzi, że w tym organizmie ludzkim choroba już wzięła górę, że niema w nim zdrowej, nienadpsutej części, że to, co mogło było w nim być żywotnego, zatem dla przeciwnika niebezpiecznego, znikło, wygasło i ustąpiło przed tem, co przeciwnikowi otwiera wolne pole i doskonałą sposobność przeprowadzenia swoich zamiarów. Jednocześnie zdaje sobie dokładną sprawę ze stanu Francyi i jej wojskowej siły; porównuje pierwszy z istniejącym we własnem państwie, drugą z tą, którą rozporządza. Rachunek wypada przekonywająco na jego korzyść. Odtąd Napoleon III staje się w rękach Bismarcka igraszką. Karmi go złudzeniami, a przygotowuje mu śmiertelne ciosy.

Jestto trzecie wielkie działanie Bismarcka. Tu także szło, w treści głównej, o utratę i nabytek terrytoryalny. Zadanie przedstawiało się jako dylemmat: że albo Francya posunie swoje granice do Renu, albo Prusy zapobieżą utracie swoich za Renem posiadłości, rozszerzając niemieckie na lewym jego brzegu, dla swojego strategicznego bezpieczeństwa. Występowała tu wyraźnie z jednej i drugiej strony potrzeba zabierania, dla zachowania. Był to proces historyczny, którego rozwiązanie, zamiary i dążenia Napoleona III przyspieszały, z czego Bismarck skorzystał, mając w ręku nagromadzone środki do pomyślnego przeprowadzenia i zakończenia go. Posiadał bowiem najkorzystniejszy warunek, wojskową wyższość, oraz możność uprzedzenia znanych zresztą i zdradzonych przez niego samego, zamiarów przeciwnika. Mistrz w zużytkowaniu wewnętrznych kłopotów i słabości, oraz w posługiwaniu się, bez skrupułu, stronni-

czemi walkami i sporami obcych państw, zrozumiał i przeczuł, jak dalece pomocnemi mu być mogły ówczesne we Francyi stosunki. Obliczył zatem swoją przewagę tak dalece, że był niemal pewny powodzenia. Prócz tego zastosował tu swoją—zdawać się mogło zużytą—metodę odosobnienia przeciwnika, znowu jak najskuteczniej, dzięki ogólnemu zaślepieniu. W tych warunkach, z temi danemi, byłby popełnił błąd, którego popełnić zdolnym nie był, gdyby nie był sfałszował emskiej depeszy.

Skutki wojny niemiecko-francuskiej mogą być przedmiotem badań filozofów, historyozofów, literatów, poetów, moralistów, myślicieli, całej rzeszy, która nie należy do szkoły wyłącznie politycznej; mogą dać powód do rozumowań, spekulacyj i kombinacyj, do wszelkiego rodzaju ćwiczeń duchowych, mniej lub więcej świetnych i głębokich lub bałamutnych, które ostatecznie żadnego lub nie ścisły mieć będą związek z polityką. Skutki bowiem owe nie były wyłącznie terrytoryalne i potęgowe, ale duchowe i cywilizacyjne. Spowodowały jeżeli nie wygaśnięcie, to oziębienie, przyćmienie wszechświatowego wpływu ducha francuskiego. Rzecz dziwna, choć fenomen nie jedyny w dziejach, gdyż pojawił się już przy rozbiciu państwa rzymskiego przez barbarzyńców, ubytek wszechświatowego wpływu, wywieranego przedtem przez zwyciężonego, nie został zastąpiony przez wzrost wpływu zwycięzcy, pomimo w tym wypadku wysokiej jego kultury i znakomitego umysłowego wykształcenia. A to, co tu zaszło w dziedzinie duchowej, okazało, że dzieło Bismarcka nie tylko nie było wszechświatowym tworem, ale że odwrotnie, osłabiło wszechświatowy prąd. Było to dzieło egoizmu, a ztąd w dziedzinie moralnej i uczuć zajęło miejsce najdokładniej określone przez Moltkego pamiętnemi słowy: „Boją się nas, ale nikt nas nie kocha“. W świecie duchowym i w świecie moralnym wytworzyło się nie nowe ciepło, ale chłód, a odczuł go najlepiej Adam Potocki, mówiąc: „Zimno w Europie bez Francyi“.

Podpisaniem między Francyą a nowo utworzonem cesarstwem niemieckiem pokoju w Frankfurcie 2 maja 1871 r. zakończonem zostało trzecie wielkie i ostatnie politycznie

dodatnie działanie Bismarcka. Uznał to sam w słowach, wypowiedzianych w parlamencie 25 maja 1871 r.:

„Skoro dokonanem zostało zadanie, które postawiłem sobie przy objęciu pruskiego ministerstwa spraw zewnętrznych, a raczej powiedzieć chcę, które miałem przed oczyma, utworzenie w jakimkolwiekbądź kształcie niemieckiego państwa, a to w krótszym czasie, niż wedle rachub ludzkich oczekiwać można było i w pełniejszej mierze, niż wtedy spodziewałem się dożyć, poczytuję moje polityczne obowiązki względem mojej ojczyzny poniekąd za spełnione“.

W trzech tych wielkich dodatnich działaniach zamyka się znacznie historyczno-polityczne Bismarcka.

Pomimo, iż w wyżej przytoczonych słowach mówi przy założeniu nowego cesarstwa niemieckiego, że zadaniem jego było utworzenie państwa niemieckiego, bezpośrednim i głównym jego celem było zwiększenie terrytoryalne i zapewnienie potęgi Prus. Terrytoryalnie zwiększył on Prusy znacznie i dał im niezbędną spójnię. Niemiec niczem nie zwiększył, z wyjątkiem Alzacyi i Lotaryngii, które kształtem i przeznaczeniem, jakie nadano im, służą do zasłonięcia pruskich posiadłości na lewym brzegu Renu, są strategiczną dla Prus rękojmią, a do Niemiec nominalnie należą. Sam nazwał tę zdobycz *ein rein geographisches Bedürfniss; es ist das Vorland für uns, wie das Glacis der Festung.* Księstwa duńskie były pruskim podbojem i wyłącznym nabytkiem nad Danią, zarazem nad Związkiem niemieckim. Umniejszył zaś Bismarck Niemcy, wyłączając ze związku Austryę. Przy utworzeniu cesarstwa niemieckiego miał niemal jedynie, w każdym razie przeważnie, na oku potęgę Prus. Ona była celem — zjednoczenie Niemiec narzędziem. Bismarck hołdował interesowi pruskiemu, posługiwał się myślą niemiecką. Niemiecka myśl była falą, a Bismarcka było sztuką, że w niej nie utonął, lecz na niej popłynął do portu.

Odczuł gorącą miłość dla idei niemieckiej dopiero w epoce bezwładzy i marnych wynurzeń.

Uderzającą jest szybkość, z jaką Bismarck dokonał swojego dzieła. Budowy polityczne, w wielkim stylu, wtedy były trwałemi, gdy rosły z biegiem czasu, staraniem pokoleń i szeregu pracowników; zaczęte przez jednych, dokonane przez

innych, stawały się wyrazem potęgi i przewagi w znanym świecie. Pospiech zdaje się być sprzecznym z prawami powstawania takich gmachów. Mniemać można, że potrzebnym dla ich trwałości cementem nie są czyny jednego człowieka, ale tradycya. Aleksander Wielki, zużytkowując zasoby i przygotowania ojca, sam wszystko od razu spiesznie dokonał, jakby jednem tchnieniem. Dzieło jego nie miało trwałości, runęło; państwo jego rozpadło się. Dzieło Bismarcka dokonanem, skończonem zostało w jednej epoce, przez jedno pokolenie, przez jednego człowieka i jego pomocników — jednem wysileniem, jednem tchnieniem, trzema po sobie spiesznie idącemi zamachami. Aleksander Wielki miał daleko sięgające pragnienia i żądze, budował w wszechświatowym stylu. Bismarck nie miał pragnień i dążeń Aleksandra, wybudował gmach monumentalny, ale nie w tym co tamten stylu, nie tych rozmiarów; dzieło jego, acz znaczne w naszym świecie zajęło miejsce, powszechności znamion niema, wszechpotęgi zaledwie przez chwilę ogólnego osłupienia sprawiło złudzenie. Stworzone przez Bismarcka państwo nie pragnęło być, nie było, nie jest, nie będzie, czem był Rzym: *la tête du corps formé par tous les peuples du monde* — jak rzekł Montesquieu. Prusy tylko Niemiec stały się głową. Bismarck, tworząc cesarstwo niemieckie, nie wskrzeszał cesarstwa rzymsko-niemieckiego, zakładał prusko-niemieckie; nie natchnął się pragnieniami powszechności tamtego; unikał nawet w tym względzie pozorów i w tym kierunku zapędów. A tylko w pruskiem znaczeniu twór jego jest następstwem i wynikiem tradycyi, albowiem tradycya cesarstwa niemieckiego pruską nie była; pruską była tradycya zabierania i zwiększania się terrytoryalnie.

Skoro stało się to w pełnej mierze, Bismarck poczytał swe dzieło za skończone; żadnej innej, dalej sięgającej nie odczuł potrzeby, nietylko powszechnej, ale nawet niemieckiej i tylko jedną uznawał, zachowania tego, co Prusy nabyły. I dlatego odzywając się w imieniu Niemiec, był umiarkowanym, bezinteresownym, wspaniałomyślnym, szlachetnym, sprawiedliwym, bogobojnym nawet. Przemawiając bowiem w ośmdziesiątą rocznicę swoich urodzin, sam najlepiej określił egoizm i wstrzemięźliwość swej polityki, jej pruską chciwość

zadowolnioną i jej obojętność pod względem dalszych celów niemieckich lub światowych. „My Niemcy—rzekł—nie mieliśmy po 1871 r. żadnego już powodu prowadzić wojny; to, czego potrzebowaliśmy, mieliśmy. Walczyć po za tem dla miłości podbojów, dla anneksyi krajów, dla naszego zadowolenia zbytecznych, wydało mi się bezbożnością, mógłbym powiedzieć bonapartystowską bezbożnością, cudzoziemską, która obcą jest naszemu germańskiemu poczuciu sprawiedliwości“.

Szybko, pospiesznie powstały dwa państwa: Aleksandra i Bismarcka; ale w odmiennych zamiarach i w innych stylach. Gmach Aleksandra rozpadł się po jego śmierci. Budynek Bismarcka stoi pod dachem po jego zgonie; winien przecież jeszcze złożyć dowód — trwałości.

IV.

Bismarck posiadał umiejętność ogółu i części. Jak Napoleon w wojnie, tak on w polityce z darem pomysłów i twórczością planu łączył zdolność zgłębienia, obliczenia obmyślenia szczegółów. Umiał zastosować środki do wielkich rzeczy, zarazem zbadać i poznać swoje i przeciwnika, zasoby i zamiary, porównać je, oraz ocenić neutralnych. Dowodem tego trzy wojny, których był politycznym twórcą i duszą.

Wielką koncepcyą Bismarcka, w polityce biernej czy odpornej, było trójprzymierze, tak, iż rzec można, że to czwarte jego doniosłe dzieło. Wiedział, że spotęgowanie armii nowego Związku niemieckiego organizacyą i zespoleniem nie wynagradzało całkowicie ubytku w dawnym wojskowej siły Austryi i przymierzem z nią usiłował ten ubytek zastąpić.

Każde państwo, które wzrastało i nabierało potęgi, zwłaszcza szybko, wywoływało zwykle połączenie się innych przeciw niemu, czyli koalicyę i zawsze jest na to narażonem. Siła, pchająca w tych wypadkach do utworzenia koalicyi, jest poniekąd elementarną. Bismarck nietylko potrafił zażegnać powstanie przeciw Prusom zwiększonym, względnie przeciw cesarstwu niemieckiemu, koalicyi; nietylko uniknął tego niebezpieczeństwa, grożącego temu, który

zabrał dużo i wzrósł, ale trójprzymierzem dokonał nierównie więcej, bo utworzył koalicyę na rzecz tego, który zabrał i urósł, dla zabezpieczenia jego nabytków. Być może, że do uniknięcia koalicyi dopomogło ograniczenie się Bismarcka, nie żywienie dalszych zamiarów, wstrzymanie się od dążenia do bezwzględnej przewagi i powszechnego panowania, jakie przedstawiało lub przedstawiać marzyło rzymsko-niemieckie cesarstwo. Bossuet, rozmyślając nad Rzymem, zawołał: *On est encore effrayé quand on considère que les nations qui font à présent des royaumes si redoutables..... n'ont été durant plusieurs siécles, que des provinces romaines!* Tego przerażenia nie budziło państwo Bismarcka i może dlatego wywołało mniej obaw i zazdrości, może wstrzemięźliwość czy niezdolność rozszerzenia dążeń i zadania poczytanemi zostały za rękojmie.

Podczas gdy inni zdobywcy upatrywali w zatrzymaniu się w porę niebezpieczeństwo dlatego, że ich apetytowi stawiało granice, Bismarck widział w niem bezpieczeństwo dlatego, że był nasyconym.

Bismarck nie w pospolitem znaczeniu słowa bał się tylko Rosyi, a wtedy właśnie gdy głosił, że Niemcy nikogo, jedynie Boga się boją, sam najwięcej liczył się z Rosyą. Pochodziło to ztąd, że doświadczenia historyi, doskonała znajomość Rosyi, zgłębienie niepospolite zadania, nauczyły go były z jednej strony niebezpieczeństwa rozpoczęcia wojny zaczepnej przeciw Rosyi, z drugiej bezużyteczności, poniekąd bezsilności zwycięztwa. Wojna zaś odporna z Rosyą przedstawiła mu się wkrótce po ukończeniu dzieła w postaci najtrudniejszej walki o dwóch frontach, w skutku zbliżenia, następnie połączenia się Rosyi z Francyą. Zatem czyby szło o lepsze zapewnienie i zabezpieczenie państwa, które stworzył, czy o ochronienie i zachowanie takowego, jedna Rosya była niebezpieczeństwem, albowiem bez jej udziału żadna kombinacya wytworzyć go nie mogła, z nią każda. Obawa Bismarcka nie była tylko obawą przed Rosyą, ale jedyną i dlatego tak znaczną i znaczącą stała się w jego zawodzie. Wiedział zresztą, że przeszkodzić dokonaniu jego dzieła mogła była tylko Rosya, a ta retrospektywna obawa potęgowała obecną.

Bismarck raz tylko ustąpił i pobitym został, przez — Papieża. Nie on pierwszy i niezawodnie nie ostatni. Zauważmy jednak, że tę przegranę poniósł nie na gruncie politycznym, na którym był wielkim wodzem, lecz w dziedzinie duchowej, w której był małym człowiekiem. Nieroztropnością było z jego strony szukać i przyjmować walkę na mało mu znanem i niekorzystnem polu bitwy. Prócz że zawsze błędem jest wywoływać niepotrzebnie spór religijny, że wstrętnem jest bezprawiem prześladowanie, a ochydnym ucisk sumień, Bismarck tę jeszcze popełnił pomyłkę, że w państwie, składającem się z protestantów i katolików, dopuścił w czasach obojętności do konfliktu religijnego, nie chcąc, ani mogąc posługiwać się protestantami przeciw katolikom. Mógł zaś przewidzieć, że w walce z papiestwem, gorliwość katolicka zaważy więcej, niż oziębłość i bierność protestancka i wolnomyślna. Niepotrzebnie, bezcelowo, wystawił się na porażkę i upokorzenie, podczas gdy ze zwycięstwa nie mógł skorzystać, a zaszczytnem nigdyby nie było. Jedyny to raz, w którym Bismarck nie obliczył się, więcej stawiał, niż zyskać mógł, raczej nie mogąc zyskać. Zrozumiał to w końcu i usiłował w części przynajmniej zrzucić odpowiedzialność za wywołanie walki religijnej, to na Polaków, to na ministra Falka; na niego jednak spaść ona musi całkowicie, dźwigał ją też. Umiał przecież uznać błąd, nie zawachał się naprawić go, nie wstydził się ustąpić, choć lekkomyślnie zarzekł się był to uczynić, wycofał się w porządku, jak wytrawny strategik. Zciągnął na siebie porażkę, ale uniknął rozsypki. Okazało się, że gra była nierówna, ujawniła się tu przewaga powszechności papiestwa nad dziełem Bismarcka i jego potęgą, pozbawionych takowej. Tu słabszy czynnik ustąpił przed silniejszym. Bismarck powszechność papiestwa uznał, powierzając Ojcu św. sąd rozjemczy w sprawie Karolin. Niespożyta moc świętej naszej religii katolickiej i Kościoła okazała się w całej pełni i blasku, ona rozstrzygnęła o zwycięstwie i przez nią stwierdzoną została wyższość dziedziny duchowej nad ziemską, wyższość prawdy bezwzględnej — jaką jest katolicyzm, nad względną prawdą, jaką jest polityka, choćby największego męża stanu.

W wielkich swoich działaniach, na wielkich liniach swojej polityki, gdy w wielkim budował stylu, nie miał i nie doznał Bismarck niepowodzenia. Brak ztąd ważnego czynnika w ocenieniu polityka, zwłaszcza niezwykłego — nieszczęścia. Nie brak go dopiero, gdy przychodzi sąd wydać o człowieku. Tym sposobem, Bismarck, mąż polityczny, usuwa się z pod ogólnego prawa, któremu podlegali — z małemi wyjątkami — jego miary poprzednicy, co albo chwilowych, albo ostatecznych doznali niepowodzeń i nieszczęść. Tu bowiem wszystko, co zdziałanem zostało w wielkim stylu, było pasmem ciągłych, niczem nie wstrzymanych, niczem nie zamąconych powodzeń, bez wyjątku, bez przerwy, bez zboczeń. A przecież politycy, Bismarcka poprzednicy, nie dalej jak Fryderyk Wielki, w niepowodzeniach, w nieszczęściach, rozwinęli godne podziwu zalety, przymioty, talenta, czasem cnoty, złożyli dowody rozumu, wytrwałości, stałości, okazali się wytrawnymi i mężnymi w walce ze złym losem i w niedoli. Były w nich zatem wielce cenne polityczne czynniki, które składały się na ich wielkość i dopełniały jej, a przez które zasłużyli się państwu i ojczyźnie. Co się tyczy tych czynników i zalet, w niepowodzeniu, brak *kryteryum* dla ocenienia Bismarka. Ważna luka. Jakimby się był okazał politykiem w niepowodzeniu, niema, nie będzie nigdy nato pytanie odpowiedzi. A jeżeli to nie zmniejsza wartości innych jego właściwości i zdolności, któremi w szczęściu dzieł swoich dokonał, to nie zwiększa człowieka politycznego, już dlatego, że pozwala powątpiewać, a w tej mierze, nie powinien on być nawet posądzonym. Złą usługę oddają Bismarckowi, ci, co przypominają i podnoszą — rzecz prawdziwą czy nie — że udając się na wojnę austryacką zaopatrzył się w truciznę, lub że miał zawsze nabity pistolet, z zamiarem, w razie klęski, samobójstwa. Dowodziłoby to, że nie czuł się na wysokości niepowodzenia Ściągnąć na państwo pogrom, a nie chcieć takowego przeżyć, dla zaradzenia mu, jest tchórzostwem politycznem. Czuć powołanie do wielkich rzeczy, a nie czuć się na siłach sprostać im wśród nieszczęścia, to nie być całym politycznym człowiekiem. Albo też przypuścićby przyszło, że Bismarck wiedział, iż nie udanie się jego przed-

sięwzięcia większą pociągnie za sobą stratę, bo niepowetowaną wszystkiego, niż udanie się takowego przyniesie korzyści, bo tylko powiększenie tego, co było; a wtedy postępowaniu jego zbywałoby, w tym wypadku, na obliczeniu, przezorności i wytrawności. Byłaby to awantura, nie polityka. Wreszcie w zamiarze samobójstwa byłoby więcej pychy, niż siły, więcej małoduszności, niż ducha politycznego, nie mówiąc o uczciwości.

V.

Rzeczy polskie były szczegółem w zawodzie Bismarcka, przecież ciągną się w nim jak nić, mniemaćby można, że nieraz są dla niego nicią Aryadny.

W dziele Bismarcka sprawy polskie są przypiskami, dodanemi do każdego rozdziału; dla nas są książką. Przypiski są za obszerne, polemiczne, czasem luźne, nie wszędzie zespolone z całością i są zawsze zawziętą, a nieraz małą wojną, nie licującą z wielkiemi, które dzieło zawiera. Przypiski te odnoszą się częściej do Bismarcka człowieka, niż do Bismarcka polityka; okazuje się w nich osobistym, więcej niż w dziele, wychodzą w nich na pierwszy plan autora wady, małostki, to znowu namiętności, nawet występki, słowem ujemne strony, podczas gdy na drugim dopiero dostrzedz można właściwości męża stanu. Bismarck zwycięża w dziele, w przypiskach pastwi się nad zwyciężonymi. Tam wielkość, choć sroga — tu srogość bez wielkości. Tam groza, tu pospolitość. Tam niezwykłe trudności przełamane, tu nadużycie wszelkich łatwości. Tam zmierzenie się z potężnymi, tu poniewieranie bezsilnymi.

Bismarck był wtedy tylko znowu politykiem niepospolitym, gdy sprawę polską wiązał z wielkiemi swojemi dziełami i zużytkowywał ją dla nich. Miał w rzeczach polskich państwa pruskiego własne namiętności, a obce pomysły; pierwsze potęgowały drugie, w mowie i zastosowaniu, w słowach i czynach. Twórczym tu nie był; był nienawistnym.

Od pierwszych chwil jego władzy do ostatnich jego bezwładzy, przez ten długi historyczny peryod, my Polacy

spotykaliśmy się wciąż z nim, w naszej ogólnej sprawie i w lokalnej, w Prusach. Od powstania 1863 r., do ostatniego artykułu *Hamburger Nachrichten* o polonizmie, ciężył na nas swoim politycznym geniuszem i swoją zawziętością. Bismarck nie mógł zapatrywać się na sprawę polską i Polaków z innego, jak pruskiego stanowiska — to prawda tak dalece istotna, że jest komunałem. Ale dlatego przypomnieć ją trzeba, że on na sprawę polską zapatrywał się i wobec Polaków zachowywał się nie tylko ze stanowiska pruskiego, ale także bismarckowskiego; a tej przymieszki zapewne historya nie uzna za dobrą, nawet za bezwzględnie rozumną.

Bismarck dopuszczał się przesad w rzeczach polskich, strzelał nieraz z armat zbyt wielkiego kalibru, nie używał właściwego. Nam się zdaje, że z umysłu, bo szło mu także o huk Hucznych salw potrzebował, raz w zewnętrznych stosunkach, zwłaszcza z Rosyą, powtóre w wewnętrznych sprawach, czy to dla odwrócenia od innych przedmiotów uwagi, czy dla pozyskania wzięcia, może nawet popularności. Salw tych nadużywał, a choć nie przedstawiało to niebezpieczeństwa, było niepotrzebnym wydatkiem. Bismarck wybornie rozumiał i po mistrzowsku zużytkował sprawę polską w stosunkach i wypadkach międzynarodowych i historycznych; ale ważność jej samej, ważność istotną, jako sprawy polskiej, albo przeceniał, albo z umysłu wyśrubowywał, zwłaszcza jako niebezpieczeństwo dla Prus. Mylił się więc, albo błądził. Albowiem tak na wojnie, jak w polityce, upatrywanie i oczekiwanie niebezpieczeństwa, zkąd nie grozi, lub sygnalizowanie go, zkąd przyjść nie może, przeszkadza rozpoznaniu, zkąd grozi, i nie pozwala mieć się na baczności, zkąd przyjść może. Utrata ziem dawnej Polski, należących do Prus, byłaby dla nich pierwszorzędną klęską. Ale jak mógł Bismarck widzieć dla nich pod tym względem niebezpieczeństwo w nieistniejącej Polsce, wtedy kiedy ono jedynie i wyłącznie powstaćby mogło, od strony Rosyi i kiedy nigdy Prusy stracićby nie mogły owych ziem w wojnie z fikcyjną Polską, a stracićby je mogły w wojnie z istniejącą i istotną Rosyą. Nie chcemy wcale przez to powiedzieć, aby takie niebezpieczeństwo dla Prus ze strony Rosyi miało powstać, ale możliwem byłoby tylko ze strony tego, co jest, zatem

Rosyi, a jedynie niemożliwem ze strony tego, czego niema, zatem Polski. Bismarck uległ tu, lub uledz chciał złudzeniu optycznemu, a fałszywym był jego rachunek prawdopodobieństw. Praktycznie, zarówno jak teoretycznie, mylnie stawiał zadanie. Czy z umysłu, czy nie, zawsze błędnie, a jeżeli dlatego, aby dopomódz sobie w prześladowaniu i wynaradawianiu Polaków pruskich, to używał środków większych niż cele, kosztem oryentacyi i prawdy politycznej, której gwałt zadawał. Że do kuglarstwa politycznego, że do nadużycia publicznej siły, że do osobistej zawziętości, dodał obelgę, rozminął się z zasadą, którą lekceważyć nie trzeba, iż powalonych poniżać, zgnębionych obrażać, nie należy. A nie można było o nim powiedzieć, jak Tacyt o Agrikoli: *honestius putabat offendere, quam odisse*, bo on obrażał dlatego, że nienawidził. Tu go namiętność i mściwość uniosły, a wytrawność polityczna odstąpiła.

Bismarck był przeciwnikiem, nieprzyjacielem, wrogiem Polaków zawziętym, systematycznym, wytrwałym; nietylko z przekonania, także z namiętności. Stosownie do tego przemawiał i postępował. Jak wiele innych rzeczy, zużytkował i wyzyskał sprawę polską w swoich wielkich działaniach, jak przystało na polityka, w innych jak pospolity człowiek, bo z przesadą w słowach i postępkach. Jak wielu innymi, pomiatał Polakami, nimi może najwięcej. Błędy, popełnione w czasie jego zawodu przez Polaków, pozwoliły mu zużytkować, wyzyskać ich sprawę, ich już i tak opłakane i smutne położenie i stały się jednym ze stopni, po których doszedł do potęgi, jednem z narzędzi jego wywyższenia. Wypadkami 1863 r. Polacy dali Bismarckowi sposobność, niemal pierwszą, rozpoczęcia swojego dzieła, zabezpieczenia się, wzniesienia i wzmożenia się. Upadek jego zmarnowali. Fatum polskie sprawiło, że Polska stała się dobrym geniuszem największego jej w każdym razie, najniebezpieczniejszego za naszych czasów, wroga. Bismarck był niewdzięcznym, miotając na Polaków obelgi, i w tem okazał się politykiem, jak wiadomo bowiem, niewdzięczność jest jedną z właściwości polityka.

Namiętność i nienawiść zdawały się być większemi i silniejszemi, niż przekonanie i rozum polityczny, w postę-

powaniu Bismarcka z Polakami. A przecież ks. August Sułkowski opowiadał nam, że gdy go odwiedził podczas jego pobytu w Salzburgu w osobistych sprawach, Bismarck wdał się w rozmowę polityczną, a wśród niej książę nie zataił, „że w kraju, że w całej Polsce ustalone jest przekonanie, iż nikt tak Polaków nienawidzi, jak on“. Na co kanclerz zerwał się z krzesła i z oburzeniem zawołał: „Jak można coś podobnego przypuścić? Jestem mężem stanu i tylko mężem stanu i nie nienawidzę nikogo“.

Czy łudził się Bismarck, czy raczej czuł, że jak na politycznego człowieka, zbyt silnie nienawidził nie samych Polaków, choć ich zapewne najbardziej.

Nienawiść, zawziętość, mściwość Bismarcka względem Polaków, miały swoje właściwe znamiona; nie te, które nadaje wyrządzenie krzywdy, ale znamiona zaciekłości i brutalności, siły, znęcającej się nad słabością. Była to rozpusta potęgi i przemocy. Dlatego był to objaw pokrzepiający i pocieszający dla Polaków, albowiem kto w tym stopniu jest znienawidzony i prześladowany, musi być coś wart, a to pastwienie się siły nad słabością, było oznaką, że w tej słabości siła czuła jakiś pierwiastek także siły, tylko innej, dla niej niezrozumiałej i niedosiągniętej. Tą siłą tej słabości była ta moc, której od stu lat świat jest świadkiem, której nowy świetny dowód złożyli Polacy w walce religijnej za czasów Bismarcka, ta moc, która sprawiła, że pomimo zadawanych ciosów przez obcych i przez siebie samych, Polacy nie przestali być Polakami, a która jest ich teraźniejszością i przyszłością, byle się jej nie wyzbyli, lub jej nie znicestwili w sobie i nie zmarnowali, a na zniszczenie nie narazili, ułatwianiem błędami własnemi zadania wrogom politycznym, dzieła nienawiści prześladowcom. To coś w Polakach, z czego Bismarck nie zdawał sobie sprawy, czego zapewne nie rozumiał, lecz co czuł i czego dotykał się, roznamiętniało go i że pozwolimy sobie tego wyrazu, rozbestwiało go, albowiem oporność ducha obudza i zaostrza zwierzęce pociągi.

Ciężką była próba, którą Polacy przebyli podczas Bismarkowskiej epoki, ciężką polityka i nienawiścią, oraz wła-

snemi błędami, które polityce i nienawiści, ułatwień, pomocy, dźwigni dostarczały; ztąd straty, jakie ponieśli, były doniosłe, nawet mordercze, ale patrząc się w przyszłość, dlatego najbardziej opłakane, że nie dostatecznie zużytkowali dla swojego dobra zadane im ciosy i te, które sami sobie zadali, słowem naukę, oraz że od blisko pól wieku społeczeństwo polskie więcej wyzbyło się barbarzyństwa, niż nabyło wykształcenia.

Polakożerstwo Bismarcka miało znamię opętania. Czuliśmy go, ciężył on nad nami, przygniatał nas, prześladował, uciskał, ścigał, szydził z nas i wyzyskiwał, od pierwszych na widowni tego świata kroków, do wstąpienia w inny. Każdy Polak, rozpamiętując rok 1863, ujrzy z przerażeniem postać Bismarcka; żaden Polak nie zapomni i zapomnieć nie powinien, że nazajutrz po zgonie Bismarcka, w niedzielę 31 lipca 1898 r. *Hamburger Nachrichten* donosząc, w osobnem wydaniu, o zgonie jego, dodały, jakby to było ostatniem zmarłego tchnieniem, rozprawę: *Polskie niebezpieczeństwo*, w której zwróconą była uwaga na szybkie postępy, dokonane od dziesięciu lat w prowincyach prusko - polskich przez narodowe dążenia polskie, dzięki zachęcie udzielonej ze strony Kościoła rzymsko-katolickiego.

Ta ciągłość szyderstwa, nienawiści, prześladowania i naigrawania osobistego, ta ciągłość polityczna w zwalczaniu i gnębieniu, powinnyby przeciąć ciągłość polskich błędów, a utwierdzić, umocnić ich wytrwałość.

Jest przecież historyczna tragiczność, w tem, że pogrobowa mściwość Bismarcka trupim jadem obryzgnęła Polaków i własnego monarchę.

Byli dawniej, byli i za naszych czasów politycy, którzy z interesu zwalczali sprawę polską, szkodę wyrządzali Polakom, nieśli nawet do Polski zniszczenie. Spełniali oni swoje polityczne zadanie i zdawać się im mogło, że spełniali obowiązek. Jednym z nich był Bismark.

Ale za naszych czasów naród polski wystawionym został na ciosy i wytrzymać musiał szturm dwóch prześladowców, za którymi stało coś innego, niż interes państwa, bo duch zemsty i żądza tępienia: krwawego Murawiewa, bezkrwawego Bismarcka.

VI.

W zawodzie Bismarcka są dwa działy: jeden obejmuje rzeczy dokonane w wielkim stylu, drugi zwykłe rządy, po ukończeniu tamtych. Do pierwszego działu należą: konflikt, trzy wojny, które podjął, oraz trójprzymierze; do drugiego wszystkie inne jego czynności.

Są konie wyścigowe, które odnoszą zwycięstwa i biją wszystkich przeciwników tylko na wielką metę, w tak nazwanych wielkich biegach; na krótszą okazują się miernemi współzawodnikami i w tak zwanych małych biegach nic odznaczają się. Bismarck był takim wyścigowym koniem. Pierwszy niezaprzeczenie, za swoich czasów, w kierowaniu wielkiemi interesami państwa, pierwszy polityk w doniosłych kombinacyach międzynarodowych, niezwyciężony w walkach i wypadkach historycznych, w codziennym biegu spraw publicznych, w pospolitych sporach i w powszednich zdarzeniach, nic zbyt znakomitego, ani użytecznego nie zostawił po sobie, błędy popełnił, porażki poniósł i zmalał, gdy zakończył swoje wielkie dzieło, gdy zaniechał dalszych doniosłych przedsięwzięć, a próbował zwykłemi kierować wypadkami tak samo, jak wyjątkowemi. W pierwszym dziele swojego zawodu rozwinął wszystkie zalety niepospolitego polityka, w drugim brały górę wady, ułomności, nałogi i złe uczucia człowieka, który nic niemiał w sobie wyższego, prócz że był potężnym politykiem. Widzieliśmy już tę niższość Bismarcka w dwóch sprawach, nie należących do cyklu jego wielkich działań, w religijnej i w polskiej w Prusiech. Były jeszcze inne, w których człowiek o niskich instynktach brał górę nad politykiem o doniosłych widokach. Zrównoważony doskonale w pierwszej części swojego zawodu, nie zawsze był wytrawnym w drugiej. Pochodziło to zapewne ztąd, że jak koń, tak i człowiek, nie do wszystkiego w równej mierze jest zdolnym, że dla jednego trening wyścigowy, dla drugiego polityczny, inny jest na wielką, inny na małą metę, że metoda właściwa w wielkiej polityce nie da się zastosować do ma-

łej, że to, co jest znakomitem w wyjątkowych wypadkach, może być pospolitem w zwyczajnych i że polityk od święta, nie zawsze jest właściwym na dzień powszedni.

Skoro Bismarck chciał i postanowił zatrzymać się w swej historycznej działalności i zakończyć ją, właściwie zakończył temsamem swój zawód i sam to czuł, gdy po wojnie francuskiej rzekł, że „poczytuje swoje polityczne obowiązki względem ojczyzny poniekąd za spełnione“, podczas gdy po wojnie austryackiej powiedział był: „Nasze zadanie nie jest jeszcze rozwiązane“. Tu jest psychologiczny moment, w którym Bismarck, nie czując pragnienia, ani powołania powszechnego posłannictwa, za którem wielu jego w polityce poprzedników ubiegało się, nie zrozumiał, że z zakończeniem dzieła, którego granice sam zaznaczył — *Halten wir vor allen Dingen zunächst fest, was wir haben* — zakończyła się była jego rola historyczno-polityczna i że połączenie bohaterskich czynów, hazardów wielkich przedsięwzięć, z mieszczańską umiejętnością zachowania wygranej i z mieszczańskiem jej używaniem, że zatrzymanie się w porę było coś może bardzo rozsądnego, mądrego nawet, w każdym razie wyjątkowego, ale że w tem tkwiła sprzeczność, która musiała uwydatnić się w dalszem postępowaniu człowieka i wydobyć na wierzch jego małostki. I rzecz godna uwagi, wszystkie one należą do drugiego działu jego zawodu, w pierwszym nie było ich. Nieraz bezużytecznym, bodaj czy nie szkodliwym stać się może człowiek polityczny, który wielkie zdziaławszy rzeczy, dalszych zrzeka się, a z władzą rozstać się nie może lub nie umie. Jest to jakby abdykacya z zachowaniem prerogatyw i funkcyi rządzenia. W tej epoce drugiej, Bismarck nie dorósł do Bismarcka z historycznych wypadków. Widzimy też, że stworzył dzieło, że zapewnił na razie jego istnienie, ale go nie wykształcił i nie udoskonalił, nie mówiąc o tem, że niczem nie ozdobił.

Związkowe cesarstwo niemieckie, niedokładnie od początku zbudowane, nie zostało przez niego ani poprawione, ani wzmocnione, ani utwierdzone, ani w sobie lepiej zespolone. Jedna organizacya wojskowa związkowego cesarstwa jest dziełem mistrzowskiem i potężnem, ale nie Bismarcka,

chociaż do dokonania go dwukrotnie dopomógł. W innych częściach gmachu są rysy, którym Bismarck zapobiedz nie potrafił.

Zapominać nie trzeba, że Bismarck, którego niezaprzeczenie zaliczać się winno do wielkich i wyjątkowych polityków, należał do tych, którzy nigdy najwyższej nie posiadali władzy, dla których zatem zadanie było podwójnie trudnem. Bismarck jak wiemy rozwinął pierwszorzędne zdolności w pozyskaniu całej władzy, nie mając najwyższej. W dopięciu tego okazał tyle misterności, ile siły, czy szło o zawładnięcie monarchą, lub parlamentem, czy o opanowanio tak zwanej opinii publicznej, wreszcie narodu. Trudniej mu było, niż kardynałowi Richelieu, posiąść całą władzę, nie piastując najwyższej, bo robota była bardziej zawikłaną, musiał się liczyć z czynnikami, które za tamtego nie istniały, lub nie były brane w rachubę, a miał do czynienia z monarchą mniej biernym, niż Ludwik XIII.

Miał to nieszczęście, że się doczekał monarchy, obdarzonego pożerającą ruchliwością, która go pochłonęła.

Jeszcze na pogrzebie Wilhelma I, a wobec przewidywanego zgonu cesarza Fryderyka, Bismarck z całą świadomością i wiarą w niespożytość swej potęgi zapewniał arcyksięcia, Rudolfa „że na wszelki wypadek z nim tylko i z nim jednym przyjdzie mówić“. Pewność ta zawiodła go. Podczas gdy cesarz Wilhelm II zdumiewał jedynie śmiałością mowy, zdziwił raz jeden śmiałością czynu wobec Bismarcka. Upadek był srogi, tem sroższy, że pospolity, że nie sprowadziła go wielka jakaś sprawa, genialny, a zapoznany pomysł polityka, lecz mieszczańska niezgodność usposobień. Bismarck odsunięty został od władzy, jak zwykły minister. I świat nie zatrząsł się w posadach, ani cesarstwo niemieckie nie rozpadło się, ani Rosya nie wydała mu wojny. A Bismarck żyć jeszcze musiał długie ośm lat i napawać się goryczą i nabrać najboleśniejszego przekonania, iż niezbędnym nie był, iż nawet potrzebnym być przestał. Albowiem na pytanie: coby się było stało, gdyby przez tych lat ośm pozostał był przy władzy? jedna tylko jest odpowiedź — nic. Postać świata byłaby się w niczem nie zmieniła, ani Niemiec, i nic godnego zapisania w dziejach nie zaszłoby było. A gdyby innem było mniemanie Bismarcka,

byłoby czczem przecenianiem znaczenia i wartości dalszego jego pozostania przy władzy. Byłoby złudzeniem. Może jedynem jego złudzeniem, ale nie małem!

Bismarck po upadku był ze wszystkich chwil życia najmniejszym i takim zeszedł do grobu i z po za grobu się przypomniał, co nie przeszkadza, że pozostanie po zgonie wielkim politykiem. Ale ta część jego żywota gdy już władzy nie miał, a przeboleć nie mógł i przebaczyć, że go jej pozbawiono, była marną. Tak nie powinien kończyć nikt, kto w czemkolwiek był wielkim, najmniej mąż stanu. Polityk tej miary co Bismarck, może zerwać się do czynu Wallensteina, lub powinien w milczeniu znieść swój upadek. O pierwsze się nie pokusił, drugiego nie potrafił i obniżył siebie samego. Zostawił nowy dowód marności rzeczy ludzkich, kończąc swój zawód w *Hamburger Nachrichten*, zdradzaniem tajemnic stanu. I mściwość tak dalece go zaślepiła, że chcąc okazać całą swoją wyższość nad tymi, którzy go odsunęli, odkrył w paroksyzmie złości ową kontrassekuracyę, owo przymierze z Rosyą, pomimo trójprzymierza — kombinacyę, nie przynoszącą zaszczytu nietylko jego charakterowi, ale także i rozumowi, kombinacyę zbyteczną, bez potrzeby przewrotną, bez konieczności nieuczciwą, twór raczej wycieńczonego ciągłą rachubą, niż bystrego umysłu, niepokój skąpca, który drży o swoje skarby i coraz nowe wymyśla sztuczne zamki i kryjówki, dzieło starca, nie wytrawnego męża stanu. Kontrassekuracya mogła jedynie oburzyć członków trójprzymierza, wywołać szyderczy uśmiech Rosyan, obrzydzenie ogólne, a w końcu okazać prawdę owej maksymy: *Notre défiance justifie la tromperie d'autrui.* O ile ona przyczyniła się do usunięcia Bismarcka, o tyle będzie ono wobec historyi usprawiedliwionem.

Były materyalnie tragiczniejsze upadki, może nie było moralnie równie tragicznego, żeby zarazem był tak nędznym. Nie mogło też być większej męczarni dla polityka, a niebezpieczniejszej próby dla człowieka.

Cesarzowa Eugenia mówiła za Dantem, po swoich nieszczęściach, że niema dla niej większej katuszy, jak pamięć chwil świetności. Bismarcka, jako polityka, męczarnia była rozpaczliwą. Inni jemu podobni, albo padali

wśród rozpoczętego dzieła, albo wraz z tem dziełem. On ustąpić musiał, choć dzieło przez niego skończone istniało i nie danem mu było dalej go używać; skazanym został na wielkie każdej dumy upokorzenie tem, że się bez niego obejść mogło. Potęgowało to niezawodnie boleść wspomnień wszechwładzy, wtedy gdy już żadnej nie posiadał, gorycz pamięci czasów, w których był wszystkiem, wtedy, kiedy był niczem. I człowiek tej próby nie wytrzymał.

Bismarck był wielkim politykiem z rzemiosla. Był tylko politykiem, był specyalistą. Inni mogli po upadku karmić czem innem umysł i serce. On był tego niezdolnym. Prócz polityki nic do niego, do jego wewnętrznego usposobienia nieprzemawiało. Ta specyalność, ta wyłączność, zemściła się w ostatnim okresie jego życia. I byliśmy świadkami, jak największy naszych czasów gracz okazał się nałogowym a nie mogąc wielkiej gry prowadzić, obejść się bez małej nie mógł i grał w najmniejszą namiętnie, brzydko, nawet nieuczciwie. I stało się to, że ten, który dosięgnął był wyżyn polityki, zeszedł do jej nizin, do owacyj i demonstracyj i był szczodrym rad, choć znał doskonale ich wartość w polityce, ich marność, ich najczęściej przeciwny zamierzonemu skutek. I rzadko danem było w tym stopniu przekonać się, jak dalece wielki polityk małym być może człowiekiem. Upadek, który Bismarck sam sobie zgotował, był bardziej upokarzającym, niż ten, który spowodowała wola monarsza.

Bismarck miał wzrost i postawę wspaniałą, rozmiary niemal olbrzymie. Głowę jedną z największych, jakie istniały, a przecież niepodobną do głów innych znakomitych, lub genialnych ludzi; miała ona swoją wyłączną indywidualność. Czoło potężne, oczy piękne i duże, wzrok świadczący o niepospolitości. Całość była wyrazem i uosobnieniem siły fizycznej i siły rozumu, na usługach silnej woli. Niktby nie był odgadł słabości w tym organizmie. Pochodziły one ztąd może, że wszystko u niego złożyło się wyłącznie na muszkuły i głowę.

Mowca nie biegły, twardy, niepoprawny, przecież potężny. Nic przekonywał ani porywał; roznamiętniał, bo był namiętnym; zwyciężał i druzgotał. W postępowaniu nieraz wstrętny, był zawsze czarującym w rozmowie. Pielęgnowane

i ze szczególnem upodobaniem przez Niemców przytaczane, złego smaku koncepty Bismarcka, nie zatrą znaczenia i wrażenia jego śmiałych, niezwykłych, doniosłych, głębokich i bystrych, pomnikowych określeń, powiedzeń, dowcipów. Takiego połączenia najwyższych zdolności z pospolitemi uczuciami, świetności i blasku w jednym kierunku, z brakami w innych, wielkich czynów z małostkami, nie często spotyka się w dziejach. Wątpić można, aby ukazał się człowiek, podobny do Bismarcka. Nam się zdaje, że w jego stylu nie ukaże się już drugi, nie dlatego, aby to był wzór niedosiągnięty, polityk niedościgniety, przerastający wszystkich dawnych i przyszłych, ale dlatego, że przypuścić wolno, iż był on ostatnim wyrazem czasów, które nie powrócą, a przynajmniej nie powrócą w tych samych kształtach. Bismarck był twórczym w polityce, ale zarazem wyjałowiającym. Po tym olbrzymie pozostały same karły. System swój doprowadził do ostatnich granic, do ostateczności, do absurdum, a tem absurdum jest — zbrojny pokój.

W skutek wielu przyczyn świat uległ zmianom, jego wyobrażenia i pojęcia stają się stopniowo innemi; jest to już może inny świat, a my, należący do dawnego, nie rozumiemy go i dlatego wielu rzeczy zrozumieć nie możemy. Ten świat, który powstaje i przeobraża w sobie zwolna dawne wyobrażenia i pojęcia, niebawem już nie zrozumiałby Bismarcka, a Bismarck nie zrozumiałby go. Być może, że polityka, w tem znaczeniu, w jakiem my jej uczyliśmy się i pojmowali ją, znikać pocznie, że przeistoczy się w coś innego i że sprawy ludzkie nietylko nie będą potrzebowały Bismarcka, ale że nie zniosłyby go.

Sztuka rządzenia zdaje się być zagubioną. Bywały i dawniej zbrodnicze zamachy; ale żeby mord polityczny, mord antispołeczny, stał się instytucyą, żeby mógł działać systematycznie, peryodycznie, na to trzeba było zatracenia sztuki rządzenia. Nie zdaje się, aby ją wskrzesić zdołała nawet ostatnia, najboleśniejsza ofiara najohydniejszego czynu.

Niepłodność pola politycznego jest zjawiskiem uderzającem i które zastanowić musi. Wnosić z jego jałowości można, że nie wyda drugiego Bismarcka. Punkt ciężkości spraw ludzkich przerzuconym być może z polityki gdzie-

3*

indziej. To pewne, że o polityce już dziś zwątpić można. Nie może być polityki tam, gdzie niema mężów stanu. Sztuka ta zdaje się ginąć, albo też, jak nieraz z innemi działo się sztukami, nastała dla niej epoka zaćmienia. W jakim duchu i w jakich kształtach odrodzićby się kiedyś mogła sztuka polityczna, nie podobna prorokować, można jednak przypuścić, że nie w bismarkowskich.

Bismarck nie miał tej chwały, aby po jego zgonie świat odetchnął. Zaledwie że cesarz Wilhelm II pozbył się kłopotu. Dla wszystkich Bismarck był już nicością przed zgonem, dla nikogo czemś istotnem, żywotnem lub groźnem. Polityk był bezsilnym, metoda przeżyta, człowiek zmalał. Zeszedł był — jakeśmy już powiedzieli — do najniższych sfer polityki, do demonstracyi. Sposoby jego były zużyte, rady były anachronizmami i więcej było w nich zjadliwości, niż przenikliwości. Człowiekowi zbywało na godności osobistej. I Bismarck znalazł się w tem dziwnem położeniu, że nie należał już do polityki, a jeszcze nie należał do historyi — ani do żyjących, ani do umarłych. Ztąd tylekroć zmienne zachowanie się względem niego, własnego monarchy.

Już za życia należał Bismarck do świata Dantejskiego, a nie było jeszcze w nim dla niego miejsca i tutaj znosić musiał katusze.

Dla nienawidzącego i przez wielu znienawidzonego smutny to koniec, że nikt po jego zgonie nie odetchnął. Odetchną tylko niektórzy z tych, co o nim pisać musieli. Albowiem odzywając się o nim, przyszło rozumowi staczać walkę z sumieniem.

St. Koźmian.

Z pięćdziesięcioletnich roczników „Czasu“.



Pół wieku dobiega gdy ukazał się pierwszy Nr. dziennika *Czas* (3 listopada 1848 r.).

Przyjaciele i przeciwnicy niezaprzeczą, że ta data stanowi wypadek w dziejach publicystyki polskiej. Są dzienniki polskie starsze wiekiem *Gazeta Warszawska* i *Gazeta Lwowska*, lecz pierwsza warunkami cenzury skrępowana, druga charakterem urzędowym, niezdołały wywrzeć na bieg spraw publicznych znaczącego wpływu.

W pięćdziesięciu rocznikach *Czasu*, które piszący ma przed sobą, zamyka się pół-wiekowa historya doli i niedoli społeczeństwa polskiego na tle przemian i wstrząśnień w szerokim świecie. Od pierwszego rocznika do ostatniego snuje się jednolita nić zasad i dążności.

Po za długim stołem redakcyjnym, okrytym suknem zielonem, zasiadali mężowie wybitni i nieskazitelni, którzy w tych rocznikach pogrzebali niemal cały swój żywot pracowity. W koło nich grupuje się zastęp przyjaciół i doradców, mężów znów pierwszorzędnego w narodzie znaczenia i zasługi. Tamci z redakcyi zdołali stworzyć duchowy organizm, jakby rodzinę lub zakon i przekazali swym następcom przekonania, uczucia, tradycye, jakby sztandary. Ci znów nieutworzyli ściśle zorganizowanego stronnictwa, ale szkołę polityczną, która przetrwała półwiekową próbę.

Jeśli na jakiem polu, to na polu dziennikarstwa, bywamy pochopni do inicyatywy, a nawet ofiarności, byle wywołać zmianę i stworzyć rzecz nową. Do znamion naszej psychologii politycznej należy ta pogoń za nowością, zami-

łowanie w świeżych programach, choćby na krótką metę, szukanie coraz to nowych kluczy do rozwiązywania problematów chwili — byle odrzucić to co jest i trwa, a od siebie zaczynać nową pracę Penelopy. Czy to jest dowodem żywotności, czy tylko braku stateczności? Z prawej czy z lewej strony — w okładce czarnej, białej, fioletowej lub czerwonej, a niekiedy pstrej lub bezbarwnej, powstają przez ten okres pięćdziesięciu lat coraz to nowe organa nie bez znacznych pieniężnych ofiar. Półwiekowe istnienie *Czasu*, jego jednolitość i ciągłość — nie jest dla niego ani przynętą ani reklamą. Więc też nie o jubileuszowe tu chodzi obchody i uroczystości. Ciężka praca dziennikarza polskiego obchodzi się bez wawrzynów. *Czas* rzadko płynął z prądem — częściej przeciw prądowi. Drogę miał twardą i skalistą, bo zawsze prowadziła na szczyty po nad przepaści. Nie powstał dla spekulacyi — nikt się w nim nie wzbogacił, nikt w nim nie szukał piedestalu; wymagał ofiar i poświęceuia; nikomu u góry czy u dołu nie schlebiał — lecz też w tych pięćdziesięcioletnich rocznikach nieznaleść jednego słowa obelgi, potwarzy, ujmy dla czci ludzkiej.

Czas zdobył sobie miejsce i imię więcej może u obcych i za granicami kraju, niż u swoich. Gdy opinia Zachodu zajmowała się jeszcze sprawą polską, *Czas* bywał długo jedynym, dotąd jest najwięcej znanym dziennikiem polskim, z którym się liczono i liczą, wśród przyjaciół i wrogów. Zarzucano mu nieraz w kraju, że obcemi zajmuje się sprawami, że ma zakrój dyplomatyczny i ton chłodny, jakby zwrócony na zewnątrz. Zarzut ten tłómaczy zdobyte zagranicą stanowisko — potrzeba było, aby jeden organ polski przemawiał w takim tonie, z taką miarą, jaka mogła być zrozumianą przez obcych. W naszem położeniu bardziej niż w stosunkach innych narodów mierzyć należy słowa, aby sprawie nieszkodzić, interesu narodowego na szwank nie narazić i bronić go skutecznie. Miarę tę i wagę do każdego słowa przykładać należy, gdy to słowo może być pochwyconem w Petersburgu, czy w Wiedniu, w Paryżu, w Rzymie, czy w Berlinie. Gdy się bierze w rachubę te czynniki — gdy się zważa ile niebezpieczeństw, ile złowrogich czycha na nas zamiarów i zasadzek — nie można kierować się wzglę-

dem, ażali się wywoła poklask opinii krajowej. Gdy *Czas* powstawał, opinia polska zwykła była przykładać do spraw europejskich jedyną miarę własnych pragnień i nadziei — *Czas* stworzył szkołę sądu przedmiotowego o kwestyach europejskich. Następnie znów wzrosła wszędzie, więc i u nas, choroba przechwałki, czyli szowinizmu, choroba u nas szkodliwsza, niż gdziekolwiek. Uśmierzać ją było jednem z zadań *Czasu*. Być może, że w miarę wzrostu znaczenia tego dziennika nazewnątrz — czy to wobec opinii zagranicznej, czy wobec kół decydujących i sfer parlamentarnych w monarchii — słabł wpływ *Czasu* na wewnątrz. Już sam ton i nastrój dziennika niedał się obniżyć do średniego poziomu. W praktyce dziennikarskiej niemożebnem staje się pogodzenie tych dwóch zadań: dyskusyi wyższej politycznej z popularyzacyą — przemawiania do tych, którzy robią politykę, i zdobywania szerokich kół. Jeśli drugie zadanie jest niezmiernie ważne i pożyteczne, to pierwsze niemniej doniosłe i wpływowe.

Jakie były zasady, którym *Czas* pozostał wierny, niech odpowie przegląd tych roczników. *Czas* był zawsze zbyt ultramontańskim dla jednych — nie dość klerykalnym dla drugich; sprzeczność tych zarzutów świadczy, że był stale i wiernie katolickim — sprawy wiary nieużywając nigdy za środek, zawsze za kryteryum każdego sądu, każdego zdania. Frazesów patryotycznych unikał, strzegł bacznie interesów narodowych, nigdy dla jednej dzielnicy niezapominał o położeniu i losie innych.

Czy nie było pewnych zmian i fluktuacyj, czy niema żadnej plamy? Przyznajmy z boleścią, jest jedno ciężkie zboczenie z wytkniętego toru i jedna krwawa plama — rok sześćdziesiąty trzeci!...

Czas nie jest bez winy, że się nieoparł prądowi i rzucił się w otwartą przepaść — i podzielił odpowiedzialność za wielkie narodowe nieszczęście...

Piszący, zasiadając trzydzieści trzy lat za tym zielonym stołem redakcyjnym, nie jest uprawnionym do sądu. Niech inni oceniają wartość i zasługi, wytykają wady i grzechy dziennika. Odbywszy szkołę i nowicyat w owej starej, pierwotnej redakcyi, piszący zwraca się z synowską czcią do

tych postaci Popiela, Manna, Siemieńskiego, Szukiewicza, Kłobukowskiego, a biorąc w rękę stare roczniki, uczuwa wrażenie, jak gdyby odchylał wieko z ich trumien.

Niech się raz jeszcze odezwą ich zagrobowe głosy — niech choć cząstka ich żmudnej pracy pójdzie na pożytek dzisiejszego pokolenia, niech ich duch odradza się w trudach ich następców i zjednoczy przyjaciół dziennika.

W tej myśli pracę niniejszą poświęcam ich pamięci.

I.

Rok 1848.

Rok ten jubileuszowy odnawia tyle wspomnień, nasuwa tyle analogij. Poświęcimy mu nieco dłuższe uwagi, jakkolwiek mamy zdać sprawę z dwóch tylko ostatnich miesięcy nowo założonego dziennika. Lecz te początki są bardzo doniosłe, bo w nich założono fundamenta, rozwinięto główne myśli i zasady, jakim *Czas* miał być odtąd wiernym.

W r. 1848 powstawały dzienniki, jak grzyby po deszczu. I nie dziw — zbyt długo tłumione myśli, uczucia, pragnienia, wydobywały się siłą lawy, gdy krater wulkanu otwarty, sypały się tam iskry, wybuchały ognie — ale także i wiele popiołu, wiele dymu i szarej lawy, która zamiast pobudzić wegetacyę, zalewała wszystko rozpaloną rzeką.

Kraków za Wolnego Miasta nie posiadał dziennika. Cenzura trzech komisarzy opiekuńczych rządów była bardzo ścisłą, a potrzeba publiczności się nie objawiała. *Kuryer* i *Goniec Krakowski* były sobie brukowemi pismami bez znaczenia. Jedynym publicystą z czasów Rzeczypospolitej Krakowskiej był Tesarczyk, bardzo pracowity i skrzętny, ale równie samą już postawą drobny, jak małemi były pisma, jakie wydawał. Nie jest on bez zasługi w zbieraniu materyałów do historyi Rzeczypospolitej Krakowskiej i rzezi 1846 r. [1]).

[1]) Materyały te, za pośrednictwem piszącego nabyte przez ks. Jerzego Lubomirskiego, spoczywają niezużytkowane dotąd w Bibliotece Ossolińskich.

W sprawach politycznych lub administracyjnych pisały się wówczas tylko bardzo dyplomatyczne memoryały do gabinetów, lub pisały się tajemnie korespondencye do zagranicznych dzienników; do opinii publicznej w kraju nie było możebnem się odwoływać. Bywały dawniej próby wydawania czasopism poważniejszej treści, jak *Kwartalnik Historyczny*, który po paru latach istnienia upadł, mimo tak znakomitych sił jak Zygmunt Helcel, Paweł Popiel, Aleksander Wielopolski, Michał Wiszniewski. Publiczność zadowalniała się *Gazetą Lwowską* i jej *Rozmaitościami*.

Z grona młodzieży rwali się niektórzy do publicystyki, w braku atoli pola w kraju posyłali korespondencye, bądź to do Warszawy, bądź do gazet niemieckich w Lipsku i w Wrocławiu. Próbował sił w tym kierunku poeta Edmund Wasilewski, Aleksander Szukiewicz i Wojciech Cybulski, późniejszy profesor uniwersytetu wrocławskiego. Prawdziwą zdolnością dziennikarską odznaczał się dyrektor teatru Hilary Meciszewski. Do miejscowych tak nielicznych sił z początkiem r. 1848 przybywa napływ emigracyi. Powstaje na raz w Krakowie kilka pism, ale z braku funduszów po kilku numerach jedne za drugiemi upadają, a te pisma dziś zapewne są wielką rzadkością bibliograficzną. Łatwiej bowiem odnaleść białego kruka z XVI stulecia, niż gazetkę z przed kilkunastu lat.

Hilary Meciszewski zakłada dziennik *Jutrzenkę* i zawiera układ z młodym podówczas Adamem Potockim, który pod pewnemi warunkami dostarcza funduszów. Niebawem jednak Meciszewski przeniósł się do Lwowa, objął redakcyę dziennika *Polska*, organu t. zw. ziemiaństwa, czyli grona obywateli wiejskich zostających w styczności ze sferami urzędowemi, jak ogólnie mniemano, a raczej niesłusznie podejrzywano.

Jutrzenka przechodzi w ręce nowej redakcyi z młodych ludzi złożonej. Młoda redakcya o dzielnych piórach, rwana prądem opinii, zdobywa sobie wzięcie i popularność, staje o własnych siłach, a gdy jej kierunek coraz dalej zbacza na lewo, powstaje konflikt i zerwanie z pierwszym jej założycielem, Adamem Potockim.

We Lwowie z pośród licznych nowych dzienników i czasopism, dwa wysuwają się na przednie miejsce: *Polska* Meciszewskiego, oskarżana o reakcyjność, i *Postęp*, którego redaktorem był Karol Widman, syn polakożerczego biurokraty, zagorzały patryota o radykalnym kierunku, następnie kilkakrotny więzień stanu. *Tempora mutantur*, więc do ultra-szlacheckiej i reakcyjnej *Polski* pisuje Zygmunt Kaczkowski i Ludwik Skrzyński, którzy następnie pójdą torami liberalizmu i ducha opozycyi. Do *Postępu*, redagowanego przez Karola Widmana, pisuje z Podhorzec Leon Rzewuski, dumny potomek trzech hetmanów, lecz zwolennik daleko sięgających reform społecznych. Ostra toczy się między temi dziennikami polemika za i przeciw uwłaszczeniu, w kwestyi wynagrodzenia pańszczyźnianego, oraz w kwestyi ustroju gminy. Powstaje również *Gazeta Narodowa*, przeistaczając się z dawnego *Dziennika Mód*, ale niebawem przestaje wychodzić i odradza się po latach kilkunastu pod tą samą redakcyą Jana Dobrzańskiego. Oprócz tych dzienników, ukazuje się mnóstwo świstków, mniej więcej radykalnych, pism humorystycznych zaprawionych jadem i miotających na prawo i lewo potwarzą i obelgą, i cały zalew broszur w kwestyach politycznych i socyalnych. W Tarnowie wychodzi *Zgoda*, *lucus a non lucendo*, podobno bardzo skłonna do zwady. Każde miasto cyrkularne jeśli ma Radę Narodową, ma także swój organ ultra-patryotyczny i ultra-radykalny.

Wśród takich stosunków publicystycznych, wzmaga się chaos pojęć. Nietylko że najbardziej fantastyczne pomysły, najdalej sięgające dążności znajdują tam swój wyraz, ale nikt nie jest pewny, że na jego dobrą sławę, na jego stosunki domowe i rodzinne nie rzuci się bractwo dziennikarskie.

Tymczasem nadchodzą ważne momenta polityczne i występują problemata zasadnicze.

Z sejmu wiedeńskiego przybywa kilku posłów. Schodzą się na naradę w domu Pawła Popiela: Adam Potocki, Zygmunt Helcel, Jerzy Lubomirski i naradzają się nad sytuacyą w kraju i w parlamencie. Skoro z *Jutrzenką* do porozumienia dojść już niepodobna, koniecznością się okazuje

założenie nowego dziennika, ale oddać go należy w ręce pewne i wytrawne.

Dyskusya się przedłuża, bierze ton wyższy, zasadniczy, sięga w przyszłość. Na następnej pogadance liczniejsze grono: Kazimierz Wodzicki, Zdzisław Zamoyski i kilku innych. Powstaje myśl dziennika na akcye; akcyonaryusze dobrani barwą i przekonaniem stanowiliby kadry stronnictwa politycznego — to myśl pana Adama.

Lecz komu powierzyć redakcyę?

Paweł Popiel oświadcza gotowość zamieszkania w Krakowie, aby się oddać temu zadaniu. A więc jemu powierzono złożenie składu redakcyi i odpowiedzialność za kierunek dziennika.

Akcyonaryuszów zwerbowano bardzo łatwo, niestety nieposiadamy ich listy. Było to doborowe, niezbyt liczne grono poważnych obywateli tak wiejskich, jak miejskich, które przez sześć lat popierało dziennik i niechętnie oddawało swe akcye, gdy *Czas* przechodził na wyłączną własność Wincentego Kirchmajera.

Posłowie do Wiednia odjechali, porozumiawszy się z Popielem co do programu owej akcyi, którą miał nowy dziennik popierać. Popiel oglądał się za współpracownikami. Z emigracyi przez Wielkopolskę, gdzie przebywał w Miłosławiu u Mielżyńskich, przybył niedawno do Krakowa Lucyan Siemieński.

Poeta romantyczny, tłómacz pieśni serbskich i *Królodworskiego Rękopisu*, autor *Wieczorów pod Lipą*, redaktor sarkastycznej *Pszonki* wychodzącej w Strasburgu, miał pióro już znane, a takie świetne, giętkie i lekkie, że to pióro miało bodaj pierwsze stworzyć feuilletonowy język polski. Niełatwe to zadanie — kiedy już poeci mickiewiczowskiego okresu wydobyli z mowy polskiej wszystkie dźwięki, tony i półtony, proza polska zachowała była jeszcze ową retoryczną majestatyczność z czasów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a jej ciężkość i powaga tłómaczyła poniekąd używanie francuszczyzny w salonowej pogadance i listowych wynurzeniach. Trzeba było mistrza jak Lucyan Siemieński, aby stworzyć potoczną prozę polską, aby jej dać skrzydła, wdzięk, dziwną jasność i prostotę w wyrażaniu subtelnych

odcieni. Nie będzie przesadą twierdzić, że język polski wrócił do salonów i coraz lepiej z nich rugował francuszczyznę, gdy wyrobił się styl feuilletonu i powieści.

Wielki znawca literatury i miłośnik mowy ojczystej, choć sam szedł za wzorem Tacyta, Paweł Popiel odgadł w Siemieńskim tę prawdziwą wirtuozyę formy. Jedyny to romantyk, co zachował kult dla starych klassyków i umiał przechodzić od Homera do Osyana, od poezyi gminnej do Horacego; jako tłómacz i krytyk wiązał poezyę polską z poezyą świata wszystkich epok. Ta szeroka naukowa skala zbliżyła Siemieńskiego z Popielem. Czy ich już nie dzieliły różnice polityczne? Wiadomo, że Popiel należał do tych wyjątkowych charakterów i umysłów politycznych, które nieulegały zmianom, zasady a nawet doktryny z młodych lat rozwijał stale przez całe życie. Przeciwnie Siemieński, jak sam o sobie mówił „z niejednego pieca chleb jadał“ i teraz z emigracyi przynosił z sobą gorzkie doświadczenia, zebrane po klubach i książkach najrozmaitszego kierunku. Pełną piersią odetchnął powietrzem rodzinnem i ocknął się z mrzonek. Przyszło też łatwo do porozumienia i zgody co do kierunku dziennika, którego literacko-naukową część przyjmował na siebie Siemieński, dając swe nazwisko jako redaktor odpowiedzialny, szefem zaś redakcyi i kierownikiem politycznym pozostał Popiel.

Z Francyi przybył także do Krakowa emigrant z 1831 r., Kołosowski. Wysoki, postawy sztywnej, bardzo poważny i prawdomowny, głęboko religijny, mówiono o nim, że był jak posąg z monolitu. Takie charaktery jednolite zwykle wywierają przeważny urok na natury bogatsze, ale skombinowane, wrażliwe. To też Lucyan Siemieński i Walery Wielogłowski zwykli byli kierować się zdaniem Kołosowskiego i szukać jego rady. Wezwano go też do narad nad organizacyą dziennika. Kołosowski w tej naradzie ochrzcił dziennik mianem *Czas*, przystąpił do pierwotnej redakcyi, ale na krótko, pozostał do końca jej wiernym przyjacielem i doradcą.

Konstanty Sobolewski, umysł bardzo wykształcony i charakter prawy, przebył uniwersytety niemieckie, władał dobrze piórem, znał kraj, wstąpił do pierwotnego składu re-

dakcyi i pracował w niej przez kilka lat, do przedwczesnego zgonu.

Węgierski przybył z Królestwa Polskiego, zwerbowany do redakcyi odznaczał się wielką pracowitością. Niebawem zapadł na chorobę piersiową, niewychodził z domu, posyłano mu dzienniki, on nadsyłał rękopisy z działu polityki zagranicznej. Jakież było bolesne zdziwienie redakcyi, gdy jednego dnia doniesiono, że Węgierski umarł w nocy, a wczoraj jeszcze pisał artykuł o Francyi. Większe jeszcze zdziwienie, gdy nazajutrz po pogrzebie nadszedł ciąg dalszy tego artykułu. Dopiero Kalinka, przyjaciel tej rodziny, a już podówczas należący do *Czasu*, wyjaśnił tajemnicę, że od kilku miesięcy za chorego męża pisywała żona. Spostrzeżono się, że te artykuły z ostatnich tygodni niepospolitym odznaczały się talentem. Uproszono więc panią Węgierską, aby nieodmawiała dalszego współpracownictwa. Wnet członkowie redakcyi Siemieński, Mann i Szukiewicz, zbliżyli się do tej współpracowniczki, oczarowani wdziękiem jej umysłu. Pani Węgierska niebawem przeniosła się do Paryża i przez długie lata pisywała *Tygodniki paryskie* do feuilletonu, które dawniejsi czytelnicy *Czasu* do dziś wspominają. Lecz wróćmy do pierwotnego założenia, gdy ten epizod posunął nas o kilka lat naprzód.

Pierwotna redakcya z Pawłem Popielem i Lucyanem Siemieńskim na czele, z współpracownikami Sobolewskim, Węgierskim i Kołosowskim zorganizowała się spiesznie. Nadzór nad administracyą i drukarnią, zapisać należy jako jedno z zaszczytnych wspomnień dla dziennika, objął Albin Dunajewski — naówczas sekretarz Adama Potockiego — w lat dziesięć kapłan, a następnie z cichej celi przy klasztorze Wizytek powołany na stolicę biskupią krakowską i okryty purpurą kardynała rzymskiego.

Z po za redakcyi przyrzekli informacye i współpracownictwo Adam Potocki i Kazimierz Wodzicki. Popiel odwołał się do swego przyjaciela Maurycego Manna, który podówczas mieszkał w Poznańskiem o korespondencye. Kirchmajer wziął na siebie dział ekonomiczny w dzienniku.

Tak zorganizowany *Czas* ujrzał światło dzienne dnia 3 listopada.

Nie poprzedziła ukazania się *Czasu* żadna reklama. Krótki program brzmiał w tych słowach:

„Kiedy pismo nowe powstaje, pytać ma prawo czytająca publiczność, zkąd przychodzi, dokąd dąży, jaką sobie misyę obiera. Na takowe pytanie nieodpowiemy dziś z góry; niechaj samo o sobie świadczy, a nie będzie trudno i ducha onego i dążności odgadnąć. Dlatego jak w programie naszym wystrzegaliśmy się zbytnich obietnic, tak i dziś po raz pierwszy przemawiając, nie chcemy wytykać drogi, którą postępować mamy".

„Pismo codzienne, nie jest to katedra prawa publicznego, aby można całą teoryę polityczną rozwinąć; w miarę potrzeby, w ocenieniu wypadków, stanie się ona wydatniejszą, a nie wywoła czczej zwykle, bo tylko poszczególnych pytań dotykającej polemiki. Nie żądamy naprzód zaufania, bo wiemy dobrze, iż zaufanie należy zdobyć; prosić o nie rzecz próżna. Pisarz przemawiający za prawdą jest to wojownik, jest to kapłan, który walczyć powinien z odwagą i miłością. Zbrojni jedną i drugą, śmiało i z dobrem sumieniem przychodzimy w chwili tak uroczystej mówić do narodu naszego głosem przekonania, które w nas spokojne zapatrywanie się na rzeczy a poniekąd znajomość stanu społecznego i niejakie doświadczenie polityczne wyrobiło. Pismo nasze, ani jest spekulacyą, ani organem stronnictwa".

„Wolności druku chcemy używać poczciwie i pragniemy, aby nawzajem podobnie względem nas jej używano. Nie wyrzekamy się dlatego pewnej wyraźnej barwy, bo każda wiara, każde przekonanie silne, muszą być poniekąd wyłącznemi, ale przyjmiemy prawdę zkądkolwiek przyjdzie, podamy rękę każdemu, co nam do celu lepszą wskaże drogę, celem zaś dla nas jedynym jest pracowanie około odzyskania wolnej i niepodległej Ojczyzny".

W pierwszym artykule wstępnym Paweł Popiel rzucił kilka myśli o wysokiem posłannictwie dziennikarstwa i zaznaczył główny cel służenia odrodzeniu ojczyzny. Myśli zasadnicze i programowe miały się rozwijać w miarę rozwoju wypadków. Pierwsza wiadomość, to wejście Radeckiego do Wenecyi po zwycięstwie pod Weroną.

Ten pierwszy kwartał *Czasu* w nader małych arkuszykach o dwóch szpaltach druku zapełniony wielkiemi wypadkami, jakie wstrząsały Europą, a w państwie i w kraju coraz to gwałtowniejsze sprowadzały przemiany, wszystko zaś w dzienniku, będącym dopiero w zawiązku, ocenione z głębszą myślą, wytrawnym sądem i świetnem piórem.

O bombardowaniu Lwowa urzędową daje wiadomość (5 listopada) feldmarszałek Schlick według doniesień, jakie otrzymał od jenerała Hammersteina komenderującego we Lwowie.

„Kiedy wielkie nieszczęście w dom jaki uderzy — pisze Paweł Popiel w artykule wstępnym — zrujnowani lub osieroceni członkowie rodziny zgromadziwszy się przy swoim ognisku, nieśmieją ust otworzyć i tylko w ziemię utkwiwszy wzroki głębokim jękiem przerywają grobowe milczenie.... Lwów nasz, doznał tego samego losu co Medyolan, Kraków, Praga i Wiedeń. Widać, że panująca władza, wszystkich swych poddanych równą czułością pragnie obdzielić... Przyczyny bombardowania Krakowa w marcu, Lwowa w listopadzie, były tak błache, że uczciwy historyk po stu latach będzie sobie głowę łamał nad powodami tego wandalizmu“ [1]). Artykuł pełen grozy boleści, a zarazem śmiałości kończy uwagą, „że dziś w całem świecie miasta wystąpiły do walki o wolność i padły lub padną, jako owoc niedojrzały lub zepsuty, co najpierw upada z drzewa... że gdy dojdziemy do doskonałości moralnej, jakiej Opatrzność po nas wymaga, narody ruszą na krucyatę wolności, nie z Chrystusem ukrzyżowanym, lecz z tryumfującym, bo niech się dzieje co chce, Królestwo Boże przyjść musi dla ziemi“.

---

[1]) Z raportu jenerała Wybranowskiego dowodzącego gwardyą narodową we Lwowie dowiadujemy się, że prowokacya wojskowa znalazła pozór i ułatwienie do rozpoczęcia bombardowania w roli podżegającej, jaką tu odegrało dwóch klubowców. Hammerstein postawił jako warunek wstrzymania armatnich strzałów, aby zaniechano w mieście stawiać barykady. Wybranowski, chcąc ochronić miasto, rozkazuje, aby gwardya rozbierała, barykady i niedozwala nowych stawiać, kiedy wpada Darasz znany członek Centralizacyi wersalskiej z drugim, agitatorem, przemawia do gwar-

Intelligite reges — pisze nazajutrz to samo pióro, równie śmiało i z równie wysokiego stanowiska omawiając zdobycie Wiednia przez wojska pod wodzą Windischgrätza. „Kto pierwszy pogwałcił prawo narodów? prawo własności? zaufanie i miłość bożem przepisaną prawem? kto skruszył tablice prawa a cielca z podłego kruszcu wystawił i czołem mu bić kazał? To wszystko zrobił systemat, co anarchię chcąc siłą ustalić, podstępnie sprawę porządku i ładu jakoby swoją ogłosił“.

„Ludzie, którzy nie sprawę domu Habsburskiego popierają obecnie zwycięstwo w Wiedniu odnieśli, jak w r. 1846 wywołali element, który ich pochłonął, tak dziś oddali się elementowi wojskowemu, który równie zaabsorbować ich potrafi“.

„Wśród tych żywiołów położenie posłów polskich dziwnie odważne i szlachetne, jak zawsze, gdzie się trzeba poświęcić, było najtrudniejsze, oddając im z dumą tę pochwałę, że jeżeli nie wybawili sprawy narodowej, ocalili narodową godność. W pośrodku tych dwóch, często błędnych, często zbrodniczych obozów, powinni stanąć ludzie prawdy i prawa, a zatem ludzie porządku i wolności; nie po to, aby chcieć utrzymać to co istnieć nie może, powołać do życia co obumarło i umrzeć powinno, ale po to, aby egoistycznym biurokratom z jednej strony, zarozumiałym sofistom i maluczkim intrygantom z drugiej, śmiało stawić czoło i wybawić z ogólnej powodzi cywilizacyę, nad którą ośmnaście pracowało wieków, a która obecnie w wolności, we własności, w rodzinie i w nauce jest zagrożona. O tych ludzi, co mieli odwagę stanąć w poprzek potoku ludowych namiętności, złamać się powinny i złamią, mamy w Bogu nadzieję, chytre usiłowanie dawnego systemu“. Po pół wieku odczytują

---

dyi, pobudza ją do nieposłuszeństwa rozkazom jenerała Wybranowskiego, który w tej stanowczej chwili nie znajduje dość energii, aby przywrócić karność gwardyi a ukarać podżegaczy. Pod przewodnictwem Darasza gwardya stawia dalej przez całą noc barykady, a skutkiem tego o świcie z fortu nad miastem Hammerstein każe rzucać bomby i granaty. *Czas* ostro wytyka Wybranowskiemu słabość, że nieuwięził Darasza i przez to wystawił miasto na zniszczenie.

się te rzeczy jakby na dziś były pisane, i w zarodzie swym *Czas* ma tu postawione zasady, którym stale był wierny.

Jeszcze strzały w Wiedniu i we Lwowie nie ucichły, a już występuje kwestya autonomii. Stawia ją *Czas* dla miasta Krakowa pod datą 7 listopada.

Po wcieleniu Wolnego Miasta z okręgiem, przed dwoma laty wprowadzono w Krakowie cyrkuł z *kreishauptmannem*. Na żądanie deputacyi polskiej w Wiedniu, ministeryum postanowiło przywrócić Radę administracyjną nad Radą miejską. Attrybucye i podstawy tej nowej organizacyi zakreśla *Czas*, zanim dla jej przeprowadzenia namiestnik Wacław Zaleski przybył ze Lwowa, gdzie teraz w chwili najcięższej objął władzę. Hammerstein tam jeszcze komenderował, a Zaleski pisał odezwy pełne humanitarnego współczucia dla ofiar, ale ściągnął krytykę *Czasu* za zbyt blade swe stanowisko.

Kiedy w artykule z 9 listopada Popiel ponownie piętnuje wandalizm bombardowania stolicy kraju, bez żadnego powodu, a wzywa opinię i społeczeństwo do cierpliwości, Lucyan Siemieński w odcinku daje rys charakterystyczny: *Lud*.

„Kto dziś nie wzywa imienia ludu? Kto się na nim niewynosi? Kto go nieobwinia i niepotwarza? Kto mu nie pali kadzideł? Kto go nie wyprowadza w pole, słodko zdradnemi słowy, zamiast aby go miał nauczać i oświecać? Zgoła o ludzie wszyscy mówią, niebadając ludu, niezajmując się nim jakby należało, aby się wlał w to, co dotąd nosiło nazwę narodu“.

Siemieński był niegdyś zagorzałym ludowcem, otarł się o Centralizacyę Wersalską, lecz wnet przetarł oczy i musiał powiedzieć *mea culpa*. Teraz spogląda na lud krwią skalany z miłością i przebaczeniem, ale trzeźwo — powiada, że nie zawsze głos ludu jest głosem bożym — wszak „krzyżuj Chrystusa, wypuść Barabasza“ był to także głos ludu, ale ślepego, użytego za narzędzie przez Faryzeuszów. „Lud a naród — kończy on — to jedno, z wyjątkiem, że do ludu ani do narodu policzyć nie można wichrzycieli i faryzeuszów bez wiary, bez przekonania, bez miłości, co upodobawszy sobie w anarchii i zamęcie z widokami osobistemi na celu, wiecznie kłócą i burzą ten ocean ludowy, aby sami jak

konchy, skazane przebywać na dnie zapomnienia, wyrzuceni zostali na brzeg, choćby na krótko, dopóki inna fala w przepaść ich nie zagarnie"...

To znów jakby dla dzisiejszych ludowców. *Alles schon da gewesen* powiedzieć trzeba z Ben Akibem.

W Wiedniu 6 listopada nowe ministeryum, z Wesenbergiem, Bachem, Krausem i Bruckiem — w części starzy biurokraci, jak Kraus z Galicyi, w części klubowcy z barykad, jak Bach.

Manifest cesarski, potępiając zbrojne ruchy rewolucyjne, przyrzeka utrzymanie konstytucyi i zapowiada zniesienie poddańczych stosunków i porównanie posiadłości gruntowych.

Czas śmiało podnosi głos krytyki. Zapowiedź „porównania własności gruntowej" wydaje mu się w tej chwili aktem złej wiary, lub czynem niepolitycznym. „Kto po pomoc do podłych i najpodlejszych udaje się namiętności, tem samem abdykuje z władzy. Zasada własności wstrząśnioną została w r. 1846, a jeszcze bardziej w roku bieżącym". *Czas* potępia obwieszczenie patentu z taką nieokreśloną obietnicą przez władze wojskowe, z pominięciem rady administracyjnej i innych czynników.

Znów na wstępie (14 listopada) ocenienie sytuacyi europejskiej, w której dwa występują nowe prądy: niepodległości narodowej i przemian społecznego ustroju — w feuilletonie *Rys klubów paryskich*. Paweł Popiel z Lucyanem Siemieńskim różnicami swego talentu i sposobu patrzenia na świat uzupełniają się wzajem; tu dążność do politycznej syntezy, tam do literackiej satyry, na wspólnem tle chwili epokowej, pełnej zamętu i chaosu, ale pełnej zarodów i posiewu na przyszłość.

Wypadki wiedeńskie od 6 października — „wyjątek z listu naocznego świadka". Poznajemy tu pogląd lotny i bystry, rzucany w głąb i w dal, młodego posła parlamentu, a głównego założyciela *Czasu*, Adama Potockiego.

Warto te kilka kart w całości przepisać, bo na nich obraz wzięcia Wiednia, z daleka zakreślony perspektywą historyczną. W pospiechu streszczamy list naocznego świadka. Powstanie wzmogło się w Wiedniu i zwyciężyło skutkiem tego, że rząd stracił głowę — chwytał się ostatecznych środ-

ków, zamiast przychwycić i ukrócić przywódców, a ogłosić szeroką amnestyę ludności. Inaczej chciała historya i rządząca nią fatalność. Cesarz pod eskortą z Schönbrunnu wyjeżdża do Berna i Ołomuńca. Jeden tylko minister Kraus zostaje w Wiedniu. Rewolucya sama się wstrzymuje — jeden głos nie odzywa się za zmianą formy rządu — ludność wiedeńska o zwykłej powolności i *gemütlichkeit*, jak za ojcowskich rządów szuka miejsc do biesiady i słuchania orkiestry. Pierwszy ruch, pierwsze znaki życia nowego elementu wkraczającego na scenę dały się widzieć w przyciągnięciu pod mury bana kroackiego, na czele dzikich hufców. *Słowiańszczyzna* owa okrzyczana, a jednak nieznana, dzika, a jednak tak głęboko demokratyczna; posłuszna, prawie korząca się, a jednak tak dumna w swych marzeniach o przyszłych zwycięstwach, owa Słowiańszczyzna, o której wszyscy już napomykają, a w którą tylu jeszcze nie wierzy, w obciążonej swej postaci zajrzała im po raz pierwszy w oczy.

Napróżno na czele wojska stawa ów zabytkowy rycerz średniowieczny, lojalne, dumne, wspaniałe niemiecko-arystokratyczne książę von und zu Windischgrätz, napróżno się koło niego garnie kwiat szlacheckiej młodzieży, napróżno ich chęci reakcyjne, ich wzdychania ku przeszłości, próżne ich usiłowania... Przejdź od batalionu do batalionu, szwadron po szwadronie, przysłuchaj się mowom, rzuć okiem po twarzach; wszędzie jeden dźwięk w głosach, jedne rysy na smagławych licach, jeden błękit we wszystkich oczach. Są to Serbowie, Chorwaci, Słowaki, Kraince, Morawianie, Szlązacy, Czesi, Polacy (raczej Mazury), Rusini, Huculy, Bukowińczycy, Siedmiogrodzianie; aby ich zagrzać, trzeba przemawiać do słowiańskiege czucia, dodać otuchy słowiańską pieśnią, a co więcej trzeba przekonywać, że walka jest przeciw Niemcowi, przeciw odwiecznemu wrogowi...

Nie jest li to obraz olbrzymiej dramatyczności, jakby zdjęty z owych scen, kiedy Alarykowe hufce kroczyły na klassycznym bruku upadłej Romy...

...Po drugiej stronie porywa się w oblężonem mieście do obrony czysty wyraz świata zachodniego, zachodni liberalizm, ów kwiat ostatni skojarzonych elementów romańskiego i germańskiego. Któż spieszy na wały? Francuskiemi re-

wolucyami przerobiona, francuskiemi zasadami i popędami przekształcona i przenicowana niemczyzna, intelligencye miejskie wyrosłe w duchu oświaty zachodniej. Element madiarski, niegdyś horda barbarzyńskich najezdników, później ześredniowieczczała szlachta — dziś liberalizmowi hołdująca kasta bez ludu... Po trzecie, a to przyznanie srogim żalem serce ściska, Polacy, t. j. ta część, która lub cała dotychczas żyje w marzeniach przeszłości, lub ci, którzy bez względu na rodzime wyrobienie się narodowego ducha, opuszczają własne stanowiska i chcą jednym zamachem przerzucić nasz kraj z dawnej składni w skład najdalej w liberalizmie zaszłych społeczeństw zachodnich; jednem słowem ci, którzy wyrabiają historyę w sobie a nie w narodzie...

„Naoczny świadek tych wypadków i pewno nie partyzant sławomanii, owszem według mego dziś uznania zanadto oddalony instynktami, uczuciem, sympatyami od ducha słowiańskiego, nabrałem jednak zupełnego przekonania i prawdzie poddać się musiałem. Wzięcie Wiednia nie jest wydarzeniem przypadkowem, jest ono pierwszym już aktem dramatu, który oddawna się gotuje, oddawna światu grozi, długie lata potrwa“.....

Po pięćdziesięciu latach snują się dalsze akty tego historycznego dramatu, którego przebieg bystry umysł Adama Potockiego odrazu odgadł, i staje dziś to samo pytanie, które on w ostatnich słowach swego listu postawił: „Jakie może być nasze powołanie, jakie winniśmy zająć stanowisko, aby nieprzestawać być sobą samymi t. j. Polakami, a zarazem nieugrzęznąć w przeszłości, lecz owszem myśl naszą i ducha naszego przenieść w nowy świat przyszły“?

Obok listu Adama Potockiego z opisem zdobycia Wiednia, list Maurycego Manna, który po raz pierwszy (16 listopada) odzywa się w *Czasie* jako korespondent z Wielkopolski, gdzie podówczas przebywał.

Minęły już dnie Miłosławia i Wrześni, w których żołnierz pruski ustępować musiał przed ruchawką ludową. Zanosiło się już na reakcyę, a Poznań żył w oczekiwaniu bombardowania. Dowództwo Mierosławskiego i napływ emigracyi wywołały zamęt, któremu zapobiedz się starano złączeniem żywiołów narodowych w Lidze polskiej. Na czele Ligi

stanęli August Cieszkowski, Karol Libelt i Gustaw Potworowski — o zadaniu Ligi pisali broszury Henryk Wodzicki i Maurycy Mann. *Czas* zajmował się gorliwie tem zjednoczeniem wszystkich wytrawniejszych i roztropniejszych umysłów w Wielkopolsce, zwłaszcza że w galicyjskich radach narodowych najskrajniejsze przeważały głosy, najbardziej fantastyczne rzucano projekta, dość wspomnieć, że uchwalono adres do ministra wojny Rzeczypospolitej francuskiej, aby nadesłał 100.000 karabinów dla gwardyi narodowej. *Czas* mało się zajmuje temi ekstrawagancyami, zostawiając je *Jutrzence* i innym dziennikom, lecz bardzo śmiało i silnie występuje nazewnątrz wobec przygotowującej się reakcyi militarno-biurokratycznej.

Mann dotyka tylko tych polemik galicyjskich. „Wszyscy jesteśmy demokratami wedle ducha czasu i ruchu europejskiego, działać dla dobra kraju gotowymi. Możeby więc podobny komitet naszej Lidze uwolnił i was w Galicyi od owej strasznej zajadłości partyi, która w położeniu wątpliwem naszego kraju istotnem jest nieszczęściem. O niej to przekonaliśmy się. czytając w dziennikach galicyjskich taką polemikę, o jakiej wyobrażenia mieć trudno. Powszechnie ono tutaj zgorszenie i oburzenie wywołało — i słusznie. Przed taką bowiem walką każdy sumienny człowiek zadrżeć musi, nie z bojaźni, lecz ze zgrozy, i cofnąć się, nie ze strachu, lecz ze wstydu".

Wobec tych nadużyć druku, niemal budzi zadziwienie artykuł Pawła Popiela, za wolnością prasy. „Ta broń myśli ma podobieństwo z prochem: rozsyp go, spłonie pocichu; ściśnij i przybij, zagrzmi i zabije". Przemawia tu uczeń szkoły liberalno-katolickiej we Francyi, którego zawsze w kraju ogłaszano za skrajnego reakcyonistę.

Dwom rozstrzelanym rzuca Lucyan Siemieński pośmiertne wieńce. Robert Blum, jedna ze szlachetniejszych ofiar rewolucyi wiedeńskiej, takie budzi wspomnienia: „Serce Bluma było dla Polski wylane; takim znaliśmy go przed laty dwunastu, takim do chwil ostatnich. Jedyny to prawie Niemiec, co się nie zmienił, ani próbami poznańskiemi, ani sejmem frankfurckim".

„Obok dołu dla męczennika sprawy ludowej, który umiał porywać umysł do ruchu, ale umiał także uśmierzać burze ludowe, obok tego dziecka ludu niemieckiego, drugi dół wykopano... Oto już wiodą ofiarę, zagrzmiały strzały i trup się stoczył, nad którym zarównano ziemię, bez śladu, bez krzyża, bez mogiły... Bez mogiły, a przecież to był syn stepu, Ukrainiec, i niema dla niego nawet mogiły kurhanu, na któryby przyszła matka, lub siostra, lub narzeczona tużyć w smętnej dumce o jego koniku wronym, o jego szabelce, o krwawym boju Daszowskim, na którym walczył, nito który z tych hetmanów siczowych, półbogów naddnieprskiej Rusi". To Edward Jełowicki; przybył ze Wschodu, gdzie jako emigrant przebywał, do Wiednia i mimowolnie ogarnięty został burzą rewolucyjną. Wyjeżdżał na koźle powozu państwa Adamów Potockich, którzy go w przebraniu lokaja ze zdobytej stolicy naddunajskiej wywieść usiłowali. Gdy się przebierał, żal mu było wąsów — to go zdradziło i zgubiło.

Wszczyna się zacięta, zasadnicza walka wyborcza w Galicyi.

W sejmie wiedeńskim powstał rozłam wśród posłów polskich. Jedni na skrajnej lewicy szukali najskrajniejszych miejsc, mniejszość z kilkunastu głosów śmiało występowała przeciw prądowi rewolucyi.

Zdarzyło się, że poseł miasta Krakowa, Józef Krzyżanowski, należący do rewolucyjnej większości, złożył mandat, z powodu że został wybrany burmistrzem Krakowa. Kandydat przeciwnego stronnictwa, uczony badacz Kazimierzowskiego prawodawstwa, Zygmunt Antoni Helcel, otrzymał 74 głosów na 79, a otrzymał tę przeważającą większość po ogłoszeniu broszury i wypowiedzeniu mowy programowej, gdzie stawiał pytanie: czy chcecie iść z rewolucyą — to mnie nie wybierajcie — czy chcecie utrzymać tron cesarski i utworzyć słowiańską federacyę w Austryi?

Wybór Helcla był pierwszem zwycięstwem tych zasad i myśli, których *Czas* był organem. Wskutek tego wyboru ujawniony został rozłam opinii kraju w dwóch kierunkach. Adam Potocki i Zdzisław Zamoyski składają mandaty, żądając, aby opinia kraju wybrała drogę na tem rozdrożu. Za tym przykładem niechcieli pójść posłowie przeciwnej, rewolucyj-

nej barwy, a w walce wyborczej Zamoyski odzyskał swój mandat, Adam Potocki został pokonany przez przeciwne stronnictwo w Chrzanowie i już niepowrócił do parlamentu.

Na tem tle walki zasad w wyborach *Czas* polemizuje w kilku artykułach z rewolucyjną *Jutrzenką* i rozwija program Helcla, Adama Potockiego, Jerzego Lubomirskiego i Zdzisława Zamoyskiego.

Jutrzenka, która swe założenie także inicyatywie i materyalnej pomocy Adama Potockiego, jak już wiemy, zawdzięczała — miała dwa wybitne pióra, Aleksandra Szukiewicza i młodego Waleryana Kalinki. Stoją oni na stanowisku liberalno-rewolucyjnem, popierają posłów większości, jak Krzyżanowski, Karol Lange, Leszek Borkowski. Z *Jutrzenką* polemika *Czasu* jest zasadniczą, choć często ostrą; *Czas* pomija milczeniem zaczepki drobnych pism radykalnych, które całą sforą w Krakowie, Lwowie i Tarnowie na niego się rzucają. *Jutrzenka* walczy z programem Helcla, w polityce federacyjno - słowiańskiej upatrując apostazyę i odstępstwo od idei narodowej polityki, a stawia jedyne hasło „od Odry do Dźwiny".

Paweł Popiel miał ten dar z chrześciańskiej miłości płynący, że choć stanowczo i ostro stawał do walki zasad, siebie nieszczędząc od pocisków, rzucał myśli w ten sposób, że utkwiły w umysłach przeciwników i wcześniej czy później zwracały ich na inne drogi. Nieraz taki tryumf duchowy, taka zdobycz miała się powtórzyć. Tak też i ta walka zasadnicza zakończyła się niebawem, gdy w parę lat za stołem redakcyi *Czasu* pod szefem Pawłem Popielem mieli zasiąść teraźniejsi radaktorowie *Jutrzenki*, Szukiewicz i Kalinka.

„Reakcya, ten wyraz dzisiaj przez wszystkie przelewa się pióra, przez wszystkie odzywa się usta. Ludzkością Opatrzność rządzi. Ludy niebyły usposobione do celu, jaki mu ruch zaznaczył. Z zarozumiałością rzuciły się ku niemu, niepytając, jak daleko iść mogą... puściły wodze namiętnościom. Nie oparły się na niczem stałem, pewnem, niezachwianem, siebie wzięły za cel i podstawę: jeden egoizm wywróciły — nowy postawiły — rzuciły się w teorye bez żadnego na praktykę, na granicę natury ludzkiej względu. Odbyć więc szkołę muszą, bo się muszą poprawić, wyrobić,

usposobić. Tą szkołą, reakcya". Tak Popiel przyjmuje widmo reakcyi, które narodowej zagraża sprawie w całej Europie, a zaczyna od bombardowania Lwowa. Teraz następuje rozwiązanie rad narodowych, rozbrojenie gwardyi narodowej, wydalenie emigracyi i inne oznaki powrotu do dawnych środków rządzenia, nawet nowe próby niższej biurokracyi podburzania włościan galicyjskich. Ponawiają się w Rzeszowskiem i Tarnowskiem wypadki napadów na dwory, a zwłaszcza na Szląsku koło Cieszyna, ludność wiejska zaczyna się burzyć.

Ducha reakcyi, jak on występuje w Wiedniu, maluje Lucyan Siemieński w feuilletonie:

„Hucznie zaczął się listopad! Pod Wiedniem dwieście armat grało i Wiedeń padł w ręce nie tureckie... wodza, który w nim hula, jak Turek. Węgry, nie Polacy, Kossuth, nie Sobieski, podstąpił na odsiecz, ale i odstąpił. Biedne Wiedeńczyki pochowali się w mysze dziury, że powiem słowami Paska. Za zwycięzcami weszło w mury zdobytej stolicy kilkanaście sfor gończych z tęgim węchem i czarną księgą pod pachą... Ach ta Czarna księga... mówił mi przed paru miesiącami jakiś poczciwy Niemczysko, wstrząsając głową: Patrz WPan, oni szaleją jak dzieci; a tymczasem wszystkich wesołych zbytników zapisują w Czarną księgę. Znam ja mój rząd kochany, puści cugle, ty broisz w zaślepieniu, wciąż broisz; a on tylko notuje, dopiero jak się miarka przebierze, następuje sąd ostateczny"... Jak w Wiedniu, tak było i w Galicyi. Do gwardyi i rad narodowych dozwalano wstępować urzędnikom i zachęcano ich ale zapisywano w Czarnej księdze, i potem urzędników tych wykreślano z etatu, lub też na zawsze zamknięto drogę awansu. Ten podstęp rządowy dał początek osoonego rodzaju, osobnej kategoryi c. k. radykałów — i rzecz charakterystyczna, że gdy kraj cały po wielu latach przeszedł pod sztandary polityki polsko-austryackiej, najdłużej się temu opierali, najbardziej okazali się nieprzejednanymi patryoci Polacy, będący w służbie rządowej.

Wojna Madiarów z Chorwatami już się rozpoczęła. *Czas* jej początkom poświęca dwa ważne artykuły, wykazując, że po upadku despotyzmu Metternichowskiego, dwie były dla

Węgrów tylko drogi: albo zawrzeć ze Słowianami pakt i dążyć pospołu do federacyi ludów rakuskich, albo dobyć szabli w obronie własnego szczepu przed przewagą słowiańskich plemion. Madiary to drugie wybrali, i taką była pierwsza faza powstania. Wiadomo, że jak powstanie listopadowe podjęte zostało w imię Mikołaja króla polskiego, przeciw Mikołajowi samodzierżcy Rosyi, tak i powstanie węgierskie opierało się następnie na tej fikcyi prawnej, że jest to wojna króla węgierskiego przeciw cesarzowi austryackiemu, który starej sankcyi pragmatycznej i praw korony św. Szczepana nieuznał. Na dnie była walka, madiaryzmu z słowiańszczyzną, a interwencya rosyjska pchnęła świat słowiański na tory panslawizmu, które poeta Kolar naznaczał. Dla Polaków znów występował wielki problemat — stanęliśmy u rozdroża — albo z Madiarami w duchu rewolucyjno-liberalnym, albo przy starym tronie ze Słowiańszczyzną. Zaledwie kilku posłów dotrwało w Kromieryżu na tem drugiem stanowisku; młodzież spiesząca z Galicyi za Karpaty i jenerałowie emigracyjni spieszący z Francyi i obejmujący naczelne miejsca w powstaniu przeważyli szalę w przeciwnym kierunku; czy z pożytkiem dla sprawy i idei polskiej, historya przeczącą daje odpowiedź.

Równocześnie zbiera się Lipa słowiańska w Pradze i ogłasza odezwę w *Czasie* do Polaków.

Naczelnicy słowiańskiej Lipy ostrzegają Polaków przed złudną przyjaźnią Niemców i Madiarów, wrogów Słowiańszczyzny, przypominają, ile krwi Polacy wylali za cudze sprawy „pod piramidami Egiptu, wśród śnieżnych stepów Moskwy, u stóp Apenninów i za Pireneami. Pożal się Boże! świat was okłamywał, ale brat nie kłamie bratu. Dalej więc w imię wspólnej wolności, którą my wszyscy, jak jeden mąż, zdobywać, a rozkrzewiać mamy w imię męczenników waszych, co poginęli na pobojowiskach, na rusztowaniach, w głębi więzień; w imię skrwawionej rozszarpanej matki waszej Polski, zaklinamy was słowem bratniem: nieodpychajcie ręki, którą wam Czech podaje, niegardźcie głosem, którym was wzywa Słowianin, abyście się przyznawali do jednej słowiańskiej rodziny“.

Na te gorące wezwania *Czas* odpowiada serdecznie, nie bez zastrzeżeń. „Prawda, żeśmy nic nie zdobyli... nic, nic kromia sławy. Prawda, że nas oszukiwano, ale i to prawda, że myśl nasza nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa“. A dalej skarga, że bracia Rusini, którzy przez wieki współdziałali na wyrobienie polsko-ruskiej sławy i cywilizacyi, dziś zrywają te węzły i stają do bratobójczej walki, a w tem znajdują poparcie Czechów i Słowian.

Do Pragi na zjazd Lipy słowiańskiej niebawem wyruszyli Zygmunt Helcel, Jerzy Lubomirski, z redakcyi *Czasu* Lucyan Siemieński, wraz z kilkunastu innymi. Na dworcu kolei zebrało się sporo gawiedzi, a ktoś z pośród niej zawołał: Tylko tam niesprzedajcie Ojczyzny“!

Gdy tak rwą Polaków w dwie strony, jedni do orężnej walki za Karpaty, drudzy na wiec słowiański nad Mołdawę, gdy Polacy w tym roku walczyli wszędzie, na barykadach w Paryżu, Wiedniu i w Berlinie, w Poznańskiem i Badeńskiem, i wszędzie budzili zapał i sympatyę, pierwszorzędną odgrywali rolę, jako przedstawiciele narodu największe ponoszącego ofiary dla idei wolności i niepodległości — wnet reakcya europejska miała się najsrożej przeciw nam w całej Europie zwrócić. Dzień 29 listopada wzbudza gorące wspomnienia: „Witaj, o! dniu drogiej pamięci! tyś rozwarł był narozcież wrota do nadziei, w tobie dokonał się jeden z tych aktów, które upadłe narody podnoszą z zapomnienia“. Artykuł pełen patryotycznego zapału, czy wyszedł z pod pióra żołnierza z pod Grochowa, Pawła Popiela, który w lat kilkadziesiąt miał w tym dniu rocznicy tę batalię tak barwnie opisać? Tak sądzić można z jędrności słowa, które umie gorący zapał łączyć z rozwagą i ostrzeżeniem.

Wśród różnych wieści i pomysłów, dziennik *Lloyda* austryackiego, podówczas wpływowy, rzuca pogłoskę, jakoby wicekrólem Galicyi miał zostać arcyksiążę Albrecht ze stolicą w Haliczu, że tam na Dniestrze ma być żegluga parowa i statki kupieckie dla zbóż i produktów galicyjskich. Wieści przyjmuje *Czas* ze słusznem niedowierzaniem, natomiast w obszernym wywodzie artykuł konstytucyi po artykule

wykazuje anormalność rządów w Galicyi i niezachowanie tu zasad konstytucyjnych.

Dnia 3 grudnia dochodzą dwie wiadomości: w Wiedniu Ferdynand I abdykował na rzecz arcyksięcia Franciszka Józefa, w Rzymie Pius IX wygnany z pałacu kwirynalskiego przez rewolucyę, minister jego Rossi zamordowany, a Ojciec św. schronił się do Gaety.

Zmianę na tronie cesarskim przyjmuje *Czas* uwagą.

„Nigdy podobno monarcha młody na trudniejszą jak Franciszek Józef niewstąpił drogę: z jednej strony widzi przeszłość państwa rozbitą przez wypadki i nowe zasady w życie narodu wprowadzone, z całym jednak urokiem wiekowego istnienia i organizmem polityczno-administracyjnym podkopanym, lecz silne jeszcze objawiającym życie; z drugiej hydrę anarchii, co nieprzetrawiwszy się jeszcze długą walką wewnętrzną, jak na zachodzie, grozi prawdziwej wolności, porządkowi społecznemu i cywilizacyi, pracą ośmnastu wieków nabytej. Przepłynąć pośród tych dwóch ostateczności, nieuderzyć ani o Scyllę ani o Charybdę, oto jego zadanie, które tylko geniusz siłą i dobrą wolą opatrzony spełnić potrafi. Jeżeli władza, obecnym wojskowej siły tryumfem olśniona, powrócić zamyśli do dawnego stanu rzeczy, i siebie na krótki tylko czas uratuje i ludzkości mało zapewni szczęścia".

Horoskop niewesoły, a gdy się rzuci dziś okiem na to półwiekowe panowanie, choć łódź państwa w zakrętach potrąca o owe podziemne Scylle biurokratycznej reakcyi i Charybdy rewolucyjnej lub parlamentarnej anarchii, przyznać przyjdzie, że sama dobra wola, kierowana ciężkiemi doświadczeniami historyi, łódź uchroniła niejednokrotnie od zatopienia, i że łódź ta dalej płynie wśród tych samych skał podwodnych. Manifesta dwóch cesarzy, ustępującego i wstępującego na tron, kontrasygnowane przez prezydenta ministrów ks. Schwarzenberga, niezapowiadały kierunku nowego panowania; miały go wytknąć wypadki, a już wrzała walka na Węgrzech i we Włoszech.

Gdy tu dosiada konia ośmnastoletni władca o rycerskim duchu, tam wygnany przez swych poddanych, którym otwarł drogę wolności, Papież, będący w sile wieku. Promienista postać Piusa IX wzbudzała w Rzymie, we Włoszech

i wśród wszystkich ludów Europy ogólne uwielbienie, gdy objawiała ustawicznie ducha swobody i pojednania. Lecz w Rzymie tak blisko od Kapitolu do Skały Tarpejskiej. U stóp tronu papieskiego zamordowano męża stanu, którego Pius IX powołał do dzieła reformy. Sztylet skrwawiony krwią Rossiego obnoszono po ulicach Rzymu, jak sztylet Brutusa. Papież wywieziony został w karecie posła bawarskiego przed objawami niewdzięczności ludu rzymskiego, i wrócić miał pod osłoną bagnetów Rzeczypospolitej francuskiej.

„Jakich dni pietnaście przeżyliśmy, co za wypadki! Tam morderstwo ministra i ucieczka Papieża z odwiecznej swej stolicy, tu abdykacya cesarza jednego, zrzeczenie się pięciu koron przez drugiego, wstąpienie na tron młodzieńca wśród chwil najtrudniejszych; obok nas rozpędzenie wysłanników narodu i nadanie konstytucyi z ramienia królewskiego (w Prusiech); ówdzie znów los wielkiego narodu (Francyi), los może Europy ważący się, zawisły od kilkunastu, od kilku kresek“!

Na widowni ukazuje się nowa zagadkowa postać, która zaważy w losach Europy. Na krzesło prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej, która zdołała uchronić się od anarchii i krwawych scen, szlachetnie utrzymała tym razem sztandar wolności, a Papieża swą opieką otoczyła, wstępuje teraz książę Napoleon Bonaparte. Ogólna to była niespodzianka. *Czas* powiada, „że Ludwik Napoleon niemiał do tego zaszczytu żadnego osobistego prawa, to wiadomo powszechnie. Do osoby nowego prezydenta nie mamy sympatyi, wszakże osoba jest tu rzeczą podrzędną“. Godzi się jednak *Czas*, gdy widzi, że najpierwsze polityczne charaktery Francyi, Molé, Thiers, Montalembert, ludzie namysłu, doświadczenia i rzewnie ojczyznę swą miłujący, przeszli do jego obozu. „Pragniemy, aby jak Napoleon ukołysał Francyę po okropnych burzach owej rewolucyi, nie wiemy strasznej czy wielkiej, tak równie życzymy, aby Ludwik Bonaparte w położeniu ułatwionem przeprowadził szczęśliwie pierwsze lata tego przekształcenia politycznego, które niewymaga olbrzymiej ręki jego stryja, bo Francya jest dziś zorganizowaną wewnętrznie, doświadczoną w sprawach politycznych, własność utwierdzoną, urok prawa

utrzymany, urok ten, bez którego niema wolności, niema ładu, niema potęgi“.

Od tych postaci niemal równocześnie wstępujących na widownię historyi stulecia, postaci Piusa IX, który od półtora roku zasiadł na tronie Piotrowym, a teraz opuścić musiał wieczne miasto, cesarza Franciszka Józefa i Ludwika Napoleona Bonapartego obejmującego ster polityki, aby niebawem sięgnąć po koronę cesarską — przechodzi znów *Czas* do spraw wewnętrznych państwa i kraju. Spotykamy tam uwagi o ustroju gminy z powodu broszury p. A. S., uwagi, które świadczą, że redaktorowie mieli już w tej sprawie wyrobione i zasadnicze stanowisko, którego *Czas* trzymać się będzie, ilekroć reforma gminna występuje na stole obrad; spotykamy artykuły o reformie edukacyjnej z ostrą a słuszną krytyką dawnych szkół, których jedynym celem było szerzyć niemczyznę, a obniżać poziom umysłowy młodzieży. Pierwszy *Czasu* głos w kwestyi ruskiej, z uznaniem dla tego, co Ruś dała Polsce w ciągu wieków dzielnych wodzów, wiernych obywateli, mowców i autorów, z miłością, lecz i z obawą wobec zaczynającego się wówczas dążenia do zerwania tych węzłów. Snuje się nadto polemika z powodu walki wyborczej i rozłamu w szeregach delegacyi polskiej w sejmie państwowym, który jak wiadomo po wybuchu wojny węgierskiej z Wiednia przeniósł się do wspaniałej rezydencyi arcybiskupiej w morawskim Kromieryżu.

Szef redakcyi Paweł Popiel jeździł do Kromieryża, aby się porozumieć z przyjaciółmi politycznymi, Helclem, Potockim, Zamoyskim. Odniósł stamtąd wrażenia przygnębiające. Gdy większość, złożona z niemieckiej doktrynerskiej lewicy i polskich demokratów i polskich liberałów, zakreślała coraz to dalej idące zarysy konstytucyi w duchu gminowładztwa, gdy domagała się zniesienia kary śmierci, bezwzględnej równości obywatelskiej, bezwzględnego równouprawnienia wyznań, a bezwyznaniowości państwa, naruszając interesa religii, rodziny, własności — prezydent ministrów ks. Schwarzenberg zachowywał dumne, ironiczne milczenie. Rzecz atoli dziwna, że ten pierwszy w monarchii magnat, tak blisko stojący tronu, nie objawiał tyle ironii i niechęci wobec lewicy, ile jej zwracał ku temu gronu posłów polskich, którzy wy-

łamali się z pod jej dyktatury, do tych posłów, którzy głosowali przeciw dopuszczeniu do Izby deputacyi węgierskiej, dawali dowód swej dla tronu i monarchii wierności. Ten najdumniejszy wielki pan w monarchii, z lekceważeniem przyjmował najdalej sięgające wnioski i głosy skrajnych demokratów, ale rzucał wzrokiem nienawiści w tę stronę, gdzie siedzieli przedstawiciele arystokracyi polskiej. Czuł on może, że demokracya ustąpi, a nawet ukorzy się, gdy nadejdzie chwila reakcyi i zwycięstwo biurokratycznego absolutyzmu, ale złamać trzeba niebezpiecznych współzawodników, tych, co z tradycyi i zasad gotowi stać się kiedyś podporą tronu Habsburgów, gdy ich prawa narodowe zostaną zabezpieczone.

Adam Potocki był zwłaszcza przedmiotem widocznej niechęci ks. Schwarzenberga, a zasiadał on jeszcze na ławie poselskiej, choć niebawem miał go tam zastąpić demokratyczny kandydat p. Sanocki, który zdobył sobie mandat frazesem, że on chce tylko Polski, Polski i Polski.

Polemika z *Jutrzenką*, *Gazetą Polską* i innemi pismami snuła się dalej, na temat, czy pierwej wolność, czy pierwej narodowość, czy z liberałami niemieckimi i zbuntowanymi Madiarami, czy też w bliższem zespoleniu ze Słowianami. Przechodziła ona także i ne pole kwestyj religijnych i społecznych. Na strzały i pociski osobiste, na mnogie wówczas pamflety, *Czas* nieodpowiadał.

W tych 60-ciu numerach dziennika, z dwóch ostatnich miesięcy tego roku, który przeciął historyę XIX wieku niemal w połowie, znajdują się w zarodzie wszystkie wielkie problemata polityczne, społeczne i filozoficzne, które przez następne lat pięćdziesiąt snuć się będą ustawicznie — nieprzerywają się dzisiaj. Ten szczupły zeszyt małego *Czasu* z 1848 r., to jakby wstęp i prolog, to jakby program tego dzieła o 200 dużych woluminach, jakie mieli zapełnić przez 50 lat redaktorowie, współpracownicy i przyjaciele dziennika. Ustępowali i zmieniali się ludzie pióra, wypadki oddziaływały niekiedy na pewne fluktuacye i zmianę odcieni, ale główne linie, jakie wytknęła redakcya z r. 1848, te naznaczyły całą przyszłą drogę tego organu.

II.

Rok 1849.

Rok 1848 zsuwał się w przepaść reakcyi militarnej i zdążającej za nią reakcyi biurokratycznej. Objawiała się i inna w opinii i w głębszych umysłach reakcya. Następuje otrzeźwienie i rozpoznanie, piszą się obrachunki ze złudzeń i nadziei, idzie na wialnię obficie omłócone zboże, aby oddzielić plewy od ziarna.

I *Czas* rozpoczyna nowy kwartał w powiększonym formacie obrachunkiem noworocznym. Nasuwają się klassyczne porównania:

„W imieniu ludu, w imieniu jego praw, zrównania przywilejów, przemawiali ongi Maryusze, Katyliny, Sertoryusze, Klaudyusze, lud doszedł do praw, o które lat 300 walczył, gdy doszedł do celu, o który Graechowie się kusili, wnet schylił kark i schylił go na zawsze, nie już przed prawem, nie przed przywilejem, ale przed dziką, żołnierską, często obcą siłą. Powstała wówczas potworna, nieznana forma rządu, imperyalizm, co lat trzysta w równości socyalnej, bo w ogólnem spodleniu ludzkość trzymała“.

„Ruch ludowy, rozpoczęty w Paryżu, jak bałwany morskie co jedne drugie pędzą od Sekwany przez Niemcy przelał się aż do Dunaju, wszędzie do podobnych prowadzi następstw. „Porównania i przewidywania autora artykułu dziwnie trafne, daleko sięgają, bo któż przeczuwać mógł wówczas zwycięstwo imperyalizmu we Francyi, a nawet w Prusiech?

Zwracając się do Austryi i Galicyi, autor wypomina, że rząd austryacki nagradzał własnością ziemi zbrodnię, o jakiej niesłyszały dzieje. *Mentita est iniquitas sibi ipsi.* „Polacy mieli w tym roku dwie przed sobą drogi: albo powstanie, albo jeżeli wypadki 1846 r. ukazały nam rzetelny stan społeczności, dążenie za pośrednictwem instytucyj właściwych do organizacyi narodowej legalnej i moralnej. Chwialiśmy się między temi dwiema drogami. To, cośmy pozyskali, przyszło bez naszej zasługi, to, co stracono, z naszej stracono winy. Pracować należy w miłości i rozsądku, aby osiągnąć dziś, co dziś osiągnąć można“.

Im gwałtowniej spieszą wypadki im szaleńsze dokoła powstają teorye, tem silniej i bardziej stanowczo redakcya nowego dziennika stawia zasady, rozwija programy.

„Zawód dziennikarski — skarży się Paweł Popiel (8 stycznia) — ze wszystkich najniewdzięczniejszy i wielkie często wyrzeczone prawdy, choćby z talentem wyłożone myśli, spotykają obojętność i niezrozumiane giną w przeszłości, jako słowo ulotne, niepowrotnie. Książka zapoznana, może być odczytaną; kto kiedy odczytywał artykuł kilkomiesięczny? Niezrobił wrażenia dziś, w tej chwili już przepadł, już żadnej niema wartości“.

Skargę tę ilekroć powtarzaćby nam wypadało, a jednak po pięćdziesięciu latach, nielękamy się nużyć czytelnika obszernemi wypisami ze starych gazet. Na zżółkłych stronnicach myśl, jak kwiat zasuszony, zachowała świeżość barwy. Prawda, że tło wypadków przedstawia niezmierną rozmaitość.

Tam jeszcze pakt federacyjny, uchwalony na wiecu słowiańskiej Lipy, daje popęd do idei słowiańskiej. Przed 70ciu laty niemiecki filozof Herder przepowiadał to ocknięcie z długiego letargu Słowiańszczyzny. Idea słowiańska wcielała się wówczas w systemata filozoficzne Cieszkowskiego, Libelta i Trentowskiego, znalazła wyraz w kursach Mickiewicza i echo w plejadzie polskich poetów. Gdy liberalizm niemiecki zatwierdził na sejmie frankfurckim rozbiory Polski, jako fakt historyozoficznie uprawniony, gdy w Republice francuskiej sympatye dla Polski bywały wprawdzie hasłem ruchów i zaburzeń, ale u tych, co stali u steru, od Kazimierza Perier do Lamartina, Polacy spotykali się z niechęcią, trzeba było szukać nowych bliższych przyjaciół: „Czyliż mamy ciągle poglądać, ażali z nad Renu, lub Sekwany, nie przyjdzie pomoc, a odpychać rękę bratnią do nas wyciągniętą. Oni nas potrzebują, tak jak my ich potrzebujemy nawzajem“. Po za tą wzajemnością interesu, na to zbliżenie działają dwa wpływy: zwrot przeciw duchowi rewolucyi i liberalizmu zachodniego i pewien idealizm czy mistycyzm, budzący nadzieję, że w Słowiańszczyznę zachodnią katolicką wcieli się duch ewangeliczny sprawiedliwości i braterstwa ludów.

Pragski zjazd Lipy przerwały zaburzenia rewolucyjne. Ktoś strzelił do okien pałacu Windischgrätzów i zabił księżnę,

studenci napadli na pałac namiestnictwa i zarzucili powróz na szyję namiestnika hr. Lwa Thuna. Naodwrót uczestników zjazdu, a przeciwników rewolucyjnego ruchu, chwytało po ulicach rozjuszone żołdactwo i dopuszczało się mordów i okrucieństw. Jerzy Lubomirski przepędził dzień w koszarach pod ciągłą groźbą śmierci. Akt federacyjny pióra Helcla poszedł do archiwum historycznych aktów i politycznych projektów. Poświęca mu *Czas* szeroki rozbiór.

W Kromieryżu stu kilkudziesięciu posłów słowiańskich odrzuciło wniosek wpuszczenia do Izby deputacyi sejmu węgierskiego, wypowiadających wojnę cesarzowi Austryi, wśród nich było zaledwie siedm głosów polskich. Idea monarchiczna i antirewolucyjna pojawiała się w szacie słowiańskiej. Liga polska w Poznaniu, jak widzimy z listów Maurycego Manna i Henryka Wodzickiego, dzieliła tesame dążności, bo miała do walczenia z groźbą reakcyi niemieckiej. Równocześnie z Lipą słowiańską w Pradze odbywał się zjazd w Wrocławiu z inicyatywy jenerała Henryka Dembińskiego i jego siostrzeńca, autora *Listu szlachcica polskiego do ks. Metternicha,* Aleksandra Wielopolskiego. Miano tam rozwijać nowy program zjednoczenia dla wszystkich dzielnic Polski, w pracy wewnętrznej, organicznej. Między Wrocławiem, Poznaniem, Pragą a Kromieryżem, częste krążyły listy. Dembiński z Wielopolskim szukali nowego punktu oparcia dla idei polskiej, gdy dawne zawiodły, lecz szczegół to ciekawy, za kulisami pojawia się nawpół dzika z olbrzymią głową i wielką brodą a głosem ochrypłym postać Bakunina, ojca rosyjskiego nihilizmu i europejskiego anarchizmu.

Wobec tych prądów sprzecznych *Czas* powtarzał:

„Walczymy i walczyć nieprzestaniemy z teoryą demagogiczną, która tyranię zuchwałej mniejszości wolnością nazywa i jak ów Lewiatan Hobbesa absorbuje wolność indywidualną w jakimś ogólnym politycznym panteizmie".

„Walczymy i walczyć będziemy z teoryą socyalizmu, która pod pozorem sprawiedliwości sztuką chce urządzić to, co Opatrzność woli i dzielności człowieka a nawet losowi zostawiła. Jakież wyznajemy zasady? W porządku duchowym wiara na nauce Kościoła oparta, w porządku politycz-

nym uznanie i obrona praw kardynalnych, na których ludzkość spoczywa“.

W kilka dni później znów uzupełnienie tego programu zwrotem na klęski i nieszczęścia 1846 r.

„Kto ich sprawcą, co powodem? Zostawiamy cały udział, jaki w nich wzięły okoliczności, duch powszechny czasów dzisiejszych; niepowtórzym zaskarżeń, nie będziemy wykazywać, ile z nich spada odpowiedzialności na rządzących nami łaskawie. To już znane Bogu i ludziom i każdy ze swych spraw zdać musi rachunek, każdy z nich ponieść niechybne następstwa, wcześniej czy później“.

„Lecz czyż my sami niewinni zupełnie? Czy możemy w spokojności sumienia umyć ręce od wszystkiego przed sobą i historyą“?

„Co taić przed sobą? po co szukać subtelnych wybiegów? Przyczyną coraz nowych klęsk Polski i Galicyi jest chęć wybicia się na niepodległość. Niepodległość! Wolność narodów, święte hasło, szczytny zamiar, cel nieustanny dusz wyższych. A przecież powiedzieć musimy prawdę „niechaj boli jako chce“. W imieniu niepodległości, w imieniu wolności narodowej, popychano naród w coraz większe klęski, ujmowano mu coraz bardziej środków do tego celu, wiązano ręce, pętano nogi, wszelką broń z ręki wytrącano, wszelkich sił pozbawiano, a wołano nieustannie: niepodległość, walka o niepodległość“!

„Część Emigracyi straciła była pojęcie o kraju, ona nauczyła się nań patrzeć wzrokiem historyi pierwszej rewolucyi francuskiej“. A dalej autor artykułu przytacza słowa Mierosławskiego i odezwy Centralizacyi Wersalskiej. Lecz autor zapytuje: „Kto czytał pisma propagandy demokratycznej? Kto przyjmował emisaryuszów emigracyjnych? Kto z nimi spiskował na własną zgubę? Szlachta, nie kto inny... Niebyły to tylko rekryminacye *post factum*, ale walka codzienna na bruku krakowskim z podżegaczami najczerwieńszego odcienia emigracyi, w części może z płatnymi prowokatorami.

Książę Stanisław Jabłonowski, który wraz z Adamem Potockim w kwietniu uchronił miasto od bombardowania, gdy wśród gradu kul, ci dwaj obywatele udali się na zamek

i przeprowadzili układy z komenderującym: teraz znów oddał inną usługę: podążył do Wiednia i uzyskał zmianę rekrutacyi na werbunek. Agitatorowie rozpuścili pogłoskę, że rekrutacya wyłapie politycznie skompromitowanych, aby ich oddać w kamasze, z tego powodu zaszły zaburzenia na rynku 26 lutego 1849 r.

„Więc dziś zeszliśmy do tego — pisze *Czas* — że lada kilku zapaleńców może się zejść pokątnie i uradzić wybuch zgubny, narażający na resztę strat, odbierający nam ten cień instytucyj narodowych i tę główną szkołę, gdzie jeszcze nie zamilkł dźwięk ojczystej mowy i tę jaką taką wolność objawiania myśli — zgoła uradzić wybuch dla wybuchu“.

Szereg artykułów programowych zamyka głos podnoszący nowe godło: *Dla kraju przez kraj!* Wiemy, kto to godło sobie wybrał i przez całe życie pozostał mu wierny. Gdy arystokracya polska przenosiła się do obcych krajów, rozpraszając tam mienie, podlegając cudzoziemczyźnie, Adam Potocki powtarzał: „W kraju i dla kraju“. Gdy najpatryotyczniejsze duchy na emigracyi ulegały obcym pojęciom, lub mierzały swą tęsknotą i swem pragnieniem wypadki europejskie, żądając, aby kraj słuchał wskazówek i nakazów, które im z Paryża nadesłane zostaną: Adam Potocki niedał się wciągnąć w te związki a na namowy wysłańców Hotelu Lambert odpowiedział: „W kraju, dla kraju i przez kraj“ [1]). Przypuszczamy więc, że ten artykuł, który zamyka szereg programowych rozbiorów pióra Pawła Popiela, wyszedł znów z pod pióra Adama Potockiego, lub też był napisany pod wrażeniem dyskusyi z nim przeprowadzonej. Gdy tak zaś ustalały się zasady i zaznaczały kierunki w gronie mężów otaczających *Czas*, nieustawał zamęt w kraju, wzmagała się burza w państwie.

Dziwne też utrzymują się sprzeczności: w Galicyi stan wojenny i sądy doraźne, jak objaśnia ks. Schwarzenberg w odpowiedzi na interpelacyę deputowanego Machalskiego z powodu niebezpieczeństwa, żeby powstańcy węgierscy nie-

[1]) Patrz Karola Fontera: *Teka narodowca.* Wspomnienia o pośrednictwie między Władysławem Zamoyskim a Adamem Potockim.

przekroczyli Karpat; w miastach utrzymuje się jeszcze wolność zgromadzeń, a dzienniki wolne od wszelkiej cenzury. Tam mandataryusze zaprowadzają policyę chłopską, która zatrzymuje przejeżdżających ze wsi do wsi i w butnej postawie przypomina krwawe wypadki z przed dwóch lat, tu znów gawiedź miejska otacza klubowców emigracyjnych, którzy wlazłszy na stół lub beczkę prawią ulicznikom i przekupkom o Fourierowskich falansterach i Stimonowskich mrzonkach.

Kraków miał przynajmiej uporządkowane stosunki autonomiczne. Rada administracyjna, którą zorganizował przed kilku miesiącami namiestnik Wacław Zaleski, spędziwszy w tym celu w Krakowie parę miesięcy — ta Rada administracyjna, która objęła spuściznę po dawnym senacie Wolnego Miasta, funkcyonuje obecnie bardzo prawidłowo pod przewodnictwem Piotra Michałowskiego.

Niepospolity ten mąż porzuca na chwilę pendzel, którym włada tak mistrzowsko, aby ująć ster rządów w stosunkach nader twardych, połowicznych, zawikłanych. Wyniesiony na tę godność trafnym wyborem namiestnika, przewidując może, że zadanie jest przejściowe, prowizoryczne, pragnie zostawić dla Krakowa trwałą pamiątkę, i dlatego z własnych funduszów zakupuje realność na Piasku, czyniąc znaczną fundacyą dla wychowania chłopców zaniedbanych pod wezwaniem św. Józefa. Piękną tą myślą uprzedza Piotr Michałowski inicyatywę słynnego Dom Bosco we Włoszech, i choć na małe rozmiary stwarza instytucyę, która ma zmniejszyć szeregi uliczników krakowskich, tak skorych do każdej hecy i burdy. Na cel nowo powstałego Zakładu wielkie panie urządzają loteryę, a przybywający do Krakowa artyści, pianista Apollinary Kątski i wiolonczelista Szczepanowski, dają koncerta.

Z Wiednia nadchodzi bolesna wiadomość. Wacław Zaleski, który po paro-miesięcznych rządach w Galicyi powołany został do Wiednia, jako referent spraw galicyjskich w ministeryum spraw wewnętrznych, wyszedłszy z rady ministeryalnej nagle zmarł, według jednych na paraliż serca, według drugich z powodu ulania żółci. Czy żółć pękła, czy serce stanęło — powszechne istniało mniemanie, że Wacław

Zaleski padł trupem pod wrażeniem projektów, skierowanych przeciw jego krajowi rodzinnemu na radzie ministeryalnej. Opowiadano sobie, że były to plany Bacha, aby w Galicyi zachodniej utrzymywać coraz silniej antagonizm chłopów do szlachty, a w Galicyi wschodniej popierać całą siłą ruch ruski przeciw polskości. Nadaremnie Zaleski podnosił głos przeciw tym planom wrogim — znajdowały one poparcie większości rady korony.

Czas w artykule wstępnym (5 marca) oddaje cześć pamięci Wacława Zaleskiego, człowieka, pierwszy z Polaków doszedł do wysokiego w Austryi urzędowego stanowiska. Za młodu należał Zaleski do tego grona, które pod przewodnictwem Chłędowskiego, Jana Nep. Kamieńskiego, Aleksandra Fredry rzuciło się na pole literatury i nauki, jak Wincenty Pol, August Bielowski, dwaj bracia Borkowscy. Znany zbieracz pieśni ludowych, Wacław z Oleska jako urzędnik szedł drogą dla Polaka mozolną i ciernistą, „nieuronił nic z tego szacunku i dobrej wiary, jaką w nim pokładała rozsądniejsza i wyrozumialsza opinia krajowa; charakter szlachetny i prawy, dusza czysta wyszła nietknięta z najgorszej próby“. Wreszcie *Czas* wspomina, że paromiesięczny pobyt gubernatora w Krakowie zostawił niezatartą pamięć w sercach mieszkańców, że jego było zasługą, iż nas związał w pewną organiczną całość. Obok zorganizowania Rady administracyjnej, Zaleski położył znaczne zasługi, otoczywszy swoją opieką Akademię Jagiellońską. Uznanie Krakowian dla zmarłego namiestnika objawiło się licznym udziałem na nabożeństwie żałobnem, które odprawił w kościele Panny Maryi X. biskup Łętowski.

Dwóch Polaków szło wówczas w zawody w karyerze urzędowej, dwie bardzo odmienne natury i postacie. Twierdzono, że Wacław Zaleski padł ofiarą tego współzawodnictwa, które wnet miało się skończyć nominacyą hr. Gołuchowskiego na urząd gubernatora Galicyi. Wiele w opinii krążyło pogłosek, wiele podnoszono zarzutów, które dotąd tajemnice urzędowe osłaniają. O ile te pogłoski były potwarcze, lub zarzuty słuszne — niemamy dotąd podstawy sądzić, a wznawiać dawnej niepopularności nie mamy za-

miaru, skoro zatarły je w opinii publicznej mnogie i wielkie zasługi znakomitego administratora i prawdziwego męża stanu w późniejszej służbie kraju i państwa. Raz zagadnięty hr. Gołuchowski, że nielubi Krakowa, odrzekł: „Przeciwnie, Kraków kocham, tylko nieznoszę Krakowian“. Krakowianie nieodwzajemniali się gubernatorowi niechęcią, a *Czas* ani jednem słowem niedał jej wyrazu — nie było to zaś z braku odwagi cywilnej, której liczne składał dowody wobec rządu i wobec ulicy, ale płynęło z zasady, że nie godzi się osłabiać stanowiska, utrudniać zadania jedynemu Polakowi, który w czasach tak trudnych umiał zdobyć władzę i ująć ją w silną dłoń.

Dnia 4 marca ogłoszono manifest cesarza Franciszka Józefa, rozwiązujący sejm w Kromieryżu, a stanowiący podstawy nowej konstytucyi, oraz zapowiedź zniesienia stosunków poddańczych.

Kończący swój żywot sejm kromieryski był nieudaną konstytuantą. Prześcigniono tutaj stary szablon Benjamina Constant w szukaniu najszerszej miary swobód obywatelskich i systemu reprezentacyjnego, sięgającego aż do gminowładztwa. Jak przed miesiącem w Berlinie, tak obecnie w Wiedniu konstytucyę miał skroić sam rząd do własnej potrzeby i wygody, a rzucił w kosz wszystkie wnioski i projekta reprezentantów ludu.

W Kromieryżu zasiadało 37 posłów Polaków. Reszta posłów galicyjskich w siermięgach mazurskich i świtkach ruskich wstawała i siadała na skinienie hr. Stadiona.

Możnaby piękną ułożyć galeryę portretów posłów polskich. Na czele wybitna postać Franciszka Smolki, o olbrzymich wąsach i długiej brodzie. Ta powierzchowność tak uderzająca, ujmowała spokojem, prostotą i powagą. Wyrok śmierci i długoletnie więzienie, wraz z temi wąsami, zdobyły mu wśród tłumów popularność niezwykłą. Zacność charakteru, odwaga, takt, szlachetność jednały szacunek wszystkich stronnictw. Wiadomo, że przed rokiem stawał Smolka w obronie Latoura i wstrzymał dalsze ekscesa. Wymownym nie był, ale wywierał wpływ zimną krwią i wielkim spokojem. Wśród mowców zasłynął Leszek Borkowski; przestudyować on musiał

dobrze mowy Mirabeau i innych mowców Rewolucyi francuskiej, był też całkiem na ich wzór i krój. Porywał za sobą i zapalał namiętności, sztuką krasnomowcy, znajomością efektów palącej ironii i świetnego obrazowania. Sceptyk i ateusz, rewolucyonista może więcej ze szkoły, niż z głębi przekonań, szukał zawsze tylko wrażenia, jak dobry artysta, niepytając dokąd zdąża. Maksymilian Machalski należał także do lepszych mowców izby, a miał studya na wzorach angielskich, szedł wówczas w kierunku umiarkowanym. Adam Potocki wyniosłej i hardej postawy, bohaterstwem swej natury zwracał na siebie ogólną uwagę, pociągał magnetyzmem słowa jednych, wzbudzał niechęci drugich. Gdy mówił, cała izba bywała w poruszeniu, każde słowo sięgało daleko, obejmowało całe horyzonty przyszłości, a płynęło z głębi sumienia.

Pamiętną była ta chwila przy głosowaniu, czy przypuścić lub nie deputacyę węgierską do izby, chwila rozstrzygająca dla losów monarchii, tronu i plemion rakuskich. Adam Potocki w walce wewnętrznej rzucił słowo: *Ja!* — po chwili namysłu spojrzawszy na swych przyjaciół, przeciwnych ruchowi madiarskiemu, a dążących do federalizmu słowiańskiego, głośno zawołał: *Herr President! ich nehme mein* „ja“ *zurück — nein!* To słowo jak iskra elektryczna przebiegło izbę i większość odmówiła dopuszczenia deputacyi węgierskiej do izby.

Jerzy Lubomirski, choć niski, równie majestatyczny jak Adam Potocki w postawie i ruchach, oczy jego nie duże, ale głębokie i przenikliwe, rysy wybitne i szlachetne, serce gorące, umysł analityczny, lecz zawsze zwrócony do najwyższych ideałów. Była w tem sercu tak wielka miłość ojczyzny, że z najgorętszą miłością Polski pomieściła się jeszcze miłość dla wszystkich ludów słowiańskich. Sprawy polityczne brał on tak gorąco, służył im tak gorliwie i wiernie, że walki, jakie przebywał w tym roku pełnym wstrząśnień, pociągnęły napad choroby. W chwili szału strzelił w izbie w Wiedniu i padł nieprzytomny. Do Kromieryża już niewrócił.

Zygmut Helcel, Zdzisław Zamoyski, jeden studyom historycznym, drugi pracom filozoficznym oddany, trzymali ten sztandar idei federalnej i zwrotu z torów rewolucyjnych. Kazimierz Dzieduszycki zbliżał się do tego grona. Bardziej

ku lewicy zwróceni odznaczali się swemi zdolnościami towarzysz więzienny Smolki i wraz z nim skazany na śmierć, Floryan Ziemiałkowski i młody Seweryn Smarzewski.

Owa mniejszość, na prawicy której organem był *Czas*, znajdowała się niejednokrotnie w trudnem położeniu, jak zwykle gdy się płynie przeciw wodzie. Zdarzało się niekiedy, że dla rzeczy i zasady musiała ona głosować z ławami reakcyi biurokratycznej, jak n. p. w sprawie, czy indeminizacya pańszczyźniana ma być wypłaconą dawniej uprawnionym. Nasi demokraci z Leszkiem Borkowskim na czele dla chwilowego efektu chcieli się zrzec indeminizacyi i pozbyć obywatelstwo kraju funduszu tak niezbędnego a tak sprawiedliwego w chwili przełomu agrarnych stosunków. Zasługą owej mniejszości było, że uratowała i indeminizacyę dla Galicyi, wyższą zasługą jeszcze, że niepoddała się komendzie rewolucyjnej i rzuciła pomosty wobec tronu i wobec ludów słowiańskich.

Jakiekolwiek różnice dzieliły naszych posłów, przyznać należy, że rok 1848 wybił osobne, wyższe piętno na tych ludziach. Jak pokolenie 1831 r. odznaczało się rycerskością, tak ludzie 1848 r. mieli także coś bohaterstwa politycznego. Ci, którzy zatrzymali się na pojęciach ówczesnych, pozostali na resztę życia nieco chaotyczni, a bohaterstwo ich przechodziło w donkiszoteryę. Ci jednak, którzy rok 1848 przebyli jako pierwszą szkołę i pierwszą walkę, wynieśli z niej pewien polot myśli, pewną gorliwość i dzielność czynu. I długo tak u nas w Galicyi, jak w Wiedniu i całej monarchii, rozpoznawać można było te typy i te postacie ludzi 1848 r. po właściwych im znamionach.

Gdy z ramienia ministra Bacha, hr. Mercandin naówczas starosta ołomuniecki wręczył prezydentowi Smolce manifest cesarski z rozwiązaniem sejmu i żądał, aby go odczytał w izbie, Smolka jak zawsze z zimną krwią odrzekł: „Sejmu nie zwoływałem i rozwiązywać go nie będę, więc rób sobie pan z manifestem, co się panu podoba“. Na to zakłopotany hr. Mercandin kazał przylepić manifest na drzwiach parlamentu.

Czas rozwiązanie parlamentu przyjął bez protestu, oktrojowanej konstytucyi nie potępił z góry, bo zasadniczo uznaje

prawo korony do nadania podstaw ustroju państwa prędzej, niż prawo konstytuanty.

Zasadnicze postanowienia 4 marca były dopiero wstępem do dalszych szczegółowych praw i odrębnych statutów dla każdego kraju koronnego po szczególe. Ztąd dziennik nasz bierze assumpt do poglądów autonomicznych, aby konstytucya nie była odlewem z jednej formy, lecz uwzględniała indywidualności krajów i ich odmienne warunki.

Nabożeństwo w katedrze na Wawelu z powodu ogłoszenia konstytucyi zgromadza wybitniejsze osobistości, ogół ludności i opinia publiczna zachowuje się chłodno i wyczekująco. Jakoż miało to być prowizoryum i raczej pomost, który wiódł z wolna do powrotu rządów absolutnych.

Po manifeście, jakby uwerturze, inna bojowa zagrała muzyka. Dalsze akty konstytucyi pojawiały się zwolna, a miał to być dramat krwawy.

„Od lat 60 wieleż napisano konstytucyj w Europie? Podobno przeszło trzydzieści, każda miała uszczęśliwiać naród *ad consummationem saeculorum*, żadna lat 15 przetrwać nie zdołała. Dlaczego? bo w owym układzie wychodzono z ideału, z pewnych ogólnie przyjętych aksyomatów, zamiast pochwycić te żywioły, które rzeczywiście w narodzie były".

Doświadczenia pierwszej połowy stulecia odwodzą autora artykułu od konstytucyj apryorycznych, z doktryny płynących. „W epokach przechodowych wystarcza postawienie kilku zasad jasnych, istotnych, z których wątek dalszego da się wysnuć życia, jak n. p. wolność Kościoła, druku, *neminem captivabimus*, ścisły rozdział władzy administracyjnej od sądowej, stosunki zaś polityczne kraju urządzić na drodze praw organicznych, mogących ulegać poprawie i zmianie". Z tych wychodząc zasad, *Czas* niechce wobec konstytucyi nadanej przez cesarza występować z jałową negacyą. W miarę ogłoszenia ustaw konstytucyjnych, daje ich gruntowne i krytyczne rozbiory: więc trzy obszerne artykuły o ustawie gminnej. Nużącem byłoby może dla czytelnika, gdybyśmy te myśli o ustroju gminy powtarzać i streszczać tu próbowali, zwłaszcza że powrócą one w wiele lat później, ilekroć sprawa organizacyi gminy stanie się znów przedmiotem ustawodawczej pracy. Niezmieniło się bowiem wiele

od samego początku zasadnicze stanowisko *Czasu* w tej mierze, aby gmina, jako drugie po rodzinie ognisko społeczne, stała się podstawą budowli społeczeństwa, aby zgodnie z naturą i historyą ustrój gminy oprzeć na powadze ojców rodziny i na warunkach niezawisłości społecznej, aby wreszcie gmina łączyła różne żywioły w zgodnej i harmonijnej równowadze. Przechodząc z kolei do rozbioru prawa o wolności, druku, *Czas* zarzuca ministeryalnym kodyfikatorom, że zatwierdzając we wstępie do każdego prawa zasady wolności w samem prawie dają im zaprzeczenie, lub ograniczenie. „Dano nam w rękę broń szczerbioną i stępioną; rzucić ją pogardliwie w kąt, skazać na rdzę, nie jest bynajmniej zasługą; i tej się dobrze imać, uczyć się nią szermierzyć, zdobywać nią inną skuteczniejszą, oto jest treść obywatelskich usiłowań". Nader ważne są artykuły *Czasu* „o stosunku obrządków religijnych do władzy państwa". Autor silnie zwalcza ustawodawstwo józefińskie, a w zasadach nowej konstytucyi upatruje zerwanie z tą zgubną tradycyą. Wolność wyznań, obok gwarancyi dla praw Kościoła katolickiego, odpowiada przekonaniom Pawła Popiela, jakie wyniósł ze szkoły katolików liberalnych we Francyi. Polecić możemy odczytanie tych artykułów każdemu, kto się zajmuje problematem stosunku państwa do Kościoła, taka w nich głęboka wiedza i gorąca przebija myśl. Ogłaszano z kolei zarys konstytucyi dla krajów czeskich, dla województwa serbskiego i krajów południowo-słowiańskich. Specyalne te prawa konstytucyjne dla poszczególnych narodowości i krajów wzbudziły w obozie słowiańsko-federacyjnym rozczarowanie. Zamiast nagrody, że Słowianie pod wodzą Jellaczica zdobyciem Wiednia stłumili w samem centrum państwa rewolucyę, zamiast uznania, że na zjeździe w Pradze postawiono program monarchiczno-federacyjny i słowiańsko-rakuski, w nowej konstytucyi przebijał duch centralistyczny i antinarodowy i niedziw, bo te prawa układał Bach, największy Słowiańszczyzny wróg. Osobne prawo dla Galicyi miało przyjść na końcu. Opóźnienie to nic dobrego nie wróżyło. Stan wyjątkowy w kilku okręgach Galicyi się utrzymywał, a niebawem znów miał być rozciągnięty na cały kraj stan wojenny; emigracyę zaczęto wydalać z kraju. W sprawie emi-

gracyi wyjechali do Wiednia Kazimierz Wodzicki i Wincenty Kirchmajer; otrzymawszy audyencyę u ministra hr. Stadiona, uzyskali pewne ustępstwa, a mianowicie, że ci emigranci, którzy do żadnych czynności politycznych się nie mięszają, jeśli sami, albo przez inne osoby złożą kaucyę 1000 złr., w kraju pozostać mogą. Minister zostawił pod tym względem dyskrecyonalną władzę gubernatorowi Galicyi. Jakoż hr. Gołuchowski korzystał z tej władzy, aby wielu wychodźców niezapisanych w Czarnej księdze pozostawić w kraju. Do ich rzędu należał redaktor *Czasu* Lucyan Siemieński, współpracownik Kołosowski, przyjaciel dziennika Walery Wielogłowski. Na podstawie tej władzy dał hr. Gołuchowski pozwolenie powrotu do kraju jenerałowi Skrzyneckiemu, z którego żoną był blisko spokrewniony, a który miał opuścić stanowisko naczelnego wodza królestwa belgijskiego, aby stale osiedlić się w Krakowie. Bardzo jednak liczny zastęp emigracyi spiesznie z kraju wydalonym został, a przyznać trzeba, że wśród tego tłumu emigracyi było wiele głów zagorzałych, niektóre głowy przewrotne.

Wspomnieliśmy Darasza, członka Centralizacyi Wersalskiej, który stał się poniekąd powodem bombardowania Lwowa. W Krakowie do najzagorzalszych należeli Alcjato i Leon Zienkowicz, głosząc doktryny komunistyczne, a nawet zawiązując spiski i przygotowując zamachy.

Ówczesny redaktor *Czasu*, Paweł Popiel otrzymał kilkakrotne ostrzeżenie i kilkakrotne groźby, że na życie jego przygotowuje się zamach. Podobne groźby spotykały także ks. Stanisława Jabłonowskiego i Adama Potockiego wtedy, gdy swem wystąpieniem wstrzymali bombardowanie Krakowa, a przyjąwszy warunek, że emigracya opuści miasto, sami skazali się na dobrowolne wygnanie i z emigrantami wyjechali do Wrocławia. Działo się to jeszcze w kwietniu 1848 r. Były i inne objawy terorryzmu. Wincenty Pol zbity przez chłopów w r. 1846, gdy wyszedł z więzienia sterany i pozbawiony środków do życia, otrzymał wezwanie od komitetów emigracyjnych, aby się stawił przed sąd, za reakcyjne, jezuicko-szlacheckie tendencye swych pism. Popełnił on ten błąd, że na taki sąd stawił się w Wrocławiu i tło-

maczył się przed oskarżycielami z zasad i uczuć, jakiemi tchnęły jego gawędy.

Minął czas rewolucyi, barykad, rozruchów miejskich i bombardowań. Teraz rewolucya dawała początek powstaniom i walkom na otwartem polu. I znów wiele krwi polskiej popłynąć i rozwiać się miało po świecie wiele chwały oręża polskiego. Mierosławski z Poznańskiego idzie w Badeńskie, gdzie równie niezaszczytną odgrywa rolę. Natomiast zacny i wielkich militarnych zdolności jenerał Chrzanowski obejmuje naczelne dowództwo wojsk króla sardyńskiego; ma on obok siebie Romarinę, jednego z wodzów 1831 r., a pod komendą ośmdziesięciu kilku oficerów polskich. Pełno ich także w powstaniu sycylijskiem. Pułkownik Władysław Zamoyski wyjeżdża z Hotelu Lambert do Włoch, ale wnet obrócić ma drogę na Węgry, mając przy swym boku dwóch braci, Władysława i Zygmunta Jordanów. Bije się tam dzielny jenerał Bem, i ma niebawem dokazać cudów waleczności w słynnej pod względem strategii wyprawie siedmiogrodzkiej. Jako jego współzawodnik występuje Belwederczyk, Józef Wysocki, a nieszczęsne polskie rozdziały i osobiste zawiści popychają jakiegoś szaleńca, że strzela do Bema, w chwili gdy ten odniósł jedno z najświetniejszych swych zwycięstw. Gdy strzał o trzy kroki wymierzony chybił: „Młodzieńcze, nieumiesz strzelać“ — odrzekł Bem, z zimną krwią.

Jak się to stało, że jenerał Henryk Dembiński z Wrocławia, gdzie ze swym siostrzeńcem Aleksandrem Wielopolskim układał plany federacyi słowiańskiej i zostawał w bliskich stosunkach z uczestnikami pragskiej Lipy i Ligi poznańskiej, poszedł do Węgier i przyjął naczelne dowództwo w powstaniu największych wrogów Słowiańszczyzny?

Tę zagadkę psychologiczną i polityczną tłómaczy nam jenerał Dembiński w piśmie, umieszczonem w *Czasie*.

Dzielny wódz wyprawy na Litwę z r. 1831, na emigracyi trzymający się zdala od klubowych robót, długo, jak sam wyznaje, pokładał dla Polski największe nadzieje w Austryi, mniemając, że to mocarstwo, jako katolickie, najwięcej przyczynić się może do przywrócenia naszej ojczyzny. Po wypadkach lutowych we Francyi, doszedł do przekonania, że wolność narodów europejskich przez długi czas nie może

się spodziewać żadnej pomocy od Francuzów. Jako Polak— mówi on — nie mogłem zwracać się do rządu austryackiego; po jego czynach w Galicyi i w Krakowie w r. 1848, to niepodobna. Zwracał się więc do Anglii i przesłał tam memoryał do gabinetu St. James o sprawie polskiej, proponując kandydaturę którego z arcyksiążąt austryackich, lub książąt niemieckich i akcyę przeciwko Rosyi, jako głównemu Polski i Europy wrogowi. Lękając się, aby w kraju anarchia niezawładnęła i nie rozbiła tak potrzebnej jedności, jedzie do Krakowa i ztąd w porozumieniu z Wielopolskim, Helclem, Popielem rozsyła wici do wybitniejszych obywateli w trzech rozbiorach na ów zjazd wrocławski. Myślą przewodnią było utworzenie Ligi polskiej, na wzór Ligi zbożowej w Anglii. Niemal wszyscy wezwani stawili się, lub listownie zgłosili swoją adhezyę. Z Wrocławia jenerał Dembiński pisze memoryał do hr. Thuna, uczestnika Lipy słowiańskiej. W nim streszcza znów myśl federacyjno-słowiańską, a proponuje rozjemstwo z Madiarami. Na memoryał nieotrzymuje odpowiedzi; tymczasem zjazd słowiański rozpędzony, Wiedeń zdobywają Windischgrätz i Jellaczic, nowe nadużycia militarne i dążności reakcyjne wzmacniają tę odrazę, jaką jenerał Dembiński uczuł po krwawych wypadkach 1846 r. Do Wrocławia przybywa hr. Tekeli, członek rządu narodowego w Peszcie, z prośbą i naleganiem, aby jenerał swoje doświadczenie wojskowe oddał na usługę sprawy węgierskiej, a więc sprawy niepodległości narodów.

W dyskusyi z hr. Tekelim porusza Dembiński kwestyę porozumienia Madiarów ze Słowianami, wyznaje przekonanie, że Austrya umie tylko waśnić narody i odznacza się wobec nich niewdzięcznością, że zadaniem Węgrów jest przywrócenie miru plemion i równości praw narodowych. Złudzeń tych wysłuchał wysłaniec rządu węgierskiego, zapewne z utajoną ironią i odpowiedział krótko: *Général, venez chez nous — vous serez tout ce que qous voudrez.* Dembiński odrzekł: *Tout, excépté général en chef* — a na zdziwienie Tekelego dodał: „W sprawie narodowej tylko Węgier dowodzić może, ja dotąd służyłem jedynie mojej ojczyźnie. Jeśli pójdę do Węgier, to żadnej ztąd dywersyi z Polski nie oczekujcie; pragnę, aby

w żadnej części Polski do jakiegokolwiek nie przyszło ruchu, dopóki wypadki właściwej nie wskażą chwili".

Dzielny wódz może w tych rokowaniach z madiarskim dyplomatą nieokazał zbytniej przenikliwości politycznej, zawsze jednak te wyznania stwierdzają, że polscy jenerałowie szli na Węgry nie przeciw Słowianom, lecz z myślą pojednania różnoplemiennych szczepów.

Jak się stało, że Dembiński odstąpił od warunku, aby nie być naczelnym wodzem, pamiętnik nie objaśnia.

Wypadki wojenne za Karpatami rozstrzygają o polityce wewnętrznej. Zwolna ogłaszane ustawy konstytucyjne pójdą niebawem do kosza, bulletyny z pola walki utwierdzą nowe podstawy systemów rządów w Austryi i w Europie. Odczytując pierwszy rocznik *Czasu*, nader mało spotykaliśmy dotąd wzmianek o Rosyi.

Panowała tam cisza grobowa, gdy burza huczała nad całą Europą. Dopiero 29 kwietnia 1849 r. *Czas* przypomina słowo Napoleona, że Europa za 50 lat będzie albo republikańską, albo kozacką. „W wypadkach 1848 r. mniemano, że Francya republikańska będzie opiekunką wolności i niepodległości ludów, Rosya orędowniczką ucisku, najazdu i niewoli. Manifest Lamartine'a uspokoił porządek stary, okólnik gabinetu petersburskiego wlał otuchę w serca przestraszonych rewolucyonistów. Francya, jak Rosya, zachowały stanowisko nieinterwencyi na zewnątrz. Czy to dla Rosyi nie było tylko polityką wyczekiwania, aby wystąpić czynnie, gdy wszystkie strony się osłabią? My wstrzymujemy się od przepowiedni, powiedzieć nawet nie możem, czy obojętnie, czy z nadzieją, bo tyle razy zawiedzeni, zwracamy się zupełnie na siebie samych, chcąc korzystać w interesie własnym z położenia, pracując o ile można nad wewnętrznem odrodzeniem".

Artykuł ten, pisany w przededniu przyjęcia przez gabinet wiedeński interwencyi rosyjskiej na Węgrzech.

Niebawem wyruszyły armie rosyjskie różnemi drogami, jedne kolumny szły z Wołoszczyzny, drugie z Wołynia na Brody, z Królestwa na Tomaszów i na Michałowice. Cyfry tych armij, może przesadzone, oznaczano na 200.000 żołnierza. Dnia 5 maja o 5ej po południu ujrzeli mieszkańcy Krakowa wkraczającą przez rogatkę mogilską straż przednią

korpusu rosyjskiego, zostającego pod wodzą jenerała Rüdigera. Korpus ten liczył 17.000 żołnierza i 36 dział.

Przechód wojsk rosyjskich różnemi traktami przez Galicyę odbywał się bez nadużyć i scyssyj. Mgliste wspomnienia z lat dziecinnych przywodzą nam na pamięć te długie szeregi sołdatów w ciężkich szynelach z wyrazem znużenia i przygnębienia, śpiewających pieśni o dziwnie przykrej, smętnej, rozdzierającej nucie. Duch niewoli wiał z tych pieśni i z tych szeregów. Natomiast oficerowie, przeważnie owiani już duchem liberalizmu zachodniego, w zetknięciu z obywatelstwem i społecznością polską w Galicyi starali się zacierać odrażające wrażenie objawami szerokiej natury rosyjskiej. Podobnie jak później w Węgrzech, uprzejmością w obejściu starali się odróżnić od powszechnej podówczas gburowatości oficerów sprzymierzonej austryackiej armii, lubili szczerze, czy nieszczerze dawać zapewnienia, że niechętnie idą na pognębienie narodu węgierskiego, że dla Polaków mają uczucia pobratymcze i rozumieją dążenia do niepodległości. W czasie kampanii często powtarzały się objawy fraternizowania wojskowych rosyjskich z powstańcami węgierskimi i polskimi, a natomiast widoczna istniała niechęć między oficerami armij dwóch sprzymierzonych mocarstw. W dzienniku urzędowym lwowskim spotykamy ostre rozporządzenia przeciw tym, którzyby starali się namawiać wojskowych rosyjskich do dezercyi i szerzyli wśród nich idee buntu i rewolucyi.

Manifest cesarza Mikołaja, ogłaszający wyprawę węgierską, wśród powodów tej wyprawy okrom dawnych traktatów i umów z Austryą, wyraźnie naznacza, że jej głównym celem jest stłumienie ducha buntu, szerzącego się wśród narodów.

„Poruszenie — mówi manifest — nie jest teraz wyłącznie węgierskie, ale się stało właściwie polskiem. Służy za podstawę rokoszowi daleko obszerniejszemu, daleko wyżej sięgającemu, który dąży do zbuntowania wszystkich krajów dawnej Polski i do ponowienia dla nas wszystkich klęsk i okropności roku 1831. Ten nowy duch objawił się od chwili, kiedy obóz madiarski stał się zbiegowiskiem szczątków emigracyi polskiej, tych żołdaków anarchii, których widzimy

po wszystkich krajach, w służbie wszystkich buntów, w głębi wszystkich spisków mających za cel obalenie zasadniczych podstaw społeczności. Zamiary ich przeciwko nam nie są bynajmniej ukrywane, owszem jawnie się z niemi popisują. Zależą one na tem, ażeby przenieść teatr powstania do Galicyi, a przez odbicie i do naszych prowincyj polskich. Knowania ich już się w Galicyi i w Krakowie przyjęły.... Uprzedzając je, przyspieszając pomocą, którą daje sprzymierzonemu mocarstwu, ugaszenie pożaru grożącego rozszerzeniem się od Dunaju do Wisły, utrzymującego w fermentacyi wszystkie narodowości — Rosya nietylko używa niezaprzeczonego prawa, które jej nadaje interes własnej ochrony, ale mniema nadto jeszcze działać w interesie wszystkich mocarstw, w interesie pokoju utrzymania spokojności w społeczeństwie i równowagi europejskiej“.

Akt ten dyplomatyczny, rozesłany do wszystkich gabinetów, był szczerem wyznaniem uczuć, jakie kierowały władcą północy w wyprawie, która nie wzbudzała w opinii rosyjskiej zapału, a w Europie budziła postrach. W Rosyi do dziś dnia utrzymuje się przekonanie, którego wówczas nie śmiano głośno wypowiadać, że cesarz Mikołaj postąpił tu wbrew instynktowi narodowemu i interesom Rosyi. Ztąd też powstała owa anegdotka o monologu, jaki miał mieć cesarz Mikołaj, gdy stanął przed kamiennym posągiem Sobieskiego na moście parku łazienkowskiego.

Car Mikołaj przybył do Krakowa koleją żelazną z Warszawy 14 czerwca o 7-ej rano. Na dworcu oczekiwali: gubernator Galicyi hr. Gołuchowski, komenderujący austryacki jenerał Legedits, komenderujacy rosyjski jenerał hr. Rüdiger, prezes komisyi gubernialnej Ettmajer—z Rady administracyjnej i rady miejskiej nikt nie przybył. Muzyka wojskowa odegrała hymn „Boże cara chroń“ i *Gotte rhalte.*

Przed dworcem kolejowym dosiadł cesarz Mikołaj konia i otoczony świetnym sztabem, udał się wprost na Błonia, gdzie odbył przegląd wojska. Po rewii powrócił do miasta konno, zesiadł przed domem Kirchmajera w rynku, gdzie mu przygotowano kwaterę, ale po krótkiem śniadaniu już o godzinie 10-ej zrana opuścił Kraków wraz z W. Księ-

ciem Konstantym i księciem Paskiewiczem, namiestnikiem Królestwa, udając się wprost do obozu pod Duklą.

Widzimy z tej wiadomości, zapisanej w *Czasie*, że cesarz Mikołaj niczego w Krakowie nie zwiedzał, żadnych nie udzielał posłuchań. Spiesznym był przejazd z Krakowa na Tarnów do Dukli i nie zostawił żadnych śladów, żadnych wspomnień, okrom jednego. Zdarzyło się, że zmiana koni w pojazdach cesarskich wypadła w Jasienicy nieopodal Krosna. „Czyja to wieś?“ — zapytał Mikołaj. „Jenerała Józefa hr. Załuskiego“—odpowiedziano.

Na to nazwisko cesarz przypomniał sobie, że Załuski był niegdyś jego adjutantem w wojnie tureckiej, że doznawał jego względów i był następnie z jego ramienia mianowany kuratorem szkół dla wolnego miasta Krakowa, że wbrew tym wszystkim dowodom najwyższej łaski wziął udział czynny w powstaniu 1831 r.

— Wywieść go do cytadeli — zawołał gniewnie samodzierżca.

Rozkaz natychmiast wykonany został — i jenerał Załuski, choć poddany austryacki, porwany został z domu w nocy i wywieziony pod eskortą na Tarnów, Sandomierz do Warszawy — z takim pośpiechem, opowiadał nam żartobliwie, „jakby się tam bezemnie obejść nie mogło“.

Pierwszy to był jeniec, jakiego wziął cesarz Mikołaj w swej wyprawie, a dokonawszy tego czynu, udał się spiesznie z pod Dukli, nie zatrzymując się w Krakowie, z powrotem do Warszawy i Petersburga.

Rok cały trwało więzienie Załuskiego w cytadeli warszawskiej — i dopiero po ukończeniu kampanii węgierskiej, na jakieś przedstawienie dyplomatyczne gabinetu wiedeńskiego, odstawiono jenerała napowrót do granicy austryackiej.

Zdarzenie to dziwnej bezprawności charakteryzuje pojawienie się cesarza Mikołaja na widowni europejskiej. Jakiś duch ponury, złowrogi powiał przez świat. Wszystko przed nim ustępować musiało z drogi. Tam, gdzie zbyt hałaśliwa dotąd toczyła się wrzawa, teraz zapanowało milczenie. To milczenie zaznacza się i w dzienniku *Czas*.

Pierwszy wypadek konfiskaty dziennika nastąpił w maju za artykuł o wolności druku i pierwszy raz widzimy *Czas*

z kilkunastu wierszami wykreślonemi przez cenzora, a opuszczonemi w drugiem wydaniu. Znikają artykuły wstępne, które tak ważne dotąd zajmowały miejsce w tym organie i dozwoliły rozwinąć szereg poglądów i zasad politycznych, jakie dotąd były nieznane w prasie polskiej.

Miejsce artykułów rezonowanych zajmują teraz na czele dziennika rozporządzenia rządowe, tonem i stylem przypominające rosyjskie ukazy. Namiestnictwo przypomina w ostrych wyrazach właścicielom dóbr obowiązek utrzymywania i płacenia mandataryuszów, gdy rozszerzyło się błędne mniemanie, iż wobec zniesienia stosunków poddańczych władza patrymonialna dominium ustaje; to znów ogłaszane bywają listy gończe za politycznie skompromitowanymi, dekreta bannicyjne dla niektórych błąkających się jeszcze po kraju emigrantów. Idą dalej i ostrzejsze oznaki czasu — wyroki sądów wojennych, naprzemian spadające to na prostych przestępców, to na przestępców politycznych. Jednych oddają do rot aresztanckich, drugich do robót publicznych, to znów na Spielberg, jest i kilka wyroków śmierci, wykonanych doraźnie. Z powodu rozruchów w okolicy Chrzanowa i w Jaworznie, które słuszne wzbudziły zaniepokojenie, sądy doraźne Wojciecha Brzowskiego karą główną przez rozstrzelanie ukarało. Kilka procesów politycznych znów rozpoczęto, a między innymi Floryan Ziemiałkowski, poseł do parlamentu, wywieziony został ze Lwowa z dwoma towarzyszami do Grazu.

Usposobienie włościan po tak świeżych gwałtach 1846 r. otrzymujących nagle wolność i własność ziemi, budziło obawy społeczeństwa, a uwagę gubernatora hr. Gołuchowskiego, który też wydaje odezwę do włościan i okólnik do starostów z ostrzeżeniem przed rozsiewanemi błędnemi pogłoskami, jakoby ci, którzy pójdą na zarobek na łany dworskie, tem samem ściągali powrót przymusowej, pańszczyznianej robocizny. Okólnik gubernatora uspakajający wobec takich insynuacyj, a wzywający lud do pracy, odniósł skutek tem pewniej, że nieurodzaj i głód szerzący się w Galicyi od rzezi, a ciągnący się przez lat dziesięć, zmusza ludność wiejską do szukania zarobku.

Gdy tyfus głodowy szerzy się w kraju — wślad za pochodem wojsk rosyjskich idzie ich wierna towarzyszka—cholera azyatycka. Gwałtownie wybuchła ona w Warszawie i wyrwała tam kilka znanych postaci. Na cholerę umiera jenerał Sierawski, Karolina z Wodzickich Mycielska, autorka powieści *Wczoraj*, na Szląsku X. Karol Antoniewicz, gdy po misyach wśród ludu galicyjskiego w okolicach, gdzie rzeź i rabunki się szerzyły, poszedł nieść ratunek umierającym wśród zarazy.

Dział nekrologowy rozpoczyna się w *Czasie* od tych imion. Lucyan Siemieński pisze nekrolog Juliusza Słowackiego, zmarłego w Paryżu, i z Paryża opisują zgon wielkiego poety tonów, Chopina—tę śmierć najbardziej poetyczną owej idealistycznej epoki, gdy przy konającym śpiewa pani Delfina Potocka, a księżna Marcellina gra *Requiem* umierającemu.

Polityczny dział dziennika przepełniają w tym roku doniesienia z pola walki w Węgrzech i we Włoszech. Raporta z kampanii węgierskiej częściej powtarzane z dzienników warszawskich, niż wiedeńskich, bo mniej w raportach Rüdigera i Paskiewicza militarnej przechwałki, zniewagi i pogardy dla powstańców, niż w odezwach jenerała Weldena lub naczelnego wodza feldzeugmeistra Haynaua.

Car Mikołaj jak w manifeście wojennym, tak w odezwie do armii kładzie główny na to nacisk, że jak przed 18 laty w Polsce, tak teraz w Węgrzech idzie uśmierzyć ducha buntu, a kończy jędrną w swej grozie odezwę słowy: „Naprzód dzieci, za naszym warszawskim bohaterem po nową sławę. Bóg z nami!“

Gdy nienawiść Polaków tu głównym jest tonem — w odezwie austryackiego jenerała Weldena są słowa zniewagi: „Patrzcie żołnierze! kogo macie przed sobą, są to zawołani łotrzy; wyrzutki wszystkich narodów — błogosławiony kraj węgierski, teraz igrzyskiem przedajnych Polaków“.

Nie dziw, że po takich słowach, za zwycięstwem przyjdą czyny okrutne.

Poszło to już wszystko w niepamięć, ale w owej epoce duch panujący w armii i w biurokracyi austryackiej był tak butny, bezwzględny i wyzywający, że w opinii całej Europy wydawał się być więcej zawziętym wrogiem wszelkich na-

rodowych uczuć i dążeń do wolności, niż nawet ten srogi duch północy, który występował na widownię europejską, aby pokonać rewolucyę i przywrócić despotyzm.

W Galicyi i Krakowie od r. 1846 wiał ten prąd, który znalazł swój wyraz w *Liście szlachcica polskiego do księcia Metternicha.* Teraz rzucono kłamliwą pogłoskę, jakoby pewna koterya zbierała podpisy o zajęcie Krakowa przez wojska rosyjskie. *Czas*, zaprzeczając kategorycznie tej insynuacyi, wyraźnie zaznacza dążność wręcz temu prądowi przeciwną i rzuca jakby pierwsze przeczucia, że gdy się burza uśmierzy, dla społeczeństwa polskiego bezpieczniejszą przedstawia przystań monarchia składowych narodowości z dynastyą katolicką.

Na początku kampanii węgierskiej oprócz wspomnianych już układów hr. Tekelego z jenerałem Dembińskim w Wrocławiu, odbyła się w Paryżu w Hotelu Lambert narada wysłańców rządu węgierskiego z przywódcami emigracyi polskiej, a przedmiotem tej narady, której przewodniczył książę Adam Czartoryski, była ochrona praw narodowości nie-madyarskich w obrębie krajów korony św. Szczepana. Na nalegania Polaków Węgrzy dawali pod tym względem przyrzeczenia i rękojmie. W Krakowie patrzano na te rzeczy bliżej a więc jaśniej, a choć w tych warunkach wypowiadać nie było podobna całej myśli, w stanowisku *Czasu* wobec powstania węgierskiego tkwił ten zwrot, który zaznaczył przytoczony przez nas list Adama Potockiego po wzięciu Wiednia, ten zwrot, który w naradach Lipy słowiańskiej i w polityce grona posłów polskich na sejmie kromieryskim już się uwydatnił. Było to dążenie, aby zerwać z drogą spisków, rewolucyj i powstań, ale drogą legalną pracować nad przeistoczeniem monarchii despotyczno-niemieckiej w federalistyczny ustrój z równouprawnieniem narodowości. Oprócz grupy krakowskiej posłów, bo tak ich już nazywano, Potockiego, Lubomirskiego, Helcla — tę dążność federacyjno-słowiańską podzielał zacny przedstawiciel demokracyi polskiej, Franciszek Smolka, i jak w Wiedniu uśmierzał ducha rewolucyi swą zadziwiającą popularnością, tak obecnie odwodził i wstrzymywał młodzież od udziału w powstaniu węgierskiem.

Słowiańszczyznie rakuskiej brakło obecnie przywódcy. Ban Jellaczic doznał rozczarowania i usunięty został na drugi plan. Z federalistów niemieckich odznaczali się konsekwencyą i wiernością zasad Schuselka i Fischhof. Z Polaków najwierniej i najgorliwiej bronił tego sztandaru Jerzy Lubomirski, który po wstrząśnieniach parlamentarnych wracał do wewnętrznej równowagi, lecz z boleścią patrzał, gdy najbliżsi mu, jak Władysław Zamoyski, spieszyli do Węgier. „Walka ta — pisze *Czas* — w razie powodzenia, musiałaby się skończyć zupełną absorbcyą żywiołów nie-madyarskich, a nam pobratymczych“.

Nie może być naszem zadaniem iść za tokiem wypadków wojennych, które skrzętnie, lecz z musu nader oględnie zapisuje dziennik — chcieliśmy tylko zaznaczyć zasadnicze stanowisko *Czasu* i jego przyjaciół wobec krwawego dramatu

Niepodobna w dzienniku, wychodzącym pod ostrą cenzurą, znaleść opisów czynów bohaterskich i świetnych strategicznych obrotów polskich jenerałów i polskich żołnierzy za Karpatami. Z urzędowych bulletynów austryackich i rosyjskich dowiadujemy się tylko o stopniowym a nieuniknionym pogromie powstania, zakończonym kapitulacyą Görgeya w Villagos—i egzekucyą Ludwika Batthyanyego, prezesa rządu, wraz z dwunastoma jenerałami.

O śmierci Mieczysława Woronieckiego, o czynach Bema, Dembińskiego, o losach emigracyi polskiej — są tu zaledwie krótkie wzmianki.

Z Węgier nowa powstaje emigracya do Turcyi — niestety nie bez wypadków apostazyi religijnej, gdy jenerał Bem, tak znakomity wódz i zacny człowiek, chwyta według wyrażenia Zygmunta Krasińskiego za półksiężyc, jak za lont od armaty.

Równocześnie we francuskiem Zgromadzeniu Narodowem pojawiają się wnioski, aby wydalić polskich emigrantów do Ameryki i Australii. Dobrowolne wyprawy znacznie się zaczynają, powodowane nadmiarem emigracyi i wzmagającą się nędzą. Piszą o tem z Paryża do *Czasu* — zbierają się składki. W Paryżu atoli odradza się znów związek Centralizacyi Wersalskiej, a *Czas* występuje przeciw robotom jej wysłańców, przypominając straszne następstwa podobnej agi-

tacyi w r. 1846. „Coraz dalej idzie to rozproszenie — piszą do *Czasu* z Paryża — coraz nam ciemniej i coraz bardziej przeciw nam zewsząd wiatr się zwraca“.

W Austryi bardziej, niż gdziekolwiek. Rok mija od ogłoszenia oktrojowanej konstytucyi. Poszczególne patenta ogłoszono dla królestwa czeskiego i innych krajów — tylko o Galiyi milczenie. Daremnie *Czas* kilkakrotnie zaznacza to opóźnienie, w słowach i formie oględnej, aby była dozwolona.

W Prusiech parlamentaryzm funkcyonuje prawidłowo, ale tory mu wskazał sejm frankfurcki orzeczeniem liberałów niemieckich, że rozbiór Polski był faktem uprawnionym, a absorbcya Polaków jest rzeczą wskazaną. Tak niedawno jeszcze z Niemiec odzywały się przeciwnie sympatyczne o nas głosy, jak historyków Rotteka i słynnego Gervinusa.

„A skoro już mówię—pisze z Poznania Maurycy Mann— o Niemczech i Frankfurcie, muszę wspomnieć o broszurze niedawno wyszłej w Berlinie: *Die deutschen Hegemonen*, przez J. K. Odbija się ona niezwykłym blaskiem prawdy i talentu wśród gradu pism różnego rodzaju“. Broszurę przypisano Gervinusowi, redaktorowi *Gazety heidelberskiej,* w której autor broszury, nasz ziomek, świetne pisywał artykuły. Mann wytykając autorowi zbytek dowcipu, a zarazem gwałtowność wyrażeń, wróży mu wielką przyszłość i najwyższe w nim pokłada dla publicystyki polskiej nadzieje. I nie omylił się — wszak *Die deutschen Hegemonen* były, jak wiadomo, pierwszym głośnym występem Juliana Klaczki.

Delegacya polska w sejmie berlińskim posiadała wówczas pierwszorzędne siły i zastęp mężów niezwykłej miary, jak Gustaw Piotrowski, August Cieszkowski, Libelt, X. Janiszewski. Mann podaje piękny wizerunek tego dzielnego parlamentarzysty, a gorliwego kapłana i znakomitego kaznodziei. W listach Manna do *Czasu* jest oddźwięk walk parlamentarnych, jakie ci mężowie w Berlinie staczali i jest obraz życia społecznego i umysłowego w Wielkopolsce, która podówczas przodowała w ruchu literackim, naukowym i filozoficznym.

Czas bacznie śledzi sprawy europejskie, dostrzega pierwszego zawiązku bardzo zawikłanej i przez długie lata ma-

jącej się ciągnąć sprawy szlezwicko-holsztyńskiej. Tu redakcyjną zapiszemy anegdotę. Antecedencye tego sporu o spuściznę po księciu Lauenburskim wymagały specyalnych studyów—i gdy w lat 27 później miały one dać powód do wyprawy niemiecko-austryackiej do Danii, zdarzyło się, że nie było w Paryżu dyplomaty lub publicysty, którvby znał początki i przebieg tego sporu. Bawiący podówczas w Paryżu Leon Rzewuski zakłopotanym dyplomatom tuileryjskim przyrzekł, że dostarczy tych szczegółów, bo znajomy dziennikarz w Krakowie pamięta tę sprawę na palcach. Jakoż nie omylił się; na jego żądanie Aleksander Szukiewicz przesłał na jego ręce cały memoryał o historycznym przebiegu tego sporu, a memoryał ten służył za informacyę dla ministra Thouvenela i samego cesarza Napoleona III.

Podobnie widzimy już wówczas baczną uwagę zwróconą na kwestyę Dobrudży, oraz na sprawę miejsc świętych, które za kilka lat dostarczą wątku do zawikłań kwestyi wschodniej i wojny krymskiej.

W poglądach na stosunki francuskie—*Czas* przewiduje bliski koniec republiki i pyta kto wypłynie: czy następca św. Ludwika, czy powrót monarchii lipcowej, czy też bratanek wielkiego Napoleona z prezydentury nie przejdzie niebawem do dyktatury i cesarstwa?

Kwestya rzymska najgoręcej zajmuje uwagę Pawła Popiela. Papież wraca pod osłoną bagnetów francuskich - i marszałek Oudinot toruje mu powrót z wygnania. Pius IX ogłasza amnestyę—ale do rozpoczętych reform powrócić w tych warunkach nie może. „Republika francuska spełniła swój obowiązek wobec głowy Kościoła, lecz spełniła go tylko materyalnie. Okkupacya obca jest przegrodą między papieżem-królem a ludem rzymskim. Papiestwo osłaniało tyle wieków niepodległość Włoch od obcych najazdów. Restauracya 1815 r. pozostawiła pierwiastek rozkładowy, podobnie i dzisiejsza. Papiestwo stanowi najstarszą monarchię europejską prawowitą i zapuściło głęboko korzenie w tradycyach Italii i Romy. Obce wpływy i intrygi wytworzyły zaród, z którego wcześniej czy później wyniknie znów kwestya władzy doczesnej, gdy tego będzie potrzebowała dyplomacya europejska". Artykuły te, których główne streszczamy myśli, stanowią świetne stu-

dyum prawno-historyczne o prawach monarchicznych papiestwa.

Ze spraw wewnętrznych, krajowych, społecznych, żadna nie pominięta.

Nowy system szkolny ministra oświaty, hr. Lwa Thuna, poddany gruntownej, specyalnej krytyce. Pojawia się szereg głosów z kraju o nowych warunkach gospodarstwa rolnego po zniesieniu stosunków pańszczyznianych. W kwestyi ruskiej naznaczone stanowisko, pełne uznania dla przeszłości, wyrozumiałości na przyszłość.

O kwestyi żydowskiej cała długa dyskusya, która dziś może nie będzie obojętną. Chodziło o to, czy dopuścić Żydów w obręb miasta Krakowa, czy zatrzymać ich, jak dotąd, na Kazimierzu.

„Żydów — pisze Paweł Popiel — kochamy jako bliźnich, szanujemy indywidualnie, o ile który na szacunek zasługuje, znamy ich zalety i ich wady. Ktokolwiek zna religię żydowską, wie bardzo dobrze, iż to nie jest tylko ustawa duchowna, ale essencyonalnie także polityczna. Taką wyszła z rąk Mojżesza, taką być musiała do spełnienia wysokich celów Opatrzności, taką została zachowana, raczej zwichniona, przez szkoły rabinów w dwutysiącoletniem rozproszeniu. Żydzi mniemają się dziś, jak byli, ludem wybranym, wyższym moralnie od drugich; dla nich inne narody to poganie, nie godni, aby się z nimi łączyć, nietylko w życiu, ale w pożyciu, nie godni nawet owego obcowania materyalnego, które tajemniczo ludzi łączy we wspólnem pożywaniu".

„Jest tak, albo nie? Tak jest, a kędy tak nie jest, tam już niema Żydów; niech przeto starozakonni na dumę i nietolerancyę chrześcian skarżyć się przestaną; nie oni przez 20 wieków byli z prawa wyjęci, oni raczej inne wykluczali narody i tak czynią po dziś dzień, z nieograniczoną pogardą, jako wybrani na nie poglądając — raczej największą nędzę cierpią, aniżeli się chwycą zarobku, coby ich godności niby ubliżał"....

Na poglądy Popiela znalazła się zaraz odpowiedź i obrona w duchu usunięcia wszelkich zapor — do dyskusyi wmięszał się Hilary Meciszewski, stawiając myśl żądania osobnego statutu dla miasta Krakowa. Ostatecznie liberalizm

zwyciężył i Żydzi z Kazimierza wdarli się do śródmieścia w Krakowie.

Wojna we Włoszech i Węgrzech skończona zwycięzko, lecz do powrotu w normalną kolej konstytucyjną nie spieszno. Liberalny i opozycyjny dziennik *Presse* zawieszony. W Pradze podnosi głos Palacki w *Listach narodnych* ze świetnym wywodem historycznym o ustroju Austryi i przyszłości federacyjnej.

W Galicyi ciszę przerywa *Czas*. On jeden został na wyłomie z kilkunastu dzienników, które przed rokiem tak gwarne wiodły rozhowory. *Czas* tego monopolu nie chce nadużywać.

„Nie stawiamy się ani względem władzy, ani względem publiczności, jako zupełny objaw opinii, albo potrzeb kraju — wszelako, gdyśmy w trudnych warunkach ostali się sami, opinia kraju w nas przychodzi do słowa, objawia życzenia, zwalcza przeciwne dążności, zkądkolwiekby przychodziły".

Artykuł *Czasu* zwraca się do rządu *sine ira et studio*. „Fałszywe to mniemanie, iż we wszystkiem rozbrat między nami i władzą. Nie chce władza anarchii politycznej, ani my. Pragnie moralnej podstawy, wyższej harmonii? I my równie silnie. Chce panowania prawa, uszanowania hierarchicznego porządku? Zgoda. My pragniemy uszanowania naszej narodowości, języka, pamiątek..... Gdzież przeto ten konieczny we wszystkiem antagonizm, kiedy wspólny ratowania zasad społecznych interes łączyć nas powinien. Przeczyć dla przeczenia, ubolewać dla drażnienia już dość rozbolałych serc i umysłów—to nas nie nęci. Nie znamy niebezpieczniejszego, bardziej upokarzającego położenia, jak kiedy się utwierdzi w kraju mniemanie, iż nawet najsłuszniejsze zdanie przez władze uwzględnionem nie zostanie, iż nie kraju istotne dobro, lecz jakieś polityczne cele ma ona na widoku, że organa władzy niczem poruszyć się nie dadzą"....

Słowa te do rządu w chwili, gdy nikt nie podnosił głosu, miały o tyle podstawę, że na czele władzy krajowej stał Polak, hr. Gołuchowski, a w ministeryum Schwarzenberg-Bach, o reakcyjno-centralistycznym kierunku — zasiadł

mąż wyższych poglądów i zasad, hr. Lew Thun z teką wyznań i oświecenia. Stanowczy katolik przygotowywał konkordat ze Stolicą św., w reformach szkolnych wprowadzał wiele zdrowych myśli i dążeń, w gruncie federalista. On jeden w ministeryum nie był nieprzyjacielem Polaków.

Głos *Czasu*, uśmierzający opinię rozbolałą a zwracający się śmiało do władzy, odzywał się teraz częściej. Powróciły znów artykuły wstępne, pełne treści i głębi. Pierwszy anniwersarz założenia dziennika Lucyan Siemieński naznacza w *Dodatku literackim*, który zaczyna wychodzić tygodniowo.

Ludwik Dębicki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Budżet i kredyt publiczny.

(Ciąg dalszy).

III.

Formalne i prawne wymogi co do budżetu, omówione w drugiej części tej pracy, nie wyczerpują bynajmniej kwestyi, nie zdołają jeszcze poręczyć dobrej polityki finansowej. I najlepiej bowiem ułożony budżet, zatwierdzony zgodnie przez wszystkie konstytucyjnie wskazane czynniki, nie poręcza jeszcze bynajmniej, że wielkość i kierunek wydatków odpowiada potrzebom społeczeństwa, że ich pokrycie jest racyonalnem. A jedno i drugie jest bardzo ważnem; to dopiero probierzem dobroci polityki finansowej, i jedynie słuszne rozwiązanie zagadnień finansowych, tak w obrębie dochodów, jak wydatków skarbu, staje się warunkiem, czynnikiem i dźwignią wszechstronnego postępu społeczeństwa.

A jeżeli w każdej dobie historycznego rozwoju ważnem było, aby dwa te zagadnienia, racyonalny zakres wydatków i słuszny system pokrycia, były należycie rozwiązane, to tem więcej obecnie staje się to koniecznem, gdy tak różnorodne i różnowarte przyczyny, gwałtowny wzrost wydatków powodują, a szybkość i rozmiar tego wzrostu — jak to zaznaczonem wyżej — wytwarzają niebezpieczeństwo tak absolutnie za wielkich wydatków jak anarchii w wzroście wydatków i anarchii w środkach pokrycia. Słusznem jest przeto, aby nauka, omawiając budżet, przypomniała zasady, których przy czynieniu i podnoszeniu wydatków trzymać się należy,

aby dalej przypomniała naczelne zasady teoryi pokrycia i zaznaczywszy istotę kredytu, zarazem wskazała słuszne granice jego —użycia a rzeczą polityków pamiętać przy uchwałach swoich, o tych wynikach nauki, podług nich badać budżet, i tylko w ramach tych wyników dawać swe przyzwolenie. A im więcej demokratyzuje się życie publiczne, im więcej mniej wykształcone warstwy biorą bezpośredni udział w finansowem gospodarstwie społeczeństwa przez zasiadanie w parlamencie, sejmie, radach powiatowych, miejskich, tem więcej wzrasta niebezpieczeństwo materyalnie wadliwej polityki finansowej, ale tem więcej także wzrasta i obowiązek popularyzowania nauki skarbowej, jako środka prewencyi i reakcyi przeciw niebezpieczeństwom wywołanym nieświadomością finansową; skuteczna popularyzacya uchyliłaby niebezpieczeństwo nie tylko przez złą wiedzę, ale tak samo i przez złą wiarę i wolę wbrew lepszej wiedzy wywołane, bo polityka nieracyonalnych obiecanek, czy spekulacyjnych projektów, może tylko w kołach nieświadomych wyborców zyskiwać uznanie i mandat. Ztąd też rozszerzanie znajomości teoryi skarbowej, staje się czynem wielkiej praktycznej i politycznej doniosłości bo tylko ona uzdalnia do uzasadnionej krytyki tak przedłożonego budżetu, jak całej polityki finansowej danego państwa, której przedłożony budżet jest częściowym wyrazem. A krytyka taka ma ważne zadanie; utwierdzić winna ona i poprzeć rozumną politykę finansową, przeszkodzić jej zboczeniom. Szczegółowo co do wydatków, które nas zajmą z kolei, winna krytyka ocenić budżet tak co do wysokości, jak wzrostu, kierunku i zakresu wydatków, winna zbadać ich absolutne i relatywne uprawnienie, ich stosunek merytoryczny i terrytoryalny, uzasadnienie i celu, na który mają służyć, i sposobu ich czynienia. W historyi finansowej przykłady wadliwej polityki, niedostatecznej krytyki tych punktów, możnaby wykazywać w liczbie bardzo wielkiej, troską przeto społeczeństw być winno, aby historya ich przyszłości wolną była od podobnych błędów i zboczeń. Popularyzowanie nauki skarbowej jest jednym z środków do tego, i ono tem więcej staje się koniecznem, im więcej radykalna agitacya wmawia w tłumy wyborcze świadomy fałsz o równości politycznego i skarbowego uzdol-

nienia i świadomości wszystkich ludzi, przez to rozwija nieuprawnioną zarozumiałość i pewność siebie ignorantów, wykorzenia poczucie potrzeby uczenia się, starania się o zdobycie odpowiednich kwalifikacyj.

Krytyczna ta ocena budżetu nie jest rzeczą łatwą. Widzieliśmy wyżej, jak różne i jak liczne przyczyny, z cechą mniej lub więcej trwałą i ogólną, z charakterem mniej lub więcej uprawnionym, złożyły się na fakt ciągłości wzrostu wydatków i jego stopień, a tak charakter działających przyczyn i wpływów, jak szybkość wzrostu, muszą z góry budzić wątpliwość, czy ten wzrost został dokonanym podług świadomego finansowego i politycznego programu, czy czyniąc tyle, zrobiono istotnie to, co przedewszystkiem uczynić należało, bez robienia luk i skoków w zaspakajaniu potrzeb publicznych.

Ścisłą i wyczerpującą odpowiedź na to pytanie dać zdoła tylko bardzo dokładny i wnikający w szczegóły rozbiór szeregu następujących po sobie budżetów danego gospodarstwa publicznego, jednej gminy, kraju, czy państwa, a praca taka jest zadaniem specyalnej monografii. I w takiej monografii jednak, a tem więcej w pracy, jak niniejsza, mającej podać szereg uwag zasadniczych ogólnych, chcąc dać słuszną ocenę wydatków, nie można ograniczyć się do dziedziny ściśle finansowej, owszem przekroczyć trzeba te ramy, należy wstąpić na terren dyskusyi politycznej, rozważyć, jakie zadania wogóle dla działalności publicznej uznać należy, jakie dla niej pociągnąć granice. Wydatki publiczne bowiem są tylko wyrazem, warunkiem i skutkiem działania państwa, czy innych publicznych związków przymusowych; one wzrastają przez rozszerzenie działalności publicznej, a sam fakt kosztu spowodowanego utrzymaniem, czy rozszerzeniem tej działalności — n. p. nowe uzbrojenie, melioracye — nie jest bynajmniej stanowczo rozstrzygającym; tu w pierwszej linii rozstrzyga wzgląd na zadania publiczne.

Oznaczeniem zadań publicznych, wskazaniem celów, które zorganizowane społeczeństwo osiągnąć winno, oraz wskazaniem środków i dróg wiodących do ich osiągnięcia zajmuje się umiejętność polityki. W grupie umiejętności politycznych, których wspólnem zadaniem jest zbadanie i przedstawienie państwa we wszystkich objawach jego życia, a z któ-

rych jedne badają istotę państwa i jego podstawowe zasady, (ogólna nauka o państwie) drugie badają istniejące stosunki, prawne i faktyczne, przedstawiają państwo dane jakiem ono jest (historya i statystyka państwa, prawo polityczne i międzynarodowe), trzecie wreszcie badają życie i działanie państwa, jakiem jest i jakiem być winno (polityka, nauka administracyi w szerokiem pojęciu); w szerokiej tej grupie umiejętności zajmuje polityka miejsce wytyczne i bardzo wybitne; ona ma rozważyć zadania i cele państwa, a przez to zawiera krytykę istniejących stosunków i instytucyj, staje się dyrektywą dla postulatów i dla reform, tak co do *organizacyi* władz państwowych, jak zakresu i sposobu ich *działania* [1]).

W literaturze politycznej nie brak głosów odmiennie oceniających zadanie polityki, nieuznających jej uprawnienia i zdolności do stawiania celów dla działania, tylko chcących ją ograniczyć do umiejętnego badania przeszłości, do rozpatrzenia, jakiemi były działania, jakie one skutki przyniosły,

---

[1]) Z olbrzymiej literatury politycznej, pomijając dawniejsze dzieła (Bluntschli, Mohl, Dahlmann, Escher, R. Gneist, L. v. Stein, zwracam uwagę na następujące: Fr. Holtzendorff: *Prinzipien der Politik*, Berlin 1879. Treitschke: *Politik*, Lipsk, 1897. A. Wagner: *Der Staat volkswirtsch betrachtet*, w *Grundleg. der Pol. Oek.* t. I, 870—924, tegoż *Finanzwissenschaft*, I, i artykuł *Staat* w I. *Suppl. Hndw. d. St.* W. Schäffle'go dzieła i rozprawy, szczególnie: *Ueber den wissenschaftl. Begriff der Politik.* Benoist: *La Politique.* G. Bergeret: *Principes de Politique.* Laboulaye: *L'Etat et ses limites.* Laveleye j. w. Leroy-Beaulieu: *Państwo nowożytne i jego funkcye*, oraz jego artykuł *Etat* w *Dictionnaire d'Econ. Polit.* Dupont-White: *L'Individu et l'Etat.* Villey: *Role de l'Etat dans l'ordre écon.* Jourdan: *Role de l'Etat.* Oba te dzieła nagrodzone przez Instytut. Mill: j. w., dalej: *On liberty, Principles of Pol. Econ.* V, ch. I, VIII—XI. Sidgwick j. w., oraz *Principles of Pol. Economy*, b. III. Stanley Jevons: *The State in relation to labour.* D. G. Rietchie: *Principles of State Interference.* H. Spencer: *Jednostka wobec państwa.* Fr. Kasparek: *Prawo polit. ogólne.* Kraków, 1877, t. I. Tegoż: *Podręcznik prawa politycznego.* Kraków, 1888. Tegoż: *Nauka administracyi.* Kraków 1897. Okolski: *Wykład prawa administracyjnego.* Czerkawski: *Zadania państwa*, w warsz. *Ateneum* r. 1895.

czy i jakie ujawniają się prawa rozwoju: ale to niedostateczne i za szczupłe granice dla umiejętności polityki. Państwo ma działać, działanie każde wywoływa i zmierza do wywołania pewnych skutków, a więc żądać trzeba przy każdem działaniu jasnego zdania sprawy sobie z tego, osiągnięcie jakich celów, wywołanie jakich skutków jest zamierzonem, oraz czy użyte środki są zdolne dane skutki wywołać, istotnie zbliżyć do osiągnięcia zamierzonego celu. Bez tej podwójnej świadomości odbywa się działanie na oślep, dobry skutek jest tylko przypadkiem; zgubny fatalizm, bezmyślne poddanie się losowi, rządzi życiem państwa. Istnieją niewątpliwie dla umiejętności polityki i te zagadnienia z naukowego badania przeszłości wysnute, aczkolwiek dla przestrogi hyperzwolenników indukcyi, potępiających dedukcyę, warto przypomnieć słowa wielkiego badacza przyrody, że kto nie wie czego szuka, ten nic nie znajdzie; ale istnieją dla umiejętności polityki nie tylko te historyczne i historyozoficzne zagadnienia, lecz także zagadnienia z istoty państwa i potrzeb ludzi żyjących w społeczeństwie wysnute, a na to nam sama historya, samo zbadanie, co było, co zrobiono, jak i z jakim skutkiem zrobiono, nie da odpowiedzi. Zbadanie przeszłości jest bardzo cenną, konieczną nauką dla polityki, ale ono samo nie wystarcza dla rozwiązania zagadnień przyszłości, nie pouczy stanowczo, w jakim kierunku i rozmiarze historyczny zakres działania państwa ograniczyć, czy rozszerzyć można, lub potrzeba, jakich środków i dróg użyć, aby podołać skutecznie nowym zadaniom. I jeżeli błędem jest historycznym sądzić przeszłość podług stosunków i idei teraźniejszych, to równie byłoby i anachronizmem i błędem politycznym, chcieć podług zasad i stosunków przeszłości układać programy akcyi na przyszłość.

Jak w literaturze, tak i w życiu, o czem w końcu pierwszej części wspomniano, niema zgody co do pojęcia polityki, a najbardziej zgubnemi w tej rozterce poglądów, obok zupełnej nieświadomości politycznej, dziś tak bujnie rozrosłej, są owe nieuzasadnione a nieustanne reminiscencye macchiawellizmu, zgubne pojęcie, jakoby to była sztuka szarlatanów, gdzie milknie uczciwość i ginie cnota, giną zasady, sztuka życia z dnia na dzień, dochodzenia manowcami do zamie-

rzonych celów. Pogląd to demoralizujący i dezorganizujący, mszczący się dotkliwie i niebawem na politycznych stosunkach. Taka polityka może mieć chwilowe sukcesa, ale to Pyrrhusowe zwycięztwa, po których rozstrój i klęski nastąpią niechybnie. Tylko złe cele złych środków wymagają; dobry cel nie uświęca złych środków, on ich nie potrzebuje, one mu szkodzą, bo dyskredytują w opinii, obniżają moralność publiczną. Bezprawie i niemoralność środków, to zdaniem Schäfflego źródła słabości i rozstroju, które przeto polityka unikać i potępić powinna, i pisze on dalej: *Für an sich gesunde, auf nachhaltigen Erfolg gerichtete Politik ist Macchiavellismus (Rechtsbruch, Unmoral) nicht blos ein Verbrechen, sondern eine Thorheit*, a wiadomo, że Talleyrand z znanym swym cynizmem powiedział, że w polityce *folie est plus qu'un crime*, głupstwo jest gorszem, niż zbrodnia.

Ani więc tak szczupłe, jak sądzono nieraz w literaturze, przeceniając doniosłość wyników historycznych, ani tak niskie, jak nieraz mówiono w życiu, małe „sztuczki“ za wielki rozum uważając, jest zadanie polityki, zarówno jako umiejętności, jak jako sztuki, t. j. przy praktycznem rozwiązywaniu zagadnień politycznych w czynnem życiu. Pisał niegdyś Arystoteles w swej wiekopomnej *Polityce*, że prawdziwy mąż stanu ma być *znawcą tego, co jest, twórcą tego, co być powinno*, a w tem określeniu mieści się istotnie definicya zadania tak dla teoretycznej, jak dla praktycznej polityki. Niemożebnem jest skuteczne działanie bez świadomości tego co jest, zalet i wad, zasobów i niedostatków istniejącego stanu, ujawniających się tendencyj przemiany, bez znajomości ludzi, ich kwalifikacyj, dążeń, potrzeb, wyobrażeń; poznanie tego da dopiero informacyę, tak co do sił, które w akcyi użyć będzie można, względnie z których oporem czy ociężałością liczyć się wypadnie, jak co do zadań najbliższych, t. j. tego co w danych warunkach przedewszystkiem zrobić można i potrzeba, i dlatego historya i statystyka mają znaczenie nieodzownych nauk pomocniczych dla polityki. Polityka jako umiejętność winna sformułować jasno najwyższe cele i zadania akcyi politycznej, winna wskazać środki i drogi wiodące stopniowo do ich praktycznej realizacyi, warunki ich skuteczności; rzeczą praktycznej polityki stopniowo przepro-

wadzać te zadania, skupić i owładnąć potrzebne na to siły, etapami prowadzić społeczeństwo na drodze wiodącej do uznanego celu. A w akcyi tej równie potępienia godną jest opieszałość, jak gorączka nowatorska, z których pierwsza zaniedba działania w odpowiedniej chwili, zapomina o obowiązku dodatniej prewencyi w polityce, którą niegdyś przecie nazywano słusznie *civilis providentia*, druga naiwnie przecenia doniosłość własnych projektów a wadliwość tego co było i jest, z naiwnym radykalizmem sądzi surowo przeszłość i teraźniejszość, gotowa ztąd wszystko zmienić z gruntu, każdą zmianę za postęp uważać[1]). To też pomnąc zawsze o zadaniach polityki, należy w praktycznem działaniu przy każdem zagadnieniu rozważyć kwestyę stosowności, tak pod względem zasady, jak sposobu i czasu przeprowadzenia. Mianowicie więc zbadać należy, czy dany projekt — n. p. zmiany ustroju gminnego, prawa wyborczego, czy też przymusowych spółek melioracyjnych — odpowiada pod względem zasadniczym tak zadaniom państwa, jak uznanym prawom obywateli, czy jest dość sił do jego przeprowadzenia i wykonania, czy zalecony środek jest skutecznym dla danego celu, czy nie wywoła pośrednio skutków zgubnych, czy wreszcie chwila jest odpowiednią do podjęcia tej akcyi. Zasadniczo też domagać się trzeba zgodności całej akcyi i środków jej przeprowadzenia nietylko z zasadą celowości, lecz również z zasadami moralności i zasadami prawa, z zasadą poszanowania praw nabytych i uznanych form prawnych, gdyż każde ich naruszenie osłabia poczucie, podkopać może porządek prawny, sprzeciwia się więc zasadzie celowości politycznej.

---

[1]) Bardzo charakterystyczną pod tym względem uwagę słyszałem niegdyś w Anglii. Przewodniczący Izby gmin ubiera się dotąd w perukę i tłómaczył mi to Anglik: „Widzisz pan, my uchylamy lub zmieniamy tylko to, co szkodzi interesom Anglii, podczas kiedy radykalny duch nowatorstwa na kontynencie uchyla wszystko, wypowiada wojnę wszystkiemu, co nie zdoła racyonalnie swej korzyści publicznej udowodnić od razu“. Rozumne to bardzo stanowisko, bez czego radykalizm uchylać zdoła i instytucye, które może chwilowo tylko bezkorzystnemi się zdają, a których brak da się nieraz później uczuć dotkliwie.

Mając sformułować cele państwa, oraz wskazać drogi wiodące do celów, przekracza polityka w rozumowaniach swych ściśle ramy z jej nazwy wynikające t. j. nauki o *działaniu państwa*, objąć bowiem musi zagadnienie, które cele społeczeństwa polityczna organizacya społeczeństwa, t. j. państwo, ma uznać za swoje i swemi środkami przeprowadzać, a których osiąganie pozostawić należy swobodnej akcyi i trosce społeczeństwa, akcyi i trosce jednostek i ich związków dobrowolnych. Twierdzenie, że wszystko, co przedstawia interes społeczeństwa, jest jego celem, może lub powinno być ujęte w zakres celów i działania państwa, jest stanowczo za szerokiem, jest błędnem. Dobre wychowanie wszystkich dzieci w społeczeństwie, uchronienie ich od złych przykładów i wpływów, zaszczepienie w młodych sercach trwałych zasad moralności, pracowitości, posłuszeństwa prawom boskim i ludzkim, zahartowanie wreszcie fizyczne, jest niewątpliwie ogólnie pożądanem, jest prawdziwym interesem i celem społeczeństwa, a jednak nie przyznamy państwu ani gminie prawa, aby wszystkie dzieci matkom zabierały i wychowywały w zakładach publicznych, przez urzędników, czy urzędniczki i to w myśl zasad uchwalonych przez chwilową większość parlamentu! Były głosy żądające tego, ale niewątpliwie to projekta potworne, akcya państwa, tak daleko iść nie powinna.

Samo przeto skonstatowanie, że jakaś sprawa jest ogólnie doniosłą, a pomyślne jej rozwiązanie jest interesem i celem społeczeństwa, nie starczy bynajmniej na uzasadnienie oddania jej w ręce państwa i przez to nabiera — w ścisłem znaczeniu przedwstępna — kwestya oznaczenia granicy słusznego zakresu działania państwa, dominującego znaczenia. Państwo czy jednostka, przymus czy wolność, oto hasła i nazwy sporu i walki wynikłych o te granice.

Spór ten toczy się od wieków, on główną treścią dziejów wewnętrznych każdego państwa; spór ten trwa i dziś jeszcze i dziś ponownie z większem występuje zaognieniem. Odnosił on się zarówno do celów, jak do środków, i dziś przedstawia tę samą rozciągłość.

Zmieniał się pogląd co do celów; różne epoki wysuwały jedno, lub drugie zadanie na pierwszy plan, pomijały

niejeden cel, dziś za bezwzględnie należący do państwa uznany: tak n. p. oświata dopiero w państwie nowożytnem uznaną została za cel państwa, przez długie wieki niepaństwo nie działało w tej sprawie[1]. I dziś niema zgody zupełnej co do celów państwa; na to jest zgoda powszechna, że *bezpieczeństwo* kraju na zewnątrz i wewnątrz, bezpieczeństwo życia, mienia i czci jest celem państwa, zapewnienie tego bezpieczeństwa jego elementarnym obowiązkiem. *Oświata* zyskała już także uznanie; natomiast pomimo odmiennej praktyki państw nie braknie dotąd opozycyi przeciw uznaniu materyalnego *dobrobytu* społeczeństwa, społecznego pokoju przez *pieczę o dolę słabszych* warstw, wytworzenia dla wszystkich ludzi w kraju istotnie ludzkich warunków bytu, za cel działalności państwowej. Cztery te cele uznać należy i działalność państwowa winna być skierowaną świadomie do ich osiągnięcia.

Tu znów jednak powstaje nowy spór o środki mające prowadzić do celu, tak co do ich stosowności, jak przedewszystkiem co do ich uprawnienia, co do przymusowego lub fakultatywnego ich charakteru, a więc n. p. uznając już oświatę za cel państwa, powstaje pytanie, czy państwo ma tylko założyć szkoły ludowe, czy też ma zaprowadzić przymus szkolny, czy też nawet zmonopolizować szkolnictwo, znieść naukę i szkoły prywatne.

---

[1]) Fr. Kasparek: *Nauka administracyi* str. 26. „Obecem było państwu średniowiecznemu staranie o duchowy i materyalny rozwój poddanych przez zarządzenia pozytywne. Ta strona życia była albo całkiem zaniedbaną, albo popierały ją inne związki. Przedewszystkiem *Kościół* całą idealną stronę życia ludzkiego wziął w opiekę. Co się tylko odnosiło do nauki, wychowania, poparcia umysłowego, sztuki — wszystko to otaczał Kościół swoją troskliwością, troszczył się nawet o zaspokojenie potrzeb materyalnych i w tym celu staranność o ubogich i chorych wyłącznie Kościoła była udziałem. Każda dyecezya nowa, każdy nowy klasztor, stawały się siedliskiem oświaty, pionierem cywilizacyi materyalnej i duchowej. Ztąd wyrodziło się nawet mniemanie, że państwo jest tylko zewnętrznym zakładem przymusowym, pozbawionym cechy etycznej".

W dużo wyższym stopniu, niż w dziedzinie bezpieczeństwa i oświaty, wre walka o granice zakresu działalności państwa i użycie właściwych środków akcyi państwowej w dziedzinie gospodarczej i społecznej. Powstające państwo nowożytne, tworząc wojska stałe i biurokracyę, potrzebując dla nich coraz większych dochodów skarbowych, doszło na tej drodze do uznania pieczy o gospodarstwo społeczne, jako źródła zasobności skarbu, za bardzo ważne zadanie. Chcąc wzbogacić społeczeństwo, bierze państwo na siebie inicyatywę i dyrektywę, tak co do produkcyi, obrotu, jak konsumpcyi, ujmuje całe życie gospodarcze w karby ścisłych przepisów, taryf cłowych, na dowóz czy wywóz; z góry przepisany porządek, a nie zasada wolności gospodarczej, jest cechą tych rządów, znanych pod nazwą merkantylizmu System ten przyniósł w swym czasie rezultaty poważne, dodatnie, zwłaszcza w Francyi, Anglii, Prusiech, wzbogacił kraj, dźwignął miasta, uchylił nadmierną przewagę ekonomiczną i polityczną jednej tylko warstwy społecznej. Mieścił on jednak w sobie zarodki upadku, a pomijając tu różne ściśle gospodarcze uwagi, należy podnieść, jako wadliwą jego cechę: optymizm w ocenie rządu, pessymizm w ocenie społeczeństwa. Podstawową jego hipotezą, która stopniowo coraz dalszą, coraz mniej umotywowaną i coraz mniej znośną ingerencyę państwową powodowała, było zdanie o braku świadomości u poddanych, co i jak robić trzeba, owa teza *vom beschränkten Unterthanen-Verstande*, a ponieważ na wytwórczości tych poddanych zależało państwu, przedewszystkiem, aby mogli płacić wiele podatków, ztąd, jak czytamy u niemieckich kameralistów przeszłego wieku, podobnie jak gospodarz dbać musi o krowę, dobrze uregulować jej paszę, aby trwale dużo mleka dawała, tak i państwo troszczyć się systematycznie winno o produktywność gospodarstwa społecznego; ponieważ zaś państwo wie lepiej, niż poddani, co i jak robić trzeba, którą gałęź produkcyi przedewszystkiem rozwijać warto, ztąd przyszło do ujęcia gospodarstwa społecznego, zwłaszcza całej produkcyi przemysłowej, jako dającej największe szanse pomnożenia pieniężnej zasobności kraju przez korzystny eksport, w ramy ścisłych rządowych przepisów, nakazów i zakazów. Państwo poszło tu zadaleko,

wywołało też z czasem konieczność radykalnej zmiany tego systemu.

Jako antyteza merkantylizmu wystąpił w drugiej połowie przeszłego wieku i prawie sto lat panował w życiu liberalizm ekonomiczny. Więzy regulaminów gniotły gospodarstwo społeczne, a więc radykalne podniesiono hasło: precz z więzami. Hipotezie o wyższej świadomości politycznej i ekonomicznej rządu przeciwstawiono hipotezę o zupełnej równości ludzi, równej ich świadomości i energii, przeciwstawiono twierdzenie optymistyczne, że każdy sam najlepiej wie, co i jak ma robić, twierdzenie, że rząd zawsze i wszędzie gorzej i drożej gospodaruje, niż prywatni, więcej przeszkodzić zdoła, niż pomoże, że wydatki państwowe, to nieproduktywna konsumpcya, którą możliwie najdalej trzeba ograniczyć, a ztąd wyprowadzono postulaty, aby rząd działał jak najmniej, aby państwo zadowolniło się funkcyą produkcyi bezpieczeństwa, a zresztą zostawiło społeczeństwu zupełną wolność w myśl znanej zasady: *laissez passer, laissez faire.* Pessymizm co do rządu, optymizm co do ludzi, to znów charakterystyka epoki liberalizmu.

I ta epoka i ten system polityki ekonomicznej i społecznej przeżyły się. Sama zasada wolności nie okazała się środkiem skutecznym dla stopniowej a pomyślnej realizacyi celu dobrobytu i pokoju społecznego. Zasadniczy indywidualizm teoryi wystąpił w życiu, jako bezwzględny brutalny egoizm; brak pieczy i brak kontroli publicznej dozwolił na niekorzystną przemianę stosunków zamożności w społeczeństwie, więcej ułatwił tryumf nieuczciwych nad naiwnymi, niż zdolnych i pilnych, ale sumiennych, nad opieszałymi; dźwignął produkcyę w sposób zdumiewający — do czego jednak i postęp techniki, nie sama zasada wolności gospodarczej w znacznej mierze się przyczynił — ale zaostrzył społeczne antagonizmy, wyuzdał bezwzględną walkę o byt, sprzyjał spekulacyi, żądnej przedewszystkiem zabrania innym rezultatów ich pracy, niepodnoszącej zamożności ogólnej, tylko inaczej — a zwykle gorzej — ją rozdzielającej, niemal w dużo wyższym stopniu, niż produkcyi, podnoszącej zarówno zamożność indywidualną i ogólną. Pomimo częściowo świetnych rezultatów i pomimo świetnej obrony zajętej w życiu pozycyi,

tracił liberalizm ekonomiczny powszechną wiarę w skuteczność swej recepty, tracił nadzieję społeczeństwa, że występujące za panowania wolności niedostatki i antagonizmy, same w sobie noszą naturalne lekarstwo i po bolesnej epoce przejściowej wytworzą wspaniałą harmonię interesów, tracił swój do minujący niegdyś wpływ w polityce społeczeństw europejskich.

Jesteśmy właśnie w tej fazie. Znikło przekonanie, że sama wolność wystarczy dla pomyślnej realizacyi celów społeczeństwa w dziedzinie dobrobytu i pokoju społecznego; wszystkie państwa — w mniej lub więcej szerokim zakresie — nawróciły z dróg bezwzględnego liberalizmu w wewnętrznej polityce, poczuły się do obowiązku czynnej interwencyi w rozwiązywaniu gospodarczych i społecznych zagadnień, a nowa ta akcya rozwija się tak stanowczo, że obawiać się trzeba, abyśmy zamiast wytworzenia syntezy z zasad, co dawniej panowały, nie popadli znów w prostą antitezę liberalizmu, nie posunęli za daleko akcyi i interwencyi państwa, na rzecz zasady przymusu nie ograniczyli zbytnio sfery swobodnego działania obywateli, nie zabili przez to poczucia osobistej odpowiedzialności i korzyści w dziedzinie gospodarczej pracy. A istnieje to niebezpieczeństwo.

Reakcya każda ma to do siebie, że łatwo idzie za daleko. To nam tłómaczy radykalizm liberalizmu w uchylaniu wszystkich więzów, wszystkich przepisów stworzonych przez merkantylizm. Był to błąd, przed którego powtórzeniem nam ustrzedz się należy. Bezwzględny optynizm czy pessymizm co do rządu czy ludzi jest zawsze błędnym i zawsze szkodliwym.

Formułą dobra publicznego, interesu społeczeństwa, tak samo, jak formułą przyrodzonych praw człowieka, wolności obywatelskiej, można wszystko usprawiedliwić, wszystko umotywować, wszystko potępić. Wszakże w imię wolności żądano wolności dla lichwy, dla pijaństwa, dla spekulacyi zabójczej ziemią, nawet dla potwarzy popełnianej przez prasę wobec całych warstw społecznych, a znów w imię dobra społecznego czegoż nie można zażądać? Socyalistyczne programy dobrym na to przykładem. Upaństwowienie ziemi, upaństwowienie środków produkcyi, upaństwowienie wychowania dzieci, tego już wszystkiego żądano, a urzeczywistnienie tych wszystkich i tym podobnych postulatów prowadziłoby do stanu,

gdzie państwo byłoby wszystkiem, człowiek niczem; może żyłoby państwo, ale człowiek by zginął. Wolność — umiarkowana naturalnie prawem równem i drugich ludzi — jest i postulatem i potrzebą człowieka; zniesienie niewoli, poddaństwa, uważamy słusznie za doniosłe etapy w rozwoju ludzkości, a zbytnia zależność i niedola ekonomiczna szerokich warstw uznaną jest słusznie za wadę i plamę współczesnego ustroju. Polepszenie ich doli, wytworzenie i dla nich pewnej swobody, stworzenie im ludzkich warunków bytu, oto program słuszny i szczytne zadanie; ale błędny to program, chcieć to zadanie rozwiązać przez powiększenie zależności gospodarczej, rozszerzenie jej ile możności na wszystkich, przez upowszechnienie nowożytnej „państwowej niewoli".

Niebezpieczeństwo stopniowego popadania przez antytezę do liberalizmu w socyalizm państwowy z jego równością niewoli i niedoli, jest tem więcej zagrażającem, że prócz przyczyn zasadniczych istnieją jeszcze przyczyny dodatkowe, działające w tym samym kierunku. Najpierw t. zw. logika socyalna. Obserwując życie, często można dostrzedz ponawianie się tych samych objawów, pomimo że tylko dla pierwszego lub kilku istniały specyalne przyczyny. Jubileusze czy uroczyste obchody, zaburzenia czy strejki, i tyle innych zjawisk, wystąpiwszy raz, ponawiają się jakby specyalną zarazą wywołane. Podobnie w życiu politycznem. Subwencya czy protekcya taryf przewozowych lub cłowych, przyznane jednej grupie produkcyi, mniej wywołają głosów opozycyi, niż głosów domagających się równych korzyści dla innych grup produkcyi, chociażby one nie były konieczne z ogólnogospodarczych powodów. Każde przeto rozszerzenie opieki, czy własnej akcyi państwa, każe się obawiać, że działać będzie zarażająco, wywoła domaganie dalszego rozszerzenia, logicznego posuwania się na tej samej drodze, choć nieraz prócz abstrakcyjnej konsekwencyi wobec raz uznanej zasady, nic więcej za tem ponownem rozszerzeniem przemawiać nie będzie. Im więcej rozszerza się zakres działania państwa, tem więcej wzrasta liczba urzędników, szansa zyskania posady i awansu, a fakt ten usposabia przychylnie szerokie koła w społeczeństwie dla pomnażania akcyj i agend państwowych. W teoryi trwa dalej narzekanie na panoszący

się biurokratyzm, obstawanie przy najszerszym wymiarze wolności obywatelskiej — w praktyce i wcichości serca godzi się bardzo wielu na to „właściwie niesłuszne“ rozszerzanie się biurokratyzmu, o ile tylko otwiera to im szansę zyskania posady dla siebie, czy kogoś z swych blizkich lub protegowanych. Siła tej opinii wzrasta w prostym stosunku do liczby istniejących urzędów, bo zwłaszcza urzędnicze koła wychowują swe dzieci przeważnie w kierunku służby państwowej, one przedewszystkiem patrzą chętnie na każde pomnożenie posad i rozszerzenie kompetencyi władz publicznych.

Przestrzegając przed zadalekiem posuwaniem się zbyt radykalnie w kierunku antytezy liberalizmu, godząc się nawet na twierdzenie, że jeżeli społeczeństwo jest nieporadne, to nieporadnymi będą i urzędnicy, z tego społeczeństwa do służby powołani, bo „włożenie munduru nie zmienia, nie polepsza człowieka“, że ztąd nie będzie korzyści przez powierzenie urzędnikom pracy źle lub nie wykonanej przez obywateli, uznając w całej pełni, że dzielność osobista, energia indywidualna są głównemi czynnikami postępu w każdym narodzie, a krępowanie tej dzielności z góry staje się zaporą i hamulcem postępu, opóźnia rozwój — przestrzedz jednak równocześnie należy z drugiej strony przed nadużywaniem hasła wolności obywatelskiej i gospodarczej, przed opozycyą zasadniczą, która w myśl tych haseł zwalczać gotowa każdą reformę gospodarczą i społeczną, chociażby jak najwięcej konieczną, gotowa bronić każdego skrawka wolności, chociażby to nawet była wolność karygodna, zgubna dla społeczeństwa. Nazwał już Arystoteles człowieka *Ζῶον πολιτικόν*, stworzeniem żyjącem w społeczeństwie, a z słusznej tej i tak prawdziwej definicyi, należy wyciągnąć konsekwencyę, tą zaś jest poczucie społecznych obowiązków, solidarności interesów. Indywidualizm chętnie się wyłamuje z pod tych obowiązków społecznych, gotów zaprzeczyć i tam ich istnieniu — poczuciu solidarności koniecznej — gdzie istotnie wątpliwości niema, gotów bronić swej wolności bezwzględnie twierdzeniem: co mnie to obchodzi, kto mnie może zmusić, nawet i w wypadkach, gdzieby chodziło o ludzi umierających z głodu. Czy to naprawdę jest tylko „prywatną sprawą“ owych umierających, czy wyratowanie ich od śmierci

ma być tylko i zawsze i wyłącznie ich troską osobistą, ma zresztą nikogo nie obchodzić? I gdzież przy takiej teoryi zostaje człowiek, owo *społeczne* stworzenie Arystotelesa, gdzie zostaje chrześcianin? Odpowiedź, że komu to przykro, że kto chce, może dawać na poratowanie tych ludzi, że do dania tej „jałmużny“ nikogo zmuszać nie wolno, nie może zadowolnić. Prostem następstwem tej odpowiedzi w praktyce jest, że tylko część społeczeństwa — moralnie lepsi — ponoszą cały ciężar społecznych obowiązków. A to jest istotnym społecznym obowiązkiem. Podobnych zjawisk można przytaczać całe szeregi, a ilokrotnie pod wpływem hyperindywidualizmu ciężar obowiązków społecznych zostaje nie w miarę możności ekonomicznej rozłożony, tylko spada wyłącznie na pewną grupę, bez względu na jej możność, tylokrotnie jest to rozdział niedobry i niesprawiedliwy. Równouprawnienie domaga się równości obowiązków; nie wykluczając nikogo od korzyści społecznych, nie można nikomu dozwalać na wyłączanie się od ofiar i ciężarów społecznych. Pytaniem „co mnie to obchodzi“ można zakwestyonować każde działanie publiczne, tak samo sądy, jak obronę kraju i t. d, to więc nie jest ani w teoryi, ani w praktyce słusznem stanowiskiem. Poczucie i zrozumienie solidarności obowiązków i interesów w społeczeństwie wzrasta i pogłębia się z rozwojem ludzkości; izolowane jednostki, żyjące tylko dla siebie, nieuznające żadnych obowiązków wobec bliźnich, to nierealna hipoteza, to typ abstrakcyjny bardzo wyjątkowy i bardzo nieludzki, bo człowiek przychodzi na świat i wzrasta jako członek pewnej rodziny, pewnej warstwy społecznej, pewnej gminy i państwa, pewnego narodu i wyznania; wszystkie te związki dają mu sumę praw i korzyści, ale nakładają nań i sumę obowiązków, a to już jest tylko kwestyą faktu, jak długo te obowiązki występują tylko jako moralne, praktycznie więc dobrowolne, a kiedy otrzymają sankcyę prawną, staną się przymusowemi.

Oznaczenie pożądanej granicy dla działania państwa, tak w teoryi, jak w zastósowaniu, jest przeto rzeczą bardzo doniosłą, ale wymaga zarazem poważnego zastanowienia. Teorya winna tu przedewszystkiem zaznaczyć, że zgodność z uznanym celem państwa, w zamiarze i w skutkach, jest

warunkiem podjęcia działania, że dalej popieranie jednego celu na koszt drugich, z ich pominięciem lub zaniedbaniem, jest błędnem. Należy dalej pamiętać, że nie wszystko co jest celem społeczeństwa, jest i ma być zdziałanem przez państwo. Praca istotna odbywa się przez ludzi, od jej usilności i umiejętności zależy rezultat, sam przymus nie poręcza dobrego rezultatu, to też powinno się pozostawiać jednostkom i ich swobodnym stowarzyszeniom szeroką sferę swobodnego działania i tę sferę uszczuplać tylko w razie koniecznej potrzeby, tam i wtedy, gdzie swobodna akcya społeczeństwa okazała się niedostateczną. Państwa zadaniem absolutnem, które ono spełnić musi, gdzie ono bezpośredniem swem działaniem winno stworzyć i utrzymać wszystko, co jest koniecznem do realizacyi celu, to polityczna niezależność kraju na zewnątrz, bezpieczeństwo i porządek prawny na wewnątrz. W dziedzinie oświaty natomiast już nie wszystko jest zadaniem państwa; społeczeństwu należy zostawić szeroką swobodę tak co do prawa nauczania, jak publikacyj, jak wyboru szkół, a zasadę przymusu, uznaną bezwzględnie w dziedzinie wojskowej, stosować można tylko w małym stopniu, przy nauce elementarnej. W dziedzinie gospodarczej i społecznej przypada państwu z natury rzeczy tylko akcya pomocnicza; państwa zadaniem wytworzenie warunków, ustawowych i faktycznych, dla skutecznej działalności jednostek i ich związków dobrowolnych, a więc n. p. w dziedzinie kredytowej jest rzeczą państwa stworzenie zdrowych stosunków monetarnych, chroniących jak najbardziej walutę od zgubnej chwiejności, stworzenie dobrego ustawodawstwa o zobowiązaniach i stowarzyszeniach kredytowych, jak o papierach kredytowych, dobrej hipoteki, dobrego sądownictwa, rozumnej ustawy egzekucyjnej, tak co do ruchomości, jak nieruchomości, ale nie jest rzeczą państwa zakładanie wprost instytucyj kredytowych, a tem mniej monopolizowanie kredytu. Wyjątkowo może być państwo skłonionem do założenia wprost instytucyi kredytowej, n. p. pruskie banki rentowe, których zadaniem było rozumne, wolne od spekulacyjnych momentów, ułatwienie parcelacyi wielkich dóbr, ale dla takiego rozszerzenia zakresu akcyi państwa winny istnieć specyalne, a poważne powody.

Wytworzenie korzystnych warunków, poparcie swobodnej działalności społeczeństwa, a wyjątkowo tylko własna działalność bezpośrednia i to głównie w wypadkach, gdzie społeczeństwo nie jest w stanie albo równie dobrze, albo równie tanio, równie z korzyścią ogólną (koleje!) owej pożądanej działalności przedsięwziąć, czy instytucyi wytworzyć, oto słuszna dyrektywa dla zachowania się państwa w dziedzinie gospodarczej i społecznej.

Pociągnięta w ten sposób przez teoryę granica zakresu akcyi państwa, a społeczeństwa, nie jest niewątpliwie ani dosyć jasną, ani dosyć ścisłą, ale granicy tej inaczej pociągnąć nie można, bo ona w życiu nie jest, nie była i nie może być stałą, równą i tą samą, po wszystkie czasy i u wszystkich ludów. Stałego szablonu tu niema i być nie może. Granica ta zmienia się i zmieniać się musi pod wpływem zmiany stosunków, a rzeczą praktycznej polityki w każdym czasie i kraju pociągnąć ją zgodnie z stosunkami i potrzebami danego społeczeństwa. Im więcej społeczeństwo swą własną siłą dźwiga się ekonomicznie i socyalnie, tem więcej bierną i uzupełniającą tylko może i powinna być akcya państwa; im więcej natomiast zapanuje zastój, im więcej ujawni się ubożenie i socyalny upadek pewnych warstw, czy okolic, tem więcej uzasadnioną i konieczną staje się czynna inicyatywa i bezpośrednia działalność państwa, n. p. u nas melioracye ról i pastwisk włościańskich [1]). Realne stosunki więc decydują o tej granicy, ztąd słusznem powyższe zdanie Arystotelesa, że mąż stanu, polityk każdy, winien być prawdziwym „znawcą tego co jest“ i podług sił i stosunków kraju winien w ramach celów i środków państwowych ścieśnić lub rozszerzyć granice inicyatywy, kontroli i bezpośredniego działania państwa, winien zgodzić się na działanie okazujące się w tych warunkach koniecznem i dostarczyć środków na pokrycie ztąd wynikłych wydatków.

---

[1]) Wobec coraz dalszego parcelowania gruntów włościańskich i zaniedbania pastwisk, byłoby niewątpliwie wskazanem przez akcyę *krajową* zapoczątkować melioracye gruntowe całych gmin, bo włościanin, właściciel kilku rozrzuconych parcel, przecież ani o drenowaniu, ani o osuszaniu nawet otwartemi rowami, ani też sam o poprawie gminnego pastwiska pomyśleć nie może.

Po za politykiem winien w ocenie wydatków budżetu zabrać głos finansista i zażądać zastósowania się przy uchwalaniu i czynieniu wydatków publicznych do szeregu zasad finansowych, wynikających z istoty gospodarstwa skarbowego. Omawiając powyżej niebezpieczeństwo, wynikające z anarchii w wydatkach, przyczyny ich wzrostu, cechy charakterystyczne gospodarstwa skarbowego, mówiliśmy już o tych zasadach i ich doniosłości praktycznej. Powołując się na powyższe uwagi, uzupełnić je tu jeszcze należy, bo niewątpliwie im większym i szybszym wzrost wydatków publicznych, tem więcej przezorność wszechstronna panować powinna w gospodarstwie skarbowem.

W szeregu tych zasad i uwag finansowych co do wydatków wymienić trzeba przedewszystkiem zasadę celowości, a rozumieć przez nią należy nie tylko żądanie, aby wydatek odpowiadał uznanemu celowi, lecz także, aby środek użyty był prowadzącym do celu. Poparcie produkcyi, rozwój komunikacyj, regulacye rzek, to wszystko cele uznane dla państwowej akcyi, a mimo to nie każda subwencya jest słuszną, nie wszędzie warto budować kolej pierwszorzędną, nie każda regulacya rzeki, ani każda melioracya zasługuje na przeprowadzenie. W każdym takim wypadku należy badać i faktyczną przydatność zaleconego środka, i stosunek otrzymalnego rezultatu do spowodowanych wydatków. Domaga się tego przypomniana już wyżej zasada oszczędności, a właściwiej mówiąc gospodarności w prowadzeniu gospodarstwa skarbowego. I dla niego istnieje zagadnienie, aby stosunkowo najniższym nakładem względnie najwyższy rezultat otrzymać. Prosta dążność do absolutnie najniższych wydatków państwowych wogóle bynajmniej nie odpowiada postulatowi gospodarności. Stawiano niegdyś to żądanie, upatrując w wydatkach państwowych nieproduktywne zużycie dóbr, które tem znośniejszem i słuszniejszem, im niższem, ale pogląd to i postulat zupełnie fałszywy. Nie jest bynajmniej najlepszym, ani ze względu na celowość, ani ze względu na gospodarność, najtańszy artykuł, bieda zmusza nieraz do szukania najtańszych środków zaspokojenia potrzeb, ale to tylko przymusowy rezultat biedy, bynajmniej zaś nie jest racyonalnem zastósowaniem gospo-

darności. Każdy wie to z życia, że tanie a liche narzędzie służy dużo krócej, niż silne, dużo więcej i częściej wymaga naprawek, dużo mniej odpowiada celowi, gorzej wykonywa swą pracę; obliczywszy to wszystko, wypadnie często w rezultacie taniej od razu na lepsze narzędzie, na z góry wyższy wydatek zdecydować się, i ten wyższy wydatek przedstawia w tym razie prawdziwą oszczędność, jest postulatem rozumnej gospodarności. Indywidualne gospodarstwo człowieka ma tu jeszcze do uwzględnienia moment swej względnej krótkotrwałości, przez co nieraz tańszy, mniej długotrwały artykuł, więcej odpowiada zasadzie gospodarności; gospodarstwo skarbowe natomiast liczyć się winno ze swą — teoretyczną przynajmniej — wiecznością i stosować zasadę gospodarności z uwzględnieniem tego momentu.

Ale jeżeli błędnem jest stanowisko, upatrujące w absolutnie najniższych wydatkach niejako ideał i zadanie administracyi skarbowej, to tak samo błędnem w zasadzie a zgubniejszem jeszcze w praktyce jest żądanie absolutnie wysokich wydatków skarbowych na podstawie naiwnego twierdzenia, że to ożywia całe gospodarstwo społeczne, tworzy intensywny popyt na pracę i jej wytwory, wytwarza czynnik wzbogacenia dla szerokich kół producentów. Twierdzenie to opierano na powierzchownem spostrzeżeniu, że w miarę powiększania czynności i wydatków państwowych, całe szeregi urzędników, przedsiębiorców robót publicznych, dostawców i t. d. otrzymuje zarobek wyższy, który przedstawia popyt na wytwory rzeczowe i usługi innych gospodarstw. Ale pamiętać trzeba, że to bynajmniej nie nowy popyt, tylko popyt zmieniony co do podmiotu i po części przedmiotu. Warunkiem tego popytu są dochody skarbowe; te płyną dziś przeważnie z podatków; państwo więc zabiera wpierw część zasobów gospodarstwu społecznemu, obniża przez to zdolność konsumcyi wszystkich podatników, redukuje w tym stopniu ogólny popyt na pracę i towary, i dopiero w formie wydatków swych odnawia ten — powstrzymany przez siebie — popyt. Pozytywnej korzyści, ani wzrostu popytu przez to nie tworzy. Żadnej w tem niema korzyści dla właściciela ziemi, że mu państwo wpierw znaczną część dochodu jako podatki zabierze, a potem za te pieniądze kupi u niego kilka remont

dla wojska. Jego bilans ostateczny wykaże mu po tej dwojakiej transakcyi z rządem ubytek kilku koni ze stajni, a to przecież nie jest podniesieniem gospodarczem. Naturalnie, że jeszcze jest gorzej dla gospodarstwa społecznego, gdy te pobrane podatki w znacznej części zużyte będą do wypłat za granicę, jako procenta od długów, czy cena kupna towarów, bo wtedy niema gospodarstwo społeczne nawet tej restytucyi popytu, jaka następuje przez czynienie w kraju wydatków skarbowych; ale i w tym razie o pozytywnej korzyści dla gospodarstwa społecznego, o nowym, ożywiającym popycie niema bynajmniej mowy. Zależnie od panującego w danym kraju systemu podatków mogą wydatki państwowe przedstawiać zmianę w kierunkach popytu, i zmiana ta może czasem być korzystną, ale ona bynajmniej nie zawsze jest korzystną. Podjęcie zbytkownych budowli publicznych da wielki zarobek całemu szeregowi architektów, rzeźbiarzy, dostawców materyału, robotników murarskich, ciesielskich, kamieniarskich i t. d., oni może na tem zrobią świetny interes, zdołają z większym, niż dawniej, popytem wystąpić na targu, ale jeżeli potrzebne na to fundusze zbiera się przez najbardziej uciążliwe podatki konsumcyjne, jeżeli na to podraża się sól, mleko, opał, światło, mięso, podnosi opłaty dotykające szerokie warstwy ludu, utrudnia im przez to egzystencyę, obniża ich zdolność spożywczą, to ta zmiana popytu będzie wprost zgubną społecznie i gospodarczo. W ciężkiem położeniu finansowem musi państwo uciekać się aż do pobierania i tak uciążliwych dochodów, ale jeżeli zawsze, to tem więcej w razie pobierania takich dochodów jest wszelka rozrzutność skarbowa' potępienia godną, jedynie absolutna konieczność i wybitna użyteczność publiczna prawdziwą legitymacyą wydatków skarbu. I jeżeli zawsze pozytywna akcya państwa celem świadomej przemiany stosunków zamożności w społeczeństwie jest przekroczeniem właściwej i słusznej sfery działania państwa, to tem więcej nieuprawnioną, wprost zgubną byłaby akcya państwa, którąby kosztem najbiedniejszych warstw chciała wzbogacać tylko poszczególne grupy społeczeństwa, wytwarzając jedynie dla pewnych zawodów, czy pewnych okolic, lepsze warunki zarobku i bytu. A nawet i w wypadkach, gdzieby panujący system dochodów

skarbowych nie nosił tak wybitnie cechy obciążenia wprost warstw niezamożnych, nie wolno łudzić się samą nazwą systemu podatkowego — n. p. istnieniem podatku majątkowego — tylko zbadać w realnem życiu, jak ukształtowały się stosunki faktycznego przerzucenia podatków. To też na zbytek skarbowy, na rozrzutność opartą na fałszywej teoryi, że każdy wydatek skarbowy jest pożądanym, bo powiększa obrót gospodarczy, zgodzić się nigdy nie można. Ale potępiając zbytek jako taki, nie wynika ztąd bynajmniej żądanie wykonywania koszarowym stylem wszystkich budowli państwowych; muzea, gmachy mieszczące naczelne władze i t. p., winny już zewnętrznie odpowiadać swemu powołaniu, ale budowanie więzień, czy domów przytułku, w monumentalnym stylu, ogromnym kosztem, to jest bezprawne trwonienie grosza publicznego — czy fundacyjnego, jak na to niestety w kraju mamy przykłady — jest to grzesznem marnotrawstwem w najgorszem znaczeniu, zgubnem i finansowo i społecznie; finansowo, bo absorbuje zasoby, któreby państwo inaczej, a lepiej, z większym skutkiem ogólnym użyć mogło — społecznie jest zgubnem, bo działa demoralizująco. Więzienie przecież ma być karą, nie honorowem schroniskiem; urządzenie więzień dużo lepsze, niż przeciętne mieszkanie uczciwego robotnika, jest po prostu oburzającem. Jeżeli mamy tyle pieniędzy, że starczy państwu aż na zbytkowne budowanie i urządzanie więzień, to zniżyć lub znieść należy podatki, mianowicie konsumcyjne, od artykułów niezbędnych, gniotące ludność najbiedniejszą albo należy subwencyonować budowle tanich a zdrowych mieszkań dla warstw robotniczych, przeprowadzić assanacyę dzielnic, gdzie biedna ludność głównie się gromadzi i t. p., to byłoby słusznem użyciem obfitych zasobów skarbowych; przemawianie w tym razie za zbytkiem w budowlach publicznych przypomina grzeszną naiwność owej pani w Paryżu, co fundując wielką ochronkę dla sierót poleciła architektom przeprowadzić budowlę i urządzenie z największym komfortem, zbytkiem i przepychem, aby te biedne dzieci przynajmniej za młodu używały komfortu, bez którego później całe życie będą musiały się obywać!!

Niestety pokutuje do dziś w wielu głowach i uchwałach [1]) ta fałszywa doktryna, forytująca wzrost wydatków publicznych z naiwnego punktu widzenia, że to środek zasilenia tętna gospodarczego życia. Rozumna polityka finansowa nie może zgodzić się ani na skąpstwo, ani na zbytek, ona przy wszystkich wydatkach winna uwzględniać zasady celowości i gospodarności. Odnosi to się zarówno do wydatków materyalnych, jak personalnych. Ostatnie te wydatki, wszystkie pensye urzędników i sług państwowych, stanowią trudniejszy punkt dla decyzyi, niż wydatki materyalne. Szereg tu interesów i względów należy mieć na uwadze, przedewszystkiem interes służby publicznej, a więc takie wyznaczenie pensyj, aby zapewnić dostatek dobrych sił na wszystkie urzędy; gdzie n. p. skutkiem lichych płac w sądownictwie najzdolniejsi juryści cofają się od służby rządowej, nie idą na sędziów, prokuratorów, tylko na adwokatów, syndyków prywatnych instytucyj, tam staje się absolutną koniecznością znaczna i niezwłoczna poprawa tych stosunków przez dostateczne podniesienie pensyj sędziowskich i polepszenie szans awansu w sądownictwie, bo stan to społecznie anormalny i niepożądany, gdy adwokaci, a więc obrońcy interesów prywatnych, przedstawiają większą wiedzę i zdolność prawniczą, niż sędziowie i prokuratorowie, mający stać na straży interesu publicznego. W tych warunkach

---

[1]) Tak n. p. w Sejmie niższo-austryackim stawił 25 lutego 1898 r. poseł Schlesinger i tow. wniosek o przyspieszenie regulacyi pensyi, gdzie w motywach takie czytamy brednie: „Die vielen Millionen Gulden, welche den Staats- Landes- und Gemeindeangestellten aus den Volkssteuern zufliessen, strömen als *Ausgaben* von den Angestellten ins Volk *zurück* und erzeugen bei ihrer Wanderung durch den Gewerbe- und Bauernstand *hundertfach* (!) Arbeit und Arbeitsgewinn, welche die Steuerleistung *vielzehnfach überschreiten;* je schlechter der Staat, die Länder und Gemeinden ihre Angestellten bezahlen, je weniger Gulden Letztere ausgeben können, umso mehr die Angestellten sich einschränken müssen, *desto gewaltiger ist der Verlust an Arbeit im Volke* (!), umso schwerer fallt es dem Volke, die Steuern zu bezahlen, umso mehr leidet sein Einkommen“.

interes publiczny mógłby ucierpieć i stan ten zmienić należy, a drogą do tego — nie jedyną, lecz najprostszą i najsłuszniejszą — poprawa bytu sędziów, wytworzenie większej materyalnej siły attrakcyjnej dla służby rządowej. Po za interesem służby zostaje etyczny obowiązek, aby państwo swym kontraktem pracy, nadużywając brutalnie swej materyalnej przewagi ekonomicznej, nie wyzyskiwało swych pracowników. Techniczny podział pracy, który rozwijając jednostronną zdolność robotników, specyalizując pracę, tak znakomicie dźwignął wytwórczość pracy, przedstawia wszędzie dla robotnika tę stronę ujemną, że czyni go wysoce zależnym od przedsiębiorcy, u którego pracuje; straciwszy to miejsce, a nieznajdując popytu na swą specyalność, musi przyjąć pracę jako zwyczajny robotnik, a to byłoby dlań klęską. Obawa przed tą klęską czyni go mało odpornym wobec jednostronnego pogarszania warunków pracy i płacy przez dotychczasowego pracodawcę. Zachodzi to tak przy materyalnej, jak immateryalnej pracy prywatnej, czy publicznej produkcyi, a stan ten wytwarza możność wyzysku robotnika przez pracodawcę. Potępiamy wszędzie taki wyzysk i staramy się publiczne postawić mu tamy, tem więcej domagać się trzeba, aby państwo nigdy go nie popełniało. Służba państwowa powinna być wzorem normalnego, sprawiedliwego kontraktu pracy. Ale i tu znów o zasadzie gospodarności trzeba pamiętać. Służba rządowa niema być bynajmniej częściową synekurą, zepewniającą wielką płacę za małą pracę, lecz między pracą a płacą winien zachodzić odpowiedni stosunek. I tu znów nie można cyfrowo, ogólnie ustawić normy jej słusznej wysokości, należy zadowolnić się przypomnieniem, że o tej wysokości rozstrzygają stosunki gospodarcze i finansowe każdego kraju [1]).

Po za zasadą celowości i gospodarności należy przy uchwalaniu wydatków pamiętać o systematyczności wydatków, o daniu równego stopnia zaspokojenia różnym rodzajom potrzeb publicznych. Tak jak człowiek ma różne rodzaje potrzeb materyalnych i moralnych — pokarm, odzież,

[1]) Co do całej polityki pensyjnej porówn. mianowicie. Ad. Wagner, *Finanzwissenschaft*, *I* § 149 - § 196.

mieszkanie, dzienniki, książki — tak i gospodarstwa publiczne mają taki różny szereg potrzeb, bo każde zadanie państwa tworzy jego potrzebę. A więc ma państwo potrzeby w tych wszystkich dziedzinach, gdzie występują jego zadania, jako to bezpieczeństwo prawne, oświata, gospodarstwo. Podobnie znów jak co do istnienia potrzeb, istnieją pewne analogie między gospodarstwem człowieka a państwa co do zasad pokrywania tych potrzeb. Bez pożywienia człowiek żyć nie może, ale on do życia potrzebuje nie samego pożywienia, nadmiar pożywienia staje się bezużytecznym, nawet wprost szkodliwym, on staje się powodem prawdziwego niedostatku o ile nadmiernem, jednostronnem zużyciem zasobów danego gospodarza utrudni mu odpowiednie zaspokojenie potrzeb innych kategoryj. Rozumny gospodarz zdąża do równomiernego zaspokojenia wszystkich swych potrzeb, a to powinno być też kierującą zasadą dla gospodarstwa państwowego. Bez armii żadne państwo obyć się nie może, ale błędem byłoby wielkim tej jednej potrzebie dawać nadmierne zaspokojenie, z zaniedbaniem czy niedostatecznem pokryciem potrzeb innych kategoryj, a więc szkół, stosunków zdrowotnych i t. d. Teoretyczne sformułowanie tej zasady równomiernego pokrycia potrzeb wszystkich kategoryj, postawienie postulatu, aby każdy wydatek zbadać z osobna, najpierw, czy jest sam w sobie uprawnionym, dalej, czy jest uprawnionym w porównaniu z innemi, czy on nie będzie tworzył nadmiernego zaspokojenia jednej kategoryi, czy grupy potrzeb, przy nie dostatecznem zaspokojeniu innych potrzeb — n. p. za wielka liczba gimnazyów, wobec zupełnego braku średnich szkół zawodowych, lub za wielka wogóle liczba szkół wobec niedostatku komunikacyi — teoretyczne wyrażenie tych żądań jest rzeczą prostą i łatwą, praktyczne rozstrzygnięcie jest rzeczą trudną, wymaga dokładnej znajomości stosunków i słusznej oceny praktycznej skuteczności projektowanych wydatków [1]. Trudność ta wzrasta mianowicie przy ocenie:

[1]) Trafnie pisze Sidgwick (*Princ. of Polit. Econ.*), str. 547: „No doubt it is the worst possible economy not to make adequate provision for the necessary and acknowledged functions of government; but adequacy in such cases cannot be defined by a sharp line. Most Englishmen are per-

prewencyjnego działania; stosunkowo łatwo i trafnie można jeszcze ocenić, czy n. p. szkół lub gościńców bitych jest dosyć, czy za mało, gdzie ich brakuje, ale czy policya lub żandarmerya jest dostatecznie liczną, czy i w jakim stopniu posterunki te powiększyć należy, to zawsze jest kwestyą subjektywnej oceny i uczucia, tu też błędy w górę, czy w dół, niestety łatwo zajść mogą.

Obok trudności, istniejących w istocie wydatków publicznych dla słusznego przeprowadzenia zasady równomiernego pokrycia różnych kategoryj potrzeb, występują często nowe trudności przez parcie lokalnych interesów. Ileż to razy czytaliśmy w mowach kandydackich żądania lub obietnice stworzenia w miasteczku X gimnazyum, seminaryum, sądu i t. p., a w tych żądaniach obok polowania na głosy wyborcze, przebija zupełnie fałszywy pogląd na funkcye państwa i gospodarstwo skarbowe. Gimnazyum, czy sąd powstać tam powinny, gdzie istnieje tego realna potrzeba, a tymczasem jakże często uważa się to żądanie po prostu za środek podnoszenia danego miasteczka, a więc jako rodzaj subwencyi na lokalne cele. Zbytnie uleganie temu parciu lokalnych interesów naraża naturalnie dobry stan finansów, gotowo zniszczyć zupełnie zasadę równomiernego pokrycia potrzeb publicznych. Gdy nie istotne realne potrzeby, lecz subjektywne momenta i lokalne interesy i wpływy decydują o rozmiarze i kierunku wydat-

---

suaded, that they at present enjoy very tolerable protection of person and property against enemies within and without the country; but it would be difficult to argue that our security woult not be enhanced by more and better — paid judges and policemen, or more and better — equipped soldiers and sailors. Proposals are continually made for increased expenditure in one or other of these directions: and it is obvious that in judging of such proposals, a statesman must balance — roughly no doubt, but as well as he can — the advantages of increased governmental efficiency against the difficulties and drawbacks of obtaining increased supply. And it is stil more evident, that any question as to the extension of whas Mill distiugnishes as the „optional“ function of government must be decided by a similar balance of considerations“.

ków, wtedy anarchia wydatków skarbowych staje się nieuniknioną, ogólne i trwałe interesy społeczeństwa i skarbu dotkliwie ucierpieć muszą.

Uwzględnić też dalej należy stosunek łącznych wydatków publicznych do ogólnej zasobności społeczeństwa, aby nie przekraczać ram, możnością podatkową społeczeństwa wskazanych. Wspomniano już wyżej, że przy ocenie tej wysokości nie są dostatecznemi same cyfry wydatku, lecz że również uwzględnić trzeba, na co są wydane, jakie potrzeby społeczeństwa i w jakim stopniu znajdują przez to swe zaspokojenie, że tu uwzględnić trzeba nie tylko wydatki państwowe, lecz również krajowe, powiatowe, gminne, a jeżeli uwzględniwszy to, dochodzi się do wyniku, że ciężar podatkowy jest tak wielkim, iż uszczupla zdolność konsumpcyi i kapitalizacyi społeczeństwa, natenczas należy mieć odwagę i sprawiedliwość powiedzieć: nas na to nie stać. Stanowisko to będzie zwykle niepopularnem, lecz jest jedynie słusznem i sprawiedliwem.

Temu stanowisku, uznającemu pewną nieprzekraczalną granicę dla wydatków publicznych, przeciwstawiano różne teorye, a więc najpierw omówione co dopiero powierzchowne i fałszywe twierdzenie, że każdy wydatek publiczny jest dobrym, bo powiększa ruch pieniężny w gospodarstwie społecznem — dalej ową omówioną wyżej zasadę, że w gospodarstwie skarbowem wydatki, a nie dochody mają decydujące znaczenie, którą to zasadę, tylko po licznych zastrzeżeniach i wyjaśnieniach uznać można za słuszną — wreszcie spotkać można twierdzenie, że państwo będąc absolutną koniecznością dla człowieka, bezwzględnym warunkiem jego egzystencyi, nie potrzebuje oglądać się przy opodatkowywaniu celem spełnienia swych zadań na pozostawienie podatnikom przynajmniej t. zw. minimum egzystencyi, bo bez państwa oniby swej egzystencyi nie mieli. Rażąca niewątpliwie przesada leży w tem twierdzeniu, i na jej konsekwencye praktyczne, nieuznanie żadnej maksymalnej granicy dla wydatków publicznych, nie można się zgodzić. Na co podatnikowi państwo, ów warunek egzystencyi, jeżeli mu ono nadmiernem opodatkowaniem zabierze ekonomiczną możność egzystencyi, na co mu życie, poręczone przez państwo, gdy to samo pań-

stwo zabierze mu środki do życia? Twierdzenie owo jest błędnem teoretycznie, byłoby zabójczem w zastosowaniu, ono bynajmniej nie zdoła naruszyć słuszności zasady, że uznać trzeba w dochodzie społecznym, w zasobności społeczeństwa miarę i wskazówkę co do granicy wydatków publicznych, że w pewnych warunkach więc — chociażby wydatek sam przez się był jaknajbardziej i uprawniony i pożądany — powiedzieć wolno i należy: nas na to nie stać. Ostatecznie każde podniesienie pensyi, każdy nowy zakład, nowa kolej, da się bronić i popierać rzeczowo słusznemi argumentami; jedynie też wzgląd na możność podatkową społeczeństwa zdoła tym żądaniom nałożyć skuteczny hamulec i stanowczą granicę. Bez tego względu łatwo posunąć się do nadmiernie wysokich wydatków, popaść materyalnie w rozrzutność skarbową. Kraj z niskiemi podatkami może sobie więcej pozwolić; im wyższe podatki, tem trudniejszem, niewykonalnem prawie, ich zupełnie równomierne, sprawiedliwe rozłożenie na podatników, tem też łatwiej naruszyć ekonomiczne warunki egzystencyi kół stosunkowo za wysoko opodatkowanych, a to wytwarza zastój gospodarczy, ferment społeczny i polityczny, stać się może przyczyną klęski całego państwa, zwłaszcza gdy sąsiadujące państwa, dzięki nienaruszeniu zdolności kapitalizacyi szerokich kół, nie tylko nie popadną w zostój, lecz trwale pod względem ekonomicznym dźwigają się do góry, a zyskując przewagę ekonomiczną, zyskają z czasem i stanowczą polityczną przewagę.

Jeżeli jednak podnosimy z naciskiem, że są położenia, gdzie powiedzieć wprost trzeba: nas na to nie stać, lub jeszcze nie stać — to z równym też naciskiem wypada zaznaczyć, że znów są położenia, gdzie należy mieć odwagę powiedzieć: to zrobić musimy, to wydatek konieczny, chociażby jego skutkiem było znaczne podniesienie podatków lub też — co znów w pewnych tylko razach jest słusznem — znaczne użycie kredytu. Realne stosunki decydują, gdzie i kiedy, oraz w jakim rozmiarze, zająć trzeba to stanowisko uznania konieczności wydatków nowych, chociażby były niepopularne, chociażby wielkich nowych ofiar żądały. Zwrócić tu jednak należy uwagę, że właśnie skutkiem parlamentaryzmu łatwo wkradasię nierównomierność w pokryciu potrzeb państwowych, jednostronne po-

pieranie pewnych grup wydatków połączone z obojętnością, lub wprost niechęcią wobec innych grup wydatków. Za podniesieniem pensyi małych urzędników — tej licznej i ruchliwej falangi wyborczej — zawsze znajdzie się większość, gotowa w tym celu namiętną prowadzić agitacyę, natomiast za podniesieniem pensyi najwyższych urzędników, za wydatkami na wojsko, na dostateczne wyposażenie zakładów ściśle naukowych, rzadko odezwie się głos, nie znajdzie on nigdy szerokiego poparcia, a nieraz właśnie te — niepopularne — wydatki, są przedewszystkiem nagłą potrzebą państwową; tu też jest rzeczą rządu zawczasu i z całą stanowczością konieczność takich wydatków niezbędnych dla państwa zaznaczyć, a każdy poważny i sumienny polityk, każdy rozumny obywatel winien szczerze poprzeć takie żądania.

Podnosząc wydatki, należy to czynić nie w miarę przypadkowej nadwyżki budżetowej, lecz w myśl programu, w miarę uznania ich konieczności, przyczem zawsze pamiętać trzeba o względach finansowych, aby zbytnim ciężarem podatkowym nie naruszyć sił gospodarstwa społecznego, o względach politycznych i społecznych, aby nie przekraczać ram właściwej akcyi państwa, bez dostatecznego powodu nie krępować, ani uszczuplać zbytnio sfery swobodnego działania jednostek i ich dobrowolnych stowarzyszeń, połączeń osób i kapitałów. Oceniając tylko indywidualnie proponowany wydatek, łatwo popaść w powyższy błąd, a to byłoby zgubnem zarówno dla państwa, jak dla społeczeństwa.

Czyniąc wydatki, należy dalej kierować się pewną systematycznością, aby zapewnić normalną produkcyę i uniknąć tak szkodliwych dla całego gospodarstwa społecznego i dla interesów skarbu gwałtownych skoków w popycie na pracę, czy na towary. Już znaczne powiększenie od razu liczby sądów, czy szkół średnich, wytwarza niebezpieczeństwo, że niedostatecznie kwalifikowane siły, z braku sił dobrych, zajmą ważne stanowiska, zaawansują zbyt szybko, co tak złe wykonanie poruczonych zadań, jak nadmierne przyciągnięcie młodzieży do kształcenia się w tym jednym kierunku służby może za sobą pociągnąć, a ponieważ w przyszłości najbliższej nie przyjdzie już do ponownego znacznego powiększenia danych zakładów, warunki awansu muszą się

relatywnie pogorszyć, ztąd spotka z czasem tę młodzież przykry zawód, rodzący naturalnie zniechęcenie wielkie. Pomijano nieraz ten wzgląd, bo naczytano się tyle w książkach adeptów klassycznej ekonomii, że praca i kapitał garną się do zawodów niezajętych, a wycofują natychmiast z zawodów przepełnionych, nie rentujących się więcej; tendencya ta istnieje, ona realizuje się stopniowo, w ciągu dłuższych okresów, ale realizuje się kosztem bolesnych strat dla jednostek, co mylnie zatrudniły swą pracę, czy zasoby. Ostateczny ten rezultat, stwierdzający rzekomą harmonię i istnienie niezawodnego naturalnego lekarstwa w gospodarczem życiu, nie może nas zadowolnić, nie może zwolnić od troski, aby nie wywoływać skutkiem wady w zarządzeniach publicznych, wielkich zawodów i strat osób prywatnych. W razie przepełnienia n. p. zawodu profesorów gimnazyalnych okaże się z czasem mniejszy napływ młodych sił do tego zawodu, ale ci co już ukończyli dane studya, jakże mają oni „wycofać swą pracę z nierentującego się zawodu“? Każda kwalifikowana praca daje tylko jednostronną kwalifikacyę, nie znajdując dla niej zatrudnienia występuje się jako siła specyalnie nieukwalifikowana, a te siły naturalnie niższą tylko dostają zapłatę, ponoszą więc stratę znaczną, gdy się wycofają z obranego zawodu. Skokami w popycie, brakiem systematyczności w czynieniu wydatków, może rząd istotnie bardzo przykre wstrząśnienia dla gospodarstwa społecznego, ruinę materyalną dla jednostek, znaczne straty dla siebie wywołać. Pisał przed laty jeden z francuskich jenerałów kawaleryi, że niedostateczność jakościowa i ilościowa materyału remont we Francyi jest wprost winą rządu skutkiem nieregularności popytu. Były lata, gdzie kupowano 30.000 koni i znów lata, gdzie kupowano tylko tylko 3 do 4.000; w pierwszym wypadku kupowano co tylko się dało, przez to zachęcono szerokie koła rolnicze do produkcyi remont, potem kupiono tylko bardzo małą część produktu, producenci ponieśli straty wielkie, bo i tu znów kapitał nie dał się bez strat wyciągnąć z nierentującego zawodu — zniechęcili się do tej produkcyi, ograniczyli ją, tak, że wreszcie rząd znów nie miał dostatku dobrego materyału. A nie tylko we Francyi i nie tylko przy kupnie remont po-

pełniały rządy błędy podobne. W ilu to krajach budowa kolei odbywała się bardzo dorywczo: w ciągu kilku lat czynność ogromna, potem nic; przy zakupnie lokomotyw i wagonów, kupnie nowej broni, budowli barak wojskowych, jakże często powtarzają się znów te skoki od nadmiaru do ustania popytu! Jest to lekkomyślnem wstrząsaniem stosunków robotniczych w kraju, szkodliwem społecznie i ekonomicznie, bo wytwarza zgubną chwiejność wysokości płacy, warunków zarobku, miejscowego nagromadzenia robotników; jest to dalej błędnem finansowo, bo wprowadza chwiejność w całe gospodarstwo skarbowe, niepewność w zaspokojenie potrzeb publicznych. Błąd ten wywołany jest częstokroć gorączką nowatorską i ztąd zwłaszcza „nowe rządy“, nowo wybrane parlamenty, czy rady miejskie i t. p., nader łatwo w ten błąd popadają. Chęć pokazania, co to od razu zrobiono, o ile lepiej administruje się teraz, niż dawniej, jest tu działającą sprężyną, ale chęć ta łatwo popchnąć może na bezdroża. Dla ogólnych stosunków też jest dużo lepszem i dużo właściwszem — o ile nie zachodzą nadzwyczajne okoliczności, jak n. p. obawa wojny — w wolniejszem tempie, ale regularnie i systematycznie i czynić i podnosić dane wydatki.

Zaznaczyć wreszcie trzeba, że dążnością skarbu być powinno potrzeby swe pokrywać w kraju, bądź to przez własną produkcyę, bądź przez nabycie — ile można bezpośrednie — od producentów krajowych. Ignorowano nieraz w obozie wolnohandlowym ten wzgląd, doradzano, aby państwo stanęło na ściśle kupieckiem stanowisku, traktowało wprost tylko z wielkimi dostawcami, bo ci zdołają wszystko dostawić po najtańszej cenie, dając władzom najmniej do roboty, tak że skarb na tem najlepszy zrobi interes, a w rezultacie i podatnicy, bo tem mniej będą potrzebowali podatków płacić. Powierzchowne to bardzo twierdzenie i ciasne a fałszywe stanowisko. Opiera się ono na fałszywej doktrynie, jakoby zawsze w obrocie międzynarodowym towarami płaciło się za towar, przeoczającej, że tu można także płacić kapitałem, że trwałe nabywanie za granicą może prowadzić do zadłużenia, zależności ekonomicznej od zagranicy, że dalej, kupując za granicą, uszczupla się w tym stopniu popyt na wytwory krajowej pracy, zmniejsza dla niej sposobność zatrudnienia i zarobku.

A chociażby nawet w pewnych wypadkach rachunkowo dał się wykazać chwilowy zysk skarbu w razie kupna za granicą, to obok powyższych ekonomicznych, przemawiają i poważne administracyjne względy przeciwko uznaniu tej zasady kupowania przez skarb jak najtaniej, bez względu na to gdzie i od kogo, jako podstawy systemu administracyi skarbowej. Bo i w jakiem położeniu znalazłoby się państwo w razie konfliktu, któreby regularnie swe działa, całą broń, okręty wojenne, może nawet i konie wojskowe za granicą kupowało? Ścisła neutralność dostawiającego państwa, lub własne jego obawy wojenne, gotowe kazać wstrzymać wysyłkę tego eksportu, i tak cała obrona kraju staćby się mogła w najdrażliwszej chwili zależną od rozporządzeń innego państwa. Lichym przeto rachunek i ciasnym, pogląd finansowy, co łudząc się chwilowym zyskiem, gotów kraj w tak ryzykowne położenie wprowadzić. Wyjątkowo, zależnie też zresztą od wielkości kraju i stopnia rozwoju jego produkcyi, może zachodzi konieczność nabywania za granicą artykułów potrzebnych dla państwa, ale to nigdy nie jest obojętnem, nigdy za dozwoloną regułę nie może być uznane.

Czy i w jakich rozmiarach ma rząd produkcyą własną zaspakajać swe potrzeby, a więc prowadzić fabryki broni, dział, warsztaty okrętowe, stadniny, to znów zależy od rozwoju danego kraju, ale i tu jako zasadę postawić należy, że własna produkcya rządu jest tylko tam słuszną, gdzie specyalne, zwłaszcza techniczne względy za tem przemawiają; o ile to nie zachodzi, winien rząd pozostawić daną produkcyę społeczeństwu i sam nabywać potrzebne wytwory ile można bezpośrednio od producentów. Niewątpliwie wygodniej władzom centralnym — czasem nawet osobiście korzystniej, jak tego już w kilku państwach były rażące przykłady — mieć do czynienia tylko z kilku wielkimi dostawcami, niż z wielką liczbą samoistnych wytworców, ztąd też postulat kupowania przez rząd wprost od producentów napotykał nieraz na nieprzychylność i utrudnienia umyślne ze strony wykonawczych organów władzy, wbrew woli nieraz organów naczelnych — ale słusznem jest i stawiać ten postulat i przeprowadzać go, naturalnie o ile na tem nie ucierpi pewność odpowiedniej dostawy, a zbytnio nie wzrosną ko-

szta i trudności. Postulat ten nabywania od wytworców opiera się zresztą nie tylko na powyższych względach, lecz przemawia za nim także zasada, że wydatki państwowe powinno czynić się nie centralistycznie, lecz decentralistycznie. Tylko pierwotne państwa i pierwotna polityka mogły zajmować błędne stanowisko troszczenia się jedynie o pewne części państwowego terrytoryum; sztucznie podnoszono znaczenie pewnych centr, kilku miast, kosztem innych okolic, które administrowano — jak to przez kilkadziesiąt lat zaznała Galicya — prawie jakby rzymskie prowincye, czy nowoczesne kolonie, eksploatując je finansowo i ekonomicznie, dopóki i o ile się dało, a przynajmniej nie troszcząc się bynajmniej o ich rozwój gospodarczy, nic dlań nie czyniąc. Ubożenie tych zaniedbywanych terrytoryów musi ujemnie działać na całość, staje się wreszcie czynnikiem ubożenia i okolic protegowanych, bo one tracą korzystnego odbiorcę na swe wytwory, a skarb traci stopniowo zdolnych do ponoszenia znaczniejszych danin podatników. Politycznie, zarówno jak ekonomicznie, są zgubnemi dla całości okręgi obumarłe, popadłe w zastój, cofające się w rozwoju; rozumną decentralizacyą wydatków publicznych należy też żywotność rozprowadzić po całym obszarze państwa.

Wszystkie te zasady i względy, zasługujące na uwagę przy czynieniu i przy podnoszeniu wydatków, nie zdołają jednak uchylić zjawiska wzrostu łącznej sumy wydatków publicznych. Za trwałe, za silne i za ogólne są te przyczyny wzrostu, aby ich wpływ módz zupełnie uchylić. I nie to też bynajmniej jest zadaniem polityki skarbowej; owszem jej zadaniem, aby przez racyonalny system dochodów i racyonalne czynienie wydatków uczynić państwo trwale zdolnem do coraz zupełniejszego i coraz lepszego spełniania zadań publicznych, wytwarzania coraz skuteczniejszych warunków dla wszechstronnego rozwoju społeczeństwa. A zadanie to znów staje się w praktyce nową przyczyną wzrostu wydatków skarbowych. Im bowiem więcej wzrastają wydatki publiczne, tem więcej troszczyć się należy o trwałą zdolność ponoszenia coraz większych ciężarów przez gospodarstwo społeczne. Troszczenie się w tym razie tylko o gospodarstwo skarbowe, a nie o gospodarstwo społeczne, przemyśliwanie

tylko nad powiększeniem liczby podatków i podniesieniem ich stopy, byłoby i błędem i zawodem. Ubożejące społeczeństwo nie jest w stanie coraz wyższych, nie zdoła trwale nawet tych samych ciężarów ponosić. Sam przeto interes skarbowy, pomijając nawet obowiązek państwowy, każe otoczyć troskliwą opieką gospodarstwo społeczne, prowadzić świadomą i skuteczną politykę ekonomiczną. Różnie pojmowano jej zadania; widzieliśmy już, że ultraliberalizm żądał tu ściśle negatywnego stanowiska, tylko nieprzeszkadzania produkcyi, ufny, że społeczeństwo, mając zupełną swobodę ekonomiczną, z problematem dobrobytu społeczeństwa najlepiej da sobie radę. Odezwały się dalej żądania, aby państwo wyszło z swej rezerwy, lecz tylko z celem wytworzenia najkorzystniejszych warunków i dźwigni dla produkcyi, bo ta tworzy istotnie podstawę dobrobytu społeczeństwa. Przeoczono przytem jednak, że sam techniczny rozwój produkcyi może jednak mnożąc sumę bogactw niszczyć prawdziwy dobrobyt społeczeństwa, jeżeli przyczynia się do nadmiernego wzbogacenia jednostek nielicznych, kosztem ubożenia szerokich kół ludności. Pod wrażeniem tego zjawiska, rozpoczyna Tomasz Carlyle swe świetne dziełko o przeszłości i teraźniejszości (*Past and Present*) od przyrównania nowożytnego społeczeństwa do bajecznego Midasa, wśród bogactw olbrzymich ginącego z głodu. A więc zadania polityki ekonomicznej są szersze i wyższe; po za problematem produkcyi jako takiej, występuje problemat bytu i dobrobytu ludzi, wytworzenia ochrony skutecznej przeciwko niezawinionemu ubożeniu, przeciwko proletaryzowaniu się szerokich kół ludności. Obwałowywanie n. p. rzek i ich regulacya celem ochrony przed powodzią, przymusowe ubezpieczenia od ognia, celem dostarczenia i najuboższym środków dla odbudowy ich chaty, to postulaty i czyny tej polityki ekonomicznej, uznającej i ochronę przed niezawinionem ubożeniem za swe zadanie. Nie uchyliło ono bynajmniej dawnego zadania troski o produkcyę, tylko stanęło obok niego, powiększając przez to i zakres i znaczenie polityki ekonomicznej. Służyć jej celom winno całe działanie państwa; ustawodawstwo i szkoły, polityka zagraniczna i wewnętrzna, winny w całym swym toku liczyć się z tem zadaniem. Dla jego realizacyi okaże się nieraz odpowied-

niem jedynie wytworzenie prawnych warunków — n. p. reforma prawa spadkowego dla rolniczej własności ziemskiej średnich rozmiarów, uchylająca tkwiącą w obowiązującej dotąd ustawie dążność do podziału realnego lub nadmiernego zadłużenia — może okazać się konieczność czynnej interwencyi przez powołanie do życia nowych instytucyj (ubezpieczenia), lub podjęcia nowych inwestycyj (koleje, regulacya rzek), a potrzebne w tym celu środki może skarb pobrać bądź to z dochodów zwyczajnych, bądź też w pewnych warunkach z kredytu publicznego, jak to omówimy poniżej.

Dobranie właściwych środków dla urzeczywistnienia zadań polityki ekonomicznej zależy od indywidualnych stosunków danego państwa, domaga się też monograficznego omówienia poszczególnych spraw; z ogólnego punktu widzenia podnieść tylko należy z naciskiem, że wobec trwałości wzrostu wydatków publicznych, świadoma i staranna piecza o gospodarstwo społeczne jest tem więcej konieczną, poprostu już jako warunek trwałej i wzrastającej zdolności podatkowej społeczeństwa, będącej znów warunkiem skutecznego spełniania zadań publicznych.

Dr. Józef Milewski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka.

— *Adam Mickiewicz. Życie i dzieła.* Zarys biograficzny, przez Stanisława Tarnowskiego. (Petersburg, nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego, 1898). — Książeczka, o której chcemy mówić, stanowi Nr. II biograficznej Biblioteki, wydawanej przez młodą a zasłużoną już firmę Grendyszyńskiego p. t. *Życiorysy sławnych Polaków.* Pierwsze miejsce, to jest pierwszy numer w tem gronie dostał się Kopernikowi. Uczciwszy tych dwóch najsławniejszych w sferze nauki i poezyi rodaków pierwszemi miejscami, w dalszym ciągu nie trzymano się już ani chronologicznego, ani żadnego innego porządku i Józef Korzeniowski zajął miejsce przed Janem Zamoyskim, a Zygmunt Kaczkowski przed Janem Śniadeckim.

Prof. Stanisław Tarnowski, podejmując się napisania dla tej Biblioteki życiorysu Mickiewicza, miał przed sobą z pozoru łatwe, w istocie wcale trudne zadanie. Łatwem może się ono wydać, jeżeli zwrócimy uwagę tylko na to, że w zarysie biograficznym, zastosowanym do rozmiarów Biblioteki, nie chodzi o nowe, specyalne badania, o wydobycie nieznanych szczegółów, ale tylko o należyte skorzystanie z gotowego materyału i o nakreślenie postaci sławnego człowieka w głównych rysach. Trudnem musi się wydać, gdy rozważymy, jak wielką była w tym razie obfitość materyału w stosunku do ram, do rozmiarów z góry zakreślonych, jak głębokiego trzeba przeniknięcia materyału, a zarazem artystycznego poczucia miary, ażeby w tej obfitości nie zaplątać się, nie zabłąkać się, ale wynieść z niej obraz, wszystko co ważniejsze ogarniający, a przytem jasny i harmonijny.

Z góry powiedzmy, że autor wbrew obawom wyrażonym w krótkiej przedmowie, odpowiedział zadaniu swemu znakomicie. O pewnych usterkach w podaniu szczegółów później powiemy, tu chodzi nam o to, jak się przedstawia całość pracy.

Mamy już dzięki Bogu wiele książek wielkich i małych, obejmujących całość życia i poezyi Mickiewicza — sama jubileuszowa rocznica przyniosła ich nie mało — a w żadnej nie ma tak wybornej miary w przedstawieniu życia i słowa Mickiewiczowskiego. Autor widocznie przejęty był ciągle tą zasadą, że w życiorysie poety główną rzeczą jest to, co on stworzył, a wszystko inne, wszelkie koleje jego życia, o tyle zasługują na uwagę, o ile są niezbędną podstawą do zrozumienia jego twórczości. To też więcej niż połowę stustronnicowej książki poświęca on czy to ogólnej charakterystyce poezyi Mickiewicza, czy szczegółowemu rozważaniu odrębnych utworów, naturalnie najważniejszych, jak *Ballady*, *Oda do młodości*, *Grażyna*, *Dziady*, *Sonety*, *Konrad Wallenrod*, *Księgi pielgrzymstwa*, *Pan Tadeusz*, *Prelekcye*, a przecież i w treściwie podanej części biograficznej nie pomija nic ważniejszego.

Dla kogo autor przeznaczał swoją książkę? Do jakiej zwracał się publiczności. Do należytego zrozumienia wartości książki, pytanie to niezbędne. Rok bieżący, jubileuszowy, przyniósł kilka popularnych życiorysów Mickiewicza, wymienimy z nich choćby tylko książeczki napisane przez pp. Konecznego i Wojnara. Ostatni przeznaczał swoją książeczkę dla ludu wiejskiego, który dotychczas, z małemi wyjątkami, o Mickiewiczu mniej wiedział, niż o żelaznym wilku, a i poezyi jego, nawet dostępnej dla siebie, nie znał wcale. Dr. Koneczny pisał, jak się można domyślać, dla publiczności, dla której nie zupełnie obcą jest sława Mickiewicza, starał się ją zainteresować rozmaitemi szczegółami z życia poety, aby w ten sposób więcej jeszcze ją ku niemu pociągnąć i zbliżyć. Nie mamy zamiaru oceniać tutaj tych książeczek i z porównania ich z pracą prof. Tarnowskiego wysnuwać korzystnych dla tej ostatniej wniosków, boby to było niesprawiedliwie wymagać od młodych i przygodnych w tym razie autorów tego, co może dać tylko głęboki i fachowy znawca literatury. Wspominamy o nich dlatego, aby dokładniej oznaczyć publiczność, dla której przeznaczoną jest książka prof. Tarnowskiego. Jest to publiczność trzeciego, wyższego od dwu poprzednich stopnia wykształcenia, publiczność, której wykształcenie zbliża się do uniwersyteckiego, dla której wszelkie kwestye literackie nie są obce, która zna nie tylko dzieła Mickiewicza, ale i w europejskiej literaturze potrafi się oryentować. Jest to więc ta sama publiczność, która może czytać monografie o Mickiewiczu pp. Chmielowskiego, Wł. Mickiewicza i Kallenbacha. I mamy to przekonanie, że jeśli nawet po odczytaniu tych i innych obszernych monografij weźmie do ręki stustronnicową książeczkę prof. Tarnowskiego, odniesie z niej wielką korzyść; główne linie, które tam w mnóstwie szczegółów roztapiały się i ginęły, tu występują przed nią jasne i wyraźne; główne utwory poety znajdzie tu na pierwszym planie, w całej pełni oświetlone

wysoko rozwiniętem poczuciem estetycznem i etycznem autora, znajdzie wreszcie z łatwością to, czego w innych obszernych monografiach — jeżli dobrze pamiętamy — z trudem doszukiwać się trzeba, to jest stosunek poezyi Mickiewicza do dawniejszej poezyi polskiej i do współczesnej poezyi europejskiej, naturalnie w rozmiarach zastosowanych do całości.

Życiorys — w którym, jak powiedzieliśmy, twórczość poety główne zajmuje miejsce — poprzedzony jest wstępem, gdzie autor rozstrząsa pytanie, dlaczego „czcimy i miłujemy poetów“, dlaczego „uważamy poezyę za wielki dar, za wielkie dobrodziejstwo niebios dla ziemi“, a następnie dlaczego Mickiewicz ma największe prawo „do tej czci i chwały, do tej miłości i wdzięczności swego narodu“. Żywot i twórczość poety ujęta w cztery rozdziały, odpowiadające czterem wyraźnym okresom w życiu poety: od kolebki do wygnania, od wygnania do wyjazdu z Rosyi, od wyjazdu do małżeństwa, od małżeństwa do grobu. W zakończeniu, chcąc streścić znaczenie Mickiewicza dla narodu, autor „przykłada, jak pieczęć“, własne uroczyste słowa, wypowiedziane w progach katedry na Wawelu, w chwili, gdy składano tam jego zwłoki przed ośmiu laty.

Do najlepszych stronnic książki zaliczamy te, które zawierają w sobie albo ogólną charakterystykę poety, albo poglądy autora na ważniejsze utwory Mickiewicza. Z tych poglądów szczególnie wydaje nam się godnem zaznaczenia to, co autor mówi o *Wallenrodzie*, mianowicie o *Powieści Wajdeloty*. „Wajdeloty *Powieść* byłaby najpiękniejszem Mickiewicza dziełem, gdyby nie było na świecie *Tadeusza*. Od tego zaś rozmiarami mniejsza, może i doskonałością niższa, ma przecież jedną nad nim wyższość. Ma ten w surowej prostocie i powadze ton uroczysty, wzniosły, który do treści *Pana Tadeusza* byłby źle dobranym, ale który przystoi majestatowi bohaterskiego poematu. Te zaś szczyty natchnienia i szczyty piękności stoją dopiero na tle ponurem niewypowiedzianych, niezgłębionych boleści. Są uczucia, uczucia całemu rodowi ludzkiemu wrodzone i wspólne, są w pewnych położeniach cierpienia temi uczuciami wywołane, które duszę ludzką w każdym kraju, w każdym wieku tak samo rozdzierają. Ta wymyślona, niebywała litewsko-krzyżacka historya, jest obrazem i wyrazem tych boleści, jakie w położeniach podobnych krwawią szlachetne dusze od początku świata do jego końca zapewne. W boleści Konrada i Halbana poznałby swoje i Hannibal, kiedy dotrzymywał przysięgi ojcu złożonej, i Psalmista, kiedy zawieszał lutnię „nad brzegami babilońskiej wody“, i Leonidas, kiedy szedł pod Termopile, i Dziewica Orleańska, kiedy chwytała za sztandar, i Serb, kiedy ginął na Kossowem Polu, i Żyd, kiedy rozpaczliwie bronił murów Jerozolimy od legij Tytusa. Potężniejszego, doskonalszego wyrazu tych uczuć,

tych boleści, tych rozpaczy, nie ma nigdzie, jeżeli są — o czem nie wiemy — równe. I dlatego *Wallenrod* jest wielki".

Zdaje nam się, że z tego punktu widzenia nikt nie rzucił tyle światła na na ten poemat, nikt tak jasno i wyraźnie nie wskazał tego, co stanowi wiecznie trwały, powszechno-ludzki pierwiastek w *Wallenrodzie*.

Najwięcej miejsca, bo dziesięć stronnic, dziesiątą część książki, poświęcił autor rozbiorowi *Pana Tadeusza*. Jest i tu, jak gdzieindziej, wiele trafnych uwag, wiele wybornych określeń, ale ich zaznaczać już nie będziemy, odsyłając czytelnika do książki; natomiast zwrócimy uwagę na to, z czem się niezupełnie zgadzamy. Autor w uwielbieniu dla *Pana Tadeusza* nie widzi na tem słońcu najmniejszego cienia, najmniejszej plamki. „Krytycy mówią, że poeta opisowy, że epik, nie powinien odzywać się ze swojem własnem uczuciem, ale je w sobie tłumić, a pokazywać tylko to, co myślą i czują ci ludzie, co w jego poemacie występują. Krytycy mają słuszność zapewne. Mickiewicz też *Tadeuszem* nie zadaje fałszu ich twierdzeniu. On parę razy mówi sam za siebie, daje wyraz swojemu uczuciu, naprzykład w zakończeniu księgi pierwszej, albo w początku jedenastej. Robi to wtedy tak, że tem swojem uczuciem wstrząsa, zapala, porywa duszę swego czytelnika. Ale z temi wyjątkami, on sam za siebie nie występuje, ani swoich myśli, uczuć, w usta swoich figur nie kładzie. Liryzmu, domięszanego do epickiego opowiadania, w *Tadeuszu* nie ma. Tylko wszystko, co w nim jest, całość, jak najmniejszy szczegół, sprawy ważne, jak drobne zwyczaje codziennego życia i drobne właściwości temperamentów, wszystko on widział przez pryzmat uczucia, wszystko począł i wykonał w miłości tego świata". Ostatnie słowa przytoczyliśmy tylko dlatego, aby podać myśl autora w całości; protestować przeciwko nim nie myślimy. Ale trudno nam się zgodzić bez zastrzeżeń na to, żeby liryzmu domięszanego do epickiego opowiadania w *Panu Tadeuszu* wcale nie było, żeby poeta nigdzie swoich myśli i uczuć w usta swoich figur nie kładł, czyli żeby wszystkie postacie w jednym tonie, czysto epickim, były trzymane. Prawda, wyjątków, odbiegających od tła ogólnego, nie wiele, prawda, że te wyjątkowe ustępy, wzięte same w sobie, są tak piękne, tak wyborne, tak pełne głębokiego, niekiedy wstrząsającego liryzmu, to znów niedościgłego humoru, że cieszymy się, iż Mickiewicz nie poświęcił ich dla teoretycznej jedności tonu; ale one są. Tak n. p. Tadeusz, kiedy w szeregu wspaniałych porównań poetyckich unosi się nad niebem ojczystem i ojczystą roślinnością, albo Wojski gdy przy komentowaniu scen sejmikowych, wyobrażonych na serwisie, występuje przeciw takiej moralności i takiemu porządkowi, które opierają się tylko na „konstablach i drabach", i jeden i drugi (szczególnie pierwszy) stają się na chwilę organem osobistych uczuć

i myśli poety, wypadają ze swojej roli, a w tonie ich słów brzmi taka rzewność, jaką słyszymy tam, gdzie poeta wprost od siebie w kilku miejscach poematu przemawia. Zdaje się, że Mickiewicz sam spostrzegał, iż za wiele wymaga od Tadeusza, wkładając nań poetyczną obronę ojczystej przyrody i dlatego uznał za potrzebne dodać uwagę o nim, że „był on prostak, ale czuł wdzięk przyrodzenia“. Podobnie spowiedź Robaka, słusznie wielbiona przez autora za swoją dramatyczność, właśnie z powodu swego liryzmu dramatycznego rażąco odbiega od ogólnego tła epickiego, a po części jest także wyrazem osobistych uczuć poety. Nakoniec wyborne postacie Hrabiego i Buchmana stworzone są w innym tonie, skrojone podług innej miary, niż wszystkie inne postacie poematu, przypominają *Don Kiszota*, z którym pewne podobieństwo już Krasiński upatrywał w *Panu Tadeuszu*, mówiąc, że w nim *Don Kiszot* zlał się z *Iliadą*. Nie miejsce tu rozważać te postacie, chodzi nam tylko o to, że ze stanowiska teoryi, domagającej się od epopei czysto epickiego tonu, można czynić różne zarzuty *Panu Tadeuszowi*. Ale krytykom, trzymającym się oburącz teoryi, dawno już dał odprawę Goethe, kiedy nazwał każdą teoryę szarą, a wiecznie zielonem drzewo życia, i nigdzie zapewne lepiej, jak tym razem, nie da się zastosować ta odprawa. Autor chciał się obejść grzeczniej z takimi krytykami, chciał ich przekonać, że i z ich stanowiska *Pan Tadeusz* jest utworem bez błędu, ale wątpimy, czy zdołał zamierzony cel osiągnąć.

Uwielbienie dla *Pana Tadeusza*, jako dzieła sztuki, autor przenosi i na świat, który się w tem dziele odzwierciedla. Szkoda, że nie możemy przytoczyć całego pięknego ustępu, w którym się to uwielbienie wypowiada, bo jest za długi, odsyłamy tylko czytelnika do stronnic 70 i 71. Ale i tu pewne zastrzeżenie uczynić należy. Zdaje nam się, że autor idealizuje ten świat więc, niż to uczynił sam poeta. Mickiewicz, powlekając obraz tego świata złocistą barwą humoru, odjął mu gorycz satyryczną, ale bynajmniej nie zakrywał przywar, nałogów i wad tego świata i dlatego właśnie ten świat jest tak pełnym życia i prawdy. Tymczasem dla autora — „to świat bez złego: nie jakiś na ziemi niemożliwy, bezgrzeszny, świat aniołów, czy świętych, ale świat rzeczywisty ludzi tak dobrych, że złe albo odepchną odrazu, albo je w sobie zwyciężą“, ludzi, u „których tyle Boga w sercu i tyle w postępach szlachetności, że od takiego niewinnego dziecka jak Zosia, aż do takiego pokutnika jak Robak, od Tadeusza, kiedy się Zosi niegodnym sądzi, aż do Gerwazego, kiedy podaje rękę do zgody, są moralnie zdrowi i czerstwi tak, że nie tylko za artystyczne ideały, ale i za moralne wzory służyć mogą. I to we wszystkich swoich uczuciach“.

Otóż, czy to nie za wiele? Czy rzeczywiście wszystko w tym świecie za wzór nam służyć może, a nic „dla przestrogi“? Kiedy

autor mówi dalej: „Daj nam Boże w młodości być takimi jak Tadeusz, w starości takimi, jak Sędzia, a zawsze tak niemyślącymi o sobie, wyrzekającymi się siebie, jak Robak“, to z tem westchnieniem jego trudno się nie połączyć; ale to przecież nie cały świat Soplicowski. Cóż zrobimy n. p. z Telimeną, która się tak lubi pokazywać i tak często ukazuje w poemacie? Co zrobimy ze sceną w karczmie, z wielką naradą w Zaścianku, ze sceną zajazdu Soplicowa, w których widmo staro szlacheckiego anarchizmu staje, aby świadczyć przeciw wnukom tych, którzy zrywali sejmy dla prywaty i szablą torowali sobie drogę do trybunału, według zasady „wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie“? Dlatego to sądzimy, że uwielbienie autora dla świata występującego w *Panu Tadeuszu*, w tak wymownych, wzruszających nawet słowach wypowiedziane, potrzebuje pewnego zastrzeżenia.

Pozostaje nam jeszcze wskazać parę niejasności, czy niedokładności, których dostrzegliśmy w podaniu szczegółów. Odnosi się to głównie do czasów i poezyi filareckiej. Autor wskazuje *Pieśń Filaretów* („Hej użyjmy żywota“), jako ten utwór, w którym poeta określił zamiary i dążenia Filomatów (str. 13); zapewne, ale jeszcze większe prawo do tego tytułu, jako wcześniejsze, mogą mieć dwa inne utwory ówczesne Mickiewicza: *Już się z pogodnych niebios* i *Hej radością oczy błysną*. Filaretów nie odróżnia autor od Promienistych, o których zresztą nie wspomina wcale (ani o teoryi „promionków“), i przenosi na Filaretów to, co się Promienistym należy, gdy powiada, że stowarzyszenie Filaretów „zawiązało się jawnie, z wiedzą i pozwoleniem władz uniwersyteckich“ (str. 15). I na dalszych stronnicach (29, 30) autor kładzie nacisk na to, że stowarzyszenie Filaretów nie było tajnem i było rządowi doskonale wiadomem. Liczne świadectwa z owych czasów przeczą temu; najważniejszym jest głos Domejki, który powiada o Filaretach: „Przyrzekano przed nienależącymi do towarzystwa nie wyjawiać jego bytu, tak dla uniknienia nieprzyjemności ze strony władz rządowych i uniwersyteckich, jako też dla dobra samych Filaretów, aby nie szukali chluby i dobrych uczynków przed światem, a w cichości oddawali się naukom i t. d.“. (*Filareci i Filomaci*). Objaśnienie autora, dlaczego po trzeciej części *Dziadów* następuje czwarta i jest jej dalszym ciągiem (str. 21), nie wydaje nam się trafnem. Zkąd autor wziął wiadomość, że Mickiewicz chciał i drugą seryę *Dziadów* napisać w czterech częściach, i z tych napisał tylko część trzecią — nie wiem; my się z tą wiadomością nigdzie dotąd nie spotykaliśmy. Pierwsza znajomość z Żukowskim i Kozłowem odnosi się, o ile nam wiadomo, do Petersburga, nie do Moskwy (36). Wreszcie trzeba zrobić uwagę, że przypuszczenie autora, jakoby przekład wiersza Goethego *Wanderer* mógł być wyrazem tego, czego sam

Mickiewicz doznawał, przekraczając północną granicę Włoch (46), o tyle się nie da utrzymać, że *Wanderer* przełożony był jeszcze przed wyjazdem Mickiewicza z Rosyi, o czem świadczy autograf jego, umieszczony w Album Piotra Moszyńskiego, które p. Br. Gubrynowicz ogłosił niedawno w jubileuszowym *Pamiętniku Mickiewiczowskim*. I oto już wszystkie niedokładności, które zdołamy wytknąć tej książce; jak są nieliczne i drobne, czytelnik sam łatwo spostrzeże.

Szkoda, że tego o błędach drukarskich powiedzieć nie można. Korrekta widocznie nie przechodziła przez ręce autora i ztąd, szczególnie w imionach własnych, sporo omyłek. Tak n. p. zamiast Kozłowa, czytamy „Kostowa" (36), zamiast Garczyński — „Gorczyński" (46), zamiast *Paroles d'un Croyant* — *Paroles d'in Croysut* (61), zamiast w Fontainebleau — „wontainebleau" (96) i t. d. Niewątpliwie prędko nastąpi drugie wydanie tej z serca napisanej a znakomitej pod każdym względem w swoim zakresie książki, i wtedy wydawca powinien się postarać, aby szata typograficzna lepiej odpowiadała wartości książki.

J. Tretiak.

— Dr. Klemens Bąkowski: *Dawny Kraków*. Z 2-ma rycinami i 2-ma planami. (Kraków, 1898, str. 364).—Z kalendarzowych artykułów popularnych złożyła się nowa książka p. K. Bąkowskiego rozmiarów dość poważnych. Napisał ją autor wykształcony prawnik, któremu nie obce badania archiwalne i talent pisarski, a czego niejednokrotnie złożył dowody w fejletonach naszych krakowskich dzienników. Obeznany wybornie z całą dawniejszą i nowszą literaturą, odnoszącą się do naszego starego grodu, znawca dobry stosunków i urządzeń miejskich, pragnął w sposób dostępny dla ogółu czytelników ułatwić zadanie pouczenia się, czem był zarząd miasta Krakowa w dawnych czasach, jakie były urządzenia dla dobra publicznego, stosunki narodowościowe, religijne i obyczajowe, a zresztą objaśnić, jak wyglądał stary Kraków, jak się przedstawiają jego dzieje w ogólnych zarysach. Jednem słowem szło p. Bąkowskiemu o naszkicowanie w zarysach pewnych a wyraźnych tego tła dziejowego i obyczajowego, na którem występowały wybitne postacie mieszkańców, lud miejski, patrycyat mieszczański, duchowieństwo, oraz świat uczony uniwersytecki. Życia, które się na tem tle zaznaczyło, postaci znakomitych, scen rodzajowych lub historycznych, autor mało dotyka, zostawiając to drugim w przyszłości. Materyału dostatecznego do tej sprawy nie miał przygotowanego w publikacyach, iżby się już dziś mógł porwać do napisania czegoś, równie doskonałego, jak dzieło p. W. Łozińskiego o patrycyacie lwowskim. Pragniemy szczerze, aby Kraków znalazł równie znakomitego autora, ale na ziszczenie tego pragnienia długo czekać nam jeszcze przyjdzie. Zaprzeczyć nie można, że zbiera się od lat wielu mate-

ryał nie mały dla zyskania tła, o którem mowa, co do Krakowa, co do życia, jakie na niem wyrosło, poczynają się też zjawiać dopiero drobne monografie osób i rodów — tego jednak za mało, aby stworzyć książkę w granicach popularności. Kraków zyskał dla historyi swych urządzeń i dziejów niemały skarb w publikacyach Akademii Umiejętności. Wydanie najstarszych ksiąg miasta przez J. Szujskiego, dyplomatarysz, prawa i przywileje miasta wydane przez prof. Piekosińskiego, a szkoda, że niedoprowadzone do końca, liczne monografie budowli, oparte o źródła archiwalne, rozjaśnienie zachowanych dzieł sztuki na podstawie naukowej i spraw cechowych, są to skarbce bogate wiedzy, z których występuje tło — ale życia na tem tle martwem za mało jeszcze opracowano.

Zasługą p. Bąkowskiego jest umiejętne wyczerpanie rozrzuconych wiadomości i podanie ich w formie przystępnej czytelnikowi, któremuby z pewnością nie chciało się wertować po źródłowych łacińskich lub niemieckich pracach Akademii Umiejętności i innych publikacyach źródłowych o ciężkim aparacie naukowym. Wprawdzie forma, jakiej użył do napisania książki, nie zadowolni uczonych, gdyż czytelnik próżno szuka tu zacytowania źródeł, jako dowodu prawdy, oraz pewnej metody, któraby rozdzielała sprawy miejskie w pewnym chronologicznym porządku, ale każdy musi uznać w p. Bąkowskim autora sumiennego, do pewnego stopnia krytycznego, a rzadko posługującego się hipotezami. Jeżeli uczonemu badaczowi niewiele jego książka przynosi dziś nieznanego, to ogół czytelników spotyka się w niej z rzeczą niemal dla siebie nową, poznaje rzeczywiście podstawę dawnego życia Krakowa, której dotąd nie znał.

Książka rozdziela się w cztery główne ustępy, z których każdy stanowi pewną całość w sobie zamkniętą. Pierwszy zatytułowany: *Dawne urządzenia*, obejmuje wytłómaczenie, co to jest założenie miasta na prawie magdeburskiem w połowie XIII wieku przez Bolesława Wstydliwego i wynikający ztąd samorząd miejski, reprezentowany przez urząd radziecki, którego attrybucye autor oznacza dokładnie. Mówi następnie o radzie pospólstwa, o urzędach ławniczych i innych, oraz o służbie miejskiej. Suche opowiadania przerywa szczęśliwie interesującemi wypisami z akt niektórych wyroków karnych. Opuścił jednak jedną z ważnych postaci, osobę kata miejskiego, którego narzędzia, dwa ogromne miecze, przechowuje dotąd Muzeum Narodowe. Ciekawym jest rozdział o instytucyach dobra publicznego, jak szpitale, szkoły i t. p. Zakończa ustęp ten pierwszy, interesujący pogląd na reformę Sejmu Czteroletniego, odnośną do miast, a więc i Krakowa. W drugim ustępie: *Mieszczaństwo*, przedstawia p. Bąkowski stosunki narodowościowe, a więc mówi o Niemcach, pierwszych osadnikach, o rozrastającym się później elemencie polskim, dotyka sprawy kazań polskich w kościele

Panny Maryi w XVI wieku, mówi o przybyszach włoskich i szkockich, w czem posługuje się umiejętnie nagromadzonym przez A. Grabowskiego materyałem wypisowym z akt miejskich. Przechodzi następnie do stosunków materyalnych, mówi o handlu Krakowa i przywilejach królewskich, o chwilach jego wzrostu i upadku, o prerogatywach stanu mieszczańskiego. W rozdziale o stosunkach religijnych zapomina autor o zakonach krakowskich, a co ważniejsza, o licznych bractwach kościelnych i ich zadaniach. Nie wątpimy, że sprawy te poruszy on w innej pracy swej, tem więcej, że budzą one interes w naszych czytelnikach stroną anegdotyczną, podobnie jak go budzi z werwą napisany rozdział o zwyczajach i uroczystościach Krakowian, którym autor zakończa ustęp drugi.

Zaciekawienie dla czytelnika rośnie w miarę czytania książki, to też ustęp: *Wygląd miasta* uważamy za jeden z najwięcej interesujących dla czytelnika krakowskiego, który ogląda się po dzisiejszych placach i ulicach miasta, aby się dowiedzieć, jak wyglądał ten lub ów rozburzony kościół, budynek świecki lub forteczne zamknięcie średniowiecznego miasta. Wyczerpującym jest tu opis dawnego ratusza i jego sal, handlu na rynku w dawnych czasach, wspomnień o ulicach, oświetleniu miasta. Mniej może stosownem jest przeplatanie tekstu wierszykami szopkowemi, rzecz nadająca się dobrze do kalendarza, ale w osobnej książce nieodpowiednia. To, co o gmachu uniwersyteckim pisze autor, jest dobrem streszczeniem dotychczasowych badań. A w ten sposób przechodzi on i inne krakowskie stare budowle. Ta wędrówka po starem naszem mieście nadaje książce p. Bąkowskiego interes szerszy, nawet dla wykształconego czytelnika, a czyta się wielce przyjemnie, tem więcej, że dołączonym tutaj został plan dawnego Krakowa.

Poważną część książki zajmuje *Historya miasta Krakowa*, bo prawie jej połowę. Nazwał ją autor słusznie szkicem, bo rzeczywiście dawniejsze epoki traktowane są po kronikarsku i dopiero przy końcowych czasach rozszerza on ramy swej pracy jako historyk Krakowa. Można powiedzieć, że od czasu A. Grabowsbiego *Krakowa i jego okolic* i Mączyńskiego *Pamiątki z Krakowa*, jestto pierwsza próba napisania krytycznej historyi Krakowa na podstawie nowych, nieznanych poprzednikom źródeł. Owe sławne *Carrodunum* rzymskie już więcej tu nie figuruje, a za to kreśli nam p. Bąkowski na podstawie topografii i źródeł czeskich stan z czasów przedhistorycznych okolicy, zależność Krakowa od Wielkiej Morawii i Czech, posiłkując się hipotezą prof. Piekosińskiego, który autorowi współudziału w pracy nie odmówił. Autor co do pierwszych okresów Krakowa wyczerpał wszystko, co przynoszą annaliści nasi, podaje ścisłe daty budowy kościołów i katedry, czem przynosi przysługę nawet uczonemu światu tem zebraniem bogatego plonu dat i towarzyszą-

cych im okoliczności. Właściwą historyę Krakowa rozpoczyna autor od czasów Bolesława Wstydliwego; w rozdziale, zatytułowanym: *Czasy wzrostu*, w którym panowaniami królów przechodzi nabytki przywilejów, wykazuje rozwój interesów handlowych w Krakowie, wypadki zaszłe aż po czasy, w których występują postacie Kazimierza W. i Jądwigi, jako dobrodziejów Krakowa.

Ogromnem mnóstwem materyału odznacza się rozdział: *Czasy rozkwitu;* pomieścił w nim autor wypadki dziejowe i drobne sprawy miejscowe w nowem oświetleniu, jakie przyniosły źródłowe opracowania uczonych naszych. Znajdują się tu opisy uroczystości w chwilach koronacyi, smutne obrzędy pogrzebowe, czynność artystyczna Włochów za czasów Zygmuntowskich, walki z protestantyzmem, występ humanistów w Uniwersytecie i typy patrycyuszów, osadników z nad Renu. W ten sposób ciągnie się historya Krakowa w coraz więcej skupionych i wypełnionych ramach aż do ostatnich chwil monarchii polskiej. To, co dotąd nietkniętem było u historyków Krakowa, to czasy porozbiorowe; znajdują one też w książce p. Bąkowskiego szczególne uwzględnienie. Spotykamy się tu z żywo skreślonemi postaciami pierwszych reprezentantów obcych rządów i z smutnym upadkiem ducha publicznego mieszkańców dawnej stolicy kraju, upadkiem, po którym rozjaśni się oblicze czytelnika wspomnieniem pobytu Kościuszki w Krakowie i przysięgi jego w r. 1794 na rynku krakowskim. Czasy Rzeczypospolitej przechodzi autor dość szczegółowo, oraz upadek Wolnego Miasta, a opiera się tu na żywych jeszcze wspomnieniach tych czasów w Krakowie. Czasów wcielenia Krakowa do Austryi po r. 1846 autor już nie dotyka.

Na tem kończymy sprawozdanie z książki, która powinna się znaleźć w ręku każdego z miłośników starego naszego grodu. Wdzięczni zaś jesteśmy autorowi za pracę tak piękną a wymagającą trudów niemało, których też nie żałował.

W. Łuszczkiewicz.

— *Wspomnienia* jenerała Kołaczkowskiego. Księga I 1793 — 1813. (W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska, 1898). — Czyżby i u nas zaczynała grasować zaraza, przez p. de Vogüé nazwana *Napoléonite aigüe?* Prąd czasu i mody i nas wywodzi na te szlaki chwały, które nam dały poznać złudzenie ojczyzny, a serca zapaliły nie złudnem uczuciem jej miłości. Naraz dwa pamiętniki, odnoszące się do owej epoki, przynoszą nam polskie świadectwa, jakby dla uzupełnienia napoleońskiej epopei. Podczas gdy w Poznaniu drukują się *Pamiętniki* jenerała Chłapowskiego, w Krakowie pojawiają się wspomnienia innego Wielkopolanina, jenerała Klemensa Kołaczkowskiego. Rwała się młodzież na pola, tak bujnie porosłe wawrzynami. Kilkunastoletni żołnierzyk brał

już udział w walkach z r. 1809, gdy Książę Józef rozszerzał granice tego Księstwa Warszawskiego, o którem mniemano, że jest zawiązkiem Polski od morza do morza. Nie danem mu było atoli otrzymać chrztu krwi pod Raszynem. Wysłany z depeszami, wracał do stolicy w chwili, gdy nasze wojska na mocy zawartej konwencyi opuszczały Warszawę. Smutny kreśli obraz tej ewakuacyi. „Na moście wiślanym panował zgiełk wielki: piechota nasza przeciągała w stanie dość egzaltowanym wódką, miotając obelgi i przekleństwa na swoich oficerów, a mianowicie na wodza naczelnego, że ich zdradzili, że ks. Poniatowski z Austryakami trzyma i t. d. U nas bez zdrady nigdy się nie obejdzie: każda niepomyślność, każda ucieczka żołnierzy, jest zdradą oficerów. Tak u nas zawsze bywało, skoro tylko węzły karności nie były żelazną ręką dzierżone. Nasz żołnierz jest dobry, a nawet lepszy od innych narodów, kiedy karny; nie masz ale gorszego, kiedy się rozprzęże i sejmikować zacznie".

Od owej chwili nie zmienił się chyba charakter narodowy, a choć wojska zabrakło, te same wady nurtują w plemieniu pochopnem do „niewczesnych żalów, zapóźnionych swarów". Ileż to odtąd razy każde niepowodzenie zdradą tłómaczonem być miało! Swoją drogą jenerał Kołaczkowski niejednokrotnie ubolewa nad słabością ks. Józefa, który bynajmniej żelaznej nie miał ręki i nie umiał żołnierza utrzymać w karbach pożądanej karności. Rycerska jego cnota przewyższała o wiele taktyczne zdolności, a mianowicie sprężystość i surowość dla wodza konieczną. To też rozprzęgały się szeregi pod jego dobrotliwą komendą, a bohaterskie czyny jednostek nie okupywały luźności pułków, topniejących w marszach przeciągłej wyprawy.

Do tylu opisów mroźnej kampanii, po dziś dzień potomnych przeszywającej mrozem, przybywa nowa karta w tych zapiskach, pełnych życia i świeżości. Każdy też polski czytelnik z najwyższem zajęciem przeczyta *Wspomnienia* jenerała Kołaczkowskiego, wyglądając niewątpliwie księgi drugiej, znanej nam w rękopisie, a odzwierciedlającej życie stołeczne w Krakowie i Warszawie, po uciszeniu się Napoleońskiej zawieruchy i nawałności. Bliski krewny, brat cioteczny Księżnej Łowickiej, gość częsty w jej domu, Klemens Kołaczkowski, z miłością maluje wizerunek trzech uroczych sióstr Grudzińskich, z przygodną barwnością przedstawia obraz społeczny z czasów Królestwa Kongresowego. Wolno nam tedy w sprawozdaniu z wydanej już księgi pierwszej niniejszego Pamiętnika zaostrzyć ciekawość publiczną zapowiedzią dalszego ciągu miłych i zajmujących „Wspomnień", które zawdzięczamy uprzejmości jego córki, pani Alfredowej Milieskiej, dzielącej się chętnie własnym rodzinnym skarbem z szerszem czytelników kołem. *N.*

— *O cudownym obrazie Matki Boskiej w Karmelu krakowskim na Piasku.* Wiadomość historyczna, przez X. Wacława

z Sulgostowa, Kapucyna. (Kraków, 1898).—Sędziwy zakonnik nie przestaje nizać, niby ziarnka różańcowe, wspomnienia z miejsc świętych i historyczne dowody bądź nabożeństwa naszych przodków dla Najśw. Panny, bądź jej osobliwej dla swego umiłowanego królestwa łaski i cudów do jej obrazów przywiązanych. Pobożny syn św. Franciszka osobnem tchnie uczuciem dla najstarszego z zakonów, sięgającego bodaj Eliaszowego pobytu na górze Karmelu, początku i pierwowzoru karmelitańskiej reguły. Tchnąca tkliwem ku Maryi nabożeństwem Polska z osobną gościnnością przygarniała też zakon Matki Boskiej, mnożąc onego domy, których było w Polsce aż 72, podzielonych na cztery prowincye. Przodował nad wszystkiemi klasztor krakowski, założony przez Jagiełłę, który Karmelitów osadził na straży Hermanowej świątyni, powstałej już w r. 1087. Wielokrotnie ogień niszczył starodawną budowę, jeden tylko cudowny obraz Najśw. Panny zawsze z płomieni i wojennej pożogi wychodził cało, a koleje tego obrazu opowiada nam dziś źródłowo O. Wacław, kończąc na obrzędzie koronacyjnym z r. 1883, kiedy biskupi wszystkich obrzędów i wszystkich też ziem polskich wieńczyli skronie Królowej korony polskiej. Bo obok kardynała Dunajewskiego i arcybiskupa Morawskiego, byli tam i X. Sembratowicz i X. Stupnicki, obrządku grecko-katolickiego, i X. Issakowicz, obrządku ormiańskiego, a obecność wygnańców: X. Krasińskiego, biskupá wileńskiego, i X. Janiszewskiego, suffragana poznańskiego, dodawała rzewności tej uroczystości wspaniałej.

Niestety! od r. 1801 odebrano Karmelitom zarząd kościoła na Piasku, zamienionego na parafialny, zostawiając im tylko kaplicę cudowną, a ta dwoistość władz miejscowych zaciężyła fatalnie na losach tyle poważnej i drogiej sercom polskim świątyni.

Piękną też tu autor podaje charakterystykę najprzedniejszych polskich miejsc pielgrzymek. Powiada, iż jak w częstochowskim obrazie czuć przedewszystkiem majestat królowej nieba i ziemi, w ostrobramskim litość nad nieszczęśliwymi, w berdyczowskim straż bezpieczeństwa, tu na Piasku przemaga dobroć i słodycz i żałość jakaś przedziwna.

Wspomnienia historyczne wiążą się obficie z tą kaplicą i obrazem. Autor skwapliwie je przytacza, rad wznowić pobożne przykłady królów naszych, oraz ich małżonek. Wylicza też obrazy Najśw. Panny łaskami słynne w obrębie samegoż Krakowa i znajduje ich do trzydziestu pięciu, podczas gdy w dyecezyi krakowskiej nie mniej jak dwadzieścia cztery miejscowości chlubi się posiadaniem cudownych obrazów Maryi. Rozprawka X. Wacława przypisana jest matce Ksawerze od Jezusa, Karmelitance bosej, niegdyś w świecie ks. Witoldowej Czartoryskiej. Jak i inne hołdy tegoż autora, rok rocznie skła-

dane na ołtarzach Królowej korony polskiej, i niniejszy odznacza się pewną wykwintnością wydania, pięknem odbiciem wizerunku Najśw. Panny, dołączonym do historycznej o nim wiadomości. Przeczytawszy te kartki, każdemu przyjdzie z większą ufnością i z pobożniejszem wzruszeniem przyklękać u stóp tych ołtarzy, zkąd i Zygmunty, i Jan Kazimierz, i Jan Sobieski czerpali łaski i błogosławieństwa dla siebie i kraju. *N.*

— *Pamiętnik Towarzystwa Rolniczego krakowskiego za czas od r. 1845 do r. 1895*, zestawił J. A. Lippoman. (Kraków, 1898 str. 107, a potem spisy członków komitetu i Towarzystwa do str. 147 i 1 tablica). — Wydanie ładne, zaopatrzone portretami wszystkich prezesów Towarzystwa w ciągu ubiegłych lat 50. Te portrety stanowią największą wartość książki, ponieważ odtwarzają żywo postacie osób, zajmujących w życiu kraju wybitne stanowiska. Tekst jednak daje stanowczo za mało, nie jest to bowiem historya Towarzystwa Rolniczego i jego działalności, chociażby w jubileuszowem wydaniu trochę zabarwiona na różowo. Jest to tylko wykaz wszystkich prezesów, zaopatrzony krótkiemi życiorysami tych ludzi, co piastowali to naczelne w Towarzystwie stanowisko, z dodatkiem do każdego życiorysu mowy programowej, jaką nowo obrany prezes zagaja swe rządy i kilku bardzo ogólnikowych i nie objaśnionych niczem frazesów o tem, co się stało ważnego za czasów tego prezesostwa. Wreszcie w rozdziale t. z. VI są zebrane różne uchwały Towarzystwa w chronologicznym porządku: jest to spis uchwał zapewne niekompletny, byłby dobrym może katalogiem, gdyby odnosił się do drukowanego zbioru, ale skoro odnosi się do aktów niedrukowanych, może mieć chyba znaczenie dla kancelaryi Towarzystwa. Dla historyi Towarzystwa ten Pamiętnik jest zupełnie obojętny, ponieważ nic nie objaśnia, wolno tylko z mów kilku podanych wnosić, że Towarzystwo spotykało się z niesłychaną obojętnością u ogółu ziemian, że około r. 1863 budzi się w niem sztuczne życie pod wpływem agitacyi politycznej, ale na polu rolniczem gra ono podrzędną rolę przez brak chęci do pracy. To też w tych dziejach znaczącą jest mowa Adama hr. Potockiego, wypowiedziana jeszcze w r. 1851, a wyrażająca głębokie myśli, że w przedsięwzięciach polegających na wolnem współdziałaniu i dobrej chęci prywatnych, pomoc rządu jest zabijająca i w miarę jej wielkości przedsięwzięcie schyla się ku upadkowi swemu... wskutek pomocy rządowej wkładki przestają wpływać, a pomoc inna przestaje być dawaną. Dalej wskazał mowca, że jeśli Towarzystwo ma być żywotnem, nie należy wszystkiego zwalać na komitet, ale członkowie sami powinni być czynni. Tych wad nie pozbyło się jednak Towarzystwo, kiedy dzisiejszy prezes Franciszek hr. Mycielski obejmując swą godność, zastrzega się przeciw obojętności i brakowi wiary w pożyteczność instytucyi.

Działalność Towarzystwa jest działalnością komitetu, ten ostatni, mając często ludzi zdolnych, pracuje za ogół ziemian, ale taka praca nie jest w stanie zgalwanizować ogółu, który mimo zmian organizacyi pozostaje zawsze biernym. To też praca nie osiąga skutku, mimo, że to lub owo zostało przeprowadzone. Wynik ten ujemny daje się mimo woli autora z przemów prezesów zaznaczyć, ale do poznania stosunków Pamiętnik ten nie prowadzi, gdyż rzecz sama wzięta jest zbyt powierzchownie.

Korrekta także niekiedy winnaby być staranniejszą n. p. str. 38 frazes: „Są w narodzie naszym te cnoty i te siły, bez których każde społeczeństwo istnieć musi“ jest rażąco błędnym i to w miejscu najbardziej patetycznem. *J. K.*

— Dr. Władysław Szajnocha: *Z podróży geologicznej po Rosyi.* Zapiski z VII międzynarodowego kongresu geologów, odbytego w Petersburgu w r. 1897. (Lwów, nakładem autora, 1898). — Dziś, gdy badania umiejętne objęły wszystkie zakątki ziemi, a wiedza jest tak wieloraką i wielojęzyczną, jak nigdy przedtem, wzajemne porozumienie się przynajmniej od czasu do czasu stało się nieodzowną potrzebą. W tym celu bywają redagowane rozmaite „przeglądy“ naukowe, zakładane towarzystwa; ten też cel zbiera od czasu do czasu uczonych pewnej gałęzi wiedzy w tak zwane kongresy naukowe. Zgromadzenia te mniej lub więcej świetne, więcej lub mniej uczęszczane, w stanie dzisiejszym może nie spełniają jeszcze należycie swego zadania; rezultaty ich, w stosunku do nakładu pracy i kosztów, jakie za sobą pociągają, są często bardzo nikłe. Jeżeli zatem wyjdziemy wyłącznie tylko z założenia, że celem kongresów jest konsolidowanie i ujednostajnianie wiedzy, to rzeczywiście do tych turniejów naukowych zbyt wielkiej wagi przywiązywać nie można; inna jednak rzecz, gdy kongresy będziemy uważali za rodzaj naukowych odwiedzin, które zbliżają do siebie uczonych różnych narodów i krajów. Korzyści, jakie kongresy w ten sposób przynoszą, są bardzo znaczne i niezaprzeczalne. Jest jednak inny jeszcze *plus* kongresów — wycieczki naukowe. Mówiąc o pewnym kongresie, należy takowe na pierwszy plan wysuwać.

Tak też postąpił i prof. W. Szajnocha, opisując VII międzynarodowy kongres geologów. Świetne to zgromadzenie, którego echa rozbrzmiewały swojego czasu po całej Europie, odbyło się w ubiegłym roku w Petersburgu, a wycieczki z niem połączone objęły całą europejską część imperyum rosyjskiego. Prof. W. Szajnocha wziął w wielu z nich czynny udział i barwnem piórem skreślił wrażenia, jakie odniósł, podróżując po ogromnej przestrzeni cesarstwa. Tytuły rozdziałów są następujące: Petersburg, Peterhof—Imatra, Moskwa—Niżny Nowogród, Na Wołdze, Kisłowodsk—Władykawkaz, Przez grzbiet Kaukazu, Tiflis, Baku, Batum—Kercz, Krym, Kijów. Tę drogę

przebył nasz uczony w ciągu 44 dni. Wynosi ona przyzwoitą cyfrę około 10.500 wiorst. Że podczas takiej podróży i po lądzie, i po rzekach, i po morzu, doznać można niejednego wrażenia, zrobić niejedno spostrzeżenie — rzecz naturalna. Spostrzeżeń tych, nacechowanych zupełną objektywnością i zdradzających wielki dar obserwacyjny, jest pełno rozsianych w całej książce. Tem większą zaś one mają wartość, że nie zbywa im na porównaniach z okolicami, które nam są lepiej znane, z faktami, które dla nas nie są obce. Cechą wszystkich tych opisów jest także krótkość wyrażania się, nieraz oszczędność w słowach. Oto, jak prof. Szajnocha stara się n. p. zaznajomić czytelnika z nieznaną mu zapewne bliżej Samarą: „Miasto rozległe ale nieładne i bardzo banalne, ponoś fabryczne, ale bez kominów i znaczniejszych budowli, handlowe, ale prawie bez większych sklepów, mogłoby równie dobrze leżeć gdzieś około Brodów jak Szegedynu......“ W ten mniej więcej sposób załatwia się prof. Szajnocha ze stroną geograficzno-opisową. Jako zawodowy geolog, ma rozumie się ciągle na oku także stosunki geologiczne obszarów, które zwiedza i zawsze mniej lub więcej dokładnie zajmuje się tym przedmiotem, często odsłaniając i niefachowym rąbek zasłony, kryjącej sprzeczności, w jakich, co do niejednej kwestyi, żyją geologowie. Prof. Szajnocha wyciągnął z opisywanych wycieczek i tę także niemałą korzyść naukową, że nad rzeką Aragwą znalazł w górnoeoceńskich pokładach, podobnych zupełnie do wschodnio-galicyjskich Delatyna i Dory, po raz pierwszy wogóle we wschodnim Kaukazie, flyszowe inoceramy, takie same, jakie spotykamy nad Prutem, Czeremoszem, w okolicach Wiednia i północnych Apenninach. Że to odkrycie prof. Szajnochy ma niepoślednią wartość i znaczenie, świadczy zajęcie, jakie ono wywołało. Pozwolimy sobie też przytoczyć słowa innego uczestnika wycieczki, niemieckiego uczonego Dr. C. Dienera, który w ten sposób o niem mówi: „Gruzyjska droga wojskowa odsłania, dotąd najdokładniej badany, po raz pierwszy opisany przez Abicha, w ostatnich zaś latach na nowo zdjęty przez Inostracewa i Loewinsona-Lessinga, profil kaukazki. Mimo wszystko nawet i tutaj, szczególnie zaś po stronie południowej, zostaje jeszcze wiele dla badań szczegółowych. Dość powiedzieć, że nasi geologowie karpaccy w południowej strefie piaskowca towarzyszącej krystallicznemu trzonowi górotworu, spotkali utwory odpowiadające skałom galicyjskich Karpat, utwory, o których występowaniu na Kaukazie nikt dotąd nie wiedział.“ (*Bericht über die Excursionen des VII internationalen Geologen-Congresses in den Ural, den Kaukasus und die Krim;* „Mittheilungen der k. k. Geogr. Gesellschaft in Wien“, 1898, Heft III u. IV, str. 281).

St. Srokowski.

— Jadwiga Chrząszczewska: *Pogadanki z dziećmi* (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1896, str. 347 i III).— Książka ta bardzo pożyteczną być może dla nauczycielek, zajmujących się dziećmi małemi od 4-go lub 5-go roku życia aż do czasu szkolnego, jeżeli chcą ich umysł z jakimkolwiek planem rozwijać; niemniej jednak za przydatną ją uważamy dla każdej matki, która przygodnie w wolnej od innych zajęć chwili pragnie znaleźć wątek do rozmowy w młodem rodzinnem kółku. Nauczycielka musi książkę pilnie przestudyować i iść za wskazówkami, przez autorkę we wstępnych uwagach podanemi; matce wystarczy po jednorazowem przeczytaniu dziełka przepatrzyć tylko od czasu do czasu oddzielne ustępy, aby sobie przypomnieć treść rzeczy i w pewien ład ją ułożyć.

Autorka objęła zakresem pogadanek głównie nauki przyrodnicze, najwięcej historyę naturalną i nieco z fizyki, nadto częściowo geometryę, ze zmysłów naukę o oku, zresztą sprawy moralno - obyczajowe, a z praktycznych przedmiotów rzecz o odzieży.

Każda pogadanka zaczyna się od przedstawienia, o ile można, okazów, następnie głównie przez pytania wprowadza w treść, a kończy się „uogólnieniem“, którebyśmy raczej nazwali powtórzeniem albo uprzytomnieniem tego, czego się dzieci z pogadanki dowiedziały.

Obok formy pytań i wydobywania od dzieci odpowiedzi, używa autorka także opowiadań i opisów, jako przystępnych wykładów, albo dla urozmaicenia każe opowiadać niby zwierzętom, n. p. wiewiórce o swoich losach, życiu, zabawach i t. p.

Czuje się w tych pogadankach brak naturalności i prostoty, widać w nich prawie wszędzie sztuczne i prawie doktrynerskie obmyślenie, mimo to jednak, ponieważ materyał jest zebrany troskliwie, książka zasługuje na polecenie i przydać się może w każdej rodzinie, drobne dzieci mającej.

Dr. L. K.

— Polonica średniowieczne według badań niemieckich w 1897—1898 r.

Pod tym tytułem pragniemy dać wiadomość o rezultacie badań tych uczonych niemieckich, którzy w ostatniem dwuleciu poruszyli lub roztrząsnęli wchodzące w zakres naszych dziejów średniowiecznych tematy. Zasługują one bowiem na osobną, a nie biograficzną tylko wzmiankę. Jest ich cztery:

Prof. Dr. Baeumker, in Breslau: *Ein Naturforscher und Philosoph des XIII Jahrhunderts in Schlesien.* (*Zeitschrift des Vereines für Geschichte und Alterthum Schlesiens.* Breslau, 1898. T. XXXII, 373—380).

Prof. Dr. H. Finke: *Neue Schriften Dietrichs von Niem.* (*Zeitschrift für vaterländische Geschichte und Alterthumskunde Westfalens.* Münster, 1897. T. LV, 259—262).

F. X. Funk, prof. der Theol. an d. Universität Tübingen: *Martin V und das Konzil von Konstanz.* (*Kirchengeschichtliche Abhandlungen und Untersuchungen.* Paderborn, 1897. T. I, 489—498).

E. R. Daenell: *Polen und die Hanse um die Wende des XIV Jahrhunderts.* (*Deutsche Zeitschrift für Geschichtswissenschaft*, begründet von L. Quidde. Neue Folge. II Jahrgang, der ganzen Folge VIII Jahrg. Vierteljahreshefte. Freiburg i. B., 1898, str. 317—341).

Pomijamy natomiast dość ciekawy, ale w luźnym związku z naszą historyą będący i zresztą nieuzasadniony należycie wywód X. kanonika A. Kolberga, jakoby odkryty przez niego w rękopisie z XII—XIII w. — obecnie w muzeum Metternicha w Königswart (w Czechach)—list biskupa Adelberta do biskupa Milona z Minden († 996 r.), załączony do legendy męczeństwa św. Gorgoniusza i Doroty, oraz wstęp i epilog tejże legendy miały być utworem św. Wojciecha, biskupa pragskiego z r. 993 (*Ein Brief des hl. Adalbert von Prag an den Bischof Milo von Minden aus dem J. 993.* Zur 900 jähr. Jubelfeier des Martyriums der hl. Adalbert. Braunsberg, Wichert, 1897. 8-o, str. 40. Odbitka z t. XI *Zeitschrift für die Geschichte und Alterthumskunde Ermlands*; czyt. jej krytykę przez Bollandystów w *Analecta Bollandiana.* T. XVI, 526 i Künstle'go w *Historisches Jahrbuch.* T. XIX, 159).

Doskonała, zdaniem naszem, rozprawa X. kanonika Hiplera o tekstach, genezie pieśni naszej *Boga Rodzica* (*Untersuchungen über das dem hl. Adalbert zugeschriebene älteste polnische Marienbild.* Braunsberg 1897. 8-o, str. 32) wymaga osobnego sprawozdawcy, artykuł zaś Minoryty O. Eubel'a o biskupach mołdawskich pojawił się już po napisaniu niniejszych recenzyj.

I. Rozprawa Baeumkera dotyczy naszego mistrza Witelona, autora wielokrotnie drukowanej w w. XVI *Optyki* i anonimowego traktatu filozoficznego w duchu platońskim p. t. *De intelligentia.* Pierwsza znalazła już nieraz dostateczne uznanie ze strony historyków umiejętności matematycznych i przyrodniczych średniowiecza, lecz najdokładniejszą i prawdziwie naukową o niej wiadomość podał niżej wspomniany Dr. Wituski. Jestto praca, jak przeważna część naukowej produkcyi średniowiecznej, kompilacyjna, opiera się na piśmie Alhacena (Ibn Alhaitam), fizyka arabskiego; zawiera jednak przytem wiele oryginalnych poglądów autora i świadczy o wielkiej jego znajomości literatury przedmiotu. O dziełku *De intelligentia*, przypisanem od czasów B. Pez'a w *Thesaurus anecdotorum* (T. I

Introd. p. LXXIII) z r. 1721, Alanusowi de Insulis, stwierdziła najpierw nauka polska, że traktat ten o sposobach i stopniach poznania, o jego warunkach i wpływach na nie działających, jest utworem Witelona i ona pierwsza podała dokładną analizę jego treści i źródeł. Uczynił to współpracownik *Przeglądu Polskiego*, Dr. Witold Rubczyński, jeszcze w 1891 r. (*Traktat o porządku istnień i umysłów i jego domniemany autor Vitellion*. Przyczynek do historyi pojęć średniowiecznych, w tomie XXVII *Rozpraw Wydz. filozof.-hist. Akademii Umiej. w Krakowie* i w osobnej odbitce, 8-o, str. 33). Później, lecz niezależnie od Dr. Rubczyńskiego, zajął się tą kwestyą, do tych samych przychodząc wyników, najtęższy dzisiaj między Niemcami znawca filozofii średniowiecznej, Dr. Baeumker, profesor uniwersytetu w Wrocławiu (*Handschriftliches zu den Werken des Alanus*. Odbitka z tomu VI i VII Goerresowego *Philosophisches Jahrbuch*. Fulda, 1894, na str. 26 — 38). Obecnie przygotowywa tenże wydanie krytyczne całego traktatu Witelona na podstawie sześciu rękopisów: Pl. XIII dex Cod. XI Laurencyany florenckiej— na nim to Dr. Rubczyński oparł swoje studyum, wskazał go zaś pierwszy Wiszniewski (*Hist. lit. polskiej, I, 460*) — paryskich, w Arras i Lilienfeld. Edycya Baeumkera, może już w tej chwili ukończona, pojawi się w wydawanych przez tegoż łącznie z Hertlingiem: *Beiträge zur Geschichte der Philosophie des Mittelalters*. Gdybyśmy mieli tylko tyle do doniesienia, nie wspomnielibyśmy może jeszcze o zajęciu się Baeumkera Witelonem. Ale Baeumker wyrzekł już o nim swe zdanie w przytoczonem powyżej czasopiśmie szląskiem. Podnieść należy, że uczony szląski starał się uwzględnić naszą literaturę przynajmniej częściowo i z powodu nieznajomości naszej mowy pośrednio, bo za pośrednictwem p. Czaji, słuchacza teologii w Wrocławiu, który mu przełożył względnie najlepszą rzecz w naszej literaturze o Witelonie, rozprawę poznańską Dr. L. Wituskiego z r. 1870: *O życiu i dziele optycznem Vitellona* (poświęcił ją autor członkom drugiego Zjazdu lekarzy i naturalistów polskich w Poznaniu).

Przedmiotem uwag Baeumkera jest sama osobistość słynnego naszego przyrodnika i filozofa: jego imię i pochodzenie.

Jeszcze Dr. Rubczyński zatrzymuje późną, dopiero w XVI wieku powstałą formę Vitellio, Vitellion, słusznie zresztą za Wituskim i Żebrawskim zwracając na to uwagę, że to nazwa imienna, a nie rodowa, niby familii Ciołek, *vitellus*. Według etymologicznej wskazówki, jakiej udzielił Dr. Rubczyńskiemu prof. A. Miodoński, „imię Vitello wyprowadza się o wiele naturalniej z *Vitalis*, aniżeli z *Vitko*=Witek, jak chciał Żebrawski". (Rubczyński, l. c., str. 24, nr. 1). Wywód Baeumkera o pierwotnem brzmieniu imienia naszego autora jest przekonywujący. *Vitellio*, to zepsuta forma (przypominająca starorzym-

skie to imię) z wyrazu *Vitello*, który znów nie jest niczem innem, jak tylko przekształconą na sposób klassyczny pisownią wyrazu *Witelo* (Witelon). To jest właściwe łacińskie imię chrzestne autora *Optyki* z XIII w., to bowiem, a nie inne przywiódł Echard z rękopisu paryskiego u św. Wiktora (Quelif et Echard: *Scriptores ord. Praed.* I, 389 w ed. paryskiej z 1719 r.). Zapatrywanie Baeumkera, jak nadmieniliśmy, słuszne jest, ale nie nowe. Podał je i stwierdził dostatecznie jeszcze w 1871 r. toruński uczony M. Curtze, któremu mamy do zawdzięczenia wiadomość o trzynastu rękopisach *Optyki* Witełona: dwa w Watykanie Urb. 265 i 296 z XIV i XV w., rzymski Boncompagni z XIV w., dwa florenckie w Laurencyanie Pl. XXX Cod. XIV z XIV w. i Gaddiani Reliqui Cod. 10 z początku w. XV, następnie dwa paryskie w Bibl. Narodowej *Fonds Lat.* 7248 i 7391 z w. XIV i XV, berneński Math. 61 z w. XV, również z tego wieku bazylejski A. N. I. 11, erfurcki Cod. Ampl. 374 Fol. z drugiej połowy w. XIV (gdzie w nagłówku dzieła nazwany jest nasz autor także: *optimus Wiczelo*), dalej dwa oxfordzkie: Bodlej. Asmolean 424 z końca w. XIV i z owego wieku Merton. College Q. 3. 10. Art., wreszcie ostatni toruński (w Bibl. Gimnaz.) R. 4-o 2 z w. XIV. We wszystkich tych rękopisach imię naszego autora jest *Witelo*, z dodatkiem kopistów w *Explicit: perspectiva magistri Witelonis*, czasem nawet *de Pollonia*. Wobec tak zgodnego przekazu w najstarszych znanych dotąd kodeksach *Optyki* rzekomego Vitelliona, ani chwili nie można wątpić o właściwem brzmieniu jego imienia. Pierwszy u nas prof. Birkenmajer zaczął go też pisać jak należy *Witelonem*. (*Marcin Bylica z Olkusza*, Kraków, 1892, str. 104 i *passim* według indeksu na str. 163). Jeden z powyższych rękopisów mógł był nie dawniej, jak przed kilku miesiącami, dostać się do Polski, gdzie dotąd, nie wyłączając bibliotek wrocławskich, nie odkryto jeszcze żadnego rękopisu Witelona. W puszczonej na licytacyę pierwszej części biblioteki Boncompagnich w Rzymie od 27 stycznia do 12 lutego b. r. znajdował się wspomniany wyżej kodeks pergaminowy Fol., podobno z samego XIII w. (a nie XIV w., według Curtze'go). Tak przynajmniej zaręcza katalog rzeczonej biblioteki, przywodzący początek perspektywy: *Incipit prologus in primum librum perspective.* (*V*) *Eritatis amatori fratri Vilhelmo de Morbeka* „*Witelo filius Thuringhorum et Polonorum*“ (u Curtze'go: *colonorum*) *eterne lucis irrefracto mentis radio felicem intuitum et intellectum perspicuum subscriptorum Universalium entium studiosus amor.* (*Catalogo della biblioteca Boncompagni. Parte I: contenente i Manoscritti, Facsimili, Edizioni del Secolo XV.* Roma, Piazza Cenci. Palazzo Cenci, 1898. 8-o, na str. 52, nr. 278 — drugiej części tego katalogu nie mieliśmy w ręku, ma wyjść jeszcze część trzecia i ostatnia). Szkoda prawdziwa, że cenny ten rę-

kopis poszedł w niewiadome ręce, mimo, iż był niekompletny kończył się bowiem już na 76-ym teoremacie księgi X (ostat niej), nadto niedostawało mu wstępów do ksiąg V—VIII i tel stu księgi VII i VIII, obejmował 154 kart pergam. (wedłu Curtze'go 144). Curtze w tem szpetnie pobłądził, że opiera się na niezmiernie kruchej podstawie imienia *Witelo*, uznał za niewątpliwie niemieckie, za zdrobnienie imienia *Wito Wido*, a ztąd w dalszej konsekwencyi, wbrew oczywistym św dectwom, samego Witelona poczytał za czystej krwi Niem Zbijający to mniemanie T. Żebrawski popadł w drugą os teczność, nazywając naszego autora, jako rodowitego Pola Witkiem (czyt. *Uwagi nad rozprawą prof. Max. Curtze w prz miocie pisowni imienia i narodowości Witka, autora „Opty z XIII w.* Odbitka z *Rozpraw Wydz. filolog.* Tom VI Ak Umiej. w Krakowie).

Innych pozytywnie nowych szczegółów o życiu Witel rozprawka Baeumkera nie przynosi nad to, co podał lub cz się domyślał p. Wituski z kilku ogólnikowych wzmianek aut w jego dziełku o perspektywie, ukończonem najprawdopo bniej około r. 1270. Przyznać trzeba, że profesor wrocławs wolny od uprzedzeń narodowościowych — co dzisiaj za zasłu poczytanem być musi u uczonego niemieckiego — sumienni i gruntowniej opracował podjęty przez siebie temat, aniż Curtze. Głównej tezie Baeumkera, do której zmierza cały n niejszy jego artykuł, nie mamy nic do zarzucenia. Wzniósł za wskazówkami Dr. Wituskiego, ale poparł ją własnemi uw gami i zbadaniem rzeczy źródłowem, nie obcem dla nas, le dla Niemców i innych prawie nowem, w każdym razie wiel ich pouczającem. Ta jest treść wywodu Baeumkera: Witel urodził się w kraju, który się zwał podówczas Polską, poch dził zaś z rodziny, przybyłej wśród kolonizacyjnego prądu z T ryngii do Polski. Jak słyszeliśmy, nazywa siebie synem *Th ringhorum et Polonorum;* nie dość na tem, w tem samem dzie zeznaje, że jego ziemią, jego ojczyzną była Polska, *in nostr terra, scilicet Polonie* (X, 74). Uwagi godnem, czego Baeumke nie podnosi, że nasz autor *Optyki* w zapisku wyżej wspomnia nego rękopisu oxfordzkiego Bodlej. z w. XIV, nazwany jes wprost Polakiem i przedewszystkiem matematykiem, *magister Vittulonus Polonus, flos mathematicorum.* I reszta przywiedzionych w tym zapisku szczegółów świadczy o wybornej informacyi jej autora, a mianowicie, że Witelon był najlepszym komentatorem arabskiego optyka Alhazena, chociaż go ani razu w owem dziele nie wspomniał, (do tego rezultatu przyszedł, nie znając tego zapisku [czyt. go u Żebrawskiego, l. c. str. 7] Dr. Wituski, l. c. str. 54 i 79); następnie, że swoją *Optykę* napisał na prośbę Dominikanina Wilhelma z Moerbeke w Brabancyi, penitencyarza wówczas papieża Klemensa IV (1265 - 1272),

a słynnego tłómacza—na prośby znów św Tomasza z Akwinu—dzieł Arystotelesa; o tej genezie swojej *Optyki* wspomina sam Witelon w jej przedmowie; wreszcie, iż był towarzyszem, *socius*, mistrza Campany z Novary, włoskiego astronoma za czasów pontyfikatu Urbana IV (1261 - 1294) i komentatora geometryi Pseudo-Euklidesa. Po nitce do kłębka; przy tych danych, na-życie objaśnionych i wzmiankach topograficznych w *Optyce* miastach włoskich, szczególniej dwukrotnie o Padwie i jej -olicy (X, 42 i 69), możnaby dojść do bardzo prawdopodo-nego rozwiązania tajemnicy studyów włoskich Witela i jego osunków naukowych, z najwybitniejszymi podówczas przedsta-cielami wiedzy filozoficznej. Odsłonić się je starał Dr. St. indakiewicz w *Przeglądzie Polskim* (z kwietnia 1888 r., r. 59 — 63), w to dobrze trafiając, że nasz przyrodnik i filo-f był Szlązakiem. Tak też mniema Baeumker. I słusznie. Do-ki operować będziemy tą samą sumą o tem wiadomości, nie ożna mieć innego zdania o pochodzeniu Witelona. Dał je on m w *Optyce*. W przytoczonem powyżej miejscu, w księdze X vierdz. 74, rozprawia o zjawisku tęczy, jakie się zdarzyło, *in ostra terra, scilicet Polonie, habitabili, que est circa latitudinem 0 graduum*. Ogólnikowa ta wzmianka o Polsce, leżącej pod ewacyą 50 stopnia, właściwie około, *circa* tego stopnia, ściąga ę raczej do Wrocławia, aniżeli do Krakowa, gdzie dopatry-vano się dawniej miejsca urodzenia Witelona. O Krakowie rzecież ani razu nie wspomina. Natomiast o Wrocławiu mówi yraźnie w ks. IV teorem. 28, traktując rzecz o złudzeniach ptycznych na podstawie własnych obserwacyj: *Et huius simile ccidit iuxta civitatem Wratislarie apud nemus ville Borec* (w dru-ach fałszywie *Boret*, podobnie *Morbeta* zamiast *Morbeca*); *visi unt enim homines ibi in crepusculis altiores nemore illo alto; t visus est lupus iuxta lignum et castrum Polonie equalis alti-udinis ipsi nemori*. Owego *lignum et castrum Polonie* nie umiemy znaczyć, na wieś Borek pod Wrocławiem łatwiej wskazać. czynił to Baeumker przy pomocy pp. Grünhagena, Markgrafa Wendta. Wspólne poszukiwania za Borkiem w pobliżu Wro-ławia w dyplomatach z XII — XIV w. przeważnie jeszcze nie-głoszonych, wydały ten rezultat, że wspomnianym przez Wite-ona Borkiem, to dzisiejszy Kleinburg w sąsiedztwie Wrocławia, mniej prawdopodobnie Grossburg, niedaleko Strzelec (Strehlen); okazało się przytem, że wchodzący w skład tych nazw wyraz *Burg*, niema nic wspólnego z niemieckim *burgiem*, lecz powstał z polskiego *borku*. Do powołanych przez Baeumkera dzieł o topografii Szląska dołączyć można Damrotha: *Die ältesten Ortsnamen Schlesiens. Ihre Entstehung und Bedeutung*. (Beuthen O. S. Kasprzyk, 1896, na str. 161). Przypis ostatni rozprawki Baeumkera zdaje się nam ważniejszy, aniżeli cały wywód

o Borkach szląskich, a mianowicie, że nietylko w XIII w., lecz jeszcze w ciągu XIV w. Szląsk nazywał się *Polonia*.

Wszystkie pomienione wskazówki przemawiają za Szląskiem, jako ojczyzną Witelona, w każdym razie przechował on pamięć tylko o tej części swojego i naszego kraju. Nie wrócił już więcej do niego. Po za jego granicami, jak wielu naszych uczonych i pisarzy średniowiecznych, zakończył życie; są niejakie ślady, że wyszedłszy z Włoch, pozostawał w opactwie norbertańskiem Vicogne, blisko Valenciennes, we Flandryi francuskiej (Żebrawski: *Uwagi* etc., str. 6). W uniwersytecie krakowskim wypływa jego imię i jego *Optyka* wkrótce po powstaniu szkoły Jagiellońskiej. Nie dopiero Marcin z Żórawic alias z Przemyśla wspomina go pierwszy w swoich wykładach około 1445 r. (zob. Birkenmajer, l. c., str. 22 i 113, przyp. 52), lecz pietnaście lat przedtem (1430 r.) przywodzi go już Sędziwój z Czechła, komentując *Perspektywę* Jana Pizańczyka. Dotyczący ustęp lektury Sędziwoja wyjaśnia, czemu dzisiaj brak rękopisów *Optyki* Witelona w naszych bibliotekach. *Perspektywy Witelona, Bakona, Alhacena non sunt ita communes in scolis nostris* — poucza mistrz Sędziwój. Jeżeli Żebrawski dobrze odczytał ten ustęp Kod. Jagiell. nr. 1929, str. 2 (por. *Bibliografia matematyki i fizyki*, Kraków, 1873, str. 23), to Sędziwój Witelona nazywa *Vitalio vel Vitulio*. Czyżby ta lekcya wskazywała na podaną przez prof. Miodońskiego etymologię tego imienia z *Vitalis*, lub na odpowiadające temu staropolskie imię: *Wituła?*

II. Spór o pisma reformacyjne sławnego Westfalczyka, kuryała Dietricha z Niem z początku XV w., jeszcze jest niezałatwiony między uczonymi niemieckimi (Finke, Sauerland, Erler i Sägmüller). Jednemu z nich, prof. Finkemu z Monasteru, który się niemi zajmuje już od lat dziesięciu, przybywa obecnie w pomoc wskazany przez prof. Halbana-Blumenstocka w Dovego *Zeitschrift für Kirchenrecht* (III Folge, Band V, 219) kodeks dzisiaj petersburski (I F. ch. 321), ongi sporządzony przez jednego z uczestników polskich na soborze konstancyeńskim. Zawiera on sześć nowych, krótkich pisemek Dietricha z pierwszych miesięcy 1415 r. w sprawie usunięcia schizmy papieskiej. Jedno z nich, *Avisamentum*, zaadresowane do arcybiskupa gnieźnieńskiego, obecnego na soborze Mikołaja Trąby: *Avisamentum mgri. Theol. de Nyem datum Domino Archiepiscopo Gnesnensi*: „*Si in principio huius congregationis*“ f. 85 rzeczonego kodeksu (zob. także A. Halban: *Wiadomość o rękopisach bibl. petersb.* w *Archiwum komisyi histor.* T. VI, nr. 420). Niestety nasz rękopis petersburski nie rozstrzyga jeszcze najwalniejszej kwestyi w wspomnianym sporze: autorstwa głównego — zdaniem Finkego — dzieła Dietricha: *De modis uniendi ac reformandi ecclesiam*, które niedawno Sägmüller przypisał

hiszpańskiemu teologowi Andrzejowi z Escobar (w *Historisches Jahrbuch*. T. XIV, 562 i XV, 809 nr. 5). Finke korzystając z relacyi Dr. Halbana o kanonistycznych rękopisach polsko-petersburskich, pragnie zwrócić na nią uwagę swoich rodaków; szkoda tylko, że cennych swoich o niej objaśnień i sprostowań (str. 260 w nocie), nie pomieścił w innej, więcej rozpowszechnionej w samych Niemczech publikacyi. Z zapatrywaniem Finkego, że traktat Mateusza z Krakowa o symonii kuryi rzymskiej z r. 1404 nie jest utworem naszego teologa-biskupa, nie możemy się zgodzić.

Lecz nie sam Petersburg, ale bliższy Niemcom Kraków, chowa niektóre z pism Dietricha Westfalczyka w książnicy Jagiellońskiej. Jej rękopis nr. 1373 po postylli Angielczyka Roberta Holgotha, zakonu Dominikanów, która była własnością Krakowianina Jana Isnera, pierwszego profesora teologii w naszym uniwersytecie, mieści na dwóch ostatnich kartach: *Contra dampnatos Wichfitas Prage et qualis sit contra eos execucio habenda.* Ciekawa ta egzekucya przeciw wiklefitom pragskim kończy się następującym zapiskiem: *Taliter dicta sunt per me T. de Nijem; submitto correctioni dni. Summi pontificis et alterius cuiuscunque catholici, me perspicacius intelligentis, que recollegi Bononie a. d. 1411 die 6 mensis Marcij* (Wisłocki: *Katalog rękopisów bibl. univ. Jagiell.*, str. 341—2). Dietrich był wówczas sekretarzem papieża Jana XXIII, przygotował zaś swój memoryał, gdy proces Husa w Kuryi rzymskiej zakończył się był niepomyślnie dla reformatora czeskiego. Właśnie co dopiero bowiem, stojący na czele komisyi kardynalskiej w sprawie Husa, podejrzanego o wiklefityzm, kardynał-biskup boloński, Otton Colonna, późniejszy papież Marcin V, ogłosił w lutym 1411 r. klątwę na Husa *(propter contumaciam)*, jej publikacya w Pradze nastąpiła w miesiąc później, dnia 15 marca. Tak więc z zapiski naszego rękopisu, objaśnionej przebiegiem sprawy wiklefizmu i Husa w Kuryi papieskiej (czyt. teraz o tem K. Müllera rozprawę w *Historische Vierteljahrschrift*, I zeszyt z 12 kwietnia b. r., str. 45-46), zyskujemy ważną wiadomość o współudziale Dietricha w akcyi antiwiklefickiej. Dalsze pytanie o znajomości Dietricha z Polakami i o jego z nimi stosunkach, szczególniej w Bolonii, łączy się z innym tematem, którego tutaj poruszać nie możemy. Dość, że przybywszy do Konstancyi, spotkał się tam z naszem poselstwem, jako z dobrym swoim znajomym. Inne jeszcze ma dla nas znaczenie Dietrich. Znaczny wpływ, jaki wywarł na naszą historyografię (na Długosza, który kreśli tak niepoczestne sylwetki papieży w epoce schizmy zachodniej za Dietrichem), nie jest wprawdzie nieznany, gruntowne przecież tego przedmiotu zbadanie byłoby pożądane.

III. Do złotych myśli Funka o stanowisku papieża Marcina V wobec soboru konstancyeńskiego nie mamy nic a nic

do dodania, prócz ubocznej tej uwagi, że się one jakoś przyjąć nie mogą u wszystkich dzisiejszych historyków kościelnych, chociaż są jedynie słuszne. Wypowiedział je profesor tübingski jeszcze w 1888 r. w *Theol. Quartalschrift*, teraz zaś wcielił je z nowemi dodatkami do I tomu swoich rozpraw i poszukiwań, publikacyi, która obok Duchesne'a niedokończonych jeszcze *Autonomies ecclésiastiques*, zajmuje pierwszorzędne miejsce w szeregu ostatnich badań krytycznych historyografii katolickiej.

Burzliwy był finał drugiego z rzędu wielkiego soboru reformy XV w. Sprawili to Polacy. Wielkie było ich wzburzenie, gdy posłyszeli zamykające urzędowo sobór słowa: *Domini, ite in pace*— a osądzona już przez nacye sprawa obrzydliwego pisma Falkenberga nie otrzymała była jeszcze mocy prawnej wyrokiem soboru. Zagrozili protestacyą; zrobił się gwałtowny tumult, poparty przez Francuzów, rozżalonych na sobór, że nie potępił uroczyście również niebezpiecznej i podobnej do prusko-krakowskiego Dominikanina, tezy Franciszkanina Jana Petita z Paryża (o godziwości zabójstwa tyranów); podnoszono, że jeżeli sobór uchyli się od orzeczenia w tej mierze, nie dopełni drugiego walnego swego zadania w sprawie wiary, dla którego się zebrał, by wytępić herezyę. Wśród gorączki sprzecznych rozpraw wzrosło zamięszanie. Tylko bezpośrednia ingerencya papieża mogła je usunąć. Rzeczywiście Marcin V zabrał tedy głos: *Cum multum dicerent et tumultum facerent, imposito omnibus silentio, dixit, respondendo ad praedicta: quod omnia et singula determinata et conclusa et decreta in materiis fidei per praesens sacrum concilium generale Constanciense conciliariter tenere et inviolabiliter observare volebat et nunquam contravenire quoquomodo. Ipsaque sic concilialiter facta approbat Papa, omnia gesta in concilio conciliariter circa materiam fidei et ratificat et non aliter nec alio modo.* (De Hardt, T. IV, 1558). Jak już sam tenor tych słów wraz z zaznaczonem całem zajściem poucza, wyrzeczenie niniejsze papieża odnosi się jedynie do sprawy Falkenberga; Marcin V uchylił ją zupełnie, orzekając, że go obowiązują tylko postanowienia soboru *in materiis fidei conciliariter* zapadłe, a nie inaczej, t. j. *nationaliter*. O całości dekretów soboru, jak się pospolicie mniema od czasu Turrecrematy (*Summa de ecclesia* II, 99) i Raynalda (ad a. 1418, 2), nie wyrzekł ani słowa. Nie był czas po temu, ani taka forma o tak doniosłej sprawie, jak zatwierdzenie uchwał soborowych. Że Marcin V uznawał z nich nie wyłącznie same dogmatyczne *de materiis fidei*, o tem świadczą przecież wydane przez niego artykuły reformacyjne 43-ej sesyi, zwołanie soboru do Pawii—Sieny w moc krytycznego dekretu *Frequens*, nakazana bullą *Inter cunctas* z 22 lutego 1418 r. inkwizycya podejrzanych o herezyę Wiclifa i Husa: *Utrum credat, quod illud, quod sacrum concilium Constanciense, universalem ecclesiam repraesentans, approbavit et approbat in favorem fidei et*

ad salutem animarum, quod hoc est ab universis Christi fidelibus approbandum et tenendum etc. Czy jednak uznawał wszystkie bezwzględnie? To inna rzecz. Z pewnością tak on sam, jak i każdy jego następca nie ratyfikował nigdy uchwał sesyj IV i V. Wszakże pisemnego przekazu o tem nie podają dzieje. Dotyczące słowa Marcina V nie doszły nas. Prąd reformy, zwracający się przeciw papiestwu, był tak silny, że nie dozwalał mówić o najświętszym dla niej kanonie wyższości soboru nad papieża lub przynajmniej zagłuszył odnośne wyrzeczenie Marcina V, tak, iż my dzisiaj nic o niem nie wiemy.

IV. W inne strony i na zupełnie inne pole przenosi nas Daenell, bo w dzieje polskiego handlu, a w szczególności Krakowa, do XV w., a więc w przedmiot, który „dla wielkiego zajęcia, jakie budzi, dla niemałej swej wagi i na jaw nie wydobytych źródeł, zasługiwałby na pilniejsze rozważenie. Byłaby to wielce ciekawa rozprawka, któraby wykazać się starała, czem był Kraków pod względem przemysłowo-handlowym za czasów Kazimierza W., Ludwika, Władysława Jagiełły“. Tak pisał A. Pawiński, ogłaszając *Notatki kupca krakowskiego w podróży do Flandryi z r. 1401 — 1402* (w *Bibliotece Warszawskiej* z r. 1872. T. III, 58—73). Od tego czasu pojawiły się w publikacyach Komisyi historycznej Akademii Umiejętności źródła dotyczące, lecz żądanych przez Pawińskiego rozpraw nie ma jeszcze w naszej literaturze, wyjąwszy jedynie podstawowe uwagi J. Szujskiego w przedmowie do *Najstarszych ksiąg miasta Krakowa.* Pożądaną tedy jest praca Daenella, rozstrząsająca temat stosunków handlowych Polski z Hansą w ciągu w. XIV, ze szczególniejszem uwzględnieniem handlu Krakowa z Prusami. Rzecz swoją oparł autor głównie na wspomnianych księgach i dwutomowym dyplomataryuszu miasta Krakowa (wyd. w *Monum. medii aevi histor.* T. IV, V i VII z 1878, 1879 i 1882 r.) i rozprawach Oesterreicher'a o stosunkach handlowych Torunia z Polską (w *Zeitschr. d. Westpreuss. Gesch.-Vereins*, zeszyt 28, str. 1 — 91, z r. 1890 i zeszyt 33, str. 47 — 93, z r. 1894). Za autorem i nam podnieść trzeba, że na znaczenie naszych wydawnictw krakowskich dla historyi handlu średniowiecznego zwrócił uwagę w wyczerpującem ich omówieniu prof. Perlbach w *Hans. Gesch.-Bl.*, zaraz jeszcze 1882 r. Wskazany przedmiot poruszył już autor w wydanej w roku ubiegłym swojej historyi Hansy niemieckiej w drugiej połowie w. XIV; niniejszem przedstawia go obszerniej w czterech oddzielnych ustępach. Zdaje nam się, o ile sądzić możemy, że właściwym przedmiotem rozprawy Daenella nie tyle jest handel Polski, względnie Krakowa, jak raczej rozwój handlu Torunia z Polską, Rusią i Litwą, jego dzieje w początkach panowania Władysława Jagiełły, a więc w okresie wzrostu i przewagi w Słowiańszczyznie handlu miasta Krakowa, gdy wskutek złych

stosunków Polski z Zakonem, król Jagiełło w związku z książętami pomorskimi otwarł dla swego państwa nową drogę lądową i wodną na Zachód przez Wartę i Odrę do miast hanseatyckich, przez Flandryę do Anglii (1390 r.). Kiedy niedługo potem 1397 — 1398 r. polepszyły się stosunki dyplomatyczne Polski z Zakonem i na nowo zawiązane zostały stosunki handlowe z Prusami, zyskały na tem Gdańsk i Elbląg, nie Toruń.

X. Dr. J. Fijałek.

— *Geschichtslügen.* Eine Widerlegung landläufiger Entstellungen auf dem Gebiete der Geschichte mit besonderer Berücksichtigung der Kirchengeschichte. Aufs neue bearbeitet von Freunden der Wahrheit. 14 u. 15 Aufl. (Paderborn, Schöning, 1898, 8-o, str. XVI, 532). — Nie należymy do zwolenników tego rodzaju książek, co powyższa, uważana przez niektórych za alfę i omegę prawdy i krytyki historycznej, a mająca w szerokich kołach katolickich Niemiec tak ogromne wzięcie, że znacznie przerobiona i znamienicie rozszerzona ukazuje się w ciągu lat 15 od r. 1883 w 15 wydaniu. Historya nie jest i nie powinna być apologią. Katoliccy autorowie, duchowni szląscy, zwłaszcza ich naczelnik, zaszczytnie znany, były redaktor *Germanii* berlińskiej, X. Dr. Majunke, nie zawsze pozostają w zgodzie z prawdą historyczną, gdy odpierają kłamstwa i wyjaśniają w obiegu będące fałsze historyczne. Poważny badacz z własnego ich obozu nie może się pisać na wszystkie ich tezy i dowodzenia; wybór tematów i sposób ich opracowania nie zawsze trafia do celu. Tak n. p. w pół roku po wyświeconym „szwindlu“ Taxila, przyjaciele prawdy rozprawiają *per longum et latum* o kulcie szatana w wolnomularstwie (str. 469—487). Gorsza rzecz, że nad rezultatem badań L. Pastora w trzecim tomie jego *Dziejów Papiestwa* przechodzą ostentacyjnie, zwracając się do niejakiego proboszcza-historyka Dr. Gröne z przed lat 30, którego przeciwstawiają innsbruckiemu profesorowi, aby dowieść w ustępie o papieżu Aleksandrze VI, że Lukrecya Borgia była jego siostrzenicą (str. 77 i następne). Niewątpliwie znany sąd Pastora o Savonaroli nie jest zupełnie słuszny i nie zamyka odświeżonego sporu o winę reprezentanta fanatyzmu obyczajowego, jak Savonarolę charakteryzują *Geschichtslügen* (str. 154), ale polemika ich autorów z Pastorem o niepokalaną czystość charakteru Savonaroli wzbudza niesmak wielki. Gorliwość przyjaciół prawdy przechodzi nieraz słuszną miarę, heterodoksów nie nawróci, a poważną historyografię katolicką, która dokumentami w ręku obala utarte formuły z czasów polemiki religijnej, podejrzywa o stronniczość i niesumienność. Klassycznym tego przykładem przykry spór o rzekome samobójstwo Marcina Lutra. Kwestya ta już dzisiaj ostatecznie jest rozstrzygnięta, dzięki gruntownym studyom uczonego X. M. Paulusa z Monachium (czyt. ostatnią jego rozprawę: *Luthers*

Lebensende. Eine kritische Untersuchung, w 8-o, str. VIII, 100 w *Erläuterungen und Ergänzungen zu Janssens „Geschichte des deutschen Volkes“*. Hrsg. von L. Pastor. Zeszyt 1). Dr. Majunke wprost nas zadziwił swoim uporem, twierdząc, że się Luter sam powiesił, przyczem zupełnie na seryo przyjmuje świadectwo naszego Hozyusza, że Lutra prawdopodobnie dyabeł zadusił (str. 197). Niniejsze wydanie powtarza starą baśń o samobójczym końcu Lutra, a szydząc z wywodów Paulusa, powołuje się między innymi na egzegetów i pisarzy ascetycznych XVII, XVIII i XIX w., n. p. Korneliusza a Lapide, Malvendę, Segneri'ego, Marcina z Kochem (!) i cały szereg innych pisarzy niemieckich i francuskich *minorum gentium* z lat ostatnich, którzy własną jego tezę przyjęli byli. Zkąd to zacietrzewienie? Zdaje nam się, że ono wypływem tego doktryneryzmu, który na dzieje kościelne każe spoglądać i osądzać je według pewnych z góry powziętych teoryj i zasad, jakie z naukową metodą historycznego badania nie mają nic wspólnego. Pouczającym jest w tym względzie ustęp 8-my o śmierci sekciarzy. Myśl kaznodziejskiego zdania Ojca Marcina z Kochem, autora wykładu Mszy św. i „słynnej“ księgi historyi, że żaden z kacerzy nie umarł dobrą śmiercią: *sicut vixit, sic morixit*, zastosował Dr. Majunke do Lutra. Wiele rzeczowych błędów i fałszywych poglądów byłoby też do wytknięcia, jak n. p. że w czasie schizmy zachodniej nie było wcale tak jasnem, który z papieży był prawowitym zwierzchnikiem Kościoła, jak *Geschichtslügen* starają się dowieść lub że synod kardynalski w Pizie 1409 r. był prostem zborzyskiem (str. 170 i następne), albo że papież Klemens XIV umarł ze wzruszenia, iż zniósł zakon Jezuitów (str. 352 w uwadze). Na terren historyi polskiej „przyjaciele prawdy“ nie wstępują i mają racyę. Przygodne wzmianki o Polsce (zob. fałszywe cytaty w spisie rzeczy) świadczą, że coś wiedzą o jej przeszłości z przygodnych artykułów dziennikarskich. *X. Dr. Jan Fijałek.*

— Guil. Stang, S. Theologiae lector eiusque in Collegio americano Lovanii professor: *Historiographia ecclesiastica quam historiae seriam solidamque operam navantibus accommodavit.* (Friburgi, B. Herder, 1897. 8-o, str. VII, 267).—Pół wieku temu z górą, jak ówczesny nuncyusz belgijski, Gioacchino Pecci, nawiedzając uniwersytet lowański, wskazywał jego uczniom potrzebę i doniosłość prawdziwej wiedzy, a katolicyzm i naukę katolicką określił jako czynnik postępu. Dosadniej mało kto zaprzeczył temu wyrzeczeniu dzisiejszego Leona XIII, w pietnastym roku po wydaniu epokowego breve o podniesieniu studyów historycznych *Saepenumero considerantes*, jak X. Stang, wicerektor i profesor Kollegium amerykańskiego w Lowanium, podobno dobry autor-pastoralista (pierwszy bowiem napisał w roku ubiegłym angielski podręcznik teologii pasterskiej dla katolic-

kiego kleru w Stanach Zjednoczonych), ale jako historyk, nieudolny. Od takich występów na polu historyi kościelnej przed forum świata naukowego broń nas Boże! Autor niema fundamentalnych pojęć o przedmiocie, wykładanym teraz przez siebie. Nie wspominalibyśmy nawet o jego książce, gdyby nie jej szata w języku łacińskim, umożebniająca jej rozszerzenie powszechne, następnie firma, jaką jej daje światowa a w wielu kołach niezmiernie wzięta (i słusznie) księgarnia nakładowa spadkobierców Benjamina Herdera, wreszcie samo przeznaczenie dziełka, z którem się autor zwraca do alumnów, chociaż nie do nich samych wyłącznie, lecz *praecipue,* i domaga się *compleatur necesse est doctrina orali professoris et exerciciis practicis, quae in seminariis historicis iamdudum invaluerunt.* Więc pocóż taki podręcznik, jeśli w nim i profesor, zwłaszcza na prowincyi, gdzie brak bibliotek, nie znajdzie dostatecznie wyłożonego przedmiotu? Ta historyografia Stanga jest objawem chorobliwym, a dość rozpowszechnionym, że się przytacza całe stosy nazwisk autorów i niektórych ich pism, bez najmniejszego doboru i cienia jakiejkolwiek krytyki, ocukrza się je nic nie mówiącym lub przesadnym frazesem, przy Jansenie n. p. kładąc z całą powagą dopowiedzenie: największy historyk czy hagiograf kościoła katolickiego w w. XIX i t. p. Od str. 13 do 237, a więc niemal całe swoje *opusculum* wypełnił Stang takim szeregiem w liczbie 516 historyków i niehistoryków kościelnych, których nazwał *Hagiographi ecclesiastici.* Przykładów tych *Hag. eccl.* dla uciechy czytelnika nie będziemy mnożyli, szkoda na nie miejsca tutaj i sam przedmiot na to za poważny. Dodamy, że na pierwszych 12 stronnicach małego formatu a dużego druku, zdołał czcigodny autor uporać się i ze źródłami Historyi kościelnej i z *ars critica* (sic!), wreszcie ze źródłami i naukami pomocniczemi historyografii kościelnej, wyrwawszy bezmyślnie parę zdań z introdukcyi de Smedta. W krótkim podręczniku *Historyi kościelnej* można zmieścić w streszczeniu ten ważny przedmiot na dwunastu stronnicach zwykłej ósemki i zwykłego druku, ale w osobnej na to przeznaczonej książce dla ćwiczeń seminaryjnych, to nietylko za mało, ale bałamutnie. Rzecz to nie obojętna; wszakże zaraz na progu wykładów określić i wyłuszczyć należy charakter naukowy tej gałęzi wiedzy teologicznej, która stoi na własnych nogach i jest umiejętnością, a nie—jak mniema wielu — nauką pomocniczą właściwej teologii, z tendencyą apologetyczną. Przywiedzione w końcu breve Leona XIII *Saepenumero* w elukubracyi X. Stanga, inne wskazuje zasady o historyi.

Komu się nie podoba nasz sąd, niechaj czyta *Historyografię kościelną* X. Stanga za słoną cenę 2 marek i 40 fenigów.

X. Dr. Jan Fijałek.

— Edmond Demolins: *A quoi tient la supériorité des Anglo-Saxons*. (Paris, Firmin Didot, 1897, w 12°, str. 410). — Potrzeba cywilnej odwagi, aby napisać książkę pod tak zuchwałym tytułem jak powyższy. Są jeszcze umysły trwożliwe, zasklepione w rutynie, powstrzymane przez patryotyzm, które ślęczą dotąd mozolnie nad rozwiązaniem kwestyi, jaki z zachodnich narodów, jaka z cywilizacyj, francuzka, niemiecka lub angielska, prym trzyma wśród współczesnego świata. P. Edmund Demolins uważa ją już jako wyjaśnioną, jako teoretycznie rozwiązaną, i nie tracąc czasu nad *petitio principii*, przechodzi do poszukiwania przyczyn hegemonii anglo-saksońskiej.

Nie dziwi nas krok taki z jego strony. Jest on przedewszystkiem człowiekiem czynu, agitatorem, reformatorem o fizygnomii wydatnej. Jeżeli socyalizm uważany jest za najniebezpieczniejszego wroga świata naszego, wyrosłego na tradycyi indywidualizmu, to nie ci, którzy ograniczają się do teoretycznych z nim zapasów, do turniejowych igrzysk, będą w stanie naszą gospodarczą organizacyę ocalić, ale ci, którzy są w stanie marom i rojeniom socyalizmu przeciwstawić całokształt gruntownych reform, otwierających na oścież podwoje postępowi, ale zachowujących jednocześnie podstawy religijne, moralne i społeczne, na których ludzkość wzrosła i wychowała się po dziś dzień. Najznakomitszym i nieledwie jedynym potężnym przeciwdziałaczem socyalizmu był Piotr Le Play i szkoła, która z jego doktryn powstała. P. Demolins jest najczynniejszym tej szkoły przedstawicielem. Bądź jako autor nieocenionej książki p. t. *Le socialisme devant la science sociale* (1892), bądź jako redaktor naprzód *Reformy socyalnej* a następnie i do dziś dnia jako wydawca i redaktor miesięcznika *Science Sociale*, jest on dobrze znanym wszystkim, którzy idą za ruchem współczesnym, jako umysł bystry, jędrny, umiejący się rozglądać w pośród najzawikłańszych zagadnień. Nie teoretyk to, uwikłany w sieć swych własnych abstrakcyjnych formułek, ale człowiek, co umie liczyć się z faktami i co wtedy dopiero występuje z syntezą, gdy mu ją sformułować pozwala cała serya spostrzeżeń i analitycznych czynników. Wpływ p. Demolins jest nie tylko europejski, ale wszechświatowy i jedyna rzecz, którąby nas dziwić mogła, gdybyśmy nie znali dróg, jakiemi się we Francyi zdobywa sławę, jest, że nie ma w swym kraju stanowiska przodowniczego, do jakiego zdobył sobie prawo.

Nie przysporzy mu popularności u swoich najnowsza jego książka. Jest ona policzkiem dla próżności nadętej i chorobliwej miłości własnej Francuzów. Autor nie pali im kadzideł, nie przypomina *gesta Dei per Francos*, nie rozwodzi się nad cywilizacyjną misyą *de la grande nation*, ale pokazuje, jak się dzieje, że Francuz jest na każdym kroku wyprzedzony przez Anglika, wyparty ze swego stanowiska i skazany na niechybną zagładę,

jeżeli nie zmieni swego wychowania, swych etycznych zasad, swego rodzinnego ustroju, swego gospodarczego systemu, swego publicznego życia. Wymogi to wielkie i tak wielkie, iż przyjaciele Francyi mogą drżeć z obawy, że się do ich urzeczywistnienia nie wzniesie, że się na taki wysiłek nie zdobędzie. Ale autor pigułki nie ozłaca. Z jednej strony przeciwstawia system i metodę działania angielską i pokazuje praktyczne rezultaty, jakie im one przyniosły, z drugiej z matematyczną ścisłością udowadnia końcową utratę stanowiska, zajmowanego przez Francyę, jeżeli z tych przykładów nie skorzysta i nie wprowadzi do swego organizmu owych zbawczych żywiołów, na których świat anglosaksoński się rozwielmożnił. Nieraz już w ostatnich czasach stawiono przed Francyą to zastraszające zwierciadło, w którem mogła stwierdzić to, czem jest i odgadnąć głębię otchłani, ku której się stacza, ale żaden z tych głosów nie miał większej doniosłości jak obecny, właśnie dla tego, że jest objektywny, umiarkowany i absolutnie na faktach się opierający.

P. Demolins podzielił swą pracę na trzy części. W pierwszej przeciwstawia system szkolny obu narodów, w drugiej życie rodzinne, w trzeciej publiczne.

System szkolny francuzki jest obecnie tak powszechnie i tak całkowicie potępiony, że dla obznajomionych ze stanem kwestyi p. Demolins nie przynosi nic nowego. Autor podniósł wszelako charakterystyczne jego cechy, co mu pozwoliło bez żadnych długich wywodów, a jedynie przez przeciwstawienie szkolnictwa angielskiego, pozwolić czytelnikowi dojść samemu do wniosku i zrozumieć, dla czego w konkurencyi życiowej społeczność francuzka nie jest w stanie wyrównać rywalom. Szkoła francuzka nie wytwarza ludzi o niezależnym charakterze, sprężystych, energicznych, ale urzędników, nie rozwija inicyatywy indywidualnej, ale gnie karki pod jarzmo rutyny, nie wytęża oka w przyszłość i nie stosuje się do nowych warunków społecznego bytu, ale przykuta jest do przeszłości, jest na wskróś przesiąknięta formalizmem, i przygotowuje rodzaj chińskich mandarynów. Cały system ma na oku uzdolnienie młodzieńca do egzaminu bakałarza, który to uzdalnia go do zajęcia płatnego miejsca w administracyi publicznej i do gnuśnej wegetacyi na takowem przez cały bieg życia. Oświata, którą dają szkoły francuzkie, jest powierzchowną i rozwija tylko podrzędne strony intelligencyi kosztem wyższych. Wytwarza proletaryat umysłowy, ludzi, którzy gdy nie znajdą stanowiska w biurach administracyi, nie są w stanie zużytkować swych sił i zdolności.

Szkoła angielska rozwija nie tylko władze umysłowe bez szkody dla fizycznych, ale rozwija człowieka *całego*, formując i krzepiąc jego indywidualny charakter. Dzieciak angielski, wstępujący do szkoły, uzdolniony jest do energicznej działalności, do rygoru, do polegania na sobie samym, rozumie znaczenie

odpowiedzialności osobistej, łamania się z trudnościami, ocenia użyteczność inicyatywy. Być może, że opuszczając szkołę ma mniej encyklopedycznych wiadomości w głowie, ale posiada *wolę*, energię, świeżość ducha, a dzięki praktycznemu wdrożeniu do wielu życiowych zajęć umie wybrnąć z trudności materyalnych. Horyzont jego jest szeroki i cała kula ziemska wydaje mu się areną, na której twórcza jego działalność może się rozwijać. Rękawy z lustryny, krzesło w biurze i szczupła emerytura po kilkudziesięciu latach wysłużonych, nie są w jego oczach ideałem obywatelskiego zawodu. Autor wybornie scharakteryzował szkołę w Anglii, i nie zamknął się w ogólnikach. Między innemi danemi znajdzie tam czytelnik szczegółowy opis dwóch nowych typów szkół średnich, w Abbotsholme i w Bedales. Sprawozdawca, który niedawno zwiedził je i organizacyę ich zbadał, musi przyznać, że p. Demolins pochwycił jądro zasad pedagogicznych tych zakładów z jasnością i dokładnością nic do życzenia nie zostawiającą.

W ostatnim rozdziale części, poświęconej szkolnictwu, autor stawia pytanie, jak należy wychowywać dzieci? Biorąc na uwagę, że ustrój społeczny uległ całkowitemu przekształceniu przez zastósowanie nowych wynalazków i odkryć. sądzi, że świat, w którego progach stoimy, nie będzie się ograniczać, jak to czynił dotąd wyłącznie, do podtrzymywania dawniejszej budowli, do zabezpieczenia biernej egzystencyi jednostce, ale że postawi sobie jako zadanie uzbroić ją i przygotować do życiowego boju. Autor daje jaskrawy przykład dwóch odmiennych metod wychowywania społeczeństw: dostarczają mu go dwie Ameryki, południowa i północna. Podczas kiedy pierwsza, powstrzymywana przez rutynę, ignorancyę, gnuśnieje i wycieńcza się w rewolucyjnych konwulsyach, druga, przez olbrzymią praktyczną działalność rolnictwa, przemysłu, handlu, jest typem postępu i rozwoju.

Nie można jak zgodzić się na program, jaki autor kreśli dla wykształcenia nowych pokoleń, wykształcenia, które im walkę indywidualną, osobistą, uczyni możliwą. Wymaga od rodziców, ażeby wychowywali dzieci dla ich dobra a nie dla swego osobistego, ażeby nie spuszczali z uwagi nowych warunków, w jakich przyszłe pokolenia się znajdą, ażeby kształcili w nich zdolności fizyczne wraz z umysłowemi, zaprawiając ich zawczasu do praktycznych zajęć, ażeby zastąpili powagę zewnętrzną przez istotną, pozwalając dzieciom rozwijać swą samodzielność i ażeby po udzieleniu im jak najlepszego wykształcenia nie zapewniali im materyalnego bytu, ale pozwalali im samym próbować sił swych.

Przechodząc w drugiej części swej książki do prywatnego życia u obu narodów, p. Demolins rozpoczyna od własnowolnego zmniejszenia rodzajności rodzin francuzkich. Nie ma potrzeby rozwodzić się nad tą sprawą. Rodzice we Francyi ograniczają

liczbę swych dzieci dla tego, że chcą każdemu z nich zapewnić majątek i posag. Gdyby, jak Anglo-Saksoni, ograniczali się do zabezpieczenia swym dzieciom wychowania i oświaty a zostawili ich następnie sobie samym, społeczność francuzka wzrastałaby, zamiast upadać i grozić zaginięciem rasy i cywilizacyi, którą przewidzieć można przy obecnym systemacie. Ekonomiści znajdą wiele cennych uwag w rozdziale, gdzie autor wskazuje, jak wielce to ograniczenie wzrostu ludności wpływa na zmniejszenie materyalnego zasobu i majątku Francyi, a w rozdziale, gdzie kreśli obraz odmiennego ogniska domowego w Anglii, odmiennych sposobów zawierania małżeństw, prowadzenia zawodu i t. d., łatwo zrozumieć, dlaczego wszystkie czynniki energicznie dążą do wzmacniania i postępowania typu rodziny anglo-saxońskiej, podczas gdy francuzka pruchnieje i gnije w coraz większej bezpłodności.

W ostatniej części swej pracy autor przeciwstawia wręcz sobie przeciwne typy u obu narodów politycznych działaczy, inne całkiem pojęcie ojczyzny, solidarności społecznej, i pokazuje, że francuzka centralizacya i wszechwładna akcya państwowa prowadzi do socyalizmu podczas kiedy silnie rozwinięty indywidualizm u Anglo-Saksonów sprowadza takowy do podrzędnej, bynajmniej nie niebezpiecznej roli. Możnaby na kilku punktach tej części pracy wytykać autorowi błędy, jeżeli nie inne, to przynajmniej błędy pominięcia niektórych rzeczy. Ale bacząc na to, że nie wyczerpuje on kwestyj, lecz tylko je stawia, nie ma do tego powodu.

Czekaliśmy go u kresu jego studyów i byliśmy w obawie, że się zatrzyma w swej pessymistycznej krytyce, nie uwzględniając, że w społeczności francuzkiej, takiej, jaką odmalował, są już, i liczne nawet, wskazówki i symptomata odrodzenia. Chwali się mu, że zwrócił sam uwagę na ten zwrot ku lepszemu. Przypisuje go zetknięciu coraz bliższemu ze światem anglosaksońskim i rywalizacyi z nim, uznanemu powszechnie bankructwu systemu szkolnego, takiemu przepełnieniu posad rządowych, że z konieczności młodzież brać się musi do przemysłu, handlu, kolonizacyi, zmniejszeniu odsetku od kapitałów i upadającemu bogactwu, wzrostowi ruchu kolonialnego, zawodom, do jakich doprowadziła politykomania ostatniego okresu, groźnie rozwielmożnionego socyalizmu, etc. Możnaby do tych symptomów społecznego odrodzenia dodać jeszcze i inne. Wystarcza nam jednak wraz z autorem wyrazić nadzieję, że społeczność francuzka ocknęła się z długiego letargu, że zdobyła sobie samowiedzę niebezpieczeństwa, które jej grozi, że krzepi w sobie wolę do czynu. Wprowadzając do swego narodowego organizmu te pierwiastki anglo-saksońskiego społecznego ustroju, które się w nim przyjąć potrafią, Francya zdoła je uszlachetnić i wydelikatnić. Wskazując jej tę rozwojową drogę, autor oddał jej wielką usługę —

a nie jej tylko, lecz i innym narodowym organizmom, które się w tym lub owym kierunku oryentować zwykły.

R. P.

Z literatury powieściowej.

— Léon de Tinseau. *Dans la brume*. (Paris, Calmann Lévy, 1897). — Jednym z najsympatyczniejszych dziś powieściopisarzy francuzkich jest p. Leon de Tinseau. Każda powieść jego bierze się do ręki z miłem przeświadczeniem znalezienia tam intrygi interesującej i spokojnej pogodnej atmosfery, mimo różnych burz i zatargów życia. Zarzucają mu krytycy, że pisze trochę w stylu starych romansów, ale on sam chlubi się z tego, twierdząc, że powieściopisarz powinien powiększać i upiększać rzeczywistość, byle w miarę, i że nigdy dokumentowanie życia nie będzie romansem. „Wiem doskonale, że przedstawiam szkołę *vieux jeu* i oddalam się od teraźniejszej mody, przeciwko której nie mam pretensyi walczyć nawet, ale jestem nadto artystą, by uprawiać sztukę wbrew memu przekonaniu“. — To oświadczenie starczy za paszport dla tych, którzy nie lubią znajdować w powieści obrazu brzydoty i nędz tego życia, jakie i tak w rzeczywistości nie szczędzi im tych obrazów. P. Leon de Tinseau napisał już spory szereg powieści. O jednej z ostatnich *Vers l'idéal* pisaliśmy przed paru laty, potem przyszedł zbiór nowell, z których niektóre są nadzwyczaj sprytnie i lekko skreślone p. t. *Bien folle est qui s'y fie*. Ostatnia znów powieść : *Dans la brume* zaciekawi też z pewnością każdego, kto ją do ręki weźmie.

Jest to dawnem doświadczeniem stwierdzonym już faktem, że do końca życia zachowujemy dziecinną wrażliwość pod względem moralnego sensu powieści i że lubimy gdy sympatyczni jej bohaterowie cieszą się szczęściem. Wkładamy w nich pewne utożsamienie naszej istoty i przez komplikacyę miłości własnej widzimy się niemal instynktownie zjednoczeni z losem tych ludzi, którzy nam się podobają, doszukujemy nieświadomie pewnych anologij między nimi a sobą i dlatego życzymy im tej pomyślności, jaka by się i nam w ich miejscu uśmiechała. Powieści p. Tinseau zadawalniają też pod tym głównie względem większość przeciętnych czytelników ; niby nagroda Monthyon, szczęście wieńczy w nich zawsze skronie tych, którzy na nie cnotliwie zasłużyli.

Dans la brume, to znowu powieść, godna polecenia tym dziennikom, które potrzebują ciągle uczciwych a zajmujących utworów do fejletonu. Poznajemy tu w pierwszym zaraz rozdziale nader ujmujących bohaterów: są nimi młody poeta i idealista, Feliks Herepian i dwudziestoletnia powieściopisarka, panna Aleksandryna Caron. Poeta pragnie zapewnić utworowi ładnej pa-

nienki powodzenie materyalne i moralne i chce zyskać dla tego celu sympatyczną i dosyć wpływową autorkę, panią Vernier. Ten pierwszy rozdział powieści od razu zaciekawia i zyskuje czytelnika; naszkicowany zręcznie, owiany pełną delikatności znajomością ludzkich uczuć, odsłania umiejętność przedstawienia rzeczywistości życia w pogodnej i wesołej formie. Pani Vernier nader dowcipnie żartuje sobie z młodego poety, posądzając go o fabrykowanie prozy a conto ładnej powieściopisarki. Herepian broni się przed tym zarzutem, cofając się za szańce współczucia dla losu młodziutkiej panienki, którą nielitościwa fortuna postawiła prawie oko w oko z nędzą. Babka jej i opiekunka, pani Lyzdeyko, miała niegdyś wielki majątek; ale gdy jedna z jej córek lekkomyślnie uciekła z młodym Amerykaninem, druga, właśnie matka Aleksandryny, straciła od razu narzeczonego i dopiero na starsze lata poślubiła pana Caron, którego spekulacye zrujnowały całe ich mienie. Osierocona wkrótce panienka znalazła się w Paryżu pod opieką zniedołężniałej babki, a jako jedyny środek do utrzymania miała tylko parę tysięcy franków i powieść pod t. *Ailes brisées*, wydaną własnym kosztem. Otóż chodzi teraz o to, by dla tego utworu zyskać nagrodę pieniężną Akademii, i Herepian pomaga do tej kampanii młodej autorce nader skutecznie, zdobywając jej protektorat pani Vernier. P. de Tinseau z nader ciętą bystrością opisuje przy tej okazyi rywalizacye współubiegających się powieściopisarek, salon polityczno-literacki zręcznej intrygantki pani Bitterlin, wreszcie wahania się akademików, postawionych w obec alternatywy stracenia łask i doskonałych obiadów u dawnej znajomej a narażenia sobie ślicznej i dziwnie pociągającej autorki nieznanej powieści. Panna Caron z niesmakiem poddaje się tym wszystkim staraniom, z musu odgrywa rolę uśmiechniętej petentki w obec pełnego galanteryi starca, a równocześnie nie może się przezwyciężyć, by nie dać ostrej nauki wpływowemu kronikarzowi nazwiskiem Manfred, który za swoją protekcyę bezczelnie radby zyskać łaski i poufałość dumnej panienki. Herepian coraz więcej interesuje się losem panny Caron; nie kocha jej na tyle, by się odważyć na małżeństwo, ale radby jej przychylić nieba, a co najmniej zdobyć choć trochę dla niej tej sławy i pomyślnej reklamy, której ona tak pragnie. Gdy Manfred targuje się jak żyd z panną Caron o artykuł, żądając zapłaty w innej wprawdzie formie niż papierowy banknot, Herepian właśnie drogą pieniędzy dostaje w jego dzienniku miejsce dla wydrukowania pochwalnej recenzyi o powieści Aleksandryny. Dwadzieścia pięć dukatów daje mu przyjemność oglądania radości na jej ładnej twarzyczce, a zdobycie nagrody uzupełnia na chwilę szczęście młodej autorki.

Ale nie trwa to długo; zawiedziona rywalka i kronikarz tak zręcznie pominięty, wypowiadają jej walkę. Dobra sława

Aleksandryny narażoną zostaje na szwank protekcyą Herepian'a, a Manfred stara się o to, by jej wyjaśnić, że to dzięki pieniędzom poety krytyka chwaliła jej dzieło. Obmowa przybiera takie rozmiary, że pod naciskiem opinii publicznej Herepian zdobywa się na oświadczyny: pośredniczką jest pani Vernier, ale mimo dobrego swego serca nie umie trafić w ton właściwy. I choć tych dwoje młodych w głębi dusz ma dla siebie uczucia uwielbienia i miłości, to dzięki skomplikowanej miłości własnej nie okazują tego sobie, wyglądając na dwoje uczniów, spełniających niemiłe zadanie. Sytuacyę pogarsza jeszcze przybycie drugiej wnuczki pani Lyzdeyko, Eduy, córki owego Amerykanina, który spowodował nieszczęście całej rodziny. Jest to nader dodatni typ młodej a oddanej pracy społecznej milionerki. Jej wesołe, równe usposobienie zyskuje wszystkich i budzi męki zazdrości w sercu Aleksandryny, czyniąc ją jeszcze więcej zimną względem narzeczonego. Następują różne zawikłania, nieporozumienia, które jednak w końcu się wyjaśniają i Aleksandryna nagle wychodzi z tej „mgły“, w której wraz z Herepianem błądziła, by używać w pełni ciepłych promieni wzajemnej miłości. I oto w jaki sposób literacka jej karyera zostaje ukończona.

To, co charakteryzuje głównie utwory p. de Tinseau, leży przedewszystkiem w pojęciu jasnem życia, w wyszukiwaniu jego poetycznych stron, w tworzeniu romansowej fikcyi z materyałów świetlanych i barwnych, jakie w losie każdego z nas przebłyskują wplecione w szarość dni zwykłych. Są ludzie, którzy postawieni w najtwardszych warunkach umieją sobie stworzyć atmosferę przesyconą światłem wewnętrznem; inni znów tych złotych pyłków nie potrafią wydobyć z rudy glinianej i nie umieją spożytkować ich na monetę szczęśliwości. Pan de Tinseau należy do pierwszej kategoryi umysłów i nie robi sobie niepotrzebnych udręczeń w rozbieraniu cieniów, gdy o tyle jest zdrowiej i jaśniej wesoło na świat patrzeć. Wreszcie artystyczna forma i nieporównanie sprytny a wykwintny dowcip w stylu, nie mało uwydatniają stronę etyczną jego działalności pisarskiej.

M. Rawicz.

— Kervyl: *Mariage d'officier.* (Paris, Alphonse Lemerre, 1898). — Powieść ta jest stronnicą, wydartą z księgi życia takiego, jak ono codzień się spotyka z nieubłaganą konsekwencyą przyczyny i skutku. Pan Kervyl musiał w niej schwycić jeden z momentów drgających wszystkiemi tonami, które składają się na akkord, mający całe życie do siebie dostroić. Nie jest to fakt jakiś odrębny lub zastanawiający swą osobliwością wyobraźnię znudzoną i żądną rozrywki, przeciwnie, epizod, który stanowi treść powieści, ma do siebie wiele podobnych w życiu. Spotykamy całkiem analogiczne wypadki bardzo niestety często na świecie, a tylko nie mamy zwykle ochoty zdzierać szablonowych i konwencyonalnych form, kryjących przed okiem obcem tragiczny

rozwój błędu rozrastającego się w chwast, który zatłumia zdrowy posiew, nie dając żniwa z niego doczekać.

Młody oficer, którego życie dostarcza treści do ciekawej powieści p. Kervyl'a, mógłby w myśli naszej przybrać nazwisko to lub owo z bliskich nam lub czasem tylko ze słyszenia znanych młodych ludzi, tak wybornym jest typem wprost z życia wziętym. Piotr Darvac ma lat trzydzieści, sympatyczny i pełen dobrych zalet nie posiada wybitnych zdolności, chociaż głowa otwarta, zdrowy rozsądek i zamiłowanie pracy dobrą mu dają rękojmię przyszłości. Doszedłszy dość szybko do stopnia kapitana, mógł się patrzeć spokojnie i z zadowoleniem w przyszłość, którą zdobył własną pracą, pochodząc z ubogiej rodziny kupieckiej, pewnem zdziwieniem i szacunkiem przejętej dla pięknego munduru Piotra. Raz tylko przebywszy wszystkie egzamina, młody człowiek popuścił trochę cugli swej wolności, której dotychczas dość scisłe granice oznaczał i w ślad za tem wytworzył się jego stosunek z miłą i względnie uczciwą dziewczyną, która całem sercem pokochała Darvac'a. Lucetta Morval należała do tej klasy pracującej, gdzie młodość i uroda stanowią nader niebezpieczny element w codziennej walce z głodem, z twardą i smutną dolą. Nic też dziwnego, że takie dziewczęta często „szukają pociechy w miłości, którą uważają za szczerą — pisze p. Kervyl — nie zasługując jeszcze na tę pogardę, jaka je spotyka: mogą to być młode istoty, najtkliwsze i najwięcej poświęcające się, które nie znają tego egoistycznego rachunku bogatej panny, oceniającej stosunek swego posagu do zalet narzeczonego“. Rozumiejąc nieszczęśliwe położenie, które popycha niejako młode panny sklepowe, buchhalterki i inne pracownice na drogę zguby, p. Kervyl odnajduje dla nich współczucie i sympatyę w swej żywo czującej wrażliwości, które przypominają pełne wzruszenia szkice Coppée'go, szczególniej życzliwego dla takich nieszczęśliwych młodych istot. Mimo jednakże zrozumienia i pobłażliwości, p. Kervyl nie traci bynajmniej jasnego sądu, gdy chodzi o postanowienie przyszłości swego bohatera, więcej zajęty trudnem położeniem, w jakie podobny stosunek wpycha uczciwego mężczyznę, niżeli propagowaniem t. zw. obowiązków dla „wolnej miłości“.

Od pierwszej chwili znajomości ani młody oficer ani Lucetta nie robią wielkich planów przyszłości, radzi używając szczęścia, jakie sobie dają, mają owszem postanowienie rozłączenia się. Piotr Darvac w planie życia swego widzi wskazane małżeństwo, stosowne dla oficera, który może żonę brać tylko z gniazda uczciwego, bo wybór jego podlega kontroli przełożonych. Jednak ta odległa perspektywa nie płoszy miłej teraźniejszości, gdy po dwóch latach rozstania wraca Darvac do Lille, gdzie odnajduje zawsze w nim rozkochaną i wzajemnie ulubioną Lucettę. To też zaraz na wstępie spotyka przestrogę kolegi,

który mu przedstawia, jak zbłądził, wracając do tych samych stosunków i do tego samego miasta. Daremnie Darvac tłómaczy mu, że tak on jak Lucetta uważają swój stosunek za chwilowy i oboje zastrzegają sobie wolność. Niedługo jednak przekonywa on się sam, jak ciągłe przestawanie ścieśnia węzły, które nie interes, ale wzajemna sympatya zadzierżgnęły. Lucetta coraz więcej oplątuje go swoją pokorną, czułą i egoistyczną miłością, a tak chwilowa lekkomyślność zaczyna stawać się poważną i zastraszającą konsekwencyami przeszkodą. Widok takich hańbiących stosunków, zmienionych w stałą trwałość, przeraża Darvac'a. W tym samym co on pułku służy jego kolega Chardin, który z świetnego i wesołego oficera zmienił się nagle w człowieka przedwcześnie postarzałego, gorzko i cynicznie usposobionego, a równocześnie traktowanego z lekceważeniem przez wszystkich. Dowiaduje się Darvac, że powodem tego jest fałszywa pozycya, rodzina niewyjawiona: *Il est collé*, mówią o nim z politowaniem. Młody oficer przeraża się widokiem tej degradacyi moralnej; postanawia tedy zerwać z Lucettą, ale znowu zamiast wyjechać i przeciąć węzły, ucieka się do półśrodków. Zapewnia jej przyszłość oddaniem sklepu bławatnego, przyczem żąda zarazem zerwania zupełnego. Nie ma jednak znowu dość siły, by je przeprowadzić, a łzy i rozpacze dziewczyny, oraz obietnice usunięcia się w danym razie małżeństwa, znowu miękczą opór Piotra.

P. Kervyl nie wywieszając wielkich flag psychologicznego romansu, daje jednakże w tej powieści wielki dowód znajomości serca ludzkiego. Całkiem objektywnie przedstawiając zgubne skutki lekkomyślności bardzo zwykłej w młodości, logicznie rozwija następstwa, jakie ona za sobą pociąga. Słabość woli, nie umiejącej opanować siebie, dobre serce i delikatność uczucia stanowią w tej walce o życie raczej przeszkodę, niż pomoc wtedy, gdy wola nie staje u steru postanowień chwalebnych. Chwilowe popuszczenie cugli swym namiętnościom staje się dla jednych początkiem degradacyi moralnej, dla drugich ciężką i twardą szkołą cierpienia, gdzie łatwo nikną instynkta samozachowawcze. I wtedy młode życie, zawczasu nie zwrócone na właściwe tory, łamie się pod konsekwencyą błędu, którego słodycz na krótko tylko może wystarczyć.

W dalszym ciągu powieści widzimy Darvaca, fatalnie zbliżającego się do katastrofy. Nie może zdecydować się na okrucieństwo zerwania, a równocześnie nie chce zrezygnować z chęci ożenienia się. W towarzystwie spotyka ciągle nadzwyczaj sympatyczną panienkę, Paulinę de Villers; rozum jej, uroda, wychowanie, wszystko przejmowało młodego oficera najżywszym interesem. Uważał, że byłaby to idealna żona dla niego, a równocześnie nie umiał swych stosunków z Lucettą tak postawić, by się mógł o pannę de Villers starać. Z przerażeniem też usłyszał propozycye wspólnego przyjaciela, który to małżeństwo zaczął

układać, nie zważając na przeszkody materyalne, o jakich Darvac mu wspominał. I tak coraz dalej rzeczy się posuwały; oficer czuł swoją dwuznaczną pozycyę, a tu w żaden sposób Lucetta zerwać z nim nie chciała. Katastrofą też było dla niego, gdy ów niefortunny swat, chcąc rzeczy jasno postawić, pannę Villers, o której uczuciu wiedział, o rękę dla nieśmiałego Darvac'a poprosił. Niespodzianie przyjęty i zaręczony, nieszczęśliwy młody człowiek zrywa z przyjaciółką dotychczasową; ale to wywołuje u niej rozpacz, groźby śmierci i boleść tak szczerą a tak okropnie gwałtowną, że Darvac drży ciągle przed jakiemś nieszczęściem. Lucetta, strzeżona przez wiernego przyjaciela od samobójstwa, o tyle tylko odwleka wykonanie swego zamiaru, o ile ma zrobioną nadzieję widzenia się jeszcze raz z ukochanym. Ten idąc z wizytą do narzeczonej odbiera o tem kartkę, która nieopatrznie w przedpokoju zgubiona odkrywa stan rzeczy państwu Villers. Naturalnie w surowych słowach ojciec panny wypowiada mu swe oburzenie, a Darvac korzysta z tego smutnego wypadku, by zerwać małżeństwo, które w innych okolicznościach byłoby dla niego szczęściem, tak zaś stało się męką dla sumienia. Potem nie chce jednak zostać w Lille, ale prosi o wysłanie do Tonkinu, by tam życie swe na nowo zacząć. Ale autor każe się i tu domyślać, że fatalny stosunek z Lucettą będzie mu już wiecznie ciężyć jak kula u nogi, jakby kara za to, że nie umiał mieć męskiej woli i stanowczo przeciąć węzłów, które mu życie splątały, a niewinną istotę, jaką była jego narzeczona, na srogie cierpienie naraziły.

Mariage d'officier jest tedy powieścią o szerokim podkładzie społecznym: kwestya odpowiedzialności, jaką zaciąga człowiek każdym błędem w obec swej własnej przyszłości, postawiona jest tu jasno i logicznie. Jest to też książka wiele uwag nasuwająca, nawskróś zdrowo pomyślana. Przytem bardzo żywy i zajmujący styl, rozmowy naturalnie prowadzone, rozmaitość osób i obrazów przy jedności akcyi, czynią tę powieść bardzo miłą w czytaniu. Śmiało też powiedzieć można, że jest ona jednym z lepszych tegorocznych utworów francuskiej belletrystyki, a wartość jej więcej polega na myśli przewodniej i prawdzie życiowej, niż na błyskotliwej formie zewnętrznej.

M. Rawicz.

— *Three partners*, by Bret Harte. (Leipzig, Tauchnitz édition, 1898). — Wiadomo, iż kalifornijskiemu Dickensowi, jak go może zbyt pochlebnie nazwano, lepiej się udają drobne nowelki, aniżeli dłuższe powieści. Niniejsza trzyma pośrednie miejsce między jednemi a drugiemi, obejmując krótki tom Tauchnitzowego wydawnictwa. W chwili, gdy *auri sacra fames* nowym a silniejszym paroksyzmem gorączki złota występuje nad brzegami Yukonu i wśród lodów Alaski, dzieje pionierów kalifornijskich nabierają aktualnego znaczenia i w obrazach

Bret Harte'a dostrzegamy wierne odzwierciedlenie stosunków Klondyku.

Trzej wspólnicy, całkiem różni charakterem, lecz przyjaźnią związani na resztę życia, po kilku latach bezowocnych poszukiwań znajdują nareszcie złote runo, bryły kruszcu, zapewniające im dostatki i powodzenie. Ciekawe są wrażenia towarzyszów, zbiegłych na pożegnanie do szałasu wybrańców losu. Niema tam cienia zazdrości, owszem, raczej tylko ogólne rozradowanie i zachęta do wytrwania, bo ślepy traf, co jednych dziś uszczęśliwił, gotów jutro innych wyróżnić. Wśród wielu przychylnych znajduje się atoli jeden zawistny, który zaprzysięga zgubę tych, co wygrali wielki los w hazardownej grze górniczego zawodu. Ta zawiść, wyzyskująca gotową nikczemność podlejszych od siebie narzędzi, ścigać będzie trzech wspólników przez całe lata, dopóki się nie rozegra krwawo dramat ukrytego współzawodnictwa. A tymczasem nic nie rozrywa sojuszu przyjaciół, gotowych w każdej potrzebie nieść sobie pomoc wzajemną. Wybornie zostali oni scharakteryzowani, ów zwłaszcza najmłodszy, dobroduszny, naiwny, który się daje niemiłosiernie oszukiwać i wyzyskiwać, a jednak, jakby skutkiem osobnej Opatrzności, czuwającej nad prostemi duszami, im gorzej pobłądzi, im zupełniej da się wywieść w pole i ze skóry niemal obedrzeć, tem ostatecznie lepiej na tem wychodzi i sama jego naiwna łatwowierność, zamiast go zgubić, wychodzi mu na dobre. Oczywiście mnóstwo tu szczegółów, specyficznie właściwych zaostrzonej walce o podbój złota i przewagę brutalną posiadłych skarbów, których spokojny europejski czytelnik zrozumieć jasno nie jest w stanie. Atoli na tle naprężonych stosunków i wzburzonych ludzkich namiętności, przewija się osnowa zajmująca i niepowszednia, rysują się charaktery oryginalne, dopełniają się przełomy życiowe, dziwnie zawikłane i dramatyczne, a opowiedziane z werwą naocznego świadka, który nie od dziś jest poetą i powieściopisarzem stref złotodajnych. *X.*

— Carl Baron Torresani: *Steyerische Schlösser*. Roman. (Berlin W., F. Fontane & Co., 1897).—*Schwarzgelbe Reitergeschichten*. Dritte durchgesehene Auflage. (Dresden & Leipzig, E. Piersons Verlag, 1898).—Wielojęzyczna monarchia austryacka na większej chyba połowie swego obszaru ma ludność mięszaną. Zwłaszcza dwa szczepy, od wieków w ciągłej walce żyjące, szczep germański i słowiański, spotykają się bardzo często na jednej piędzi ziemi. Jakie z tego wynikają skutki polityczno-społeczne, to okazują dzieje Austryi, zapełnione ustawicznemi sporami narodowościowemi. Dla obojętnego obserwatora, dla psychologa, dla artysty wreszcie, widok tych krain musi być bardzo zajmującym, bo ciekawem jest zawsze krzyżowanie się sprzecznych interesów, pomięszanie różnorodnych narodowości,

języków, obyczajów, tradycyj i ideałów. Obraz taki, pendzlem artysty odtworzony, może być żywym i dramatycznym.

P. Karol bar. Torresani, jeden z najbardziej uzdolnionych wśród nielicznej rzeszy wybitnie austryackich powieściopisarzów, w *Styryjskich zamkach* przystępuje do przedstawienia wzajemnego pożycia niemieckiej i słowiańskiej ludności, niewątpliwie z wyraźnem niemieckiem poczuciem narodowości i pewną niechęcią wobec drugiego szczepu, ale ani ów patryotyzm, ani owa niechęć nie dochodzą do tego stopnia, aby autorowi przeszkadzały być na każdym kroku artystą, rzetelnym artystą. W jego powieści Niemcami są właściciele dóbr, do słowiańskiej zaś narodowości należy ludność wiejska i duchowieństwo z niej wychodzące. Prawda, że ksiądz słowiański nazwany jest ubocznie fanatykiem (narodowym, nie religijnym), ale przedstawiony jest daleko łagodniej, jako dobrze wychowany, utrzymujący towarzyskie związki z właścicielami ziemskimi, a tylko wyzyskujący je zręcznie w celach narodowych, którym służy z żarliwością, nie sprzeciwiającą się jednak jego duchownemu powołaniu. Niemiecka wielka własność zaś może mimo woli autora reprezentowana jest przez dwa typy, z których żaden nie jest dodatnim. Jeden, to egoista, dorobkowicz, ambitny człowiek, marzący o krześle poselskiem, a dla zjednania sobie głosów, głosujący w radzie szkolnej okręgowej wespół z „fanatycznymi“ księżmi słowiańskimi za przemianą niemieckiej szkoły na słowiańską; drugi, to *Pechvogel*, ścigany przez los, upadający własną bezradnością i w końcu zmuszony do sprzedania zamku tamtemu. A naprzeciw tych właścicieli ziemskich stoi chłop słowiański, sadownik, służący swym panom, przywiązany do nich, odstępujący od nich dopiero wtedy, gdy widzi, że i ich nie uratuje, i swoim uporem żonę i dzieci w nędzy pogrąży, odstępujący nie chyłkiem i skrycie, lecz otwarcie prosząc pana o radę, co ma robić w trudnem położeniu.

Treścią powieści jest walka wspomnianych już dwóch niemieckich właścicieli ziemskich. Adolf Wendelin Kolbe zdobył sobie ogromny majątek w fabrykacyi jedwabiu. Postanawia zostać właścicielem ziemskim w południowej Styryi, a upodobania osobiste i wspomnienia powodują go do osiedlenia się w pobliżu zamku Platz, od trzech pokoleń zostającego w posiadaniu rodziny Hoyer'ów. Mimo usilnych starań, może jednak zakupić ledwo mały folwark, gdy tymczasem duma dorobkowicza pragnie posiadania zamku. Jego właściciel, Franciszek Hoyer mimo złych interesów, nie myśli o sprzedaży, a więc Kolbe musi go wygnać. Bierze się do rzeczy bardzo zręcznie: z pomocą ogromnych ofiar pieniężnych prowadzi ustawicznie procesa z Franciszkiem, to o naruszenie granicy, to o drogi leśne i t. p., tymsamym zaś argumentem pobudza okolicznych włościan do ustawicznego przeszkadzania Hoyerom na każdym kroku; zakupując zaś zwolna dro-

bne majątki w około, coraz ściślejszą obręczą opasuje zamek Platz. Franciszek upadłby już dawno w tej walce, bo jest i mało przedsiębiorczy i pozbawiony środków materyalnych, gdyby nie pamięć o grobach dziada i ojca, spoczywających na cmentarzu w Platz, i gdyby nie kobieta pewna, która mu dodaje otuchy. Oto przed laty wędrowny „artysta“ Hamilton, ścigany przez wierzycieli, uciekł w świat, zostawiając na opiece Hoyera córkę Geraldinę, małego dzikusa. Franciszek oddał ją na wychowanie do klasztoru, lecz dziewczyna zbiegła, wracając do opiekuna. Teraz przebywa w Platz już jako dorosła panna i gospodaruje, a jej energia i wiara w przyszłość dodaje otuchy Hoyerowi. Zarazem jednak ta kobieta utrzymuje Kolbe'go w uporze, bo ambitny ex-fabrykant poznawszy ją, porwany bezgraniczną żądzą posiadania jej, dąży tem usilniej do zrujnowania Franciszka, sądząc, że wtedy Geraldina zmuszona będzie go opuścić, a schronić się pod opiekę wzgardzanego dotąd kochanka. Walka przedstawiona jest bardzo dramatycznie, zwłaszcza w pewnych chwilach, z których jedną szerzej wypada przedstawić. Franciszek jest już procesami zrujnowany, a obręcz przez Kolbe'go mu narzucona, już go dławić poczyna; dwór w Platz jest prawie odcięty od świata, pieniędzy niema, zbyt ziemiopłodów uniemożliwiony zaciętą konkurencyą Kolbe'go, nie liczącego się z groszem. Wtedy Geraldina wyjawia Franciszkowi tajemnicę, na której ślad przypadkowo wpadła. Oto pod zamkiem i okolicznemi wioskami są bogate pokłady węgla—tu ich zbawienie. Są u szczytu radości, nie bacząc, że w nocnej wyprawie podpatrzył ich Hamilton, jej ojciec, który powrócił, a złością i egoizmem powodowany, złem płaci Hoyerowi za dobre i o wszystkiem opowiada Kolbe'mu. Ten szybko uzyskuje od rządu pozwolenie wyłącznej eksploatacyi węgla na całej przestrzeni mogącego się znaleźć. Hoyer jest zrujnowany gorzej niż przedtem i zrozpaczony postanawia poddać się, przyjąć bardzo korzystną ofertę kupna dóbr Platz, którą Kolbe po raz setny mu przedstawia. Tymczasem jednak Geraldina widzi, że jej wmięszanie się dobiło jej dobroczyńcę. Ona go więc uratuje od sprzedaży rodzinnych grobów. Chociaż kocha Franciszka, chociaż nienawidzi Kolbe'go, odda się mu za cenę ustąpienia od zamiarów względem Hoyera. Opuszcza tajemnie zamek w burzliwy dzień, lecz Hoyer dogania ją, wymusza na niej wyznanie i spowiedź ze wszystkiego co usiłuje zrobić, nie chce ani słyszeć o jej ofierze, zdecydowany jest sprzedać zamek, osiedlić się gdzieindziej i żyć w spokoju z Geraldiną, jako żoną, bo ją kocha, bo wie, że jej miłość posiada. Autor przy końcu nie dwuznacznie wyraża zdanie, że Hoyer niema co rozpaczać, bo na innym gruncie może być taksamo szczęśliwym i pożytecznym, jak w Platz, a cześć dla grobów przodków i tradycyj rodzinnych musi ustąpić przed interesami materyalnemi, o życiu i ruinie stanowią-

cemi. Tej tendencyi niepodobna oczywiście oceniać z naszego polskiego stanowiska, bo naprzód Hoyérowie zaledwie od trzech pokoleń posiadają Platz, są dość niedawnymi przybyszami, powtóre zaś sprawa narodowa obojętnie może znieść przejście majątku z rąk niemieckich w niemieckie, a Kolbe chociaż egoista i człowiek niezbyt szlachetny, dla chwalby sypie tysiącami na społeczne cele, jest więc ilością dodatnią.

Na tem tle rozprószonych jest mnóstwo obrazków z życia styryjskiego, bardzo udatnych i jak się zdaje prawdziwych. Autor ma dar odgadywania duszy wieśniaczego tłumu, a takie sceny, jak przedstawienie trupy wędrownych komedyantów, lub jazdy pocztowym wózkiem, odmalowane są żywo i zajmująco. Że jednak p. Torresani posiada i niezwykły dar drobiazgowej charakterystyki ludzkiego indywiduum, tego dowodzi świetny rysunek Hamiltona. Blagier w klassycznym stylu, marny komedyant z dumą „ulubieńca obu półkuli", bezgraniczny egoista, dla własnego zysku grający rolę stręczyciela, oddającego swą córkę w ręce zmysłowego Kolbe'go, zawsze grający rolę ofiary, pełnego poświęcenia ojca, z bezwstydem wyłudzający jałmużnę, a przyjmujący ją jako daninę, należącą mu się z prawa, skończony łotr z powagą hiszpańskiego granda — Hamilton jest typem skończonym aż do najdrobniejszych szczegółów.

Kilka tylko słów o drugiej książce p. Terresani'ego, bo naprzód rzecz to dawniejsza, teraz w trzeciem wydaniu ogłoszona, powtóre zaś najdłuższą z tych *Schwarzgelbe Reitergeschichten* p. t. *Drei Tage für ein Leben*, nowellę z galicyjskiego życia garnizonowego, przetłómaczoną na język francuski, jako *Un quart d'heure de grace*, omawiało na tem miejscu inne pióro w wrześniowym zeszycie z r. 1895. Pozostałe trzy opowiadania w lekkim, bardzo często rubasznie humorystycznym tonie pisane, nie mają zapewne pretensyi do nazwy utworów sztuki w ściślejszem znaczeniu. Ich zadanie jest skromniejsze: chcą czytelnika przez chwilę zabawić. Można im wystawić świadectwo, że obowiązek ten spełniają dobrze; streszczać ich nie można, bo humoreski na tem zawsze źle wychodzą. A zresztą humor p. Torresani'ego nieraz jest na to za rubaszny. *J. Flach.*

— *In der Stille.* Novellen und Skizzen, von Ilse Frapan. (Berlin. Verlag von Gebrüder Paetel, 1897).—P. Ilse Frapan, uczennica Pawła Heysego, przejęła od swego mistrza świeżość i wdzięk opowiadania, łatwość stylu i serdeczność tonu. Ostatni tom jej nowell zawiera po największej części obrazki z życia hamburskiego, o którem u nas się nic nie wie i które uważa się za najprozaiczniejsze na świecie. Tam, gdzie autorka występuje po za obręb tego miasta i w oderwaniu od niego kreśli ogólnie nowoczesne stosunki, jest mniej szczęśliwą w pomyśle. Tak n. p. pierwsza nowella: *Sie*, dziennik kobiety świeżo owdowiałej po śmierci męża, sławnego uczo-

nego, jest w całości przerafinowaną, w narzekaniach zaś na bezwzględny, cyniczny egoizm jej męża, a potrosze i mężczyzn w ogólności, fałszywą.

Najpiękniejszem z całego zbioru jest opowiadanie *Kasper Rütentüt*. To „teatralne“ miano właściciela budy z maryonetkami, odgrywającemi podobnie zabawne sceny, jak nieoceniony Kasperle z wiedeńskiego Prateru. Opis przedstawienia i tłumu ulicznego, przypatrującego się widowisku, stanowi pierwszą część szkicu. W drugiej przedstawiona jest arcykomiczna wyprawa kilkorga dzieci z hamburskich sfer zamożnych; dzieciaki te w tajemnicy przed rodzicami składają się na Boże drzewko dla Kaspra i wśród tragikomicznych przygód wręczają je obdarowanemu. Wybornym jest inny obrazek *Moosengel*, przedstawiający zapalonego botanika, poszukującego na bagniskach hamburskiej okolicy rzadkich kwiatów i umierającego wskutek przeziębienia się podczas jednej z takich wycieczek. W innej znowu nowelli, *Wie steh'n wir*, autorka, w prostych słowach maluje ukrywaną starannie przed dziećmi troskę dwojga kupców hamburskich, których bogaty konkurent na tej samej ulicy doprowadza do ruiny. Mniej udatnemi są dłuższe opowiadania; akcya w nich kroczy po nieprawdopodobieństwach i ma chwile niesmacznie sentymentalne. Całość, nie nadzwyczajna i nie doskonała, zajmuje najbardziej tam, gdzie autorka zręcznie wplata ciekawe rysy lokalnego życia i otoczenia.

J. Flach.

NOWE PUBLIKACYE
AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

X. dr. Józef Bilczewski: *Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników piśmiennych, ikonograficznych, epigraficznych*, napisał prof. p. z. Dogmatyki przy Uniwersytecie lwowskim, członek papieskiej Akademii archeologii i filologii w Rzymie i t. d., praca odznaczona nagrodą Akademii Umiej. w Krakowie. Kraków, Spółka wydawnicza, druk. Czasu, 1898, w 8-ce większej, str. XIV, 1 nl. i 328, z 47 rycinami w tekście i 1 tabl. w heliograwurze. 5 złr.

Marcin Błażewski: *Setnik przypowieści ucieszných 1608*, wydał dr. Wilhelm Bruchnalski (Biblioteka pisarzów polskich). Kraków, nakł. Akademii Umiej., Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce małej, str. 117. 60 cnt.

Bulletin international de l'Académie des sciences de Cracovie: Comptes rendus des séances de l'année 1897, pod re-

dakcyą generalnego sekretarza Stan. Smolki. Kraków, nakł. Akademii Umiej., druk. Uniw. Jag., 1898, w 8-ce, str. 8 i 403.

T. L. Burattini: *Miara powszechna*, traktat wydany w r. 1675 w Wilnie po włosku, a obecnie przetłómaczony na polskie staraniem Wydziału matem. przyr. Akademii Umiej. Kraków, nakł. Akademii, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce większej, str. VI i 32.

Po przedmowie podpisany wydawca: Dr. L. Birkenmajer.

K. Estrejcher: *Bibliografia polska*, tom XVI (E—F). Kraków, wydanie Akademii Umiej., druk. Uniw. Jag., 1898, w 8-ce, str. VIII, 377 i XXXIV.

Michał Federowski: *Lud białoruski na Rusi litewskiej*. Materyały do etnografii słowiańskiej zgromadzone w latach 1877—1881, wydawnictwo Komisyi antropologicznej Akademii Umiej., tom I: *Wiara, wierzenia i przesądy ludu z okolic Wołkowyska, Słonima, Lidy i Sokółki.* Kraków, nakł. Akademii, Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag, 1897, w 8-ce, str. XX i 509.

Dr. Fr. Piekosiński: *Studya, rozprawy i materyały z dziedziny historyi polskiej i prawa polskiego*, tom I. Kraków, nakł. własnym, z zasiłkiem Akademii Umiej., Spółka wydawnicza, druk. Czasu, 1897, w 8 ce większej, str. VII i 380, z tablicami i rycinami. 5 złr.

Treść: 1. Kamienie mikorzyńskie; 2. Ludność wieśniacza w Polsce w dobie piastowskiej; 3. Kodeks dyplomatyczny.

Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie, rok 1896—1897. Kraków, nakł. Akademii, Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce małej, str. 1 nl. & 121, z 7 tabl.

Rozprawy Akademii Umiejętności: Wydział filozoficzny, serya II tom 11, ogólnego zbioru tom XXVI. Kraków, nakł. Akademii Umiej., Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1898, w 8-ce większej, str. 1 nl. i 409. 5 złr.

Treść: Czy mądrości i cnoty można nauczyć?, bezimienna rozprawka z połowy w. V przed Chr., przez St. Schneidera (str. 1—30); O pierwszych trzech tetralogiach dzieł Platona, przez W. Lutosławskiego (str. 31—195); Prodromus grammaticae papyrorum graecarum aetatis Lagidarum, przez St. Witkowskiego (str. 196—260); Charakterystyka i geneza poetycznych utworów

Ambrożego Metlińskiego, przez Cyryla Studzińskiego (str. 261 — 311); De „Philopatride“, dialogo Pseudo-Luciani, dissertatio philologica, przez K. Stacha (str. 312 — 331): O mowie ludowej we wsi Krzęcinie powiatu podgórskiego, przez St. Dobrzyckiego (str. 332—409).

— *Rozprawy Akademii Umiejętności: Wydział filologiczny,* serya II tom 12, ogólnego zbioru tom XXVII. Kraków, nakł. Akademii, Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1898, w 8-ce większej, str. 1 nl. i 399.

Treść: Geneza poetycznych utworów Markiana Szaszkiewicza, przez C. Studzińskiego (str. 1—40); Royzyusz, jego żywot i pisma, przez Br. Kruczkiewicza (str. 41 — 182); Lachowie i Lechici, przez K. Potkańskiego (str. 183 — 256); Spuścizna rękopiśmienna po Wacławie Potockim, przez A. Brücknera (str. 257—275); De Flori codice Cracoviensi, przez P. Passowicza (str. 378—399).

— *Rozprawy Akademii Umiejętności: Wydział historyczno-filozoficzny,* serya II tom 10, ogólnego zbioru tom XXXV. Tamże, 1898, w 8-ce większej, str. 1 nl. i 409.

Treść: Na soborze w Konstancyi, przez A. Prochaskę (str. 1 — 100); Kraków przed Piastami, przez K. Potkańskiego (str. 101—255); Sejm walny warszawski z r. 1572, przez F. Piekosińskiego (str. 256 — 269); Laudum wojnickie ziemi krakowskiej z r. 1503 w przedmiocie pospolitego ruszenia pospólstwa, przez F. Piekosińskiego (str. 270 — 279); Czy król Władysław Jagiełło był za życia królowej Jadwigi królem polskim, czy tylko mężem królowej?, przez Fr. Piekosińskiego (str. 280—289); Przywilej króla Kazimierza W. w przedmiocie założenia sądu wyższego prawa niemieckiego na zamku krakowskim, przez Fr. Piekosińskiego (str. 290 — 306); O Piaście, przez A. Brücknera (str. 307—352); Sądownictwo w Polsce wieków średnich, przez Fr. Piekosińskiego (str. 353 — 386); Moneta polska w dobie piastowskiej: I. Zawiązki rzeczy menniczej w Polsce wieków średnich, przez Fr. Piekosińskiego (str. 387—409).

— *Rozprawy Akademii Umiejętności: Wydział historyczno-filozoficzny,* serya II tom 11, ogólnego zbioru tom XXXVI. Kraków, nakł. Akademii, Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce większej, str 1 nl, 431 i 1 nl. 10 złr.

Treść: O kategoryach Arystotelesa, przez Fr. Gabryla (str. 1 — 165); W czasach husyckich, przez A.

Prochaskę (str. 166—288); O następstwie tronu w Polsce, studya historyczno-prawne, przez O. Balzera (str. 289—431).

Spis Tek rzymskich obejmujących materyały archiwum watykańskiego, oraz innych archiwów i bibliotek włoskich do dziejów Polski, opracowane przez t. zw. expedycyę rzymską w latach 1886—1897. (Kraków, Akademia Umiej., druk. Uniw. Jag., 1898), w 4-ce, str. 12.

Sprawozdania Komisyi fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu r. 1896, oraz materyały do fizyografii krajowej, tom XXXIII. Kraków, nakł. Akademii umiej., Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce, str. XVIII, 232, 217, 55 i II, z 3 tabl. 3 złr.

Treść: Sprawozdania; I. Materyały zebrane przez sekcyę meteorologiczną pióra prof. dra Karlińskiego, dra Wierzbickiego i dra L. Birkenmajera; II. Materyały zebrane przez sekcyę botaniczną i zoologiczną pióra dra E. Wołoszczaka, M. Rybińskiego, E. Niezabitowskiego, H. Zapałowicza, K. Bobka i R. Gutwińskiego; III. Materyały zebrane przez sekcyę rolniczą pióra K. Huppenthala, E. Janczewskiego, K. Jasińskiego, T. Domańskiego i E. Popiela.

Olbrycht Strumieński: *O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów* 1573, wydał Feliks Kucharzewski (Biblioteka pisarzów polskich). Kraków, nakł. Akademii Umiej., Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce małej, str. V, 2 nl. i 87.

St. Tarnowski: *O Mickiewiczu,* odczyt miany na publicznem posiedzeniu Akademii Umiej. dnia 14 maja 1898 r. Kraków, nakł. Akademii, druk. Uniw. Jag., 1898, w 8-ce małej, str. 31. 10 cnt.

Stanisław Temberski: *Roczniki,* 1647—1656, wydał dr. Wiktor Czermak (Scriptores rerum polonicarum, II). Kraków, nakł. Akademii Umiej., Spółka wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 4-ce, str. LXXXVI, 1 nl. i 388. 3 złr.

Dr. W. W.

TEATR KRAKOWSKI.

Podczas tegorocznego lata był teatr zamknięty. Nie mieliśmy opery, do czego publiczność była już przyzwyczajoną; szkoda, że tym razem nie doszło to przedsięwzięcie, a przez to obniżył się poziom miejskiego życia w Krakowie. Po wakacyach zebraliśmy się na nowo przed najpiękniejszą z kurtyn, niestety, nie wszyscy, w zmienionym znacznie komplecie.

Wnet po skończonym sezonie zszedł z tego świata nestor naszej sceny Anastazy Trapszo. Wiadomo, że był artystą wzorowej sumienności, człowiekiem z szerszym poglądem i głębszym charakterem; otaczał go powszechny szacunek. Nie wszystkim było wiadomo, że scenę ukochał był do tego stopnia, iż dla niej porzucił zdobyte już stanowisko i gotowy chleb; zanim został aktorem, był profesorem matematyki. W artystycznym zawodzie nie poprzestawał na rutynie, ani też nie ufał zbytnio intuicyi; lubiał się nad wszystkiem zastanowić poważnie i systematycznie. Zajmowała go teorya sceny; owocem tej pracy jest porządnie ułożony podręcznik dla aktorów, pierwsze wogóle w naszej literaturze teoretyczne opracowanie sztuki scenicznej. Rzecz jest zupełnie gotowa do druku i na ogłoszenie drukiem zasługuje; przydałaby się wielce i młodym adeptom sceny i kierownikom wędrownych trup prowincyonalnych, każdy zaś miłośnik sceny znalazłby tam niejedno, coby go zaciekawiło. Zapewne znajdzie się nakładca na tę książkę, a szlachetne pojmowanie sztuki szerzyć się z niej będzie dalej. Ś. p. Trapszo należał do tych, którzy dopatrują się we wszystkiem czegoś lepszego i wyższego, a czynności swe spełniają tylko pod jakiemś hasłem, w imię pewnej przewodniej myśli życia; pamięci jego należy się cześć, bo na nią rzetelnie zasłużył. Pośmiertne wspomnienie o nim nie jest też zdawkową pogrzebową grzecznością, na którą zasługuje się tem, że się umarło. On na dobrą pamięć życiem zapracował, to jego należność.

Zmiany w personalu są liczniejsze. Nie ustaliła się w Krakowie p. Morska - Popławska, która przed wakacyami wystąpiła u nas w kilku rolach. Odszedł też p. Popławski, artysta oceniany u nas niedostatecznie: szkoda go na aktorską wędrówkę, która jeszcze bardziej trudzi, niż ludzi, a rzadko kiedy kształci ponad pewien przeciętny poziom, który p. Popławski dawno już przekroczył. Szkoda niepospolitych jego zdolności; oby znalazł jeszcze sposobność rozwinąć je wszechstronnie. Ubył nam też p. Śliwicki, zabrany przez Warszawę. Na to dziś nie ma rady; *dopóki przy naszym teatrze nie ma funduszu emerytalnego, pozostanie on zawsze szkołą dramatyczną dla Warszawy.* Może znajdzie się kto w Radzie miejskiej, kto za takim funduszem przemówi; nie trzeba na to ciężkich ofiar pieniężnych, bo przez kombinacyę z ubezpieczaniem się na życie, możnaby tę sprawę urządzić stosunkowo tanio, może nawet całkiem bez jakiejkolwiek straty. Rzecz dziwna, że sami artyści tem się nie zajmą, że nie występują z żadnym projektem, prośbą czy żądaniem. Po Nowym Roku ma podobno nastąpić dalszy ciąg emigracyi do Warszawy.

Są też przybytki. Są one bardzo pożądane, ale przydałyby się jeszcze bardziej — bez ubytków. Pani Bednarzewska bywała już na naszej scenie. Nowemi całkiem nabytkami są pp. Preisner ze Lwowa, Adwentowicz i Stanisławski, którzy wystąpili oficyalnie w charakterze debiutantów. Do żeńskiego personalu przybywa panna Jutkiewicz, o której dobiucie była mowa na wiosnę.

Repertuar był obfity i bardzo dobry. Obok zwykłych z początkiem sezonu przedstawień dla publiczności przejezdnej, mieliśmy szereg utworów rzadziej na scenie widywanych, w których żegnali się z publicznością jedni, a przedstawiali się jej inni z artystów; ożywionym zmianom personalu zawdzięczamy ożywiony repertuar. Pani Bednarzewska występowała w kilku rolach z repertuaru p. Siemiaszkowej, ale najważniejszym z jej początkowych występów była rola Anny Iwanówny w *Dmiszewach.* Znalazłoby się dosyć zastrzeżeń co do wykonania tej roli, ale bądź co bądź stwierdzić należy wielki postęp, od czasu poprzedniego pobytu w Krakowie. Przedstawienie to wypadło zresztą wogóle słabo i role nie były stosownie rozdane.

P. Adwentowicz debiutował jako *Frycek.* Temperamentu ma sporo, warunki sceniczne bardzo dobre, ale zachodzi obawa, czy nie ma maniery. Głos modulował dosyć dobrze, choć nie dosyć często, ale sposób dykcyi był prawie ciągle taki sam i ciążyła na roli pewna jednostajność środków scenicznych. Dużo było przesady w nadużywaniu werwy, przez co tem słabiej wypadły te ustępy, w których Frycek zmienia ton; zmiany te wyrażał debiutant zbyt jeszcze grubemi środkami mechanicznemi, jak gdyby się bał, że publiczność nie zrozumie o co cho-

dzi i co Frycek czuje. Dobrze była wyrażona gorączka Frycka, ale chybioną była prawie w zupełności druga połowa zadania: wyrażenie, że on nad sobą panuje. Najsłabiej też wypadł ustęp, gdy Frycek chce matkę utrzymać w dobrym humorze. Ruchy szybkie były dobre, ale złem było to, że nie było innych, jak tylko szybkie. Decydującą jednakże jest zaleta debiutanta, że się rolą przejmuje; z interpretacyi jego wiało ciepło, które udzieliło się publiczności. Widoczny to talent, tylko jeszcze samopas chodzący; za mało studyów, za dużo (choć dobrej) intuicyi.

Odludki i poeta przyniosły debiut p. Stanisławskiego w roli Edwina. Role deklamacyjne są na debiuty zgoła niestosowne; jeżeli wogóle trudno jest z jednego występu ocenić aktora — bo się nie może osądzić najważniejszej jego zdolności: przetwarzania się — z występu deklamatorskiego oceniać można chyba samą tylko deklamacyę. P. Stanisławski deklamacyę ma; to już dużo znaczy! Jest przytem spokojny i pewny siebie. Ale ma wadę, którą trzeba gwałtownie tłumić, a mianowicie t. zw. „połykanie“; wadę tę posiada w stopniu nieznacznym, ale trudno wiedzieć, czy się jej pozbywa, czy też nabywa. Ustęp o matce z takiem uczuciem był wygłoszony, że każe dobrze wróżyć o artyście; za to ustęp o poezyi wypadł aż zanadto po szkolnemu, szablonowo.

P. Śliwicki pożegnał się z nami w dwóch rolach: Birbanckiego w *Dożywociu* (wielką rola p. Solskiego, jako Łatki) i w *Hamlecie*. Marzeniem każdego podobno artysty dramatycznego jest rola Hamleta, a więc marzył o niej i p. Śliwicki; odważył się na nią dopiero na samem wyjezdnem. Przed krakowską publicznością ćwiczył się w swym zawodzie przez dwanaście lat; żegnając się z nią, chciał okazać na najtrudniejszej próbie, do jakiego stopnia się wyćwiczył. Nie tak dawno dopiero sięgnął do szekspirowskiego repertuaru, który wymaga znowu osobnego długiego ćwiczenia. Oby w Warszawie nie brakło mu do tego sposobności.

Jak wszystkie wielkie role, tak też i Hamleta można grać rozmaicie; ale ze wszystkich wielkich ról Hamlet najbardziej naraża na — pozę. Winna temu literatura hamletowska, która aktorom drugie tyle szkody przynosi, ile korzyści, a która zrobiła z duńskiego królewicza jakiś cień człowieka i wmawia w miłośników Szekspira, że Hamlet był jakoś niedokrwisty i pod wielu względami niedoszły. Hamlet dzięki komentatorom nieszczególnej używa opinii u literatów, a u szerszej publiczności jest wprost typem „niedojdy“; ile w tem nieporozumienia, nie tu miejsce się spierać, a wogóle spierać się nie łatwo wobec tego, że nie wszystko, co dzisiejszy tekst podaje, było w pierwszem wydaniu.

Talent p. Śliwickiego jest natury przedewszystkiem lirycznej, a w Hamlecie liryki darmo szukać; rola sama przez się

bardzo trudna, tem trudniejszą jest tedy dla tego artysty i jeżeli kiedyś pokona ją ostatecznie, będzie to tryumf taki, jaki rzadko się zdarza w rocznikach sceny. Jest to jednak możebne, ponieważ już przy tym pierwszym występie w Hamlecie były pewne pierwiastki w grze, które pozwalają dobrze tuszyć o dalszej kolei tej sprawy. Przezierała wprawdzie liryczność i w niejednem miejscu wadziła, nieraz nawet znacznie —bo nawet szczypta liryki tu szkodzi —ale ponad to liryczne zacięcie wydobywały się ciągle akcenty dramatyczne w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Reprodukcya Hamleta była przestudyowaną bardzo sumiennie i z trafnem odczuciem tej postaci. W roli p. Śliwickiego znać było, że Hamlet przechodzi przez rozmaite fazy, a przejście z jednej w drugą wyrażane było zawsze dobrze, nieraz misternie i bez użycia jakichkolwiek mechanicznych środków. Przedstawienia nie powtórzono, trudno więc wejść w szczegóły i ocenić grę scena po scenie, jakby to należało uczynić, ażeby na przykładach wykazać, że nie brakowało roli oryginalnego jej pojęcia, ale to właśnie, co było oryginalnem i dobrem, wykonanem było nieśmiało i mijało często bez wrażenia, może nawet niepostrzeżone, podczas gdy artysta zaufał zbytnio i zanadto uwydatnił niejedno, co należy do bezdusznego tradycyjnego szablonu i pozy Hamleta. Postęp w wykonywaniu tej roli powinien polegać na większem ośmieleniu się do niej, żeby zarzucić to, co z zewnątrz jest narzucone, co nie wypływa bezpośrednio z własnego przeświadczenia artysty — tudzież na pozbyciu się do reszty lirycznego zacięcia.

Z p. Śliwickim zobaczymy się zapewne nieraz jeszcze na naszych deskach; trudno przypuścić, żeby zapomniał zupełnie o Krakowie, gdzie tak chętnie darzono go oklaskiem, gdzie tak cieszono się z jego postępów. Przy sposobności gościnnych występów tedy, spotkamy się pewnie znowu z Hamletem.

Z całości tego przedstawienia nie podajemy sprawozdania, bo *Hamlet* widocznie wszedł na scenę tylko dla p. Śliwickiego, przygodnie niejako, a przez to staje zarazem po za obrębem krytyki, a przynajmniej odsuwa się od niej po za odległość strzału. Rolę Ofelii powierzono p. Bednarzewskiej. Grała z wielką ostrożnością i z prawdziwym pietyzmem dla dzieła, stosunkowo dobrze, tak, że ma się wszelką rękojmię, że kiedyś potrafi ją zagrać lepiej; obecnie dużo odcieni było pominiętych, ale o żadnym ustępie nie można powiedzieć, żeby był spaczony; braki polegają na niedokładności lub opuszczeniu, ale nie na przekręceniu. Najlepiej byłby grał p. Mielewski — w roli Króla, gdyby był znacznie silniej zaakcentował „czarny charakter“. Występował też p. Stanisławski w roli Laertesa, ale nie można powiedzieć, żeby był „grał“.

Byłoby pożądanem, żeby *Hamleta* wprowadzić stale do repertuaru, bo jakkolwiek będą braki, będzie też sposobność

stopniowego usuwania ich; dyrekcya zaś i reżyserya i wszyscy artyści inaczej zabiorą się do dzieła, gdy będą wiedzieć, że nie chodzi tylko o jedno przedstawienie, ze względu na kolegę grającego Hamleta. Rolę Hamleta grywa p. Kotarbiński, główny więc trzon przedstawienia jest gotowy. Reguła zaś, że lepiej nie wystawiać zupełnie utworu, którego nie można zagrać całkiem dobrze, jest najzgubniejszą dla teatru i sprzeczną z jego celem. Dyrekcya też nasza nie kieruje się tą regułą.

Mieliśmy nadto już we wrześniu dwie premiery. Pierwsza z nich jest właściwie tylko wznowieniem, a mianowicie komedya Wiktoryna Sardou: *Nasi najserdeczniejsi* (*Nos intimes*). Przedstawienie to powiodło się bardzo dobrze. Był to zarazem najlepszy dotychczas występ p. Bednarzewskiej; według niego tedy należy ocenić jej zdolności i technikę sceniczną. Grała główną rolę Cecylii bardzo dobrze, dopisawszy nie tylko w ustępach lirycznych i melancholijnych (do czego ma talent szczególny), ale niemniej w dramatycznym ustępie, gdy Cecylii grozi niebezpieczeństwo. Doskonałym jej partnerem był p. Mielewski w roli Maurycego; artysta ten coraz lepiej, coraz staranniej cieniuje swą grę. W roli Caussade'a (gospodarza) wystąpił p. Roman typowo, a p. Sobiesław wywiązał się jak najlepiej z roli Dra Tholosana. „Najserdeczniejszymi“ byli p. Węgrzyn (Abdallah), p. Solski (Vignieux) i p. Kamiński (Marecat). Abdallah był trochę szablonowy, ale za to dwaj inni mieli wybitne piętno indywidualistyczne, a zwłaszcza postać wytworzona przez p. Kamińskiego. Obiecującym synkiem p. Marecata była p. Trapszówna, nieumiejąca grać inaczej, jak bardzo dobrze. Charakterystyczną nader była p. Wojnowska w roli pani Vignieux. Role Emilii Caussade i służącej Rózi blade są w samym tekście; nie ma ich za co schwycić i trzebaby samemu wymyślić dla nich coś charakterystycznego, ale taka „inwencya“ jest już szczytem aktorskiej sztuki i kto nie jest zupełnie pewny swego, lepiej robi, gdy poprzestaje na tem, żeby rola wypadła „poprawnie“; tak uczyniły pp. Przybyłkówna i Jutkiewiczówna, a rolom ich nic zarzucić nie można.

Wystawiona następnie komedya w 3 aktach Al. Bissona i Ad. Leclerque'a p. t. *Zazdrośnica* (*Jalouse*) jest dobrą krotochwilą. Pani Germinia Moreuil jest niezłą kobiecinką, ale staje się dla męża plagą, robiąc mu ciągle zazdrosne sceny bez przyczyny i doprowadza do tego, że nareszcie mają się rozwieść. Uprzedzeni o tem jej rodzice, państwo Brunois, chcą ich pogodzić i w tym celu chwytają się nowej metody: sami udają poróżnionych, kłócą się, skaczą sobie do oczu i zabierają się do rozwodu z powodu rzekomej niewierności pana Brunois. Te gwałtowne sceny mają w Germinii wzbudzić wstręt do swarów małżeńskich. Komiczność polega na tem, że starzy kochają się czule i nagle się kłócą, skoro tylko posłyszą kroki córki lub zięcia,

a nadto na tem jeszcze, że Brunois ma na sumieniu małe (niewinne zresztą) zajście z junacką amazonką Karlistów, panną Dolores, co wychodzi przy tej sposobności na jaw. Utwór ciekawy jest z tego względu, że autorowie odgrzebali jeden ze środków scenicznych dawnej daty, a mianowicie wprowadzili do akcyi parę służących, chociaż tylko na chwilę. Nie podajemy dokładniejszego rozbioru tej sztuki, bo dla literatury zupełnie ona obojętna, i ani autorowie nic nie obchodzą naszej publiczności, ani też nasza publiczność ich; ale *Zazdrośnica* jest krotochwilą całkiem dobrą, zabawną, a — nieprawdopodobne a jednak prawdziwe! — przyzwoitą.

I tutaj główną rolę miała p. Bednarzewska, co nie było stósownem, bo Germinia należy raczej do zakresu t. zw. charakterystycznych; lukę naszego personalu w tym kierunku wypełni p. Jutkiewiczówna i dobrze byłoby dać jej jaką znaczniejszą rolę. P. Bednarzewska grała bardzo starannie, ale w jej interpretacyi brak było żółci i tego zacięcia, które było potrzebne, żeby wyzyskać należycie sytuacyę zazdrośnicy, doprowadzonej do absurdum. Rola męża zazdrośnicy wypadła w interpretacyi p. Sobiesława gładko, ale również niedokładnie i tu trzeba było więcej charakterystycznego pierwiastku. Doskonale wypadła zato para Brunois, rodziców Germinii: p. Kamiński wytworzył typ znakomity, towarzyszyła mu p. Wojnowska. Typową też była p. Wójcicka w roli Żorżety, służącej od lat 30 w jednem miejscu, ale też za to spoufalonej z państwem do najwyższego stopnia. P. Pomian zaznaczyła wyraziście cechy zawadyackiej Dolores. Inne role nie dawały pola do popisu. Wymienić należy artystów, prezentujących się po raz pierwszy w obszerniejszych rolach: p. Jednowski (Muscadet, przyjaciel rodziny) jest dobrym nabytkiem do ról rezonerskich, a p. Preissner (Pironeau) dobrym materyałem do repertuaru charakterystycznego.

Dr. Felix Koneczny.

Przegląd polityczny.



Kraków, 30 września 1898 r.

Było zawsze wiele zbrodni na świecie, bywały królobójstwa; nie było podobno zbrodni i królobójstwa ohydniejszego, jak zabójstwo Cesarzowej Elżbiety. Innych morderców mógł powodować fanatyzm, nienawiść, zemsta; tu takiej pobudki nie było. Cesarzowa zginęła dlatego tylko, że była cesarzową; morderca dlatego tylko ugodził w nią, że nie spotkał jakiegoś księcia Orleańskiego, na którego ostrzył swój *bohaterski* apetyt i sztylet. Kogo zamorduje, to mu było obojętnem, byle przelał jakąś krew królewską. Sztuka dla sztuki, polowanie na królów dla przyjemności polowania! Gdyby jakakolwiek, choćby najgorsza, namiętność polityczna lub osobista była powodem zbrodni, możnaby ją nie uniewinnić, ale zrozumieć i psychologicznie wytłómaczyć. Nic takiego nie było. Ofiara nie mogła budzić żadnej nienawiści politycznej, bo od spraw politycznych trzymała się zawsze na uboczu. Nie mogła budzić żadnej nienawiści osobistej, bo złego nie zrobiła nigdy nikomu nic, a dobrego robiła ile mogła. Zezwierzęcenie człowieka rzadko kiedy doszło do tego stopnia, a zezwierzęceniu towarzyszy i równa się nieograniczona podłość uczynku. Rzucić się na niewiastę, i to bezbronną, nieprzewidującą niebezpieczeństwa, to już dosyć podłości. Ale rzucić się na nią bez powodu, bez namiętności, tylko dla przyjemności zamordowania, to jeszcze wyższa potęga podłości. Do najwyższej zaś potęgi podnosi się ta pod-

łość przez to, że Cesarzowa była niewiastą posuniętą w latach, chorą, nieszczęśliwą..... czem trzeba być, żeby takiej nie uszanować, na taką podnieść rękę!

Nasz świat, zbyt przywykły do złego i na złe pobłażliwy, wstrząsnął się przecie ze zgrozy. Prawda, że kamień płakałby na widok dwóch istot, jednej zabitej, a drugiej wpatrującej się w trumnę—a z tych dwóch pierwsza z pewnością mniej do pożałowania. Cesarzowa zakończyła to życie, od śmierci syna strasznie bolesne; świadomość zbrodni była jej szczęśliwie oszczędzoną. Zostawiła po sobie pamięć wielu dobrodziejstw, wielkiej siły duszy w stanowczych lub tragicznych chwilach—ugoda węgierska i śmierć arcyksięcia Rudolfa—pamięć wreszcie tego uroku i wdzięku, jaki miała w szczęśliwszych dniach młodości. Żegnana z rzewnym żalem przez cały świat, sama nie bardzo miała czego żałować na świecie. Ale Cesarz został! Cesarz, po pięciudziesiąt latach strasznego życia trudów, niepowodzeń, upokorzeń, poświęceń i nieszczęść, musiał na starość doczekać się jeszcze tego. Gdyby był stracił żonę z choroby, a choćby z jakiego zwykłego przypadku, strata byłaby taka sama, ale jej wrażenie nie byłoby tak okropne. Ale po wszystkiem, co w życiu przebył, jeszcze ta śmierć tragiczna, i jeszcze jak żeby na okrutniejszą ironię losu w tym pięćdziesiątym roku panowania, kiedy monarchia jego chciała święcić radosne obchody jubileuszowe—to takie brzemię nieszczęścia, że trudno myślą ogarnąć jego rozmiary i zmierzyć jego ciężar. „Nic mi nie było oszczędzonem“ — miał Cesarz sam powiedzieć, gdy go uwiadomiono o śmierci Cesarzowej. To prawda; z wyjątkiem niedostatku i nędzy, niema nieszczęścia, któregoby nie był doświadczył, i to nie w tej mierze, w jakiej nieszczęścia i boleści zwykle na ludzi spadają, ale z okropnemi tragicznemi dodatkami.

Na ogrom tych cierpień patrzy się ze czcią i ze strachem — ze czcią i podziwieniem na sposób, w jaki Cesarz swoje cierpienia przyjmuje i znosi. Jak jego nieszczęścia, tak jego cnota przechodzi zwykłą miarę, a wiara, poddanie się woli Bożej, muszą być niezmiernie silne w tej duszy, kiedy ona się nie złamała i nie skarży, nie szemrze, tylko cierpi i dalej robi to, co ma za swój obowiązek. Wiele do-

brych przykładów dał Cesarz swoim bliźnim i poddanym; teraz daje im nowy przykład wielkich chrześciańskich cnót. Sam musi w nich znajdować ulgę i pociechę; ale dla tych, co z daleka boleść jego podzielają, co patrzą ze zgrozą na tę zbrodnię ohydną, jest ulga i otucha w jego uczuciach i słowach. Są bezdenne otchłanie złego, to prawda; ale są też i wielkie wysokości dobrego, które za złe może czynią zadosyć, a nie pozwalają zwątpić o naturze ludzkiej.

Tej wielkości duszy Cesarza wyrazem wzniosłym był *Manifest do ludów*, wydany po pogrzebie Cesarzowej; prawdziwy wizerunek siebie samego, jaki Cesarz dał, i pomnik, jaki swojej szlachetności postawił.

Tej złożywszy hołd, tak bardzo niedostateczny, wróćmy do złego, do zbrodni.

Gdyby banda rozbójników ogłosiła wszem w obec: „Oto my teraz będziemy mordowali kogo nam się podoba“—więcej: gdyby złodzieje zwierzyny ogłosili, że pójdą w lasy i będą strzelali zwierza, jaki im się nawinie, rozbójnicy i złodzieje zwierzyny byliby zaraz bez ceremonii zamknięci, jako rozbójnicy i złodzieje. Anarchiści ogłaszają przez całe lata, że chcą mordować panujących, drukują to w swoich książkach, mówią na swoich zgromadzeniach, ale chodzą wolno. Tu i owdzie wprawdzie konfiskują się czy zawieszają ich dzienniki, ale ich zebrania odbywają się swobodnie, a ich osoby cyrkulują bez przeszkody. Wszystkim rządom i wszystkim prawodawstwom, które na to pozwalają, słusznie można postawić przed oczy następujący wniosek, wydobyty z ich postępowania: „A więc panujący jest mniej, niż człowiek, jest nawet mniej, niż zwierzyna, skoro można grozić jego życiu, kiedy życie człowieka, życie zwierza, jest pod opieką jakiegoś prawa“.

Na to wychodzi teorya księcia Krapotkina i praktyka morderców, jak Luccheni; teorya nie była powstrzymana i ukarana jako zbrodnicza, więc w ślad za nią poszła zbrodnia praktyczna.

Ale zkąd to pochodzi? Jakim sposobem doszły społeczeństwa europejskie do takiego zdziczenia i zarazem ogłupienia?

Sposobem bardzo prostym i logicznym: bezkarnością w miejscu wolności i bezprawiem w miejscu prawa.

Źródło złego — zły przykład, jest w rządach samych. Od nich nauczyły się społeczeństwa, że w polityce można robić co się podoba, że pozwolonem i dobrem jest wszystko co się udaje, i że *racyn stanu* jest wyższa nad wszystkie prawa boskie i ludzkie. Ale *racyę stanu* pojmuje i tłómaczy każdy po swojemu, a nie jeden wciela ją w siebie. Dla Fryderyka i Katarzyny *racyą stanu* była potęga Prus i Rosyi, i rozbiór Polski; dla Caseria i Luccheniego racyą stanu jest anarchia i mordowanie panujących. On sobie mówi, że jego racya stanu jest tak dobra, jak tamta, a jeżeli tamtej wolno używać wszelkich środków, to i tej także. Brak sumienia i honoru w polityce, niegodziwość środków, sprowadza za sobą zepsucie społeczeństw, potworności i podłości, na które wzdryga się ludzka natura. Bezprawie jest zaraźliwe, a kto je praktykuje na górze, ten prędzej czy później struchleje, kiedy je zobaczy na dole.

Drugim powodem jest bezkarność, pojmowana i szanowana jakżeby była wolnością. Zasada jest słuszna, że wszystkie opinie są wolne: na niej opiera się polityczna wolność. Ale zbrodnia nie jest pozwoloną nigdy; a tymczasem zbrodnicza teorya szerzy się bez przeszkody, jeżeli się pokryje fałszywym pozorem politycznej wolności. Anarchizm jest opinią, więc jest wolnym; anarchia jest programem politycznym, więc jako taki jest dozwolona; anarchiści są stronnictwem politycznem, więc mają prawo działać tak, jak każde inne stronnictwo! W tem jest fałsz. To jest to rozumowanie, mylne jeżeli szczere, przewrotne i występne jeżeli udane ze strachu lub z wyrachowania. Anarchia nie jest politycznym programem, ani anarchiści politycznem stronnictwem, bo są wprost zupełnem zaprzeczeniem i zniweczeniem wszelkiego politycznego bytu ludzkich społeczeństw. Kto na takiem stanowisku staje, ten *eo ipso* zrzeka się tych wszystkich praw i korzyści, jakie społeczeństwo członkom swoim jest winne i daje. Jeżeli oni wyjmują z pod prawa te lub owe osoby, wchodzące w skład naszych społeczeństw i urządzają na nie polowanie, to słusznem jest, żeby co najmniej nie używali tych praw i wolności, jakie służą nam wszyst-

kim. Morderstwo polityczne, spełnione z fanatyzmu, może wyjątkowo uchodzić za istotnie polityczne; morderstwo panujących, ogłoszone jako program, jest, nie mówiąc już o osobnym stopniu królobójstwa, organizacyą pospolitej zbrodni, która niepospolitą jest jedynie przez swoje barbarzyństwo i swoją podłość bez granic.

Mówią, że dziś, pod wrażeniem straszliwego okrucieństwa, spełnionego na Cesarzowej Elżbiecie, zaniepokoiły się rządy i opinie, że rząd włoski bierze inicyatywę w jakiejś dzielniejszej akcyi przeciw anarchii. Życzymy najszczerzej powodzenia i skutku—ale nie wiemy, czy to nie za późno. Jeżeli się nie chciało takiej *wolności (!)* w uczynku, to nie trzeba było znosić *takiej* wolności w słowie i piśmie; nie trzeba było traktować anarchistów jak politycznego stronnictwa, a anarchii jak politycznej opinii. Rrząd francuski osłupiał na widok zamordowanego prezydenta Rzeczypospolitej; gdyby w swoim czasie nie był dał amnestyi mordercom tak zwanych zakładników i podpalaczom Paryża, może zabójca Carnota nie byłby myślał, że morderstwo jest bohaterstwem, a przynajmniej byłby się więcej namyślał i wahał. Gdyby Luccheni nie był czytał anarchicznych programów, nie byłby doszedł do takiego potwornego zawrócenia głowy i sumienia. Owszem, teraz jeszcze, już po śmierci Cesarzowej, zaraz nazajutrz czy we dwa dni, odbywało się w Bruxelli zgromadzenie anarchistów. Zdecydowało łaskawie, że śmierć ta nie pochodziła z jego planu i rozkazu. Ale czy w Bruxelli mogłoby się odbyć zgromadzenie rozbójników? a choćby tylko zgromadzenie złodziei zwierzyny? Zapewne nie. A jednak odbyło się zgromadzenie ludzi, którzy mord panujących ogłaszają otwarcie, jako swój zamiar i swój *polityczny program!* To jest prawie tak straszne, jak samo morderstwo Cesarzowej.

Szkodliwą w pewnej mierze może być ta dziennikarska ciekawość i dziennikarskie gadulstwo, które rzucają się na taki fakt, jako ponętny dla czytelników, i opisują go bez końca we wszystkich szczegółach. Co Luccheni robił przez całe życie, co robi teraz w więzieniu, co mówi, jak wygląda, co czyta, co jada, wszystko to zapisują skwapliwie dzienniki i przesadzają się jedne nad drugie. Im więcej tych

ciekawości, tem lepiej! Jaki z tego może być skutek? Ten, że drugi człowiek, równie głupi i równie zły jak Luccheni, widząc go tak sławnym, będzie go podziwiał, albo mu sławy zazdrościł; fanatyzm i próżność mogą w nim burzyć i nie dawać mu spokoju, dopóki on także nie sięgnie po laury podobne, licząc na szczęście i zręczność, że on uniesie całą swoją głowę, którą chce tym pięknym laurem uwieńczyć. Mówić o fakcie, ale o mordercy jak najmniej, tyle tylko, ile potrzeba, żeby powiedzieć, że był i że był ohydny, to byłoby z pewnością roztropniejsze i godniejsze.

Das Jahrhundert schloss mit einem Königsmord und mit einem Völkermord—mówił o wieku XVIII Sybel, w czasie, kiedy jeszcze nie był urzędowym historyografem królestwa pruskiego. Wiek XIX kończy się także *mit einem Königsmord*—ale z tą różnicą, że śmierć Maryi Antoniny była ohydniejsza przez pozory i komedyę sądu, ale miała jakąś okoliczność łagodzącą w namiętności podnieconej wojną. Śmierć Cesarzowej Elżbiety niema tej obłudy prawnego postępowania, ale też niema w niczem najmniejszej okoliczności łagodzącej. „Okrucieństwo plugawe i głupie“—tak charakteryzuje Sienkiewicz jakiegoś dzikiego zwierza. Pomiędzy ludźmi takim jest zabójca Cesarzowej. A ta obława na królów, ten zorganizowany *Königsmord*, jak jest jednym z najstraszliwszych znaków czasu, tak jest objawem i skutkiem tego zepsucia, które szło z góry. „Kiedy królom wolno wszystko przeciw narodom, to i ludziom wolno wszystko przeciw królom“. Na pozór niema żadnego związku, ale na dnie dusz ludzkich jest straszny związek przez zepsucie, między tym *Völkermord*, na jaki pozwalali sobie królowie, a tym *Königsmord*, który mają sobie za pozwolony niektórzy z poddanych.

Tyle tragiczny zgon Cesarzowej Elżbiety nie wpłynie na postanowienia Cesarza Franciszka Józefa względem dalszych jego rządów. W manifeście „do ludów“, wydanym po śmierci Cesarzowej, oświadcza Cesarz, że i nadal zamierza wypełniać swoje posłannictwo i spodziewa się doprowadzić je do pomyślnego rezultatu, mianowicie do utrwalenia spokoju wewnątrz państwa. Ten ustęp manifestu cesarskiego ma

wielkie znaczenie polityczne, kładąc kres pogłoskom, szerzonym jeszcze przed śmiercią Cesarzowej, jakoby Franciszek Józef miał zamiar zrzec się rządów w dniu 2 grudnia. Pogłoski te występowały po zamordowaniu Cesarzowej z jeszcze większą siłą i potrzeba było oświadczenia manifestu, ażeby naprowadzić raz opinię publiczną na właściwe tory.

Wśród grozy, jaką roztoczyła wszędzie wiadomość o zamordowaniu Cesarzowej, wśród współczucia, z jakiem cały świat zwrócił się do tak tragicznie dotkniętej familii Habsburgów, wywołuje ten heroizm Cesarza Franciszka Józefa tem silniejsze wrażenie. Franciszek Józef tak jest przejęty poczuciem swoich obowiązków monarchy, tak wysoko ceni interesa państwa, że podporządkowuje im wszystkie swoje uczucia osobiste, wszystkie swoje boleści i radości, całe swoje jestestwo. Franciszek Józef — to personifikacya obowiązku. On żyje tylko dla państwa, któremu poświęca swoje myśli, każdą chwilę dnia. Jak wiele potrzeba było zaparcia się siebie samego, jak wiele potrzeba było sztuki zapomnienia i sztuki przebaczenia, jak wiele i ufności w Boga i ufności w siebie samego, jak wiele heroizmu i cierpliwości, ażeby wśród takich stosunków, jakie znalazł Franciszek Józef na początku rządów i jakie przebył przez te 50 lat rządów, po tylu prawdziwie tragicznych ciosach, jakie go dotknęły w tem, co miał najdroższego, miał dzisiaj jeszcze nadzieję, „że potrafi doprowadzić swoje posłannictwo do pożądanego rezultatu“ — to wszystko zapisze kiedyś historya na swoich kartach. Na dzisiaj wystarczy podnieść, że Franciszek Józef pomimo tylu katastrof i przejść jest niezłamany i że nie myśli ustąpić ze swojego posterunku.

A rzecz to nietylko dla Austryi ogromnie ważna. Co do Austryi, to jest Franciszek Józef rzeczywistym trwałym fundamentem tej budowli państwa. Można bez przesady twierdzić, że idea dynastyczna i idea austryacka mają swój punkt ciężkości i swoją siłę kohezyi w osobie Franciszka Józefa. Dla Austryi Franciszek Józef jest więcej niż panującym, tak się zżył ze swojem państwem, jego państwo tak zżyło się z nim.

Ale i na zewnątrz ma oświadczenie manifestu, że Cesarz nie myśli opuszczać swojego stanowiska, niezmierne

znaczenie. Niema dzisiaj mocarza w Europie, któryby zażywał tak ogólnej czci i takiego znaczenia osobistego, jak Franciszek Józef. Względy osobiste w naszych stosunkach małą wprawdzie odgrywają rolę, ale z osobą Franciszka Józefa wiąże się tyle wspomnień, on tak zna dokładnie wszystkie stosunki, jego postać stała się tak prawdziwie legendową, że znaczenie to jego osobiste waży ogromnie na szali stosunków międzynarodowych. Jeżeli dzisiaj w jakiej sprawie polityki zagranicznej zabiera głos Austrya, to szuka się za nią osoby Franciszka Józefa i liczy niemal więcej z jego głosem jako głosem patryarchy między monarchami, niż z głosem samego państwa.

To też można być przekonanym, że, jak długo stery rządów w Austryi leżą w rękach Franciszka Józefa, państwo to wyjdzie zwycięzko z trudności wewnętrznych i nie będzie narażonem na daleko sięgające zawikłania zewnętrzne.

Co do tych trudności wewnętrznych, to właśnie w ubiegającym miesiącu się wydawało, jakoby były one nie do przezwyciężenia. Rada państwa zebrała się pod hasłem obstrukcyi. Nawet żałoba, w jakiej pogrążona była dynastya i państwo, nie wpłynęła na zmianę zapatrywań. Ze strony umiarkowanej części opozycyi, mianowicie z łona przedstawicieli większej posiadłości „wiernokonstytucyjnej“, wyszła myśl wyłączenia przedłożeń ugodowych z obstrukcyi i dozwolenie na formalne zajęcie się temi przedłożeniami w parlamencia. Myśl była tem więcej usprawiedliwioną, że przedłożenia ugodowe, jako takie, są sprawą całej monarchii i stanowią jej podstawę. Póki stosunek Austryi do Węgier nie jest na dłuższy przeciąg czasu określony, póty podstawa legalna monarchii jest zachwiana. O tem zapominają Niemcy, którzy od niepamiętnych czasów przyzwyczajeni są do używania spraw państwa za środek do osiągnięcia celów partyjnych lub narodowych. Tak działała stara partya niemiecka liberalna za czasów ministerstw Auersperga, a później Taaffego, tak działają dzisiejsi jej epigonowie niemieccy. Dzisiejsi Niemcy chcą osiągnąć załatwienie sprawy językowej niemiecko czeskiej, a więc sprawy partykularystycznej, za pomocą niezałatwienia spraw państwa, dzisiejsi Niemcy chcą uderzyć na ministerstwo hr. Thuna, a uderzają na monarchię.

Zawsze stara taktyka, która powtarza się, pomimo że tyle już razy okazała się ona niepraktyczną.

Jeżeli dzisiaj rozpoczną się obrady nad przedłożeniami w Izbie, można być przekonanym, że równocześnie rozpocznie się agitacya przeciwko nim po za Izbą, agitacya tem silniejsza, że połączona, oprócz wrodzonej Niemcom niechęci przeciwko Węgrom, z nienawiścią przeciwko Żydom. Sprawy językowe, kwestya rozporządzeń językowych w rzeczywistości już przyblakła — nie wywiera ona już wpływu na masy — agitatorowie, żyjący z agitacyi, szukają nowego hasła, a tem pożądanem hasłem byłaby walka przeciwko Żydom węgierskim, albo właściwie mówiąc „zżydziałym Węgrom“. *Der Kampf gegen die Judäomagyaren.* Wiele mów wypowiedziałby na ten temat sam p. Lueger! Agitacya ogarnęłaby bez porównania szersze masy, jak rozporządzenia językowe. Rozprawy nad przedłożeniami ugodowemi w parlamencie miałyby więc tylko ten skutek, że rozbudziłyby namiętności, zaszkodziłyby może nawet znaczeniu monarchii za granicą i nie doprowadziłyby w końcu do — żadnego rezultatu, albowiem o przyjęciu przedłożeń w obecnej ich postaci nikt nie może nawet myśleć.

Kierujące organa prasowe niemieckie radziły, ażeby Niemcy zgodzili się na rozpoczęcie obrad nad przedłożeniami ugodowemi, ale tylko w tym celu, ażeby uniemożliwić ich zadekretowanie na podstawie § 14. W Izbie ma więc przyjść do pierwszego czytania przedłożeń, ale zato w komisyach ma być wniesiona tak znaczna liczba rozmaitego rodzaju wniosków, że przyjście ustawy do skutku w czasie przepisanym ma zostać uniemożliwionem. Na którą stronę przechyli się szala, niewiadomo; w każdym razie jednak pewnem się zdaje, że rząd nie może czynić zawisłym losu monarchii od tego rodzaju zabawek partyjnych i że *przed końcem roku* będzie zmuszony powziąć stanowczą decyzyę. Jako charakterystyczną oznakę wypada jeszcze podnieść, że w całej tej sprawie nikt nie zajmował się właściwą treścią przedłożeń ugodowych; jako aksyomat postawiono, że są one nie do przyjęcia, nie dochodząc zupełnie bliżej, dlaczego są nie do przyjęcia, los zaś sam ustaw uczyniono zależnym od najrozmaitszego rodzaju kombinacyj partyjnych, osobistych itd.

Co jednak nastąpi na wypadek odroczenia parlamentu i zaprowadzenia ugody z Węgrami w drodze rozporządzenia na podstawie § 14? — to są pytania, brzemienne w skutki, a od ich rozstrzygnięcia w najbliższym czasie zależy los konstytucyonalizmu austyackiego.

Jeżeli tak rozważamy tę całą wewnętrzną niedolę Austryi, to musimy nieraz zadać sobie pytanie, zkąd to pochodzi, że te ludy austryackie z taką wytrwałością, a raczej powiedzmy, z takim uporem, zajmują się prawie wyłącznie najbłahszemi sprawami, że zapominają dla najdrobniejszych, zaledwie wzmianki godnych spraw, o najżywotniejszych swoich interesach, i że ten stan ciągłego oszołomienia, upajania się małostkami, trwać może przez całe lata i tamować może wszelki rozwój wewnętrzny? Wszak nie można przypuścić, że te ludy są tak krótkowidzące, iż nie potrafią odróżnić rzeczy ważnej od małoznaczącej, pytania zasadniczego od pytania podrzędnego, celu wysokiego, wzniosłego, od celu zaściankowego. Nie ulega wątpliwości, że skład Austryi odgrywa przytem niemałą rolę i sprawia, że każda narodowość ma dążność do oceniania każdej sprawy w Austryi z wysokości, a raczej z poziomu swojego narodowego widnokręgu, ale przyczynia się do tego złego i ta bierność w polityce zagranicznej, na jaką Austrya jest skazana, skutkiem swoich dawniejszych niepowodzeń i błędów.

Stagnacya na polu polityki zagranicznej wyrabia stagnacyę na polu polityki wewnętrznej. Oczy wszystkich prawie ludów Europy zwrócone są dzisiaj na *świat*, oczy ludów austryackich zwrócone są na *zaścianek*. Gdyby te ludy miały jakiś cel wielki na zewnątrz, nie walczyłyby tak o błahe rzeczy na wewnątrz.

Weźmy naprzykład dzisiejszą Rosyę. Młody car, którego tron z pewnością zdawał się podminowany walkami o wolność na wewnątrz, knowaniami nihilistycznemi i innemi, rzucił najpierw myśl walki o daleki Wschód. W Chinach toczą się dzisiaj zapasy między Anglią a Rosyą, zaczarowany świat otwiera się przed oczyma ludów europejskich. Każda piędź ziemi, zdobyta w Chinach, zdaje się być bramą do tego nowego świata. Równocześnie występuje car z projek-

tem ogólnego rozbrojenia, albo właściwie mówiąc, z myślą położenia kresu dalszym zbrojeniom państw Europy.

Na kilka lat wystarczyłoby tych wstrząsających wypadków, które zaszły w ciągu jednego ubiegłego miesiąca. Śmierć Cesarzowej, rzezie na Krecie, Hiszpania pozbawiona swoich kolonij, zdobycie Omduramanu, zmiany czy rewolucye w Chinach, wszystko to znamionuje stan naszego świata i wpływa na jego dalsze przekształcenie. Wśród tego Rosya wzywa cały świat cywilizowany do rozbrojenia, a przynajmniej do zmniejszenia uzbrojeń.

Nic piękniejszego! I myśl szlachetna, i skutek byłby błogosławiony, gdyby być mógł. Pokój powszechny i wiekuisty jest zapewne wielką utopią, z powodu, że natura ludzka jest skłonna do złego. Ale te potworne uzbrojenia, te narody zamienione w armie, te mogłyby ustać, gdyby nie było na świecie państw, zabierających cudze lub czychających na cudze, i gdyby nie było rządów, które wewnątrz, u siebie, obchodzą się ze swymi poddanymi bez żadnego względu na ich przyrodzone prawa.

Wezwanie cesarza rosyjskiego musi być pochwalanem przez wszystkich uczciwych ludzi. Ale szanując sam fakt, nie bez ciekawości szuka się jego pobudek. W umyśle cesarza jest tą pobudką niewątpliwie dobry zamiar. W wyrachowaniu jego rządu jest niewątpliwie i ten piękny efekt, jaki krok ten robi, otoczenie Rosyi urokiem dobroczyńcy ludzkości, zwrócenie ku niej oczów i sympatyj tych wszystkich w Europie, którzy w pocie czoła dźwigają karabiny i płacą kolosalne podatki. Praktycznie Rosya na tym szlachetnym porywie nie traci nic. Nawet przy zmniejszeniu wojsk ona będzie ich miała więcej, niż inne państwa; a jeżeli wstrzymają się coraz nowe uzbrojenia i nowo wynalezione systemy broni, to ona, najgorzej uzbrojona ze wszystkich, zrówna się przez to z innemi, pomału ich dopędzi, a z czasem i przegoni. To może być prawdziwą pobudką, nie cesarza rosyjskiego, ale jego doradców. Prócz tego zaś może jedno jeszcze. Kto wie, czy ten pomysł rozbrojenia, ulgi powszechnej, nie jest klapą bezpieczeństwa, otwartą dla lepszych uczuć Mikołaja II, żeby sobie uszły w tę stronę, satysfakcyą daną im na to, by odwrócić uwagę Cesarza od

tego, co dzieje się wewnątrz i nie dać mu myśleć i pytać, czy ten system rządzenia, jaki jest, jest słuszny i dobry.

Podobnie jak w Rosyi cesarz Mikołaj II, taksamo w Niemczech cesarz Wilhelm II, stara się wszelkiemi sposobami oderwać myśli swoich poddanych od zaściankowych wewnętrznych sporów i zwrócić je do celów wyższych, po za granicami Niemiec leżących. I cesarstwo niemieckie bierze udział w zapasach o podział dalekiego Wschodu, a równocześnie wybiera się cesarz Wilhelm w podróż do Ziemi Świętej, do której przywiązują Niemcy znaczenie zasadnicze, mianowicie uzyskanie protektoratu nad chrześcianami tam osiadłymi. Pomysł trochę dziwny, i pretensya dziwna. Protestantów tam właśnie najmniej, a katolicy potrzebują protektora swojej wiary.

Zupełnie inny obraz jak Niemcy i Rosya przedstawiała Francya, gdzie sprawy *wewnętrzne* zajmowały wyłącznie uwagę publiczną. Proces Dreyfussa przechodził, podobnie jak swojego czasu sprawa Panamy, przez najrozmaitsze fazy, coraz dramatyczniejsze, coraz pełniejsze interesu. Jestto właściwością Francuzów, że przedstawiają oni — nawet tam, gdzie to jest dla nich samych niekorzystnem—każdą sprawę, każdą *affaire* tak interesująco i oddziałują tak silnie na fantazyę widzów, iż wyrasta ona, choćby była sama przez się nieznaczną, do rozmiarów sprawy *à sensation.* Sama sprawa Dreyfussa, t. j. pytanie, czy ten oficer popełnił zdradę, czy nie, obchodzi w gruncie rzeczy jego samego, jego rodzinę, armię francuską, ale dla publiczności po za granicami Francyi ma ona podrzędne znaczenie. Tymczasem okoliczności tej sprawie towarzyszące, samobójstwo popełnione przez podpułkownika Henry'ego, który dopuścił się fałszerstwa, ażeby przekonać sąd o winie Dreyfussa, walka między ministerstwem Brissona a sztabem generalnym — to wszystko nadało tej sprawie niemałe znaczenie polityczne. W obecnym stanie jest ona symptomatem, charakteryzującym dzisiejsze położenie Francyi. Dowodzi ona, że w dzisiejszej Francyi istnieje jakaś niechęć czy zawiść między władzami cywilnemi a wojskowemi. Rzecz to jest łatwa do zrozumienia. W państwach monarchicznych jest monarcha także najwyższym wodzem, w rzeczypospolitej brak jest tej głowy, któ-

raby była łącznikiem między władzą cywilną a wojskiem. We Francyi obsadzano także posadę ministra wojny „cywilistami“; skutkiem tego musiał tam powstać pewien antagonizm pomiędzy cywilistami, stojącymi na czele rządu, a wojskowymi, stanowiącymi, jak wszędzie, osobną kastę. Jeżeli dalej się zważy, że ta władza cywilna traciła coraz więcej na znaczeniu, że sprawa Panamy i tyle innych spraw zniszczyły zupełnie szacunek dla tych władz cywilnych, to łatwo pojąć, że musiało wobec tego wzrastać znaczenie jedynej jeszcze niedotkniętej władzy, przedstawiającej dawną świetność Francyi, władzy wojskowej. O ile można osądzić z obecnego przebiegu, odgrywała w sprawie Dreyfussa główną rolę lekkomyślność szefów sztabu generalnego; nie o złą wolę tam chodziło, ale poprostu o lekkomyślność. Kiedy zaś prasa całego świata zaczęła krzyczeć, kiedy się utworzył „syndykat Dreyfussa“ i sprawa zaczęła coraz szersze roztaczać kręgi, wtedy przestraszył się sztab generalny, że przez wykrycie lekkomyślności utraci wiele na dotychczasowej reputacyi. Ztąd staranie o zakrycie sprawy, o „zatuszowanie“; jeden krok pociągnął za sobą drugi, jedna niezręczność zrodziła drugą i ostateczny skutek był, że nikt w końcu nie mógł się połapać, co było i jest w tej sprawie prawdą, a co fałszem. Rewizya procesu Dreyfussa została obecnie postanowioną, sąd najwyższy rozezna sprawę i postanowi, czy ma ona napowrót przejść pod sąd wojenny. To postanowienie ministerstwa Brisson nie nastąpiło bez wewnętrznych walk: minister wojny jenerał Zurlinden oświadczył się przeciwko rewizyi i zaraz ustąpił ze swojego stanowiska, jego następca jenerał Chanoine nie oświadczył się wprawdzie przeciwko rewizyi, ale zażądał równocześnie silnego wystąpienia przeciwko napaściom na armię. Pytanie zachodzi, co postanowi trybunał kassacyjny, a ważniejsze jeszcze, czy armia zechce się poddać rozstrzygnięciu tego sądu. Nawet w razie, gdyby sąd kassacyjny uznał potrzebę nowego procesu przed sądem wojennym, sprawa Dreyfussa nie będzie jeszcze załatwioną. Przejdzie ona jeszcze przez rozmaite fazy, zanim zniknie z porządku dziennego. Walka zaś między jenerałami a „cywilistami“, rządzącymi dzisiaj Francyą, dojdzie dopiero wtedy do rozstrzygającego momentu, jeżeli

znajdzie się pomiędzy jenerałami ktoś z rodzaju Boulangera. Rzeczpospolita wojskowa, a co najmniej z jenerałem na czele, oto przyszłość Francyi.

Po owym *wiecu,* na którym stronnictwo *demokratyczne* zawarło alians ze stronnictwem *niby ludowem,* po szerzonych na wsi namowach, by lud wiejski oświadczał się przeciw stanowi wyjątkowemu, bo ono jest „ograniczeniem autonomii“ — jakiem i w czem? — po tem wszystkiem można było spodziewać się wiele: a jednak niespodzianką była uchwała powzięta w tej mierze przez Radę miasta Lwowa. Niespodzianką w treści, bo nie można było tego wiedzieć, że ta Rada nie zna zakresu swojej kompetencyi; niespodzianką w formie, bo znowu nie można było wiedzieć, że Rada zechce przemawiać do Namiestnika, jak do swego podwładnego.

Odpowiedź Namiestnika nie była niespodziewaną, ale była zasłużoną, i była zdrową dla wszystkich. Krótka i stanowcza, dawała do zrozumienia jasno i wyraźnie tym, co swoje stanowisko chcieli przekroczyć, że Namiestnik przeciw swojemu stanowisku nie wykroczy. Namiestnik ma swój środek ciężkości i wskazuje innym, że także mieć go powinni. Przez takie przypominanie i zachowywanie właściwego każdemu stanowiska utrzymuje się, a w potrzebie przywraca się równowaga w społeczeństwie.

* * *

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego."

Dr. Klemens Bąkowski: *Dawny Kraków.* Z 2 rycinami i 2 planami. (W Krakowie, w drukarni „Czasu", 1898, str. 366).

Wydawnictwo Towarzystwa Miłośników historyi i zabytków Krakowa: Rocznik Krakowski. Tom I, z 83 rycinami w tekście i 2 tablicami światłodrukowemi. (W Krakowie, nakładem Towarzystwa, 1898, str. 371).

Wł. Orkan: *Nowelle.* Z przedmową Kazimierza Tetmajera. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 193).

Kazimierz Gliński: *Wróci.* Powieść. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 353).

Wł. Grabieński: *Dzieje narodu polskiego.* Część I i II. (Kraków, nakładem autora, 1897, str. 280, 370).

O filozofię Hoene - Wrońskiego polemika z powodu książki P. S. Dicksteina „Hoene Wroński, jego życie i prace", zebrał Dr. J. Drzewiecki. Odbitka z „Niwy". (Warszawa, nakładem „Niwy", 1898, str. 62).

„Życiorysy sławnych Polaków". Nr. I. *Mikołaj Kopernik. Życie i działalność naukowa*, napisał Henryk Merczyng. Z portretem Mikołaja Kopernika, (str. 67). — Nr. II. *Adam Mickiewicz. Życie i dzieła.* Zarys biograficzny, przez Stanisława Tarnowskiego. Z portretem A. Mickiewicza, (str. 102). — Nr. V. *Jan Zamoyski, jego życie i działalność polityczna*, przez Witolda Nowodworskiego. Z portretem J. Zamoyskiego, (str. 98). — Nr. VI. *Jan Śniadecki, jego życie i działalność naukowa*, przez Leona Świeżawskiego. Z portretem J. Śniadeckiego. (Petersburg, nakładem Księgarni K. Grendyszyńskiego, 1898).

Notizen über Mexico, von Harry Graf Kessler. (Bei Fontane et Cie. Berlin, 1898, str. 195).

DEUTSCHE RUNDSCHAU.

Inhalt des September-Heftes 1898.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr Jerzy Mycielski.

LA REVUE DES REVUES.

La livraison du 1 septembre 1898, contient:

I. La question des études classiques d'après la psychologie expérimentale, par A. Binet, directeur du laboratoire psychologique à la Sorbonne. — II. Désespérance et militarisme, par J. Novicow. — III. Les héros du peuple (10 gravures), par Léon Berthaut. — IV. La folie de l'or. (Les séductions et les misères du Klondike) (4 gravures), par P. d'Amfreville. — V. Notre Dame de la Clarté, par Gabriel Vicaire. — VI. Ruches du soir, par Henry Bérenger. — VII. Le mouvement littéraire en Hongrie, par F. Kont, professeur au Collège Rollin. — VIII. Un diplomate français *(suite et fin)* par Paul d'Estrée. — IX. Choses étranges, par Alexandre Martin. — X. La multiplication magique (12 gravures), par le Dr. L. Caze. — XI. Revue des derniers livres français. — XII. *Analyse des „Revues" françaises, anglaises, américaines, d'art, italiennes et japonaises.* — XIII. *Caricatures politiques* (10 gravures).

La livraison du 15 septembre 1898, contient:

I. Sainte-Bevue à l'étranger, par le Dr. Cabanès. — II. Les coopératives scolaires, par Paola Lombroso. — III. Les femmes dans la science (7 gravures), par Jacques Boyer. — IV. La femme nouvelle, par Sarah Grand. — V. Les armées du monde et le désarmement général (8 gravures), par le Dr. L. Caze. — VI. Le mouvement littéraire en Allemagne, par Rudolf Scharf. — VII. Le mouvement littéraire en Hongrie *(suite et fin)*, par J. Kont, professeur au Collège Rollin. — VIII. Les distractions de Thélo, par V. Papasiantz. — IX. L'agonie de la monarchie espagnole. — X. Les lutteurs japonais (7 gravures), par P. d'Amfreville. — XI. Les derniers progrès de la marine (4 gravures), par L. Roux. XII. *Analyse des „Revues„ françaises, allemandes et néerlandaises.* — XIII. *Caricatures politiques* (11 gravures).

Prix de l'abonnement par an: Paris et la France, 20 francs; Étranger (Union postale), 24 francs.

„PRZEGLĄD POLSKI"

pismo naukowe i literackie, wychodzi rok trzydziesty pierwszy w Krakowie, w pierwszych dniach każdego miesiąca, w zeszytach zawierających 10 — 12 arkuszy druku w 8ce (rocznie najmniej 120 arkuszy druku).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Dr Jerzy Mycielski**.

Prenumerata na „Przegląd Polski" z przesyłką pocztową:

	rocznie:	półr.:	kwart.:
w Austryi	16 złr.	8 złr.	4 złr.
„ Niemczech . . .	32 mar.	16 mar.	8 mar.
we Francyi, Belgii, Włoszech i w Ameryce	40 fran.	20 fran.	10 fran.

Cena pojedynczego zeszytu 1 złr. 50 ct.

Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administracyi „Przeglądu Polskiego": Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie.

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie oraz urzędy pocztowe w kraju i za granicą.

Dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla duchownych prenumerata „Przeglądu Polskiego" wynosi:

rocznie w Austryi . . . . . 12 złr.
„ w Niemczech . . . 24 mar.
„ we Francyi . . . . . 30 fran.,
którą przyjmuje wyłącznie tylko Administracya.

W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

Tom 129. Nr. 389.

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK TRZYDZIESTY TRZECI.

Zeszyt V. Miesiąc Listopad 1898 r.



W KRAKOWIE,
Administracya i ekspedycya w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.
1898.

SPIS RZECZY.

☞ **Adres Redakcyi: Rynek główny Nr 44, II piętro.**

Z szekspirowskich problemów.

Jago.

Nazwano *Otella* szekspirowskiego „tragedyą zazdrości“, monografią tego „potwora zielonookiego“, uczucia, które szarpie i rozdziera duszę ludzką stokroć straszniej i boleśniej, niż wszelka inna namiętność.

Określenie niezbyt ścisłe i nie zupełnie trafne.

Katastrofa ostateczna — śmierć Desdemony — jest wypadkową przeróżnych prądów, ścierających się w piersi Otella, budzących się stopniowo i rozwijających współrzędnie, aby wreszcie złączyć się w jeden olbrzymi ból, szukający ulgi w wybuchu o żywiołowej sile, pełnym grozy i strasznej potęgi.

Otello nie działa li tylko pod wpływem opanowującej go i oślepiającej zupełnie zazdrości; czyn jego jest wynikiem szeregu motywów psychologicznych, po części pozbawionych całkowicie erotycznego podkładu. Gra w nim i obrażona miłość własna mężczyzny, który zna swoją wartość, i obrażona duma parweniusza, potomka wzgardzonej rasy, który własnemi siłami wybił się tak wysoko, i wygórowane poczucie honoru, tkliwe na każde, choćby najlżejsze draśnięcie, i zranione poczucie własnej godności, nieskalanej dotąd niczem i czystej, i obawa pogardy ludzkiej, szyderstwa i t. d., i t. d., a wreszcie — motyw niezwykłej wagi i siły — zmiana raptowna poglądu na świat, który dotąd był mu rajem, pełnym

szczęścia, kwiatów, jasności, a nagle „zmienił się w chaos“, stał się w jego oczach otchłanią czarną, pełną potworów, stekiem brudu, przewrotności i kłamstwa. Ten radykalny przewrót, zniszczenie wiary i ufności w cnotę i szlachetność, w przysięgi i uczucia, w czystość i prawdę, złamać musi naturę tak prostą i niezłożoną, świeżą i nieskalaną, zaślepia go całkowicie i odurza, ubezwładnia wszelkie inne czynności mózgu, kierując je tylko w jedną stronę.

Budzi się w nim pragnienie zemsty jak najsroższej za doznaną obelgę, za splamienie jego honoru, za złamanie mu życia, za obrazę wszystkich najszlachetniejszych jego uczuć, za ból straszny i nadludzki, przenikający cały jego organizm psychiczny. Zdaje mu się, że tylko zemsta i to zemsta jak najsroższa dać mu może zadośćuczynienie, powrócić równowagę i spokój, zagoić wszystkie rany. Pragnienie zemsty wydaje mu się *obowiązkiem moralnym,* a nie zbrodnią, zaślepia go zupełnie, zatraca w nim możliwość refleksyi i rozwagi. On pragnie zemsty; ząb za ząb, oko za oko, życie za życie.....

Wstań czarna zemsto z piekielnych czeluści!
Miłości ustąp twe królestwo w sercu,
Nieubłaganej, krwawej nienawiści!

Pierś jego kłują tysiące żmiich żądeł; pożąda „krwi, krwi i krwi“, na klęczkach przysięga:

Jak pontyńskie morze,
Którego wzdęta, lodem ścięta fala,
Nie zna odpływu wstecz, lecz ciągle dąży
Do Propontydu i do Hellespontu,
Tak krwawa moja myśl w niepowstrzymanym,
Stałym pochodzie nigdy wstecz nie spojrzy,
Ani się cofnie ku brzegom miłości
I nie wprzód spocznie, aż ją bezmiar zemsty
Całą pochłonie..... Na ten błękit nieba!
Z całą należną czcią dla świętych ślubów
Przysięgam, że tak będzie!

W tej chwili cel jego jest jasny i niewzruszony. Zemsty swej dokona, choćby to i jemu śmierć przynieść miało.

Otello jest tragedyą zemsty—zemsty Otella na Desdemonie, Jagona na Otellu.

Dwie równoległe akcye — jedna wcześniejsza, druga późniejsza powstała z tamtej — dążą do jednej i tej samej mety, a tą metą jest zemsta.

Jago pragnie zemsty za urojoną krzywdę, którą jednak — tak samo, jak Otello, winę Desdemony — uważa za pewnik bezwzględny. I stają obok siebie dwa typy wręcz przeciwne, dwie indywidualności zupełnie inne, ale przejęte tem samem uczuciem, dążące do tego samego celu. Lecz droga, którą każdy z nich zdąża do tego celu, jest zupełnie inna, zgodnie z różnicą podstawowych cech ich charakterów.

Oto problem, godny takiego arcymistrza psychologii, jakim był Szekspir.

Nazwano Jagona jednym z najbardziej skomplikowanych i złożonych typów w niezrównanej galeryi szekspirowskich postaci. Zrobiono zeń łotra bez czci i wiary, geniusza intrygi, przewrotności i fałszu, wcielonego szatana, działającego li tylko dla zadowolenia swych zbrodniczych popędów, uprawiającego jako sport, jako „sztukę dla sztuki" łamanie życia tym, co się doń zbliżą, pokrywającego sofisteryą brak zupełny rzeczywistych podstaw i przyczyn swych machinacyj, okłamującego świadomie sam siebie. *L'art pour l'art*, zbrodnia dla zbrodni, z amatorstwa, dla przyjemności szkodzenia drugim, dla napawania się widokiem ich męczarni.

Określenie niezbyt ścisłe, a przytem — sądzimy — zupełnie nietrafne, fałszywe i błędne.

Jago jest rzeczywiście typem nadzwyczaj skomplikowanym; jego charakter jest konglomeratem najrozmaitszych pierwiastków, z których każdy sam w sobie wystarcza, aby rozwinąwszy się do wyższego stopnia, zrobić z niego moralnego potwora i strasznego zbrodniarza. Jest w nim iście szatańska złośliwość i lisia przebiegłość, jest zdolność do intrygi nadludzka i mściwość bezgraniczna, jest umiejętność niezrównana przybierania maski, jakiej mu w każdej chwili

potrzeba i obłuda doprowadzona do artyzmu, przewrotność i brak zupełny wszelkich zasad etycznych i egoizm wygórowany, jest zmysłowość i lubieżność wyrafinowana, chęć użycia i zadowolenia swych popędów, hamowana li tylko rozwagą i ostrożnością, jest ambicya niepohamowana i pragnienie wywyższenia się w jakikolwiek sposób ponad wszystkich, którzy go otaczają, a których niższość umysłową w porównaniu ze sobą widzi doskonale i przesadza we własnem pojęciu.

A przy tem wszystkiem spryt genialny i intelligencya olbrzymia, zimna krew, panowanie nad sobą absolutne, spokój nieopuszczający go w najkrytyczniejszej sytuacyi, wreszcie dyalektyka i siła argumentacyi wspaniała, znajomość najtajniejszych zakątków duszy ludzkiej zupełna. Słowem, jest w nim materyał na *Uebermensch'a*, stojącego po za granicami złego i dobrego, *jenseits von Gut und Böse,* ale materyał dopiero; zresztą jest on człowiekiem, a nie demonem, nie uosobieniem złego pierwiastka.

Obok niego stoi Otello, ufający absolutnie każdemu, natura tak prosta i niezłożona, że nawet nie pojmuje i pojąć nie może, iż na świecie istnieje przewrotność i fałsz, złość i nienawiść, chytra i skryta, ukrywająca się pod pozorami przyjaźni i przywiązania. W pełni męzkiego rozwoju i dojrzałości Otello zachował duszę dziecinnie świeżą i nieskalaną; w swem życiu całem, pełnem przygód i niebezpieczeństw, nie zdobył ani szczypty doświadczenia i znajomości ludzi i świata. Zna zewnętrzną stronę światowego życia, o wnętrzu duszy ludzkiej nic nie wie, niema pojęcia o czarnych głębiach i przepaściach, kryjących się pod powłoką barwnych i pociągających pozorów. Tylko w bojowym gwarze, wśród wiru i zamętu walki jest on przenikliwy i widzi jasno wszelkie plany i fortele, wybiegi i zasadzki, zdradliwość, chytrość i przebiegłość nieprzyjaciela; w życiu powszedniem tych stron ducha ludzkiego on nie zna, nie domyśla się ich istnienia, nie przeczuwa ich wcale. Sam powiada o sobie z rycerską otwartością i porywającą prostotą:

Szorstka moja mowa
Obrana z krasnych wyrażeń, właściwych

Czasom pokoju. Zaledwie to ramię
Uczuło w sobie siedmioletnie siły,
Od tej już pory aż dotąd, wyjąwszy
Dziewięć ostatnich miesięcy, jedynem
Mojem zajęciem w polu i w obozie
Było wojenne rzemiosło; o sprawach
Tego wielkiego świata mało więcej
Powiedzieć mogę nad to, co dotyczy
Bitw i szczegółów żołnierskiego życia.....

Naprzeciw tego wielkiego, naiwnego dziecka, staje Jago; naprzeciw optymisty bezwzględnego, który przez różowe okulary patrzy na wszystko, co go otacza, staje ten pessymista bezwzględny, cynik i sceptyk, wyszkolony we wszystkich kunsztach przewrotności i fałszu, psycholog znakomity, znający wybornie duszę ludzką, umiejący wydobyć z niej zawsze te tony, których mu potrzeba. Ani na chwilę wątpić nie można, po której stronie będzie zwycięztwo w tej walce.

Lecz gdzież jest przyczyna i powód walki? — jeżeli walką nazwać można to opanowanie jednej indywidualności przez drugą, wepchnięcie słabszej w położenie bez wyjścia.

Jago nienawidzi Otella, pragnie go zgubić i unieszczęśliwić, złamać mu życie, odebrać mu to, co dlań najdroższe. Desdemona i Emilia, Rodrigo i Cassio, wszystkie postacie wciągnięte przez Jagona w wir intrygi, to tylko pionki wysunięte po to, aby złowić w matnię Otella, zgubić go i zgnieść zupełnie. Źródłem tej nienawiści może być tylko jakaś wielka, straszna krzywda — doznana rzeczywiście, lub urojona — która pomszczona być musi. Jest ból jakiś, głęboki i potężny, nurtujący w duszy Jagona, toczący ją bez przerwy, szukający ulgi i ukojenia w zemście.

Oto wrażenie, jakie robi postać Jagona na pierwszy rzut oka.

W wstępnej scenie pierwszego aktu Jago odkrywa przed Rodrygiem część drobną, nieznaczną swych atutów. Takiemu głupcowi i niedołędze zwierzać się przecież nie będzie; mówi mu tylko tyle, ile sam chce i ile potrzebuje, aby go utwierdzić w zaufaniu i mieć zawsze pod ręką posłuszne narzę-

dzie. Poznajemy tu jeden motyw: obrazę wygórowanej miłości własnej i ambicyi przez mianowanie Cassia namiestnikiem Otella. Czyż motyw tak błahy, może się stać bodźcem do tak wyrafinowanej zemsty?

Nie — stanowczo nie.

Lecz wnet padają słowa znamienne, tajemnicze, których Rodrigo nie zrozumie i nie pojmie. Jago pozostaje nadal w służbie Otella, gdyż — sam on to mówi:

Służąc mu, służę li samemu sobie,
Nie z przywiązania, ani obowiązku;
Niebo mi świadkiem! ale pod pokrywką
Taką *służę dla widoków własnych.*
Gdyby me czyny miały kiedykolwiek
Wydać na zewnątrz wewnętrzny stan i dążność
Mojego serca, nie długo bym potem
Musiał to serce nosić u rękawa
Na żer dla kruków. Nie jestem, czem jestem.

Pierwsza wskazówka tajemnicza, niezrozumiała, ale groźna, jako zapowiedź nieuchwytnej jeszcze katastrofy.

Następują sceny przed domem Brabantia, w pałacu Dożów i t. d.—a wreszcie pierwszy monolog Jagona, w którym on uchyla swą przyłbicę i okazuje swe prawdziwe oblicze. I tu przejawia się olbrzymie, oddawna tajone cierpienie, toczące jak rak jego duszę, dzika namiętność, rozpacz, ból ogromny i nienawiść zastraszająca:

. . . . . Nienawidzę
Tego murzyna. Chodzą pogadanki,
Że *on przy mojej żonie mnie luzował.*
Może to bajka. Nie mam pewnych danych,
Że tak jest. *Samo jednak podejrzenie*
Tego rodzaju starczy mi za pewność
I bodzie mnie do zemsty!.....

Jasno i wyraźnie. Czyż to być może *ein ausgeklügeltes und wissentlich unechtes Motiv*, jak twierdzi cały legion komentatorów Szekspira z Gervinusem i Brandesem na

czele? Czyż to jest, jak chce Coleridge: *the motive-hunting of a motiveless malignity.*

Nie. To jest prawda.

Tu jest klucz do rozwiązania problematu.

Jago sam wobec siebie wyjawia tajemnicę, palącą go ogniem piekielnym, nie do ugaszenia. To nie sofisterya, nie sztuczne wymyślanie przyczyn nieistniejących, w które on sam nie wierzy, nie okłamywanie siebie samego. W każdem z tych słów jego tętni szczerość i prawda, ból i rozpacz.

Tak, jak Otello nie wiele później, w chwili, gdy mu Jago kropla za kroplą sączy w ucho jad strasznych podejrzeń, tak i Jago w tej chwili łamie ręce, wije się z bólu wobec mary własnej wyobraźni, nękającej go jak najstraszniejsza tortura — wobec podejrzeń i domysłów, które raz wzniecone, ugasić się już nie dadzą. Jago przeszedł już te chwile rozpaczy, na które wnet patrzeć będziemy u Otella, lecz one nie doprowadziły go do gwałtownego wybuchu, bo niema w nim wulkanicznego temperamentu Maura. On tłumił w sobie ten ból, tę rozpacz, to pragnienie zemsty, on czekał długo na sposobność oddania wet za wet domniemanemu sprawcy swego nieszczęścia i wreszcie czuje, że chwila zemsty się zbliża. Długo tajony ból wybucha na chwilę gwałtownie, lecz wnet bierze górę żelazna siła woli, zmuszająca do spokoju i rozważenia szans i planów zemsty. Wnet Jago powiedzieć może

Plan mój osnuty.
Rzucone ziarno. Piekło i noc czarna
Wyda potworny owoc z tego ziarna.....

Jesteśmy na wybrzeżach Cypru. Burza gwałtowna.

Rozdąsane wały
Miotają się ku chmurom; bałwany
Rozkołysane, monstrualną paszczą
Rzucają wodę w oczy Niedźwiedzicy
I zdają się chcieć zalać wieczny świecznik
Polarnej gwiazdy.....

Symbol tragicznego losu, jaki oczekuje przybywających na wyspę, w tej chwili strasznej.

Cassio wita Desdemonę, Jagona, całuje na powitanie Emilię. Na ten widok dawny ból znów się odzywa w sercu Jagona, w umyśle jego budzi się nowe podejrzenie, któremu da wyraz później. Uczucia te przejawiają się i na jego twarzy, widoczne są nawet oku Cassia, skoro tenże widzi potrzebę usprawiedliwienia się i uspokojenia go i zwraca się doń natychmiast:

Niech ci ta śmiałość krwi nie psuje,
Kochany Jago — bo zwyczaj w mym kraju
Uświęca taki objaw serdeczności.

Otrzymuje w zamian cierpką, wymuszenie dowcipną odpowiedź męża Emilii:

Gdyby jej usta były dla Waszmości
Podobnie szczodre, jak jej język dla mnie,
Wnet byś był syty.

Wychodzi tu na jaw nowy szczegół, stwierdzający podstawowy rys charakteru Jagona: nieufność, niewiarę i podejrzliwość, wzmożone tkwiącem w jego duszy posądzeniem. Jemu się zdaje, że Cassio dla tego jest tak poufały wobec Emilii, gdyż wie o jej stosunku z Otellem i uważa ją za łatwą zdobycz. Myśl ta jest nową dlań męczarnią, a nie mija bezpowrotnie, gdyż spotykamy ją w monologu, kończącym tę scenę, w słowach Jagona:

Cassia jak węża opiszę przed Otellem,
Bo się obawiam, że i on też
Znalazł już drogę do mojego gniazda.

Jago jest zazdrosny z gruntu swego charakteru, z natury; jest to rys wrodzony, łączący się z nieufnością i niedowierzaniem, wrodzonem również i tylko spotęgowanem z biegiem czasu doświadczeniami życiowemi. W tem właśnie leży różnica między nim i Otellem. Otello z natury swej jest ufny i łatwowierny; zazdrość jego jest wytworem sztucznym,

zaszczepionym w jego umysł przez Jagona i rozwijającym się szybko, właśnie wskutek naiwnej łatwowierności i ufnej dobroduszności, która stanowi tło jego charakteru.

Następuje rozmowa Jagona z Desdemoną i Emilią — tak częsta u Szekspira szermierka na słowa, ostra i cięta, dowcipna i rubaszna nawet, w której cięcia, riposty i parady padają zręcznie i pewnie, z werwą i śmiałością; tu Jago wypowiada bez ogródek swą opinię o kobietach, szereg gorzkich jak piołun sarkazmów:

Obrazki z was za progiem domu,
Dzwony w pokojach, dzikie koty w kuchni;
Święte, jeżeli same co zbroicie,
Dyablice, gdy kto wam w czem nie dogodzi;
Komedyantki koło gospodarstwa,
A gospodynie w łóżku.. ..

— —

Głupota pięknej kobiecie nie może zawadzić,
Bo przy piękności umie każda sobie radzić.....

— —

Niech będzie jak gęś głupia i brzydka jak flądra,
Potrafi to, co każda i piękna i mądra.....

— —

Taka co krasą nęci, a nie razi pychą;
Ma język nie dla formy, a jednak jest cichą;
Choć jej złota nie braknie, nie pstrzy się jak lala;
Mogłaby, przecież sobie nie pozwala;
Gdy ma powód do gniewu i do zemsty możność,
Zniesie urazę, odwet mając za bezbożność;
Której nigdy do głowy nie przyjdzie myśl taka,
Że lepszy jest mlecz śledzia, niż ogon szczupaka;
Co powierzone sobie szanuje sekreta,
A sama niema żadnych — o taka kobieta,
Warta — jeżeli tylko jest gdzie takie dziwo.....
Karmić bębny i cienkie butelkować piwo.

Dodajmy do tego choć jedną tylko refleksyę z pośród innych podobnych, licznie rozsianych:

.....Weneckie niewiasty
Jawią częstokroć niebu takie figle,
Jakichby mężom pokazać nie śmiały.
Sumienie ich nie mówi: nie czyń tego —
Ale: nie wydaj się z tem.....

Zkąd Jago ma te poglądy, zkąd ten pessymizm, ten sceptycyzm? Przypomnijmy sobie jeszcze jego cyniczne zapatrywania na kobiety, wypowiedziane w dyalogu z Rodrygiem w trzeciej scenie pierwszego aktu i znów zapytajmy: skąd te poglądy? Przecież on patrzy na świat dopiero „od lat siedmiu cztery razy wziętych“, zkąd więc tyle doświadczenia u dwudziestoośmioletniego mężczyzny, który cały prawie okres swej dojrzałości spędził w namiocie i na okręcie, a nie u dworu i w salonach?

L'opinion que l'on a des femmes dépend de celles que l'on a connues, powiedział jakiś myśliciel francuski. Jago opiera swój sąd o kobietach na tem, co sam z ich strony doświadczył, a przeważną i główną część tego doświadczenia zawdzięcza swej żonie. Tylko smutne i bolesne rozczarowania wytworzyć mogą taki pogląd na świat. Nie wynika ztąd wcale, aby jego podejrzenia co do Emilii oparte były na jakiejkolwiek realnej podstawie, istnieją one może tylko w jego wyobraźni, ale dla takiej organizacyi psychicznej wystarcza podejrzenie, „ślad śladu, cień cienia“, aby zatruć goryczą całe jego życie, złamać je i wypaczyć. Wszakże on sam powiada do Otella:

Szczęsny, kto wiedząc o tem, że jest zdradzon,
Może nie kochać tych co go zdradzili;
Ale *jak wielkie ten cierpi katusze,*
Co wielbiąc wątpi, mając podejrzenie
Namiętnie kocha.....

A gdzież mamy dowód, że Jago nie kocha Emilii namiętnie?— pomimo, że jej miłości tej nie okazuje, pomimo, że jest wobec niej brutalny i szorstki?..... A dalsze jego słowa:

Ubogi
Rad z swego losu jest arcybogaty;

Ale sam Krezus jest jak Job ubogi;
Gdy się wciąż lęka, aby nie zubożał.
Chroń Panie Boże od zazdrości wszystkich,
Których miłuję!

Takie refleksye powstać mogą tylko w umyśle tego, co sam przeszedł burzę zazdrości straszną, sam wątpił i rozpaczał bezgranicznie, sam odczuł całą skalę cierpień i bólów nadludzkich.....

Otełło przybywa na wyspę; oboje z Desdemoną udają się na zamek, Jago po krótkiej rozmowie z Rodrygiem — w której tak samo, jak i później, w rozmowie z Cassiem objawia cały bezmiar swej lubieżności i zmysłowości — pozostaje sam. Po chwili namysłu rozważa szanse udania się powziętego już planu zemsty:

Że się w niej (w Desdemonie) Cassio kocha, temu wierzę;
Że ona kocha jego, to prawdopodobne,
Murzyn ma stały, szlachetny charakter,
(Choć go nie cierpię, muszę mu to przyznać)
I ani wątpić, będzie dobrym mężem
Dla Desdemony.....

I tu następuje ustęp niezmiernie charakterystyczny, rzucający znów jaskrawe, olśniewające światło na motywy jego działania:

Ja ją także kocham,
Nie samą tylko zmysłową miłością —
Jakkolwiek, prawdę mówiąc, nie dalekim
Od tak wielkiego grzechu — *głównie jednak*
W widoku zemsty. Podejrzenie bowiem,
Że się ten Murzyn wkradł do mej kwatery,
Jak witryolem pali mi wnętrzności.
Póty nie zdoła nic mnie zaspokoić,
Póki nie oddam mu wet za wet.....

Wet za wet, ząb za ząb, oko za oko — kobietę za kobietę..... Jago nie kocha Desdemony. On pragnie ją posiadać, aby

nasycić nieugaszone pragnienie zemsty, aby zranić Otella tam, gdzie — jak mniema — sam przezeń został raniony, aby odpłacić mu pięknem za nadobne i tym tryumfem bryznąć mu w oczy. Czyż to jest także sofisteryą, tworzeniem sztucznych pokrywek dla swego działania? Wieleż razy ma Jago powtarzać jedno i to samo, aby mu wreszcie uwierzyli sławni „doktorowie i biegli“ w Szekspirze!

Lecz Jago czuje dobrze, że on Desdemony nie uwiedzie. Chwycić się więc trzeba innych środków, aby nie utracić tak pysznej sposobności do zemsty, jaka się już później może nie nadarzy. Plan jest gotowy:

Opętam mu duszę
Taką zazdrością, że jej nie uleczy
Żadna rozwaga.....
Zyskam Murzyna serce, zaufanie
I wdzięczność za to, że go wykieruję
Na błazna, że go z spokoju i szczęścia
W szaleństwo wtrącę.....

Natychmiast zaczyna działać. Pogrążenie Cassia w niełaskę idzie mu gładko i łatwo. Gdyby więc tylko ten cel miał na oku, gdyby chciał usunąć Cassia i sam zająć jego miejsce, to przecież dalszą swą czynność ograniczyłby do utrzymywania Cassia w oddaleniu od Otella i w bacznem strzeżeniu, aby usunięty namiestnik nie odzyskał łask hetmana. Wyprawiłby go zresztą z powrotem do Wenecyi. Ale tu pokazuje się jasno, jak na dłoni, że to był tylko pretekst dobry do zamydlenia oczu Rodryga. I tej nielogiczności w swem rozumowaniu nie widzą przeróżni komentatorowie Otella.

Jago działa wręcz przeciwnie. Doradza Cassiowi, aby za pośrednictwem Desdemony starał się uzyskać przebaczenie Otella i tem zbliżeniem tych dwóch niewinnych istot gotuje im śmierć i zgubę.

Klaudyusz pozbawia życia ojca Hamletowego, wlewając mu w ucho zabójczy roczczyn blekotowych kropli. Tak też i Jago sączy w ucho Otella zabójczy roczczyn moralnej tru-

cizny, kroplę po kropli, z wyrafinowanem okrucieństwem pastwiąc się nad swą ofiarą, stopniując dawki z rozwagą i zwolna, pewny ich skutku, obliczając z góry wrażenie i działanie każdego słowa, każdego gestu.

Stopniowanie to jest rzeczywiście mistrzowskie, musi rozbudzić jeden po drugim wszystkie demony, drzemiące dotąd spokojnie w piersi Otella. Trzeci akt tej tragedyi, to jedno z najmisterniejszych, najsubtelniejszych, najbardziej artystycznie wykończonych arcydzieł Szekspira, to niezrównana i niedościgniona prawie doskonałość psychologicznej prawdy, klejnot rzeczywiście artystycznego realizmu. Napięcie nerwów każdego, kto patrzy na tortury, przez jakie przechodzi Otello, jest doprowadzone do ostatecznych granic, lecz tych granic nie przekracza nigdy. Żadne z nowszych i najnowszych dzieł dramatycznych, tak bogatych w szarpiące nerwy efekty, nie może się równać z szekspirowskim *Otellem.*

Akcya przechodzi w tempo coraz szybsze. Wir porywa i unosi Otella, unosić zaczyna także i Jagona, który mu już sam oprzeć się nie jest w stanie. Temperament Otella wybucha jak wulkan; gorąca krew jego rasy zalewa mu mózg palącą falą, odbiera wszelką przytomność, wszelką możliwość pohamowania się, rozwagi, namysłu, refleksyi, zaślepia go zupełnie i unosi. Otello—jak sam mówi o sobie—to człowiek

Co nie był skłonny do podejrzeń, lecz
Raz je powziąwszy, nie był siebie panem.

Każe Jagonowi zamordować Cassia:

Spraw, bym za trzy dni z ust twych się dowiedział,
Że Cassio przestał żyć!

Jago nie cofa się przed tą zbrodnią — on wiedzi z góry, że tak będzie — przyrzeka, że spełni rozkaz Otella, lecz..... po chwili milczenia, pełnego walki wewnętrznej i wahania, nieśmiała prośba: „Lecz *ona* niech żyje“.....

Dlaczego?..... Zkąd myśl uratowania życia Desdemony, ochronienia jej przed śmiercią, tej Desdemony, której zgubę przecież sam zgotował? Czy to obłuda? Czy też nowy bodziec dla podniecenia mściwości Otella?

Nie. To obawa, to przestrach przed rozmiarami, jakie przybrał wzniecony przezeń pożar. Chwila milczenia i wahania przed nieśmiałem wypowiedzeniem prośby: „Lecz ona niech żyje“ — to moment, w którym odzywa się w głębiach jego duszy resztka uczciwości i wstręt przed zgubieniem istoty niewinnej i czystej, czarującej swą niewinnością i czystością — to wyrzut sumienia pierwszy i ostatni.

Jago nie cofnąłby się przed uwiedzeniem Desdemony, aby tylko nasycić swe pragnienie zemsty, oddać wet za wet swemu hetmanowi, wreszcie aby zniżyć do swego poziomu szlachetną i nieskalaną postać Desdemony, bo „czarne duchy nienawidzą białych“—ale zabijać ją? Nie. O tem nie myślał, do tego nie dążył, tego nie pragnął.....

Za późno. Zbyt wysoko wezbrały fale, aby módz się oprzeć ich żywiołowej sile. Jago to czuje; szatańska jego postać rośnie, olbrzymieje, aby tylko wznieść się ponad ogarniające ją fale. Jago boi się już sam siebie; staje się coraz to więcej ponury, groźny, straszny. Słowa jego przybierają ton í barwę coraz to cyniczniejszą i brutalniejszą. Przemógł wyrzuty sumienia, obawę i wstręt przed zamordowaniem Desdemony. Nie czując się na siłach, aby walczyć przeciw porywającemu go prądowi, płynie z nim razem, stara się tylko utrzymać ponad zwierciadłem co raz to szersze kręgi zataczających fal.

Wreszcie Otello każe mu wystarać się o truciznę, aby w ten sposób pozbawić życia Desdemonę. Co za straszna ironia! Truciciel dusz ma dostarczyć trucizny dla ciała.....

Tu już cofnąć się nie można. Trucizna jednak mogłaby zdradzić rzecz całą, narazić na zgubę nie tylko Otella, ale i Jagona, a tego on nie chce, tego on się boi. Znów chwila, okamgnienie namysłu — takie pauzy i chwile milczenia, to w *Otellu* olbrzymio działające środki napięcia i spotęgowania wrażeń — a potem rada: „Daj pokój panie truciźnie; uduś ją w łożu, w tem samem łożu, które zbezcześciła“..... Szatański pomysł, trafiający jednak do przekonania Otella. Tak więc Jago jest bezpieczny, nie naraża się na wykrycie swej intrygi; cała wina spadnie na Otella. Jago nie wątpi ani chwilę, iż Otello nie przeżyje śmierci Desdemony i sam

sobie życie odbierze, i na tem on buduje swe plany. Jago tryumfuje: moment, w którym otrzyma zadośćuczynienie za tyle męk i bolów, zbliża się. Chwilowe skrupuły już przezwyciężył, przynajmniej nie pozwala im się odezwać, zagłusza je sztucznem podniecaniem i potęgowaniem swych namiętności i pożądań. Pewny jest, że tajemnica jego współudziału w tej zbrodni pójdzie do grobu z Otellem i Desdemoną, a więc o cóż ma się zresztą troszczyć, czem kłopotać? Gdy się wszystko skończy, wówczas on żyć będzie pomszczony i bezkarny .....ale czy zadowolony i szczęśliwy?.... Na to pytanie sam sobie nie daje odpowiedzi, nie daje mu powstać, usuwa je siłą woli, gdy mu się nasunie.....

W drugiej scenie czwartego aktu Jago staje przed Desdemoną, wezwany przez nią. Ona go pyta o przyczynę zmiany w usposobieniu Otella, o źródło jego zazdrości. Tu padają z ust Emilii wysoce znaczące słowa:

Taki to ptaszek pomięszał był niegdyś
Zmysły i tobie i nabił ci w głowę,
Że ja mam jakieś konszachty z Otellem.

W jak ważnej chwili Szekspir rzuca te słowa! Otwierają się przed naszem okiem widnokręgi przeszłości, stają przed nami mimowolnie obrazy takie same, jak te, któreśmy przed chwilą widzieli — obrazy męczarni okropnych, powolnego zatruwania duszy niezawodną trucizną. Widzimy Jagona na miejscu Otella, a w miejscu Jagona innego szatana, mniej może przebiegłego i z innych działającego motywów.....

Po raz trzeci w toku akcyi pada ta alluzya, zawsze w momentach ważnych, rzucając jasne światło na postać Jagona. A w tej tak napiętej sytuacyi, gdy całą uwagę koncentrują na siebie losy Desdemony i oczekiwanie tego, co się zdarzy w najbliższej przyszłości, Szekspir podnosi znów ten moment z przeszłości Jagona, zaznacza go znów dobitnie. Co za znaczący rzut wstecz, ewokatyw, który nie powinien, nie może przejść bez wrażenia, jakie Szekspir chciał właśnie osiągnąć.

Jago wzdryga się na te słowa Emilii; i jemu staje przed oczami cała ta przeszłość straszna i pełna cierpień nieopisanych, istne łoże Madeja, na którem przez lat szereg znosił piekielne męczarnie. Wyrywa mu się z głębi duszy pełen rozpaczy okrzyk: „Milcz! milcz niemądra!“..... Pocóż wspominasz tę przeszłość w chwili, gdy serce moje przepełnia tylko radość z nasyconej wreszcie zemsty, z odniesionego już prawie tryumfu — taka jest myśl jego, której tu wypowiedzieć nie może — pocóż to wspominasz teraz, gdy ja sam bać się zaczynam rozmiarów wznieconego przeze mnie pożaru....

Straszny musi być wyraz jego twarzy, jego spojrzenie, skoro Emilia ani słówkiem nie odzywa się w dalszym toku rozmowy, nie miesza się do niej wcale. I jej otwierają się oczy: może ten dramat, co się rozgrywa w tej chwili, jest dziełem jej męża? To podejrzenie, ta myśl budzi się w niej w chwili, gdy Jago zamyka jej usta mimowolnym wykrzykiem. Że tak jest, dowodem jej słowa nad trupem Desdemony:

Wiem, wiem—domyślam się—zgaduję wszystko.
Jużem się pierwej tego domyślała.

Lecz w duszy Jagona rozpoczyna się w tej chwili inny proces psychologiczny. On zaczyna wątpić. Jak grom znienacka, uderza weń myśl, że jego podejrzenia względem Emilii były i są tak bezpodstawne, jak podejrzenia, które on sam wzbudził w Otellu względem Desdemony. Może Emilia rzeczywiście była niewinna? Może ten, co mu zatruł duszę tem podejrzeniem, był łotrem bez czci i wiary, podłym oszczercą, takim samym, jakim on stał się wobec Otella? Straszny dylemmat, stworzony jednem odezwaniem się Emilii, która widocznie nigdy tej rany nie tykała, nie zdradzała wcale, że wie o jej istnieniu.....

Tysiączne myśli powstają i krzyżują się w głowie Jagona w chwili, gdy na pozór uważnie słuchać musi szczebiotu skarżącej się przed nim Desdemony. Jest roztargniony, nie może zebrać swych sił, on, co zawsze tak umie panować nad sobą, nie umie odzyskać równowagi, nie słyszy prawie co Desdemona mówi do niego; odpowiada jej urywanemi,

krótkiemi zdaniami, półsłówkami nic nieznaczącemi, chce przerwać rozmowę, którą zaczął tak zadowolony sam z siebie, z taką werwą, tak swobodnie. Chce pozostać sam z sobą, z swojemi myślami.

W sam czas odzywa się dźwięk trąby, wzywający na ucztę daną przez Otella dla przybyłych z Wenecyi gości. Jago wyprawia tam Desdemonę i Emilię, pozostaje sam. Głębokie westchnienie ulgi dobywa się z jego piersi. Popada w zadumę i znów tysiące myśli budzą się w jego mózgu, rozsadzają mu czaszkę. Chwyta się za głowę na pół nieprzytomny, załamuje ręce, jak szalony przebiega widownię. Dałby życie, poświęciłby swą zemstę za jakąkolwiek pewność, taką czy inną. Lecz zbyt głęboko tkwi w piersi żądło zatrute, wydobyć się ono już nie da. Ani słowa wydobyć nie może z gardła, myśli nie dadzą się ująć w zdania i słowa. Szekspir wie dobrze, dlaczego nie korzysta z tak stosownej do monologu chwili.

To sam na sam, pełne walki wewnętrznej, przerywa wejście Rodryga. Jago musi się opanować; wie, że przed Rodrygiem zdradzić się nie może, bo ten głupiec zgubiłby go bez namysłu. Uspokaja się więc jak może, nadludzkim wysiłkiem opanowuje się stopniowo. Z początku na pytania i wyrzuty rzuca odpowiedzi lakoniczne, urwane, lecz gadatliwość Rodryga ułatwia mu sytuacyę, daje czas do powzięcia postanowienia.

A postanowienie to straszne. Jago widząc, że położenie jego jest bez wyjścia, postanawia brnąć dalej, nie cofać się już, bo na to zapóżno. Być może, iż wszystko uda się pomyślnie. Niech tam Otello ginie i Desdemona, niech ginie Rodrigo i Cassio, byle tylko on wyszedł cało wraz z Emilią. Cofnąć się nie może, bo sieć, w którą oplątał Otella, mogłaby jego samego udusić. *Vogue la galère.* Będzie, co być ma. Odtąd rola Jagona z czynnej zmienia się w bierną, o tyle, o ile bierną być może. Staje on się fatalistą; oczekuje tego, co przyjdzie, biernie; daje się unosić falom, których tamy sam przerwał. Odtąd już on nie może się wznieść do wysokości, na której przedtem utrzymywał się nieustannie, z niezrównaną zręcznością. Straciwszy wiarę w prawdziwość swych podejrzeń, w domniemaną słuszność swej

sprawy, traci dawną sprężystość, nie wierzy już sam w siebie i odtąd usuwa się na plan drugi, pozostawiając na pierwszym Otella i Desdemonę.

Cassio i Rodrigo giną. Jago oczekuje dalszych wypadków ze spokojem fatalisty, ale spokój to pozorny tylko i sztuczny; pod tą powłoką wre i kipi w jego wnętrzu; wstrząsają nim złe przeczucia, strach przed ewentualnością, że sam może zginąć od własnej broni.

Ale czas nareszcie rzucić okiem na postać Emilii i jej stosunek do Jagona.

Najcharakterystyczniejszym momentem jest tu dyalog między Emilią a Desdemoną w ostatniej scenie czwartego aktu. Desdemona śpiewa pełną wdzięku i uroku tęskną piosenkę o dziewczynie opuszczonej przez kochanka, płaczącej pod wierzbą, ale myśl jej krąży ustawicznie około jednego pytania: zkąd pochodzi raptowna zmiana w usposobieniu jej męża, zkąd te obelgi i podejrzenia, które przed chwilą słyszała?

Desdemona: Powiedz mi szczerze, Emilio, czy myślisz,
Że są kobiety zdolne tak okropnie
Zdradzać swych mężów?
Emilia: Są takie, bez kwestyi.
Desdemona: Czyżbyś za cały świat to uczyniła?
Emilia: Hm! Świat nie fraszka; *z małej bagatelki*
Zysk byłby wielki.
Desdemona: O nie—pewna jestem,
Że nigdy tego byś nie uczyniła!
Emilia: Z całą pewnością bym to uczyniła,
I odczyniłabym po uczynieniu.
Ma się rozumieć, że bym takiej rzeczy
Nie uczyniła za marny pierścionek,
Ani za parę batystowych szmatek...
Ale za cały świat!.....
Desdemona: Niebo mi świadkiem, żebym za świat cały
Nie popełniła takiego bezprawia!

Emilia: *Bezprawie takie jest bezprawiem tylko*
W opinii świata. Skorobyś zaś pani
W nagrodę czynu cały świat posiadła,
Własnyby świat twój sądził to bezprawie;
Łatwobyś przeto mogła je uprawnić.
Dasdemona: Nie sądzę, aby istniała choć jedna
Taka kobieta.
Emilia: Tuzin ich się znajdzie
Nietylko jedna i w dodatku tyle,
Ileby trzeba, żeby w krąg zaludnić
Ten świat, o któryby się ubiegały.
Rozumiem jednak, że to wina mężów,
Ilekroć żona się potknie. Jeżeli
Zapominając o swych obowiązkach,
Na łonie innych skarby nasze trwonią,
Jeśli kapryśną zwiedzeni zazdrością,
Ścieśniają naszą swobodę, a nawet
Co gorsza, biją nas; jeśli nam czynią
Ujmę w tem, cośmy przedtem posiadały —
Toć nic dziwnego, że w nas żółć zakipi,
Jesteśmy korne w duchu, ale przy tem
I mściwe trochę. Niech wiedzą mężowie,
Iż żony mają zmysły, tak jak oni,
Że mają oczy, węch i podniebienie,
Zdolne odróżnić słodycz od goryczy,
Tak jak i oni. Czegoż oni pragną,
Gdy nas nad inne przenoszą? Rozkoszy?
Tak myślę. Wiedzież ich ku temu namiętność?
Jużci tak. *A czyż my jesteśmy wolne*
Od namiętności, od żądzy rozkoszy
I od słabości bardziej niż mężczyźni?
Niechże statkują, a potem nie mruczą,
Żeśmy złe, gdy nas oni sami złego uczą.

Oto wyznanie wiary Emilii, jej kanon etyczny. Szekspir w tym dyalogu daje nam jej sylwetkę w kilku rysach wyrazistych i znamiennych. Dodajmy tu jeszcze jej pogląd, wypowiedziany przy innej sposobności:

W rok, dwa po ślubie nie poznasz mężczyzny:
Oni żołądki, a myśmy ich strawą.
Chciwie nas chłoną, a gdy już są syci,
Radziby nas się pozbyć.

Wniosek z tych pobieżnych rysów nie trudny. Widoczne jest, że podejrzeniom Jagona nie brak wszelkiej podstawy. Kobieta, która tyle zdradza doświadczenia w kwestyach dla kobiety nie tak łatwych do uchwycenia, kobieta, która otwarcie przyznaje, że jest „korna w duchu“, ale przytem i mściwa, że nie jest wolna „od namiętności, żądzy rozkoszy i od słabości“, że cnota jej i wierność zależą tylko od tego, jak wielką byłaby korzyść z ich złamania, taka kobieta nie daje dostatecznej gwarancyi co do stałości swych uczuć i odporności przeciw swym popędom, przeciw nadarzającym się jej pokusom. Co za kontrast pomiędzy nią a Desdemoną, jak świetnie i znacząco podnosi go Szekspir, właśnie tem kontrastowaniem charakteryzując oba typy!

Skoro Jago ma dopiero lat dwadzieścia i ośm, więc Emilia musi być znacznie młodsza od niego, może mieć co najwyżej lat dwadzieścia dwa, dwadzieścia cztery, musi być ładna, bo o brzydką Jago by nie mógł być zazdrosny, musi być zalotną, kokietką i zmysłową, gdyż to przebija jasno z jej własnych słów, musi się poczuwać do jakiejś winy, bo na to wskazuje całe jej zachowanie wobec męża, uległe jakby z obawy, zdradzające jakąś bojaźń wynikłą z niezbyt czystego sumienia, na to wreszcie wskazuje objaw, że tak gadatliwa z natury, w obecności męża nie mówi nic, lub bardzo mało tylko.

Czy podejrzenia Jagona są słuszne i uzasadnione? Prawdopodobnie co do Otella nie; ale czyby były nieuzasadnione wobec kogo innego, to kwestya, na którą Szekspir nie daje żadnej odpowiedzi. W każdym razie Emilia nie jest kobietą, do której możnaby mieć bezgraniczne, bezwzględne zaufanie, któraby była „pewna“, jak powiada Połaniecki w Sienkiewicza powieści. Na to chciał zwrócić uwagę Szekspir, bo inaczej nie rozszerzyłby tak rozmowy Emilii z Desdemoną, nie dałby Emilii sposobności do wypowiedzenia swych poglądów i przekonań. Chciał on tu raz

jeszcze dorzucić promień światła, mogący oświecić stanowisko i postępowanie Jagona. Inaczej cała ta rozmowa byłaby tylko *ein retardierendes Element*, balastem, obciążającym niepotrzebnie i wstrzymującym rozwój akcyi.

Emilia jest młoda, ładna, zalotna i zmysłowa, ma w sobie mnóstwo przebiegłości i sprytu — Jago jest zazdrosny i podejrzliwy; oto momenty decydujące o ich wspólnem pożyciu, o ich przyszłości — oto czynniki, których działanie stało się zawiązkiem strasznej tragedyi. Naturalnie, jeżeli na scenie ujrzymy czterdziestoletnią matronę, okazałą i poważną, grającą rolę Emilii, to wszystkie te premissy upadną, a myśl Szekspira zgubi się, zatraci, zniknie, jego kreacye staną przed nami w fałszywej, niezrozumiałej sytuacyi, przemienią się w dziwolągi.

Jago jest wobec Emilii szorstki i ponury, brutalny nawet; trzyma ją w ryzach, nauczony doświadczeniem, bojąc się nowych zawikłań i podejrzeń. Emilia boi się męża, nie chce go drażnić, nazywa go „dziwakiem", ale bliżej objawów tego dziwactwa nie wyjaśnia. Raz tylko przypomina mu „ptaszka, co mu pomięszał zmysły" podejrzeniem rzuconem na nią i na Otella, lecz i w tej chwili rozkaz męża zamyka jej usta natychmiast. Zkąd Emilia wie, iż dla zazdrosnych dowodu nie trzeba, gdyż

Zazdrośni o to nie pytają;
Nie zawsze oni zazdroszczą dlatego,
Że mają powód taki lub owaki,
Ale zazdroszczą, bo zazdroszczą. Zazdrość
Jestto poczwara, co się sama płodzi,
Sama wylęga....

Postawmy obok tych słów aforyzmy Jagona o „podejrzeniach, co palą jak witryol wnętrzności" i t. p.; zkądże u Emilii ta świadomość, uzupełniająca wybornie poglądy jej męża? Zkąd częste w jej ustach alluzye do potwarców, co budzą zazdrość i podejrzliwość? Czy i jej potwarz nie zatruła szczęścia i życia?

Otello zabija Desdemonę i — tu zachodzi moment nieprzewidziany przez Jagona — pod działaniem depressyi zrozumiałej i naturalnej w jego położeniu, u trupa Desdemony zwierza się ze wszystkiego Emilii. Emilia z początku broni się przeciw myśli, że jej przeczucia i podejrzenia się sprawdziły, woła Jagona i pyta go:

Jeżeliś nie podlec,
Zadaj kłam temu niecnocie; on twierdzi,
Żeś ty oskarżył przed nim jego żonę
O wiarołomstwo. Wiem, że tak nie było.
Nie jesteś zdolny do takiej szkarady.
Mów, mów, bo serce moje przepełnione!

Jago zaskoczony znienacka, nie wie jak się bronić, co mówić; złość i wściekłość go unosi; stoi, jak dzik osaczony przez ogary. On czuje, że cały misterny gmach jego machinacyi wali mu się na głowę; widzi, że jego plany i rojenia o przyszłości szczęśliwej i znośnej są zniweczone na zawsze, bo Emilia żyć z nim już nie będzie, bo nim pogardza jako podłym oszczercą, potwornym łotrem.

„Może już nigdy nie wrócę do domu“ — odpowiada mu Emilia z niebywałą u niej odwagą i energią w chwili, gdy on jej każe precz odejść. Dwuznacznik straszny. Emilia nie wie, że tem słowem zadecydowała o swym losie; ona chciała tylko zaznaczyć, że z takim łotrem pod jednym dachem żyć już nie może. Jago rozumie tę pogróżkę i gdy Emilia odkrywa znaną jej część jego intrygi i zdradza, że on jej kazał wykraść chustkę Desdemony, przebija ją oszalały z gniewu i rozpaczy, wybiega, lecz zostaje schwytany.

Pojawia się znów na widowni, ale zmieniony zupełnie, złamany, ponury, apatyczny, zamknięty w sobie. Otello rzuca się nań z dobytym mieczem, Jago nie umyka, nie cofa się i nie zasłania, wyczekuje spokojnie śmiertelnego pchnięcia, czeka go jak zbawienia. Daremnie. Cios Otella nie zabija go. „Rannym, ale nie na śmierć“ — woła Jago z żalem i wyrzutem, tonem skargi rozpacznej.

Tem lepiej; wolę, że jeszcze żyć będziesz,
Bo umrzeć — czuję to — jest szczęśliwością!

odpowiada mu Otello i woła:

Spytajcie tego szatana, dlaczego
Tak mi opętał i duszę i ciało?

Jago milczy, wpatruje się błędnem, szeroko rozwartem okiem w leżącą przed nim, sztywną już Emilię, wreszcie wybucha spazmatycznem łkaniem, pada na trupa swej żony, rzucając przerywane jękami dzikiego, bezgranicznego bólu, słowa:

Próżno pytacie! Co wiecie, to wiecie!
Od tej już chwili nieme usta moje!

Odtąd milczy już jak zaklęty, nie daje się oderwać od zwłok tej, którą zamordował, a która mu była wszystkiem.....

I milczeć będzie, choćby najsroższą go męczono torturą. Usta jego nie wyrzekną już słowa.

Żyć będzie na świecie, ale nie dla świata. Może położy głowę pod miecz katowski na placu św. Marka i to byłoby dlań rozkoszą, upragnionym kresem jego męczarni, a może..... może gnić będzie lata w podziemnej kaźni lub pod rozpalonemi południowem słońcem płytami ołowiu, kryjącemi dach weneckiego więzienia, rozpamiętując swe krótkie życie, pełne bólów i cierpień, zbrodni i podłości, krótkich chwil rozkoszy, zatrutych wnet raz na zawsze podejrzeniem strasznem.....

Tajemnicy swej jednak nie zdradzi, motywów swego czynu nie wypowie, nie wymuszą tego na nim najokrutniejsze tortury. Lecz samotny, sam z sobą, dopóki tchu stanie w jego piersi rozmyślać będzie ustawicznie nad pytaniem: winna czy niewinna?.....

Jeżeli tylko ślęczenie nad tym dylemmatem nie pozbawi go świadomości, nie przywiedzie do szaleństwa, nie pogrąży umysłu jego w noc czarną.

Cierpienia moralne, jakie przeszedł, są niczem wobec tych, jakie go czekają.

To pojęcie postaci Jagona jest odmienne zupełnie i przeciwne wszystkim, jakie rozwijają najrozmaitsi komentatorowie Szekspira wogóle, a *Otella* szekspirowskiego w szczególności.

Wszyscy oni widzą w Jagonie demona, a nie człowieka, wcielenie złego pierwiastka, a nie istotę ludzką, działającą z czysto ludzkich pobudek i motywów.

Takie pojęcie jest wręcz sprzeczne z umysłowym kierunkiem Szekspira, z duchem ożywiającym całą jego twórczość, nadającym jej charakterystyczne piętno i wieczystą wartość.

Szekspir był realistą i werystą w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Jego kreacye są ludźmi z krwi i kości, ich myśli i słowa, ich czyny i postępki, ich namiętności i porywy wychodzą z motywów uchwytnych i jasno określonych, z pobudek, które od wieków były i po wszystkie czasy będą powstawać i tworzyć się w duszach ludzkich.

„Wzorem, według którego Szekspir odtwarza swe kreacye, są — jak to w innem miejscu i przy innej sposobności powiedzieliśmy—wspaniali i pełni sił żywotnych ludzie Odrodzenia; obserwował on ich zblizka, patrząc na życie najwyższych warstw towarzyskich swego kraju. Sporo tam było postaci o wielkich namiętnościach, wielkich porywach, silnych duchem i ciałem, ludzi „na miarę Fidyasza“.

Takiemi kreacyami „na miarę Fidyasza“ są Otello i Desdemona, Jago i Emilia, ludzie o namiętnościach potężnych renesansowej epoki. Dla nich zaciasny by był kostyum przykrojonej „na urząd“ abstrakcyi, nie pomieściliby się w nim, rozsadziliby go i roznieśli w kawały. Bije od nich potężna żywotność, w ich żyłach płynie krew gorąca, a nie sok malinowy, ich mózg tworzy myśli i plany, wielkie często i olbrzymie, lecz zawsze ludzkie, zawsze oparte na gruncie czysto ludzkich namiętności i pożądań.

Żadna z postaci szekspirowskich nie jest uosobieniem abstrakcyi; żadna, nawet i *Hamlet*, który zawsze i wszędzie jest człowiekiem, zawsze i wszędzie myśli i działa jak człowiek, zawsze z ludzkich przyczyn i powodów.

Wybornie scharakteryzował twórczość Szekspira znakomity krytyk francuzki w jednem z najnowszych dzieł swo-

ich (Emile Faguet: *Drame ancien — drame moderne.* Paris, 1898) kilku tylko słowami: „W dramatach i komedyach szekspirowskich — powiada on — *tout est peinture abondante et variée de la vie. L'impression génerale d'une tragédie Shakespearienne est celle d'un riche tableau de la vie humaine*".

Szekspir jest realistą, ale realistą genialnym, tak jak wszyscy prawie najwięksi na Parnassie poeci dramatyczni. On wie, że sztuka dramatyczna ma być „zwierciadłem natury"; „światu ma pokazywać jego postać"—jak sam w *Hamlecie* powiada.

Tak też i *Otello* jest „zwierciadłem natury", obrazem starcia się ludzi, przepełnionych namiętnościami wielkiemi, działających z pobudek ogólno-ludzkich.

Tak też i Jago jest człowiekiem, a nie demonem, nie ucieleśnieniem abstrakcyi. Postać jego w tem oświetleniu staje przed oczami w ostro zarysowanych konturach, jasna i wyrazista, ale rozmiary jej się zmniejszają. Pokazuje się, że w głębiach jego duszy istnieją jakieś szlachetniejsze pierwiastki, lecz przygłuszone i skarłowaciałe rozrośnięciem się i wybujaniem pierwiastków złych. Potworna zbrodniczość jego charakteru łagodnieje nieco, ale tylko na pozór; w gruncie rzeczy czyny jego są taksamo szkaradne i wstrętne, tylko motywy tych czynów uwydatniają się jasno i to czyni nam Jagona bliższym i zrozumialszym.

.....Jedna drachma złego
Niweczy wszelkie szlachetne pierwiastki,

powiada Hamlet—a dowodem najlepszym prawdziwości tych słów jest Jago, jest i Otello.

„Jedna drachma złego" zatruwa duszę obydwóch, „niweczy w nich wszelkie szlachetne pierwiastki", a na tę drachmę złego składa się zazdrość i pragnienie zemsty, puszczenie folgi namiętnościom i dzikim popędom.

Otello jest tragedyą zazdrości — jest jednak głównie tragedyą zemsty.

Obie te namiętności, to *Leitmotive* obu bohaterów tego arcydzieła, jednego z najwspanialszych w rzędzie koncep-

cyj Szekspira — tragedyi, która po wszystkie czasy wzruszać będzie do głębi i porywać wszystkich patrzących na losy czterech istot, skutych ze sobą łańcuchem strasznego przeznaczenia, popychającego je nieubłaganie do ostatecznej mety.....

Te same namiętności w piersi dwóch przeciwnych dyametralnie typów psychicznych — oto problem szekspirowskiego *Otella*.

Adolf Strzelecki.

Budżet i kredyt publiczny.

(Ciąg dalszy).

IV.

Wyczerpująca ocena tak budżetu, jak polityki finansowej danego gospodarstwa publicznego, domaga się równie ścisłego rozpatrzenia dochodów skarbowych, jak wydatków, owszem nawet dopiero rozpatrzenie się krytyczne w pobieranych dochodach, ich rodzajach i wysokości, oraz wzajemnym stosunku, dozwala na uzasadnioną zgodę na zamierzone wydatki. Dochody skarbu mają mu dostarczyć środków pokrycia na wydatki skarbowe, ale sam fakt dostateczności dochodów na ten cel nie jest bynajmniej wystarczającym, nie stwierdza dobrej polityki finansowej, bo pomimo dostateczności dochodów na dany rok budżetowy — co jest ich najpierwszem zadaniem — pomimo wystarczającego chwilowo pokrycia potrzeb skarbu, mogą one przedstawiać wady liczne tak co do swej trwałości, zdolności wzrostu, jak źródła, z którego płyną, mogą, pomimo swej chwilowej dostateczności, być powodem ruiny finansowej skarbu, strat wielkich ekonomicznych i moralnych społeczeństwa, przed czem jedynie świadoma ocena całości dochodów i poszczególnych ich grup, oraz zawczasu podjęte odpowiednie reformy dochodów, uchronić zdołają.

Wyżej już zaznaczyliśmy, jak historycznie wytwarzały się dochody skarbu. Występowały one pierwotnie jako dochody panującego, przyczem głównem źródłem była własność ziemska; obok tego dochodu wytwarzają się stopniowo daniny szczegółowe, jako wynagrodzenia za usługi świadczone przez organa władzy publicznej, opłaty, a równocześnie powstają dochody z zastrzeżonych panującemu praw i czynności — n. p. t. zw. regale górnicze, mennice — powstają i podatki pośrednie, a wyjątkowo stósowane pierwotnie podatki bezpośrednie, odnoszące się zresztą tylko do pewnych klas ludności czy rodzajów własności, stopniowo przemieniają się z instytucyi przejściowej, wyjątkowej, w instytucyę trwałą, zwyczajną. Historya wytwarzania się tych różnych dochodów skarbu jest różną w różnych państwach, i różnym jest zakres i wzajemny stosunek poszczególnych grup dochodów, różną jest i być może zasada skarbowa, jakiej państwo przy danej, wyłącznie sobie zastrzeżonej instytucyi się trzyma, i to jest powodem spornej i nieustalonej terminologii i klassyfikacyi dochodów publicznych tak w ustawach, jak literaturze naukowej; ale wszędzie wytworzył się cały system dochodów, płynących tak z zarobkowej, prywatnej, jak z publicznej działalności i zwierzchności państwa, wszędzie pchała absolutna konieczność państwowa do powiększania i liczby i sumy łącznej zwyczajnych dochodów skarbu. Same zwyczajne dochody, posiadające cechę trwałości, zdolność powtarzania się co roku, okazały się niejednokrotnie niedostatecznemi do podjęcia i spełnienia zamierzonych zadań państwowych, czy osiągnięcia pożądanych zysków, ztąd też uciekano się już wcześnie do t. zw. dochodów nadzwyczajnych, będących dochodami tylko w szerokiem pojęciu; jako takie występują sprzedaż dóbr państwowych, kredyt, a w wyjątkowych razach kontrybucye i konfiskaty.

Powiększanie dochodów zwyczajnych, uciekanie się do dochodów nadzwyczajnych, odbywało się przeważnie pod naciskiem biedy, braku zasobów skarbowych. Miano do spełnienia jakie zadania, uczuwano potrzebę, a gotowych środków nie było—trzeba się więc było o nowe środki dochodu postarać. Potrzebując gwałtownie tych dochodów, stawiano wobec nich tylko wymóg dostateczności, żądano, aby te nowe do-

chody dały tyle, ile potrzeba, a oglądając się wyłącznie na chwilową dostateczność tych dochodów, przeoczano ich skutki trwałe tak dla gospodarstwa społecznego, jak skarbowego. Ztąd też wytworzył się wszędzie skomplikowany i wadliwy system dochodów skarbowych, wadliwe i błędne używanie sum, zyskanych ze sprzedaży dóbr skarbowych czy w drodze kredytu, fałszywy duch fiskalizmu w złem znaczeniu przenikał instytucye skarbowe. Chęć zyskania wyższych dochodów z zarobkowej czynności państwa pchała do uchylania konkurencyi w danej produkcyi, prowadziła do monopolu, rozszerzała trwale zakres przywilejów skarbowych, dopuszczała do wykonywania pewnych czynności tylko za znacznem wynagrodzeniem skarbu. Sztucznie rozszerzano sposobność pobierania opłat za korzystanie z instytucyj i zakładów państwowych, domagano ich się nieraz i tam, gdzie słusznego żadnego tytułu do pobierania opłaty nie było, i domagano się opłaty w wysokości nadmiernej, nie będącej w żadnym stosunku do wartości danej usługi i do wysokości spowodowanych kosztów; zwłaszcza liczne małe państewka niemieckiej Rzeszy celowały nadzwyczajną istotnie pomysłowością w dziedzinie t. zw. regalij i opłat, ale w mniejszym lub większym stopniu spotykamy wszędzie ten wadliwy rozwój i opłat i przywilejów skarbowych. Równocześnie w dziedzinie podatkowej o świadomym, jednolitym systemie podatkowym nie było mowy, ustanawiano je niejako na wyrywki; w miarę potrzeby ustanawiano nowy podatek, podnoszono stopę podatków dawnych, a zwłaszcza epoka państwa absolutnego stworzyła warunki dla rozwoju ultrafiskalizmu, żądnego bezwzględnie jak najwięcej, ile się tylko da, z podatników wycisnąć, chociażby to ani ustawami, ani istotną bieżącą potrzebą skarbu nie było wskazanem. I doszło do tego, że podatnicy płacili stosunkowo wiele, nie wiedząc ani za co, ani ile, ani kiedy mają płacić, a te archaiczne zakusy ciasnego i zgubnego zarówno dla skarbu, jak społeczeństwa, fiskalizmu, żądne zabierania podatnikom jak najwięcej, więcej, niż się istotnie należy, utrzymywania ich umyślnie w nieświadomości, ile płacić mają, przetrwały niestety tu i owdzie aż do naszych czasów. Praktyki takie rujnują produkcyę, demoralizują społeczeństwo, bo gdy skarb

stanie na stanowisku, że wszyscy defraudują i każdemu, nawet najuczciwszemu fassye podnosi, to wreszcie coraz mniej ludzi będzie składać fassye rzetelne, coraz więcej szukać będzie ochrony przeciw nadmiernemu opodatkowaniu w obniżaniu z góry fassyi, która ich zdaniem i tak przez skarb podwyższoną zostanie. Ztąd też współudział żywiołów obywatelskich w podatkowych komisyach szacunkowych jest wielkiego ogólnego znaczenia, leży zarówno w interesie skarbu, jak społeczeństwa, skarbowi zapewni dochód słuszny, jaki się rzetelnie należy, społeczeństwo ochroni od szykan fiskalnych, powstrzyma — w tych szykanach w znacznej mierze swe źródło mającą—demoralizacyę podatkową. Ale naturalnie, że wchodzące do komisyi szacunkowej, żywioły obywatelskie winny w całej pełni poczuć się do swych obowiązków, a tem jest nie tylko występowanie przeciw nadużyciom ze strony skarbu, lecz również ze strony podatników. Ich obowiązkiem nie dopuszczać do defraudy podatkowej, bo zapomnieć nie wolno, że nierzetelność podatkowa przenosi się i na inne dziedziny życia, przyucza do nieuczciwości, byle mieć korzyść, a ten stan umysłów jest źródłem wielkich moralnych i materyalnych szkód społeczeństwa.

Dorywczość i bezprogramowość wytwarzających się w ciągu wieków dochodów skarbowych były zgubnemi zarówno dla gospodarstwa społecznego, utrudniając nieracyonalnie produkcyę, obrót, konsumpcyę, jak dla skarbu, osłabiając zasobność społeczeństwa, uszczuplając dochód społeczny, owo jedyne trwałe źródło skarbowego dochodu, niszcząc wreszcie niewczesnemi sprzedażami dóbr i wadliwem użyciem kredytu stan majątkowy skarbu. To też z chwilą, gdy z jednej strony nauka gospodarstwa społecznego poczęła rozjaśniać swemi badaniami całą dziedzinę gospodarczego życia społeczeństwa, krytycznie oceniać instytucye gospodarstwa skarbowego i tychże wpływ na gospodarstwo społeczne, a gdy z drugiej strony społeczeństwa zyskały wolny głos w sprawach publicznych, podniosła się zasadnicza opozycya przeciw odziedziczonemu systemowi dochodów skarbowych. Wadliwość tego systemu, jego braki finansowe i ekonomiczne, przywileje i krzywdy tkwiące w opłatach i podatkach, niejasność i dowolność różnych zarządzeń skar-

bowych, dostarczały istotnie aż nadto powodu i pola do wystąpienia z krytyką stanowczą i potępiającą, do zażądania radykalnej reformy dochodów skarbowych. I różne wystąpiły projekta, a wspólną ich cechą i dążnością: uproszczenie skarbowości, oparcie pokrycia wydatków publicznych przeważnie na dochodach publicznych, a więc głównie podatkach, i oparcie podatków na czystym dochodzie społecznym. Zalecane reformy różniły się co do dróg i stopnia; najdalej idące projekty doszły do postulatu jedynego wyłącznego podatku i jako taki zalecano bądź to wyłącznie podatek gruntowy, bądź dochodowy, bądź majątkowy. Wszystkie zarobkowe czynności miało państwo zaniechać, własność ziemską sprzedać, osiągniętą sumą spłacić dawne długi, a na przyszłość chciano prawie wykluczyć zupełnie użycie kredytu.

Zbyt radykalnie stawiano częstokroć postulaty reformy skarbowej i po części z winy tego radykalizmu projektów reformy, chcących *tabulam rasam* uczynić z historycznie wytworzonego systemu dochodów skarbowych, nie poszła praktyka skarbowa dostatecznie daleko w kierunku reformy dochodów, łatwo broniła i skutecznie swej tradycyi i rutyny zarzutem doktrynerstwa proponowanych reform, i ztąd też do dziś bardzo wiele jeszcze przestarzałych pozostałości skarbowych istnieje w życiu.

Nie sam jednak tylko nadmiar radykalizmu w projektach reformy dochodów skarbowych był powodem opóźniania się w podjęciu, czy nawet zaniechania tej reformy. Każda reforma tworzy czas przejściowy, wywoływa niebezpieczeństwo zachwiania, cofnięcia się dochodów skarbu. Względnie spokojnie patrzeć mogli na to niebezpieczeństwo tylko ci, dla których ograniczenie działania państwa wyłącznie do „produkcyi bezpieczeństwa“ było ideałem organizacyi i celem akcyi politycznej; oni licząc na zmniejszenie działalności, a więc i wydatków państwa, mogli nie obawiać się przejściowego czy nawet trwałego uszczuplenia łącznej sumy dochodów skarbu. Ale kto nie podzielał ich ideałów i zabiegów politycznych, kto uznawał, że państwo jest i ma być czemś więcej dla społeczeństwa, niż tylko „stróżem bezpieczeństwa“, kto owszem pragnął skutecznej inicyatywy i działalności związków publicznych w dziedzinie oświaty, sani-

tarnej, gospodarczej, ten wiedział, że trwałość i wzrost dochodów skarbu jest po prostu warunkiem bezwzględnym akcyi państwa w tych dziedzinach, że każde uszczuplenie dochodów skarbowych może zredukować do *minimum* tę pożądaną działalność kulturną w istotnem znaczeniu tego wyrazu, i ztąd choć z pełnem uznaniem wadliwości historycznie powstałego systemu dochodów, wolał on zgodzić się na *tymczasowe* pozostawienie w mocy tego systemu, godził się jedynie na stopniową i powolną jego przemianę, nie chciał ryzykować znacznej zniżki dochodów skarbu. Obawa też przed trwałą zniżką dochodów skarbu, któraby zniszczyła warunki rozwoju kulturnej akcyi państwa, to powód drugi, opóźniający reformę skarbową. *Tymczasowo* pozostawiony w mocy obowiązującej system dochodów, utrzymywał się wobec tej obawy zniżki dochodów nieraz długie jeszcze dziesiątki lat — n. p. ustawodawstwo o opłatach i podatkach obrotowych w Austryi — bo nową siłę dawało mu przekonanie, że zupełne uproszczenie dochodów skarbowych, zaprowadzenie mianowicie jedynego tylko podatku, jest niemożebnem, bo nie dałoby tyle, ile skarb absolutnie potrzebuje, domagałoby się — tak skutkiem niedostateczności dochodu, jak wadliwości rozkładu i poboru — uzupełnienia przez dochody inne, nowe znów podatki, i takby, pomimo wstrząśnienia wszystkich stosunków, czasowego uszczuplenia dochodów skarbu, owa obiecana i zalecana prostota i jednolitość dochodu skarbu utrzymać się nie dała. Naturalnie, gdyby jakie państwo miało absolutnie i relatywnie niskie wydatki publiczne, gdyby nie miało żadnych znacznych nieproduktywnych długów z przeszłości, wtedy mogłoby ono o radykalnem uproszczeniu swych dochodów pomyśleć, możeby mogło posunąć się do wyłącznego podatku. Ale to nierealna hipoteza, a i ona jeszcze budzi wątpliwość, jakby wyglądały stosunki społeczne, gopodarcze, w owem wydającem tak mało, a więc i czyniącem tak mało państwie. Jedyny podatek wtedy tylko byłby możebnym, gdyby był bardzo niskim, gdyby państwo potrzebowało bardzo niewiele; inaczej byłby i niedostatecznym i niesprawiedliwym. Odnosi się to do wszystkich proponowanych niegdyś jako wyłączny podatków. Sam fakt coraz dalej posuwającego się społecznego podziału pracy, gospodarczego

różniczkowania się społeczeństwa, na równi jak realne potrzeby skarbu i państwa, wyklucza możność zupełnego uproszczenia skarbowości przez zaprowadzenie jakiegoś jedynego, wyłącznego podatku.

Trudne położenie skarbu opóźniło pożądane reformy dochodów, i do dziś utrzymały się różne rodzaje tych dochodów, niejedne z nich nieracyonalne, pozbawione uzasadnienia innego, prócz faktu, że dają pewien dochód — n. p. loterya — a z tem faktycznem położeniem winna liczyć się i teorya i praktyka skarbowa. Zreformowanie tych dochodów w myśl doświadczeń i zasad nauki skarbowej, sprawiedliwe rozłożenie ciężarów publicznych, szanujące słabsze gospodarczo żywioły, jest naturalnie ważnem zadaniem i obowiązkiem władzy ustawodawczej, ale reformy te podejmować tylko można i podejmować należy stopniowo, przy względnie pomyślnym stanie finansów, bo wymogi i zadania nowożytnego państwa nie dozwalają na zrzekanie się lekkiem sercem dochodów bez zapewnienia odpowiedniego zkądinąd pokrycia.

Indywidualnie znów tylko, na podstawie zbadania stosunków ogólnych i skarbowych jakiego państwa, można zalecać praktyczne reformy dochodów i wybrać dla takiej reformy odpowiedni zakres i odpowiednią chwilę. Wszelkie jednak projekty reformy winny liczyć się tak z wynikami nauki skarbowej co do poszczególnych grup dochodów, jak z zadaniami państwa i skarbu.

Na czele przypomnieć tu należy ogólne zasady i wymogi co do dochodów skarbu, mianowicie więc, że łączna ich suma powinna dostarczyć środków dostatecznych na trwałe spełnienie zadań państwa, że powinny płynąć z odpowiedniego źródła i posiadać zdolność wzrostu, winny być sprawiedliwie rozłożone i racyonalnie — bez utrudnień produkcyi, względnie najniższym kosztem, finansowym i ekonomicznym — wybierane.

Co do prywatnych, zarobkowych dochodów skarbu, które niegdyś stanowiły główne źródło dochodu i które do dziś w wielu państwach są — jak n. p. w Prusiech — lub na nowo stają się — koleje państwowe! — ważnym składnikiem dochodów, należy postawić zasadę, że państwo nie powinno

nigdy podejmować czynności wyłącznie dla zysku. Inne bowiem, jak to mówiliśmy wyżej, zadania ma państwo; zebranie dochodów nie jest jego celem—ono tylko warunkiem spełnienia istotnych celów państwowych, a wynikające ztąd wydatki są zarazem normalną miarą dla dochodów skarbu, które dawać więcej nie powinny, niż państwo potrzebuje. Sama możność otrzymania dochodu przez państwo nie jest bynajmniej dostatecznym powodem do podjęcia danej produkcyi, wcale zaś starczyć nie zdoła za uzasadnienie, aby daną produkcyę wytworów rzeczowych czy usług wyłącznie zastrzedz państwu, w jego ręku zmonopolizować. Tylko specyalne powody mogą skłonić państwo do podejmowania zarobkowej czynności, do wyłącznego zastrzegania jej sobie. Powody takie istnieją niejednokrotnie, n. p. przy lasach, tak ważnych zarówno przez dostarczany surowiec, jak przez swój wpływ klimatyczny, przez swe ochronne znaczenie na stokach gór, wydmach piaszczystych, dopływach rzek. Równie ważne powody odnajdziemy n. p. przy kolejach żelaznych; prywatny kapitał zbuduje tylko linie kolejowe, dające natychmiast lub niebawem szansę zysku — nie przystąpił on n. p. w Galicyi do budowy tak doniosłej dla kraju kolei transwersalnej—a interes obrony kraju, interes ekonomiczny rozbudzenia życia gospodarczego i w najodleglejszych zakątkach, domaga się stanowczo uzupełnienia sieci z tych dwóch powodów, jakkolwiekby nieraz długie lata przyszło czekać na czysty zysk z tych linij; tu więc podjęcie tej budowy przez państwo jest wskazanem praktycznie, i zasadniczo — prócz przy liniach ściśle lokalnego znaczenia—słuszniejszem, niż zachęcanie prywatnego kapitału do budowy na podstawie subwencyi, gwarancyi dochodów i t. d. Z chwilą zaś, gdy państwo w ogóle bierze budowę i ruch kolei w swą rękę, rozszerzanie się tej produkcyi państwowej okaże się praktycznie wskazanem, bo trudno zapewne zgodzić się na pokutujące dotąd w ultramanchesterskich umysłach stanowisko, że państwo — jeżeli w ogóle ma być właścicielem kolei — ma posiadać tylko nierentujące się linie, wszystkie zaś linie, co się rentują, ma pozostawić prywatnemu kapitałowi! Fakt czynnej ingerencyi państwa w dziedzinę kolejową zawiera w sobie dążność rozszerzania sieci kolejowej

państwowej, tak z ogólno-gospodarczych, jak finansowych [1]) powodów, a realizacya tej dążności prowadzić może do zmonopolizowania dróg żelaznych w ręku państwa, faktycznie czy nawet i prawnie, i to tem łatwiej, że każda linia kolejowa jest faktycznym monopolem, że tutaj — nawet w razie zupełnej wolności — o skutecznem współzawodnictwie wyjątkowo tylko może być mowa.

Jak przy lasach i kolejach żelaznych, tak przy całym jeszcze szeregu innych gałęzi produkcyi można znaleźć szczególne powody — bądź to w istocie rzeczy, bądź w faktycznem położeniu danego państwa tkwiące — skłaniające państwo do podjęcia pewnej produkcyi — n. p. stadniny, fabryki broni i amunicyi, pewne rodzaje ubezpieczeń — nawet do jej zmonopolizowania w swem ręku, n. p. poczta, fabryki tytoniu. I dlatego też zgodzić się nie można na bezwzględne żądanie, aby państwo zupełnie zaniechało wszelkiej produkcyi wytworów i usług rzeczowych, ograniczyło się tylko do usług osobistych, aby nie wykonywało żadnej zarobkowej czynności, ani w wolnem współzawodnictwie z innemi gospodarstwami, ani też na podstawie uprzywilejowanej, aby sprzedało niezwłocznie całą swą własność zarobkową. Gdybyśmy się nawet zgodzili na to stanowisko, że państwo nigdy i żadnej czynności zarobkowej podejmować nie powinno, to jeszcze i wtedy nie można bez zastrzeżeń zgodzić się na niezwłoczną sprzedaż całej własności państwowej, dającej dochód. Zastósowano się po części do tego żądania w Austryi za czasów absolutnych, sprzedano n. p. koleje zbudowane kosztem 336.25 milionów złr., za 168·5 milionów złr., z wielkim zyskiem dla kapitalistów, a z trwałą i znaczną stratą dla

[1]) Jak doniosłą dla skarbu może stać się sieć kolei państwowych, stwierdza najlepiej budżet Prus. Tam wynosiły:

	dochody z kolei państw.		wydatki
w r. 1880-81	242	mil. m.	148
w r. 1885-86	652	„	468
w r. 1890-91	888	„	590
w r. 1895-96	1.037	„	589
w r. 1897-98	1.118	„	684
preliminarz na r. 1898-99	1.210	„	771,

tak, że koleje dadzą skarbowi na czysto 439 mil. m.—o tyle więc mniej potrzeba zebrać przez opłaty i podatki.

skarbu. Podobne finansowe i społeczno-polityczne błędy robiono często i przy sprzedaży domen. To też nawet w razie sprzedaży należy pamiętać o zabezpieczeniu trwałych interesów skarbu, o społeczno-ekonomicznych interesach kraju, a nie można bynajmniej stawać na stanowisku, że teraz sprzedać się musi, i sprzedać temu, co odrazu kupuje całość i za nią odrazu najwięcej daje gotówki. Tak n. p. przy sprzedaży jakich wielkich dóbr ziemskich zupełnie niewłaściwem byłoby traktowanie tylko z jakiem wielkiem konsorcyum spekulacyjnem, ale raczej należałoby przeprowadzić pożądany w danych warunkach podział tych dóbr; możeby na tem cyfrowo gorzej wyszedł skarb, ale zyskałyby społeczne i ekonomiczne stosunki, a to bynajmniej nie jest obojętnem dla skarbu. Nie godzą się nieraz na tę „politykę socyalną przy sprzedaży“ własności państwowej gorliwi zwolennicy tej sprzedaży, broniąc stanowiska, że jedynie przyjęcie pieniężnie najwyższej oferty jest słusznem ze strony skarbu. Ale dziwna sprzeczność i niekonsekwencya jest w ich żądaniu. Wszakże ich zdaniem ma państwo zaniechać wszelkiej czynności zarobkowej, zkądże więc nagle przy sprzedaży ma wyłącznie zarobkowy punkt widzenia być decydującym? Słuszniejszem niewątpliwie jest stanowisko, że to sprzedaje nie skarb, mający jakieś tylko swoje własne pieniężne interesa — bo wtedy właśnie byłby uprawnionym wszędzie i zawsze zdążać do zysku, jak najbardziej rozwinąć swą czynność zarobkową — lecz państwo, a ono jak przy wszystkich swych czynnościach, tak i przy sprzedaży, musi mieć ogólne interesa społeczeństwa, a bynajmniej nie tylko zysk pieniężny swego skarbu na oku; zadawalniając się wyłącznie najwyższym zyskiem przy sprzedaży, zasłużyłoby państwo słusznie na ciężki zarzut, że ulega ciasnemu duchowi fiskalizmu.

Bezwzględne przeto żądanie, aby państwo zaprzestało wszelkiej materyalnej produkcyi, aby mianowicie zaniechało zupełnie czynności zarobkowych w ścisłem znaczeniu, nie jest uzasadnionem, ani słusznem. Produkcyi tej materyalnej ze strony państwa nie należy ani utrzymywać nadal, ani rozszerzać bez szczególnych powodów, bo każde rozszerzenie zakresu akcyi państwa przedstawia istotnie poważne wątpliwości, zarówno pod względem politycznym, jak społeczno-

ekonomicznym, tak, że nigdy nie można bez dostatecznego i istotnego powodu godzić się na wzrost tego zakresu, czy utrwalać zakres za szeroki, utrzymywać nadal czynności nieumotywowane, ale gdzie powody dostateczne, tam należy podjąć daną produkcyę, której potrzebę, znaczenie i możność skutecznego podjęcia dostatecznie stwierdzono. Zakres tej pożądanej i dostatecznie umotywowanej produkcyi nie jest bynajmniej ściśle oznaczonym, był i jest różnym w różnych czasach i u różnych ludów, ulega zmianom z natury rzeczy, mają nań wpływ ogólne stosunki danego państwa; ztąd też nie da się bynajmniej postawić żaden ścisły przepis, jakie gałęzie produkcyi państwo może lub powinno podjąć czy zaniechać. Podjąwszy zaś daną produkcyę—n. p. lasy, koleje, poczta, mennica, drogi i mosty, kanały, kopalnie, fabryki tytoniu, broni i amunicyi, okrętów, ubezpieczenia, stadniny i t. d. — występują dalsze ważne kwestye, a mianowicie najpierw przy pewnych grupach, czy rząd ma daną produkcyę prowadzić tylko celem bezpośredniego pokrycia swych własnych potrzeb, czy też ma liczyć na zbyt swych produktów? dalej występuje kwestya stanowiska prawnego, czy państwo ma tę produkcyę prowadzić w wolnem współzawodnictwie z innemi gospodarstwami kraju, czy też ma zastrzedz sobie szczególne uprawnienia, zwłaszcza monopol? a wreszcie występuje kwestya, raz już poruszona, jakiej zasady skarbowej ma rząd trzymać się, podjąwszy daną produkcyę i nie przeznaczając jej wyłącznie bezpośrednio dla siebie? I tu znów o wszystkich tych kwestyach decydują faktyczne stosunki danego kraju, a nie braknie w historyi przykładów zmiany tak stanowiska prawnego, jak zasady skarbowej; tak n. p. mennica, owa tak doniosła instytucya publiczna, przechodziła fazę, gdzie ją uważano za środek zebrania extra dochodu dla skarbu; tylko rząd miał prawo bicia, monopolicznie ją więc wyzyskiwano; przyznając później i prywatnym prawo żądania bicia w mennicy na ich rachunek, pobierano za to wynagrodzenie, bądź w myśl zasady prywatno-gospodarzej żądając zupełnego szczegółowego wynagrodzenia, bądź też pobierano tylko część zwrotu kosztów w myśl t. zw. zasady opłaty; Anglia i Stany Zjednoczone nie pobierają opłaty żadnej, stanęły więc przy zasadzie czystego

wydatku, podyktowanego publicznym interesem, znajdującego swe pokrycie w łącznych dochodach skarbu. Nie sam fakt produkcyi, lecz stosunki skarbu i kraju decydują zarówno o stanowisku prawnem, jak i o zasadzie skarbowej, i ztąd równocześnie można spotkać produkcyę państwową, podległą wolnej konkurencyi innych gospodarstw — lasy, stadniny, koleje, kopalnie—i produkcyę zmonopolizowaną — poczta, mennica, fabryki tytoniu—można spotkać zasadę czystego wydatku, gdzie korzystający z danej produkcyi obywatel nic za to nie płaci — n. p. drogi publiczne, mosty — gdzie płaci tylko częściowy zwrot kosztów w myśl zasady opłaty, gdzie skarb żąda zupełnego wynagrodzenia, pełnego zwrotu kosztów lub nawet i zysku zwyczajnego na wzór gospodarstw prywatnych, wreszcie spotkać można i produkcyę, gdzie przyznany monopol jest środkiem zapewnienia skarbowi zysków nadzwyczajnych, opodatkowania wprost korzystających z danej produkcyi—n. p. w Austryi sól, tytoń.

Jakiekolwiek byłoby jednak stanowisko prawne i zasada skarbowa, niemniej każda produkcya winna być prowadzoną racyonalnie pod względem technicznym i ekonomicznym, zgodnie z zasadą prawdziwej gospodarności, a zarazem zgodnie z celem, któremu służyć miało podjęcie tej produkcyi; ztąd też nawet w razach uznania za uprawnioną i w tym wypadku wskazaną, zasady prywatno gospodarczej nie można uznawać za słuszne zdążanie wyłączne do osiągnięcia największego zysku pieniężnego — n. p. przy kolejach—lecz należy pamiętać i o ogólnych zadaniach państwa i o specyalnym celu, któremu ma służyć dana produkcya, a celem tym wyjątkowo tylko, w razach gdzie monopol jest najlepszą formą opodatkowania, jest zysk; zresztą innym jest cel i powód podjęcia przez państwo tej produkcyi.

Prowadząc racyonalnie pod względem technicznym i ekonomicznym swą produkcyę materyalną, może państwo, nawet nie hołdując bynajmniej duchowi fiskalizmu, znaczne z tego źródła pobrać dochody, a fakt to nader doniosły, bo wtedy tem mniej potrzeba zebrać w drodze podatków, im zaś niższe podatki, tem sprawiedliwszym staje się ich rozkład i mniejszym ich ciężar. Ztąd też podobnie jak przy kwestyi utrzymania, czy rozszerzenia materyalnej produkcyi państwa

żądamy szczegółowego powodu i sam fakt możności pobrania zysku nie starczy tu za powód dostateczny, tak i przy kwestyi zaprzestania danej produkcyi żądać należy szczegółowego umotywowania, a za takie nie starczą gołosłowne twierdzenia, że taka produkcya przekracza właściwą sferę akcyi państwa, że państwo zawsze i wszędzie gorzej i drożej produkuje, niż prywatni i t. d., i tu znów decyzya winna zależeć od faktycznych stosunków.

Grupa zarobkowych dochodów państwa jak miała tak ma i dotąd nie wielkie znaczenie; ona może, ułatwiając niepodnoszenie podatków, lub nawet ich zniżkę czy reformę, przyczynić się wprost do złagodzenia antagonizmów społecznych, które tak często na tle poczucia krzywdy podatkowej wyrastają; ztąd też same względy rachunkowe nie starczą nigdy do uzasadnienia wyroku zaniechania danej czynności zarobkowej, owszem nawet polityka finansowa tak państwa, jak krajów i t. d., pilnie troszczyć się o to powinna, aby w odpowiednich warunkach zapewnić sobie zarobkowe dochody.

Drugą ważną grupą skarbowego dochodu są opłaty, daniny pieniężne, uiszczane za usługi organów i korzystanie z instytucyj publicznych. Historycznie miały opłaty przez to swe wielkie znaczenie, że dostarczając częściowego lub zupełnego pokrycia kosztów utrzymania danych urzędów, umożliwiły finansowo — bez powiększania ciężaru podatkowego — ulepszenie administracyi wewnętrznej, przyspieszyły powstanie niejednej instytucyi, której oparcie wyłącznie na bezpośrednich dochodach skarbu byłoby nieuniknienie do opóźnienia prowadziło. Różne opłaty administracyjne, sądowe, szkolne, myto na drogach i mostach, są potemu przykładem. Obok historycznego znaczenia, mają jednak opłaty i dziś i zawsze mieć będą swe merytoryczne uzasadnienie. Korzyść bowiem płynąca z wielu instytucyj publicznych — n. p. urząd hipoteczny, szkoły wyższe, regestr firm, wynalazków, marek ochronnych, urząd probierczy — nie jest równą dla wszystkich obywateli, a skoro korzyść ta różniczkuje się, przypada przedewszystkiem oznaczonemu szeregowi ludzi, to uzasadnionem i słusznem jest, aby ci wprost interesowani ludzie, korzystający z danej instytucyi — n. p. przy wpisach

hipotecznych właściciel i wierzyciel—ponieśli choć część kosztów, utrzymaniem tej instytucyi spowodowanych. Pobieranie przeto opłaty w tych wszystkich wypadkach, gdzie korzyść instytucyi publicznej przypada głównie pewnym tylko ludziom, jest rzeczowo uzasadnionem, a z tego uzasadnienia opłaty wynika zarazem wskazówka i co do wysokości opłaty. Im więcej dana instytucya ma publiczne znaczenie, działalność jej leży w publicznym interesie — n. p. księgi stanu cywilnego — tem niższą winna być opłata, łączne sumy, uiszczane przez strony, korzystające z usług tej instytucyi, powinny być tylko częściowem pokryciem kosztów, a znaczna część tych kosztów winna spadać na skarb, ową łączną kasę społeczeństwa, mającą pokryć jego publiczne potrzeby. Im natomiast więcej występuje korzyść prywatna, tem pobierana opłata może i powinna być wyższą, dążność znacznego lub nawet zupełnego pokrycia kosztów danej instytucyi jest zupełnie uzasadnioną.

Błędem to jest częstym stronnictw rzekomo ludowych, że bezwzględnie żądają zniżki czy zniesienia opłat nawet i tam, gdzie korzyść indywidualna jest niewątpliwa — n. p. szkoły średnie i wyższe—przyczem zapominają czy nie wiedzą, że zniósłszy dane opłaty, tem więcej muszą podnieść podatki, nałożyć ciężar danych instytucyj i na tych, co wcale z nich nie korzystają, a do tych znów przeważnie najbiedniejsze warstwy należą.

I na przyszłość przeto mają opłaty, owo szczegółowe wynagrodzenie za otrzymane usługi publiczne, swe uzasadnienie i mieć będą zawsze swe skarbowe znaczenie. Praktyka skarbowa rozszerzyła jednak bardzo stósowanie opłat; parta potrzebami skarbu i duchem fiskalizmu, rozszerzyła zakres, podniosła wysokość, zmieniła zasadę wymiaru opłat, doszła do stworzenia pod formą i nazwą „opłaty“ całego szeregu podatków obrotowych, a zapanowało to do tego stopnia, że z trudnością tylko i nie zawsze z pomyślnym skutkiem można odnaleźć w budżetach państwowych istotne opłaty, oddzielić ich sumę od sumy podatków obrotowych. Opłaty były dogodnem dla skarbu źródłem dochodu, ztąd rozszerzano ich stósowanie nawet i tam, gdzie o korzyści obywatela z usługi publicznej na seryo nie było mowy,

sztucznie wytwarzano sposobność i powód do pobrania t. zw. opłaty, która, mimo swej nazwy, przemieniała się częstokroć w podatek, nie zawsze uzasadniony; najwyższy zysk, a bynajmniej nie pokrycie kosztów, było dyrektywą dla oznaczenia wysokości opłaty, i ztąd bez należytej konsekwencyi wprowadzono w oznaczenie wymiaru opłaty, obok momentu kosztów, i wartość wyświadczonej usługi. Doniosła to bardzo zasada, odpowiadająca słusznej dążności rozdziału ciężarów publicznych wedle możności ekonomicznej obywateli, lecz właśnie wskutek swej doniosłości i finansowej i społecznej nie powinna być stosowaną dowolnie, na wyrywki, bez należytej a możebnej konsekwencyi w górę i w dół; nie wszędzie zresztą stósowanie tej zasady jest możebnem, nie wszędzie uzasadnionem.

Rozwój opłat czyni ich reformę konieczną, aby z jednej strony zapewnić skarbowi słuszne wynagrodzenie ze strony korzystających bezpośrednio z korzyścią dla siebie z usług publicznych, przez to zmniejszyć ciężar utrzymania tych instytucyj dla społeczeństwa, zostawić więcej środków wolnych na instytucye bezwzględnie ogólnego znaczenia — aby zarazem ze strony drugiej utrzymać pobieranie opłaty tylko tam, gdzie rzeczywiście występuje korzyść na rzecz prywatną, gdzie istotną jest wyświadczona usługa, a o ile pod nazwą i formą opłaty występuje podatek, włączyć je świadomie i po odpowiedniej reformie do całego systemu podatkowego. Przestrzedz wszakże wypada przed zbyt radykalną walką przeciwko opłatom w ogóle i ich wysokości słusznej, pokrywającej znaczną część kosztów, bo w razie zwycięztwa tej akcyi, tem więcej będzie trzeba wybrać podatków, tem więcej na utrzymanie danych instytucyj będą musieli płacić i ci, co z nich wcale nie korzystają.

Z całej bogatej niegdyś grupy dochodów, występujących pod nazwą regalij, przywilejów skarbowych, pozostało do dziś w tej grupie bardzo niewiele, bo skutkiem uznania w ogóle zasady zwierzchności skarbowej państwa nie potrzeba już uciekać się do konstruowania szczególnego jakiegoś pojęcia przywileju skarbowego; ztąd bardzo wiele tu niegdyś zaliczanych źródeł skarbowego dochodu—jak mennica, poczta, monopole — znajdujemy pomieszczone słusznie w in-

nych grupach dochodów—zarobkowych, opłatach czy podatkach—a w tej grupie wspomnieć tylko trzeba o loteryi i skarbowem prawie dziedziczenia.

Loterya, mianowicie loterya liczbowa, należy niewątpliwie do najfatalniejszych wynalazków pod względem etycznym, do najsmutniejszych owoców ducha fiskalizmu. Jestto instytucya wprost antikulturna, podkopująca wiarę w sławne słowa Franklina: „Nie wierzcie tym, co wam powiedzą, że bez oszczędności i pracy można zostać bogatym, bo to truciciele“, łudząca właśnie najbiedniejszych, najbardziej na liczenie się z każdym groszem wskazanych, nieprawdopodobną nadzieją wygranej; odwodzi ich ona od oszczędności, w razie wygranej odwodzi i od pracy, budzi żyłkę gry, zniechęca do pracy szerokie warstwy, które właśnie bez pracy poprostu żyć nie mogą. Bardzo to połowiczna moralność zakazywać gry hazardownej, a uprawiać loteryę. Wszakże słusznie uznano za jeden z ważnych rysów i czynników postępu kultury uchylanie lub ograniczenie wpływu przypadku na byt ludzi; tej myśli zawdzięcza swe powstanie cała gospodarcza, ogniowa, sanitarna polityka prewencyjna, ta myśl doprowadziła do stworzenia i rozrostu ubezpieczeń; cała polityka socyalna zdąża do zapewnienia dla pracy lepszych warunków bytu, a tymczasem loterya, zwłaszcza liczbowa, staje w prostem przeciwieństwie do wszystkich tych usiłowań i do przodujących im myśli; ona każe wierzyć nie w rezultat własnej twardej pracy, lecz w szczęście, przypadek, szerzy zabobon, lenistwo, naiwną wiarę w „senniki“ i t. p. wśród warstw ludowych. Warto istotnie studyować stałych klientów kantorów loteryjnych, słuchać toczone tam rozmowy, czytać w tych twarzach; nieraz widzi się, że to był ostatni grosz, co stawili na loteryę, a czasem i to nawet nie był już grosz własny. Zbyt czarnych kolorów prawie dobrać nie można, aby destrukcyjne skutki takiej „ludowej“ loteryi prawdziwie przedstawić. Przytaczane na jej obronę argumenta, jako to, że ludzie i tak grają, mają wrodzoną żyłkę gry, więc lepiej ją zaspokoić przez kontrolowaną publicznie loteryę, niż zostawiać bez kontroli, że nadzieja wygranej dodaje otuchy do przetrwania bardzo ciężkich czasów, że to podatek uzasadniony na namiętność i głupotę, nie są w stanie nikogo przekonać; nie

jest przecież zadaniem państwa dostarczanie zaspokojenia złym skłonnościom, ani też skuteczny to środek — owszem, środek to wprost zgubny, budzeniem ułudnych nadziei chcieć podnieść siły na ciężkie chwile, bo po doznanym zawodzie przychodzi tem gorsze osłabienie i rozgoryczenie; a gdybyśmy nawet uznać chcieli, że loterya, to rodzaj podatku, to i wtedy uznaćby go trzeba za niemoralny — bo sam prowokuje opodatkowane użycie – i niesprawiedliwy, gdyż działa na wyrywki, opodatkowuje tylko jedną namiętność.

Wobec tak wielkiej wadliwości loteryi, zaniechał ją cały szereg państw—Anglia, Francya—inne mają tylko t. zw. loteryę klasową — n. p. Prusy; Austrya, Włochy mają do dziś loteryę liczbową. Ten więc dochód trwale istnieć nie powinien, słusznem jest wskazać go na wymarcie. Wobec faktu jednak, że dotąd ten dochód daje n. p. w Austryi skarbowi rocznie jeszcze przeszło 8 milionów, że ludność istotnie przyzwyczaiła się bardzo do gry, należy tę reformę przeprowadzać stopniowo, przez systematyczne zmniejszanie liczby ciągnień i kantorów loteryjnych [1]).

Istniejące prawo dziedziczenia przez skarb w braku testamentowych czy ustawowych sukcesorów, może z czasem nabrać większego nawet znaczenia. Zasada, że w braku testamentu dziedziczą krewni spadkodawcy bez żadnego oznaczania stopnia pokrewieństwa i terminu zgłoszenia po spadek, niema żadnego słusznego uzasadnienia, prowadzi w praktyce nieraz do tego, że dziedziczą ludzie, którzy z spadkodawcą zgoła żadnych nie mieli stosunków, którymby on na pewno nic nie był zapisał, gdzie więc o jakiemś słusznem „prawie do spadku" wcale nie może być mowy. Tu więc z ogólnych powodów wskazaną jest reforma— przy zupełnem pozostawieniu swobody testowania — ograniczająca ustawowe dziedziczenie krewnych co najwyżej do 6—8 stopnia i warunkująca je zgłoszeniem się w oznaczonym terminie, najdalej 2—3 lat, bo gdzie były jakiekolwiek rodzinne stosunki, tam w tym czasie mogą dziś i w najodleglejszym zakątku świata tak dowiedzieć się krewni o zaszłej śmierci, jak zgło-

---

[1]) Dr. Rudolf Sieghart: *Geschichte und Statistik des Zalenlottos in Oesterreich.* 1898.

sić się po spadek. W braku testamentu, bliskich krewnych lub ich niezgłoszenia się w ciągu oznaczonego czasu, słusznem jest dziedziczenie przez gospodarstwa publiczne, i tu przyznaćby należało współdziedziczenie gminie rodzinnej, gminie ostatniego stałego zamieszkania, krajowi i państwu.

Najpóźniejszą historycznie, długie czasy—przynajmniej w teoryi — za nadzwyczajną i do dziś nieraz za posiłkową tylko w zasadzie uważaną, a oddawna już w praktyce najważniejszą grupą dochodów skarbu, są *podatki*. Powstawały one stopniowo, w miarę potrzeby, a niedostatki dawniejszej administracyi, niejasne wyobrażenia co do istoty państwa, obowiązków i zadań publicznych, jednostronna przewaga polityczna pewnych klas społecznych, żądnych ciężary publiczne na inne klasy zupełnie czy przeważnie przerzucić, brak wreszcie zrozumienia należytego istoty i skutków podatków, to wszystko wycisnęło na historyi podatków swe piętno, wytworzyło znaczną liczbę podatków, wadliwych pod względem etycznym, gospodarczym, skarbowym. Brano podatki gdzie i zkąd można było, postulat sprawiedliwego ich rozdziału nie znajdował dostatecznie ani uznania, ani urzeczywistnienia. Pod względem gospodarczym i społecznym występowały wady przez utrudnienia, jakie opodatkowanie—przedewszystkiem przy podatkach pośrednich—powodowało dla produkcyi i dla technicznego postępu, przez jednostronne nadmierne opodatkowywanie pewnych tylko zawodów gospodarczych i klas społecznych, co wpływało wprost na ich stosunki majątkowe, przemieniało stosunki zamożności w społeczeństwie przeważnie niekorzystnie. Pod względem skarbowym występowała wielka wada wysokich kosztów poboru, kosztownej i skomplikowanej administracyi, przez co, pomimo, iż podatnikom zabierano stosunkowo wiele, skarb na ogólne potrzeby państwa otrzymywał mało. Dobrą illustracyą panujących wówczas komplikacyj jest n. p. fakt, że w części Bawaryi pobierano około r. 1800 pod 607 nazwami różne podatki bezpośrednie, w czem same różne podatki gruntowe miały 144 kategoryj! [1]).

---

[1]) Eheberg: *Steuer*, w *Hndw-B. der Staats-Wissftn.* VI, str. 94.

Liczne i wielkie wady, jakie się z czasem nagromadziły w wytworzonym systemie podatków, uczyniły ich reformę pożądaną i konieczną, a chcąc podjąć tę reformę, należało uwzględnić zarówno interes skarbu, jak gospodarstwa społecznego, należało dojść do postawienia pewnych jasnych zasad, które urządzeniu opodatkowania przodować powinny, bo sam fakt możności dostania dochodu przez pewien podatek, to zasada wadliwa i niedostateczna dlań legitymacya. Nauka skarbowa też od samego początku swego zdążała do rozjaśnienia tej kwestyi, odnalezienia takich zasad przewodnich; literatura tej kwestyi jest bardzo bogatą i do dziś stanowi sprawa zasad podatkowych i opartego na nich systemu podatkowego jedno z najważniejszych i praktycznie najbardziej doniosłych zagadnień całej nauki skarbowej.

W miarę, jak rezultaty nauki co do zasad opodatkowania coraz więcej dochodziły do świadomości rządzących i rządzonych, stawała się odpowiednia reforma odziedziczonych podatków, mająca urzeczywistnić uznane naczelne zasady, coraz więcej pożądaną i coraz więcej nagłą. Ale reforma ta powoli tylko i stopniowo dała się i daje się wogóle urzeczywistnić; pomimo uznania i jej konieczności i doniosłości, napotyka ona zawsze na trudności wielkie, tak co do kierunku, jak zakresu, jak nawet chwili przeprowadzenia. Najpierw występują trudności finansowe, bo w faktycznem położeniu skarbów państw reforma podatków, którąby uszczupliła dochody skarbu, byłaby nie postępem, lecz szkodą. Sztuki w tem niema żadnej, ani zasługi, skrytykować ostro jaki podatek, skrytykować i potępić każdy z osobna, wykazać jego wady, bo niema absolutnie dobrego podatku, niema podatku, któryby wszystkim był miłym, nikogo boleśnie nie dotykał; każdy podatek żąda pewnych ofiar od dotkniętych nim osób, osoby te mają więc ze swego stanowiska realny powód do narzekania właśnie na ten podatek, co ich dotyka, a ponieważ każdy podatek kogoś dotyka, ztąd przeciw każdemu jest gotowa i zszeregowana opozycya, skłonna do uznania za uzasadnioną i korzystną tylko tej reformy podatkowej, która zniesie czy zmniejszy właśnie ten podatek, co ją dotyka. Samo przeto skrytykowanie podatku,

sam fakt, że nań ludzie narzekają, nie jest bynajmniej dostatecznym powodem do zniesienia danego podatku, bo zadaniem reformy podatkowej jest nie tylko uproszczenie podatków, sprawiedliwy ich rozdział, pobranie z odpowiedniego źródła i w odpowiedni sposób, ale zarazem dostarczenie i trwałe zapewnienie skarbowi niezbędnych dochodów. Znosząc przeto jedne podatki, trzeba równocześnie i równomiernie pomyśleć o zastąpieniu powstałego ubytku w dochodach, o podniesieniu pewnych dawnych lub stworzeniu nowych podatków, a to jest i finansowo nie łatwem, bo czas przejściowy zawsze utrudnia administracyę, naraża na zawód co do spodziewanego rezultatu, i przeciw nowym czy wyższym podatkom podniesie się zwykle silna interesowana opozycya. Jaka to agitacya, jaka opozycya była u nas w kraju przeciwko ostatniej wielkiej i tak uzasadnionej reformie podatkowej, zwłaszcza przeciw tak koniecznemu — materyalnie i moralnie — podatkowi rentowemu, który przecież miał ciężar podatkowy, ponoszony dotąd przeważnie przez pracę i ziemię, także na kapitał pieniężny nałożyć!

Jak w ogóle w dziedzinie badań i reform społecznych, tak i w dziedzinie zagadnień i reform skarbowych, w przeciwstawieniu do zagadnień w dziedzinie nauk przyrodniczych, osiągnięcie jednomyślności sądu, przekonanie ogółu o słuszności naukowych wyników osiągniętych, czy reform zalecanych, jest trudnem, i to tak przez brak absolutnie ścisłego dowodu, jak przez mącący zdanie wpływ osobistego interesu. Przyrodnik doszedłszy do pewnych wyników—n. p. w teoryi odżywiania się roślin — może sprawdzać te wyniki w laboratoryum, każdy inny może je sprawdzać, osobisty interes i przekonania polityczne i społeczne, jego własne czy ewentualnych oponentów, nie grają tu żadnej roli, umiejętnie przeprowadzone doświadczenia wykażą jasno, czy wyniki są słuszne, czy błędne. Reform skarbowych na próbę tworzyć nie można, bo tu chodzi o poważne interesa, i ztąd wielu woli stanąć wobec istniejących podatków na stanowisku *noli me tangere*, niema bowiem dostatecznego przekonania o skuteczności i słuszności reformy, a sama świadomość już, że dana reforma mogłaby być tylko próbą, czyniłaby bez-

wartościowemi jej wyniki, bo wpływałaby wprost na postępowanie ludzi, zmieniła je — w stopniu nieobliczalnym — na czas próby. Doświadczenia ewentualne innych państw, to też dowód nieścisły, bo i dotąd, pomimo równej czy bardzo podobnej natury ludzi, zbyt wielkiemi są różnice tradycyj i obyczajów administracyjnych i społecznych, różnice majątkowe, kulturne i polityczne, różnice ugrupowania społeczeństwa. Każda reforma podatkowa ma dalej tendencyę przemiany rozkładu dotychczasowego ciężaru podatkowego, i ztąd spotkać może opozycyę zarówno podyktowaną przez pieniężny interes tych, na których wyższe mają przypaść ciężary, jak bezinteresowną ze strony tych, co objektywnie inne mają wyobrażenia i przekonania o tem, co jest sprawiedliwość podatkowa i jak ją urzeczywistnić można i należy.

Różne te trudności, występujące przy każdej reformie podatkowej, istnieją i dziś, lecz pomimo ich istnienia, winna nauka skarbowa dążyć wytrwale do przedstawienia słusznych zasad naczelnych opodatkowania, sposobów ich urzeczywistnienia w ustawach, a rzeczą praktycznej polityki w myśl tych wyników zreformować panujący system podatkowy.

Zasady te formułowano w literaturze różnie, na co złożyły się tak poważne przekonania o konieczności wysunięcia naprzód tej lub innej zasady, jak indywidualizm autora, chcącego się koniecznie odróżnić od innych, zachować pozory samodzielności, nowego, głębszego ujęcia rzeczy, która to wada mianowicie u licznych pisarzy niemieckich w wysokim stopniu występuje. Nie może być naszym zamiarem wchodzić tu szczegółowo w dogmatyczną i literacką historyę formułowania tych zasad, ani zapuszczać się w polemikę i krytykę innych autorów; co do tego, jak w ogóle co do bliższego rozpatrzenia i uzasadnienia postawionych zasad podatkowych, systemu podatkowego, poszczególnych grup dochodu skarbowego w ogóle, odesłać musimy czytelnika do literatury finansowej, która w ostatnich dziesiątkach lat nader bogato się rozwinęła i doszła do absolutnie wysokiego stopnia rozwoju, tak w systemach nauki skarbowej, przedstawiających jej całość, jak w monografiach, roztrząsających poszczególne

zawiłe kwestye nauki skarbowej [1]; tu, gdzie nam chodzi tylko o ogólne rozpatrzenie się w dochodach skarbowych, celem uzasadnienia będącej składową częścią nauki o budżecie t. zw. teoryi pokrycia, i przy omawianiu zasad skarbowych ograniczyć się należy do przedstawienia ich tylko w kilku wielkich rysach i zaznaczenia jedynie nasuwających się przy formułowaniu i stósowaniu tych zasad w życiu trudności i kwestyj spornych.

Naczelne zasady podatkowe winny odpowiedzieć na trzy rodzaje zagadnień, a mianowicie: *na co są podatki,* ile więc dać mają, dalej: *kto i za co, w miarę czego ma je płacić,* wreszcie: *jak mają być pobierane;* zarówno przeto skarbowe, jak ekonomiczne, etyczne i ściśle administracyjne względy winny tu być brane w rachubę.

Pierwsze pytanie prowadzi nas odrazu na terren bardzo zasadniczych roztrząsań socyalno-politycznych, albowiem nie braknie dziś głosów, żądających, aby państwo w drodze opodatkowania świadomie i skutecznie zdążało bynajmniej nietylko do odpowiedniego pokrycia potrzeb skarbu, lecz aby także korzystną przemianę stosunków zamożności w społeczeństwie uznało za swój cel. Postulat to niesłuszny, doprowadzający do bardzo niebezpiecznych konsekwencyj, otwierający szerokie pole dla dowolności i pozytywnej krzywdy w opodatkowaniu, mogący ztąd zrodzić zamiast zamierzonej, korzystnej społecznie, przemiany stosunków zamożności, mającej stworzyć podstawę, czynnik i rękojmię społecznego pokoju, owszem wręcz przeciwnie, wrzenie, zawiść i walki społeczne. Słusznie powiedziano niegdyś, że owo sławne zadanie prawa: *suum cuique tribuere,* stawia zasadę szczytną, na którą każdy się zgodzi, ale że przeprowadzenie tej za-

---

[1]) Przypominamy tu cytowane już powyżej dzieła, obejmujące całą skarbowość: Biliński, Głąbiński, Bastable, Cossa, Leroy-Beaulieu, Ad. Wagner, L. v. Stein, G. Cohn, Roscher, Schäffle; dalej monografie, przedstawiające całą skarbowość w Schönberga *Handbuch der Politischen Oekonomie* (4-te wydanie, 1897); *Handwörterbuch der Staatswissenschaften* (Jena, 1890 - 1897); *Dictionnaire des Finances* i *Dictionnaire d'Economie politique.* Kwestye sporne podatku osobistego znalazły powa-

sady przedstawia się jako wielki znak zapytania, stać się może zarzewiem drażliwych sporów i walk, bo w ludziach tkwi żądza, stanowiąca, o ile ją miarkują etyczne zasady, wielce dodatnią siłę w materyalnym dorobku ludzkości, rozszerzania zakresu tego, co uznają za „swoje“ i każdy to ze swego stanowiska ocenia. Postulat „korzystnej“ przemiany stosunków zamożności przedstawia w zastosowaniu tesame trudności, ten sam indywidualizm w ocenie, co jest korzystnem; przeważna większość oceniać to zawsze będzie subjektywnie, uzna za złe wszystko, co ją dotyka, za korzystną przemianę wszystko, co jej ulży ciężaru, ciężar ten głównie na innych nałoży. I nie sam ciasny egoizm jest powodem i źródłem tego zjawiska, lecz w równej mierze wzajemna nieznajomość położenia ekonomicznego różnych warstw i zawodów w narodzie. Ileż to razy w odnośnych dyskusyach można słyszeć, jak mieszkańcy miast z odcieniem pewnej zazdrości nieraz mówią o swobodzie egzystencyi, jaką ich zdaniem mają właściciele ziemscy! A w tej ocenie słyszy się akcentowanie tylko wszystkich korzyści, co w oczy biją, własny dom, gdzie już nikt inny nie mieszka, ogród, konie, własne warzywa, owoce i t. d., a że ten właściciel musi płacić podatki i procenta i najmy i zasługi bez względu czy ma rok urodzaju, lub nieurodzaju, że ceny jego produktów mogą nie pokrywać jego kosztów produkcyi, że jakaś zaraza może podkopać lub zniszczyć odrazu długoletnie i kosztowne rezultaty jego pracy w stajni czy oborze, że każdy przymrozek, słota, susza, a więc fakta obojętne dla ludności miejskiej, może być dlań źródłem wielkich strat, że ztąd na wsi prawie zawsze trudno o gotowy grosz, a tak prowadzenie gospodarstwa, jak wychowanie dzieci, bardzo wiele tego grosza wymaga, o tem się nie pamięta i ztąd przecenia się w sposób rażący możność ekonomiczną własności ziemskiej w ogóle, zapomina się, że tu indywidualnie — zależnie od

---

żne miejsce w *Schriften des Vereins für Socialpolitik*; t. III *Gutachten* von Nasse, Held, Gensel, Graf Wintzingerode, Rössler; t. VIII J. I. Neumann: *Die progressive Einkommensteuer*; t. XII *Die Communalsteuerfrage*; Ad. Held: *Die Einkommensteuer*. Niebawem wyjdzie też z druku prof. Leo: *System nauki skarbowej*.

zadłużenia, gleby, położenia — może być sytuacya bardzo a bardzo trudną, pomimo odmiennych pozorów. Z drugiej znów strony jakże nieraz rażąca nieznajomość stosunków przebija się w ocenie położenia warstw miejskich, zwłaszcza urzędników! Fakt regularnego poboru pensyi nabiera w oczach ludzi, nie mających stałych dochodów, jakiegoś nieraz niezwykłego znaczenia; „wiedzą co mają i mogą się podług tego urządzić“, ileż to razy tym frazesem zwalniano się od wniknięcia w ich położenie, zapominano, że na „urządzenie się“ potrzeba nie jakiejś stałej sumy *in abstracto,* lecz *in concreto,* pewnej oznaczonej jej wysokości, że tu za wszystko trzeba płacić gotówką, a nie rozporządzając nigdy wyższą sumą, trzeba wszystko kupować zosobna, a więc drogo i co do ceny i co do jakości. Rozprowadzać dalej tego wywodu o wzajemnej nieznajomości położenia warstw społecznych, wykazywać szczegółowo, jak robotnicy przeceniają położenie przedsiębiorców i znów na odwrót przedsiębiorcy nie dość uwzględniają potrzeby robotników, już nie potrzeba, bo powyższy przykład wystarczy już do stwierdzenia, że pytanie: „jaką jest korzystna przemiana stosunków zamożności“, znalazłoby w życiu bardzo różną i bardzo sprzeczną odpowiedź; subjektywizm i egoizm zabrałyby głos, i ztąd w tym celu podjęta akcya państwa przedstawiałaby zawsze dowolność, a im silniejszym byłby wpływ polityczny jednej czy kilku zbliżonych do siebie warstw, tem więcej stronniczą, niesprawiedliwą w środkach i celu byłaby podjęta akcya, byłaby chwilowo korzystną dla warstw zwycięzkich, lecz zgubną dla społeczeństwa, dla państwa. Pomimo tego, a raczej właśnie skutkiem tego, należy pamiętać, że mylnem jednak byłoby hasło, że państwo wcale niema się mięszać w stosunki zamożności w społeczeństwie, bo ono mięsza się tu faktycznie przez swe podatki; każdy podatek uszczupla zasoby ekonomiczne kół nim dotkniętych, obniża ich zamożność, przez to względnie podnosi zamożność warstw nim niedotkniętych, tak, że sam fakt istnienia podatków ma wpływ konieczny na stosunki zamożności w społeczeństwie, a skoro ten wpływ jest nieunikniony, żądać trzeba, aby z nim liczyć się w ustawodawstwie podatkowem, aby ono zdążało nie do umyślnej przemiany stosunków zamożności—bo ten program

wiedzie na manowce i staje się hasłem zażartych walk, niszczących dobrobyt i spokój społeczny — lecz do sprawiedliwego, w miarę możności, rozłożenia ciężarów publicznych. Uznając to za wytyczną, sprowadza się walkę na grunt realny i wyklucza stronniczą dowolność.

Racyą bytu podatków są potrzeby publiczne; ich zadaniem dostarczenie państwu zasobów dostatecznych na pokrycie tych potrzeb, o ile one z innych źródeł nie są lub nie powinny (kredyt!) być pokryte. Podatki nie na to powstały i nie na to istnieją, aby zmieniać rozdział zamożności w społeczeństwie, albo aby być instrumentem, realizującym idealnie sprawiedliwość w rozkładzie ciężarów publicznych, lecz powstały i istnieją na to, aby państwu dostarczyć potrzebnych dochodów. To było przyczyną ich powstania, to jest racyą ich bytu, to też było, jest i być powinno ich zadaniem. Innym celom one służyć nie mają, bo to byłoby wykrzywieniem zasadniczem ich pojęcia i zadania, praktycznie prowadziłoby do antitezy korzyści i sprawiedliwości społecznej, krzewiąc dowolność i stawiając subjektywną — a nie wolną ni od ciasnoty, ni od zawiści—ocenę, w miejsce ścisłych zasad finansowych i ekonomicznych.

Dostarczenie skarbowi potrzebnego dochodu jest też najpierwszym postulatem, któremu system podatkowy zadosyćuczynić powinien. Ztąd wadą jest systemu podatkowego, gdy państwu nie daje tyle, co potrzeba. Ile podatki istotnie dać mają, to zależy i od systemu dochodów zwyczajnych danego państwa (prywatne dochody, opłaty) i od wydatków, które w pewnych warunkach mogą lub powinny nawet (inwestycye) być pokryte przez dochód nadzwyczajny; dopiero pozostająca kwota wydatków -- zwykle dziś bardzo znaczna, większa, niż kwota strącona — winna znaleźć podatkowe pokrycie. Ztąd i do dziś mówić można, że podatki, pomimo faktycznie dominującego znaczenia, mają zasadniczo znaczenie dochodu posiłkowego.

Polityka podatkowa winna liczyć się dalej z faktem, że potrzeby państwa są trwałe, że wydatki wzrastają, a fakt ten stawia finansowe i ekonomiczne postulaty co do urządzenia systemu podatkowego, a mianowicie winien system podatkowy posiadać odpowiednią ruchomość, elastyczność, podatki winny

płynąć z odpowiedniego, t. j. trwałego źródła. Co do zasady ruchomości należy pamiętać, że jest szereg przyczyn wpływających trwale na wzrost wydatków, a ztąd jest pożądanem, aby i podatki przedstawiały—bez zmiany swej stopy—zdolność wzrostu w miarę wzrostu zamożności i zaludnienia społeczeństwa. Używane niegdyś stałe podatki — n. p. owe historyczne dwa grosze z łanu — nie odpowiadają tej potrzebie automatycznej ruchomości; skarb, oparty przeważnie na takich tylko podatkach, znalazłby się niebawem w kłopotach, byłby zmuszony reformować swe podatki, celem zapewnienia wzrastającego pokrycia. Fakt ten prowadzi zarazem do dalszego postulatu, a mianowicie, że system podatkowy winien zawierać składniki, gdzie podniesienie stopy na pewno da wyższy rezultat. Nie mają tej zalety podatki konsumpcyjne, ani obrotowe; tu może państwo, pomimo podniesienia stopy podatkowej, otrzymać mniej, niż dawniej, skutkiem spowodowanego wzrostem podatku ograniczenia danej konsumpcyi czy obrotu; tę zaletę mają natomiast podatki dochodowe i przychodowe, nie posiadające znowu w równej mierze zalety ruchomości, a tak same już te zasady skarbowe domagają się pewnego systemu podatków, kombinacyi należytej różnych ich rodzajów.

Trudności też i niedostatki, występujące w skarbowoci ciał samorządnych, polegają w znacznej mierze na braku swobody w urządzeniu własnego systemu podatkowego, na nadmiernej przewadze dochodu z dodatków do podatków, co, dając się tylko przy pewnych grupach podatków przeprowadzać, sprowadza jednostronne przeciążenie, nie jest dostatecznem dla danego skarbu, a jest i niesprawiedliwem i szkodliwem dla gospodarstwa społecznego.

Mając trwale dostarczać skarbowi potrzebnych sum, winny podatki płynąć ze źródła odpowiedniego, posiadającego cechę trwałości. Takiem trwałem źródłem jest tylko dochód społeczny; ustawodawstwo podatkowe winno czerpać tylko z tego dochodu, a nie naruszać społecznego kapitału. Wyjątkowe czasy i położenia mogą wyjątkowych, nadzwyczajnych ofiar wymagać; gdy chodzi o egzystencyę państwa, to przekroczenie miary dochodem społecznym wskazanej, naruszenie wprost majątku narodowego, jest dozwolonem, ale to

może i powinno zachodzić tylko wyjątkowo — normalnie jest i obowiązkiem i zadaniem ustawodawstwa podatkowego utrzymać łączny ciężar podatkowy w granicach dochodu społecznego. Przekraczając tę granicę, uszczuplając kapitał społeczny, popełnia skarb rodzaj samobójstwa, bo skutkiem redukcyi kapitału zmniejszy się produkcya i dochód społeczny, zubożenie w kraju pocznie się szerzyć, dochody skarbowe trwale zniżać się będą, chroniczny deficyt, nieudolność państwa do spełnienia jego zadań, gotowe zapanować.

Zwrócić tu także trzeba uwagę na to, że powyższy wywód nie wyklucza bynajmniej istnienia podatków t. zw. majątkowych, gdzie majątek jest nie źródłem, lecz podstawą podatku, gdzie podatek wprawdzie podług majątku bywa nakładanym, lecz może i ma być ponoszonym z dochodu, ale wywód ten zwraca się przeciw rozpowszechnianiu się podatków rzeczywiście majątkowych, pobieranych nieraz pod nazwą obrotowych czy dochodowych, gdzie stopa podatku jest tak wielką, że roczny dochód go nie pokryje, że celem uiszczenia podatku trzeba naruszyć majątek, gdzie majątek istotnie źródłem podatku się staje. W literaturze tej kwestyi nie brak głosów, godzących się — w różnym stopniu — na istnienie rzeczywistych podatków majątkowych, uszczuplających majątek czy kapitał prywatny, a zgody tej różne są motywa i różne przytem stawiano zastrzeżenia. Najpierw odzywał się optymizm, twierdzący, że każdy podatek działa jako bodziec do pracy, bo ludzie starają się, aby pomimo uiszczenia podatku, mieć przynajmniej tyle, co dawniej, i dla tego intensywnie podnoszą swą produkcyę, co leży w ogólnym interesie kraju; ale to argument niedostateczny, bo podniesienie wytwórczości nie zależy bynajmniej od samej chęci producentów, lecz na to i kapitału potrzeba, a przypuściwszy nawet słuszność tego optymizmu w zasadzie, podnieść trzeba, że on prawdziwym jest tylko do pewnej miary — że za wielkie podatki, uszczuplające stale majątek prywatny, nie zasilą bodźca do pracy, lecz go złamią, zniechęcą i osłabią producentów swym zbyt dotkliwym ciężarem. Dalej przemawiano za rzeczywistemi podatkami majątkowemi na podstawie zastrzeżenia, że płynące ztąd kwoty zużyć trzeba i w gospodarstwie skarbowem jako kapitał, przeznaczyć je więc na

publiczno- czy prywatno - gospodarcze inwestycye, przez co spodziewano się uniknąć złych następstw z uszczuplenia kapitału i produkcyi prywatnej wynikających; ale zgoda ta łatwo zaprowadzić może do trzeciego obozu zwolenników podatków majątkowych, domagających się ich celem przemiany kapitału prywatnego w publiczny, dojścia drogą stopniowej absorpcyi prywatnego kapitału do upaństwowienia całej produkcyi. Nie jest to zadaniem podatków, nie może być ich miarą, ztąd też na podatki istotnie majątkowe w małym tylko rozmiarze, o ile prywatna produkcya zdoła niebawem powstały uszczerbek wypełnić, i to przeważnie przy aleatorycznych tytułach nabycia, zgodzić się można; normalnie trzeba i dochód prywatny, a nie kapitał, uważać za jedynie słuszne — bo trwałe — źródło skarbowego dochodu.

Nie mając ani umyślnie wpływać na zmianę rozdziału zamożności w społeczeństwie, ani też podatkami naruszać substancyi majątku społecznego i prywatnego, winno dalej ustawodawstwo podatkowe liczyć się z faktami przerzucania podatków. Faktem jest, że w życiu często nie ten ponosi podatek, który go płaci, lecz płacący zdoła często w cenie swych wytworów podatek na innych—swych nabywców czy dostawców—przerzucić. Przy jednych podatkach, n. p. pośrednich konsumpcyjnych, jest to zamierzonem przez ustawodawcę, przy innych, n. p. przychodowych, nie jest zamierzonem. W życiu nie zawsze realizują się zamiary ustawodawcy; źle nałożone podatki konsumpcyjne spadną nieraz, wbrew intencyom ustawy, na producenta, a znów n. p. w wypadkach, gdzie nabywca papieru wartościowego, domu czy gruntu, zdoła o cały skapitalizowany podatek zniżyć cenę, tam podatek spada całym swym ciężarem—wbrew intencyi ustawy — jako realny majątkowy na dawnego właściciela, a nabywca pomimo płacenia, nie ponosi go wcale. Fakta te prerzucenia podatków przeceniano nieraz do tego stopnia, że uważano prawie za obojętne ustawodawstwo podatkowe, twierdząc, że życie i tak podług faktycznych stosunków—a więc rzekomo najlepiej — ciężar podatkowy przerzuci i rozłoży. Nieuprawniony to optymizm, owszem właśnie fakt przerzucania podatków każe tem staranniej baczyć na urządzenie podatków,

aby nie wywołać jednostronnego, niesprawiedliwego przeciążenia podatkowego [1]).

Na drugiem miejscu w rzędzie zasad naczelnych opodatkowania występują zasady ich słusznego rozdziału, zasady sprawiedliwości. Wysuwano je nieraz mylnie na pierwszy plan, mylnie, bo zadaniem podatków nie jest realizacya sprawiedliwości, lecz dostarczenie skarbowi potrzebnego dochodu, a tylko zebranie jego, podobnie jak każda inna czynność państwowa, winno być przeprowadzone zgodnie z wymogami etyki, podług zasad słuszności i sprawiedliwości. To nie jest ich celem, tylko zasadą ich przeprowadzenia.

Na postulat, że podatki powinny być sprawiedliwie rozłożone, godzą się wszyscy w zasadzie, a spór i walka rozpoczyna się dopiero, gdy chodzi o przeprowadzenie tej zasady w życiu, i spór ten występuje tem łatwiej i z tem większem uzasadnieniem, że tak zmiana stosunków politycznych, społecznych, ekonomicznych, jak i zmiana wyobrażeń, mianowicie co do wzajemnego stanowiska państwa i obywateli, oraz ich stosunków między sobą, mają i miały na to wpływ rozstrzygający. Ztąd i tu znów nie można stawiać szablonu i podług niego całą przeszłość, system podatkowy innych państw krytykować, i tu znów byłby błędnym radykalny absolutyzm doktrynerskiej teoryi, przeprowadzający podług szablonu krytykę czy reformę, bo i tu decydują faktyczne stosunki danej epoki i państwa. Po tem zastrzeżeniu można już stanąć na gruncie obecnych stosunków cywilizowanego świata i jako uzasadnione postulaty sprawiedliwości podatkowej wymienić: powszechność podatków i ich równomierność. Zasada powszechności domaga się, aby państwo rozciągnęło obowiązek podatkowy na wszystkich przynależnych, na wszystkich, wobec których państwo do udzie-

---

[1]) Kwestya przerzucenia podatków wywołała bogatą monograficzną literaturę, z której tu zwracamy uwagę mianowicie na: Prince-Smith: *Die Abwälzung* 1866. A. Held: *Lehre von der Ueberwälzung der Steuern (Tüb. Ztschft.* 1868). Kaizl (obecny minister finansów): *Die Lehre von der Ueberwälzung der Steuern*, Leipzig 1882. G. Schanz: *Zur Frage der Ueberwälzung indirecter Verbrauchs-Steuern (Jhb. f. Gesetzgbg.* 1882).

lenia swej ochrony może być powołanem. Przynależność ta na różnych opierać się może tytułach: obywatelstwa politycznego, zamieszkania w danym kraju, lub czerpania dochodów z niego, obejmuje ona gospodarstwa indywidualne i zbiorowe, gospodarstwa osób fizycznych i prawnych. Praktyka podatkowa starała się słusznie rozszerzyć jak najbardziej stósowanie zasady powszechności podatku, tak, że zwolnienia od wszystkich podatków nie istnieją nawet dla przejeżdżających przez kraj (cła, podatki konsumpcyjne), gdzie trudności techniczne zwalniania przyszły w pomoc tendencyi najszerszego stósowania zasady powszechności, a zwolnienia od pewnych grup podatków przyznane są tylko z specyalnych powodów — n. p. międzynarodowa wzajemność, zbytnia trudność i koszt poboru. Państwo działaniem swem wytwarza warunki bezpieczeństwa dla osób, ich własności, ich produkcyi, słusznie więc domagać się może i powinno, aby każdy z jego działania i opieki korzystający przyczyniał się do pokrycia jego wydatków. Na to też jest dziś zgoda powszechna, zwalnianie jednostek czy klas całych w ogóle od podatków nie znajduje dziś obrońców. Natomiast żywy toczy się spór co do drugiej z zasad sprawiedliwości, co do równości, a raczej równomierności podatkowej. Trudna to istotnie kwestya, bo tyle odrazu pewna, że ta równość nie może być pojętą mechanicznie: tyle a tyle na głowę. Taki podatek, przypominający dawne pogłówne, żądający, aby każdy podatnik, bez względu na wysokość dochodu, równą kwotę podatku płacił, byłby, pomimo i skutkiem równości nałożonych kwot, właśnie bardzo nierównym i bardzo niesprawiedliwym. Nie kwota uiszczanego podatku, ale inne momenta przeto mogą go uczynić równym i sprawiedliwym. Jakie to są te inne momenta, w miarę czego ma być nakładany podatek, na to dano szereg różnych odpowiedzi. Odezwały się głosy, upatrujące w korzyściach, jakie obywatele poszczególni z działania państwa odnoszą, słuszną miarę podatków, żądające rozłożenia podatków podług otrzymanych korzyści. Zasada ta jest słuszną do pewnego stopnia, jak to widzieliśmy wyżej przy opłatach, ona ma i mieć może szersze zastósowanie, zwłaszcza w skarbowości komunalnej; o ile pewne działanie publiczne korzyść przeważnie tylko

pewnej grupie osób przynosi, można tę grupę specyalnym podatkiem na ten cel obłożyć—ale zasada ta nie jest wystarczającą. Jak bowiem mamy obliczyć stopień korzyści, jaki odnosi jednostka z całego prewencyjnego działania państwa, dalej z armii, marynarki, dyplomacyi, parlamentu? A działanie to kosztuje bardzo wiele, tu korzyść indywidualna nie daje ani tytułu, ani miary nałożenia podatków, innej więc potrzeba zasady. I znów zadowolnić nas nie zdoła teorya, przyrównywająca podatek do premii assekuracyjnej, rozdzielająca go w miarę majątku. Teorya ta zapoznaje charakter i skutek opieki udzielanej przez państwo, zapoznaje, że majątek ma tak różną jawność, tak różną i rentowność, że sam majątek nie jest dostateczną i sprawiedliwą podstawą rozdziału podatków. Rozwiązanie zadawalniające zagadnienia sprawiedliwego rozdziału podatków daje tylko zasada możności ekonomicznej [1]). Podatek nakłada ofiarę materyalną na podatnika, on jest równym, gdy w równym stopniu umniejsza dotychczasową zdolność pokrycia potrzeb indywidualnych podatników. A chcąc oznaczyć ten równy stopień umniejszenia, należy uwzględnić, że możność ekonomiczna zależy od trzech momentów: wysokości dochodu, źródła dochodu, ogółu wydatków, które dany dochód ma pokryć. Znaczenie absolutnej wysokości dochodu na tem tu głównie polega, że im niższy dochód, tem większa jego część idzie na pokrycie potrzeb niezbędnych, i na odwrót; ztąd zabieranie równych procentowo części dochodu, bez względu na jego wysokość, nie jest sprawiedliwem, obciąża stosunkowo wyżej właśnie małe dochody. Równo wysoki dochód przedstawia znów różną możność zależnie od źródła, z którego płynie; w życiu to każdy rozumie, że n. p. lekarz zarabiający rocznie 3.000 złr., jest w zupełnie innem, gorszem położeniu, niż kapitalista, mający stałe i bez pracy 3.000 renty. Tu znów nałożenie równych kwot podatkowych byłoby niesprawiedliwem. Różnica ich położenia wystąpi tem wyraźniej jeszcze, gdy przypuścimy, że ów kapitalista to stary kawaler z bogatej ro-

---

[1]) Porówn. mianowicie Ad. Wagner, J. F. Neumann, oraz literaturę o t. zw. *Grenznutzentheorie:* Jevons, K. Menger, Böhm-Bawerk, Pierson.

dziny, nie mający obowiązku troszczyć się i nie troszczący się o nikogo, a że znów ten lekarz ma i żonę i dzieci kilkoro i starych rodziców do utrzymania, rodziców i dzieci, którzyby bez jego pracy nie mieli z czego żyć, zaciężyli utrzymaniem swem na funduszu ubogich. Nawet przy równie wysokim dochodzie i z równego płynącym źródła, powodują te różnice rodzinne znaczne różnice możności ekonomicznej, a ustawodawstwo skarbowe winno z tem się liczyć, że im mniej uwzględnia te czynniki różnicy w możności ekonomicznej, tem mniej jest sprawiedliwem.

Trzecia grupa naczelnych zasad podatkowych odnosi się do sposobu ich pobrania. I tu znów zasada gospodarności, względnie niskich kosztów poboru, występuje na pierwszem miejscu, a ta nizkość kosztów ma być i skarbowa i ekonomiczna, aby nie przeszkadzać produkcyi i jej postępu technicznego nie wstrzymywać. Dalej żądać należy dogodności terminu i sposobu uiszczania podatków dla podatników—aby n. p. w czerwcu nie ściągano podatku gruntowego i włościanin przychodzący o kilka mil na targ nie zastał biur zamkniętych—oraz ścisłego i jasnego oznaczenia podatków, aby podatnik wiedział, gdzie, kiedy, za co i ile ma płacić. Postulaty te tak są proste, że nie wymagają już bliższego uzasadnienia.

Niema podatku, któryby wszystkim powyższym zasadom w równym stopniu odpowiadał, któryby zdołał realizować postulaty w nich zawarte. Realizacyę tę dać zdoła w stopniu względnie najwyższym odpowiednio ułożony system podatkowy. Jakim on być może, względnie być powinien, wykazywać szczegółowo, przekraczałoby zamierzony zakres tej pracy, i tu znów czytelnika do podanej wyżej literatury nauki skarbowej odesłać musimy. Oceniając istniejący w danym kraju system podatkowy, należy uwzględnić tak te naczelne zasady, jak faktyczne stosunki społeczne i gospodarcze, a przystępując do reformy panującego systemu podatkowego, ściśle badać należy rzeczywiste jego skutki, aby zniżką czy podniesieniem danego podatku—n. p. przy przychodowym—aleatorycznie nie prowadzić do darowizny czy konfiskaty, aby nie wstrząsać nieracyonalnie gospodarczemi stosunkami kraju.

Obok omówionych zwyczajnych dochodów spotkać można w budżetach i dochody nadzwyczajne, jako to: konfiskaty, kontrybucye, dochód ze sprzedaży dóbr skarbowych, wreszcie kredyt. Wspólną ich cechą brak trwałości, i ztąd słusznie zaliczyć je można do jednej grupy. Konfiskaty i kontrybucye miały zawsze cechę wyjątkową, i tak skarbowe, jak polityczne względy przemawiają przeciw włączaniu ich w system dochodów skarbowych. Co do sprzedaży zaznaczono już wyżej, że nie same finansowe względy mają o niej decydować; o ile by ta sprzedaż była uzasadnioną, to należałoby otrzymaną cenę kupna uważać za dochód ściśle nadzwyczajny, którego nie powinno się zużyć na bieżące potrzeby, lecz na spłatę długów lub na inwestycye. Własność ta, będąc w ręku skarbu, dawała pewien dochód—lub chroniła od wydatku — ztąd z chwilą jej sprzedaży należy albo w równym stopniu zmniejszyć wydatki — a to czyni spłata długów—albo nowy stworzyć dochód przez inwestycye; inaczej byłaby sprzedaż ulgą chwilową, a powodem trwałego utrudnienia na przyszłość. Kredyt nabrał olbrzymiego znaczenia w nowożytnej skarbowości, a znaczenie to i na przyszłość mieć będzie i mieć powinien. Dźwignia to potężna, lecz niebezpieczna zarazem, ztąd też obowiązkiem nauki skarbowej jest zbadanie, czy i w jakich warunkach kredyt może lub powinien być użytym na pokrycie wydatków skarbowych. Tyle bowiem pewna, że stanowisko używania kredytu wtedy, gdy braknie innych środków pokrycia, jest niesłusznem i niedostatecznem, prowadziłoby nieuniknienie do nadmiernego zadłużenia. Bieda nie może być dyrektywą co do użycia kredytu, tak samo, jak nią nie może być fakt, że się pożyczkę dostanie. Oznaczeniem słusznego zakresu dla użycia kredytu zajmuje się t. zw. teorya pokrycia, która nas zajmie w następnym rozdziale.

Dr. Józef Milewski.

(Dokończenie nastąpi).

Z najnowszej literatury dramatycznej niemieckiej.

Kto polską wykształconą publiczność pragnie zaznajamiać z rozwojem i poszczególnemi dziełami współczesnego dramatu niemieckiego, ten ma pod ręką tak olbrzymio obfity materyał, że z konieczności musi kreślić już nie jak reżyser krótsze lub dłuższe ustępy, lecz całe sztuki teatralne. Według statystyki, zresztą oczywiście niedokładnej [1]), w Niemczech powstaje rocznie około 4000 (!) dramatów, z których większa część tonie w archiwach teatralnych, lub z nierozciętemi kartami wraca do natchnionych autorów. Lecz nawet cyfra 130, reprezentująca ilość dramatów przez rok po raz pierwszy na niemieckich scenach wystawionych, jest zatrważająco wielką, zwłaszcza, gdy się zważy, że prócz tego wiele dzieł dramatycznych wychodzi w druku, nie widząc światła kinkietów. Mała tylko cząsteczka z tej ogólnej sumy dostaje się na polskie sceny, a wtedy mówi o nich krytyk teatralny; bez porównania większa część dopiero za pośrednictwem literackiego rozbioru może dotrzeć do wiadomości polskiej publiczności. Prawda, że wśród nich jest mnóstwo rzeczy marnych, nawet na wzmiankę nie zasługujących, lecz to zadania krytyka bynajmniej nie upraszcza. Publiczność winna znać tylko dobre, przynajmniej wybitniejsze sztuki—on, teoretycznie rozumując, winien znać wszystkie liche ramoty i świetne arcydzieła, bo gdy „przeciętny“ czytelnik zrzeka się dobrowolnie prawa wyboru, krytyk musi

[1]) M. Grabbow: *Die dramatische Dichtkunst Deutschlands* etc.

sam wybierać, sam rozdzielać ziarno od śmieci, a w tem żmudnem zajęciu nie wolno mu się nikim wyręczać.

Tak jest w teoryi. W praktyce, w zakresie dramatu niemieckiego, idealne granice literackiej krytyki z konieczności zacieśniają się. Ktoby chciał znać, znać dobrze wszystkie płody niemieckiego dramatu, rokrocznie się pojawiające na scenie lub w druku, musiałby wyłącznie temu się tylko oddać, zrywając związek ze światem, z objawami ducha ludzkiego na innem polu, co najmniej zaś tego związku nie pielęgnując tak starannie, jak tego wymaga posłannictwo krytyka, zwłaszcza krytyka współczesnego dramatu. Ztąd też każde sprawozdanie o dzisiejszym ruchu dramatycznym niemieckim z natury rzeczy musi być dorywczem, niezupełnem, musi mieć luki, musi — żeby użyć porównania bardzo bliskiego — dawać epizody, nie całość. Może nawet i lepiej jest, zamiast ikarowych prób ujęcia szczegółów w jedną, jednolitą, wszechstronną i jasną całość, prób śmiałych ale nie zdolnych wykonania, przyznać się do tej niemożności syntezy i skromnie postanowić sobie zapoznać polski ogół z kilkoma wybitniejszemi współczesnemi dramatami Niemiec. Oto zadanie niniejszych uwag, które zresztą nawiązują do tych „listów teatralnych", jakie z Wiednia do *Przeglądu* dawniej nadsyłaliśmy. Dziś, w skutek zewnętrznych okoliczności, uczynić tego nie możemy, chociaż w repertuarze naddunajskich teatrów znalazłyby się rzeczy godne uwagi i dłuższego rozbioru; dziś może być tylko mowa o dramatach drukiem ogłoszonych. Nie będą to dzieła pisarzów, których zwykło się dziś uważać za głównych przedstawicieli rozmaitych kierunków. Hauptmann od czasu, kiedyśmy rozbiorem jego dzieł zajęli czytelnikom tyle czasu, nie napisał nic nowego [1]), o Sudermanna najnowszem dziele była niedawno mowa [2]), Halbe'go zaś i z jego ostatnim dramatem *Mutter Erde* i z poprzedniemi, zostawiamy na razie na uboczu, aby w blizkiej przyszłości jego twórczość w osobnem studyum rozpatrzeć.

---

[1]) Oddając już niniejszą rzecz do druku, dowiadujemy się, że Hauptmann złożył właśnie dyrekcyi wiedeńskiego Burgtheatru nowy dramat: *Der Fuhrmann.* (P. a.).

[2]) Patrz zeszyt z lutego 1898 r.

I.

Zaczynamy od dramatów historycznych. Czy dramat historyczny jest rzeczywiście w teoryi koroną poezyi dramatycznej, o to mniejsza — dość, że w praktyce wszystkie niemal arcydzieła tej gałęzi literatury pięknej korzeniami tkwią w tym gruncie, czerpią z księgi rzeczywistych dziejów lub podań i baśni na ich tle osnutych. W dzisiejszych zaś czasach dramat historyczny tem ciekawszem jest zjawiskiem, że dość rzadkiem, a w każdym szuka się rozwiązania pytania, czy nowy styl dramatu da się zastosować do wielkiej tragedyi historycznej.

Z tych kilku dramatów, jakie przed nami w książkowem wydaniu leżą, jest jeden o nazwisku autora nieznanem i nic nie mówiącem, tem więcej jednak podniecający ciekawość czytelnika tytułem swym i osobą bohatera [1]). Imię Judasza jest na ustach wszystkich, zbrodniczy czyn i okropny koniec znanym jest powszechnie, zdradliwy pocałunek i palące srebrniki dostały się do przysłowiowych wyrażeń, a przecież postać tego apostoła, tyle razy w literaturze i sztuce przedstawiana (przypominamy tylko Dante'go *Piekło*, średniowieczne misterya, Klopstock'a *Messias*, Saszy Schneidera ponure rysunki) jasną niejest, jest raczej symbolem zdrady w ogólności, niż żywym człowiekiem. Co go skłoniło do okropnego czynu? Ewangelista św. Mateusz (XXVI, 14 i n.) krótko mówi: „Tedy odszedłszy jeden ze dwunastu, którego zwano Judaszem Ischaryotą, do przedniejszych kapłanów rzekł im: Co mi chcecie dać, a ja Go wam wydam? A oni mu odważyli trzydzieści srebrników. A odtąd szukał czasu sposobnego, aby Go wydał“. Dwaj inni, Marek i Jan, jeszcze mniej rzecz wyjaśniają, św. Łukasz zaś tłómaczy lakonicznie (XXII, 3): „I wstąpił szatan w Judasza“. Wszystko to nie rozjaśnia bynajmniej ciemności, motywa zdrady na Chrystusie spełnionej są

---

[1]) Heinrich Driesmans: *Judas. Das fünfte Evangelium.* Motto: *Habt Salz bei euch....* Marc. IX, 50. (Dresden und Leipzig. E. Pierson's Verlag, 1898, str. 80).

i nadal nieznane. A przecież one muszą być, a przecież po za nieszczęsnemi srebrnikami musi być jeszcze co innego. Tak przynajmniej mówi sobie człowiek współczesny, przyzwyczajony do odkrywania najgłębszych tajników duszy ludzkiej, nie chcący wierzyć, by uczeń zdradził Mistrza jedynie z chciwości marnego złota. Gdzie nie starczy autentycznych danych, tam działa uzupełniająco wyobraźnia człowieka. Dla nas jest na teraz najważniejszym sposób, w jaki Klopstock stara się psychologicznie wytłómaczyć postępowanie Judasza. Oto po naradzie w piekle ukazuje się szatan we śnie śpiącemu apostołowi i przyjmując na siebie postać jego ojca, kusi go: „Jezus ciebie nienawidzi, innych nad ciebie przekłada, ciebie krzywdzi; patrz tylko, jakie dziedzictwo inni w państwie Messyasza dostaną, podczas gdy twój udział będzie nędznym. Ale nie płacz; na wszystko jest rada; wydaj Jezusa w ręce nienawidzących Go kapłanów, a wtedy i zmusisz Go, aby wreszcie rzucił o ziemię faryzeuszów i królestwo swe założył, przez to zaś wcześniej otrzymasz swój udział i pracą będziesz go mógł powiększyć; nadto kapłani sowicie złotem ci za zdradę zapłacą“. Już tu więc gra pewną rolę przypuszczenie, że zdrada Judasza zmusi niejako Chrystusa do zaprzestania dalszego znoszenia obelg i prześladowań i skłoni Go do zgniecenia faryzeuszów i natychmiastowego założenia swego królestwa. Wprawdzie w dalszym ciągu poematu Judasz o tem zapomina i spełnia tylko dzieło zemsty osobistej, niemniej jednak w Klopstocku należy widzieć źródło tego motywu.

Musiało się sięgnąć aż do nudnego i dziś przez nikogo nieczytanego Klopstock'a, bo na nim niewątpliwie oparł się p. Henryk Driesmans. Jego pięcioaktowy dramat wprowadza na scenę nietylko Judasza i innych Apostołów, lecz nawet samego Chrystusa. Zbytecznem byłoby ponownie rozbierać możliwość dramatyczną i religijno-moralną godziwość tego postępowania; wszak mówiło się o tem w tem piśmie nieraz obszernie i wszechstronnie, ostatni raz nie tak dawno przy sposobności *Johannes'a* Sudermanna. Judasz p. Driesmans'a, jak prawie wszystkie tego rodzaju dramaty, pozbawiony jest właściwego ruchu dramatycznego, są w nim całe akty, nie będące niczem innem, jak długiemi rozmowami

kilku osób, *ad usum* słuchacza obnażających swą duszę, na scenie nie dzieje się nic, wszystko po za kulisami, pomiędzy aktami.

Temu określeniu dokładnie odpowiada zaraz pierwszy akt, złożony z dwóch dużych dyskursów, naprzód Judasza z innymi Apostołami, potem Judasza z samym Janem. Ischaryota jest w gwałtownej opozycyi do Mistrza i towarzyszów. Oburza się na to, że Chrystus „chwyta się kuglarskich sztuczek“, zadziwia bezmyślny tłum drobnemi cudami, jak uzdrawianie chorych, powoływanie do życia wrzekomo umarłych i t. p.; wszak to samo potrafią i czarodzieje i fakirowie. Apostołowie rozgniewani taką mową, lżą go, Judasz jednak dumnie i spokojnie stoi, przepowiadając Piotrowi, że on, który teraz tak za Chrystusem „gardłuje“, kiedyś w chwili niebezpieczeństwa pierwszy się Go zaprze. Tylko Jan bierze Judasza w obronę, bo go lepiej od innych rozumie; wie, że Judasz pozuje na gorszego, niż jest w rzeczywistości, że umyślnie wyzywa wyrzuty, obelgi i pogróżki innych Apostołów. To też zostawszy z nim sam na sam, stara się uspokoić go i lepiej dla Mistrza usposobić. Judasz jest z nim zupełnie szczerym, owszem zwierza się przed nim bardzo rozmownie. Opuści Chrystusa, bo choć chciałby Go ganić i robić Mu wyrzuty, to wobec Niego traci odwagę, przygnieciony powagą Mistrza; „Jedno spojrzenie, a stoi rozbrojony“!

Das wurmt mich. Ich bin nicht mehr frei, ich bin
Sein willenloser Sklave, bin nicht mehr
Ich selbst—ich knirsche gleichwie ein Gefangner
In Ketten. Lösen muss ich mich von ihm,
Soll ich mich selber wiederfinden, soll
Ich nicht verderben!

Nie znosi Chrystusa i dlatego, że On zawsze tylko chorymi się opiekuje, tylko nieszczęśliwych pociesza, tylko grzesznych przygarnia

Gerad', als wär' Gott nur ein Gott der Krüppel,
Der Krankenwärter dieser ird'schen Menschheit,
Und seine Welt ein ekles Siechenhaus!

Czemu raczej nie założy wreszcie królestwa, ale królestwa dobrych? Mówi zawsze „królestwo moje nie jest z tego świata“; ale czyż sam Jehowa może być „nie z tego świata“, On, stwórca i rządca świata i ludzi? I tak dalej rozumuje i oskarża i wyrzeka — a ustawiwszy to wszystko obok siebie, zobaczy się, że Judasz w obu tych rozmowach podaje mnóstwo powodów i źródeł swej niechęci, nawet nienawiści Chrystusa. Równie widocznem jest jednak, że żaden z tych powodów nie jest tak silnym, aby mógł popchnąć Judasza aż do zdrady; one mogą wytłómaczyć odejście od Mistrza, ale nie wydanie go na oczywistą śmierć. Jeden tylko ma tyle potęgi. Jeżeli się przypuści, że Judasz jest potężną indywidualnością i jako taki nie może znieść ponad sobą kogo innego, przeciw komu zrazu się buntuje, a w końcu przecież mimowoli mu ulega, jeżeli się podkreśli przytoczone powyżej w oryginale słowa, w takim razie zyska się motyw istotnie tragiczny, podobny do przypisywanego przez pewnych krytyków szekspirowskiemu *Juliuszowi Cezarowi*. Jak Brutus musiał Cezara zabić, tak Judasz musi Mistrza wydać w ręce kapłanów. Silne zaakcentowanie i konsekwentne rozwinięcie tego motywu, mogłoby doprowadzić do katastrofy tragicznej.

P. Driesmans jednak inaczej postępuje. Daje naprzód w drugim akcie zupełnie niepotrzebną rozmowę Jezusa z Maryą i Martą, dowolnie uzupełniając tekst Pisma św. i wprowadza nieprawdziwy a bardzo drażliwy i niebezpieczny motyw ziemskiej miłości Maryi ku Chrystusowi, w następnej zaś scenie zestawiając Jezusa z Judaszem, wprowadza mnóstwo nowych przeciwieństw, zamiast żeby dawniejsze wyświetlił i stopniował. Judasz występuje tu jako reprezentant nieznoszącego szranek rozumu.

Nun wohl, der Böse
Steckt in mir, denn ich glaub'nicht blind—ich denke!

A myśląc, daremnie szuka rozwiązania wielu zagadek. Czemu Bóg dopuszcza złe na świecie, czemu, chociaż wszechpotężny, nie stawia odrazu swego królestwa na ziemi, czemu, chociaż najsprawiedliwszy, skazuje jednych na grzech i karę, innym przeznacza cnotę i nagrodę? Odpowiedzi Chrystusa wypa-

17

dają wymijająco, słabo. Albo autor umyślnie robi zwycięzcą Judasza, albo brak mu siły, by raz już wprowadzoną osobę Boga utrzymać na odpowiedniej wysokości. Ostatecznie Chrystus zapowiada, że idzie do Jerozolimy, aby tam się koronować, Judasz zaś te słowa po swojemu tłómaczy i dumny jest, że nareszcie swą wymową Mistrza do energicznego kroku pobudził. Koniec aktu przypomina ów erotyczny pierwiastek, a pożegnanie Maryi z Jezusem każe się domyślać, że w Nim jest pewna wzajemność uczucia. Pomijamy kwestyę czci dla Boga, która za bluźnierstwo uważa robienie z Chrystusa Romea, ale gdzie jest choćby najlżejsza wzmianka, możliwość takiego domysłu, uprawniająca autora do tworzenia takiej sceny? Ona może być efektowną w oczach żądnego sensacyj tłumu, ale wstrętną będzie dla każdego widza, obdarzonego trochę delikatniejszem uczuciem. Ani Hauptmann, ani Sudermann z pewnością nie byliby tego napisali.

Rzecz poprawia się bezprzecznie w trzecim akcie, rozgrywającym się w Jerozolimie zaraz po pamiętnym wjeździe Chrystusa, którym się zamyka *Johannes*. Są tu dość udatne próby ujęcia tłumu, scharakteryzowania rozmaitych sekt żydowskich; oczywiście tym sylwetkom daleko do wyrazistości i indywidualizmu, jaki mają postacie Sudermann'a, ale jest w nich dość życia i widzi się przynajmniej typy. Ważniejszem jest, że wreszcie z końcem tej odsłony autor porzuca chaos rozmaitych motywów, a wysuwa jeden z nich naprzód i na nim odtąd dramat opiera. To owa myśl, już u Klopstocka się znajdująca. Judasz rozczarował się: Chrystus jest w Jerozolimie, ale jakoś królestwa nie zakłada, nie zadziwia świata wielkim czynem, nie udowadnia nim swej boskości. Czyżby stracił odwagę, bał się kapłanów? A więc on Go zmusi do czynu:

Ich will dir jeden Ausweg schliessen, will
Dich wie ein todtgehetztes Wild umstellen —
Ja, will dich deinen Feinden überliefern,
Wenn es nicht anders sein kann! Dann lass seh'n,
Was du vermagst! Das ist die That, das ist
Das grosse Wunder, das ich von dir ford're:

Befrei'dich selbst—den ich in Fesseln schlage,
In Fesseln, die ein Gott nur sprengen kann!

Czwarty akt ma chwile dramatycznie bardzo silne. W ogólnem przerażeniu na wieść o pojmaniu Chrystusa i sądzie Piłata, w jeszcze powszechniejszem oburzeniu dla zdrajcy, on sam, Judasz, stoi niewzruszony i—spokojny, i woła małodusznym: „Wierzę w Niego — to daje mi siłę i odwagę". Wierzy, że zawcześnie tryumfują wrogowie Chrystusa, bo On choćby z krzyża wstanie, potężną prawicą rozpędzi i rozgromi siepaczów, olśni i wstrząśnie boskim majestatem; wierzy, że zawcześnie złorzeczą mu Apostołowie, bo on jeden dochował wierność Mistrzowi, jeden nie zwątpił w Jego moc. A jednak obok tych szczerze dramatycznych miejsc, są inne słabsze same przez się, lub budzące podejrzenia co do ostatecznej myśli dramatu. Tak a nie inaczej przedstawiwszy Judasza, autor miał niemały kłopot z powodu owych historycznych trzydziestu srebrników: trzeba było koniecznie oczyścić Judasza z zarzutu podłości i chciwości złota. P. Driesmans radzi sobie w tem trudnem położeniu tak, że Ischaryota bierze pieniądze od kapłanów, bo gra przed nimi komedyę, ale bierze je nie dla siebie, lecz odrazu z zamiarem rozdania ubogim. Czy takie ominięcie szkopułu każdego przekona? Powtóre zaś autor z zadziwiającą samowolą zmyśla następującą scenę. Oto Chrystus idąc na śmierć, żegna Judasza, błogosławi mu i nazywa go najwierniejszym uczniem. Epizod oczywiście od początku do końca zmyślony, tendencyjnie wymyślony. Zamiar autora wyjaśni się z końcem sztuki.

Pierwsze sceny piątego aktu stoją na wysokości najdramatyczniejszych chwil poprzedniego. Nie bez siły odmalowane jest wzburzenie ludu, wywołane cudownemi zjawiskami natury, towarzyszącemi śmierci Zbawiciela. Wstrząśniętym jest i Judasz. Poznaje, co zrobił:

Ich wollte mit ihm rechten, wollte mich
Ihm gleichgesellen, wollt'heraus ihn fordern —
Doch er entzog sich mir. Gott lässet nimmer
Sich Schranken ziehen, das erkenn'ich wohl.
Ich unterliege in dem Kampf, ich wanke,
Ich stürze.....

Takie przyznanie się do winy jest i dramatyczne i rozumne i odpowiada uczuciu religijnemu. Ale zaraz następuje zwrot fałszywy. Judasz wyrzuca Piotrowi, że zaparł się Mistrza, podczas gdy on do końca w Niego wierzył, i nie żałuje tego, co zrobił, owszem uważa swój postępek za dobry — i rzuca się ze skały. Rehabilitacya Judasza wygłoszona przez niego samego, a tuż przed końcem dramatu przez Jana powtórzona, historycznie, moralnie i religijnie jest wprost fałszywą. W dramacie ponad to jej zaakcentowanie w ostatniej scenie podcina grunt prawdzie tragicznej katastrofy. Jeżeli Judasz czuje się spokojnym w sumieniu, to po co sam się zabija? Samobójstwo miałoby racyę tylko jako ukaranie się po przyznaniu się do winy.

I tak fałszywym akkordem kończy się ten pseudo-historyczny dramat, napisany nie bez talentu, nie pozbawiony silnych miejsc. Popsuła go przesada w tej czysto nowoczesnej chęci rehabilitowania wszystkich ludzi, których historya czy legenda przekazała nam z plamą zbrodni, piętnem ohydy na czole. Nią zaślepiony p. Driesmans nie zrozumiał, że Judasz może być bohaterem tragedyi, że czyn jego można psychologicznie wytłómaczyć, nawet usiłować wznieść go na wyżyny zbrodni wynikających z pobudek dramatycznych, ale nikt i nigdy nie zdoła udowodnić, nikomu nie wolno i nie uda się kazać nam wierzyć, że Judasz był najwierniejszym uczniem Chrystusa, że był lepszym od św. Piotra. A kto wie, może to zestawienie Ischaryoty z pierwszym biskupem rzymskim nie jest przypadkowem, nie jest bez celu? Jakiego rodzaju jest ta tendencya, łatwo się domyśleć, wiedząc, że p. Driesmans jest protestantem.

Z kolei cofnijmy się kilka wieków wstecz. Zamiast Żydów, na sekty podzielonych, i Rzymian, z trudnością ten niesforny lud w karbach trzymających, niechaj staną przed oczyma czytelnika Ateny i Sparta i cała Hellada, z krwawym wysiłkiem odpierająca najazd barbarzyńskich Persów. I widać pola Maratonu zwycięztwem Milcyadesa uświetnione, i wąwóz Termopil zroszony krwią Leonidasa, i gród Pallady w perzynę pochodnią wroga obrócony. I stają naprzeciw siebie dwie floty, nieliczna grecka i potężna perska.

W te czasy przenosi nas dramat p. Ernesta Rosmera [1]). To pseudonim kobiety, nie nowicyuszki w tym zawodzie, sławnej między innemi i z wielkiego a rzetelnego sukcesu „niemieckiej baśni“ *Königskinder*, którą Wiedeń widział w ślicznej interpretacyi pani Hohenfels i p. Christians'a.

W pierwszej chwili nie chce się nawet wierzyć, aby dziś, przy „końcu stulecia“, kto pisał dramat o Temistoklesie. Dramat historyczny ma oczywiście za zadanie wskrzeszać postacie zmarłej przeszłości, ale nie z tak zamierzchłych czasów, z epoki dziś nam niemal zupełnie obojętnej, z dzisiejszemi czasami niczem, prócz nudnej szkolnej nauki, nie związanej. A dopiero, żeby dramat o Temistoklesie wychodził z pod pióra nietylko nowożytnego, ale i bardzo *moderne*. Zastanowiwszy się jednak głębiej, widzi się, że w tym epizodzie dziejów, w którym występuje zwycięzca z pod Salaminy, jest dużo materyału dramatycznego, kto wie, może nawet na jedną sztukę i na jeden wieczór aż za dużo. Jest naprzód on sam, Temistokles, mąż niewątpliwie niepowszedni, jak go opisuje Tucydydes i Nepos i Plutarch, jak go przedstawiają jego czyny. Ateńczyk, szybko zyskuje ogromną popularność zmiennego ludu, a zyskuje nie pochlebstwem, lecz osobistą dzielnością, mądremi radami, których zbawienność ogół instynktownie przeczuwa. Za nim idąc, rodacy porzucają wspaniałe miasto i w myśl jego tłómaczenia wyroczni, chronią się za „drewniane mury“: na okręty. Lecz flota grecka pod Salaminą ulękła się przeważającej potęgi barbarzyńców i chce uniknąć bitwy. On się na to żżyma, prosi, perswaduje; gdy to nie pomaga, podstępem ich zmusza do pozostania w zatoce i podjęcia rozstrzygającej walki. Szle zaufanego niewolnika do Kserksesa: niechaj zamknie zatokę i uderzy na Greków, a łatwo ich pobije, bo są nieliczni i mali na duchu. Król idzie na wędkę i niebezpieczna gra Temistoklesa kończy się świetnem zwycięztwem Greków. Ich wódz stoi na szczycie potęgi. Każe wznosić wysokie mury obronne, budować dzień i noc niezmordowanie. Spartanie bojąc się, że zniknie równowaga państw peloponneskich,

---

[1]) Ernst Rosmer: *Themistokles*. Tragödie. (Berlin. S. Fischer, Verlag, 1897, str. 142).

domagają się zaprzestania roboty. On pozornie im ulega, oddaje się im nawet na zakładnika, że mury nie będą dokończone. A tymczasem, gdy on bawi w Sparcie i ich ludzi, na jego tajemny rozkaz praca prowadzi się jeszcze gorliwiej, aż Temistokles może odkryć nowy swój podstęp. Nienawidzą go już Persowie i Spartanie. Niebawem do tego zastępu nieprzyjaciół przyłączają się i Ateńczycy. Zraża ich dumą, szorstkością, porywczością, podobno nawet przedajnością. Wygnany przez niego kiedyś Arystydes dziś jest górą, a on sam doświadcza skutków wyroku głosowania skorupkami. Ucieka. Naprzód do Admeta, swego wroga, księcia Molossów. Tu u ołtarza bogów rodzinnych zyskuje opiekę, ale nie na długo, bo grecka pogoń tuż za nim. Chroni się do..... Kserksesa, do swego i narodu greckiego śmiertelnego wroga. To szalona odwaga, ale i zdrada. Żyje na dworze barbarzyńcy, wyparłszy się ojczyzny, umiera, podobno sam się trując, gdy król każe mu wyruszyć na czele wojska perskiego przeciw Grecyi, celem pomszczenia Maratonu, Salaminy i Platei.

To zwięzłe streszczenie historyi tych lat jest zarazem krótkiem sprawozdaniem z treści dramatu p. Rosmera. Autor do historyi nic nie dodaje, mało co z niej wyjmuje, przedstawia wszystkie wypadki z chwalebną wiernością i ścisłością, idąc — o ile mogliśmy się przekonać — przeważnie za Tucydydesem i Plutarchem, z którego już tylu poetów czerpało. Gdyby te tylko jednak cechy widziało się w dziele p. Rosmera, to *Themistokles* byłby udramatyzowaną historyą, ale nie tragedyą historyczną. Że on nią naprawdę jest, to zawdzięcza się dwom zaletom. Pierwsza, to widoczne wczytanie się w Szekspira, przyswojenie sobie jego sztuki dramatycznej, zwłaszcza o ile się ona objawia w angielskich „historyach“ i rzymskich dramatach. Może ten wpływ nieraz jest zbyt zewnętrznym i staje się naśladowaniem; tak jest napewne z wpływem *Koryolana*, zbliżonego do *Themistoklesa* podobieństwem i charakteru i sytuacyj obu bohaterów; niektóre sceny są wprost naśladowane z Szekspira (n. p. Temistokles u Admeta, a Koryolan u Aufidyusza), lecz pokusa była zbyt silna wobec podobieństwa sytuacyj. A jednak mimo to wpływ Szekspira jest istotną zaletą sztuki, bo

jemu zawdzięcza zapewne autor śmiałe dramatyczne ujęcie przedmiotu, żywe przedstawienie mas, uwydatnienie dramatycznych chwil, jemu też przedewszystkiem to, co stanowi drugą, najgłówniejszą zaletę utworu — prawdziwą piękność sztuki: wypukłe przedstawienie charakterów. Jeżeli gdzie, to tu typ *Uebermensch'a* mógł być zastosowanym, z temi modyfikacyami, których wymagają specyalne greckie stosunki. Wspaniałym jest Temistokles w swej osobistej odwadze i energii, w bezwzględności w wyborze środków i szybkiem oryentowaniu się w sytuacyi, w pogardzie dla motłochu i genialnym darze porywania go za sobą i ujarzmiania, jak tragicznym jest w swej dumie niepohamowanej, drażniącej, w chciwości blasku i hołdów, w tej zaciekłości charakteru, która go czyni zdolnym najwyższego poświęcenia, ale i zdrady ojczyzny. Ten dar charakterystyki służy autorowi i przy innych postaciach. One wszystkie żyją, mają krew i ciało, ruszają się. Jedna tylko nie udała się, a szkoda, że ta właśnie. Eschylos, jeden z wiekopomnej trójcy greckich tragików, walczył pod Maratonem i Salaminą. Autor, wierny historyi, wprowadza go na scenę, zestawia razem z Temistoklesem, nawet jak się zdaje, pragnie zwrócić na niego uwagę czytelnika, ale bierze się do tego w bardzo nieodpowiedni sposób. Każe poecie przechodzić koło dowódcy, ale na jego pytania odpowiadać tylko tajemniczą mimiką. Taka tajemniczość należy do zdyskredytowanych już dzisiaj środków poetyckiej apteki i ujdzie od biedy w byrońskich opowieściach, ale nie w historycznych tragedyach.

Themistokles p. E. Rosmer'a, o ile wiemy, nie był grany na scenie i z pewnością nie zdołałby zdobyć sobie dużo sukcesu i wiele przedstawień. Niemiecka publiczność teatralna historycznych dramatów nie lubi i wyjątkowo tylko im bije brawo, gdy ją przychylnie usposabia narodowy temat. A to nie często się zdarza. Tematy historyczne niemieckie, mogące przemawiać do narodowego uczucia, są nieliczne; dowodem tego i skutkiem zarazem jest owe kilkakrotne opracowywanie jednego motywu przez wielu pisarzów, w różnych czasach żyjących. W braku czysto narodowych, niemiecki autor szuka innych, z niemieckich dziejów wziętych, lecz pozbawionych wybitnie i wyłącznie narodowego pierwiastku.

Do tej kategoryi należy i *Gutenberg* p. Rudolfa Gottschall'a [1]. Gutenberg był Niemcem, lecz należy nie do tej ściślejszej ojczyzny tylko, której jest dumą, ale do całej oświeconej ludzkości. Ztąd wydobycie z jego znanego powszechnie a pełnego rozmaitych przejść życia dramatycznej treści, może być ciekawem nietylko dla Niemca. Kogo obchodzi zawsze i autor dzieła, temu się przypomni, że p. Gottschall, dziś już przeszło siedmdziesięcioletni starzec, ma swoje niespożyte zasługi w niemieckiej literaturze pięknej, aczkolwiek oczywiście zbyt jest już dziś podeszłym, aby mógł z młodymi iść na wyścigi.

Nie każdemu jest może wiadomem, że wynalazek sztuki drukarskiej nie wywołał bynajmniej tak powszechnego zachwytu, jakby ktoś przypuszczał *ex post*. Pogardliwie patrzeli na nią z góry amatorowie i zbieracze cennych, mozolnych manuskryptów, cudnemi inicyałami ozdobionych, z zawiścią walczyli przeciw niej przepisywacze rękopisów, którym z zaprowadzeniem druku usuwała się ziemia z pod nóg. O tem ostatniem przeciwieństwie wspomina także autor dramatu, lecz tylko epizodycznie, budowę zaś sztuki oparł głównie na stosunku Gutenberga do jego wspólnika Fausta i na ówczesnych politycznych zamieszkach, nawiedzających miasto Moguncyę. Pierwszy akt rozgrywa się na tle pięknej miejscowej uroczystości składania hołdu pamięci Meistersinger'a Frauenlob'a. Dla akcyi dramatu dzień ten tem ważniejszy, że w nim Gutenberg wybrany jest rajcą, a do miasta wraca z dalekich podróży złotnik Faust i poznaje w orszaku dziewic wieńczących grób poety, Elsę, córkę Gutenberga. Doskonale jest tutaj zaznaczony kontrast charakterów i usposobień Gutenberga i Fausta. Pierwszy jest poważnym, stroskanym o swoją i rodzinnego miasta przyszłość obywatelem, podczas gdy Faust, natura bujna i żądna użycia świata, lekkomyślnie patrzy na życie i w zadowoleniu osobistych pragnień nie krępuje się moralnemi skrupułami. To ostre przeciwieństwo później jeszcze wyraźniejszem się staje. Faust

---

[1]) Rudolf von Gottschall: *Gutenberg*. Drama. (Stuttgart, 1898. Verlag der J. G. Cotta'schen Buchhandlung Nachfolger, str. 138).

wprawdzie wchodzi w spółkę z wynalazcą sztuki drukarskiej i daje mu kapitały, celem dalszego wydoskonalenia dzieła, ale obaj odmiennie się na nie zapatrują. Gutenberg widzi w nim środek, służący do pouczania i ulepszania ludzkości:

Sie werden lehren, bessern, segnend wirken
Und was ein Forscher still für sich gedacht,
Das wird den Weg zu Millionen finden.

Faust odpowiada mu:

Ihr denkt des Aufbaus nur und der Erbauung,
Ich denke der Zerstörung—grade das
Macht euer Werk mir wert! Es kommt die Zeit,
Wo aus den Tiefen der geheimen Weisheit
Die Flamme aufschlägt und den Wahn verzehrt,
Der seit Jahrtausenden die Welt beherrscht.
Die Zauberer und Magier, die längst
Im Buche der Natur gelesen, werden
Als Denker dann vor allem Volke stehen,
Kein Scheiterhaufen mehr wird sie verbrennen.
Das ist die Waffe, die ihr ihnen gebt.

Gutenberg pracuje nad wydrukowaniem Biblii, Faust pragnie naprzód w świat wypuścić jaką tajemniczą, magię wykładającą książkę. Ten stosunek obu jest właściwą treścią dramatu. Jego rozwiązaniem jest zerwanie tej spółki. Faust bowiem uwodzi Elsę i po gwałtownej sprzeczce z jej wujem, wypowiada mu swe kapitały, doprowadzając go do ruiny. Gutenberg jest zrozpaczony tembardziej, że musi swemu wierzycielowi oddać cały warsztat. Ostateczną jednak, zewnętrzną katastrofę, śmierć Gutenberga, powodują polityczne zamieszki: w walce, jaką z mieszkańcami Moguncyi stacza ks. Adolf Nassauski, roszczący sobie prawo do panowania nad miastem, pada Gutenberg. Wprawdzie te polityczne wypadki od samego początku biegną równolegle z rozwojem głównej akcyi i na kilku punktach są z nią związane, jednak jest błędem dramatu, że śmierć jego bohatera nie jest skutkiem jego stosunku do Fausta. Tej politycznej strony dramatu polskim czytelnikom objaśniać nie warto. Wystar-

cza powiedzieć, że daje ona autorowi sposobność do utworzenia jednej sceny, bardzo efektownej. Oto ów pretendent do godności kurfürsta, chcąc sobie pozyskać zwolenników, pisze list do burmistrza, przyrzekając mu wiele przywilejów i podburzając jedne stany przeciwko drugim. Na zgromadzeniu, któremu cesarz Fryderyk III przewodniczy, jest o tym liście mowa, ale książęta nie chcą dopuścić do głośnego odczytania go. Wtedy Gutenberg i jego czeladź, przygotowani na tę ewentualność, rozrzucają po sali mnóstwo kopij drukowanych tego pisma, które dochodząc do wiadomości zebranych, wywołuje powszechne oburzenie. Jestto pierwszy tryumf sztuki drukarskiej, a motywu tego użył — co prawda w innym związku — pierwszy Adolf Stern w swym poemacie o Gutenbergu.

Jako całość, sztuka p. Gottschall'a nie jest wolną od wad kompozycyi, w głównym jednak zrębie jest szczerze dramatyczną. Swoją drogą jest w niej niejednokrotnie więcej zewnętrznych akcessoryów poezyi, jak piękny język, polot myśli, malowniczość obrazów, niż tego, co w niemieckiej poetyce nazywa się *die poetische Lebensanschauung*, a jest podniesieniem do wysokości poezyi obrazu ludzkich wydarzeń i uczuć, przeniknięciem całego utworu tą jednolitą atmosferą. Ztąd powstają nieraz postacie, drapujące się w płaszcz protagonistów tragicznych, w gruncie rzeczy zaś czcze i zimne. Taką jest naprzykład Dyma, dawna kochanka Fausta, mściwa rywalka Elsy, hałaśliwa kopia nieśmiertelnej Adelheid z *Götz'a.*

II.

Liczba dramatów, osnutych na współczesnych motywach, góruje oczywiście nad produkcyą sztuk historycznych i w Niemczech. Składają się na to dwie przyczyny: niewątpliwy naturalny pociąg młodszych zwłaszcza talentów i również widoczne upodobanie publiczności. Wpływa ono na pracę twórczą autorów żądnych rozgłosu i..... tantyem teatralnych i sprawia, że nawet taki n. p. Ernest Wildenbruch, posiadający wielką zdolność do dramatów historycznych i zawdzięczający im

ogromną popularność w północnych Niemczech, na gwałt pisze sztukę współczesną i..... przepada z nią. Imię autorów, ten dział uprawiających, jest milion, a prawie wszyscy wychodzą z Berlina. Wobec niedającego się zaprzeczyć literackiego zastoju w Wiedniu, od kilku dziesiątek lat trwającego, przywykło się już do wyglądania pomocy ze stolicy pruskiego królestwa. Wszystko, co nosi berlińską markę, wszystko, co wyszło z Jung-Berlin, musi być mocą swego pochodzenia dobrem i pięknem. Ile w tem twierdzeniu jest konwencyonalnego kłamstwa, to okazuje choćby p. Jerzy Hirschfeld.

Ten młodzieniec napisał przed dwoma laty zapewne pierwszy swój utwór sceniczny — nie licząc dawniejszej jeszcze jednoaktówki — a już publiczność i krytyka wiwidziały w autorze *Matek* powstającą gwiazdę. Czy słusznie? Chyba nie zupełnie. Grała w tych pochwałach rolę moda, faworyzująca markę Młodego Berlina; tą modą zbałamucona krytyka wzięła oznaki dość zwyczajnego talentu za stygmata geniuszu, zamknęła oczy na smutne objawy przedwczesnej rutyny, wreszcie błędne pozory i szablon dramatyczności wzięła za rzetelną dramatyczność. Przyznać należy, że nawet ci krytycy, tak niemieccy, jak i zagraniczni, którzy zrazu tak błędnie sądzili, tak wyraźnie przeceniali znaczenie i wartość nowego talentu, rychło otrząśli się z tego złudzenia. Sława Hirschfelda nie rosła, jak to jest n. p. z Hauptmannem, lecz malała w miarę, jak po pierwszym paroksyzmie uniesienia, nastąpiło otrzeźwienie, powrót do równowagi i spokoju sądu. Nieliczni bezwzględni wielbiciele, lub też krytycy zacietrzewieni w raz powziętem zdaniu, za dumni, czy za próżni, aby przyznać, że i oni są omylni, odpowiadali na wszelkie próby przekonania ich, szumnym ruchem wskazującym przed siebie, pełnem otuchy upomnieniem, że należy czekać przyszłości. Drugie dramatyczne dzieło Hirschfelda miało zamknąć usta marnym jego sędziom, miało dowieść, że Hirschfeld nietylko posiada talent, na co wszyscy się godzą, lecz że ten talent ma moc wielką, potężną, czemu przeczą *Matki*. I oto ukazał się ten dramat oczekiwany z jeszcze większą niecierpliwością, niż zazwyczaj drugie dzieło pisarza, który pierwszem pozyskał szeroki rozgłos. W jesieni 1897 r. przedstawiono w Berlinie *Agnes Jordan*

a z chwilą, gdy dramat wyszedł jako książka [1]), całemu czytającemu ogółowi oddany został sąd nad nim.

Rzecz rozgrywa się przez wszystkie akty, z wyjątkiem drugiego, w Berlinie, osoby główne są Żydami ze sfer giełdowych. Niezwykle wielkim jest obszar czasu objęty dramatem. Akt pierwszy odbywa się w r. 1865, wypadki następnego przypadają na r. 1873, trzeci i czwarty nosi już datę r. 1882, ostatni zaś rozgrywa się w r. 1896. Ogółem zatem jestto przeciąg trzydziestu dwóch lat, że zaś autorowi bardzo zależy na silnem zaznaczeniu tego szczegółu, tego dowodzi uwaga, że „kostyumy w rozmaitych aktach mają odpowiadać każdoczesnej modzie“. Niewątpliwie pisarz ujmuje sobie pewną część publiczności teatralnej, gdy jednego wieczora stawia jej przed oczy rozwój mody od epoki krynolin aż do dnia dzisiejszego, jednak może przecież nie godzi się dla wywołania takiej powszedniej ciekawości szkodzić i dramatowi, jako dziełu sztuki, i aktorom, jako jego wykonawcom. Nie powinno się zmuszać aktora, aby w jeden wieczór w jednej sztuce grał mężczyznę w sile wieku, a potem w godzinę już się ku starości chylił, tem mniej godzi się kazać aktorce raz być młodą panną, dziś w dziewiczej krasie obchodzącą swe wesele, za godzinę zaś tą samą osobą, ale matką kilkorga dzieci, z obliczem zwiędłem pod wpływem trosk i bólów życia. Wprowadza się przez to w grę aktorów szkodliwą sztuczność, wymuszoność, nienaturalność. Lecz podobne postępowanie szkodzi i dramatowi, jako dziełu sztuki. Nauczeni doświadczeniem z historyi dramatu zaczerpniętem, wiemy już, że owe osławione trzy jedności klassyczne czy klassycystyczne, nie były znowu taką haniebną niewolą i takiem okropnem samobójstwem dramatu a bezgranicznym nierozumem ludzi, jak się to w drugiej połowie XVIII w. wydawało pewnym, nawet bardzo znakomitym krytykom, porwanym zapałem słusznej walki przeciw skostniałej formie bez ducha. Jedności te dobrze zrozumiane z granicami nie stałemi i formułkowatemi, lecz swobodnie stosującemi się do szczegółowej natury każdej sztuki, nie są nie-

[1]) Georg Hirschfeld: *Agnes Jordan.* Schauspiel. (Berlin. S. Fischer, Verlag, 1898, str. 228).

wolą, ale ograniczeniem samowoli, nie zabijają, lecz wzmacniają, ześrodkowują. Zrozumiał to współczesny dramat psychologiczny i począł się ścieśniać w obrębie kilkunastu godzin, co najwięcej dni; tak jest n. p. w przeważnej części utworów Hauptmanna. Owe olbrzymie przestrzenie czasu, obejmujące dziesiątki lat, pozostawiono melodramatowi. To też *Agnes Jordan* zajmująca fabułą aż 32 lat, jest zjawiskiem bądź co bądź w dzisiejszych czasach niezwykłem i niemal karykaturalnem. Czy bezwzględnie godnem potępienia? Nie; każdemu wolno własną ręką nagromadzać sobie przeszkody po drodze, a jeśli je pokona, chwała zwycięzcy będzie tem większą. Tu zaś trudności są ogromne. Wszak przez dwadzieścia trzy lata nietylko z młodzieńca staje się mężczyzna dobiegający do kresu wieku dojrzałego, nietylko wiotka panna przeobraża się w korpulentną matkę, a może i babkę, ale zmienia się i duch człowieka, zmieniają się zewnętrzne objawy jego usposobienia, zapatrywania, nawet charakter niekiedy, tak, że pisarz dramatyczny staje wobec trudnego zadania. Ma przedstawić tę zmianę, a zachować przecież ogólną podstawę danej osoby. Ścieżka wązka, po obu jej stronach gąszcza i moczary: przechyli się zanadto na jedną stronę, a ludzie z piątego aktu nie będą podobni do siebie z aktu pierwszego — zboczy w lewo, a owe trzydzieści kilka lat okażą się tylko maszyną, służącą do popisywania się strojami z rozmaitych epok. Rozwałkowanie fabuły na kilkadziesiąt lat odpowiada raczej swobodniejszej w ruchach powieści, niż dramatowi w ściślejsze formy ujętemu.

W pierwszym akcie jest się świadkiem uczty na cześć zaślubin panny Agnieszki Sommer z panem Gustawem Jordanem. Większa część tej odsłony poświęconą jest podaniu wiadomości o przeszłości i obecnem położeniu nowożeńców i ich rodzin, mimo to jednak i tak jeszcze pozostają tu i owdzie ciemne miejsca. Ostatecznie się nie wie, czem jest Jordan, domyślać się tylko wolno, że zajmuje się załatwianiem interesów giełdowych. Chciałoby się wiedzieć, co skojarzyło to małżeństwo: czy interes, ten tak wszechwładny w tych kołach motyw, czy też wzajemna miłość? Jeszcze co do Agnieszki można wierzyć w żywsze uczucie,

które jej rękę wkłada w dłoń Gustawa; co nim jednak powoduje, tego na pewno twierdzić nie można. Z opowiadań weselnych gości wie się, że Sommer zięciowi w posagu dał a raczej pożyczył pewną kwotę, która Gustawowi była potrzebną. Nie wiadomo, co o tem sądzić: w sferach giełdowych nie żeni się bez posagu, a przecież za posag niepodobna uważać pożyczki, która wyraźnie w sztuce jest zaznaczoną (str. 9), chyba, że ktoś ma już nóż na gardle i w ten sposób się od ruiny ratuje. Czyżby tak było z Gustawem? Być może, ale autor ani słówkiem o tem nie mówi. A więc Jordan żeni się z miłości? Jest zazdrosnym, to prawda, zazdrosnym nawet o wuja Agnieszki; mówi jej szeroko i długo, jak ją kocha, jak mu jest „wszystkiem, co ma“, lecz w słowach tych jest zbyt wiele sztucznej pozy, zbyt mało szczerości, aby można uważać Gustawa za zakochanego prawdziwie i gorąco. Zresztą cały jego charakter temu przypuszczeniu się sprzeciwia. Chociaż dramat nazywa się imieniem żony, to przecież główną osobą pierwszego aktu jest nie Agnieszka, ale Gustaw Jordan. On wciąż w nim występuje, o nim nadewszystko ciągle się mówi. P. Hirschfeld zapomina o tem prawidle, że osoby dramatu winny się same czynami charakteryzować i wkłada w usta licznych gości weselnych ustawicznie uwagi o wyglądzie, temperamencie, właściwościach, wartości Gustawa. Zanim się widzi Gustawa, już się wie, że jest pięknym, zanim się choć trochę wejrzało w istotę jego duszy, już się wie z opowiadania innych osób, że jest próżnym. Owe opowiadania są zbyteczne, bo Gustaw sam się bezpośrednio dostatecznie swą próżnością popisuje. Upodobanie w samym sobie, rozkoszowanie się sobą samym, poza, udawanie, przejawiają się w każdem jego słowie, bo czynów jego dotychczas się nie zna, a ten, który jest podstawą sztuki: małżeństwo, w ostatecznych pobudkach jest niewyjaśniony.

Lecz obok tych postaci występuje w pierwszym akcie jedna jeszcze, która z dawna należy do szablonu niemieckich romansów i dramatów. Że ona ciągle jeszcze zmartwychpowstaje w poczciwych powieściach poczciwej *Gartenlaube*, to nikogo nie powinno ani dziwić, ani oburzać; że hołd tej dawnej modzie składa i p. Hirschfeld, ów mniemany geniusz

der deutschen Moderne, to już wydać się musi mniej zrozumiałem i mniej zaszczytnem. Tą postacią jest oczywiście Adolf Krebs, brat pani Sommer, wuj Agnieszki. Wuj, stary kawaler, sentymentalny, z kupieckiej rodziny, ale *Schöngeist*, zakochany w smętnej muzyce i liryce, pocichu uwielbiający młodą siostrzenicę, lecz nieśmiejący jej wyznać miłości, smutny w dzień jej wesela z kim innym, elegijny w rozmowie z nią — ta postać w życiu może być bardzo szanowną i piękną, w dramacie wyterana ciągłem powtarzaniem musi się wydać bladą, szablonowo-czułostkową. Na pana Adolfa Krebsa tem więcej zaś widz się gniewa, że z jego winy autor nową niezręczność popełnia. Gustaw niepostrzeżony podpatrzył sentymentalną rozmowę wuja z siostrzenicą. Zaraz potem wobec żony i teściowej jest jakiś rozstrojony, przemawia jakoś tajemniczo, a potem uwiadamia obie kobiety, że dostał anonimowy list z ostrzeżeniem, że Agnieszka miała już jakąś miłostkę. Za chwilę, gdy jest sam na sam z żoną, wyjaśnia, że listu żadnego nie otrzymał, że tylko „o tem śnił" (str. 34), a potem robi Agnieszce scenę zazdrości o wuja. Co sądzić o tej komedyi, jaką odgrywa Jordan? To już nie próżność, nie poza nawet, ale jakaś dziwna aberracya umysłu, tem chorobliwsza, że występuje niespodziewanie w dzień ślubu.

Akt drugi, w ośm lat potem, stoi na znacznie wyższym poziomie artystycznym, niż jego poprzednik. Zewnętrznych wydarzeń zawiera niewiele. Jordan jest z żoną w kąpielach morskich w Heringsdorf pod Szczecinem. Tu przybywa Adolf Krebs, ów sentymentalny wuj Agnieszki i domaga się od niego zwrotu pieniędzy, które mu Sommer niegdyś pożyczył. Dziś Sommer i Krebs zbankrutowali, a nawet naruszyli jakiś depozyt; jeżeli Gustaw owej sumy nie zwróci, grozi im hańba. Jordan pieniędzy niema, próba zaś zaciągnienia pożyczki u Wiener'a, występującego już w pierwszym akcie w charakterze gościa weselnego, nie udaje się. Jak się ta sprawa kończy, tego widz ani z tej odsłony, ani z następnych się nie dowiaduje. Pod tym więc względem ten akt zadowolnić nie może, a długa czuła scena pomiędzy Adolfem a Agnieszką — on przy pożegnaniu daje jej stary pierścień rodzinny z napisem: „Tej, którą ma dusza kocha"—ta scena

dowodzi, że autor śmiało kroczy po ścieżce szablonowego sentymentalizmu, na którą wstąpił już dawniej.

Nie w tem więc należy szukać znaczenia i wartości tego aktu, lecz w doskonałem przedstawieniu, tak obu osób głównych, każdej z osobna, jak i ich wzajemnego pożycia. Zwłaszcza charakterystyce Gustawa nie godzi się skąpić zasłużonych pochwał, tem sprawiedliwszych, że w przeciwieństwie do pierwszej odsłony, Jordan charakteryzuje się sam w swem postępowaniu, nie zaś pośrednio przez długie rozprawy trzecich osób. Do próżności przybywa tu jako podstawowa cecha jego charakteru, bezdenny i bezbrzeżny egoizm, w swoim rodzaju klassyczny i niezrównany. Czy gdy zaleca się do ładnej bony, czy gdy oburza się, że Krebs śmie od niego żądać zwrotu pożyczki, a Wiener nie chce mu dać 60 tysięcy bez pewności, że je odbierze, czy gdy przed panią Wiener skarży się na poziomą naturę Agnieszki, nie mogącej pojąć jego wzniosłej duszy, a po tem kwileniu gwałtem ją całuje, czy wreszcie, gdy rozgniewany na Adolfa i Wienerów, każe żonie natychmiast pakować rzeczy do powrotu do Berlina, bez względu na chore dziecko tak potrzebujące świeżego tchnienia morskiego powietrza — zawsze i wszędzie Gustaw Jordan jest skończonym typem egoisty, jakiemu równych współczesny dramat nie wielu posiada.

Jego przeciwieństwem jest Agnieszka, o której Betty Wiener słusznie powiada, że niema ani odrobiny zdolności do egoizmu. Łatwo mógł się z niej w dramacie zrobić anioł, bierny i martwy, pozbawiony wszelkiego nerwu dramatycznego. Autor szczęśliwie ominął ten szkopuł, dzięki jednej okoliczności. Agnieszka jest bardzo szlachetną i bardzo nieszczęśliwą, często ma wyraz rezygnacyi na twarzy, krok ofiary nie usiłującej się nawet bronić, lecz zupełnie bierną i martwą ona nie jest. Instynkt samozachowawczy, iskra oporu tli w głębi jej duszy i gdy Gustaw żąda od niej zerwania wszelkich związków z rodziną, ona rozkazowi się nie poddaje i w tej chwili wybucha długo tłumione poczucie samodzielności. To ratuje jej dramatyczny charakter, a za trafny należy poczytać pomysł autora, że ten opór następuje nie pod wpływem jakichś modnych frazesów o prawach kobiety,

lecz jako reakcya przeciw żądaniu męża, aby zerwała węzły łączące ją z rodzicami.

Akt drugi daje więc wyborną charakterystykę Jordana i bardzo dobrą sylwetkę jego żony. Mimo to odczuwa się, że dramatowi jako takiemu, wkrótce musi zabraknąć treści. Małżeństwo w takich warunkach, wobec takich charakterów zawsze będzie niezdrowem, ale ten chorobliwy stan może trwać długo, bardzo długo, póki go śmierć jednego z małżonków nie zakończy. Dramatycznych chwil będzie w tem jednak mało, chyba że Agnieszka zdobędzie się na heroiczny czyn i rozwiedzie się. Ztąd ten motyw przydatniejszym jest do powieści niż do dramatu, bądź co bądź wymagającego akcyi. Trzeci akt dowodzi prawdziwości tych uwag. Odbywa się w dziewięć lat po poprzednim, a ostatecznie jest się w tym samym punkcie, „tylko się ku starości wszystko pochyliło“. Starszym o dziewięć lat jest Gustaw, starszą Agnieszka, a i ich dzieci Jan i Ludwik już dorastają. Jordan pozostał tym samym egoistą, jak dawniej; zamiast do bony, umizga się do służącej; nowy rys charakteru, to skąpstwo, sknerstwo, ale oczywiście nie wobec siebie. Dzieci wychowuje jak najfałszywiej, ale biorąc je często do cyrku lub do teatru przywiązuje je do siebie, a odwraca ich serce od surowszej matki, zwłaszcza zaś czyni to z Janem. Agnieszka w gruncie rzeczy pozostała tąsamą, tylko teraz już nie rezygnuje się milcząco, lecz z goryczą i smutkiem skarży się na swój los przed matką, a wobec męża już nie jest niewolnicą bez woli. Ubocznie dowiadujemy się, że Krebs umarł, a Sommer ogłosił bankructwo; czy Jordan oddał ową sumę i jak to zrobił, o tem autor milczy. Wie się tylko, że stosunki Jordana z teściem od lat kilku są zerwane. Teraz Sommer święci siedmdziesiątą rocznicę urodzin i zaprosił zięcia, pragnąc się z nim pojednać. Jordan zimno odrzuca rękę do zgody podaną i ztąd przychodzi do gwałtownej sprzeczki pomiędzy małżonkami. Ostatecznie pani Agnieszka opuszcza dom męża. Przedtem jest jedna chwila rzeczywiście rzewna: gdy Agnieszka widzi, jak ten marny egoista zdołał zupełnie opanować starszego syna, młodszy instynktowo rwie się do matki, lecz jeszcze jest za młodym, aby mógł to wyrazić czem więcej ponad krzyk: „Mamo!“ Agnieszka cierpi tu jako żona, a sro-

żej jeszcze jako matka, a cierpi bez winy i dlatego głęboko się z nią współczuje.

P. Hirschfeld przyzwyczaił widzów do długich odstępów pomiędzy poszczególnemi aktami; to też z miłem zdziwieniem przyjmuje się do wiadomości, że treść czwartej odsłony rozgrywa się w pięć dni po poprzedniej. Związek pomiędzy niemi jest rzeczywiście bardzo ścisły, chronologicznie i pragmatycznie. W pierwszych scenach widzi się przygnębienie panujące w domu Jordana, opuszczonym przez Agnieszkę, zamiast której rządzi żona portyera, pani Mittrich. Janek leży chory, zaziębiwszy się w cyrku, dokąd zabrał go ojciec, mimo przestróg żony, przy nim zaś siedzi Ludwik, smutno zadumany. Scena jest dobrze schwycona i bardzo charakterystyczna: już poprzednio widziało się, jak źle Gustaw wychowuje dzieci, tu staje się to tem wyraźniejszem. A jednak choć chłopcy, a zwłaszcza starszy, są popsuci, choć ojciec przed nimi matkę oczernił, budzi się w nich bezwiedne poczucie sprawiedliwości i Janek wraz z bratem głośno i natarczywie domagają się od ojca powrotu matki.

Odtąd aż do końca aktu rzecz idzie naturalnym biebiem. Agnieszka jest u rodziców. Czas oporu już minął, bo jeżeli żona może żyć bez męża, to matce staje się nieznośnem oddalenie od dzieci. Stary Sommer w jej imieniu podał o rozwód, opierając to żądanie wiarołomstwem męża. Lecz sprawa się przewleka, a zwłaszcza wątpliwem jest, czy sąd przyzna matce dzieci. Pani Sommer namawia córkę do wytrwania w domaganiu się rozwodu, ojciec trzeźwiej na życie patrzący doradza jej powrót do męża, bo ona przecież ma dzieci, które nic nie zawiniły. Agnieszka sama czuje, że jej położenie jest teraz fałszywem, że bez dzieci nie może żyć. Na grunt dobrze przygotowany pada płodne ziarno: pani Mittrich przychodzi w misyi od Jordana. Przemawia niezbyt wymownie i dość niezręcznie, ale cóż to znaczy wobec tego, że przyprowadziła Ludwika. Chłopiec nic nie mówi, tylko na zapytanie matki, czy się ucieszy, gdy ona wróci do domu, odpowiada wybuchając głośnym płaczem. To wystarcza. Agnieszka tuli dziecko do piersi i postanawia wrócić do męża. Matka się dziwi, ojciec lepiej ją rozumie, ona sama mówi: „Moja droga jest daleką, ale

nie idę nią sama. Jest cel tej drogi — dziś go zobaczyłam — chodź, mój kochany chłopcze". Cokolwiek się powie o tym zwrocie, choćby się nawet chciało widzieć w jego przeprowadzeniu wiele przesadnego rozczulania się i sentymentalizmu, nie podobna odmówić mu dwóch zalet. Jest teatralnie *wirksam* , a to zawsze w dramacie wiele znaczy; powtóre zaś ten przymiot nie jest okupiony sfałszowaniem charakteru, lub pogwałceniem psychologii, lecz konsekwentnie z poprzednich aktów wynika. Postać Agnieszki, tytułowej „bohaterki" dramatu, wysuwa się tu na pierwszy plan i jak dotychczas, chociaż ona z natury rzeczy jest raczej bierną, mimo to nie przestaje być dramatyczną, bo zachowuje wolną wolę i działa, aczkolwiek pod wpływem czynników, nad któremi niema władzy.

Tu kończy się dramat. Agnieszka wraca do męża. Jakie będzie wzajemne pożycie obojga małżonków, łatwo wywnioskować z dobrze znanej przeszłości. Zbytecznem jest pokazywać to w osobnej odsłonie. P. Hirschfeld pozwala sobie jednak na ten zbytek i do dotychczasowych czterech aktów dodaje jeszcze jeden, i to w czternaście lat potem. Po co taka duża odległość czasu? Czy dla pokazania najnowszych mód damskich i męskich? Ten brak treści, jaki już nieraz w sztuce był widoczny, i tu zaznaczył ślady. Przedstawić wzajemne pożycie Agnieszki i Gustawa, na to wystarcza jedna scena; na cały akt jest materyału za mało. P. Hirschfeld powtarza się: do charakterystyki Jordana dorzuca drobne mało co znaczące przyczynki, lecz i tak jeszcze musiał coś wymyśleć do zapełnienia kilkunastu zbywających scen. W tym celu posuwa się o 14 lat naprzód, robi wszystkie osoby o tyle starszemi tak, że obaj synowie są już dorośli. Jan może się żenić, Ludwik może wypowiadać rozmaite głębokie spostrzeżenia. Temi dwoma motywami zapełniony jest ostatni akt. Janek jest narzeczonym Fridy, córki zmarłej już Betty Wiener, a sprawa połączenia się dwojga kochających się serc jest epizodem i długim i niepotrzebnym. Z drugiej strony Ludwik, artysta z powołania, młodzieniec, któremu smutne życie codzienne przesłoniło umysł chmurą lekkiej i spokojnej melancholii, w rozmowie z matką wypowiada sąd o niej. „Wie mama co, wy oboje — ty i ojciec — wy żyliście z sobą,

wiedzieliście o sobie, ale zawsze tylko przez pośrednictwo miłości i nienawiści, nigdy nie swobodnie, nigdy nie objektywnie. Między wami była walka dwóch natur, wyście sobie wzajem gwałt chcieli zadać. Ale tam, na szerokim świecie, mamo, tam powstał nowy duch. Nie przebaczenie, lecz dumne pojmowanie, zrzucenie z siebie tego, co się uważało za właściwe swe życie, a co było tu żużlem prawdziwego życia". Słowa niejasne, a ich myśl, o ile można ją uchwycić, w dramacie niespodziewana. Dotychczas patrzało się na dramat, jako na studyum niedobranego małżeństwa, wolne od t. zw. tendencyi, uporczywie się odzywającej. Tu, tuż przed samym końcem, czyta się z zdziwieniem, że wzajemne pożycie Agnieszki i Gustawa było walką dwóch natur, wzajemnem zadawaniem sobie gwałtu, i że taki stan nie będzie możliwym w niedalekiej przyszłości, w nowym porządku rzeczy. Spostrzeżenie niespodziewane, sąd zdumiewający. Więc bezgraniczny egoizm, marna próżność, ograniczona głupota z jednej, a poświęcenie wielkie, choć może nie wsparte równie znacznem doświadczeniem, wiele cierpień, zaparcie się siebie, poddanie się obowiązkowi z drugiej strony — a całość, to walka dwóch natur jednakowo uprawnionych? Od dramatu nie wymagamy, aby uczył moralności; dobrze jest, gdy tak robi, ale w pierwszym rzędzie ma do spełnienia zadanie artystyczne; lecz niechże dramat nie krzywi zdrowego sądu, nie paczy sumienia, nie fałszuje prawdy. Tyle o moralnej wartości tej sceny, dla której, jak się zdaje, cały akt został stworzony. Z estetycznych względów jest ona równie naganną. Bo gdzie jest ten pomost, który ją łączy z wszystkiemi poprzedniemi aktami, gdzie są tam ślady, choćby najlżejsze przesłanki takiego sądu? Nie ma ich nigdzie; akt piąty duchem bynajmniej się z poprzedniemi nie zlewa, odstaje od nich, jakby był przez kogo innego, lub też przez tego samego autora, ale *ex post* i pod obcym naciskiem napisany. Czy zbyt śmiałym będzie domysł, że ma się tu nowy dowód, jak powierzchownym, jak mało naturalnym, jak wymuszonym jest ten mniemany „modernizm" p. Hirschfelda? Pierwsze cztery akty jego *Agnieszki* są dramatem raczej z przed lat dwudziestu; autor to spostrzegł, chciał sztuce dać modny wygląd i ztąd się wzięła ta refleksya Ludwika, ztąd ten ukłon

złożony nadchodzącej nowej epoce, epoce powszechnej doskonałości i szczęśliwości, opartej na krańcowym indywidualizmie.

Jako całość dramat p. J. Hirschfelda bezsprzecznie zasługuje na uwagę. Chociaż Agnieszka Jordan użycza mu nazwy, główną jego osobą jest jej mąż. Gustaw Jordan jest typem niemal skończonym, przez całą sztukę, a zwłaszcza przez pierwsze trzy jej akty, przeprowadzonym nadzwyczaj starannie, z ścisłą konsekwencyą. Jego żona, tytułowa „bohaterka“, zrazu jest tylko środkiem artystycznym, służącym do tem wyraźniejszego uwydatnienia postaci Gustawa; sama dla siebie istnieje dopiero od drugiej połowy trzeciego aktu. Nazwano *Agnes Jordan* historyą cierpień kobiety w małżeństwie nieszczęśliwej. W tem określeniu tkwi wielka część krytyki utworu. Historya cierpień rzadko kiedy może się stać przedmiotem dramatu, zwłaszcza gdy te cierpienia są długotrwałe, a znoszone są z cichą rezygnacyą, rzadko kiedy skargą przerywaną. Są powieści, które proszą się o udramatyzowanie — *Agnieszki Jordan* powinnaby być powieścią.

Żydowski przeważnie świat przedstawia również *Das neue Ghetto* p. Teodora Herzl'a[1]. Przedstawiona w poprzednim sezonie w Krakowie, sztuka ta nietylko upadła, lecz nawet wywołała dość u nas niezwykłe zaburzenia i zeszła bezpowrotnie z afisza. Krytyka powszechnie ją potępiła. Przeciw temu wyrokowi nie wolno nam oczywiście protestować. Jeżeli jednak mimo to o niej tu mowa, to dzieje się to nie bez powodu. Publiczność i prasa widziały w *Nowem Ghetto* tendencyę wywyższenia Żydów na koszt chrześcian i powoływały się przedewszystkiem na znaną scenę, w której Żyd dr. Jakób Samuel policzkuje chrześcianina, rotmistrza von Schromm. Przeoczono przytem, że sztuka, będąc rzeczywiście tendencyjną, mówi może ostatecznie coś innego, niż twierdzono i że nie darmo napisał ją przywódzca syonistów. Nie o wywyższanie Żydów, a poniżanie chrześcian chodzi autorowi ale pragnie on, syonista - narodowiec, dowieść, że

---

[1]) *Das neue Ghetto.* Schauspiel in 4 Akten von Theodor Herzl, w tygodniku *Die Welt*, zeszyty 9—15 z r. 1898.

Żyd, zmuszony przez społeczeństwo chrześciańskie do zamieszkania w odrębnej dzielnicy ludzkości, nie powinien wychodzić po za to Ghetto, że owszem w tem Ghetto jest właściwy dla niego grunt. Kto dramat w druku uważnie a objektywnie przeczyta, ten musi powyższą ideę widzieć, musi ją za główną i dominującą uznać, i tylko w ten sposób zdoła treść sztuki pogodzić z przekonaniami jej autora, najzdolniejszego przewódzcy ekskluzywnie narodowego prądu Żydów. Ale mniejsza o tendencyę. Po za nią trzeba powiedzieć, że dramat niewątpliwie, jak to n. p. słusznie zaznaczył teatralny sprawozdawca *Przeglądu* [1]), cierpi na frazesomanię, ale wadę tę dzieli z mnóstwem innych sztuk *à thèse*, nie uważanych za najostatniejsze. Natomiast ma jedną figurę przepyszną, w dramacie, o ile wiemy na wskróś oryginalną, przez krytykę zbyt pobieżnie zbytą. To Wasserstein, zrazu usłużny, pokorny agent do spraw giełdowych, później w skutek szczęśliwych operacyj bardzo bogaty — znakomity typ, w Wiedniu niezrównanie przez p. Tewele przedstawiany.

Dr. Samuel ginie w pojedynku z ręki rotmistrza von Schromm. Kwestya pojedynków, tooretyczna walka przeciwko nim, to także jedna z ulubionych tez autorów dramatycznych niemieckich. Jej poświęcony jest *Frycek* Sudermanna, znany naszym czytelnikom, a i z dramatów, które obecnie mamy przed sobą, dwa są mu oddane. W *Götzendienst* p. Ludwika Hirscha [2]) w środku akcyi stoi człowiek, który wszelkiemi siłami stara się uniknąć pojedynku, a jednak musi uledz zwyczajowemu kodeksowi prawnemu. Adwokat Willmann wstał po długiej chorobie i obchodzi ten dzień uroczyście w gronie rodziny i najbliższych znajomych. Wtem dochodzi go wiadomość, że jego przyjaciel doktor Rössner zginął w pojedynku, broniąc sławy swej siostry, śpiewaczki operowej. Zmarły w liście prosi przyjaciela, aby zachował jego pamięć i bronił czci siostry, przez potwarców o niemoralne prowadzenie się podejrzywanej. Willmann wzruszony przyrzeka spełnić to życzenie. Nieszczęśliwy przypadek sprawia, że

---

[1]) Obacz *Przegląd Polski* z marca b. r.

[2]) Ludwig Hirsch: *Götzendienst*. Schauspiel in fünf Acten. (Dresden und Leipzig. E. Pierson's Verlag, 1897. str. 120).

zaraz potem adwokat jest w towarzystwie, gdzie jeden z obecnych, dr. Schmelzer, omawiając najświeższe zdarzenie, a nie wiedząc o związkach łączących Willmanna ze zmarłym, w ostrych słowach ośmiela się wątpić o cnocie owej śpiewaczki. Willmann nazywa go podłym oszczercą. Oczywiście obrażony przysyła mu sekundantów. Adwokat nie stojący sam na świecie, mający żonę i rodzinę, nie władający bronią, usiłuje wybrnąć z tej sprawy, lecz rychło spostrzega, że bić się musi. Pojedynek kończy się śmiercią adwokata i rozpaczą osieroconej żony i dzieci. Rozpaczliwa walka Willmanna o życie, opór przeciw konwencyonalnemu kodeksowi honoru, nie jest pozbawiony siły dramatycznej. Szkoda tylko, że Willmann broni honoru śpiewaczki, nie z własnego przekonania o jej czystości lub z innych bezpośrednich pobudek, tylko spełnia wyłącznie akt pietyzmu dla pamięci zmarłego jej brata. Ta okoliczność szkodzi bardzo sztuce.

Inny znowu autor ujął pojedynkowy motyw z innej strony. *Der Entehrte* p. Gerharda Wauera [1]), przedstawia człowieka, który miał kiedyś niemiłą sprawę, ale z religijno-etycznych pobudek pojedynku nie przyjął, składając równocześnie szarżę wojskową. Kupił sobie dobra i stara się o rękę córki sąsiada, jenerała von Steinau. Pozyskał serce panny, ma mówić z jej ojcem i wyjawić mu wszystko, w tem zjeżdża kuzyn jenerała, oficer, znający ową honorową sprawę i zachowanie się ówczesne Curta, poznaje go, opowiada jenerałowi o przeszłości, poczem von Steinau zamyka dom Curtowi. Autor dramatu, który tutaj właściwie się kończy, daje swemu bohaterowi rehabilitacyę. Oto w dwóch ostatnich aktach chłopi jenerała zbrojnie napadają na jego dwór, niezadowoleni z powodu odrzucenia rozmaitych żądań, a podjudzani przez namiętnych agitatorów. Wtedy Curt nie tylko ratuje jenerała, ale i jego córki, którym grozi śmierć w podpalonych budynkach. Jenerał w nagrodę za to, uznaje go człowiekiem honoru i przyjmuje za zięcia. Ta druga akcya,

---

[1]) Gerhard Wauer: *Der Entehrte.* Schauspiel iu fünf Aufzügen nach der gleichnamigen Novelle des Philalethes. (König Johann von Sachsen). (Dresden und Leipzig. E. Pierson's Verlag, 1898 str. 107).

pozostaje w bardzo luźnym związku z poprzednią, a autor pragnący zapewne rehabilitacyi Curta, pozornie tylko dochodzi do celu. W rzeczywistości bowiem, szlachetne zachowanie się Curta w piątym akcie nie dowodzi bynajmniej, że postąpił honorowo, gdy przed laty wręcz odmówił satysfakcyi.

Obie co dopiero wspomniane sztuki dadzą się ostatecznie scharakteryzować jako dość niedoskonałe waryacye na popularny temat, przyciągający dziś publiczność teatralną. Daleko wybitniejszą indywidualnością poetycką jest p. Holger Drachmann, Duńczyk, znany jednak za pośrednictwem niemieckich tłómaczeń. Talent świeży, oryginalny, samorodnie na ojczystym gruncie wyrosły, jedna z najwybitniejszych postaci współczesnej duńskiej literatury, mistrz prawdziwy w oddawaniu i przelewaniu w czytelnika lirycznego nastroju, Holger Drachmann zdobył sobie deski niemieckich scen bajką *Es war einmal*, za którą poszło kilka innych fantastycznych sztuk. Jego najnowszy dramat[1]) przenosi widza nad morze, wśród rybaków i żeglarzy, a całe to otoczenie oddane jest z poezyą i plastyką, którą odznaczają się i inne dzieła autora. W tem leży piękność *Ludzi z Strandoog*, nie w przeprowadzaniu akcyi dość nikłej, a często bezładnie się rozwijającej. Widzi się żeglarzy, którzy w walce z upartym żywiołem nabyli wytrzymałości ciała i hartu duszy, ale na zewnątrz surowi są, nieprzystępni, czasem mściwi i bez serca. Widzi się ich zabobonną cześć dla morza, od którego ich los i życie zależy, dziwnie silne przywiązanie do starych łodzi, wstręt przed nowościami, choćby one nawet były ulepszeniami. Widzi się i odczuwa poezyę niezmierzonego obszaru wód, tajemniczego w chwilach ciszy, straszliwego w godzinach burzy. Widzi się dokładnie tę małą wioskę rybacką, tamami ochronioną przed bałwanami morskiemi, ze stacyą ratunkową pełniącą służbę w czasie burzy. Jest naprzód pani Röntwig, dziś właścicielka gospody, niegdyś żona sternika łodzi ratunkowej, którego fale pochłonęły. W jej domu

[1]) Holger Drachmann: *Die Leute von Strandoog*. Schauspiel in drei Aufzügen. (Dresden und Leipzig. E. Pierson's Verlag, 1898, str. 107).

gromadzą się wszyscy ci żeglarze i rybacy, u niej też przebywają obaj bracia Fahrsund, jeden Curt, zakochany w morzu malarz, drugi Henryk, uczony zoolog; przybyli tu, bo wuj ich jest inspektorem stacyj ratunkowych morskich. Dodajmy do tych osób Gertrudę, córkę pani Röntwig, jej przybranego syna Uwe, młodego żeglarza, oraz Heide-Trinę, coś jakby czarownicę, starą i szpetną kobietę, której wszyscy się boją, bo wierzą, że może sprowadzać burze, a uzupełni się spis osób, wśród których rozgrywa się akcya sztuki. W ciągu niej wychodzi na jaw, że Uwe jest synem Heide-Triny i męża pani Röntwig, główną zaś treścią dramatu jest przeprowadzenie, jak morze i świat nadmorski rozmaicie działają na obu braci Fahrsund. Uczony zoolog pokochawszy Gertrudę żeni się z nią, by z nią dzielić dobrą i złą dolę, Curt zaś szukający ciągle plastycznego wyobrażenia i uchwycenia pendzlem poetycznej wizyi morskich rusałek, opuszcza w końcu Strandoog; szukał towarzystwa Gertrudy, lecz odtrącony rzuca się w objęcia swobody, tak potrzebnej malarzowi. Sztuka traci ogromnie na tej dość nieudolnej, niedającej się niemal streścić fabule. Składa się raczej z szeregu znakomitych obrazów nastrojowych, a jej piękności są raczej malownicze niż dramatyczne.

Pani Zofia von Khuenberg jest autorką u nas zupełnie nieznaną. A jednak ma widocznie szczery talent dramatyczny, dużo inwencyi, chociaż braknie jej zdolności do należytego przetrawienia szczęśliwie wybranego motywu. Jej *Prawda*, sztuka ludowa w trzech aktach [1]), opiera się na przypuszczeniu dość śmiałem, nie zupełnie nieprawdopodobnem, w każdym razie zajmującem. Było małżeństwo: on stary i schorzały, ona młoda pragnąca użycia świata. Wpadła w sidła trzeciego, lekkomyślnego i łudząc się, że go kocha, oddała mu się. Dziecko należało ukryć; podrzucili je w jakiejś wsi, włożywszy do zawiniątka i trochę pieniędzy. Potem umarł ów stary mąż, a wdowa została żoną swego kochanka. Dziecka jednak nie wzięli do siebie, bo dawny

---

[1]) Sophie von Khuenberg: *Wahrheit*. Volksschauspiel in drei Aufzügen. (Dresden, Leipzig und Wien. E. Pierson's Verlag, 1897, str. 119).

uwodziciel jest dziś posłem i nie chce narazić się na obmowę ludzi i tak już coś podejrzywających. Pod jego wpływem i ona poczyna nie myśleć o dziecku, zwłaszcza, że z prawego związku mają syna i córkę. Aż nadchodzi czas przypomnienia, żalu i pokuty. Dowiaduje się, gdzie jest jej dziecko, dziś tęgi młodzieniec, wymusza na mężu zakupno opustoszałego zamku w tej wsi, osiedla się tam i dla expiacyi swej winy buduje zakład dla podrzutków. To jest podstawa dramatu. Nasuwają się zaraz wątpliwości. Trudno przypuścić, aby kobieta z zamożnych sfer, nawet z arystokracyi, a taką jest Leonia baronowa Hannek, owoc swej miłości usuwała w ten sposób; jeszcze mniej chce się wierzyć, żeby zostawszy żoną ojca swego dziecka, nie adoptowała go po cichu, przynajmniej nie dała mu zaraz choćby pośrednio wychowania. Tak może tylko postąpić nieludzka kobieta, a pani Khuenberg nie w takiem świetle chce przedstawić baronową. Podstawy więc nie wytrzymują surowej analizy, lecz przyjąwszy je raz, przyzna się, że rozwój akcyi jest odtąd i zupełnie logiczny i bardzo dramatyczny. Hr. Leonia pod wpływem wyrzutów sumienia, reakcyi uczucia moralnego, po trosze i nerwów, a również pod wrażeniem kazania księdza dochodzi do przekonania, że fundując dom podrzutków nie odpokutowała jeszcze winy, że należy jej przyznać się do syna i prosić go o przebaczenie za tak długotrwałą niepamięć. Winna to zrobić zwłaszcza, że ten syn, Bernard, wie, że jest podrzutkiem, dzieckiem zapewne jakiejś bogatej damy i od pierwszych lat szuka tej matki, tęskni do niej. Bernard, uchroniony przez autorkę od cienia sentymentalizmu, jest w tem swojem uczuciu i dążeniu bardzo piękny, a jego smutek i tęsknotę odczuwa się. Baronowa nie ma sił do wyznania całej prawdy, to też w rozmowie z Bernardem udaje zrazu, że ma tylko wieści od jego matki, której położenie osobiste i towarzyskie nie pozwala zgłosić się do syna. Bernard widzi się teraz u celu poszukiwań i nalega koniecznie, aby wymieniła nazwisko jego matki. Wtedy Leonia wyznaje wszystko i spełniwszy swój obowiązek truje się. I znowu lepiej byłoby może, gdyby baronowa miała odwagę życia, lecz i takie zakończenie dramatu nie jest naciągane. Do zalet sztuki zaliczyć należy wyborne odczucie duszy

chłopskiej, rzetelny realizm, przypominający Anzengrubera. Jak prawdziwem jest przedstawienie obojętności, z jaką ogół wieśniaków przyjmuje dobrodziejstwo przytułku dla podrzutków! Jeden z parobczaków zamawia sobie nocną schadzkę u dziewczyny: *Lasst mi ein heunt Nacht — macht eh nix, wann an Unglück gschiacht — hiaz is ja d'Stiftung da...*

Leonia i baron Hannek przed laty kochali się, namiętność doprowadziła ich nawet do występku; dziś jako małżeństwo są sobie wzajem obojętni, owszem nie znoszą się. Miłość występuje w dramacie zazwyczaj pod dwojaką formą. Albo jest to uczucie łączące serca dwojga ludzi wolnego stanu, a rzecz kończy się małżeństwem kochanków lub katastrofą, albo też para małżeńska jest już na początku sztuki, a autor przedstawia, jak w nią się wciska, jak ją rozsadza trzecia osoba, rzadziej kobieta, częściej mężczyzna. Obrazu trwałej, zupełnej miłości w małżeństwie w literaturze dramatycznej nowszych czasów prawie nie ma; gdzie jest, jest niemal zawsze z lekkim odcieniem śmieszności. Już z tego powodu sztuka p. Jerzego von Ompteda, niedawno przedstawiona w Berlinie, winna zwrócić na siebie uwagę. Jej autor pisał dotąd powieści najczęściej z życia wojskowego, a jego *Sylwester von Geyer* jest jeszcze w świeżej pamięci naszych czytelników; że jest i pisarzem dramatycznym, o tem nie wiedzieliśmy, a rzecz *Eheliche Liebe*[1]) jest zapewne jego pierwszą wybitniejszą sztuką sceniczną.

Wiktor i Jadwiga Schröterowie są bardzo szczęśliwem małżeństwem. Zwłaszcza żona dziękuje przeznaczeniu, które jej dało takiego męża i święcie wierzy, że Wiktor pokochał ją od pierwszego wejrzenia, tak jak to z nią było. Nagle zjawia się w ich domu jakiś p. de Suberseaux i w rozmowie sam na sam z Wiktorem domaga się od niego pieniędzy, domaga się tem gwałtowniej, że on to jako stręczyciel małżeństw narail zbankrutowanemu przez hulaszcze życie Wiktorowi przed laty bogatą pannę, mającą tę tylko wadę, że trochę kulała. Wiktor pieniędzy potrzebnych nie ma przy

---

[1]) Georg Freiherr von Ompteda: *Eheliche Liebe*. Schauspiel in drei Akten. (Berlin. F. Fontane & Co. 1898, str. 131).

sobie, a zresztą, któż mu ręczy, że Suberseaux raz doznawszy szczęścia nie będzie od niego wciąż wymuszał zapłaty za milczenie. A więc wyznać wszystko żonie, do której zresztą cały majątek należy? Tak, dawno chciał jej to wyznać, bo kochał ją, pragnąłby nie mieć przed nią tajemnic, ale ma wyznać teraz, pod przymusem? wszak takie wyznanie nie byłoby ekspiacyą winy. Na szczęście pozbywa się na dziś agenta; pojutrze Suberseaux przyjdzie, jeżeli nie zdoła kogo innego „naciągnąć“, pieniądze bowiem mieć musi, bo zgrał się i do Ameryki ucieka. Tymczasem niespodziewanie przychodzi na drugi już dzień, kiedy Wiktora w domu nie ma. Zrazu z brutalnym cynizmem zamierza wyjaśnić sprawę Jadwidze, ale gdy widzi jej szczęście, jej niezachwianą ufność w męża, on obładowany już tyloma niehonorowemi czynami, przecież ma litość i resztkę poczucia honoru. Wymusza pieniądze, bo ich koniecznie potrzebuje, ale nie żąda ich w imię tamtej tajemnicy, lecz na poczekaniu zmyśla mniej drażliwą historyę. Oto Wiktor za studenckich lat zgrał się, a on wtedy za niego zapłacił — dziś on się zgrał i żąda wzajemności. Jadwiga poleca mu zgłosić się jutro rano po pieniądze. Wraca Wiktor, dowiaduje się o wszystkiem i wtedy dobrowolnie wyznaje prawdę. Żona cierpi ogromnie, w końcu jednak wraca szczęście i harmonia. Miłość, powoli powstająca pomiędzy małżonkami lepsza jest niż szalona namiętność „od pierwszego wejrzenia“, utrzymuje autor. Myśl często prawdziwa, ale ileż to jest małżeństw bez miłości zawartych, w których nie rozwija się *eheliche Liebe,* tylko obojętność, niechęć, nienawiść, wiarołomstwo?

Sztuka jest właściwie ostatnim aktem, rozwiązaniem całego dramatu życiowego, szczęśliwie się kończącego. Najciekawszem byłoby właśnie widzieć, jak w sercu Wiktora żeniącego się dla pieniędzy, za pośrednictwem biura, rodzi się i rozwija miłość dla żony. Sztuka p. Omptedy tego nie pokazuje, a zresztą zapewne żaden dramat tego nie mógłby pokazać, bo to motyw raczej powieściowy. A jednak utwór p. Omptedy, prócz świeżości myśli, ma dwie zalety: znakomicie prowadzony dyalog, co jest tak ważnem w dramacie akcyą bynajmniej nie przeładowanym i świetną sylwetkę p. de Suberseaux, tego szulera i stręczyciela, który pochodzi

z szlacheckiej rodziny i zachował wspomnienie honoru i ludzkich uczuć.

Na zakończenie tego dorywczego przeglądu, kilka słów o sztuce, która nie jest ani historyczną, ani współczesną, a słusznie zwie się *Romantisches Spiel* [1]).

Prześliczne wydanie, a na okładce obrazek wiele mówiący. Jest waga z dwiema szalkami; na jednej, w górę idącej, berło i korona, na drugiej, na dół opadającej, listki wawrzynu. Kto tego nie rozumie? Kto temu wierzy? Ale bo też co krok musi się czytelnik czemuś dziwić. To kruk będzie mówił i bardzo rozsądnie nawet, to znowu stanie przed nami jakiś czarnoksiężnik, zarozumiały i zakochany, jak Malvolio z *Wieczoru Trzech Króli,* tam znowu płacze królewna w jego mocy będąca, tu śpiewa junak, wędrowny komedyant, ówdzie rozśmiesza poczciwy kanclerz państwa, a błazen jak jego szekspirowscy poprzednicy rozrzewnia i zadziwia, gdzieindziej znowu stare babsko bawi nas swą kokieteryą, słowem dziwy i dziwy. Wszystko razem byłoby... głupstwem, gdyby nie szczera poezya, unosząca się nad temi cudami, wyborny humor i piękna forma. Kto ciekawy, niech posłucha, o co tu chodzi. Królewna Ismunda, córka Kikebusch'a Okrutnego, z woli ojca ma pojąć za męża wyperfumowaną lalkę dworską. W dzień ślubu, w weselnym stroju ucieka, lecz nieszczęściem w lesie dostaje się w ręce czarodzieja Katzensteig'a, który ją więzi. Nadchodzi w te strony Falk, młody, piękny aktor wędrowny. Młodzi poznają się, kochają i oczywiście muszą się pobrać. Ale jak? Kruk im dopomaga. Wyzyskując chciwość Katzensteig'a, radzi mu pojąć za żonę Paulinę Brenzlich, posiadającą wrzekomo dziesięć skrzyń złota. Stare babsko z pomocą niezwykłej sztuki młodnieje o ...pięćdziesiąt lat i ślub się odbywa. Czarnoksiężnikowi pilno do łożnicy, a spieszniej jeszcze do skrzyń złota. Rzecz się wykrywa, Paulina ukazuje się mężowi w całym majestacie swej szpetności, a skrzynie są puste. Ale darmo! Pani Ka-

---

[1]) *Der Comödiant.* Romantisches Spiel von Alois Wohlmuth. (München 1897. C. H. Beck'sche Verlagsbuchhandlung, str. 150).

tzensteig męża ujmuje silnie w karby i każe mu wypędzić młodą i piękną królewnę. Podstęp się udał. Młoda para opuszcza las, aż tu zawistny los rzuca ich w ręce pogoni, wysłanej przez ojca Ismundy. Falk ma dać głowę, lecz przedtem dla rehabilitacyi królewnej ma ją poślubić. Po uroczystym akcie komedyant idzie na miejsce stracenia, wtem, gdy mu szyję obnażają, poznają z zawieszonego na niej medalionu, że biedny komedyant jest synem króla sąsiedniego państwa, w dzieciństwie zaginionym. Teraz już nic nie stoi młodej parze na drodze do szczęścia. Owszem, niech będą szczęśliwi, ale niech autor wie, że nie dotrzymał tego, co obiecywał na tytułowej karcie. Przecież Falk zostaje mężem Ismundy nie dlatego, jakoby laur poetycki, czy artystyczny, przeważył koronę i złoto. Przeciwnie, jego dopiero wtedy uznają godnym ręki królewnej, gdy wychodzi na jaw, że sam z panującej krwi pochodzi. A jednak mimo wszystko, sztukę czyta się z przyjemnością i zawdzięcza się jej kilka godzin miłych, jakie się spędza z średniowiecznemi opowiadaniami w ręce. W podziękowaniu za to, niech jej się dostanie ostatnie słowo w tych uwagach, niech je zamykają wiersze, wyjęte z hymnu pochwalnego, jaki Falk śpiewa na cześć swej sztuki:

Unbeschreiblich sind die Reize,
Welche das Theater übt!
Unbeschreiblich ist der Zauber,
Der die Bretterwelt umgibt!

Józef Flach.

Z pięćdziesięcioletnich roczników „Czasu".

(Ciąg dalszy.)

III.

Lata 1850—1856.

Sen Faraona o nikłych kłosach i chudych krowach nietylko do lat nieurodzaju się stosuje — bywają także chude lata pod względem politycznym. Takie lata miały teraz nastąpić. Ucichły rewolucye i powstania; stan wojenny nieustał, choć bardzo zwolna drukowały się konstytucyjne statuta dla krajów koronnych. Wolność druku, nieco ograniczona, zostawia dość swobody do dyskusyi zasadniczej. Wszczyna ją historyk Palacky, obszerną pracą o federacyjnej naturze i historycznej składni państwa rakuskiego. Niemiecki liberalizm, po zamknięsiu *Pressy*, w *Wandererze* rozwija swój program, a rządowe organa prawią tylko o jednolitości monarchii, dążąc do centralistycznego ustroju.

Czas, jedyny wówczas organ polski, w tej zasadniczej dyskusyi poważny zabiera głos, choć skarży się, „że głos to wołającego na puszczy, gdy trwa mniemanie, iż z polskiej głowy myśl polityczna wyjść nie może; masy zadowolone, a ze szlachtą i intelligencyą liczyć się nie warto".

„Rząd wziął na siebie obowiązek myślenia o wszystkiem, co dziwnego, iż o wszystko złe do niego się zwracają. Dla

państwa austryackiego pozostaje dylemmat przywrócenia dawnego porządku za pośrednictwem przewagi wojskowej, albo decentralizowaniem władzy, przyznając gminom, okręgom, krajom koronnym, co im się słusznie należy. Podnieść ołowianą pokrywę, co przystęp światła i powietrza tamuje, rozwiązać powojniki, co członki niedorostka krępują, a wnet będzie chodził o swej mocy“ (14 i 15 stycznia).

Z temi myślami decentralizacyi, samorządu gminnego i autonomii krajów koronnych *Czas* walczy przeciw dążeniu reakcyi militarno-biurokratycznej i przeciw doktrynerstwu liberalnego konstytucyonalizmu według papierowego patronu.

Dyskusya o przypuszczeniu Żydów z Kazimierza do miasta Krakowa przez pół roku się przedłuża. *Czas* nie chce monopolizować opinii, więc otwiera swe szpalty głosom za i przeciw. W domu hr. Wita Żeleńskiego odbywa się narada właścicieli domów przeciw przypuszczeniu Żydów do miasta; w ich obronie zabierają w *Czasie* głos poważani w mieście Izraelici, Samelson i Warschauer. Hilary Meciszewski opracowuje projekt wyłączenia Kazimierza jako samoistnej gminy z obrębu Krakowa. Polemika zasadnicza przenosi się do Wiednia i Wrocławia, gdy w kwestyi równouprawnienia pojawiają się w *Czasie* artykuły z inicyałami L. R.

Cyfry te często odtąd powtarzać się będą. Z zamku w Podhorcach, gdzie pamiątki historyczne i archiwa rodzinne uporządkował i spisał *Kronikę podhorecką*, Leon Rzewuski przenosi się na letnie miesiące na Szlak pod Krakowem, zimy spędzając w Rzymie.

Rzewuski nie wstąpił do redakcyi *Czasu*, ale podobnie jak Adam Potocki i Jerzy Lubomirski, wywarł nań znaczący wpływ i należał do najbliższych *Czasu* inicyatorów. Świeżo przebył wielki przełom wewnętrzny — umysł jego filozoficzny zwrócił się do najwyższych tajników wiary, od młodych lat po raz pierwszy przystąpił do konfessyonału, a spowiedź generalna przed słynnym Curé d'Ars trzy trwała dni. Powrócił z księgą o *Państwie Boga* św. Augustyna, z *Sumą* św. Tomasza, z *Mistyką* św. Jana od Krzyża. Z tych wyżyn schodził do zagadnień polityczno-społecznych, pisał o organizacyi gminy, reformie wyborczej, jako podstawie przyszłego ustroju Austryi, o kwestyi żydowskiej, ruskiej, o wolności

handlowej, o kwestyach ekonomicznych i agronomicznych. Na Szlaku odbywały się długie rozmowy, „a takich już więcej nie będziemy mieli", pisał Paweł Popiel po zgonie kolegi z uniwersytetu i z powstania. Piszący jeszcze zaznał tych długich wieczornych dyskusyj na Szlaku, na które przybywał Popiel, Adam Potocki, bliski Rzewuskiego krewny, rzadziej Jerzy Lubomirski, codziennie Maurycy Mann, niekiedy X. Zygmunt Golian. Gdyśmy wracali ze Szlaku — Mann powtarzał: „To, co mówi pan Leon, ogółowi czytelników podawać można tylko w czwartem rozcieńczeniu, bo ekstrakt to zbyt silny".

Właśnie z wiosną 1850 r. przybywał z Poznańskiego Maurycy Mann, wezwany przez Pawła Popiela, którego często stosunki rodzinne i zajęcia gospodarskie odwoływały od stołu redakcyjnego do zamku w Kurozwękach. Popiel pozostał jeszcze szefem redakcyi, a Mann był jego zastępcą.

Wychowany w Genewie, gdzie słuchał ekonomistę Rossiego i historyka Sismondiego, następnie słuchacz Sorbonny paryskiej, z zagranicy wyniósł wielką kulturę i szerokie europejskie stosunki, które częstemi podróżami i ciągłą korespondencyą utrzymywał i odnawiał; związany ścisłą przyjaźnią ze wszystkiemi znakomitszemi domami i wybitnymi ludźmi w Polsce, wielkim urokiem postaci, słowa i pożycia, bardziej jeszcze niezwykłą wartością etyczną charakteru posiadł wyjątkowy dar zaufania i wpływu w życiu towarzyskiem i w życiu publicznem. Przyjaźń Manna, to był skarb, o który wszyscy się dobijali. Żyjąc w najwyższych sferach towarzyskich, strzegł starannie godności osobistej. Wolny od miłości własnej, obywatelstwem pruskiem osłonił się od wyborów i bezpośredniego udziału w życiu publicznem. Długo jednak pozostał jednym z głównych kierowników i inspiratorów polityki krajowej. W domu Popiela, „pod Baranami", w komnatach Lubomirskiego i na Szlaku, konsolidowały się te zasady polityczno społeczne, które tworzyły kierunek krakowski, co w *Czasie* znajdował swój wyraz. Do tego grona zaliczyć należy Zygmunta Helcla, Henryka Wodzickiego, Franciszka Paszkowskiego, a nieco później Mikołaja Zyblikiewicza i kilku innych. Choć bliski łączył ich węzeł, każda z tych postaci miała coś tak indywidualnego i wybitnego, że w karby stronnictwa ściśle zorganizowane ująć się nie dała.

Niemal równocześnie z Mannem, do redakcyi *Czasu* wstąpił z rozbitej *Jutrzenki* młodszy znacznie Waleryan Kalinka. Jako słuchacz uniwersytetu był on w r. 1846 jednym z sekretarzy dyktatora Tysowskiego. W r. 1848 szedł ze stronnictwem ruchu. Rzutki i wielce pracowity, zwrócił się do jedynego dziennika, jaki pozostał, nie tając wcale, że jego dążność nie we wszystkiem podziela. Tego w redakcyi nie wymagano, była owszem zasada, która przeszła w tradycyę, aby szanować indywidualne zdania współpracowników, aby osiagnąć wspólność kierunku nie tyle nałożoną dyrektywą, ile ciągłą szczerą zamianą zdań. Różnice tu przekonań zachodziły znaczne, a wymiana opinii bywała niekiedy ostrą, zawsze szczerą. W doborze ludzi do wspólnej pracy chodzi głównie o podstawę charakterów, gdy one dają rękojmię wzajemnego szacunku, pożycie wspólne tworzy węzeł koleżeństwa i przyjaźni z uszanowaniem wzajemnem różnic opinij, a nawet i zasad, zwłaszcza gdy cel główny i główny narodowy ideał był wspólny. Ścierają się zrazu te różnice ostro, następnie przychodzi do zbliżenia na wspólnych punktach — a sama sprawa na tem zyskuje, gdy każde wystąpienie dziennika bywa przedmiotem dyskusyi redakcyjnej, z różnych punktów widzenia.

Taką dyskusyę przyjmowali i lubili Popiel i Mann; mniej wyrozumiałym, a często porywczym i sarkastycznym bywał Siemieński. Żywość i bystrość umysłu, pociąg do nauki, praca i łatwość pióra wzbudziły w kierownikach *Czasu* silne zainteresowanie się młodym Kalinką. Zapał jego trzymano nieco na wodzy, a czekano, aż wiek uśmierzy tę bujną naturę. Kalinka naodwrót w tem obcowaniu powziął szacunek i zachował wdzięczność dla grona redakcyi, jakkolwiek przez cały czas współpracownictwa nie pomijał żadnej sposobności, aby swoje odrębne zaznaczyć stanowisko i zapatrywanie. Mniej łatwemi były stosunki z Hilarym Meciszewskim, choć opinie zachowawcze były bardzo zbliżone. Powróciwszy ze Lwowa, gdy dziennik *Polska* przestał wychodzić, Meciszewski pisywał często i wiele do *Czasu*, umieszczał artykuły w sprawach miejskich, korespondencye i feuilletony z Wiednia, gdzie przebywał, umieścił cenną pracę o majątku Uniwersytetu Jagiellońskiego, źródłowo opracowaną i dziś

jeszcze znaczącą i wiele innych. Do grona redakcyi nie wstąpił; pisywał także i do innych dzienników, wiedeńskich i warszawskich, i pisywał niekiedy przeciw *Czasowi*. Ztąd wynikła przykra polemika *Czasu* z *Gazetą Warszawską*.

W r. 1850 umarł administrator dziennika Chrząstowski, wielce przez redakcyę ceniony dla prawości charakteru i wyższego wykształcenia. On i jego następca Albin Dunajewski nadali organizacyę drukarni i wywarli wpływ na jej pracowników. Gdy nową drukarnię zakupił hr. Adam Potocki, odbyło się wielkie Święcone w lokalu redakcyi przy Szczepańskim placu, w którem wzięli udział: właściciel, kilku akcyonaryuszów, członkowie redakcyi, oraz pracownicy drukarni. W parę lat później redakcya przenosi się do obszernych komnat pałacu Krzysztofory, gdzie też umieszczona i własna drukarnia.

Niepodobna dzień po dniu streszczać, co byłoby godnem przypomnienia. Poznajmy tu naprzemian pióra Popiela, Manna i Kalinki, a nic, co wyszło z pod tych piór, nie jest obojętne. Do zbyt obszernych rozmiarów doszłaby niniejsza praca, gdyby wydobyła wszystkie te dojrzałe ziarna tam zagrzebane. Nie poszły one atoli w niwecz, bo zeszły zbożem i dojrzeć miały o wiele później. Gdy przedłuża się oczekiwanie życia konstytucyjnego, gdy jedne statuta już ogłoszone, drugie w gabinecie wiedeńskim przygotowywane, korzysta z tego Popiel i Mann, aby zasadniczo i historycznie pojęcia i ducha konstytucyonalizmu zbadać i wyjaśnić. W tych artykułach są studya, jakich niewiele nasza literatura polityczna posiada, a wtenczas artykuły te rozszerzały podstawowe pojęcia o konstytucyonalizmie, z poglądami historycznemi w przeszłość i przyszłość zwróconemi. To znów *Czas* określa niezawisłość dziennika wobec rządu i wobec opinii, ale niezawisłość ta nie przechodzi pod pierwszym względem w opozycyą *quand même*, pod drugim względem w lekceważenie. Silne były uprzedzenia ówczesnego rządu wobec naszego kraju i narodu, a wątpliwe jego środki i cele. *Czas* zwalcza te uprzedzenia, śmiało piętnuje dążności szkodliwe, ale strzeże się czczej negacyi, kładzie nacisk na te punkta wspólne, jakie rząd i kraj łączyć mogą. Daje to powód do krzyżowego ognia polemiki, to z *Lloydem*, to z *Reichsanzei-*

gerem lub *Wandererem*, gdy tam ustawicznie wrogie przeciw nam wysuwają się insynuacye. Często polemika jest zwycięską i zmusza te organa wiedeńskie do cofnięcia się i odwołania. Szukanie punktów wspólnych w obronie zasad porządku społecznego, próby rzucania pomostów wywołują znów oburzenie *Dziennika Polskiego* w Poznaniu, i *Gońca Wielkopolskiego*, broszur i pism emigracyjnych. Jak dziś wyszydzają ugodowców pod rządem rosyjskim, tak wówczas miotano pociski i oskarżano o odstępstwo od idei narodowej każdego, kto przypuszczał ewentualność porozumienia z rządem austryackim.

Czas, wzięty między dwa ognie, skarży się częstokroć na monolog, który prowadzić musi, gdy jest jedynym dziennikiem w kraju — nie nadużywa tego monopolu — otwiera chętnie szpalty przeciwnym głosom, aby każdą sprawę wielostronnie omówić. Walczy o język polski w szkole i o uwzględnienie historyi ojczystej w wykładach dziejów. Przedstawia smutny stan ekonomiczny kraju, zwłaszcza zaś rolnictwa, gdy zmienione stosunki agrarne, więksi właściciele rabunkami i więzieniem zniszczeni, kredyt w upadku, a nagląca konieczność zmiany systemu rolniczego i nowych nakładów, sprawa zaś indeminizacyi pańszczyźnianej idzie ciągle w odwłokę. Podobnie *Czas* skarży się, że patentami, znoszącemi pańszczyznę, nie uregulowanemi zostały sprawy władzy patrymonialnej i na dworach jeszcze pozostał ciężar i *odium* mandataryatów. Kwestya serwitutowa zawieszona, wraz z tym cieniem władzy patrymonialnej wisi jeszcze jak miecz Damoklesa nad głowami dawnych dziedziców, a ten miecz zdaje się należeć do zbrojowni biurokratyzmu, której godło pomieszczono jakby na szyderstwo w pałacu dawnego kanclerza ks. Metternicha w Königswart, gdzie pod portretem Szeli zawieszono cepy i kosy.

Wytyka *Czas* te smutne wspomnienia dokonanych zbrodni, które pozostały bez kary i zadośćuczynienia — lecz piętnując socyalistyczny biurokratyzm, powołuje się do zasad porządku, prawa i obrony ustroju społecznego, do tych zasad, które ustawicznie wygłasza gabinet Schwarzenberg - Bach, uzupełniony wybitną postawą hr. Leona Thuna.

Kwestya ruska podnosi głowę, popierana z Wiednia i z Petersburga. W niej znów zabiera głos Leon Rzewuski (23 maja) w imię idei historycznych i pojęć, czem jest narodowość?

Namiestnik hr. Gołuchowski w kwietniu wyjeżdża do Wiednia i wraca dopiero w październiku, z przeprowadzonem tam nie bez trudu dziełem ustaw organizacyjnych dla Galicyi. Odjeżdżającego i powracającego namiestnika wita *Czas* słowami zaufania: „Nie przeto na to rachujemy, że szef kraju na tej urodził się ziemi, nie żebyśmy go stronnym mieć chcieli, ale dla tego, że zna dokładnie jej stosunki, że jest wiernym monarchy swego sługą, nie zaś jakiegoś pojedynczego, rodowego interesu reprezentantem, iż wreszcie mamy przekonanie, że ze stanowiska człowieka stanu patrzy na rzeczy i że przyszłość nie na sztucznych drobiazgowych mniej więcej zręcznie obmyślanych urządzeniach, ale na głównych, niezmiennych zechce oprzeć zasadach".

Tymczasem nadchodzi dzień strasznej dla Krakowa pożogi, dzień 18 lipca 1850 r.

„Przeszliśmy dzień straszliwy, a nieprzewidujemy końca naszych cierpień. Wkoło nas bucha straszny ogień, okropna łuna świeci nad całem miastem, ciężkie dymy walą się. Nowe ognie zalały ulice i rynek. Spadają dachy, łamią się belki, walą sklepienia, godzina ostateczna wybiła dla miasta. Naraz palą się cztery kościoły...."

Dyaryusz pożaru Krakowa, gdy go dziś bierzemy do ręki, jeszcze zdaje się dymem przesiąknięty. Dzień następny spokojniejszy, jakkolwiek ciągłe alarmy, a na różnych punktach spotykano jakichś obcych ludzi za górali przebranych, których postać budzi podejrzenie, tu i owdzie znajdują paczki z siarką i prochem w szmaty zawinięte.

Natomiast włościanie okoliczni spieszą gromadnie z konewkami ratować Kraków. Czy pożar Krakowa był skutkiem przypadku, czy jakiegoś zbrodniczego szału, niedocieczono, to jednak pewne, że mania podpalania szerzyła się równocześnie w różnych stronach. Spłonęły zamki w Pieskowej Skale, w Baranowie i Dąbrowej, pogorzało kilka miasteczek, a w tydzień później kilkakrotnie podpalano Warszawę.

Byliżbyto samorodni przedsłannicy komunardów i anarchistów, złoczyńcy czy obłąkani? Instynkt zniszczenia właściwy naszemu stuleciu pojawia się w różnych kształtach Lecz w równym stopniu, co podobne zbrodnicze instynkta, potęguje się w miarę klęsk czynna miłość bliźniego i dzielność w ratowaniu pamiątek i zabytków ze zgliszczy. Wiek nasz, choć niekiedy lubi pożogę i zniszczenie, lubi także odbudowywać, gromadzić i przechowywać co przeszłość przekazała. Historya pożaru Krakowa i jego następstw jest tego pięknym i podnoszącym przykładem. Sądzono, że to koniec ostateczny starożytnej stolicy, a to był początek jej podźwignienia z ruin i upadku.

Na gruzach kościoła Dominikanów przemawiają O. Kajsiewicz i O. Antoniewicz oraz Leon Rzewuski, a biskup Łętowski wypowiada jedno z najwspanialszych kazań w kościele Panny Maryi. Było coś jeremiaszowego w tych mowach po pogorzeli polskiej Jerozolimy.

Obok komitetu ratunkowego, który się tworzy w dniu pożaru w pałacu „pod Baranami“ pod przewodnictwem niezrównanej ofiarności hr. Arturowej Potockiej, tworzą się zaraz komitety odbudowy pogorzałych kościołów. Ofiary płyną z kraju i z zagranicy. Cesarz Franciszek Józef otwiera je hojnym datkiem 30.000 złr. z własnej szkatuły. Pius IX nadsyła 10.000 lirów. Listę składek otwiera redakcya *Czasu* datkiem 400 złr. Lista zawiera imiona z całej Polski i dozwala rozdzielić pogorzelcom około 20 000 złr., co choć znaczną jest pomocą, stanowi zaledwie 6% poniesionych strat. Obok tego gromadzą się fundusze na odbudowę świątyń.

Kardynał Bonald nadsyła kilkadziesiąt tysięcy franków od swych dyecezyan, a *Czas* tę ofiarę katolików francuskich przyjmuje słowami wdzięczności i przypomina w pięknych wyrazach wielkiego chrześciańskiego myśliciela Bonalda, który dziełem swojem wpłynął na umysły do wzmocnienia fundamentów wiary, a dziś jego syn, książę Kościoła, dopomaga odbudowy materyalnej pogorzałych kościołów.

Rząd proponuje pożyczkę dla odbudowania miasta, lecz ta sprawa przeciąga się długo w pertraktacyach między Radą miejską a ministeryum i do błahych doprowadza skutków.

Straszna katastrofa niewstrzymuje, owszem pobudza silniejszy ruch umysłowy, artystyczno-archeologiczny, pobudza ducha inicyatywy, czego ślady spotykamy w szpaltach *Czasu*.

Znaczenie dziennika wzrasta i wkoło redakcyi grupuje się coraz więcej ludzi wybitnych. W każdym niemal numerze obok artykułów redakcyjnych, które niepomijają żadnej kwestyi krajowej i żadnej europejskiej, głosy nadsyłane, dyskusye i polemiki, bądź to zasadnicze i teoretyczne, bądź też praktycznego znaczenia Spotkać tam można zajmujące polemiki o systemie protekcyjnym i wolnej zamianie, o teoryach Maltusa, szkole manchesterskiej, lub też kwestye filozofii politycznej, gdzie się ścierają Leon Rzewuski z Leonem Skorupką, Adam Potocki, Henryk Wodzicki, Meciszewski z korespondentami bezimiennymi z kraju.

Wreszcie 26 października ogłosiła *Gazeta Wiedeńska* patent cesarski ze statutem organizacyjnym dla Galicyi, Lodomeryi i W. Ks. Krakowskiego. Patent ten poprzedza „najuniżeńsze przedstawienie Rady ministrów do Cesarza", podpisane przez członków gabinetu Schwarzenberg, Krauss, Bach, Bruck, Thinnfeld, Thun, Schmerling, Gorisch, Kulmer.

Motywa ministeryalne uzasadniają potrzebę wyłączenia z Galicyi księstwa Bukowiny, która jak wiadomo przed 1848 r. miała wspólną w lwowskich Stanach reprezentacyę i wspólnego gubernatora. Myśl podziału Galicyi na wschodnią i zachodnią, myśl, którą popierał zmarły już Stadion, odrzuca teraz Rada ministrów. Była w tem niewątpliwie zasługa gubernatora. hr. Gołuchowskiego i był skutek licznych przedstawień i memoryałów przeciw podziałowi. Natomiast administracyjnie dzieli patent Galicyę na trzy okręgi z siedzibami naczelników władz we Lwowie, w Krakowie i Stanisławowie, pozostających jednak pod kierownictwem gubernatora we Lwowie.

Reprezentacya składa się z kuryj sejmowych, które się zbierają w Krakowie, Lwowie i Stanisławowie, a przez delegacye we Lwowie, tak, że każda z trzech części kraju wysyła tam kilkunastu przedstawicieli. Okręg lwowski wybiera jedenastu deputowanych z najwyżej opodatkowanych, jedenastu z miast, dwudziestu ośmiu z gmin wiejskich; okręg zachodni czyli krakowski czternastu najwyżej opodatkowanych,

dziewięciu z miast, dwudziestu czterech z gmin wiejskich; okręg stanisławowski dziewięciu z najwyżej opodatkowanych, ośmiu z miast, dwudziestu czterech z gmin. Wybory odbywać się mają bezpośrednio. Kompetencya sejmu tak złożonego ściśle do spraw krajowych ograniczona. Zupełne równouprawnienie ludności polskiej i ruskiej i innych narodowości. Czas obrad naznaczony na cztery tygodnie co roku w październiku. Każda kurya tworzy osobne zgromadzenie i obiera przewodniczącego.

Oto główne zasady statutu, który nigdy nie miał wejść w życie, a który przypomnieć zdawało nam się dziś nieobojętnem.

Organizacya ta, jak widzimy, przedstawiała pewną komplikacyę, gdy kurye osobne stanowią ciała i obradują w trzech miastach, a łączą się dopiero przez delegatów i wydział wspólny we Lwowie. Dawna reprezentacya Stanów zamieniona na kurye, zdaje się mieć tu dążność rozdziału warstw społecznych, z największem uwzględnieniem gmin wiejskich. Jest w tem pewien separatyzm biurokratyczny i jest idea centralistyczna, niedopuszczająca do wspólnego sejmu krajowego. Jako ciało autonomiczne, takie kurye sejmowe, każda z osobna obradująca, czynią wrażenie dziecka kulawego z urodzenia.

Lecz dziecko przyszło nieżywe na świat; według tego statutu nie miały już nastąpić wybory.

W parę dni po ogłoszeniu patentów dla Galicyi, naczelnik komisyi gubernialnej Ettmayer zawiadamia mieszkańców Krakowa, że nadzieja oglądania Najjaśń. Pana w murach miasta omyliła tym razem, i że Cesarz Franciszek Józef polecił mu oświadczyć, iż gorącem życzeniem jego serca jest odwiedzenie tutejszego grodu w najbliższej przyszłości. Cesarz powracał z Warszawy, dokąd podążył wraz ze swym ministrem ks. Schwarzenbergiem, aby wziąć udział w uroczystości jubileuszu namiestnika kraju ks. Paskiewicza. Była to dwudziestoletnia rocznica wzięcia Warszawy. Zdobywcę stolicy polskiej, który nosił tytuł księcia warszawskiego, cesarz Mikołaj postanowił uczcić zjazdem monarchów. Oprócz Cesarza austryackiego, przybyło wielu książąt niemieckich, a między nimi brat króla pruskiego. Odwiedziny te ze strony dworu

wiedeńskiego były jakby aktem dziękczynienia za pomoc, doznaną przed rokiem w kampanii węgierskiej. Zajmujące są korespondencye z Warszawy, która ze zjazdu oczekiwała reform i ustępstw, a on przyniósł tylko kilka amnestyj i długą listę orderów. W przerwach między balem dworskim na zamku, a teatrem amatorskim w Łazienkach, odbywały się narady monarchów i dyplomatów, a do tych narad według opinii współczesnej odnieść należy pierwszą myśl cofnięcia świeżo ogłoszonej konstytucyi w Austryi. Trzy mocarstwa wchodziły na tory świętego przymierza, a przewódcą na tych torach była dominująca postać cesarza Mikołaja. Na wzór reakcyi metternichowskiej, reakcya mikołajowska zwracała się przeciw dążeniom narodowym, zwłaszcza żywiołowi polskiemu.

Przed wprowadzeniem w życie patentów konstytucyjnych zaczęto germanizacyę szkół średnich w Galicyi. Protest *Czasu* opiera się na sprzeczności zasad równouprawnienia narodowego, ogłoszonych w konstytucyi, a jego zgwałcenia w wychowaniu publicznem.

Smutne też nasuwają się uwagi w drugą rocznicę założenia dziennika. *Czas*, nie skory do opozycyi, uważający władzę za żywioł organizacyi społeczeństwa, wypomina krzywdy dawnych rządów i ich przedłużanie, przypomina władzy centralnej ilu mężów zdolnych do rządu wydało Księstwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe, jakich wówczas jeszcze kraj ten dostarczał rządowi rosyjskiemu dyplomatów, jak Matuszewicz, Chreptowicz, Potocki, Brunnow, prawników jak Hube, Zaborowski, Wyczechowski, dlaczegożby ich nie miała wydać i Galicya, dlaczegoż zawsze ma być szkołą obcej biurokracyi i polem prób *in anima vili?*

W patentach konstytucyjnych *Czas* wytyka tę dążność, aby na pierwszy plan wysuwać żywioł włościański, do życia konstytucyjnego wówczas nieusposobiony, ale będący benjaminem biurokracyi, aby tym żywiołom ciemnym a niezaschłą jeszcze krwią rzezi skalanym zagłuszać głos oświeconych warstw.

Całe półrocze snują się zasadnicze rozbiory nowych ustaw i urastają w poważne studya, które możnaby dziś jeszcze wydobyć i w osobnych publikacyach ogłosić. Do ta-

kich prac skończonych należy serya artykułów p. t. *Kwestya kościelna*, a poznajemy tu kollaboracyę Popiela z Mannem może nie bez udziału Rzewuskiego. Dalej tyleż artykułów p. t. *Uniwersytet*. W jednem i drugiem chodzi autorom o stosunek Kościoła do państwa i stosunek państwa do wyższego nauczania. „Indeminizacya“ ma w *Czasie* osobną literaturę, gdyż przewlekająca się ta sprawa wielostronnie i specyalnie jest tu badaną. Artykuły *Czasu*, czy fachowe, czy z poglądem wyższym, zasadniczym, nabierają już cechy akademickiej, bo nie mają wówczas wywierać wpływu i osiągnąć skutku. Jeszcześmy nie byli dopuszczeni do żadnej w monarchii roli.

Tymczasem na widowni europejskiej zarysowuje się coraz wyraźniej widmo reakcyi w przybraniu odradzającego się świętego przymierza. W miesiąc po zjeździe warszawskim następuje pamiętna konferencya ołomuniecka. Zagodzono tam spór hessko-darmsztadzki, w którym się krzyżowały współzawodnictwa gabinetów wiedeńskiego i berlińskiego, wzmocniono związek trzech rządów, utwierdzono zasady traktatu 1815 r.

Zasunięto szluzę ruchowi rewolucyjnemu i liberalnemu, zacieśniono węzły wspólnictwa mocarstw, a węzeł główny, to solidarność trzech rozbiorowych państw.

Wartoby przytoczyć poglądy noworoczne Popiela na wstępie, a piękne i nieco liryczne Siemieńskiego widzenia na Wawelu w wieczór wigilijny. Lecz zatrzymywać się trudno.

Z Nowym Rokiem 1852 format dziennika zwiększony i zmieniony jego układ, zaprowadzona „kronika miejscowa i zagraniczna“, ustają tygodniowe „dodatki literackie“, natomiast feuilleton powiększony i wytwornemi rzeczami zapełniony. Karnawał był huczny, i kronika karnawałowa barwna tak z Krakowa, jak ze Lwowa. Z wiosną świat literacki krakowski przyjmuje literackich po kolei gości. Henryk Rzewuski podejmowany szeregiem obiadów i wieczorów, a autor *Listopada* i *Zamku krakowskiego* budził tem większe sympatye, że jeszcze nie wynurzył się w *Paziu Złotowłosym*. W r. 1854 przybywa pieśniarz i gawędziarz litewski Ludwik Kondratowicz — Władysław Syrokomla. Dwaj wybitni pisa-

rze, bardzo odmienni swą naturą i kierunkiem, zostawiają ślad swej w Krakowie gościny w feuilletonach *Czasu*.

W lutym umiera w morawskiej Opawie biskup-wygnaniec X. Skórkowski. *Czas* domaga się, aby biskup, któremu nie danem było żyć wśród swych dyecezyan, mógł przynajmniej powrócić do nich po śmierci i znaleść grób w swej stolicy biskupiej obok Maciejowskich i Gębickich. Życzeniu temu ówczesne władze się sprzeciwiły, i biskup-wygnaniec spoczywa dotąd na obcej ziemi. Zakaz przyszedł, gdy zwłoki odejść miały z Opawy do Krakowa. Dyecezya krakowska, której pasterz lat kilkanaście przebył na wygnaniu, znów na długie lata miała pozostać we wdowieństwie.

Mnoży się wiele niechęci centralnego rządu do Galicyi, wiele przeszkód, wiele utrudnień. Do kuratoryi Zakładu Ossolińskich po śmierci ks. Henryka Lubomirskiego w Dreznie, syn Jerzy nie został dopuszczony. *Czas* podnosi w tej sprawie głos. Staczać on musi ustawiczne polemiki z dziennikami wiedeńskiemi i pruskiemi, które w listach z Galicyi potworne rzucają potwarze i insynuacye, że podróż Cesarza do tego kraju niemożebna, bo szlachta polska wnosiłaby petycye o przywrócenie pańszczyzny.

Stanowisko hr. Gołuchowskiego jedyną wobec wrogich prądów osłoną, to też gdy ponownie namiestnik przybywa do Krakowa, *Czas* w jędrnych słowach powiada: „Człowiek publiczny niepotrzebuje pochwał, ale człowiek publiczny potrzebuje tej pociechy, że zrozumiano jego ducha i zamiary". Cesarz zamiast do Galicyi pojechał do Wenecyi, Werony i Medyolanu. Po powrocie z tej podróży, która raczej miała charakter inspekcyi wojskowej dla nowo zdobytego kraju, Cesarz kładzie swój podpis 20 sierpnia 1851 r. w Schönbrunn na pismach gabinetowych, które miały przeciąć na lat dziesięć organizacyę życia konstytucyjnego. Akt ten w formie listu do ks. Schwarzenberga zmienia attrybucye ministrów, którzy nie mają odtąd być odpowiedzialni przed nikim tylko przed koroną, jako Rada korony.

„Jako bezpośrednią następność decyzyi — mówi dekret cesarski — którą wydałem względem politycznego stanowiska mego ministeryum, uznaję za konieczne i niecierpiące zwłoki wziąć pod dojrzałą i dokładną rozwagę pytanie co do istnie-

nia i możności wykonania konstytucyi 24 marca 1849 r. W roztrząsaniu tego pytania, jako i w każdej następnej czynności, nie należy spuszczać ani na chwilę z oka utrzymania wszystkich warunków monarchicznego układu i politycznej jedności mego państwa i owszem jako konieczną podstawę wszystkich prac uważać".

Akt ten był wstępem do zamachu stanu, nosi nazwę w ówczesnej prasie „koniecznej rewizyi konstytucyi". *Czas* wypadek wielkiej doniosłości przyjmuje milczeniem, bo gdyby nawet cenzura, natychmiast nader zaostrzona, jakiekolwiek uwagi dopuszczała, nie była to już chwila do dyskusyi.

Kiedy w r. 1849 każdy proces polityczny, aresztowanie i wyrok sądów wojskowych był zamieszczonym w *Czasie*, teraz z tradycyi i wspomnień zapisywać musimy fakta uwięzień. Niespotykamy bowiem w *Czasie* wzmianki o sprawie Leona Goslara, który próbował nawiązywać spiski, zbierał składki i zapisywał imiona dawców, czem wielu obywateli z Galicyi skompromitował. Goslar został skazany na śmierć przez powieszenie. We Lwowie uwięziono Karola Hubickiego posła kromieryzkiego i kilku innych.

W Krakowie uwięziono Annę Różycką, wnuczkę pp. Szastrów, których dom w społeczności krakowskiej był bardzo szanowany i znaczący. Sprawę Anny Różyckiej osłaniała ścisła tajemnica, którą kiedyś badanie protokołów śledczych wyświeci. Mówiono, że powodem ciężkiego więzienia była korespondencya z kilkoma wybitnemi osobistościami emigracyi. Zapadł w tej sprawie wyrok surowy, lecz przyszedł akt łaski cesarskiej odczytany niestety już umierającej.

Nie zostało również w *Czasie* zapisanem uwięzienie Adama Potockiego, najwybitniejszego w Krakowie obywatela i głównego właściciela tegoż dziennika. Uwięzienie to nastąpiło w październiku 1851 r., a uwolnienie w październiku roku następnego. Zamek na Wawelu zamieniony w więzienie stanu zaczął się zapełniać. Im bardziej niedocieczone i zagadkowe były powody uwięzienia hr. Potockiego, tem głębsze zapanowało przerażenie całego społeczeństwa. Daleki od wszelkich tajnych związków, przez całe życie bywał on śmiałym rzecznikiem kraju w parlamencie, wobec władz i wobec tronu; przeciwnik polityki emigracyjnej, bezustannie daje swą myśl,

swe imię i ofiary materyalne we wszystkich kierunkach, mogących przyczynić się do podźwignienia kraju i miasta. Towarzystwo Rolnicze reorganizuje i daje mu nowy popęd, odbudową pogorzałego miasta gorliwie się zajmuje, popiera każdą inicyatywę czy w sferze nauki, czy w sferze przemysłu. Wszędzie spotykamy jego postać, jego hojną dłoń, jego bujną myśl. Uwięzienie Adama Potockiego było zamachem na rozwój wewnętrzny kraju i społeczeństwa. Wyrok zapada na 10 lat ciężkiego więzienia, a w motywach to piękne świadectwo, że oskarżony całe życie myśli o odbudowaniu Polski. Po odczytaniu wyroku, odczytano akt łaski cesarskiej.

Redakcya *Czasu* zmuszona milczeć o tem, co najbliżej i najgłębiej ją bolało, zwraca się z konieczności do spraw teoretycznych i zagranicznych, a zarazem zasilana korespondencyami z kraju, zajmuje się temi pracami i usiłowaniami, które w danych warunkach były jeszcze możliwe.

Kilkakrotnie zapowiadana i odwoływana podróż cesarska do Krakowa i Galicyi, przychodzi do skutku w tych smutnych okolicznościach. Przybycie monarchy daje powód do przesilenia w łonie redakcyi. Rzecz tak się miała. Paweł Popiel nie lubił pisać, myśli rzucał ołówkiem na papier, lub dyktował. W wilię przybycia Cesarza, szef redakcyi prosi młodego Waleryana Kalinkę, aby pisał artykuł powitalny, który mu podyktuje. Nie był Popiel nawskróś monarchistą, było coś w nim republikanina na krój rzymski, a w pismach jego spotykamy często uwagę, że mniejsza, jaka forma rządu, byle miała podstawy prawa i wyrobienia historycznego, lecz Popiel miał wysokie poczucie poszanowania władzy jako czynnika ładu społecznego, tem więcej majestatu z łaski Bożej. Zresztą od młodości dążenia jego zwracały się ku idei austryackiej, w której upatrywał podstawę do kompromisu z ideą polską, i w tem się różnił od swego przyjaciela Aleksandra Wielopolskiego. Choć czasy tak trudne i prądy tak przeciwne, Popiel chciał dać wyraz tych podwójnych uczuć w artykule powitalnym młodego monarchy. Gdy zaczął dyktować — po pierwszych okresach — Kalinka składa pióro i powiada: „Przepraszam! dalej pisać tego nie mogę“. Zaczyna się dyskusya — Popiel odwołuje się do Manna: „Może ty dokończysz“! — i znów dyskusya. Mann

odkłada pióro: Nie! jestem bardziej monarchistą, niż ty — ale w tej chwili, gdy niezatarły się świeże krzywdy a nowe powstają, gdy kraj nie dźwignął się z klęsk doznanych, a na nowe wystawiony, gdy wreszcie Adam w więzieniu — ja tego nie napiszę — choć twoją myśl rozumiem, a zdanie oceniam“.

Dyskusya zasadnicza i stanowcza sprawia, że Popiel oświadcza, iż składa odpowiedzialność kierownictwa i występuje z redakcyi, gdyż, cokolwiek dziś cierpimy, nie ma przepaści, którejby polityka zarównać nie mogła, a od powitania Cesarza, który wejdzie kiedyś na inne tory, przyszłość nasza zawisła...

Gdy Popiel ustępował z redakcyi, wszedł urzędnik wysłany przez namiestnika hr. Gołuchowskiego z oświadczeniem, że żaden artykuł powitalny dopuszczonym przez cenzurę nie będzie.

Franciszek Józef wjechał do Krakowa od strony Podgórza konno. W orszaku znajdowali się hr. Gołuchowski, główno dowodzący jenerał ks. Schwarzenberg, jenerał adjutant hr. Grünne, bar. Kellner, hr. O'Donnell. U mostu podgórskiego wznosiła się brama tryumfalna, gdzie stała Rada administracyjna z Piotrem Michałowskim na czele, i naczelnicy władz. Wzdłuż plantacyj od przedmieścia Wesołej okrążył orszak cesarski miasto i zwrócił się ku bramie Floryańskiej. Tu burmistrz Paprocki wręczył Cesarzowi klucze miasta i miał powitalną przemowę. Przejechawszy ulicą Floryańską, Cesarz przed kościołem Panny Maryi zeskoczył z konia, powitany u wrót kościoła przez administratora dyecezyi X. Gładyszewicza, udał się przed wielki ołtarz i wysłuchał nabożeństwa stojący. Potem znów konno okrążył rynek i zsiadł przed pałacem Spiskim. Tam szereg audyencyj, obiad z licznem gronem zaproszonych obywateli, illuminacya. Nazajutrz zwiedzanie katedry na Wawelu, Uniwersytetu, instytucyj i t. d

Ludność wszędzie tłumnie się gromadziła — jakieś dalekie, dobre przeczucia zbliżało ogół do młodego monarchy, który w chwili klęski przyszedł Krakowowi z ratunkiem, a w przyszłości miał zdobyć wszystkichserca i wdzięczność.

Dalsza podróż cesarska po Galicyi trwała trzy tygodnie. Cesarz nieunikał zetknięcia z obywatelstwem. Zdarzało się nawet, że rzucono tu i ówdzie śmielsze słowo, jakąś skargę na obecny system, do czego zachęcał namiestnik hr. Gołuchowski, walczący z wpływami krajowi przeciwnemi. Młody monarcha, o rycerskiej i pięknej postawie, po uśmierzeniu rewolucyi i powstań, szedł dziś innym torem, ale przeczuwano, że kiedyś zwróci się z nich może, dając popęd szlachetności swej duszy.

Popiela uczucie nie było mylne, niedało mu zaprzeczenia usposobienie ogółu, nie zaprzeczyła trafności jego poglądów dalsza przyszłość, na którą jeszcze długo czekać przyszło.

Jak kwestya artykułu powitalnego była powodem ustąpienia Popiela z redakcyi, tak opis przyjazdu wprowadził do redakcyi Szukiewicza. Gdy w Krakowie podówczas wielkie obchody nie bywały częste, reporterya dziennikarska zostawiała wiele do życzenia. Z zakłopotanej redakcyi, jak zebrać wszystkie szczegóły o wjeździe Cesarza, wysłano na miasto Kalinkę; Kalinka spotkał Szukiewicza, dawnego swego z redakcyi *Jutrzenki* kolegę, który, należąc już podówczas do Rady miejskiej, wraz z nią postępował tuż za Cesarzem od bramy Floryańskiej do kościoła Panny Maryi i tu znalazł się w presbiteryum.

Szukiewicz we fraku i w białej krawacie po raz pierwszy wszedł do redakcyi *Czasu* i napisał pierwszy artykuł sprawozdawczy o wjeździe cesarskim. Z pod czoła spojrzał Mann na tego, z którym niedawno jeszcze toczono żwawe polemiczne zapasy. Od dnia tego przy tym zielonym stole redakcyjnym mieli oni przepędzić razem lat trzydzieści z górą. Mann wysoki szczupły, Szukiewicz niski i otyły, jak postawą tak usposobieniem bardzo odmienni, a choć nieraz w poglądach różni, zrośli się niemal w jedność, ścisłem poczuciem obowiązku, wzajemnym szacunkiem i sumiennością pracy. Gdy Mann sferą towarzyską łączył *Czas* z arystokracyą polską, a kulturą z arystokracyą umysłową Europy, Szukiewicz, pracownik i umysł gruntownie wykształcony, wnosił do redakcyi zapas wiedzy z innej dziedziny, bardziej pozy-

tywnej, a znów stanowiskiem radcy miejskiego i stosunkami stanowił ogniwo łączące redakcyę z mieszczaństwem krakowskiem. Jako uzupełnienie wejdzie niebawem Kłobukowski, znów złączony ze sferą szlachty wiejskiej. Jednolitość organizmu w tym składzie uzupełniała się wybornie. Typowość tych postaci, specyalność piór i umysłów, mimo sprzeczności, dziwnie harmonizowały.

Pytano nieraz: kto jest naczelnym redaktorem dziennika? Pytanie zostało bez odpowiedzi — panowała tu rzeczpospolita, ale bez anarchii, doskonale zrównoważona. Czy sprawy odbywały się kollegialnie? i o tem nie myślano, tylko każdy wiedział, co do niego należy, kogo o co się zapytać, bądź to aby się poinformować, bądź aby przedyskutować punkta ważniejsze i pytania, w których mogły zachodzić różnice zdań. Sesye redakcyjne bywały krótkie. Szukiewicz siedział za swoim stolikiem od rana do wieczora i był tem, czem w szkole bywa gospodarz klasy. Mann przychodził po Mszy św. u Panny Maryi o godzinie 11-ej i zostawał bez przerwy do zamknięcia dziennika do piątej po południu. Trzymał się zaś zdania słynnego publicysty Emila Girardina, że dziennikarz powinien przynosić do redakcyi jedną ideę na każdy dzień. Kłobukowski, również regularny jak zegarek, zasiadał na swojem miejscu, przyjmował gości redakcyę odwiedzających i zapełniał szpalty swego działu. Wszyscy trzej odczytywali cały dziennik zanim szedł na prasę.

Na godzinę wpadał Siemieński dla przeczytania feuilletonu i była to godzina najweselsza w redakcyi. Niezrównanym humorem i świetnym dowcipem ożywiał zasępione oblicza redaktorów politycznych.

Gdy Popiel ustępował z redakcyi, której był szefem, pociągnął za sobą Kalinkę.

— Ty się tu nie ostoisz w tak twardych czasach, niepohamujesz się — palniesz głupstwo — szkoda ciebie — idź zagranicę, oddaj się historyi. W Salamance są archiwa królów hiszpańskich, dotąd nikt z polskich historyków ich nie badał. Trzeba poznać korespondencyę Karola V z Zygmuntem Starym, a Filipa II z Zygmuntem Augustem i Batorym.

Rady Kalinka posłuchał i przyjął pomoc, zwłaszcza że groziło aresztowanie. Wyjechał za granicę, w Paryżu napisał znakomitą pracę: *Kraków i Galicya*, a jakaż to różnica od pamfletu, przed paru laty rzuconego p. t. *Listów z Krakowa Pęcławskiego*. Następnie podczas wojny krymskiej bawił na Wschodzie; potem *Wiadomości polskie*; potem paryskie Biuro. Wśród tego odzywało się nieraz powołanie duchowne, aż się i spełniło. Wrócić miał w lat trzydzieści do kraju historykiem i zakonnikiem. Witał go wtedy z rozrzewnieniem stary Popiel i grono redakcyi.

Gdy się przerwało pasmo polityki wewnętrznej w kraju i w państwie, ku Francyi zwrócona ogółu uwaga, nadchodzi tam chwila przełomu. Republika rzuca ostatnie promienie w świetnych rozprawach nad prawem o municypalności, na trybunie Berryer, Montalembert, Thiers, Odilon Barot, każdy z innego stanowiska, zwalcza ten projekt księcia Prezydenta, lecz wnet ma zajaśnieć gwiazda napoleońska.

Dla nas owe promienie republikańskie nie mogły mieć wielkiej ponęty, a ta gwiazda, która niegdyś przewodziła naszym legionom, budziła niezatarte wspomnienia, nieprzygaszone nadzieje.

Czas bacznie śledzi tę historyczną ewolucyę, na którą już od dwóch lat się zanosiło, a która w grudniu wybuchła zamachem stanu, uwięzieniem ludzi wybitnych i niezależnych różnych stronnictw i obozów, kilkodniową krwawą walką na barykadach, co miała się zakończyć w parę miesięcy później ogłoszeniem drugiego cesarstwa. Niezmiernie zajmujące korrespondencye paryskie Bielkiego, Januszkiewicza i później nieco Andrzeja Edwarda Koźmiana, przedrukowane dziś stanowićby mogły pełny i barwny rozdział historyi tych doniosłych wypadków.

Pod ich wrażeniem Maurycy Mann wyjeżdża do Paryża i nadsyła szereg listów z oceną tych zmian i przewidywaniem dalekich ich następstw. Mann miał wspomnienia ks. Ludwika Napoleona z lat uniwersyteckich, spędzonych w Genewie. Spotykał on tam u profesora Sismondiego przyszłego cesarza Francyi, podówczas awanturniczego konspiratora. Książę Napoleon chciał przekonać Sismondiego o zbawienności swej teoryi powszechnego głosowania. „Jest to

doskonały instrument — mówił on wówczas — tylko trzeba umieć grać na nim". Gdy książę pożegnawszy się z profesorem wskoczył na siwego rumaka, Sismondi nie przekonany rzekł do Manna: „Biedny książę — ale głupi — powszechne głosowanie, to rumak krnąbrny, z którego on kiedyś kark skręci"…..

Umiał grać Napoleon na tym instrumencie, gdy poparty t. z. *suffrage universel* obalił Republikę, grał na nim przez lat kilkanaście za pomocą kandydatur rządowych, przeprowadził jedność włoską, jeszcze przygrywając na tym instrumencie, aż wreszcie koń poniósł i jeździec kark skręcił — instrument pozostał, ale po Napoleonie III nikt już na nim grać nieumiał.

Nie bez pewnego sympatycznego pociągu, ale z krytyką, rozwijają się sądy w *Czasie* o nowym porządku, o ideach napoleońskich, o nowej napoleońskiej erze. Sympatya pobudza urok tradycyi i blask wielkości, którą Francya z drugiem cesarstwem odzyskuje w Europie, krytykę wywołuje ta dążność niwelacyjno-demokratyczna, jaka się już objawiła w prawie o municypalności, rozwija się w zasadzie powszechnego głosowania, a służyć ma nie sprawie postępu i równości, ile za narzędzie osobistych rządów i despotycznego imperyalizmu.

Gdy zamach stanu 2 grudnia wstrząsa światem, w parę miesięcy później cicho, bez rozgłosu następuje innego rodzaju zamach stanu w Wiedniu, gdy konstytucya tam cofniętą zostaje. Istniała ona dotąd tylko na papierze, gdy te papiery zostały rozdarte, nie było na to potrzeba jednego cięcia pałasza. Nastąpiło to w styczniu 1853 r.

Choć nikt tej konstytucyi nie żałował i nikt nieusiłował jej bronić, jej brak niebawem dał się ciężko ludom uczuć. Nastała wnet reakcya, już nie biurokratyczna tylko, ale policyjna. Cofnięcie konstytucyi nie dałoby się uczuć, gdyby ludzie sterujący rządem państwa mieli jakiekolwiek wyższe myśli, sięgające w przyszłość. Jakaś martwota i formalistyka nad wszystkiem zawładnęła. Nastały ciężkie czasy, wszelkiego rodzaju utrudnień i szykan. Rozbujałe myśli wzięto na łańcuch cenzury, który zwłaszcza w Krakowie wobec jedynego polskiego dziennika szedł o lepsze w surowości i ka-

prysie z cenzurą warszawską. Po dwa i trzy razy dziennie współpracownicy *Czasu* z Krzysztoforów spieszyć muszą do pałacu Spiskiego, aby u pana Sachera, później hr. Mercandina, wytargować coś z przekreślonych przez cenzora ustępów, często z niewinnem doniesieniem, lub najskromniejszą uwagą.

W Warszawie za paszkiewiczowskich czasów wytworzyła się osobna metoda przemytnictwa myśli pod różnemi allegoryami. Mówiło się o Chinach lub Honolulu, chcąc coś powidzieć o usposobieniu kraju, jego potrzebach i uczuciach. Między ogółem czytelników a redakcyami istniał jakby klucz tajemny i umiano tam czytać między wierszami. Cenzura krakowska, mniej sroga co do litery, słów i nazw, baczniej jeszcze śledziła ducha, szukała tego, co się zwało *politisch verdächtig*.

W pół roku cenzurę prewencyjną zastąpiono francuskim systemem odpowiedzialności redaktorów, konfiskatą i ostrzeżeniami. Odpowiedzialność kończyła się częstokroć więzieniem, a to spotkać miało odpowiedzialnych redaktorów *Czasu* trzykrotnie. Zmianę tę przyjmuje też *Czas* bez złudzenia i skarży się, że sam czuwać teraz musi nad własnem bezpieczeństwem. Pierwszym odpowiedzialnym redaktorem *Czasu* był Konstanty Sobolewski. Niedziw, że odczytując dziś te kilka roczników *Czasu*, wydają nam się bezbarwne i czcze i mają raczej charakter kronikarski i pamiętnikowy, niż polityczny i historyczny. Rząd przeprowadza radykalną germanizacyę szkół; *Czas* o tem milczeć musi, nie wolno mu donieść, że czterech wybitnych profesorów uniwersytetu: Helcel, Pol, Zielonacki i Małecki dostają dymisyę, a na ich miejsce przybywa Wachholz z całym sztabem trzeciorzędnych uczonych niemieckich. Nietylko sfera duchowych, ale i materyalnych interesów w kraju dotknięta tą bezwzględnością i bezmyślnością reakcyjną.

Dziennik pozostaje na placówce, jak działo zagwożdżone. Powiewa nad nim sztandar niezmienionych zasad, objawia się tasama dążność, choć skrępowana. W Krakowie zakładają niemiecką *Krakauer Zeitung* pod kierownictwem uniwersyteckich germanizatorów. W tem złudzeniu, że w Krakowie niemczyzna da się zaszczepić, część literacka *Krakauer*

Zeitung dość zajmująca, pod kierownictwem młodego literata Emila Pola, przy udziale dość sympatycznej postaci prof. Bratranka, który obok studyów nad Goethem, zajmuje się niekiedy przedmiotami z literatury polskiej.

Krakauer Zeitung, choć jest anomalią, nie zajmuje atoli polakożerczego stanowiska, a stosunki redakcyi *Czasu* z niemiecką koleżanką, choć są dalekie i chłodne, nie są zaostrzone polemiką i antagonizmem.

Przetrwać ciężkie czasy, nie opuszczać posterunku — oto całe zadanie, które ma teraz do spełnienia nasz dziennik. Aby to zadanie spełnić, trzeba stać na straży zasad, w wyczekiwaniu zmiany położenia. Wystarcza teraz dla polityki zagranicznej i kroniki miejscowej zmniejszony na Nowy Rok 1853 format trzech szpaltowy. Informacye zagraniczne obfite, gdy z Londynu pisuje Lach Szyrma, z Paryża Andrzej Edward Koźmian, mający rozległe stosunki w wielkim świecie i sferach dyplomatycznych, i Eustachy Januszkiewicz, którego dom i księgarnia jest ogniskiem literackiego świata emigracyi polskiej. Z Wrocławia i Berlina pisuje prof. Wojciech Cybulski, z Rzymu nadsyłają wiadomości Leon Rzewuski i OO. Zmartwychwstańcy, o stosunkach w Wielkopolsce i walkach w sejmie berlińskim donosi Kajetan Morawski z Jurkowa, a głos zacnego obywatelai jednego z przywódców ruchu katolickiego w Poznańskiem odzywać się będzie przez długie lata, z wymianą poglądów, skarg i nadziei o położeniu dwóch dzielnic Polski. Z Warszawy rozpoczynają się feuilletony redaktora *Kuryera Warszawskiego* Kucza, trochę formą i treścią banalne, ale wiernie regestrujące bieg zdarzeń codziennych z teatru, literatury, zwłaszcza muzyki, którą się Warszawa wówczas upajała.

O części literackiej *Czasu* przyjdzie nam osobno mówić, gdy naznaczymy wpływ tego działu na ewolucye współczesne w sferze piśmiennictwa. Tu nadmieniamy, że po Rzewuskim i Kraszewskim, najbardziej wzięty ówczesny powieściopisarz Zygmunt Kaczkowski, przebywając w Krakowie, umieszcza swe opowiadania z czasów saskich: *Walka o Chorążankę* i *Kasztelanice Lubaczewscy* w odcinku *Czasu*. Jest chwila, gdy zbliża się on do redakcyi, do jej składu jednak nie wchodzi, bo szuka zanadto własnego powodzenia, którego

nie zapewnia nikomu żmudna i bezimienna praca współpracowników *Czasu*.

Walery Wielogłowski, który swemi wydawnictwami w tych ciężkich czasach daje dowody niezmiernej odwagi i przedsiębiorczości, a swem piórem pełnem dowcipu i werwy ożywia uśpione umysły, odzywa się częstokroć w szpaltach *Czasu* i zostaje w bliskim z redakcyą związku. Józef Łepkowski, który próbował zawodu dziennikarskiego w *Jutrzence*, zasila częstokroć kronikę i feuilleton *Czasu*, o rzeczach starożytności krakowskich. Spotyka się tu niekiedy jakiś krótki list w stylu przypominającym czasy zygmuntowskie; domyśleć się można pióra biskupa Łętowskiego. To znów Józef Kremer w pięknej swej prozie pisze niekiedy o rzeczach dotyczących Uniwersytetu.

Czas staje się jedynem ogniskiem, do którego dorzucają łuczywo wszyscy ludzie pióra w Krakowie, a znoszą tadże polana korespondenci ze wsi i prowincyi. Między nimi odznacza się sarkazmem i dowcipem Franciszek hr. Wiesiołowski w listach z pod Mielca i z nad Wisłoki. Niegdyś konspirator i wielkorządca na zachodnią część kraju przed wybuchem 1846 r., po krwawej katastrofie, więzieniu i materyalnej ruinie politycznie wytrzeźwiony, a bliską przyjaźnią z Lucyanem Siemieńskim, który podobne przebywał koleje, złączony, zwraca się ku konserwatywnemu *Czasowi*. Ultra-konserwatysta, który nieuznał do śmierci dwóch faktów rozbioru Polski i zmienienia stosunków patrymonialnych, podatki opłacał tylko pod przymusem egzekucyi a robociznę wynagradzał tylko daremszczyznami, Edmund hr. Krasicki z zamku w Lesku odzywa się niekiedy z poglądami innego stulecia. *Czas* zostawia wolne pole tym krzyżującym się głosom, umieszcza nawet korespondencye z wyrzutami i krytyką zwróconą przeciw redakcyi, że obniżył swój ton, że nie przemawia tak śmiało, jak w pierwszych latach, że zajmuje się zanadto Europą i innemi częściami świata, a za mało sprawami domowemi. Odpowiedź i obrona zbyteczna, bo łatwo domyśleć się jej w warunkach cenzuralnych.

Powróciwszy z Paryża i Rzymu, Maurycy Mann niedługo zatrzymuje się w Krakowie. Gdy hr. Adam Potocki wypuszczony został z więzienia, powstaje w Krzeszowicach

projekt pielgrzymki do Ziemi Świętej. Kilku przyjaciół ma im towarzyszyć, w ich gronie znajduje się Maurycy Mann. Owocem półrocznej pielgrzymki będzie trzech-tomowe dzieło *Podróż na Wschód*, które odróżnia się od innych opisów Ziemi Świętej głębszemi studyami o stosunkach politycznych na Wschodzie. Studya te staną się ważnem przygotowaniem dla ocenienia wypadków, które niebawem z dyplomatycznego sporu o miejsca święte wywołają wielką wojnę i rozdzielą Europę na dwa obozy.

W tak ciężkich warunkach, które doprowadziły kraj do stanu bierności i niemocy, rozluźnia się węzeł, który połączył w r. 1848 akcyonaryuszów *Czasu* w zawiązek stronnictwa. Syn bankiera i kupca ze starej patrycyuszowskiej rodziny krakowskiej, Wincenty Kirchmajer, obok uzdolnienia finansowego odznaczający się wyższem wykształceniem, przedsiębiorczością i dobrą wolą, proponuje wykupienie akcyj *Czasu* na osobistą swą własność. Zmiana ta nie miała być niekorzystną dla dziennika. Nowy właściciel zapewnia i szanować będzie zupełną niezawisłość redakcyi. Przez długie lata dotrzymał tego warunku i nigdy interes właściciela nie wpływał na kierunek dziennika. Gdy miał podjąć zakupno resztek królewszczyzn od rządu, szukał poparcia dla tego przedsiębiorstwa w dziennikach lwowskich, redakcyi *Czasu* zostawiając wolne pole krytyki ze stanowiska ekonomicznego czy narodowego. To uszanowanie samodzielności redakcyi, aby żaden wzgląd prywaty nie miał wpływu na jej zdanie i stanowisko, daje miarę niezłomności charakterów i wyższego poczucia godności dziennika.

Kirchmajer zadawalniał się tem, że stanowisko właściciela *Czasu* dawało mu pewną wobec kraju powagę. Nie szczędził on też nakładów na wydawnictwo, zyskiem z drukarni pokrywał deficyt dziennika. Nie uchylił się przed nowemi stratami, gdy rozpoczęto nakład miesięcznego *Dodatku*. Niekiedy zasilał *Czas* pracami swego pióra w sprawach ekonomicznych. Szkoda, że na wiedeńskim bruku, wśród zapasów potęg giełdowych i gorączki gründerskiej, zwichnął się i runął człowiek, który używał w Krakowie i w kraju wzięcia i zaufania. Upadkiem swoim spowodował nietylko katastrofę finan-

sową, ale i klęskę moralną, a był to człowiek nie bez wartości i zasług.

W składzie redakcyi zachodzą zmiany. W sierpniu 1854 r. umiera w Ems Konstanty Sobolewski, współpracownik *Czasu* od założenia, następnie redaktor odpowiedzialny. Dobrego kolegę żegna Mann artykułem wstępnym, dając świadectwo talentowi dziennikarskiemu, a zwłaszcza przymiotom charakteru. Trzeba było coprędzej tę próżnię zapełnić. Kandydatów nie brakowało, bo ich nigdy i na nic u nas nie brakuje, a zwłaszcza wydaje się ludziom, że do dziennika, gdzie nie wymagają patentów egzaminowych, każdy, co jako-tako pisać umie, przydać się może. Mniemanie to, bardzo rozpowszechnione, prowadzi do upadku dziennikarstwa — redakcye zapełniają się pierwszym kandydatem z kraju, który znów zapełnia szpalty pisma tandetą dziennikarską. Dziennik nie redaguje się piórem, ale nożyczkami, a jak własność literacka nie obowiązuje dziennikarstwa, tak znów nie obowiązują go często wyższe zasady etyczne, dobra wiara, szanowanie dobrej sławy ludzkiej i sumienie w sądzie o rzeczach publicznych. Bez przechwałki powiedzieć należy, że tak nie bywało nigdy w redakcyi *Czasu*. Nie przyjmowano narzucających się kandydatów, ale szukano ich i dobierano. Mniej może surowym bywał ten dobór pod względem uzdolnienia, ile pod względem wartości moralnej.

Mann zwrócił uwagę na Antoniego Kłobukowskiego, choć go nie znał osobiście. Szlachetna i ujmująca postać wpadła w oko znawcy ludzi. Kłobukowski, ze starej rodziny szlacheckiej, gdy wieś dziedziczna poszła na podziały między braci, skończywszy uniwersytet, zajął się wychowaniem hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa, ze swym elewem przebył parę lat w Paryżu, podróżował po Europie. W r. 1846 jeden brat poniósł okrutną śmierć — Antoni Kłobukowski nie zwrócił się zwykłym trybem do gospodarstwa, lecz zajmował się literaturą.

Krążyły po kraju ładne wiersze, może nieco zbyt wygładzone, w których poznać można odbicie wziętego wówczas Lamartine'a. Kilka powiastek oryginalnych, przekład dramatów Delavigne'a—oto cały zapas literacki, jaki z sobą przynosił. O wstąpieniu do redakcyi *Czasu* nie myślał —

po śmierci Sobolewskiego Mann odwiedził Kłobukowskiego, zapoznał się z nim i zrobił mu propozycyę. Chodziło tu głównie o podpisywanie dziennika, o odpowiedzialność wobec rządu i sądów — chodziło także o stosunek zewnętrzny redakcyi wobec publiczności, o ogładę, takt i polubowność, o godną i zacną reprezentacyę. Do takiego stanowiska potrzeba było warunków wychowania, poprawnych form, nadewszystko przymiotów charakteru i czegoś więcej jeszcze, bo ducha rycerskiego.

Kłobukowski miał te zalety, był typem gentlemana w najlepszem tego słowa znaczeniu. Podzielając zasady *Czasu*, gotów był zawsze wobec samowoli rządu, czy zaczepki, zkądkolwiek ona przychodziła, stanąć w obronie dziennika z prawdziwie rycerskiem poczuciem. Czy więzienie, czy rozprawa honorowa, przed niczem się nie cofnął. Odpowiedzialny redaktor, nie był to *ein Strohmann*, ale przedstawiciel dziennika i jego chorąży, człowiek, który składając podpis na każdym numerze, brał za niego poważnie, stanowczo odpowiedzialność, niech będzie co chce. Gdy lada artykuł śmielszy zagrażał kilkumiesięcznym pobytem w więzieniach Wawelu, pan Antoni artykułu nie wstrzymał, gdy był potrzebny i sprawie odpowiedni. Przed jednemby się tylko cofnął, gdyby ujrzał cokolwiek, co jego poczuciu honoru nie odpowiada w zupełności. To też ten podpis *Antoni Kłobukowski* na czterdziestu rocznikach dziennika, jest godłem i świadectwem jego nieskazitelności, że nigdy w redakcyi, ani w otoczeniu redakcyi nic nie zaszło, coby budzić mogło zarzut lub wątpliwość pod względem dobrej wiary, całkowitej bezinteresowności, szlachetnego celu, a prawych do niego środków i dróg. Piszący wspomina to imię odpowiedzialnego redaktora z czcią i wdzięcznością, gdyż dwukrotnie w ciężkich przejściach ocenić mógł we własnych sprawach tę rycerską i szlachetną naturę.

W dwa lata później, w r. 1856, wstępuje do redakcyi *Czasu* Leon Chrzanowski. Przybył on świeżo z zagranicy, gdzie przebywał przy boku swego stryja, jenerała Chrzanowskiego.

W duszę tego naówczas młodzieńca, dziś weterana w służbie krajowej, wpłynęły rycerskie tradycye stryja, po-

budki z 1831 r., następnie najgorętsze uczucia patryotyczne tego doborowego grona emigracyi polskiej, do jakiego należał jenerał Chrzanowski.

Gdy stryj po kampanii badeńskiej układał słynną mapę Polski, bratanek uczył się od niego historyi wojen i strategii. Z mozolnych studyów bardzo rozległe wyniósł wykształcenie, a należy do tych umysłów, co się nigdy nie zatrzymują i sobie nie folgują do końca. Wyjątkowa siła woli, niezmierna pracowitość, ścisłe poczucie przyjętego obowiązku odznaczają Leona Chrzanowskiego na polu publicystycznem, jak na polu parlamentarnem. Nie zawsze wygodny kolega czy w redakcyi czy w Kole polskiem — twardo stojący przy swojem zdaniu, Chrzanowski niczyim nie zwykł ulegać wpływom, nie łatwo przyjmuje kompromisy — trzeba się z nim liczyć, czy przy stole redakcyjnym, czy na ławach sejmowych.

Silny patryotyzm nie jest u niego tylko najgorętszem uczuciem, ale także podstawową, główną zasadą — wolny od wszelkiej doktryny, nie wchodzi w karby stronnictwa — jest zawsze samodzielną indywidualnością z ostremi kantami.

Wstąpienie Chrzanowskiego do redakcyi *Czasu*, wprowadza nowy żywioł do dyskusyi. Utarły się już były różnice między Mannem a Szukiewiczem. Obaj równie silnem uczuciem polskiem ożywieni, lecz Mann miał za kryteryum zasady katolickie, w Szukiewiczu pozostały pociągi liberalne i nawyczki demokratyczne w dobrym rodzaju i znaczeniu. Chrzanowski nie lubi iść na prawo lub lewo, dla niego znów jedynem kryteryum idea polska. Znikają już dziś ostatnie postacie tego typu — chłodnie patryotyzm, więc mniej zrozumiałem będzie niebezpieczeństwo, jakie wówczas istniało, gdy pojęcie Ojczyzny stawało się najwyższem *absolutum* tak w dziedzinie myśli, jak i czynów. Patryotyzm jest uczuciem — winien być celem, lecz nie wystarcza jako program. Dziś inne powstaje niebezpieczeństwo, że rozłamy i przedziały zasad coraz głębsze, a zapełnić ich już nie zdoła słabnące i przygasające uczucie patryotyczne.

Mówiąc o najstarszym z żyjących członków redakcyi *Czasu*, który przez dziesięć lat wytrwale w dzienniku pracował i ważny wywierał wpływ, a porzuciwszy stół redakcyjny dla walk i prac parlamentarnych, nie przestał stale zasilać

dziennika i nie zerwał nigdy serdecznych węzłów, jakie z nim go związały, nie mogliśmy pominąć tej zasadniczej różnicy w pojęciu spraw publicznych, bo ta różnica oddziałała znacząco na dalszy kierunek *Czasu*.

W późniejszych latach, jako współpracownik, wstępuje do redakcyi Zygmunt Sawczyński i pozostaje w niej przez lat kilka — przez kilka miesięcy zasiada w redakcyi Mikołaj Zyblikiewicz. Obaj profesorowie gimnazyalni z Tarnowa w *Czasie* znajdują pole, szkołę życia publicznego. Przyjaciele i koledzy, pisać się mogą, jak pisali się starzy, *gente Ruthenus notione Polonus*. Bodajby nie byli ostatni, co to miano nosić mogą i zechcą. Wśród ruchu 1846 i 1848 r. wielu z pośród młodzieży ruskiej spiskowało, nosiło mundury gwardyi narodowej, odznaczało się gorącością patryotyczną polską — ale niewielu pozostało pod godłem Unii — większość niebawem za danym podmuchem zapomniała o tych marzeniach młodości i poszła do obozu wrogów. Ci dwaj, to ostatnia nasza na Rusi duchowa zdobycz, a zapisać ich nazwiska warto w tej pięknej księdze znakomitych wodzów, rycerzy, obywateli, pisarzy i mówców, jakich Ruś przez cztery wieki oddawała Polsce.

Obaj ci współpracownicy *Czasu* odznaczali się łatwością pióra i świetnością wymowy. Zyblikiewicz wnet prześcignąć miał swego przyjaciela, bo go rwał w górę niezmierny zapał i wielka wytrwałość.

Po kilku miesiącach Zyblikiewicz otwiera kancelaryę adwokacką, więc opuszcza redakcyę *Czasu*, choć pozostanie z nią w ścisłych związkach do śmierci. Na różnych stanowiskach życia publicznego, jako burmistrz, poseł czy marszałek kraju, spieszy chętnie do redakcyi, lub szle do niej listy, świadomy, że z tem gronem rozumieć się zawsze będzie w wiernej służbie narodu i kraju. Gdy się zdarzyła nawet różnica zdań w kwestyi politycznej, Zyblikiewicz gwałtowny w dyskusyi, z przyjaciołmi z *Czasu* łatwo przychodził do porozumienia. Dziś postać jego w tych murach redakcyjnych występuje tak częstem wspomnieniem, bo duch jego łączy się z duchami tych, co tu zostawili swój ślad i wskazali drogę.

Sawczyński w późniejszych latach usunięty ze atanowiska profesora, musiał przejść na pole publicystyki — obaj ztąd zdobyli sobie mandaty i należą do tych, co przeszli przez *Czas* na szerszą arenę służby publicznej.

Wymienić tu jeszcze należy kilkoletnie współpracownictwo Gustawa Czernickiego, który z redakcyi *Czasu* przeszedł do redakcyj pism warszawskich.

Takie to siły tutaj się gromadziły, tutaj wyrabiały, a czasy były ciężkie, praca niewdzięczną.

Przerzucamy szereg roczników — żeby je streścić, trzebaby pisać historyę wypadków europejskich. Rocznik, obejmujący wojnę krymską, może służyć historykowi za źródło wszechstronne i głębsze wielkiego starcia Zachodu ze Wschodem. Każda faza tych wypadków z wielką znajomością stanu kwestyi, ze zgłębieniem natury sporu i sił mierzących się, z obfitością najlepszych informacyj, oceniona z prawdziwie politycznego stanowiska. Nieraz głos dziennika krakowskiego odbija się w organach francuskich, angielskich, to znów rosyjskich. *Czas* zdobywa sobie pod tę porę stanowisko dziennika europejskiego.

Ludwik Dębicki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka.

— *Unia brzeska (r. 1596).* Opowiedziana przez X. biskupa Edwarda Likowskiego, suffragana poznańskiego. (Poznań, 1896 r. Nakładem autora. Str. XX + 424). — *Naczerk istorii Unii ruskoj Cerkwi z Rimom.* (Lwów, r. 1896. Nakładem komitetu jubileuszowego. Str. 154). (*Szkic historyi Unii Cerkwi ruskiej z Rzymem*). — W 300-letnią rocznicę Unii brzeskiej wyszły dwie prace historyczne—pomijając oczywiście liczne artykuły w czasopismach — poświęcone temu wiekopomnemu zdarzeniu, mającemu wielką doniosłość zarówno dla Kościoła katolickiego, jak i dla dziejów obu narodów: polskiego i ruskiego. Jedna z tych prac pochodzi z pod pióra X. biskupa E. Likowskiego, jednego z najgruntowniejszych u nas znawców historyi Kościoła ruskiego, której już poprzednio poświęcił dwie poważne prace: *Historya Unii Kościoła ruskiego z rzymskim* i *Dzieje Kościoła unickiego na Litwie i Rusi w XVIII i XIX wieku.* Druga z prac wymienionych w tytule wyszła nakładem ruskiego komitetu jubileuszowego we Lwowie, pragnącego upamiętnić 300-letnią rocznicę Unii brzeskiej popularnem przedstawieniem jej historyi, „aby — jak powiedziano we wstępnem słowie — ona się znajdowała w każdej chacie ruskiej i aby z niej każda dusza ruska nauczyła się cenić wysoko to wielkie dobro, jakie nam daje Unia, to jest wiarę katolicką i obrządek wschodni". Z upoważnienia komitetu jubileuszowego dokonali tej pracy: Jan Matyjów, dyrektor seminaryum nauczycielskiego w Sokalu, i X. Dyonizy Dorożyński, katecheta grecko-katolicki przy c. k. gimnazyum akademickiem we Lwowie.

Zestawienie obu prac powyższych w tytule nie oznacza bynajmniej ich równorzędnej wartości. Zestawiliśmy je tylko obok siebie z powodu identyczności przedmiotu, ukazania się w jednym i tymże samym roku i w jednym i tymże samym

zamiarze uczczenia jubileuszu wypadku dziejowego wielkiej doniosłości dla historyi politycznej i kościelnej obu narodów. Powyższe okoliczności ułatwiają nam pracę sprawozdawczą o obu tych książkach, bez powtarzania się i wracania do faktów i rzeczy już znanych. Po za tem oczywiście wszelkie podobieństwo między niemi znika. Praca X. biskupa Likowskiego, oparta na materyale źródłowym, rękopiśmiennym i drukowanym, posiada wartość naukową, jest cennem zjawiskiem w naszej literaturze historycznej z lat ostatnich, a *Noczerk istorii Unii ruskoj Cerkwi z Rimom* p. Matyjowa i X. Dorożyńskiego, jest wydawnictwem popularnem, wysnutem z poważniejszych dzieł historycznych, bez zaglądania do źródeł. To też w sprawozdaniu naszem główną uwagę poświęcimy pracy polskiej X. biskupa Likowskiego.

Możnaby zrobić zarzut naszej redakcyi, iż przystępuje do zdania sprawy o tak poważnej pracy z zakresu dziejów kościelnych i politycznych Rzeczypospolitej polskiej dopiero w parę lat po jej ukazaniu się. Na nasze usprawiedliwienie przytoczyć możemy okoliczność, iż *Unia brzeska* dostojnego autora nie jest już całkiem obcą czytelnikom *Przeglądu Polskiego*, albowiem jeden jej rozdział drukowaliśmy w całości w roku jubileuszowym, a więc jeszcze przed ukazaniem się samego dzieła.

Zgodzić się można najzupełniej z tem, co sam autor ze znaną skromnością o swej książce powiada: „Jaką jest jej wartość naukowa, nie moją rzeczą o tem sądzić. Ale jakikolwiek sąd krytyka kompetentna o niej wyda, tego pewno mi nie odmówi, żem trudu i pracy nie szczędził, aby w szczupłych stosunkowo ramach dać dokładny obraz przedmiotu, który przedstawić sobie zamierzyłem. Wystarczy rzucić okiem na obfity materyał, który przewertowałem i zbadałem, aby mieć wyobrażenie, jakiego przygotowania ta niezbyt wielkiej objętości praca wymagała“. W istocie sam wykaz źródeł (rękopisów, dokumentów drukowanych i dzieł historycznych), umieszczony przez autora na wstępie, obejmuje ośm strnonic. Lecz i w ciągu opowiadania cytował je, gdzie tylko potrzeba zachodziła, nieraz w obszernych nawet wyciągach, czem złożył niezbity dowód, iż takowe wyzyskał jak najskrupulatniej. Dwa najdonioślejsze dokumenta do dziejów Unii brzeskiej podał na końcu książki, w dodatku.

Autor ubolewa, iż nie mógł już skorzystać z rozprawy Dra Antoniego Prohazki: *Dążenia do Unii cerkiewnej za Jagiełły*, drukowanej w zeszycie czerwcowym z r. 1896 *Przeglądu Powszechnego*, która doszła go dopiero wtedy, kiedy cała praca była na ukończeniu. Ze swej strony wyrazić musimy ubolewanie, iż autor nie mógł już korzystać z wydawnictwa pod tytułem: *Opisanie dokumentów archiwum zachodnio-ruskich unickich metropolitów (1470 — 1700 r.)*, które wyszło w roku bieżącym

w Petersburgu, w języku rosyjskim. Opisu tych dokumentów i ułożenia skorowidzu dokonał S. G. Runkiewicz, członek komisyi do zbadania archiwum synodalnego, znany już ze swych prac nad dziejami cerkiewnemi Rusi litewskiej. Opisano tam 1165 dokumentów najróżnorodniejszej treści, z których każdy może być uważany za materyał źródłowy pierwszorzędnej wartości do dziejów Cerkwi ruskiej wogóle, a w szczególności do dziejów zaprowadzenia i rozszerzenia się Unii we wszystkich ziemiach ruskich dawnej Rzeczypospolitej. Jakkolwiek wydrukowanie niektórych z tych dokumentów *in extenso* byłoby daleko większem ułatwieniem pracowników na tem polu, to już sam ich opis niezmiernie dla ułatwia bliższe zapoznanie się ze skarbami rękopiśmiennemi archiwum byłych metropolitów unickich, które obecnie wchodzi w skład archiwum synodalnego w Petersburgu. Mamy nadzieję, iż w drugiem wydaniu *Unii brzeskiej* przybędzie jej niejeden nowy szczegół, wydobyty z tego poważnego wydawnictwa lub przy jego pomocy.

W sześciu księgach, podzielonych na rozdziały, przedstawia nam autor dzieje Kościoła ruskiego od zaprowadzenia chrześciaństwa na Rusi, aż do drugiej połowy XV wieku i stan jego wewnętrzny przed Unią brzeską, dalej sam akt Unii brzeskiej i okoliczności towarzyszących jej dokonaniu, przeszkody stawiane jej rozwojowi i w końcu tryumf ostateczny. *Unia brzeska* X. biskupa Likowskiego kończy się na rządach metropolitalnych Welamina Rutskiego, kiedy byt jej pod każdym względem był już zabezpieczony. Całość dzieła zaopatrzono w skorowidz. Praca zatem X. biskupa Likowskiego zewnętrznie, to jest pod względem formy przedstawienia i rozkładu materyału, czyni zadosyć wszystkim wymaganiom, jakie dziś stawiać można wobec tego rodzaju książki naukowej. Przypatrzmy się teraz jej treści.

Pierwsze dwie księgi stanowią jakby wstęp do właściwych dziejów Unii brzeskiej. Bez nich fakt ten, tak doniosły w dziejach narodu polskiego i ruskiego, nie byłby należycie zrozumiałym. Nie tylko wśród ogółu intelligencyi, lecz nawet pomiędzy historykami utrwaliło się było przekonanie, iż głównymi sprawcami Unii brzeskiej byli OO. Jezuici i zostający pod ich wpływem król Zygmunt III Waza. X. biskup Likowski prostuje te mylne wyobrażenia. Nie zaprzecza udziału Jezuitów w przyjściu do skutku Unii brzeskiej, lecz redukuje go do skromnych rozmiarów w okresie przygotowawczym, poprzedzającym Unię. W chwili zaś przyjścia jej do skutku rola zakonu Jezuitów stała się już tylko pośrednią, a kiedy na Unię przyszły czasy krytyczne, to OO. Jezuici — zdaniem autora — sprzeniewierzyli się nawet swej misyi, przeciągając młodzież szlachecką, wychowującą się w ich konwiktach, na obrządek łaciński. Król Zygmunt III nie tylko ze względu na swój katolicki sposób myślenia, lecz i z pobudek politycznych powinien był popierać myśl

zjednoczenia obu Kościołów. Ludność ruska schizmatycka — jak tego mnogie są dowody w źródłach swojskich i obcych — ciągnęła ku jedynowierczej Moskwie, co się stało o wiele niebezpieczniejszem od czasu utworzenia osobnego patryarchatu w Moskwie. Pierwszy pojął to niebezpieczeństwo kanclerz państwa, Jan Zamoyski, a za jego wpływem odczuł takowe i król Zygmunt III, oraz polityczną doniosłość Unii kościelnej. Lecz projekt Unii nie wyszedł bynajmniej od króla Zygmunta III; wyszedł on z łona samego episkopatu ruskiego; tam zwolna kiełkował i rozwijał się, zanim w oświadczeniu najpierw czterech władyków, przesłanem Zygmuntowi III, nie przybrał formy konkretnej. Z akcyą rządową wystąpił król polski dopiero wówczas, gdy do deklaracyi czterech władyków przystąpił cały episkopat ruski.

X. biskup Likowski składa niezbite dowody, iż jakkolwiek Zygmunt III szczerze sprzyjał Unii brzeskiej, to samej akcyi kościelnej, z dziwną jak na owe czasy wyrozumiałością, pozostawiał bieg całkiem swobodny. W skutek atoli słabości władzy królewskiej, Zygmunt III nie mógł okazać takiego poparcia sprawie Unii kościelnej, na jakie ona, w dobrze zrozumianym interesie polskim, najzupełniej zasługiwała. Rząd polski, w chwilach dla Unii krytycznych, okazał się słabym i nawet nieudolnym. Nie ujął w karby agitacyi wrogiej Unii kniazia Ostrogskiego, nie rozwiązał buntujących się przeciwko władzy biskupiej bractw stauropigialnych: lwowskiego i wileńskiego, nareszcie zezwolił na agitacye schizmatyckie w kraju ze strony Teofana, patryarchy jerozolimskiego, będącego zarazem agentem politycznym tureckim i moskiewskim. Wina ciąży — i to w stopniu wysokim — również na całym intelligentnym ogóle polskim, który znaczenia politycznego i cywilizacyjnego zjednoczenia obu Kościołów na Rusi całkiem nie pojmował, oraz na episkopacie rzymsko-katolickim, który powinien był je najlepiej pojmować. Gdyby rząd polski, a choć w części i ogół polski spełnił swe zadanie, nie byłoby następnie w ziemiach ruskich rozterek religijnych; nie byłoby tam unitów i dyzunitów, lecz cała Ruś szczerze przejęłaby się duchem jedności kościelnej. Praca X. biskupa Likowskiego rozprasza najzupełniej tendencyjne twierdzenia historyków ruskich i rosyjskich o intrygach jezuickich, fanatyzmie Zygmunta III wobec schizmatyków, ucisku rządu polskiego i gwałtach szlachty polskiej, jako głównych czynnikach dojścia do skutku i utrwalenia się dzieła, dokonanego w Brześciu Litewskim.

A więc gdzie i w czem tkwi istotna przyczyna Unii brzeskiej? W łonie samejże Cerkwi wschodniej — odpowiada autor, wsparty na najprzedniejszym materyale źródłowym, zaczerpniętym w przeważnej części z wydawnictw rosyjskich, których o tendencyę wrogą schizmie podejrzywać nie mamy chyba

powodu. Kościół wschodni na Litwie i na Rusi był przed rokiem 1590-1596 w stanie całkowitego rozkładu. I tutaj roztacza autor przed wzrokiem naszym okropny obraz tego zaniku uczuć religijnych wśród intelligencyi ruskiej, tego powszechnego rozstroju w hierarchii kościelnej, tego nieuctwa i zepsucia moralnego samegoż kleru. Rozkład i upadek szły tam z nieprzepartą siłą od góry i od dołu: od patryarchatu carogrodzkiego i metropolii kijowskiej z jednej, a od bractw stauropigialnych, podkopujących powagę hierarchii kościelnej, z drugiej strony. Sama, rzec można, rdzeń Cerkwi wschodniej była spróchniałą, w następstwie ingerencyi tureckiej w sprawy patryarchatu; więc i dla jej gałęzi ruskiej niepodobna było oczekiwać ztamtąd odrodzenia. Odrodzenie przyjść mogło tylko z Rzymu, gdzie tak zwana reakcya katolicka święciła swe tryumfy w głowie i członkach organizmu kościelnego, w nauce i sztuce, w życiu i obyczajach społeczności katolickiej. Co tylko było dodatniego w narodzie ruskim, co zachowało jeszcze szczerą wiarę, a umysł dość oświecony lub dość nieuprzedzony do zrozumienia nędzy religijno-moralnej własnego kleru i narodu, to wszystko pragnąć musiało położenia kresu temu stanowi rzeczy, zaczynając od Konstantego kniazia na Ostrogu i hierarchów ruskich, aż do bractw stauropigialnych, które początkowo widziały dosyć jasno i karciły wady swego kleru. Bractwa te, niestety, po dojściu Unii kościelnej do skutku, zadania swego nie pojęły; ulegając poduszczeniom z Carogrodu, stanęły później w opozycyi do władyków unickich.

Czyż potrzeba iść krok w krok za autorem *Unii brzeskiej*, w celu udowodnienia, że dla schizmy ruskiej zjednoczenie z Kościołem katolickim było koniecznością? Wystarczy przytoczyć takie n. p. nazwiska metropolitów i władyków ruskich, jak Onesyfor Dziewoczka Petrowicz, poprzednik na stolicy metropolitalnej Michała Rahozy, jak arcybiskup połocki Symeon, władyka włodzimierski Teodozy Łazowski, władyka łucki Jona Krasieński, jak nareszcie osławiony władyka lwowski Gedeon Bałaban. Szereg tych nazwisk możnaby znacznie jeszcze powiększyć. Gdy ktoś chciał napiętnować jakiś czyn brzydki, to zwykle mawiał, iż dzieje się „obyczajem bałabanowskim!“ Lecz najwymowniejszym będzie wyjątek z listu ruskiej szlachty halickiej z dnia 14 lutego 1585 r., wysłanego do metropolity kijowskiego, wyżej wymienionego Onesyfora Dziewoczki Petrowicza. Dla lepszego scharakteryzowania rzeczy samej, przytoczymy go po rusku, jak to uczynił i X. biskup Likowski: „Za pastyrstwa Waszej Miłości dosyt wsieho złoho w Zakonie naszom stałosia, jako zgwałcenia światostiej, światych tajn zamykania, zapieczetowania cerkwi światych, zakazanie zwonienia..... a szto jeszcze k'tomu porubania krestow światych, pobrania zwonow do zamku i gwoli żydom. I jeszcze Wasza Miłośt listy swoi otwerenyje pretiwku

Cerkwi Bożoje żidom na pomoszcz dajesz k'potiesie (pociesze) im, a k'bolszomu obołżeniu zakonu naszoho światoho i k'żaliu naszomu. K'temu jeszcze jakija dziejutsia spustoszenia Cerkwi Bożija?.... W monastyriach czestnych ihumeny z żonami i z dietmi żiwut i cerkwami światymi władujut"....

Melecyusz Smotrzycki, schizmatycki archiepiskop połocki, jeden z najuczeńszych apologetów schizmy, pisał po swem nawróceniu do Unii, iż „póki był w schizmie, nie wiedział w co wierzył, albo raczej nie znał swej wiary"; w innem znowu miejscu pisał, co następuje: „Ruś schizmatycka podobnie bez nauki, jak Cerkiew grecka. Trzech kaznodziejów w niej nie napotkać. A i ci, by się nie żywili postyllami katolickiemi, słowaby powiedzieć nie umieli. Zgłodniały naród przez głód słowa Bożego ledwie się już czuje". A oto jeszcze jedno świadectwo autora ruskiego, Teodora Skuminowicza: „O jak wiele tam (w Cerkwi ruskiej przed Unią) ihumenów, którzy nie tylko o czym trudniejszym, ale o liczbie Sakramentów y ich formach y materyach sprawy dać nie umieją. Nie zmyślam, Bóg świadkiem sumienia mego, na którego karanie zarabiałbym, bym płonne udawał rzeczy, ale mając od schizmatyckiej strony powierzone sobie owruckie, mozyrskie i rzeczyckie dekanaty, abo protopopie w Polesiu onym głuchym i głupim, takich świaszczenników znajdowałem, *którzy po rusku czytać expedite nie umieli*, chyba przesylabizowawszy".

Sądzimy, że tych świadectw wystarczyłoby nawet dla najbardziej uprzedzonych względem Unii i jej zbawczego wpływu na naród ruski. W podobny sposób przedstawiają obraz Cerkwi schizmatyckiej ruscy autorowie *Szkicu historyi Unii*, wymienionego w tytule. O stanie religijno-moralnym ludności wiejskiej wyrażają się temi słowy (str. 23): „Lud prosty był li tylko z imienia chrześciańskim, a byli i tacy, co przez całe życie pozostawali bez chrztu świętego. Naród żył dawnem swem życiem, bez zasadniczego zrozumienia istoty wiary Chrystusowej. Jak przed 800 laty, tak i teraz, w wieku XVI, dzielił rok i swe życie codzienne według uroczystości pogańskich, które były bliższemi jego serca, jak chrześciańskie". Obraz jednak stanu Cerkwi ruskiej przed Unią brzeską wypadł dosyć blado w *Szkicu historyi Unii* (rozdziały 1 i 2 w części drugiej). Znać w nim niewątpliwie uczucia i przekonania szczerze katolickie. Gdyby jednak autorowie tego szkicu, zamiast ogólnikowej charakterystyki stanu Cerkwi ruskiej przed Unią, przytoczyli więcej szczegółów tego rozstroju i upadku, wpoiliby w swych czytelników o wiele silniejsze przekonanie o konieczności zerwania ze schizmą grecką, a zbliżenia się do Kościoła powszechnego. Ze znanej już autorom ruskim *Unii brzeskiej* X. biskupa Likowskiego mogli zaczerpnąć wiele charakterystycznych szczegółów, któreby uczyniły obraz ten barwniejszym.

Na innem znowu miejscu (str. 62) autorowie *Szkicu historyi Unii* przypomnieli sobie, iż z ludnością dyzunicko ruską na Ukrainie szlachta postępowała w sposób „nieludzki“ i „za pieniądze wypuszczała Żydom cerkwie w dzierżawę, a biedny naród musiał im się opłacać za spełnianie potrzeb duchownych“. Gdyby jednak zacytowali na właściwem miejscu ustęp z listu dyzunickiej szlachty halickiej do metropolity kijowskiego, Onesyfora Dziewoczki Petrowicza, pełen skarg i mnogich żalów na niego za upadek Cerkwi ruskiej, pomiędzy któremi znajduje się i takie, iż „Wasza Miłošt listy swoi otworenyje pretiwku Cerkwi Bożoje židom na pomoszcz dajesz k'potiesie im a k'bolszomu obołženiu Zakonu naszoho światoho i k'žalu naszomu“—możeby niejeden z dzisiejszych, dosyć licznych przeciwników Unii kościelnej na Rusi Czerwonej, opinie swoje w tym względzie zmodyfikował.

Bądź co bądź—autorowie *Szkicu historyi Unii* sami najszczerzej przyznają, iż smutny stan Cerkwi i narodu ruskiego, w jakim się znajdowały w końcu XVI wieku, „wywołały w lepszej części społeczeństwa, zarówno duchownego, jak i świeckiego, uzasadnioną obawę, iż *Ruś może całkiem zatracić swą wiarę, a narodowość jej zaginąć*“. Z tego powodu zaczęto się zastanawiać nad środkami podźwignięcia jej z upadku i poniżenia, ożywienia jej wiary i moralności chrześciańskiej. Z tego źródła, z tych zatem szlachetniejszych pobudek, zrodziła się Unia kościelna brzeska.

X. biskup Likowski przedstawia nam z całą ścisłością wszelkie pertraktacye, poprzedzające Unię brzeską, zanim nareszcie w Bełzie w r. 1590 nie stanęła decyzya czterech władyków: Cyryla Terleckiego (łuckiego), Bałabana (lwowskiego), Leontego Pełczyckiego (pińskiego) i Dyonizego Zbirujskiego (chełmskiego), aby zerwać z patryarchą, a poddać się Stolicy Apostolskiej. Decyzya ta, datowana z Brześcia, dokąd wyżej wymienieni władykowie z Bełza się udali, przełamała pierwsze lody i utorowała drogę dla wiekopomnego dzieła. W Brześciu Litewskim bowiem przystąpił do niej cały episkopat wraz z metropolitą kijowskim Michałem Rahozą. Deklaracyę bełzką, po porozumieniu poprzedniem z J. Zamoyskim i B. Maciejowskim, rzymsko-katolickim biskupem łuckim, doręczył C. Terlecki królowi Zygmuntowi III, od którego otrzymano odpowiedź z dnia 18 marca 1592 r. i datowaną z Krakowa, w której król oświadczał podpisanym na deklaracyi, iż zapewnia im „nietykalność obrządku i przywileje na równi z duchowieństwem łacińskiem“.

Nie tu oczywiście miejsce, aby przechodzić za dostojnym autorem wszystkie fazy rozwoju Unii brzeskiej aż do rozdwojenia, wywołanego agitacyami kniazia Konstantego Ostrogskiego, któremu udało się przeciągnąć dwóch władyków na stronę dyzunii: Kopystyńskiego i Bałabana. Ani jeden, ani drugi

zaszczytu dyzunii wcale nie przynieśli, ale dziełu, tak pięknie rozpoczętemu, wyrządzili, na współkę ze swym mecenasem, szkodę niemałą. Może nikt jeszcze w naszej literaturze historycznej nie przedstawił tak szczegółowo, z taką ścisłością naukową wszystkich tych przeszkód, na jakie natrafiła Unia brzeska, już po jej dokonaniu, zarówno z wewnątrz, jak z zewnątrz, zarówno z ruskiej, jak i z polskiej strony. Na tle tych przeszkód rysują się wspaniale postacie takich hierarchów Kościoła ruskiego, jak Hipacy Pociej—najpierw biskup włodzimierski, a potem metropolita kijowski—i Welamin Rutski. Pierwszy z nich zabezpiecza prawny byt Unii kościelnej, a drugi organizuje Kościół ruski. Już X. Kalinka, w przedmowie do polskiego tłómaczenia żywota św. Józafata Kuncewicza, skreślonego przez uczonego Benedyktyna O. Guépin'a, słusznie ocenił działalność i znaczenie dla Unii kościelnej wspomnianych wyżej dostojników kościelnych w słowach następujących: „Pociej zapewnił byt legalny Unii w Rzeczypospolitej, Rutski dał jej kształt organiczny, a św. Józafat tchnął w nią swoją duszę". Rozdziały (III i IV) poświęcone działalności Welamina Rutskiego na metropolii kijowskiej, a św. Józafata Kuncewicza na archiepiskopii połockiej, stanowić mogą same dla siebie cenne rozprawy. „W chwili zgonu Rutskiego—pisze X. biskup Likowski — stoją na czele ośmiu biskupstw ruskich ludzie dzielni, do Stolicy Apostolskiej przywiązani, duchem jedności kościelnej ożywieni, pobożni, wykształceni. Każdy z nich byłby ozdobą każdej stolicy biskupiej łacińskiej, a ogół ich przewyższał ogół ówczesnych biskupów polskich, w przeważnej części więcej senatorów, aniżeli biskupów". Większej pochwały oddać chyba nie można było działalności hierarchy ruskiego, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie, iż takowa pochodzi z pod pióra biskupa polskiego!

Czego nie zdołała dokonać najenergiczniejsza działalność metropolitów i niektórych władyków, tego dokonała krew męczeńska św. Józafata Kuncewicza, archiepiskopa połockiego, zamordowanego przez schizmatyków w Witebsku, w dniu 12 listopada 1623 r. Jak niegdyś krew męczeńska była „nasieniem chrześcian", tak teraz z krwi św. Józafata wyszło zwycięstwo Unii kościelnej na Białej Rusi. „Wogóle cała Biała Ruś — pisze X. biskup Likowski—po zamordowaniu św. Józafata, z bardzo nieznacznemi wyjątkami, otwarcie do Unii się przyznawała. W tej gorliwości współzawodniczył Witebsk z innemi miastami białoruskiemi. Aż do końca XVIII wieku, t. j. aż do rozbioru Polski, nie było w nim ani jednej cerkwi schizmatyckiej". Owocem śmierci męczeńskiej św. Józafata było także nawrócenie się do Unii Melecyusza Smotrzyckiego, samozwańczego arcybiskupa połockiego, dotychczas największego przeciwnika św. Józafata i najzaciętszego obrońcy schizmy. Autor *Unii brzeskiej* przeprowadza zwycięsko polemikę z historykami rosyj-

skimi i nawet niektórymi polskimi, którzy, opierając się na znanym liście Lwa Sapiehy, kanclerza litewskiego, z dnia 12 marca 1622 r., zarzucali św. męczennikowi, iż dyzunitów gwałtownemi środkami na Unię nawracał, cerkwie im zabierał, pozbawiał ich św. Sakramentów i t. p.

Z jednem atoli zdaniem autora zgodzić się niepodobna. Uznajemy najzupełniej słuszność zarzutów, czynionych niektórym królom naszym i rządowi polskiemu, episkopatowi i świeckiej intelligencyi, iż nie poparli należycie dzieła Unii, tak doniosłego nietylko ze względów religijnych, lecz i politycznych dla państwa i narodu polskiego. Najboleśniej dotyka ten zarzut episkopat łaciński, który ze swej strony powinien był uczynić wszystko, aby obietnica Zygmunta III, iż kler unicki zrówna w prawach z rzymsko-katolickim, nie pozostała li tylko obietnicą. Tymczasem biskupi łacińscy — jak wiadomo — stawiali największe przeszkody przyjęciu władyków unickich do senatu. Na to wszystko zupełna zgoda. Lecz w żaden sposób zgodzić się nie można z utyskiwaniem dostojnego autora, iż szlachta ruska przeszła na obrządek łaciński, a z niezbyt tajonym żalem do tych, co się do tego przejścia przyczynili. Czyż autor sądzi, że pozostanie przy Unii kościelnej kilkuset rodzin szlacheckich mogłoby wpłynąć na zmianę polityki wewnętrznej prawosławnej Rosyi, nienawidzącej przedewszystkiem Unii i unitów nietylko w granicach państwa rosyjskiego, lecz i po za jego granicami? Czyż tych kilkaset rodzin byłyby może w stanie powstrzymać na tej drodze dwukrotne zamachy na Unię Katarzyny II, potem Mikołaja I i Aleksandra II? Ci władcy, którzy podeptali wszelkie zobowiązania międzynarodowe, wszelkie prawa boskie i ludzkie, mieliby się oglądać na garstkę szlachty unickiej? Mamy zresztą wiele przykładów w historyi (Bośnia i Hercegowina, Albania, Ruś), iż odporność szlachty w rzeczach wiary bywa o wiele słabszą od odporności ludu wiejskiego, dla którego wiara streszcza w sobie całe życie duchowe. Źle jest dziś niewątpliwie pod względem narodowym we wschodnich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Byłoby jednak nierównie gorzej, a możebyśmy nawet w niektórych stronach dawnej Polski dziś słowa polskiego nie słyszeli, gdyby nie te dwory szlacheckie i nie kilkaset wsi katolicko-białoruskich, będących ostoją dla wpływów katolicko-zachodnich wśród wzbierającego morza prawosławno-rosyjskiego. One może kiedyś będą temi nićmi, co potrafią spoić przyszłość z przeszłością. Spóźnione żale dostojnego autora mogą być — naszem zdaniem — pod jednym względem nawet szkodliwemi: one w stanie są wnieść zamęt w sumienie narodowe pewnej części szlachty pochodzenia ruskiego w dzisiejszej Galicyi wschodniej.

Szkic historyi Unii autorów ruskich z ogólnej liczby 154 stronnic poświęca prawie połowę (70 stronnic) rozwojowi Unii

kościelnej pod panowaniem Austryi. Z tego widać, jak pobieżnie szkicowano dzieje Kościoła ruskiego przed Unią brzeską, dalej sam fakt jej dokonania, dzieje walk przebytych i tryumfu ostatecznego za rządów polskich, oraz upadku jej w tych częściach dawnej Polski, które się dostały pod panowanie Rosyi. Natomiast dzieje tego odłamu Cerkwi ruskiej, który wraz z Galicyą dostał się pod berło Habsburgów, traktowano stosunkowo obszernie. Mamy tutaj szczegółowe życiorysy wszystkich metropolitów lwowskich, władyków przemyskich i stanisławowskich. Cały ten rozdział traktowano bez krytyki, w tonie panegirycznym, nie uwzględniając nawet w najskromniejszej mierze józefinizmu jednych, niedołęstwa w zarządzie kościelnym drugich, a wygórowanych aż do szowinizmu uczuć narodowych u innych, które przygłuszały niekiedy obowiązki dostojników Kościoła katolickiego.

Nareszcie mamy jeszcze jeden żal do autorów *Naczerku istorii Unii*. Spotykamy się w nim z niezbyt bezstronną oceną przeszłości Polski w stosunku do Kościoła grecko-katolickiego. Wiele wprawdzie przeszłość nasza zawiniła wobec Unii kościelnej, ale też wiele dla niej zrobiła dobrego. Jeżeli Polska ma grzechy na swem sumieniu za Unię, to niewątpliwie więcej ich jeszcze popełniła względem siebie samej. Zygmunt III przez całe swe panowanie stale był przychylnym dla Unii, a co tylko mógł i ile tylko mógł, robił dla niej dobrego. Życzliwości dla Unii kościelnej króla Jana III sami autorowie oddają hołd należny (str. 65). Za Augusta II, jakkolwiek świeżo nawróconego i niezbyt gorliwego katolika, tem nie mniej życzliwego Unii, przystępuje do niej władyka Dyonizy Zabokrzycki wraz z całą swą dyecezyą łucką i przychodzi do skutku synod zamoyski w r 1720. Jego doniosłym uchwałom oddają też hołd należny sami autorowie w słowach następujących (str. 67): „Synod okazał swą troskliwość nietylko o wykształcenie duchowieństwa przez założenie dyecezyalnych seminaryów duchownych, lecz zwrócił także uwagę na oświatę narodu ruskiego, polecając duchowieństwu pieczę o nią i zakładanie szkół w swych parochiach“; o kilka wierszy niżej czytamy: *„Aż teraz dźwignęła się Cerkiew katolicko-ruska z kilkowiekowego snu i zaczęła żyć nowem życiem*, bo dopiero od synodu zamojskiego czuła się istotnie złączoną ze św. Kościołem Chrystusowym“. Nareszcie przytoczywszy uchwały Sejmu Czteroletniego odnośnie do obrządku grecko-katolickiego, piszą, iż *„po tych uchwałach można się było spodziewać jak najpiękniejszych rezultatów“* (str. 79), gdyby nie drugi, a za nim trzeci rozbiór Polski.

Wbrew temu wszystkiemu, co wyżaj powiedziano w *Szkicu historyi Unii*, ciż sami autorowie ruscy przedstawiają stan Unii kościelnej i narodu ruskiego pod panowaniem Polski w ponurych barwach i zdradzają pewną cierpkość w sądach o mi-

nionej przeszłości w rozdziale zatytułowanym: *Rozwój Unii pod panowaniem Austryi.* Niejednokrotnie spotykamy się tam z frazesami o smutnym stanie Cerkwi unickiej za rządów polskich, o opłakanem położeniu wszystkich warstw narodu ruskiego, o możliwości dopiero „życia nowem życiem“, gdy się przybyło do przystani bezpiecznej, jak okręt miotany falami i t. p. (str. 86). Wątpić można, czy wdzięczność i lojalne uznanie dla rządów austryackich za polepszenie religijno-moralnych i społeczno-materyalnych stosunków, jakie niewątpliwie przyniosły ze sobą duch czasu i ogólny rozwój wewnętrzny całej monarchii, wymagają koniecznie nielojalności wobec przeszłości Polski i jej zasług cywilizacyjnych na Rusi wogóle, a przedewszystkiem względem Unii kościelnej i unitów. Położenie bowiem Rusi i Rusinów nie było żadnym wyjątkiem; było ono o tyle tylko złem, o ile było złem położenie całej Polski i jej ludności. *Al. Szarłowski.*

— *Sztuka lwowska w XVI i XVII wieku. Architektura i rzeźba,* przez Władysława Łozińskiego. Z 103-ma rycinami w tekście. (Lwów, nakład księgarni Altenberga, 1898. 8-o maj., str. 210). — Czekaliśmy długo, czy który z biegłych znawców nie zechce zdać sprawy z niniejszej książki. Nie doczekawszy, próbujemy zrobić to sami, o ile zrobić może człowiek, który ani historyą sztuki w ogólności, ani zwłaszcza jej historyą we Lwowie, nigdy się osobno nie zajmował.

Sam tytuł wskazuje i czytelnik z góry odgadnie, że ta książka nie może być tak niezmiernie ponętną, jak była jej poprzedniczka. *Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie,* to obraz życia i cywilizacyi, w jednem mieście i stanie, ale pośrednio i ubocznie w Polsce różnych wieków. Tu mamy jeden szczegół tego życia, jedną gałęź tej cywilizacyi, i to nie najbujniejszą. Dla publiczności więc to dzieło nie może być tak ciekawem, jak tamto. Ale nawet taki zwykły czytelnik, jeżeli ma jakikolwiek zmysł dla sztuki i zamiłowanie jej zabytków, sam się nie spostrzeże, jak z zajęciem doczyta do ostatniej kartki. Zrazu, kiedy się znajdzie między licznemi nazwiskami budowniczych czy murarzy, kamieniarzy czy rzeźbiarzy, i między dość obojętnemi a często niepewnemi szczegółami o ich życiu i pracach, pomyśli może, że to rzecz sucha i dobra dla specyalistów tylko. Ale w miarę jak czyta, składają mu się te szczegóły w całość, która odpowiada na pytania lub podaje wiadomości, obchodzące i jego, choć nie jest specyalistą. To, co się widzi codzień na ulicach Lwowa, co się zwykle mija nie uważając i nie pytając, to czasem przecie zwróci uwagę i wywoła pytanie: „Zkąd się to wzięło? kto to zrobił? jakie to być mogło, i dlaczego nie jest takiem, jak kiedyś być musiało?“ — to znajduje się wytłómaczonem, czasem na pewne, czasem tylko przypuszczalnie, ale zawsze logicznie, gruntownie, umiejętnie i zajmująco. Kościoły,

kamienice, pomniki, szczątki nawet, nie będą odtąd dla profana sfinksem, przed którym stał niepewny i zakłopotany, jak student przed zbyt trudnem zadaniem. Już kto inny rozwiązał za niego to zadanie, to zrównanie o bardzo wielu niewiadomych, a choć pozostało jeszcze nie jedno *x*, pod które jego rzeczywistej wartości podstawić nie można, to przecie uproszczenie jest dokonane, a wielka ilość tych niewiadomych jest dokładnie i ściśle oznaczona.

Z jakim trudem i mozołem! Pomyśleć, że autor musiał przewertować trzy wieki aktów, starych rachunków, ksiąg cechowych, kościelnych i t. d., żeby dojść, jak się ten lub ów nazywał, kiedy się do Lwowa sprowadził, kiedy zaczął, a kiedy skończył tę lub ową robotę, i z takich przypadkowych drobiazgowych zapisków musiał dopiero składać wiadomość o budowach i budowniczych, o pomnikach i rzeźbiarzach. Tłómaczy on się i prawie przeprasza w przedmowie, że nie zrobił więcej i dokładniej, a żałuje, że pracy tej nie dali początku architekci, bo na ich podstawie dopiero historyk sztuki mógłby swobodnie budować swoje dochodzenia i wnioski. Może być, że ma słuszność; ale my nie możemy podzielać jego żalu, bo nie widzimy, ktoby lepiej od niego zadaniu podołał, a cieszymy się, że zasługa i chwała początkowania w krytycznem badaniu pomników i zabytków lwowskich została przy imieniu tego właśnie miłośnika i znawcy i miasta Lwowa i sztuki.

Pierwsza część książki mówi o architekturze, druga o rzeźbie.

Zabytki jednej, jak drugiej, doszły do nas w stanie nader niezupełnym, przekształconym, zepsutym. Dlaczego? Napady, oblężenia, czternaście wielkich pożarów, a wreszcie barbarzyńska ręka *cywilizatorów* z XVIII i XIX wieku, odpowiadają dostatecznie na to pytanie. Z dawnych kościołów i świeckich budowli, wiele zgładzono do szczętu; inne przerobiono nie do poznania. Historyę ich znajdzie czytelnik i dowie się z zajęciem, jakie były początki i losy katedry, cerkwi wołoskiej, Bernardynów, Dominikanów, co znaczy ciekawa wieża nad klasztorem Benedyktynek i dlaczego reszta budowy jej nie odpowiada, czem są właściwie nagrobki w kościele Dominikanów i dlaczego nie można ani ich zrozumieć, ani się o nich nic pewnego dowiedzieć.

Czy kamień węgielny pod katedrę zakładał Kazimierz Wielki— rzecz nie dowiedziona. To pewna, że w r. 1404 prezbiteryum, a w r. 1480 cała budowa były skończone. Pewna także, że Lwów sam, jego zamożni mieszczanie, zbudowali, a przynajmniej wykończyli swoją katedrę. Przechowały się także, a teraz się odkryły, nazwiska pierwotnych budowniczych: jedno, dawniejsze i widocznie przekręcone, G o n z a g e, oznacza tego, który zbudował prezbiteryum; Joachim Grom i Ambroży Rabisch z Wro-

cława zbudowali nawę, a Hans (Hanusz) Blecher ostatecznie uzupełnił robotę. Katedra jest jedynym kościołem gotyckim we Lwowie; inne zginęły bez śladu. Niebawem zaś zmienia się charakter budowli. W wieku XV naturalnie niema we Lwowie ani jednego majstra Włocha. Od r. 1530 nie będzie ani jednego Niemca, a smak włoski zacznie panować wyłącznie w budowach stawianych przez Włochów.

Tych Włochów, lub włoskich Szwajcarów z pogranicza, liczba jest znaczna: cała litania nazwisk. Stawiają oni budowle rzadkiej piękności, naprzykład dom Anczowskiego w Rynku. Ale z wielkiej liczby wystaje nad innych Piotr Barbon i Paweł Rzymianin, budowniczowie wieży Korniaktów (przy cerkwi wołoskiej) i domu Korniaktów w Rynku (później Sobieskiego, dziś ks. Ponińskich). Wreszcie, po śmierci Barbona, Paweł sam, już na własną rękę stawia wołoską cerkiew. On także dawał plan na kościół Bernardynów i rozpoczął budowę (1600 r.).

Następują domy w stylu Odrodzenia, przechowane jeszcze ślady ich stylu, ornamenta; czasem resztki wewnętrznego urządzenia. Poczem przechodzi autor do rzeźby.

Jak w wieku XVI nie można wykazać we Lwowie ani jednego budowniczego Niemca, tak znowu rzeźbiarza Włocha niema ani na lekarstwo: sami Niemcy. Jan Hutte, wspominany wielokrotnie, pracował niewątpliwie wiele we Lwowie, ale imię jego nie da się związać dowodnie z żadnym do dziś przechowanym pomnikiem lwowskim. Prawdopodobnie on robił spiżowy pomnik, zwany Buczackiego, w katedrze, i stalle kościoła św. Idziego w Krakowie. Po nim mnożą się bardzo imiona rzeźbiarzy i snycerzy lwowskich, ale trudno jest, a prawie niepodobna dojść, któremu z nich który pomnik ma być przypisanym. Henryk Horst wykonał (według wszelkiego prawdopodobieństwa, ale nie z pewnością) trzy pomniki Sieniawskich w Brzeżanach i te ciekawe alabastrowe nagrobki, które dziś bez obramienia, bez napisów, stoją w kościele Dominikanów i do rozpaczy mogą doprowadzić tą niewiadomością i niepewnością, która je otacza. Kto był architektem kaplicy Boimów, a snycerzem jej niezliczonych ornamentow, tego autor dojść nie zdołał, choć czas to stosunkowo nie dawny. Ta sama niepewność i co do kaplicy Kampianowskiej. Ostatni znakomitszy rzeźbiarz Niemiec w wieku XVII, to Jan Pfister, Wrocławianin, który wykonał późniejsze pomniki Sieniawskich w Brzeżanach i pomnik Ostrogskich w Tarnowie. Jemu przypisuje autor nagrobki Boimów, a poświęca kilka kart ciekawych jego stosunkom rodzinnym i majątkowym.

Na schyłku XVII wieku zjawia się rzeźbiarz Polak, prawdziwy, nie przybrany Polak, Alexander Prochenkowicz. Jego ręki są dwa alabastrowe nagrobki arcybiskupów, Zamoyskiego i Tarnowskiego, w katedrze. Charakterystykę talentu i dzieł Pfistera, subtelne uwagi o umiejętnem użyciu alabastru (miej-

scowego a wdzięcznego materyału), przeczyta nawet profan z zajęciem i przyjemnością.

Snycerstwo w drzewie ma ustęp osobny i ostatni, a w nim naturalnie najwięcej jest mowy o pięknych wspaniałych stallach w chórze Bernardyńskiego kościoła.

W zakończeniu konstatuje autor, że ci wszyscy Włosi architekci i Niemcy rzeźbiarze, choć w Polsce i z pomocnikami Polakami robili, nie wykształcili uczniów, nie wydali szkoły artystów polskich. Pyta o powód, a odpowiedź na to pytanie znajduje tę samą, co na wiele innych pytań niestety — niecałkowitość naszego społeczeństwa, niewyrobienie społeczeństw miejskich, przesąd, który mieszczaninowi bogatszemu kazał uważać takie zajęcie jako rzemieślnicze i jego niegodne.

Nazwisko autora starczy tej książce za dostateczne i najlepsze polecenie. Ale że sprawozdawca jest od tego, żeby zwracał uwagę publiczności na dobre książki i do czytania je zalecał, więc pozwalamy sobie za tą książką świadczyć, że jest bardzo ciekawa, nauczająca i ładna. *S. T.*

— Leon Świeżawski: *Jan Śniadecki. Jego życie i działalność naukowa.* (Petersburg, 1898, str. 82; Nr. 6 wydawnictwa: „Życiorysy sławnych Polaków“).—Jestto książeczka napisana bardzo poczciwie, z wielkim pietyzmem, w duchu patryotycznym. Niestety jednak nie możemy stwierdzić, żeby autor wywiązał się dobrze ze swego trudnego zadania: człowiek wykształcony, który przeczytał albo przynajmniej przeczytać może dzieła obszerniejsze, poświęcone Śniadeckiemu, nie dowie się nic od p. L. Świeżawskiego, a dla szerszej publiczności rzecz napisana nie jest, o czem mogą przekonać już następujące cytaty: „Kant *oparł się* (*sic*) na badaniu nie samego *poznawania*, ale *zdolności poznawania*, która jest niejako organem samego poznawania i od której własności tegoż zależeć muszą“ (str. 74). „Sądy syntetyczne *a priori* tkwią w naszym rozumie i są nam wrodzone“ etc. (str. 75).

Jeżeli już trzeba było mówić koniecznie w tej książce o filozofii, należało główne myśli Kanta i Śniadeckiego wyrazić w sposób dla profanów przystępny; jednakowoż autor nie mógł tego zrobić, ponieważ filozofia jest mu widocznie całkiem obcą. Kant jest według niego skrajnym empirykiem, uczącym, że poznać możemy tylko „przedmioty, leżące w obrębie doświadczenia“ i dla zmysłów przystępne (str. 74) [1]; sąd jest „określeniem podmiotu za pomocą orzeczenia i takie sądy nazwał Kant sądami syntetycznemi“ etc. (str. 75).

[1] Zaraz jednak na następnej stronie czytamy: „Kant, chcąc wykryć prawdy ogólne, któreby *metafizykę wielży* postawić mogły niezależnie od wiedzy, na doświadczeniu opartej, i powodując się przekonaniem, że prawdy te są *a priori* w duchu ludzkim“ etc. Jakże to pogodzić z określeniem powyższem?

Także i wysłowienie autora jest w wielu miejscach niepoprawne; tak n. p. czytamy na str. 10: „*Przekonał się*, że Francuzi wyżej stali w nauce niż Niemcy, *pisząc* do kraju“ etc.; na str. 11: „Górując zawsze nad pytaniami naukowemi“; na str. 6: „Za popis *swych* uczni przyznano młodemu nauczycielowi wynagrodzenie“; a dalej *po punkcie:* „*I* takie było przygotowanie młodzieńca“ etc. Nieraz zestawione są pojęcia całkiem różne. jak n. p. w zdaniu: „Uważając je (t. j. zasadnicze pojęcia Kanta) za *spekulatywne i szkodliwe* dla ziomków“. A podobnych wyrażeń błędnych i niezręcznych możnaby jeszcze dużo przytoczyć. *X. Dr. A. P.*

— *Ludzie i rzeczy*, przez Maryę Konopnicką. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1898). — Są nazwiska, które same przez się już zapewniają poczytność książki. Do tych należy imię p. M. Konopnickiej. Można się od niej różnić zdaniem, można ubolewać nad pewną jednostronnością jej poglądów, a nawet doznawać rodzaju niesmaku, wobec pieśni zaprawionej zbyt często piołunem, nie uskrzydlonej zgoła ani miłością, ani nadzieją nieśmiertelną. Atoli uznać w niej trzeba talent wielki a prawdziwy, podziwiać bogactwo języka, nagiętego do najmuzykalniejszych efektów, strojnego w tęczowe blaski, pełnego poezyi, nawet w powszedniej prozie. To też każdy tomik, opatrzony jej nazwiskiem, idzie w świat bezpiecznie, poczytności pewien, bez reklamy księgarzy i krytyków. A chyba ten ostatni nad inne czytelników zdobyć sobie może barwnością różnorodnej treści. Zbiorek to rozpierzchłych po czasopismach warszawskich artykułów, korespondencyj, okolicznościowych przypomnień.

Dwie rozprawki szersze tu zagarnęły miejsce: posępny, prawdą tchnący opis więzień warszawskich na Pawiaku i Serbii, oraz rzewny hołd, złożony pamięci Lenartowicza. Mazowiecki lirnik doczekał się grobowca na Skałce, nie doczekał przyznania sobie właściwego w naszej literaturze stanowiska. Sztucznie rozbudzany kult mickiewiczowski nie przyjmuje się i przyjąć nie może pod strzechami, bo nie dla nich brzmiała i grzmiała pieśń Adama. Wszakże Niemcy nie kuszą się bynajmniej o spopularyzowanie Goethego wśród włościańskiej rzeszy, która innych miewa śpiewaków, poetów niższego lotu; dla chat, dla siół, nie orzeł domowym ptakiem, lecz jaskółka lub skowronek. Takim skowronkiem łanów małopolskich, takim pieśniarzem wiejskim, był Lenartowicz, ulubiony poeta prostaczków, a więc kmieci i dzieci, zarówno rozkochanych w jego krótkich, swojskich, rzewnych wierszach. Pani Konopnicka opowiedziała jego ostatnie lata i ostatnie smutki, opisała jego biedne życie we Florencyi i śmierć samotną pod obcem niebem, zaczerpnęła pełnemi rękoma z bardzo obfitej zamiany listów z poetą. Urósł ztąd wieniec bogatszy od innych, owiany duchem wiejskiego barda, który cierpiał i kochał w milczeniu,

nie narzekając na obojętność i zapomnienie swoich, bo się nie czuł lepszym i wyższym od tylu innych, których podobnież dopiero po śmierci sobie kraj przypomniał, aby im sprawić pogrzeb lub pomnik wystawić.....

Szereg tych ulotnych artykułów rozpoczyna pełen poezyi opis Akwilei, zamarłego miasta, po którem przeszła nawałność Attylowych hufców. Obraz to drastyczny i jaskrawy, choć wyznajemy, iż nas zdziwiło pominięcie nazwiska naszego rodaka, dobrze zasłużonego około zabytków starej Akwilei, której przeszłość odgrzebuje dziś wielkim kosztem hr. Karol Lanckoroński. Snują się południowe szkice lagun, Gorycyi, słonecznych wybrzeży, niby tak biednych, a ubranych w Salomonową iście krasę grą światłocienia i łamaniem się w morzu czy na górach promieni słonecznych..... Najwięcej rozmachu i animuszu znajdujemy w odgłosach Kolumbowego *centenario*, święconego w Genui z całą prozopopeą, właściwą italskiemu szczepowi. Szereg tych listów genueńskich czytelnika przenosi „na jasny brzeg" i pozwala mu uczestniczyć w narodowym jubileuszu. Poetka ślicznie umie pochwycić i oddać wyjątkowe momenta, jak n. p. owo pojawienie się statku królewskiego, posuwającego się jak łabędź Lohengrina po lazurowem morzu, skoro opadł dym salw powitalnych. Wspomnijmy też kilka kartek, poświęconych „cmentarzysku, na którem leży Garczyński", gdzie mistral szaleje wśród krzyżów i mogilnych krzewów i gdzie tak trudno o ciszę, o spokój wieczysty. Mniej nam się spodobał dziwaczny, sztuczny *Chodzik*, rzekome dzieje chłopa wielkopolskiego, wędrującego za oświatą—na zachód, i wstępującego do..... Jeża—i to po słownik francuski! Znamy kmieci piastowskich lepiej, aniżeli ich zna p. Konopnicka, i możemy ją zapewnić, że włościanin poznański gotów iść do Rzymu czy Lorettu, a nawet i Jerozolimy, gwoli wiary swojej i nabożeństwa, gotów spieszyć do Brazylii lub Stanów Zjednoczonych dla zarobku i chleba, ale nigdy nie ugania się po świecie za jakiemś abstrakcyjnem pojęciem, tem bardziej, że oświatę i w domu znaleźć może, między plebanią a dworem, wspólnemi siłami pracującemi nad moralnem podniesieniem ludu. Ten *Chodzik* jakoś nam się wydaje sztucznie przykrojony na to tylko, by znów na cześć Jeża w wielkie uderzyć dzwony.—Niemiłosierne miłosierdzie gmin protestanckich doczekało się tu należytej odprawy w szkicu z Hottingen. Ale powtarzamy, iż bodaj najcenniejszym tego zbiorku urywkiem jest opis kobiecych więzień warszawskich, tych niedoli i nędz, zarówno moralnych jak materyalnych, którym poskąpiono zbyt długo wszelkich dźwigni i podniet. Wszakże p. Konopnicka opowiada jako wielkie dziwo i świeżą zdobycz dobrych dusz, które spełniają przepis ewangeliczny, aby więźniów nawiedzać, wyjątkowe odprawienie nabożeństwa więziennego podczas świąt Bożego Narodzenia. Odtąd promyk niebieski, nie-

dzielny, rozwidnia szarą przędzę tych dni jednostajnych, więziennych. A jednak i tu kwiaty serca, kwiaty miłości, wyrastają z głazów, wieńczą kraty, łamią rygle. Autorka wspomina o wielkiej liczbie kobiet zgłaszających się za każdą wysyłką zbrodniarzy, aby towarzyszyć skazanym małżonkom w Sybir daleki. Że to się działo przy politycznych zesłaniach, dziwić się niepodobna, zważywszy na wyższy poziom dusz płonących żądzą poświęcenia i ogniem szlachetnych zapałów. Lecz i proste wieśniaczki, poślubione mordercom lub pospolitym złoczyńcom, nie dają swym biedakom iść samotnie w daleką drogę pokuty i ekspiacyi. Nie będą zupełnie „nieszczęśliwymi" ci, przy których znajdzie się serce żony, straż jej miłości, węzeł ślubowanego obowiązku. Takie fakta godzą z ludzkością, upokarzają dumnych prostą ofiarą maluczkich, rozumiejących w całej rozciągłości złożoną u ołtarza przysięgę, „iż cię nie opuszczę, aż do śmierci"…..

Tu i owdzie zgrzyt, bądź złego smutku, bądź zdania zaprawionego uprzedzeniem czy goryczą Lecz w ogóle rzadkie to dyssonanse, a natomiast dużo rzeczy zajmujących, z niesłychaną opowiedzianych werwą. Animusz wprawnego pióra, bogactwo językowe niezwykłe, nabyte gimnastyką rymów, która ćwiczy w opanowaniu wszystkich dostatków zasobnej polskiej mowy, czułość oka na wszystkie kolorystyczne przemiany, biegłość nadzwyczajna w oddawaniu takowych jaskrawem słowem, intelligentne pochwycenie znamiennych rysów — oto cechy tej wiązanki luźnych wrażeń, złożonych dziś w książkę poczytną i ciekawą. *N.*

— Józef hr. Potocki: *Notatki myśliwskie z Afryki. Somali.* Illustrował Piotr Stachiewicz. (W drukarni W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. 1897. Warszawa, Gebethner i Wolff, folio, str. 134). — Trzecia książka hr. Józefa Potockiego zbogaca naszą literaturę podróżniczą. Autor wprawdzie nie jest gnany passyą podróżnika, ale myśliwego; nie chodzi mu o odkrywanie i opisywanie niektórych krajów, ale o polowanie na wielkiego i niebezpiecznego zwierza. Przecież, te wyprawy łowieckie, dla nas, którzy mamy tak mało opisów dalekich podróży, stają za nie i zapełniają ten brak, bo autor choć w myśliwskich celach swoje wyprawy przedsiębrał, nie mógł patrzeć na same lwy czy słonie i o nich jedynie pisać, musiał widzieć te dalekie tajemnicze kraje i o nich mówić. Myśliwych te zapiski muszą przejmować taką ciekawością gorączkową i może taką zazdrością, jak młodego chłopca pierwszy przeczytany romans. Jak jeden mówi sobie nieraz po cichu: „Gdybym to ja podobał się pannie i w jej oczach zwyciężył rywala", tak drugi musi sobie mówić: „Gdybym to ja tak podchodził słonia i mierzył do lwa!" Ale i nie myśliwy wcale, czyta te opowiadania z wielkiem zajęciem. Wspominaliśmy już z powodu dwóch wy-

praw dawniejszych, do Indyj i do Ceylonu, że autor ma bardzo szczęśliwy sposób pisania. Jako myśliwy nie zmyśla, nie fanfaronuje, nie przesadza, mówi szczerą prawdę, a mówi ją z życiem. Jako podróżny nie poetyzuje, nie rozprawia o swoich wrażeniach, nie bawi się ani w liryzm, ani w opisowość, nie naśladuje Sienkiewicza, kiedy mówi o zachodach słońca lub gąszczach leśnych, ale w zupełnej prostocie jego myśli i wyrażeń czuć, że on był pod wrażeniem tego, co widział; wrażenie to, może nawet niechcący, umie dobrze dać poznać swojemu czytelnikowi.

Dwie pierwsze wyprawy napisane były bardzo ładnie i zajmująco, a wydane bardzo ozdobnie. Zaćmiła je trzecia. Mamy tym razem do czynienia z tomem wspaniałym, wydanym tak kosztownie, że prawie aż żal: gdyby był mniej wspaniały, byłby tańszy, przez to przystępniejszy i może więcej czytany. Illustracye p. P. Stachiewicza, wielkie tablice czy mniejsze winiety, śliczne, zadziwiające zwłaszcza ruchem i wyrazem różnych zwierząt—a reprodukcya świetna. Tekst sam ma te zalety, co w dawniejszych książkach, tylko naszem zdaniem jest chyba więcej zajmujący. Może dlatego. że kraj nieznany, o którym słyszało się i czytało tak niewiele; może dlatego, że zdarzenia tych łowów dziwniejsze, czasem zupełnie dramatyczne. Może wreszcie dlatego, że wyprawa daleka, że ten ląd afrykański tak mało stopą białych deptany, ziemia w stanie natury, „jakżeby wczoraj wieczorem stworzona“, lud koczujący pasterski, jak przed początkiem wszelkiej cywilizacyi, jak gdzieś w czasach między Adamem a Abrahamem, że to wszystko działa na autora, przemawia do jego wyobraźni, podnieca jego passyę myśliwską i przywiązuje go do siebie więcej, niż „*opatrzone, oklepane* Indye“, albo Ceylon.

Wybrało się ich trzech na tę awanturniczą wyprawę w głąb *czarnego lądu:* Józef Potocki, Tomasz Zamoyski i Jan Grudziński. Z jakim taborem, z jaką małą armią ludzi, a stadem wielbłądów, z jakiemi zapasami żywności, wody i amunicyi na trzechmiesięczne koczowanie po pustyni, to w przybliżeniu można zgadywać. Duszą i filarem ekspedycyi jest Alikhar, krajowiec doświadczonej biegłości i dzielności. Natura niepospolita, jak się pokazuje z opowiadania, złożona z wielkiego męztwa, z wrodzonego uczucia honoru, z roztropności i daru rozkazywania. Gdyby nie był organizatorem wypraw myśliwskich, może ten Alikhar byłby jakim drugim Menelikiem. Kraj już trochę spolowany, trochę nadpoczęty przez europejskich myśliwych; chodzi o to, żeby się dostać w jakieś regiony, gdzie wielki zwierz nie przepłoszony i częstszy, gdzie lew, słoń, nosorożec są jeszcze zupełnie u siebie.

Zapuszczają się w głąb kraju, długo idą przez kraj mniej strasznego zwierza, spotykają stada różnych antylop, niezmier-

nie płochliwych i trudnych do podejścia, ale często wracają do namiotu ze zdobyczą wspaniałych rogów. Spotykają stada strusi, jeszcze ostrożniejszych, tak, że żadnego na strzał nie widziano: wreszcie jednego dnia dowiadują się, że do suszonego na słońcu mięsa antylopy skradał się lew. To pierwszy!

Autor siedzi całą noc na zasiadkę — na próżno. Lew nie głupi, nie przyszedł do przynęty. Ale drugiej nocy przyszło ich aż dwa, do samego obozu. Uciekły wprawdzie, zanim zdołano strzelić. ale w ślad za niemi poszła obława. Krajowcy na koniach zajęli miot i pędzili, strzelcy posuwali się z przeciwnej strony. Na przestrzeni pół morgi krzaków mieli przed sobą przyczajonego w gąszczu lwa. Wyskoczył wreszcie i padł odrazu od kuli Zamoyskiego. Lwica, zaraz wytropiona, padła od jednego strzału Grudzińskiego.

Dwa lwy na jeden dzień, to świetny początek. Z trzecim było gorzej. Znowu taka pogonka w krzakach; lew postrzelony przez Potockiego, uciekł. Pogoń i osaczenie go w innych krzakach. Ale tym razem zaszył się tak mądrze, że się nie dał ruszyć. Wtedy strzelano na ślepo w krzaki, i w tej sekundzie zwierz skrwawiony, rozwścieklony, wyskoczył prosto na strzelców, sięgnął łapą na Grudzińskiego, którego szczęściem nie chwycił. Potocki strzelił, trafił, ale nie zabił, a drugiego kurka w pośpiechu nie odwiódł. Lew upadł, ale żył, ryczał, próbował się zrywać, aż go wreszcie powtórnemi strzałami dobili.

Następnego zabił Zamoyski w nocy, na zasadzkę, i dwie hyeny oprócz niego. Piątego w podobny sposób Grudziński.

Przenoszą się potem z miejsca na miejsce, nie tylko dla zwierzyny, ale dla wody, której brak taki, że małe jeziorka, brudne, śmierdzące, wydeptane przez swojskie bydło i dzikie zwierzęta, są rozkoszą dla biednych krajowców. Europejczycy nie używają tej wody, ani nawet do gotowania. Piją mineralną, z Europy przywiezioną; podanie zaś mówi, że przez trzy tygodnie nie mieli się wcale czem myć. Ale w książce tego szczegółu niema. Z historyi o lwach najciekawsze są dwie: strzał Zamoyskiego do wielkiego lwa z czarną grzywą, szczególnie rzadkiego i strasznego, ale zwłaszcza walka Alikhara z lwem. Szli za lwem postrzelonym. Wiedzieli, że jest blizko, ale nie mogli wiedzieć gdzie. Naraz, z odległości pięciu kroków wyskoczył i rzucił się na Potockiego. W chwili, kiedy ten uchylał się ciałem w bok, bohaterski Somalis rzucił się na lwa, zastawił się tarczą od jego pazurów, a dzidę wepchnął mu w paszczę. Trzymał go tak może kilka sekund tylko, ale te sekundy wydawały się wiekiem. Strzelać nie mogli, żeby ze lwem razem nie zabić człowieka. Wreszcie lew zrobił ruch taki, że można było celować do niego samego tylko. Strzelony przez Potockiego, dał pokój Alikharowi i rzucił się na Zamoyskiego, który

go szczęśliwie położył. Alikhar, dziwnym trafem, nie był nawet draśniętym.

Z nosorożcami znowu najciekawsza przygoda ta, że Potocki zabił wielką maciorę w chwili, kiedy wydała na świat małego potomka rodu. Wzięli z sobą to biedne stworzenie, które chodziło za nimi jak za matką, najęli mu mamkę krowę, karmili z flaszki, i jakiś czas chowało się szczęśliwie. Ale trudy podróży były znać za wielkie na jego młody wiek i zdechło, zanim zdołali odstawić je do Berbery, do portu.

Lampartów nastrzelali kilka, a o antylopach nie warto wspominać. To ledwo więcej, jak u nas zając. Ale słonie spotykali stadami, i słonie tak w stanie natury jeszcze, tak nie obeznane z cywilizacyą, że nie znały strzału. Po huku rozglądały się ciekawie, niespokojnie, ale nie uciekały. Z takiego stada raz Potocki zabił dwa na jednem miejscu; ale jeden choć leżał i mieli go za zabitego, zdołał się podnieść i przepadł.

Ciekawy szczegół o ptaku, którego krajowcy zowią *Salamadle*, a który przez żadnego zoologa nie jest dotąd opisany. Wysoki jak człowiek, na czarnych nogach, z wielką głową, z pierzem czarnem i białem, ten ptak, jeszcze ostrożniejszy od strusia, nie dał im się nigdy podejść, tak, że tylko zdaleka mogli go widzieć.

Dnia 17 grudnia r. 1895 wyszli z Berbery w głąb kraju, 7 marca 1896 r. siadali na statek w tej samej Berberze z powrotem do Europy. Wieźli łupy bogate: siedem lwów, trzy słonie, ośm nosorożców, pięć lampartów i sto siedemdziesiąt antylop. Oprócz tych łupów przywozili piękne wspomnienia doznanych wrażeń i trudów, przebytych niebezpieczeństw, wypróbowanej odwagi i wytrzymałości. Czytelnik nie pożałuje, jeżeli te zapiski myśliwskie weźmie do ręki; a przedruk w cenach przystępnych, albo ustępy przedrukowane w szkolnych książkach do czytania i wypisach, byłyby bardzo pożądane i przydatne. S. T.

— X. Władysław M. Dębicki: *Przyszłość Chin. Groźne wnioski z przesłanek lekceważonych.* Z licznemi illustracyami. (Warszawa, 1898. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 192 w ósemce). — W chwili bieżącej znaczną uwagę ludzi interesujących się sprawami pozaeuropejskiemi pochłania znaczną ukończona właśnie wojna między Stanami Zjednoczonemi Ameryki Północnej a Hiszpanią. O niej piszą dzienniki, a minione wypadki wojenne stanowią częsty wątek rozmów większego i mniejszego kalibru polityków. Chiny, przedmiot bez porównania ważniejszy, usunęły się na razie na plan dalszy. Sytuacya jest jednak chwilową; wkrótce sprawa chińska uzyska znów swą aktualność, wróci w szatach o wiele jaskrawszych, aniżeli te, w jakich ukazywała się poprzednio. Pozornie przedstawia się nam kwestya chińska, jako szereg następstw spowodowanych ostatnią wojną z Japonią; biorąc

jednak rzecz podstawowo, trzeba ją uznać za walkę exkluzywnej kultury chińskiej z europejską, rasy żółtej z białą. Chiny, dzięki wstrętnej i egoistycznej polityce swych władców, przedstawiają się nam dzisiaj jako nieruchawa masa kilkuset milionów ludzi, którzy jak murzyni afrykańscy pozwolą swoje siedziby dzielić i włączać w obce „sfery interesów", stosownie do orzeczeń tej lub owej konwencyi europejskiej. Do czasu! Naród chiński nie przyszedł jeszcze do powszechnego przekonania, że ustrój państwa, w którem żyje już od lat tysięcy, wymaga grun towej zmiany, łatwo jednak przyjść może, jest już nawet n drodze do tego. Europejczycy sami mu ją wskazali. Narodı cieszącego się taką cywilizacyą jak chińska, nie zmiotą z obl cza ziemi ani wojny, ani edykta bannicyjne, ani nawet szereg błędów politycznych. Słusznie też mówi X. W. M. Dębicki „Mniemam bez najmniejszego wahania, że wyjątkowy ten naró odegra na widowni dziejów powszechnych rolę nadzwyczajn i że, jeśli nie zapanuje nad światem, jak sądzą niektórzy pe symiści, a czego ja przypuścić nie mogę, tedy przynajmniej wy wrze wielokrotnie wpływ decydujący na dalsze jego losy" „Naród ten posiada olbrzymie bogactwa przyrodzone i naby przez pracę, ma spryt i wytrwałość nieporównaną, a ustrój sp łeczny, ogólnie mówiąc, tak mądry, żywotność i siłę reproduk cyjną tak wielką, jak rzadko który inny". „Wobec kwesty chińskiej zmaleją i zbledną wszystkie inne niepokojące dzi Europę powikłania, zatargi i trudności".

Oceniwszy w ten sposób kwestyę chińską, podaje auto w pierwszym rozdziale dziełka (str. 13 — 44) krótki a pc glądowy rys dziejów Państwa Niebieskiego, w drugim (st 45 — 89) oparty na pracach X. Huca, Tissota, Si mona, Milnego, Brandta, Letourneau'a i innyc obraz państwowego oraz prywatnego życia jego mieszkańców trzeci (str. 90 — 111) poświęca opisowi przymiotów i wa półmiliardowego kolosu etnicznego, czwarty zaś i ostatni (str 112 — 192), najobszerniejszy ze wszystkich, omawia stano wisko Chińczyków w ogólności i prawdopodobne ich koleje w przyszłości. Rozdział ten jest punktem ciężkości dziełka i usprawiedliwia obszerniejszy jego tytuł. Pociągnąwszy paralellę między stosunkami, jakie wytworzyła cywilizacya chińska i europejska, wykazuje autor wymownie i jasno, że tak jedna jak i druga nie jest zgoła bez wad i że nawzajem mają sobie wiele do zarzucenia. Palmy bezwzględnego pierwszeństwa ani jednej ani drugiej przyznać nie można. Europejska jako agressywniejsza wdziera się jednak coraz głębiej w Państwo Niebieskie i z czasem musi wywrzeć wpływ na jego mieszkańców. Aby w całości została przyjętą, o tem nie może być i mowy. Chińczycy wezmą z niej to tylko, co jest rzeczywiście lepszem od chińskiego. Wprowadzą najważniejsze wynalazki europejskie,

reformują swój przemysł i handel, oraz wytworzą armię, która może się stać dla ludów europejskich prawdziwym „biczem Bożym“. Chińczycy już dzisiaj mimo stawianych ich immigracyi przeszkód zaczynają zalewać Indye zagangesowe i archipelagi wschodnio-azyatyckie; wyobraźmy sobie Chiny potęgą militarną a zrozumiemy grozę położenia. W najbliższej przyszłości nie na tem jednak polu staną Chińczycy do walki z Europą; stoczą ją w dziedzinie ekonomicznej, gdzie mają ogromną nad nami przewagę. Gdy się zwłaszcza uwzględni bogactwa przyrodzone Chin, walka ta dla Europejczyków i w ogóle ludów rasy białej musi się zakończyć zupełną klęską. Bardzo pouczającym jest, oparty głównie na pracach E. Simona, prof. F. Czernego i X. Huca, opis naturalnych zasobów Państwa Niebieskiego, pomieszczony na kilku stronnicach omawianego rozdziału. Skarby tak olbrzymie i tak nieprzebrane, nagromadzone w ręku najpracowitszego narodu na świecie, są groźniejszą bronią niż krociowe zastępy najwyborowszych żołnierzy, setki pancerników i dział tysiące. Usprawiedliwioną jest też następująca konkluzya, do jakiej dochodzi X. Dębicki po należytem przedstawieniu szczegółów kwestyi chińskiej: „Ani Anglicy wespół z Niemcami, Irlandczykami i Włochami, ani koloniści wszystkich narodów europejskich, nie zdołają orężem swego przemysłu i kultury powstrzymać tych fal, które ów olbrzymi organizm, zwany Państwem Środkowem, wyrzuca wciąż z siebie. Czy to ciągłe wychodztwo chińskie przerwie się kiedykolwiek samo przez się? Czy to puszczanie krwi przez wzmagającą się ustawicznie emigracyę wysuszy wreszcie źródła życia w samem łonie społeczeństwa, liczącego sto milionów jednostek więcej, niż wszystkie razem wzięte narody Europy? Tego nie wiemy. Tajemnic Opatrzności nikt nie przenika. Lecz to jest pewne i jasne, to istnienie dwu olbrzymich, przepełnionych zbiorników. Dwie wypływają z nich rzeki: biała i żółta — pierwsza, użyźniając niwy, które przebiega, ziarnami cywilizacyi chrześciańskiej, druga zagrażając tych ziarn zniszczeniem. Na kilku punktach prądy te spotykają się już obecnie, uderzają o siebie, zwalczają się wzajemnie. Na innych również zapowiada się starcie. Jaki będzie rezultat ostateczny? Odpowiedź na to pytanie zapisze w swych rocznikach XX stulecie“.

St. Srokowski.

— Stanisław Bełza: *W Górach Olbrzymich.* Wydanie drugie. (Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1898. Z illustracyami, str. 188). — Góry, sąsiadując z pewnym krajem, wywierają nań wpływ korzystny lub ujemny. Są w stanie zamienić leżące u ich stóp okolice w smutne i niegościnne pustynie, ale też zesłać na nie nieprzebrane dobrodziejstwa. Ten ostatni wypadek mamy właśnie w Czechach. Krańcowe góry, otaczające wyżynę, łagodzą tam wpływy ostrych wiatrów północy i wschodu, są kolebką przeważnej części arteryj wodnych kraju i regula-

torem opadów atmosferycznych, wreszcie one to przysparzają najwięcej krasy i ozdoby najpiękniejszej i najobszerniejszej z ziem korony św. Wacława. Nic też dziwnego, że tak Czesi jak i Niemcy umieją je należycie cenić. Uczyniono wszystko, aby poznanie tych skarbów przyrody uprzystępnić jak najszerszym warstwom ludności. Cel zosłał osiągnięty. W porze letniej zewsząd rozlega się w górach czeskich wesoły gwar mowy ludzkiej, a z roku na rok powiększa się statecznie liczba turystów, dążących tu po wrażenia i wytchnienie. Zwłaszcza perła gór czeskich, Góry Olbrzymie, mogą być dumne z licznych odwiedzin swoich i obcych.

P. Stanisław Bełza, któremu literatura nasza zawdzięcza niejeden już tom pięknych i kształcących opisów różnych okolic Europy, wzbogacił ją znowu o podobną książkę. Tym razem dał nam właśnie opis Gór Olbrzymich. Tyle w nim ąkwi poezyi i uczucia z jednej strony, a szlachetnego realizmu z drugiej, że czytelnik mimowoli staje się uczestnikiem podniosłych wrażeń, jakich doznawał autor, odbywając pozazdroszczenia godną wędrówkę nad brzegami Zackenu i Bobru, po Cavalierbergu i Hausbergu, po Warmbrunnie i ruinach starego Kynastu, Gersdorfie i Agnatendorfie, po dolinie Mariańskiej i Schreiberhauskiej, jakby się wsłuchiwał w czarodziejską muzykę wodospadów Hainu, Kocheli, Zackeli i Łaby, jakby stąpał po szczytach Hochsteinu, Pferdekopfu, Hohe-Radu i Śnieżki. Pięknym zwłaszcza jest opis wschodu słońca, jakiego świadkiem był autor na szczycie królowej Gór Olbrzymich. „Na dworze zimno przejmujące, termometr wskazuje zaledwie 2 stopie ciepła. Mimo to stoi już przed hotelem, z twarzą na wschód zwóconą, kilka osób“. „Zdaje się, że to zimno, jakie się czuje, zmrozi wszystkich, że ta noc, jaką się dokoła siebie widzi, nie ustąpi chyba nigdy. Jeden drugiemu udziela to, co czuje, i jeden z drugiego śmieje się w duszy, boć wie o tem, że źle czuje“. „Nareszcie daje się dostrzegać w dali blask — blask słaby, nieśmiały, podobny do potarcia zwilgoconej zapałki o drzewo. Zrazu ten blask jest krótkotrwałym, ukazuje się i niknie, pozostawiając po sobie ciemniejszą noc dokoła; powtarza się on jednak coraz częściej, natężenie jego trwa coraz dłużej.“ „I dziwno nam wszystkim, że od tak długotrwałego błyśnięcia światła nie zapala się cały widnokrąg, i pojąć nie możemy, dlaczego tak ciemno i ciemno, gdzie wzrok zwrócimy. Ale przechodzi nam właśnie przez myśl, że wszystko, co żyje, w trudzie do życia się rodzi, że więc i światło i ciepło słoneczne ulegać temu nieubłaganemu prawu natury muszą. I nie dziwimy się już niczemu więcej, i stoimy niemi i bezmyślni, wpatrując się uważnie w jeden punkt, mający być wkrótce opromienionym jasnością, bez której nam tak właśnie ciężko i duszno na świecie“. — „Robi się dokoła mnie jakieś żywsze poruszenie....“

„Widzę — co? Że dzieje się coś niezwykłego tam, gdzie patrzę, że żywioły powietrzne staczają z sobą widoczną walkę, że mrok ponury, panujący dotąd wszechwładnie na horyzoncie nieba, pozbywa się swego czarnego zabarwienia, że coraz częściej występują na jego powierzchni to szkarłatne, to pomarańczowe plamy. I rozumiem już, co te plamy znaczą, czuję, że są one drogami, jakiemi światło przedostaje się na kulę ziemską, że, niby gołębice pokoju, zwiastują koniec nocy. Wpatruję się więc miłośnie w te plamy, dostrzegam, jak powiększają się coraz bardziej, póki nareszcie nie uczuwam, że nie dostrzegam już nic, gdyż oczy moje zostały naraz zalane ognistemi, gęstemi promieniami".

„Słońce weszło....“

Nie mało do uplastycznienia opisu p. Bełzy przyczyniają się także porównania z naszemi stosunkami i widokami górskiemi. Całość owiewa romantyczna opowieść o złośliwym, ale często i łaskawym duchu opiekuńczym Gór Olbrzymich, *Rübezahlu*, który niegdyś władał całą okolicą, aż zaznawszy w pełni niewdzięczności i niesprawiedliwości ludzkiej spoczął snem wiecznym u uroczego wodospadu Kocheli. Szkoda tylko, że autor tak słabo uwzględnił równie piękną zachodnią stronę gór. Opis zyskałby na pełności i dokładności, co więcej, nieobeznany z stosunkami tamtejszemi czytelnik nie nabyłby przekonania, że Góry Olbrzymie to kraina tak szczeroniemiecka jak Westfalia lub Bawarya, co niestety snadnie po przeczytaniu książki p. Bełzy przydarzyć się może. Samą nomenklaturą zmusza do takiego wniosku. Rzecz piękną i pełną pięknych myśli szpeci zupełne ignorowanie nazw słowiańskich a posługiwanie się z prawdziwą niemal troskliwością niemieckiemi. Nawet Łaba stale bywa chrzczoną nazwą Elby.

St. Srokowski.

— H. Strażyńska: *Adam Mickiewicz.* Opowiadanie dla młodzieży. (W Krakowie. Drukarnia Fr. Kluczyckiego i Sp. 1898, str. 109). — Rok bieżący przyniósł naturalnie na pułki księgarskie sporą liczbę nowych biografij Mickiewicza i parę prac o pojedynczych jego dziełach lub o niektórych chwilach jego życia. Pisano z różnych punktów widzenia, dla najróżniejszych kategoryj czytelników; znani krytycy wyświecić usiłowali niektóre części dzieł lub życia poety. Zadano sobie nawet wiele pracy, aby je tłómaczyć osobom małego wykształcenia, lecz niestety te tłómaczenia nie wypadły zwykle na korzyść Mickiewicza, ani tych, dla których były przeznaczone. Biografie n. p. dla ludu wydane, nazwać można wprost nieudanemi, tak co do kierunku, jak wyboru szczegółów.

Z tem większą też radością ujrzeliśmy nazwisko autorki nad tytułem powyższej książeczki. Znana już od kilku lat z dodatniej pracy nad wychowaniem i kształceniem młodzieży, panna H. Strażyńska zrozumiała doskonale potrzebę wczesnego a stósownego obznajamiania dzieci z dzie-

jami literatury i życiem jej twórców. „Opowiadanie“ jej o Mickiewiczu zostało wydane w tym celu. Potrzebnem było i stanie się z pewnością przydatnem, odznacza się zaś zwykłemi zaletami pióra p. Strażyńskiej, jasnością i poprawnością stylu, prostotą układu, wielką znajomością przedmiotu, z nad którego autorka uchyliła tylko rąbek zasłony dla swoich młodocianych czytelników. Nie chciała widocznie obarczać ich pamięci, pragnęła wyobraźnie pociągnąć, uwagę ująć łatwością opowiadania. Przeważną część książeczki, jej większą połowę, zajmuje opis dzieciństwa Mickiewicza i jego pierwszych lat szkolnych. Szczegółów ciekawych tu dużo; dworek w Nowogródku, małomiasteczkowy dworek z wystawką, w którym mieszkał młody rejent z żoną i małemi dziećmi, ojciec chrzestny poety, sędzia mozyrski Obuchowicz, dalej folwarczek Zaosie w „okolicy“, z której kiedyś czerpane być miały typy Maćków i Bartków Dobrzyńskich, na tym folwarczku małe kłopotliwe gospodarstwo i cała arka Noego, lis chowany, króliki, turkawki, późniejsze skarby „starego Maćka“, izba czeladnia z opowiadaniami starych bab i parobków, źródło wielu szczegółów do *Dziadów*, wszystko wywołane zostało z „zapomnienia fali“, aby uwięzić wyobraźnię dziecinną. I dokaże tego z pewnością; szkoda tylko, że autorka u wstępu, dla zadowolnienia starszych, nie nadmieniła w dwóch słowach najkrótszej choćby wzmianki, z jakich pamiętników, korespondencyj lub wczesnych życiorysów szczegóły te czerpane zostały? Gdyby znalazło się dla nich uzasadnienie obok przekonania, jakie zawsze mamy, że p. Strażyńska w swej znajomości historyi i autorskiej sumienności najzgodniejsze z prawdą daje tło swoim szkicom, szczegóły te i koloryt epoki podnosiłyby do niezwykłego stopnia wartość książeczki i jej zdolność zajmowania czytelników. Opis lat szkolnych poety, choć mniej dokładny, wypadł barwnie: szkoła w Nowogródku, koledzy, dalej wileński uniwersytet i początek nauczycielskiego zawodu, Nowosilcow i prześladowania młodzieży, te ostatnie w parafrazowanych, zdaje nam się nie zbyt potrzebnie, scenach z *Dziadów*, dla dzieci zajmującemi będą z pewnością. Atoli pobyt w Petersburgu i Moskwie, wyjazd za granicę, podane w ramach zbyt ścieśnionych, równie jak dalsze życie na obczyźnie. Poznanie Celiny Szymanowskiej tylko traktowane szerzej, tonem jednak zupełnie zakrawającym na powiastkę i który niezawodnie obniża wartość książeczki. O powstawaniu wszystkich utworów poety spotykamy tylko krótkie wzmianki z datami, o *Panu Tadeuszu* nie dłuższe od innych. Wykłady w Collège de France wspomniane tylko raz, w opisie dziecinnej radości pani Maryi Góreckiej, gdy ją matka zaprowadziła na lekcyę ojca, która dziewczynkę mocno znudziła. O emigracyi, towianizmie, o zupełnem zaschnięciu poetyckiego źródła, niema wzmianki, tylko zaraz następuje śmierć na Wschodzie i zakończenie ład-

nym hymnem pochwalnym na cześć największego poety polskiego. Zapewne miała p. Strażyńska słuszność, nie poruszając tych trudnych tematów, ale książeczka wskutek tej wstrzemięźliwości cierpi może na zbyt wielką pobieżność. Używanie zaś zdrobniałych imion, a nawet skracanie innych słów, są w niej pewnym brakiem dobrego smaku i prostoty, z któremi nie spotkaliśmy się nigdy w poprzednich szkicach autorki. Z pewnością przypisać je trzeba pośpiechowi i chęci stworzenia rzeczy przystępnej dla najmłodszych. Atoli „opowiadanie“ powiastką być przecież nie miało i dlatago, dla uniknięcia nieporozumień, powinno nosić pod nagłówkiem napis: „Opowiadanie dla dzieci“. Jako takie, znajdzie pewno czytelników, którzy przyjemność i korzyść zeń odniosą i za nich, za ich zabawę i naukę, my, sprawozdawcy, powinniśmy autorce zawsze szczerze dziękować.

C.

— Theodor Fontane: *Von Zwanzig bis Dreissig*. Autobiographisches. (Berlin, F. Fontane & Co. 1898). — Dnia 20 września b. r. umarł Fontane, a odtąd każdy poeta może sobie życzyć takiej śmierci. Musiał być znakomitym pisarz, musiał być szanownym człowiek, gdy jego zgon, zgon starca niemal ośmdziesięcioletniego opłakują wszyscy, młodzi i starzy, rewolucyoniści w literaturze i wyznawcy dawniejszych kierunków sztuki, gdy u jego trumny odzywa się nie głos potępienia, szyderstwa lub lekceważenia, lecz jednozgodny chór skargi, że piśmiennictwo niemieckie całe jak jest, istotną poniosło stratę. Gdy się weźmie do ręki którykolwiek, bądź tygodnik, bądź miesięcznik literacki niemiecki, bez względu na jego kierunek, *Deutsche Rundschau* czy *Die Wage*, *Die Grenzboten* czy *Die Gesellschaft*, wszędzie znajdzie się wyraz tego uczucia. Pismo polskie ma oczywiście inne naglejsze potrzeby, ale w niem chętnie korzysta się ze sposobności, by rzucić grudkę ziemi na mogiłę pisarza, który zresztą zupełnie u nas nieznanym nie był i o którego powieści *Effi Briest*, jednej z ostatnich, była na tem miejscu wzmianka. Tę zaś sposobność nastręczają świeżo wyszłe autobiograficzne zapiski Teodora Fontane, wydane staraniem księgarni, przez jego syna prowadzonej, w niemieckim ruchu wydawniczym tak piękne zajmującej miejsce.

Kilka lat temu Fontane ogłosił pierwszą część pamiętników, obejmującą czasy dzieciństwa i wczesnej młodości; teraz ukazał się dalszy ciąg tych zapisków, ciekawszy, bo obejmujący przejście młodzieńca w człowieka dojrzałego: *Od dwudziestego do trzydziestego roku życia*. Nie można powiedzieć, jakoby śmierć przerwała przędzę tych wspomnień, bo Fontane w przedmowie wyraźnie zapowiada, że nie ma zamiaru dalszego prowadzenia

pamiętników. Spory tom, o prawie siedmiuset stronnicach, ozdobiony ślicznym portretem autora z przed laty 55, nie przynosi żadnych nowych dat do życia poety. Wszak już od dawna zajęły się nim i encyklopedye, i artykuły dziennikarskie, i podręczniki historyi literatury, i osobne nawet studya. Z nich łatwo się dowiedzieć, że urodzony r. 1819 Teodor Fontane pochodził z rodziny pierwotnie francuskiej, że w jego żyłach płynęła ta wesoła, żwawa krew gaskońska, która wydała bohatera głośnej dziś komedyi bohaterskiej p. Edmunda Rostand, Cyrano de Bergerac'a. Przyszły twórca ballad, potem powieści, przeznaczony był do zawodu aptekarskiego i kilka lat z górą odbywał praktykę w Berlinie. Rok 1839, to rok zdania egzaminu, a równocześnie i pierwszy większy debiut literacki, wtedy bowiem w piśmie *Berliner Figaro* ukazała się pierwsza jego nowella: *Geschwisterliebe*. Odtąd życie młodzieńca płynie szerszem korytem. Nie wszystko, o czem Fontane opowiada, może wejść w niniejsze sprawozdanie; wiele nazwisk i zdarzeń jest i pozostanie dla polskiego czytelnika obojętnemi, wiele sylwetek n. p. z grona towarzyszów w aptece zajmuje nie przedmiotem, lecz metodą opisywania, a w krótkiem streszczeniu ta cecha musiałaby zaginąć. To też z bogatego tła drobnych, ale ciekawych szczegółów, wydobędziemy tylko kilka bliższych i ważniejszych dla czytelnika.

Wybornie odmalowawszy wygląd staroświeckiego, poczciwie patryarchalnego życia rodzinnego w domu swego pryncypała, Fontane mówi o swoich pierwszych utworach poetyckich— jakiś poemat o pierwszej miłości Henryka IV i dramat o pretensyonalnie sensacyjnym tytule *Du hast recht gethan* — i przedstawia stosunki w dwóch literackich stowarzyszeniach, z których jedno za patrona sobie Lenau'a obrało, drugie od Platen'a nazwę nosiło. Co prawda, to głównym celem tych związków było chyba..... knajpowanie wspólne; ono stoi przynajmniej na pierwszym planie. Dalej dopiero jest odczytywanie wierszy wraz z rozmaitemi nagrodami, w postaci..... kotylionowych orderów. Poważniejszych talentów tu nie ma, lub też są, ale w cichości i ukryciu; co wtedy w takich stowarzyszeniach naczelne zajmowało miejsce, dziś jest zapomnianem. Niebawem znalazł się poeta w Lipsku. Tu błądząc po polach wiekopomnej bitwy z napoleońskich czasów, zamyśla się nieraz nad losem ojczyzny i pisze drobne wiersze z wyraźną polityczną tendencyą. Podczas jednej z tych wędrówek powstaje ładny wiersz, a w nim ta zwrotka:

Ein Herbst hat hier genommen,
Des deutschen Laubes viel —
Wann wird der Frühling kommen
Für den es freudig fiel?

Gdy lipski *Schillerverein* zakupuje i do muzeum wciela.... kamizelkę poety, Fontane ogłasza zgrabny sarkastyczny wierszyk: *Shakespeares Strumpf* i pozyskuje nim rozgłos. Należy do nowego klubu literackiego, którego duchowym środkiem był Herwegh, najwybitniejszy z niemieckich poetów politycznych po r. 1840. I znowu przesuwa się przed oczyma czytelnika szereg doskonałych sylwetek, ale nazwiska tych ludzi są nieznane, zapomniane. O jednym tylko wie dziś świat cały: to Max Müller, słynny lingwista, profesor uniwersytetu w Oxford. Pomińmy też i dalsze losy pisarza, chorobę, w którą popadł i wyzdrowienie z niej, służbę jednoroczną w wojsku, podróż do Anglii w czasie dwutygodniowego urlopu i wrażenia z niej — aż oto widzi się Fontane'a znowu w Berlinie i znowu w literackim klubie. Tym razem był to t. zw. *Tunel*, a jego członkowie byli już poważniejsi wiekiem i znaczeniem. Swoją drogą było to bardzo „mięszane“ towarzystwo..... obok jenerała łatwo można było spotkać pomocnika handlowego. Aby tak różnorodnym elementom ułatwić wspólne pożycie, a po części i z literackiej mody dawano każdemu członkowi *Tunelu* jakieś *nom de guerre*, n. p. Xenofon, Carnot, Metastasio, Spinoza i t. d., i w ten sposób zacierały się społeczne różnice. I w innym też kierunku klub ten posiadał wiele niezwykłych, a czasem dziwacznych urządzeń. Wystarcza wskazać tylko na berło przewodniczącego, ogromną laskę, zakończoną złotą sową. Wielu z jego członków powychodziło potem na ministrów, inni na zawsze pozostaną w historyi niemieckiej literatury, jak Teodor Storm, Heyse, Dahn, Fontane wreszcie, który nosił tu miano Lafontaine'a; był tu i Adolf Menzel, genialnie pendzlem odtwarzający czasy Fryderyka Wielkiego, i Louis Schneider, zrazu aktor, potem tajny radca, głośny swego czasu niemiecki wielbiciel cara Mikołaja I. Czytano własne utwory, dyskutowano nad niemi z tą trochę pretensyonalną i wymuszoną ironią, która kazała tych członków, którzy nic nie pisali nazywać „klassykami“, a produktywnych „makulaturą“. Były i doroczne uroczystości klubowe, a nie brakło oczywiście i konkursów; nagrody były zrazu honorowe — puchar honorowy i t. p. — później prozaiczniejsze, w gotówce. Najlepszą częścią produkcyi tego stowarzyszenia były zapewne ballady; niektóre z nich podaje Fontane w całości lub w wyjątkach, a mają one szczerość, zacięcie i wielką rytmiczność.

Nie potrzeba tu oczywiście streszczać ani zajmujących charakterystyk poszczególnych członków *Tunelu*, ani dalszego opowiadania poety o sobie, o swych zaręczynach, o rodzinie narzeczonej, w której również francuska płynęła krew. Ciekawsze są za to wspomnienia z marcowych wypadków r. 1848, których świadkiem był Fontane, wciąż jeszcze w aptece zatrudniony. Autor zastrzega się najwyraźniej przeciwko temu, jakoby zamierzał dać historyę rewolucyjnych zamieszek, znajdzie ją bo-

wiem czytelnik w wielu naukowych dziełach. Tu są tylko osobiste wspomnienia. A więc n. p. doskonały opis wtargnięcia tłumu do *Königstädter Theater* i rozgospodarowania się tam; więc tworzenie olbrzymich barykad z kulis teatralnych; więc naiwność ochotników, którzy z przestarzałemi karabinami o zardzewiałych kurkach, zabranemi ze składu rekwizytów teatralnych szli na gwardyę królewską; więc walka tłumów z wojskiem. A z tej ostatniej jeden szczegół, niepozbawiony fatalnej ironii. Kula z działa na lud wymierzonego ugodziła w mur pewnej kamienicy i utkwiła w miejscu, gdzie na krótko przed rozpoczęciem walki przylepiono plakat z proklamacyą króla Fryderyka Wilhelma IV; i tak się zdarzyło, że tuż po nad kulą, można było czytać ogromnemi literami wydrukowane słowa: „Do moich kochanych Berlińczyków“..... Z okazyi jednego dokumentu, stwierdzającego, że naczelna władza dość sceptycznie patrzyła w przyszłość i przewidywała blizką może chwilę, kiedy ustąpić będzie musiała przed tłumem, Fontane czyni spostrzeżenie i stara się je uzasadnić, że każde wogóle powstanie, jeżeli tylko wywołało je wielkie i powszechne uczucie, musi się skończyć zwycięztwem rewolucyi, „bo powstający lud, chociaż nic nie ma, jak tylko gołe ręce, ostatecznie przecież silniejszym jest, niż najlepiej uzbrojona regularna siła zbrojna“. Wskazuje na Las Teutoburgski, na Sempach, na Hemmingstedt; zapomina jednak lub nie wie o innych danych, dowodzących, że nie zawsze tak jest. Kończą się te wspomnienia z rewolucyjnego roku pełnem humoru przedstawieniem, w jaki sposob autor został *wahlmann'em* do konstytuanty. Książka zamyka się z chwilą, gdy Fontane otrzymuje miejsce w biurze literackiem pruskiego ministerstwa spraw wewnętrznych — pierwszy krok na drodze, po której kroczyć już będzie przez długie lata; poeta teraz dochodzi do przekonania, że wysokiej pensyi do stanowiska dyetaryusza przywiązanej sam w żaden sposób wydać nie potrafi, i żeni się. „Myślałem, że jestem w porcie, a byłem znowu na burzliwem morzu“.

Nigdy żadne sprawozdanie nie da dokładnego obrazu autobiograficznych wspomnień. Ich urok polega na tem mnóstwie drobnych rysów, które dają wejrzeć w sanctuarium duszy danego pisarza, lecz pochwycić się nie dadzą. Kto Fontane'a zna z jego powieści i poezyj, a pragnie go poznać lepiej, głębiej, niech czyta tę książkę, niech nie da się odstraszyć jej niezwykłą grubością. Z kart tego dużego tomu przegląda dusza niezwykle harmonijna, zrównoważona i spokojna, zdolna odczuć co piękne i dobre, wstręt mająca do tego, co szpetne, złe lub niskie, ale nigdy nie miotana ani szaloną namiętnością, ani zwątpieniem. Delikatny humor, lekka ironia, przeświadczenie, że życie ludzkie składa się ostatecznie nie z dramatycznych momentów, ale z codziennych zdarzeń. Nazajutrz po ulicznych walkach rewolucyjnych, kobiety jak zwykle przychodzą do apteki

po tran dla dzieci — oto szczegół charakterystyczny, wiele mówiący, choć taki drobny, a nie jest przypadkowem, że Fontane z taką skwapliwością go notuje. Ten i ów nazwie takiego człowieka zimnym, prozaicznym. Ale wszak i Goethemu zarzucano brak serca. *J. Flach.*

— *Un ami de Napoléon III. Le comte Arese et la politique italienne sous le Second Empire*, par le Comte Joseph Grabiński. (Paris, Bahl libraire éditeur, 1898). — Pośród legionistów. którzy swe nadzieje związali z powodzeniem orłów napoleońskich, nie wszyscy za Dąbrowskim powrócili „z ziemi włoskiej do polskiej". Niektórzy zostawili swe kości po różnych cmentarzach italskich, inne zadzierzgnąwszy tam węzły serdeczne, nie mieli odwagi ich zerwać i w przybranej pozostali ojczyznie. Potomkiem takiego legionisty jest hr. Józef Grabiński, którego imię wypisujemy powyżej. Zamieszkała w Bolonii rodzina, dziś już okrom nazwiska, nic bodaj polskiego nie zachowała, acz w przejezdnych Polakach gotowa rozpoznawać ziomków.

W świeżo wyszłych *Pamiętnikach* Leona Dembowskiego znajdujemy następną wzmiankę o tym legioniście Grabińskim, który nabywszy majętność pod Bolonią, tamże w r. 1806 umarł. Opowiadają o nim, że nie umiejąc po francusku, Napoleona na paradzie raz w ten sposób przywitał: *Vous en Italie, moi en Italie, vous en Egypte, moi en Egypte, vous consul — moi rien!* Ale szlify jeneralskie nie zaspokoiły snadź ambicyi Grabińskiego, któremu odtąd milsze były słodkie pod włoskiem niebem wczasy, aniżeli dalsze dzielenie fortuny wodza, wyprzedzającego w awansie towarzyszów broni. Wnuk jego, hr. Józef Grabiński zasila francuskie czasopisma sprawozdaniami z włoskich publikacyj, sylwetkami włoskich mężów stanu. Zwłaszcza dwutygodnik *Le Correspondant* często prace jego umieszcza, żeby tylko wspomnieć pociągający wizerunek księcia Amadeusza Sabaudzkiego, oraz świeższe wyciągi z pamiętników jenerała Rocca. Obecnie mamy przed sobą zajmujący tom, który wskrzesza pamięć jednego z najzaufańszych przyjaciół Napoleona III, hr. Franciszka Arese.

Do mnóstwa publikacyj, rozświecających zawiły charakter twórcy drugiego cesarstwa, przybywa jedno świadectwo więcej, rzucające pęk światła na czynniki oryentujące włoską politykę Ludwika Napoleona. Ten sfinxowy człowiek, który zdaniem jednego z współczesnych, nigdy nie potrafił rozeznać różnicy między myśleniem a marzeniem, nie umiał też jawną drogą zmierzać do obranego celu. Raz więcej nam się tu przekonać przychodzi, jak najtrudniejsze kwestye polityczne traktował nieraz osobiście, po za plecami swoich ministrów, jak rządził się wiecznie złudzeniem, iż sam kieruje międzynarodową dyplomacyą, nie spostrzegając się, iż raczej dawał się uwikłać w sieci zręczniejszych od siebie monarchów i statystów, którzy mieli

nad nim tę mianowicie wyższość, iż wiedzieli dokładnie zkąd wychodzą i dokąd idą, podczas gdy Napoleon III albo o tem zgoła nie wiedział, lub też po drodze zapominał.

Franciszek hr. Arese, urodzony w Medyolanie w r. 1805, sprawdzić miał raz więcej, że „młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały“. Wzrastał pod wpływem przyjaciół domu rodzicielskiego, wśród których znajdował się i szlachetny hr. Confalonieri i całe grono patryotów włoskich, uprzykrzających sobie jarzmo Austryi. W ich liczbie wyczytujemy dwukrotnie polskie nazwisko Karola Dembowskiego. Gdy Confalonieri wraz z towarzyszami dostał się do Spielbergu, cierpienia włoskich spiskowców spotęgowały nienawiść młodego Arese do rządów austryackich; przystąpił on do tajnych związków i czynną na razie podał im rękę, acz przez całe życie potępiać miał skrajność kierunku Mazzini'ego i brzydził się zbrodniami, do których tenże parł swych zwolenników. To ostatecznie zniewoliło szlachetnego Włocha do zerwania później wszelkiej solidarności z związkiem *carbonarich* i „młodej Italii“. A tymczasem matka, lękając się dla syna losu tylu już nieszczęśliwych, okupujących młodzieńcze zapały ciężką na Spielbergu niewolą, postanowiła go usunąć z pod niebezpiecznych wpływów i wysłała do Rzymu, gdzie zbliżywszy się do królowej Hortensyi i jej synów, Arese niebawem w długich po mieście wiecznem wędrówkach zawarł dozgonną przyjaźń z młodszym, Ludwikiem Napoleonem. Grunt to jedyny dla utrwalenia poczętych na nim stosunków: czar Romy pada i na znajomości przypadkowe, gotowe tu się przedzierzgnąć w stałe i gorętsze uczucia, zaczerpujące nieśmiertelności z samychże ram i otoczenia.

Młoda latorośl Bonapartów bodaj głębiej była uwikłaną w sieci *carbonarich* i wolnomularzy od Franciszka Arese, który już w r. 1833 wyrwał się był z ich objęć i próbował, acz na próżno, i przyjaciela oswobodzić. Tymczasem Ludwik Napoleon liczył na pomoc spiskowców włoskich, aby owładnąć berło Francyi i odraczał zerwanie węzłów, które nad nim bodaj przez całe życie fatalnie zaciężyć miały. Wtem Arese skompromitowany w Medyolanie, opuszczać musiał dla własnego bezpieczeństwa granice Lombardyi, chroniąc się w Arenenbergu, gdzie go królowa Hortensya z otwartemi przyjmowała ramionami. Tu przyjaźń obu młodzieńców jeszcze się zacieśniła w długich rozmowach, w których więcej bodaj zaprzątali się przyszłością Włoch, aniżeli Francyi. Arese ulegał czarowi rozmowy księcia, w którym domyślał się geniuszu, zamiast ocenić sprzeczność zachodzącą w tym mętnym umyśle, gdzie cezaryzm kotłował naprzemian z ideą wolności. Przykrząc sobie wczasy tułaczki, młody Włoch niebawem zaciągnął się do legii zagranicznej, nie chciał słyszeć o amnestyi austryackiego rządu, utwierdził przy-

jaciela w ślepej dla Austryi nienawiści, co mu zresztą nie trudno przychodziło, spadkobierca bowiem idei napoleońskich mniemał, iż go Opatrzność naznaczyła, aby obalić wszystkie sztuczne fabrykaty kongresu wiedeńskiego.

Wtem zamach strassburski okrył pewną śmiesznością młodego księcia. Rząd francuski, nie chcąc go pasować na męczennika sprawy, wyprawił go do Ameryki. Widząc macierzyński niepokój królowej Hortensyi, Arese, który podczas zamachu trzymał się był daleko od przyjaciela, aby się nie mięszać w cudze, nie obchodzące Włochy sprawy, teraz pospieszył za Ocean, aby dzielić wygnanie księcia i czuwać nad nim. Ponowiły się długie rzymskie rozhowory, coraz ściślejsze i poufniejsze. Ludwik Napoleon przekonał teraz przyjaciela, iż prędzej czy później po stryju berło Francyi podejmie. Arese nie przestawał orędować za sprawą niepodległości włoskiej i wyswobodzenia ojczyzny. Mnóstwo włoskich wychodźców skupiało się w Nowym Yorku dokoła obu przyjaciół. Jedyny, który się trzymał na uboczu, był hr. Confalonieri, wierny dawnym wstrętom do napoleońskich tradycyj. Zresztą gdziekolwiek się Arese pokazał, wnet wytwarzał rodzaj punktu zbornego, przyciągającego ludzi jednakich uczuć i przekonań. Gdy w r. 1838 powrócił nareszcie do Medyolanu,ześrodkował natychmiast poważne stronnictwo, walczące wszystkiemi siłami z polityką Metternicha.

Ta zaś nie zasadzała się wyłącznie na podporządkowaniu wszystkich różnolitych żywiołów składowych Austryi rządom niemieckiej mniejszości. Usiłował on nadto przez swych agentów ukołysać wszelakie aspiracye narodowe, zachęcając warstwy przewodnie do używania życia, do nurzania się w zbytku, w bezczynności, w lekkomyślnych zabawach. Metternich starał się jednocześnie obniżyć poziom umysłowy włoskich poddanych cesarstwa. A tymczasem duch włoski budził się do niebywałego życia, składał owoce niespożytej pracy, przejawiał się w dziełach poważnych, bodaj nawet w arcydziełach, z któremi daremnie Metternich o przewagę wpływu próbował walczyć. Świetna nad inne była to pora, świetniejszą być jeszcze mogła, gdyby nie dwoistość prądu i kierunku. Podczas gdy Manzoni i Cantù wierni pozostawali Kościołowi i katolickim pojęciom, inni przechylali się do skrajnego racyonalizmu, zaciągali się w szeregi otwartych przeciwników wiary i prawdy. Niestety! Arese i grono jego towarzyszów hołdowali jawnej bezbożności, a nie dzieląc zasad skrajnych rewolucyonistów, zbliżali się do nich ślepą nienawiścią dla Kościoła. „Pociągnęli za sobą wielu innych, ostatecznie kosztem ojczyzny własnej, której drogo opłacić przyszło fałszywą politykę, doprowadzającą do konfliktu między uczuciem religijnem a patryotycznem, który zatruł młodzież szkolną i zgotował przepsucie mieszczaństwa z jednej strony, z drugiej zaś

rozszerzenie radykalnych i socyalistycznych pierwiastków wśród ludu“.

Skoro tylko Cavour doszedł do przewodniego w Piemoncie stanowiska, odrazu zmierzył, jakim atutem w jego grze mógłby się okazać Arese. Darmo jednak sam, lub z pomocą Wiktora Emmanuela, usiłował wciągnąć przyjaciela Napoleona III na pierwszorzędne stanowisko. Arese znał dobrze miarę własnych zdolności i nigdy nie chciał przyjąć urzędu ni odpowiedzialności, przerastających swoje siły. Natomiast gotowym był zawsze podejmować tajne czy jawne misye, które mu z kolei powierzano, wyzyskując wpływy starej przyjaźni na cesarzu Francuzów. Można też sobie wyobrazić, z jakiem wzruszeniem przyszło hr. Arese powitać lądującego w Genui Napoleona III w onym r. 1859, który miał w znacznej części urzeczywistnić marzenia i sny młodości obu przyjaciół. Ujawniają się tu trudności, jakie niebawem się wyroiły z poruszenia kwestyi włoskiej, częściowo tylko załatwionej przez Napoleona III, który bezwiednie dawał się prowadzić Cavour'owi dalej, aniżeli sam chciał i mniemał. Kreśląc owe zawiłe stosunki, historyk ich włoski, Romuald Bonfadini wydaje niezbyt pochlebne świadectwo dla ówczesnej polityki italskiej. „Sumienie dziejopisa nie pozwala nam twierdzić, ażeby w tym całym okresie polityki włoskiej, lojalność i prawość były cechą znamienną naszych statystów. Projekta i plany krzyżowały się w notach dyplomatycznych i depeszach, podczas gdy w głębi serca każdy inną myśl ukrywał. Przyjmując jaką propozycyę, odrazu zamierzano tajemnie ją odrzucić; odpychając zaś takową, przypuszczano blizką ewentualność zgodzenia się na nią. Chodziło tylko dwustronnie o naznaczenie ceny ustępstw wzajemnych, a walka toczyła się między tym, który żądał najwięcej, a tym, który chciał dać jak najmniej“.

Arese patrzał z wstrętem na dwulicowość rządu i rad byłby się wycofał w życie prywatne, dowodząc Cavour'owi, że niezdatny do redagowania not dyplomatycznych, zaledwie się zdobyć umie na spisanie własnej bielizny oddawanej do prania. Cavour wszelako nie przestawał go używać za pośrednika, wysyłając naprzemian do Paryża, Vichy, Compiègne i t. p., gdziekolwiek można było dojść do poufnej z cesarzem rozmowy. Dwie rzeczy się uwydatniają w korespondencyi i stosunkach obu przyjaciół: naprzód znana niechęć cesarzowej do Włoch i kwestyi włoskiej, acz osobiście Arese'go lubiła, a po drugie stała chwiejność cesarza w sprawie Rzymu. Przedewszystkiem możnaby mniemać, iż ulegał on wpływowi osobistego jakiegoś uczucia dla Piusa IX. Wciąż bowiem próbował odroczyć zabór, zyskać na czasie, powtarzając, iż należy przeczekać śmierć papieża, odłożyć wszelkie zmiany do blizkiego zapewne konklawe, uszanować *status quo*, dopóki się okoliczności nie zmienią. W ostatnich bodaj latach możnaby mniemać, iż potargał węzły rewolu-

cyjnych stosunków, śmielej bowiem występuje w obronie Rzymu; ale już jest zapóźno, niebawem odwołanie Orenoku i wojsk okkupacyjnych w jednym miesiącu sprowadzi krzywdę i karę, zabór miasta wiecznego i upadek drugiego cesarstwa.

Przyjaźń hr. Arese przetrwała lata powodzenia. Na wieść o klęsce sedańskiej, chciał natychmiast spieszyć do Wilhelmshoehe, a gdy mu dostojny więzień dziękował za ten nowy dowód życzliwości, wymawiając się na razie od niego, Arese podjął włodarstwo interesów przyjaciela, który posiadał znaczne dobra we Włoszech i Friulu. On też przeprowadził sprawę sprzedaży ogrodów farnezyjskich, nabytych przez Napoleona III, celem rozkopania zwalisk pałacu Cezarów. Wiktor Emmanuel i minister Sella zrozumieli doniosłość rozpoczętych na Palatynie robót grabarskich i za pośrednictwem Arese'go wypłacili ex-cesarzowi kwotę 650.000 franków. Zawsze oddany sercem całem przyjacielowi młodości, Arese umiejętną administracyą podniósł znacznie jego dochody; raz jeszcze spotkali się w Chislehurst, ostatni raz pożegnali w życiu. Wierny powiernik Napoleona III dożył jeszcze tragicznego zgonu cesarzewicza, zaczem sam zgasł w Florencyi w 1881 r.

Hr. Grabiński w kilku wielkich rysach streszcza charakter człowieka, któremu niniejszy poświęcił tom. Uznaje w nim wielką prawość charakteru, zupełną bezinteresowność, dzielność nieznającą kapitulacyi na rzecz opportunizmu, wierność przyjaźni i patryotycznym ideałom. Z drugiej atoli strony wytyka w nim upór, niezdolny korzystać z nauk doświadczenia, przedewszystkiem zaś ślepą bezbożność pojęć, która parła go do walki z religią, nie bacząc, że przez to służy sprawie tych radykałów, których niemniej zaciętym był wrogiem. „Italia dość wycierpiała skutkiem antireligijnej polityki liberałów umiarkowanych, którzy chcieli budować monarchię na omylnych podstawach racyonalizmu i bezbożności. Wśród tych, co ten zgubny zagaili systemat, znalazł się niestety i Arese, przeciwnik zawzięty pojęć i praktyk katolickich. Zaczem uznając jego przymioty, historya ostatecznie zasądzić go musi". Temi słowy kończy włoski Polak swą biografię hr. Franciszka Arese, a kończymy też i my nasze z niej sprawozdanie. *N.*

— *La guerre et la frontière du Rhin. — Droit de conquête et plébiscite*, par J e a n H e i m w e h. (Paris, éditeur A. Colin, 1897). — Dziwnie wymowne jest, i do przedmiotu zastosowane, znane nam już dobrze a przybrane nazwisko autora powyżej wymienionych książeczek; tyle przebija w nich prawdziwej, rzewnej, nam Polakom dobrze znanej tęsknoty! W każdym razie, zacny Alzatczyk zwiący się H e i m w e h, cenionym jest pisarzem, praca jego ostatnia znowu na obszerną zasługuje wzmiankę, jest bowiem pisana piórem człowieka wszechstronnie i intelligentnie wykształconego, a zarazem gorącego francuskiego pa-

tryoty, gorącego, ale i wytrawnego, który, pomimo tęsknoty za postradanemi prowincyami, nigdy nie wpada w sentymentalny patcs, oraz nigdy z oczów nie traci bolesnych dla zwyciężonych, ale dla zwycięzcy niemniej istniejących praw.

Zacięty wróg dwóch politycznych solucyj alzacko-lotaryngskiej sprawy, mianowicie: pozostania przy obecnem *status quo*, srogiej poddając się rzeczywistości, lub zgodzenia się na podział dwóch tych prowincyj, częścią na rzecz Niemców, częścią na rzecz Francyi, w stosunku do używanego przez mieszkańców języka, p. Jan Heimweh pragnie przecież, żeby ten gordyjski węzeł rozgmatwany był pokojowo, na drodze wzajemnych ustępstw. Czyż potrzeba dodać, że tychże ustępstw żądać się będzie o wiele więcej od Niemców, niż od Francuzów, co prawdopodobnie Niemcy za krzyczącą niesprawiedliwość, a Francuzi za całkiem słuszne rozwiązanie sprawy uważać będą. Zdaje się więc, że „nie tędy droga"! To też autor nie „drogą", ale rozmaitemi dyplomatycznemi — nieco może krętemi — manowcami z trudnego wydobywa się problematu. Miejsca nam nie staje, niestety! na szczegółowe rozpisywanie się o manowcach tych, i jedynie kilku rysami wspomnieć możemy o głównych pomysłach p. Heimweh, pomijając milczeniem wywody historyczne, ciągnące się od wojny stuletniej aż do czasów obecnych. „Zachciało się Prusakom zagarnąć Alzacyę i Lotaryngię i na tej podstawie zbudować narodową jedność Niemiec, w czem nie mały popełnili błąd, z oczów tracąc wszelkie nauki przeszłości, jasno dowodzącej, jak kruchą jest ta podstawa". A nieco dalej, dodaje autor: „Prowincye te, dawniej niemieckie, przekształciły się duszą i ciałem na kraje francuskie. Rząd niemiecki powinien to był zrozumieć. Chcieć przemocą odzyskać dla siebie ludność, która się była tak gruntownie, tak całkowicie oddała Francyi i do Francyi przywiązała, to czyn, nie odpowiadający ani duchowi, ani dążnościom naszych czasów". Czy p. Heimweh nie robi sobie czasem illuzyj co do tego „ducha" i co do tych „dążności" naszych czasów? czy się na nie niezapatruje przez pryzmat własnej, zacnej duszy, ale koniec końcem duszy „prywatnej", gdy tymczasem dusza „publiczna" — a cóż dopiero dusza niemiecka — całkiem inaczej i wcale nie tak idealnie wygląda? Na poparcie twierdzeń swych autor podaje nam, na statystyce opartą cyfrę alzacko-lotaryngskiej ludności, która, przez poszanowanie tradycyi, oraz przez namiętne w całym kraju tym zamiłowanie do francuskiego sztandaru, dobrowolnie w przeciągu niespełna lat dwudziestu z zajętych przez nieprzyjaciół prowincyj wyemigrowała, cyfrę kolosalną i dziwnie wymowną, bo wynoszącą z góry 280.000 ludzi, a przedstawiającą nieograniczoną w duszach dobrowolnych wygnańców tych moc żarem tlejącej nienawiści i nie mniej nieograniczonej żądzy krwawego odwetu. Wszelkie

polityczne i społeczne prawa gwałcącej anneksyi tej przypisuje nasz Alzatczyk ogólny niepokój, ogólną gorączkę trawiącą dziś niemal wszystkie europejskie narody, oraz przerażający wzrost militaryzmu, zużywającego najżywotniejsze siły wszystkich krajów, militaryzmu, na którego utrzymanie toną miliardy, mogące być moralnie i społecznie z taką korzyścią użyte na zapobieżenie coraz to większej wśród proletaryatu nędzy, oraz na podniesienie szybko upadającego wszędzie rolnictwa. W bezustannem wraz z rządami wyczekiwaniu wojny, przemysł pozostawia odłogiem to, co właśnie stanowi bogactwo i przyszłość wszelkich krajów, t. j. ziemię, wszystkie siły robocze poświęcając na udoskonalenie narzędzi morderczych. Czyż taki winien być cel cywilizacyi stulecia naszego, wiecznie chwalącego się „postępem". Wymowny dowód, do jakiej aberracyi doszła potęga militaryzmu, to, że prawdziwie humanitarny cesarza rosyjskiego pomysł ogólnego rozbrojenia, w pierwszej chwili z uniesieniem wszędzie przyjęty, po krótkim czasie, zanim się dyplomaci na konferencyę w sprawie tej zjechali, niemal wszędzie za niemożliwy uznanym został.

Ale jakąż więc podaje p. Heimweh solucyę, mającą zagoić krwawe rany „zagarniętych", bez wielkiego uszczerbku dla „zagarniających". Otóż, proponuje on, aby cesarz niemiecki piekącą alzacko-lotaryngską sprawę, na wzór sprawy belgijskiej, a później i włoskiej, szczerze i uczciwie rozwiązał — co na przeciwieństwo wygląda, gdy się słowa te do Niemców odnoszą — i w dwóch prowincyach tych zastósował plebiscyt; niech każdy z mieszkańców orzeknie, do kogo chce należeć? Ma się rozumieć, że p. Heimweh — wraz z czytelnikami *Przeglądu Polskiego* — ani chwili nie wątpi, że na sto głosów znajdzie się zaledwo jeden, i to jeszcze przez Niemców przekupiony, chcący pozostać pod berłem Hohenzollernów. W zamian za Alzacyę i Lotaryngię, p. Heimweh nie byłby od tego, aby Francya ofiarowała Wilhelmowi II Madagaskar n. p. albo Tonkin. „Takie rozwiązanie całej kwestyi byłoby godne cywilizowanej Europy. Płynące ztąd dobrodziejstwa byłyby niezliczone, a ci, którzyby rozwiązanie to przeprowadzili, zasłużyliby na dozgonną wdzięczność ludzkości". O jednej tylko rzeczy zapomina nasz autor, to że „ci", którym propozycyę tę robi, są ci sami, co „wbrew życzeniom miejscowej ludności", zagarnęli od lat czterdziestu: Schlezwig-Holstein, Hannower, Frankfurt nad Menem, a Austryę, tę odwieczną tradycyjną w Niemczech władczynię, z Niemiec wyrzucili. Falami wspomnień porwany, p. Heimweh książeczki swe pisząc, ulżył może zbolałemu sercu, ale bodaj, czy się praca jego na co innego przyda! Wprawdzie, jest jeszcze jedna—nawet od Niemców — silniejsza, nad światem potęga, i ta, losy narodów w ręku dzierżyć, przeróżne zesłać może, tak Francuzom, jak i Niemcom, niespodzianki. Ale młodego niemieckiego

cesarstwa młody władca prawdopodobnie nie wątpi, że Bóg ten wszechmocny, o którym przy każdej sposobnośc i wspomina — nie wyjąwszy chwil, gdy gnębi i zmiażdża sąsiednie narody — musi chyba stać po jego stronie. Kto wie, czy udając się do Ziemi Świętej, Wilhelm II, w głębi monarszej duszy swej, nie żywi bodaj nadziei, że z czasem i Leona XIII na protestantyzm nawróci!! *A. M. L.*

Z literatury powieściowej.

— Mieczysław Pawlikowski: *Baczmaha.* Szkic powieściowy. Illustrował Wł. Tetmajer. (Warszawa, nakład Gebethnera i Woffa, 1898). — Fantastyczność zajmuje w naszej literaturze pięknej bardzo mało miejsca. Jesteśmy bardzo wybitni, czasem znakomici w powieściach historycznych i społeczno-obyczajowych, o wiejskie stosunki opartych, ale nie wiele mamy dobrych książek z zakresu literatury fantastycznej, tak jak brak nam prawdziwie humorystycznych powieści. Fakt trochę dziwny, bo przecież przypisują nam powszechnie wiele fantazyi, a my sami lubimy twierdzić, że z trzech władz umysłu: uczucie, wyobraźnia i rozum — dwie pierwsze posiadamy w stopniu wysokim. A jednak pozostanie niezbitym faktem, że nie wydaliśmy ani Edgara Poë, ani Jonatana Swifta. Powieści fantastycznych mamy bardzo mało. Ich liczba powiększyła się w ostatnich czasach o jeden tom, a zyskał na tem i ten osobny rodzaj i polska literatura w ogólności.

Pomysł szkicu powieściowego p. Mieczysława Pawlikowskiego jest niezwykle śmiałym. Autor wybiera się na wycieczkę w tatrzańskie góry, a towarzyszy mu młody serdeczny junak, Antoś. Odnajdują jakąś rozpadlinę w skałach, Antoś jako młodszy, śmielszy i zwinniejszy bada ją z narażeniem życia i po dłuższym czasie przynosi jako owoc poszukiwań metalową puszkę, kształtem przypominającą pudełko na sardynki, całą gliną oblepioną. Obaj otwierają ją i znajdują w środku zwój starego pergaminu. Po jednej stronie herb Ślepowron i dyplom szlachecki JMC. Pana Józefa Kalasantego na Meleszkach Baczmahy, towarzysza husarskiego, po drugiej pobladłe, z trudnością dające się odczytać pismo w stylu XVIII wieku. Czytają razem, a w miarę czytania ogarnia ich potężniejące coraz bardziej uczucie grozy. Oto na pożółkłym pergaminie Krzysztof Hieronim Baczmaha własną krwią spisał okropne swe dzieje. „Opowiadanie Baczmahy przypominało wrażeniem grozy słynne obrazy belgijskiego malarza *Ostatnie marzenia ściętej głowy* — przypominało także poemat o *Piaście Dantyszku.* Było to w czasie konfederacyi barskiej. Moskale napadli na wieś pana Baczmahy; „salus tylko w ucieczce pozostawał“, to też wszyscy uciekali

w góry. On sam zatrzymał się na chwilę, zobaczył jakiś kamień z napisem, chciał się schylić, aby go odczytać, gdy wtem coś się z nim nagle stało, ciemności go ogarnęły, a gdy po długim, długim czasie odzyskał przytomność, uczuł brak powietrza w otchłani, w którą się zapadł, uczuł, że nogi ma zagrzęzłe w gęstej glinie. Ogarnęło go niewypowiedziane przerażenie. Chciał wołać ratunku, szukać wyjścia, ale darmo, sił nie miał, z gliny wydobyć się nie mógł. „Cudu! cudu Bożego wzywałem, jak ongi Daniel w lwiej jaskini. I modliłem się, całując szkaplerz, który nosiłem na piersi, i omdlewałem z wielkiej boleści, jaka przejmowała wszystkie członki moje i trwogi serdecznej przed straszliwą śmiercią“. Pragnienie zaspakajał ssąc gliniastą ścianę, głód oszukiwał tą samą gliną. Uczucia grzęznącego w glinie konfederata, trwoga i przerażenie, pokuta i rezygnacya, żal za życiem i poddanie się woli Najwyższego, raz po raz skargi na Boga i okrutny los, to znowu martwota ciała i duszy — to wszystko oddane jest w opowiadaniu w sposób prosty, naiwny, tą prostotą i naiwnością do głębi serca przejmujący.

Trwało tak długo, może lata, może całe wieki. Raz przypomniawszy sobie, że w ucieczce zabrał gromnicę i torbę, a w niej krzesiwo, usiłował zapalić ogień. Po długich mozołach zaświecił gromnicę, ale oczy odwykłe od światła nie mogły znieść strasznej, oślepiającej jasności. Zwolna dopiero zaczęły się do niej przyzwyczajać i oto zobaczyły nowy cud, „cud, którego niczyje jeszcze nie widziały oczy i uszy nie słyszały“. Oto na ziemi przed sobą Baczmaha zobaczył głowę człowieka, niby uciętą, żywą, z oczyma na niego patrzącemi. I ta głowa zapadała się coraz bardziej, już tylko włosy rozlały się koło niej ponad powierzchnią gliny, a jeden wąs sterczał z pod ziemi. Oczy straszliwie latały w oczodołach, a w pewnej odległości od głowy sterczały z gliny trzy palce, wychudłe, z paznogciami długiemi jak szpony. A więc on tu nie jest sam, więc jest tu człowiek — może ich kilku? — który tu ginie marnie jak i on. Ale on go wyratuje, zmieni okropne powolne konanie na natychmiastową śmierć. I wydobył z trudem z torby kordelas i począł nim okopywać rów w koło siebie. W tem kordelas uderzył o coś twardego. Podniósł to.... To była kość z jego własnej nogi...., w glinie spruchniała. Szatańską pokusą popchnięty rzucił kordelas, a ten utkwił nad głową starca, w glinie grzęznącego. I zobaczył Baczmaha nieczytelny napis i wyraźną liczbę A. D. MDCLXVI. A więc to już sto lat z górą ten starzec tu ginął, więc i jemu może Bóg przeznacza tyle, a może i więcej czasu powolnego konania. I ukorzył się przed Panem, wziął straszny dopust Boży za karę za swe grzechy i pokutował, a na upomnienie przyszłych pokoleń postanowił spisać na odwrotnej stronie pergaminu krwią własną to, czego doznał. Pokonawszy mnóstwo przeszkód, spełnił zamiar.

I tu się kończy właściwe opowiadanie o przygodach Baczmahy; ale książka liczy jeszcze z górą 160 stronnic. Zapełnia je opowiadanie o owym Antosiu, wesołym, junackim chłopcu. Kochał się w pannie Józi i w miłości swej był taki serdeczny, taki ufny i szczęśliwy. Ale los okrutnie go dotknął. Antoś spadł z tatrzańskich „piargów“, doznał gwałtownego wstrząśnienia mózgu..... musiano go umieścić w zakładzie dla obłąkanych. Jego Józia wyszła za mąż za innego, on zaś ginął powoli, w zupełnej martwocie. Gdy go autor ostatni raz odwiedził, „otworzył wreszcie usta i wydobyło się z nich jedno jedyne słowo, okrzyk, strasznym, przeciągłym, jakby podziemnym, z głębi grobu wydanym głosem, jedno słowo mnie tylko samemu zrozumiałe: Baczmaaaaaha“.....

Co sądzić o tym niezwykłym „szkicu powieściowym“ p. Pawlikowskiego? Że historya Baczmahy jest fantazyą, o tem każdy jest przekonany: zapaść się w otchłań łatwo, ale żyć tam lat sto i więcej, żyć gliną, to już mniej prawdopodobne, najmniej zaś to, żeby człowiek w takim stanie mógł podnieść z ziemi i wziąć w rękę pruchniejącą kość własnej swej nogi. Ale może zrąb nadzwyczajnego zdarzenia jest prawdziwy, a jego akcessorya tylko są produktem szalejącej wyobraźni człowieka żywcem w grób się zapadającego. W takim razie jednak jak przypuścić, że Baczmaha miał czas do pisania swych wrażeń — o krwi jako inkauście już nie mówiąc — a nadewszystko, czy jest to możliwem, aby Baczmaha w śmiertelnym pocie powolnego konania, tak okropnego, chciał potomności przekazywać autobiograficzne zapiski? Historya Baczmahy jest więc czysto fantastyczną, jednym z najśmielszych płodów wyobraźni, jakie mamy w naszej literaturze. Dodajmy odrazu : i jednym z najpiękniejszych. W tem opowiadaniu jest groza i okropność, ale nie ma ani na włos obrzydliwości, nawet w najstraszniejszych momentach szczera poezya, proste a głębokie uczucie opromienia okropność opisywanych zdarzeń.

Czy *Baczmaha* jest czystą, beztendencyjną fantazyą, prostą grą wyobraźni, czy mniej, lub więcej wyraźnym symbolem jakiejś myśli? Odpowiedź na to pytanie określi związek drugiej części „szkicu“, historyi Antosia, z pierwszą, opowiadaniem o Baczmasze. Byli tacy, którzy ten związek uważali za bardzo ścisły. Mówili oni tak: opowiadanie o Baczmasze, to poetyczna przepowiednia, przedstawienie przyszłych a bliskich losów Antosia; szlachcic konfederat zapada się w glinę, ginie powoli, żywy w grób się zanurza — tak i Antoś wpadł w otchłań wiecznej ciemności ducha i przy żywem ciele kona powoli. Co więcej; Antoś miał przeczucie, że taki los go czeka, on to sfabrykował mniemany rękopis Baczmahy, on go potem niby to „znalazł“. Z tych dwóch powodów owem jedynem słowem Antosia jest imię mniemanego konfederata. Takie rozumowanie ma za sobą

wiele pozorów prawdy. Ale w takim razie dochodzi się do wniosku, że autor, chcąc dać obraz losów jednego człowieka, użył środków wzniosłością, grozą przewyższających ów cel, że innemi słowy istnieje dysproporcya pomiędzy przedmiotem, a formą i środkami przedstawienia. Niewątpliwie obłąkany godzien jest naszej litości, współczucia, zwłaszcza gdy się znało jego serdeczność, szlachetność, zdolność. Ale żeby pokazać tego obłąkanego, żeby wzbudzić w czytelniku współczucie, czyż na to potrzeba aż takich środków, czy wtedy te wspaniałe pomysły wyobraźni nie przybrałyby postaci i cechy lekkomyślnych wybryków sensacyjnych romansów. Nie; p. Pawlikowski jest na to zbyt artystą. A zresztą, co zrobić w takim razie z całym motywem historyczno-religijno-patryotycznym, z konfederacyą i Moskalami, dyplomem szlacheckim i gromnicą, naiwną wiarą i pokutą? I my wprowadzamy obie części książki w pewien związek wzajemny, ale sądzimy, że historya Buczmahy istnieje dla siebie i dopiero *ex-post* rzuca refleksy na Antosia, którego dzieje są znowu całością dla siebie.

Ale jeżeli Baczmaha sam dla siebie istnieje, to znowu staje się przed pytaniem, co to znaczy? Jest w tem opowiadaniu to połączenie motywu czysto powieściowego z patryotycznym, które podziwia się i kocha w *Bibliomanie* p. K. M. Górskiego. Czy Baczmaha jest symbolem, nie wiemy; ale szukając wyjaśnienia zagadki, dochodzimy do wniosków dziwnych, tak dziwnych, że aż nie chce się ich publicznie wypowiedzieć. Najuroczyściej zastrzegamy się, jakobyśmy twierdzili, że tę właśnie myśl chciał autor wyrazić, również nie podajemy jej, jako wyniku własnego przekonania. Poprostu tylko uprzedzamy to, co ten lub ów czytelnik może sobie myśleć i sami zaznaczymy, co przeciwko takiemu pojmowaniu rzeczy przemawia. A oto, co mówi ten czytelnik *Baczmahy*. Baczmaha i jego dzieje symbolizują Polskę, jej dzieje i przyszłość. Ów szlachcic w glinie się zapada, ma świadomość powolnego konania, chwilami zrywa się, szuka ratunku, lecz bezskutecznie, aż w końcu rezygnuje się, odbywa pokutę za grzechy dawniejszego żywota: to obraz Polski, to Polska i Polacy utraciwszy swój dom, swoje państwo, swoją wolność, zapadają się coraz bardziej, wiedzą, że zginąć muszą, próbują raz po raz wyrwać się, uratować, ale darmo — w końcu czeka ich śmierć, więc niech się zrezygnują, w piersi uderzą i pokutę czynią; ta kość z własnej nogi, którą Baczmaha odnajduje, to może rozbiory, w których po kawałku odpadały od żywego organizmu Rzpltej jej części, to może nasze późniejsze straty, to usuwanie się ziemi z rąk polskich na Litwie, w Królestwie, w Poznańskiem. Idea tego „szkicu“ powieściowego, tak pojęta, jest okrutną, beznadziejną, rozpaczliwą, jak żadna inna od czasów Rozy Wenedy, Derwida i dwunastu harfiarzy. Buntuje się przeciw niej uczucie polskie, buntuje uczucie religijne, wiara

w sprawiedliwość Tego, który *sanabiles fecit nationes* — a w końcu, czyż mógłby taką myśl propagować autor, dziś już starzec, w którego patryotyzm nikt nie wątpi. A w końcu: co przy takiem tłómaczeniu robią owe inne postacie, w glinie już zupełnie zagrzęzłe? Czy mają to być jakieś inne narody, już zgładzone. Jakie? — A więc gdzie klucz do tej zagadki, lub czyż jej w rzeczywistości nie ma — czy autor dał tylko płód świetnej fantazyi?

Niepowszednią jest w każdym razie książka, która szkicem powieściowym nazwana, tak umysłem czytelnika wstrząsa; niepowszednim autor, który w siódmym dziesiątku lat stwarza dzieło takiej fantazyi, takiego uczucia, takiego nastroju. Książka sama sobie wystarcza, największą zaś pochwałą dla artysty illustrującego ją jest stwierdzenie, że jego ołówek nigdy nie przeszkadza a w wielu razach ułatwia czytelnikom postępowanie krok w krok za autorem. *J. Flach.*

— Adam Krechowiecki: *Rdza.* Powieść. 2 tomy. (Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1898). — Smutek, który zazwyczaj ogarnia czytelników powieści obyczajowych p. A. Krechowieckiego, w wyższym jeszcze stopniu zjawia się przy niemal każdej karcie najnowszej z nich, *Rdzy*, a jest ostatecznem, długotrwałem wrażeniem po zamknięciu drugiego tomu. Rdza zjada powoli społeczeństwo, i poszczególne warstwy jego, i poszczególne osobniki, jednych do szczętu, innych nadgryza tylko, bo szczęśliwy los lub własna dzielność uratowały ich od katastrofy. U jednego ta rdza, to słabość charakteru, która oddaje go w ręce namiętnej kobiety i popycha go w dalszym ciągu coraz niżej, aż człowiek nią dotknięty ginie marnie w jakiejś szulerni najlichszego gatunku; innemu, jak rdza trawiąca żelazo, towarzyszy przez życie widok i wspomnienie upodlenia się i upadku rodzonego ojca, a szczęściem i zasługą można nazwać, że młodzieniec mimo to w końcu staje się zdrowem ogniwem społecznego łańcucha; w innej znowu rodzinie rdzą jest duma pseudo-arystokratyczna i lekkomyślna ufność w niewyczerpanie się majątku; tam znowu tą rdzą są zepsute stosunki rodzinne, rozdział małżonków, ujemnie wpływający na wychowanie dzieci; słowem wszędzie dopatrzeć się można rdzy, niszczącej duszę i ciało człowieka, a nie rzadkim jest widok, jak ta rdza powoli, ale wytrwale niszczy ten podwójny organizm, niszczy aż do skutku. I smutno się też robi czytelnikowi, jak zapewne i w smutku autora rodziła się ta powieść. Wrażenie to jest zaś tem głębsze, że twórca obrazu nie osiąga zamierzonego efektu z pomocą grubego nakładania krzyczących barw, karykaturowania natury, fałszowania rzeczywistych konturów, lecz właśnie z delikatną miarą, z szlachetnym realizmem, z objektywizmem artysty kreśli ludzi, ich charaktery i ich losy.

W powieściach p. Krechowieckiego nigdy fabuła nie przeważa nad rysunkiem psychologicznym osób, do niej wchodzących. Tak więc i tutaj należy nam w ogólnym przeglądzie pokazać ważniejsze figury powieści, odsłonić ich duszę. Jedną z najgłówniejszych postaci jest Stanisław Wilski, młody syn p. Zygmunta Wilskiego. Ojciec niegdyś był właściciclem ziemskim, teraz zrujnowany dostaje jakąś małą posadę w biurze rachunkowem. Byłoby mu z nią dobrze, gdyby nie nieszczęśliwy przypadek, który wprowadza go w dom naczelnika urzędu, p. Czepiela i zapoznaje go z panią naczelnikową. Ona jest kobietą z przewróconą głową, w małżeństwie z własnej winy niezaspokojoną, z wyobraźnią zepsutą rozmyślaniem o romantycznych przygodach i namiętnych kochankach, z sercem pozbawionem wrodzonej delikatności i uczciwości, z nerwami rozprzężonemi; on jest słabym, lekkomyślnym, a od czasu śmierci żony brak mu punktu oparcia. Nic więc dziwnego, że pani Czepielowa zmusza Zygmunta do wspólnej ucieczki w świat. Chłopcem, małym Stanisławem Wilskim, zajmuje się bardzo troskliwie stary profesor Rolicz, najpogodniejsza postać z całej powieści, człowiek pełen dziwnej mądrości i prostoty, słodyczy i wiary, u nierozsądnych wywołujący drobnemi niezwykłemi przyzwyczajeniami uczonego uśmiech ironii lub politowania, u innych, głębiej patrzących, uszanowanie i podziw. Autor doskonale przeprowadza proces wychowania Stanisława, jak mianowicie chłopiec, pragnący ciepłej ręki ojca a zawsze przez Zygmunta odpychany, lub znowu w chwilach uniesienia przesadnie na moment ściskany po ucieczce ojca, pod opieką Rolicza wyrabia się na dzielnego, energicznego, pracowitego i zdolnego młodzieńca, a jedyną „rdzą“ w jego życiu, jest wspomnienie ojca, zrazu niejasne przeczucie jego upadków, później, aż nazbyt wyraźne o nich przeświadczenie.

Wilski kończy gimnazyum, zostaje nauczycielem domowym Gucia Zbąskiego i przenosi się ze Lwowa do Zbąszyna. Nowy obraz. Pan Jan Abraham Zbąski, ojciec Gucia, niewiedzieć w jaki sposób doszedł do posiadania tego starego gniazda; rozmaicie przynajmniej o tem mówi jego krewny Hieronim, sympatyczny weredyk, trochę szorstki i dziwaczny. Niemniej jednak p. Jan Abraham nadyma się dumą dwudziestu pokoleń starożytnego rodu; na plebejów z góry patrzy, na dzisiejszy świat demagogów rzuca gromy przekleństwa, o majątek nie dba i życie prowadzi wystawne, nie bacząc, że bliską jest już jego ruina finansowa. Jego żona, pani Zeneida, z nudów czyta francuskie romanse i napawa wyobraźnię obrazami wzniosłej niby to, ale wcale nie platonicznej miłości. Syn ich Gucio, elew Stanisława, zepsuty wychowaniem w domu, nieuk, ma być niby to — tak mówi ojciec — bardzo zdolnym, w rzeczywistości jest głupim, chociaż grunt jego serca nie jest zepsutym. Wiadomo, że cza-

sem na bagnisku czysta lilia wyrośnie. Promieniem słońca wśród marności i śmieszności reszty rodziny Zbąskich, jest córka gospodarstwa, młode dziewczę, Irena. W powieści p. Krechowieckiego powtarza się błąd, tak w naszej literaturze częsty. Wszystkie niemal postacie romansu są starannie wykończone i mają plastykę i życie; ta jedna jest raczej symbolem nieopatrznej nieco i wcale nieheroicznej dobroci serca, szlachetności umysłu, poczucia obowiązku, niż żywem indywiduum. Tem nie jest ani panna Irena Zbąska, ani później pani Irena z Zbąskich Zempachowa.

W to środowisko rzucił los Stanisława Wilskiego, chcącego pozyskać samodzielność i przestać raz być ciężarem dla innych. Z Guciem ma wiele kłopotu, bo chłopak i niezdolny i lekkomyślny; woli bawić się, niż uczyć, bo potem w razie niezdania egzaminu można złożyć to na karb „demagogicznych czasów, w których Zbąski matury nie zda, za to Pietruszka — celująco“, jak mówi pan Jan Abraham. Nad sobą pracuje Stanisław dużo, ale też ze skutkiem. Duma pana domu boli go i drażni, napawa serce goryczą społeczną, chociaż Hieronim powtarza mu, że ojciec Gucia nie ma prawa uchodzić za przedstawiciela arystokracyi rodowej. Dziwny jest jego stosunek z obu paniami. P. Zeneida widocznie chce go złapać, użyć go do zaspokojenia niejasnych, chorobliwych marzeń; czysta i niewinna Irena lgnie do niego, jako do istoty i samej lepszej i z lepszego pochodzącej świata. On odczuwa też jakieś dziwne drżenia w obecności Ireny, ale broni się, bo wie, że dzieli ich ogromna różnica społecznego stanowiska. Los tymczasem nie oszczędza mu ciosów. Stanisław widzi ojca w upodleniu. Czepielowa oczywiście opuściła go, on z rozpaczy grał, grał nadspodziewanie szczęśliwie, pił coraz więcej i dziś zdziecinniały, pogardzający sobą i ludźmi, gra dalej w towarzystwie najlichszych szumowin społecznych. Wie, że go ci ludzie oszukują, okradają, lecz wypędzić ich nie ma siły; „rdza“ zbyt głęboko wżarła się w jego duszę i ciało. Gucio emancypuje się coraz bardziej, rujnuje ojca kartami. Stanisław patrzy na to wszystko, serce gorzknieje mu, praca nad sobą nie zaspakaja, nawet dyplom doktorski i radość Rolicza nie dają mu szczęścia. Już też nie jest w Zbąszynie stale; przyjechał tylko leczyć chorą panią Zeneidę. Stosunki się tam trochę zmieniły — na gorsze. Fortuna poczyna się walić, już jakiś Żyd czy Niemiec chce kupić Zbąszyn, ale pan Jan Abraham nie sprzeda go, woli się ratować wydaniem Ireny za mąż za hr. Stefana Zempacha, hulakę i gracza, ale syna ogromnie majętnego ojca. Irena nie wie co robić i jest smutna. Za to pani Zeneida często korzysta z towarzystwa młodego lekarza, stara się przysunąć do niego jak najbliżej, udaje wybornie nieszczęśliwą ofiarę, wypytuje się go natarczywie o ojca, naprzód już rozkoszując się nadzieją usłyszenia romantycznej

tajemnicy, a gdy Stanisław mimo woli temi wspomnieniami jest rozstrojony i wzruszony, pani Zeneida go pociesza, całuje..... Na to wchodzi Irena i oświadcza zimno matce, że przyjęła rękę hr. Zempacha. Wkrótce następuje ślub.

Drugi tom powieści działa wprost przygnębiająco. Zacna postać Rolicza i Stanisława usuwują się na drugi plan. Na pierwszym jest teraz rodzina Zempachów. Hr. Stefan, mąż Ireny, to szuler i utracyusz, co gorsza, to fałszerz dokumentów: pod wekslami podpisał ojca. Stary hr. Zempach rozwiódł się z żoną, podobno z jej winy; zresztą rzecz ta nie jest zupełnie jasna Ich córka, Wilma, ucieka z domu matki, bo natura nieokiełzana, opieki i silnej ręki ojca pozbawiona, pragnie samodzielności. Zostaje aktorką, a autor obszernie przedstawia jej hulanki w towarzystwie ks. Dogiela i całej złotej młodzieży. Niewątpliwie trafnem jest przeprowadzenie tej dziewczyny przez stopniowe zepsucie, upajające ją, a jednak lepiej byłoby, gdyby historya Wilmy nie była tak obszernie traktowaną. Naprzód bowiem rozsadza to kompozycyę powieści, powtóre zaś epizod sam nie wiele mówi nowego. Tyle już razy widziało się w powieściach panny wykolejone, bujne natury szukające na scenie szerszych horyzontów i sztuki, a wpadające w gniazdo zepsucia i blichtru, że.... ma się już tego aż nadto. Nasuwa się zaś na myśl jedna uwaga: czyż zawsze karyera aktorki taką tylko toczy się drogą? czyż teatr zawsze jest tylko szkołą zepsucia, źródłem zawodów, przyczyną złamania życia? i czy nie znajdzie się żaden powieściopisarz, któryby pokazał nam, jak dziewczyna rwąca się do teatru znajduje w nim zaspokojenie swych pragnień, dochodzi do wyżyn rzetelnej sztuki? Przecież w życiu, obok postaci Janek Orłowskich, Wilm Zempachówien, są inne, jaśniejsze, szczęśliwsze, pogodniejsze. Hr. Zempach okazuje się cynikiem nie do zniesienia i ginie w pojedynku z ks. Dogielem; sam tę walkę wywołał, nie w chęci bronienia czci siostry, bo Wilma nic go nie obchodzi, ale chcąc mniemanem bohaterstwem rehabilitować się w oczach żony. Irena zaś, której życie od pierwszej chwili zamęścia, gdy dowiedziała się, że mąż jej jest fałszerzem, było męczarnią, po jego śmierci smutna i złamana znajdzie zapewne ukojenie w związku ze Stanisławem. Wilma wreszcie wyrwana z objęć ks. Dogiela i z dusznej atmosfery hotelowych gabinetów, leczy się pod kierunkiem Wilskiego, dziś już bez ojca. Czy wyzdrowieje?

Z końcem powieści wrócić się musi do tego, co się o niej na wstępie powiedziało i powtórzyć, że wywołuje ona głęboki smutek. Autor jest artystą i miary w poszczególnych rysach nigdy nie przekracza. Jest i objektywnym i nie krzywdzi jednej warstwy społeczeństwa na korzyść drugiej. Biurokracya i arystokracya znajdują tu smutny, zawstydzający obraz niektórych swych członków. Ale w tem może jest błąd powieści, że tych

cieniów jest za wiele, że są za ponure, a światła za mało. Gdzie są tu typy dodatnie? Irena? Tak, ale ona jest bladą figurą. Hieronim? Ależ on jest zbyt dziwaczny. Pozostaje tylko Rolicz, osoba wyjątkowa i ostatecznie tylko epizodyczna, i Stanisław, w drugiej części na drugi plan usunięty, również wyjątkową siłą charakteru obdarzony. Zresztą nie ma ani jednego zwykłego „przeciętnego“ człowieka porządnego. Z biurokracyi n. p. widzi się z dziesięć osób, a wszystkie są albo złe, albo marne i śmieszne, albo głupie. Podobnie jest z arystokracyą. W galeryi kilkunastu portretów, nie ma ani jednego z siłą męską, zdrowiem fizycznem i moralnem, z rozumem i energią. Powieść, to przecież epos w prozaicznej formie, a epopea ma dać wszechstronny obraz, oczywiście w danym zakresie. Jeżeli zaś powieść p. Krechowieckiego jest wiernem i dokładnem odbiciem naszego społeczeństwa, to biada nam, bo społeczeństwo nie stoi profesorami o wyjątkowej mierze jak Rolicz, ani nadzwyczajną odpornością obdarzonemi jednostkami jak Stanisław Wilski.

Rdzę napisał prawdziwy artysta, wyborny obserwator ludzi, szlachetny realista, ale i zbyt surowy sędzia. W gorszej powieści ta surowość i pewna niesprawiedliwość wywołałyby zniecierpliwienie — tu wzbudzają one głęboki smutek.

J. Flach.

— Maurycy Zych: *Syzyfowe prace.* Powieść współczesna. (Lwów, 1898. Nakładem Towarzystwa wydawniczego).— P. Maurycy Zych dotychczas dwie książki dopiero oddał na własność czytającej publiczności. Pierwsza z nich składa się z szeregu nowell p. t. *Rozdzióbią nas kruki, wrony.....* (Kraków, księgarnia Zwolińskiego, 1896), przynoszących nam „echa z ziemi mogił i krzyżów“. Po tym tytule otwierało się też tę książkę autora z uczuciem odnalezienia w niej czegoś, co się już wiele razy czytało, skarg i łzawych narzekań. Tymczasem ton, w jakim te bolesne wspomnienia są trzymane, od razu podziałać musi na ciekawość nastrojem swym zupełnie odmiennym. Nadarmo szukało się tam uniesień, któreby otwarcie wyzywały współczucie. Książka cała trzymana jest w tonie ironicznego humoru, który sarkazmem zaprawia wszystkie opowiadania autora o okrutnym ucisku, ciążącym na „kraju prywiślańskim“. Ból, który sprawiają razy knuta, pokryty jest tu tylko wykrzywieniem uśmiechu urzędowego, a cierpienie, co dojmująco wpija się aż do żywej tkanki ciała, nie wybucha skargą głośną, płaczem i jękiem. Ofiara wie, że jeśli żalić się będzie, to razy okrutne spadną znowu: zagryza więc wargi i układa twarz w maskę, na której zastygły gwałtownie poskromione uczucia bólu pod wrażeniem obawy przezornej. W opowiadaniu *Mogiła* (najlepszem z całej książki) p. Zych daje nam właśnie charakterystyczne odtworzenie takiego stanu duchowego. Młody akademik, odsługujący służbę wojskową w małem miasteczku, w dzienniku

swym oddaje tę śmiertelnie przygnębiającą niewolę, w jaką skuto jego osobę fizyczną i moralną. Musztry nieskończenie długie na placu odludnym, przestawanie z upodleniem lub zniechęconą i zwątpiałą goryczą, to są momenta jego życia. Potok rosyjski opływa jego osobę i tych, co nielicznie wystają nad tę falę im obcą, a tu i tam jeszcze jakaś niepodległa myśl szlachetna, a bezgranicznie smutna, samotnie się trzepocze. Ale powoli rozpryskuje się i ten jasny żywioł: jad goryczy i zwątpienia wykrzywia uczucia i podcina wiarę. W chwili jednakże, gdy siły ustają i człowiek walczący z przemożnym prądem opuszczał już ręce, by iść na dno, przychodzi znowu reakcya. Wywołuje ją widok krzyża, który wyciąga ramiona, mówiąc o braciach poległych za ojczyznę; ostry ból i płacz idzie od tego wspomnienia, ale razem z nim i zrozumienie idei, która jest nieśmiertelną miłością ojczyzny. Wysoce prawdziwe zrozumienie stanu duchowego, w jakim się znajduje pokolenie, które po r. 1863 urodziło się pod rosyjskim zaborem, cechuje tę książkę. Rażą w niej niejedne pospolite jaskrawości; niemiłe wrażenie wywołuje ton junakieryi, jaki fałszywą nutą zaprawia tragiczną i przejmującą treść życia duchowego. Wysokie i przeciągłe zgrzyty raz po raz wstrząsają też nerwami czytelnika. Ale niemniej prawda wierna a okrutna uderza z tych szkiców i smutnie swą dokładną wyrazistością przeraża tych, co znają stosunki zakordonowe. Pokolenie to, z którego wyszedł autor i które mu dostarcza wzorów, to bolesny wytwór ucisku, ciążącego nad dzieciństwem i nad latami szkolnemi; tego zaś, kto je obserwuje, a i ich samych w chwilach spokoju, nachodzi pytanie, czy ten rodzaj cierpienia nie stanie się rodzajem poniżenia przez te czynniki, co szlachetny metal zanieczyściły, a któremi jest jad goryczy, konieczność ukrywania, przemieniająca się w obłudę, wreszcie ciasne i duszące warunki życia, które dziwnie zręcznie umieją oplątać człowieka, odbierając mu wiarę i siłę, a w zamian ukazując kuszące srebrniki Judasza..... Gdzie te wszystkie demoralizujące wpływy są skupione, tam najszlachetniejsi i najwięcej mężni jeszcze wytrwawszy, nie potrafią się obronić gorzkiemu tonowi sarkazmu, który wytwarza się z kontrastu uczuć wewnętrznych z konieczną i urzędową lojalnością zewnętrzną.

W drugiem, ostatniem dziele swojem p. Zych postąpił o krok dalej w smutnej wędrówce po krainie duchowych zgliszczów i zwalisk. *Syzyfowe prace*, to książka, gdzie z przeraźliwą prawdą odtworzył autor historyę duszy studenckiej, która od lat dziecinnych wchłania w siebie kulturę rosyjską; wniknął on z artyzmem niezmiernie subtelnym w to życie lat dziecinnych, nad którem już złowrogo ciąży czarny cień, jaki rzuca na t. zw. kraje zabrane żelazna dłoń kolosu rosyjskiego, ciągle spuszczająca na polski żywioł ciężkie razy, mające „zagłuszyć i ogłupić małych przywiślańców“. P. Zych w utworze swym

daje niezmiernie trafne studyum psychologiczne: jestto dokument, przez który zdobywać się może znajomość dusz młodzieży wychowanej w szkołach rosyjskich. Synteza typu, jaki ztamtąd wychodzi, nosi na sobie to piętno niebezpieczne dwoistości: obojętnej zewnętrznej maski i istoty płonącej nienawiścią skondensowaną i przezorną. Młodzież, wychodząca z pod ręki profesorów, których złą wolę i systematyczne oszukiwanie poznała na wskróś, ma duszę napełnioną buntem po same brzegi. Są to bateryе naładowane, które jedna iskra może do wybuchu doprowadzić.

Marcina Borowicza, mającego lat ośm, odwożą rodzice na naukę do nauczyciela wsi Owczary. „Naczolnoje Owczarskoje uczyliszcze“ składa się z jednego tylko członka, gwałtownie uczącego dzieci polskie „stichów“, „diktówki“, śpiewów jak „Kol sławien btasz Gospod“. On sam jest Polakiem, ale narodowe uczucie budzi w nim właściwie tylko rubel, a że dla jego zdobycia trzeba postępować zgodnie z wolą zwierzchności, więc pan Wiechowski w pocie czoła russyfikuje małych Mazurów, którzy co rana przy odczytywaniu spisu wykrzykują „jeść“ — co ma oznaczać *jest'* rosyjskie. Ale w porównaniu z nauczycielstwem gimnazyum w Klerykowie, pierwszy światłodawca Marcinka jest jeszcze zagorzałym Polakiem. P. Zych doskonale uwydatnia postęp, jaki zrussyfikowanie ciała profesorskiego dokonywuje przez lat ośm pobytu jego bohatera w gimnazyum. Co raz tam mniej nietylko Polaków, ale wogóle ludzi starszych, pamiętających inne prądy w rządzie; po części śmierć, po części dymisya usuwa ich z gimnazyum. Egzamin wstępny Marcinka jest tak wiernie oddany, że każda z matek, mających synów w zakładach rosyjskich, odnajduje w nim jakby własne wspomnienia. Na trzydzieści sześć miejsc tłoczy się stu kandydatów; naturalnie większość odpadnie. Cóż tu jednak stanowić będzie miarę sądu? Rubel. Zręczny Żydek pod pozorem zbożowej sprawy wsuwa się do pokoju hotelowego, gdzie pani Borowiczowa od tygodnia czeka z trwogą na kolej egzaminu syna. Przyjazna rada uproszenia lekcyi „russkiego“ u p. Majewskiego, który od dwóch lat, razem z przejściem na prawosławie, zajął wpływowe stanowisko szpiega w gimnazyum, skutkuje. Idą tedy ruble na opłatę lekcyj, które się nie odbywają, lecz cudownie otwierają wstęp do szkoły. Dzieje następne Marcinka w pierwszych klasach, to dalszy ciąg owczarowskiej sztuby: równocześnie w dziecinny umysł wciskają przemocą arkana matematyki i termina rosyjskie; nieznanej jednak nauki w nieznanej i obcej mowie dziecko nie przyswaja sobie, tylko wykuwa ją machinalnie, powtarzając bezmyślnie zwroty rosyjskie, a równocześnie trzęsąc się z obawy, by nie dostać za nie „paly“. Najmniej ceremonii robią uczniowie z nauką polskiego języka. „Była to godzina stokroć nudniejsza od kaligrafii i *Zakonu Bożego*, gdyż

nadto małe próżniaki czuły w powietrzu woń wzgardy, unoszącą się nad tą nieszczęsną lekcyą", gdzie wszystkie objaśnienia i rozbiory były robione po rosyjsku. Z nauczyciela uczniowie przekpiwają sobie, jak zresztą nie darowują w ogóle śmiesznym a ograniczonym Moskalom, których brak nauki prędko odgadywali.

Marcinek w pierwszej połowie gimnazyum stracił matkę; na razie nie rozumiał całej rozciągłości swej straty, nie rozumiał, że to, co w nim przeciwważyło zupełnemu zruszczeniu, szło z domu pod postacią smutnych oczu matki, jej słów cichych, jej czci dla wizerunków ks. Józefa Poniatowskiego i Kościuszki, wspomnień dawnych czasów. Chłopiec zaczynał z dziecka zmieniać się w młodzieńca i w tym wewnętrznym natłoku nowych wrażeń, myśli i uczuć oszałamiał się i tracił jasne poczucie odrębności między gorliwym studentem a niezawiśle myślącym Polakiem. Przychodziły na niego z każdą zmianą pór roku nowe i jakieś ciemne a absorbujące go usposobienia; od chwil gorącej ekstazy, gdy w ciszy kościelnej dusza jego wzlatywała wysoko, przechodził do równie namiętnie odczuwanych uczuć wolności, gdy podczas wakacyj z strzelbą w ręku włóczył się po lasach i łąkach, nadsłuchując jakichś gwarów, brzęczeń i ech, w których mięszały się jego własne uczucia z wiecznie czynną i żywotną przyrodą. „Niektóre z drzew i widoków skojarzyły się na zawsze z owemi pierwszemi wrażeniami, których ani pamięć dosięgnąć, ani rozum objąć nie zdoła, i dlatego nie wiedział, czemu czasem nachodziły go żale jakieś, to znów echa radości".... Wiernym towarzyszem myśliwskich wycieczek bywał mu stary leśniczy, Noga, który przy wędrówkach po lesie odnajdywał dawne wspomnienia, „różności", które się działy po zakątkach. Powstanie w pamięci chłopa zamykało się w bezpośrednio mu znajomych epizodach, gdzie zręczny strzelec wytrapiał Moskali, jak zwierzynę, najpierw dlatego, że oburzenie go wzięło na widok, jak „nahajkami zdzielali chudziaków", a potem dla tych pieniędzy, co zawsze były przy rabusiach..... Jednakże młody Borowicz wolał rozprawiać o polowaniu, niż słuchać niewesołych historyj.

Marcinek był w wieku, kiedy najłatwiej wpływ każdy działa, już dlatego, że nadmierna wrażliwość, budząca się do życia, szuka pochlebnych, miłych i wesołych nastrojów, nie poddając ich krytyce żadnej. To też gdy w gimnazeum klerykowskiem russyfikacya zaczęła coraz gorętszem iść tempem, mięszając wszelkie sposoby, grozy szpiegostwa, pochlebstw i insynuacyi, Marcinek mimowolnie dał się popchnąć ku zbliżeniu z Moskalami. Pierwszym tu krokiem była obecność w teatrze rosyjskim; a gdy za ten bezwiedny prawie postępek zaczął zbierać w nagrodę cukierki, pochwały i uprzedzające słówka, chłopiec pozbył się pierwszego niemiłego wrażenia i odczuł rozkosz

przestawania z tym światem nieznanego mu zbytku..... I odtąd pod wpływem profesorów Marcinek protegowany i zachęcany, stał się ich narzędziem. Uczniowie lepsi i pracowitsi zaczęli się wiązać w kółka naukowe dla roztrząsania historyi i literatury rosyjskiej. Oparci na podręcznikach i objaśnieniach, czerpanych z bibliotek gimnazyalnych, samorodni badacze massakrowali nieszczęsną „Polskę“, opisując ją jako dom niewoli, a hymny na cześć Rosyi układając. Zniechęcenie do rzeczy ojczystych i ciasne zamknięcie w granicach lojalnego russofilstwa, to był cel, do którego dążyli profesorowie.

Ale tymczasem tę młodzież, na wpół już zmartwiałą, miały nagle ożywić dwa zetknięcia: książka i człowiek. Nagle jak iskra elektryczna miał się rozejść prąd zupełnie nowy, podniecając do odrodzenia tych studnetów, zastygających w formach wykutych przez moskiewską przezorność. Książką tą była: Buckle'a *Historya cywilizacyi*. Świetnie ustawione choć fałszywe paradoksy genialnego „samouka“ oddziałały na umysły niby błysk pochodni, a wystąpienie przeciw wolnej woli było lewarem pod gmach wierzeń religijnych założonym. Równocześnie zaś rozbudziła się w nich furya filozoficzna. Książka, na negacyi ugruntowana, odegrała rolę dodatnią: ospałą i zardzewiałą młodzież popchnęła ku studyom; nie chciano odtąd tracić ani minuty czasu, ceniono go na wagę złota, by zdobyć ten obszar wiedzy, który Buckle ukazywał. Ale że książkę znano w przekładzie rosyjskim, z natury rzeczy „terminy naukowe przywierały do mózgów po rosyjsku. I to była najdotkliwsza forma *obrusienia*, bo dobrowolnie przyjmowana przez młodzież“.

Tak zaś jak książka obudziła w studentach do życia siły umysłowe, tak z fali russycyzmu miało ich znów uratować jedno tylko zetknięcie z prawdziwą miłością ojczyzny. Zesłany za „nielojalność“ uczeń szkoły warszawskiej Zyger, przyniósł te nowe prądy; na lekcyi języka polskiego on jeden śmiał podawać terminy polskie, a na pół już oszołomiony profesor oniemiał, gdy nowy uczeń z zapytania korzystając, po rosyjsku opowiedział historyę romantyzmu, powstanie listopadowe i wreszcie zaczął deklamować *Redutę Ordona*. Scena ta, gdy poetyczny obraz walki przez usta młodzieńcze z porywającą siłą zapału przechodził, jest wstrząsająco opisana. P. Zych z wiernością pełną mocy i przejęcia oddał tę uroczystą chwilę, gdy słowa poety obudzały dusze już na wpół zmoskwiczałe. „Uczucia dziecięce i młodzieńcze po milionkroć znieważane, leciały teraz między słuchaczy, pękały wśród nich jak granaty, świszczały, ogarniały dusze na podobieństwo kurzawy bojowej“. I w tej uroczystej chwili także sercem Marcina dziwny ból zatrząsł: zdawało mu się, że skona z żalu. Znalazł już siebie dawnego, takiego, jakim go matka mieć chciała. I odtąd „niby gwałtowny za usunięciem stawidła wybuch wody z jeziora, skrytego przed

oczyma tych młodzieńców, wwaliły się na obszary, które dotąd znali, wielka poezya wygnańcza, prawdziwa historya czynów ludu, a nie jego rządu, wieczyście nowa, krwią przesiąkła, pełna żywotów, godnych pióra Plutarcha albo Carlyle'a“..... Czytano utwory wielkich poetów na zebraniach, w ukryciu, zdala od ludzi, przy mdłem świetle świecy; uczono się i dysputowano‘ a dusze te młode, wielkim porywem przemienione, nagle odnajdywały ojczyznę. Ale niestety ta miłość ziemi własnej, zdobyta zbyt nagle, miała w sobie cierpki smak mściwej nienawiści dla wroga, który uczucie wrodzone zatruwał i niszczył podstępnie. Wystąpić śmiało i otwarcie nie było podobna, więc w cieniu nocy gorączkowych wytwarzały się w młodzieży dusze spiskowców, noszące w sobie cierń odwetu. Na wroga iść z otwartą przyłbicą i na jasno rozegrać walkę, było niepodobnem. Miał on siłę przy sobie, jeśli go więc trafić można, to tylko w ukryciu, odpłacając robotę podziemną milczącą zemstą. Borowicz, idąc raz na tajemne zebranie do kolegów, spostrzegł szpiega Majewskiego, usiłującego odkryć ścieżkę, którędy uczniowie zwykle dążyli z błotnistej uliczki, przechodząc przez kładkę po kanale do parkanu, gdzie umówiona deska była bramą wpuszczającą do ogrodu. Borowicz w zmroku śledził wahające i niepewne kroki szpiega; przysiadł, ulepił ogromną kulę z gęstego błota i grzmotnął nią w pedagoga, zamkniętego w pułapce między parkanem a kanałem. Daremnie chciał Majewski uciec przed pociskami, które leciały z wściekłą celnością, a które ciskając Marcin szeptał do siebie: „Masz psie, masz draniu! Masz za teatr, masz za inspektorskie zebrania, masz za literaturę. Tyś mnie chciał do siebie podobnym uczynić. Masz renegacie, masz szpiegu!“.....

Tymczasem nadchodził egzamin dojrzałości; chłopcy uczyli się zaciekle i nieustraszenie; na razie wszystko ustąpiło z placu, dopóki nie zdobyto patentów. Równocześnie pierwsza miłość, pełna nieśmiałych uniesień i czci, objęła duszę Marcina; przedmiotem jej była Biruta, córka Polaka i Moskiewki. Matka jej z miłości dla męża stała się zagorzałą Polką i swe dzieci, na prawosławie ochrzczone, wychowała w poczuciu polskości. Ale w tem ciągłem rozdwojeniu urzędowej narodowości, a umiłowaniem wydzieranej ziemi, zmieniło się ono w dzieciach na nieufną, dziką zaciekłość, „jakby nóż ostrzącą tajemnie“. Biruta wiedziała, jaka przyszłość ją czeka, ją, Polkę prawosławną, nie mogącą wyjść za Polaka dla tego piętna Moskiewki, jakiem ją znaczono, a nienawidzącą swych urzędowych rodaków. Ślicznie opisuje p. Zych chwilę niemego zachwytu, który spojrzeniami dzielili oboje ci młodzi, niemający nawet prawa myśleć o przyszłości, jeśli chcieli wiernymi swej ziemi pozostać. I z Biruty rósł naturalnie materyał na podatną pokątnej robocie studentkę-nihilistkę, pracującą nad zburzeniem nienawistnych stosunków.

Z Marcina zaś co będzie? Mimo, że ojciec stary nie mógł już pracować na ziemi, młody człowiek nawet nie przypuszcza, by miał go zastąpić i podjąć łańcuch cichej twardej pracy na roli; on dąży do Warszawy na uniwersytet, z duszą chorą, z nienawiścią do rządu wrogiego za wydarcie wolności, za przepaść dzielącą go od Biruty. A zarazem nigdzie nie znajduje na to wszystko lekarstwa. Starzy załamują ręce i płaczą, że „trzeci dziesiątek lat upływa, a znowu nasionko rośnie, które coś zmajstruje“ — i znowu będzie gorzej. Co więc czeka tę młodzież, nie mającą znikąd sił i podniety wytrawnej? Czy nie spotkają się wkrótce Marcin z Birutą w knujących przewrót spiskach? Czy ta rozgorączkowana i rozbolała wrażliwość nie stanie się gruntem, pod hasła socyalnej demokracyi przydatnym? Autor w opowiadaniu swem zamieszcza, jako epizod znaczący, historyę Radka, syna pastucha, który od zamożnych ludzi doznawał samych upokorzeń i bólu, i fermentem usprawiedliwionej niechęci podsycał swe marzenia przyszłości. On to w chwili, gdy Borowicz w paroksyzmie bezsilnej rozpaczy po stracie Biruty upada, podaje mu rękę. „Szerokoramienny, chudy, śniady chłop wlepił swe siwe oczy w niego i cicho pytał: Cóż ci to Borowicz, cóż ci to? A Marcin nie był w stanie rzec słowa; wyciągnął tylko rękę i wspomógł się na siłach, czując uściśnienie kościstej a jakby z żelaza urobionej prawicy Radkowej“.

Na tem kończy się książka. Co będzie z tej młodzieży? jaką drogą ona pójdzie? Jako odpowiedź, smutne horoskopy stawia autor. „Ogół intelligencyi umiał jedynie w sekrecie stękać na ucisk, dziwować się, jakim sposobem można w kraju polskim gramatykę polską wykładać *pa russki*, ale nie był uzdolniony politycznie nawet do założenia dla tej młodzieży czytelni z dzieł naukowych swoich i tłómaczonych“—pisze on w miejscu, gdzie stwierdza „obrusienie“ przez rosyjski przekład Buckle'a. Niezaradna bezwładność, brak przeciwdziałania zgubnym wpływom systematyczną pracą, opartą na zasadach rozważnej i rozumnej miłości kraju — oto jedna z uwag, nasuwająca się po przeczytaniu tej książki. Druga, to wpływ przemożny i zbawienny matek i siòstr i elektryzujące prądy narodowej poezyi. Prawdopodobną tylko w powieści być może taka porywająca deklamacya w murach gimnazyum rosyjskiego, dziwnem jest bowiem, że wiadomość o fakcie tak niebezpiecznym nie doszła do zarządu głównego. Ale mimo to choć nie w szkole i nie na godzinie polskiego języka, mogli przecież polscy studenci usłyszeć nieśmiertelne słowa poety i z niemi razem odczuć obudzające się poczucie narodowe.

Książka niniejsza p. Zycha, będąca więcej studyum, niżeli powieścią, ma niemałą społeczną wartość. Prawda i ścisłość obserwacyj, wprost na żywych przykładach czynionych, daje osobną wagę tej historyi studenckiego życia, a psychologia mło-

dej duszy, wychowanej w zatrutej atmosferze rosyjskiej, odpowiada znakomicie rzeczywistości. Czytając też ten utwór, bolesna obawa ściska serce na myśl o przyszłości, gdy coraz mniej Polaków będzie zasiadać w Królestwie na katedrach profesorskich, a wstręt do russofilstwa przybierze utarte formy, z których zapał już uszedł. Tylko nieśmiertelne czynniki domowych wpływów i matczynej nauki, oraz poezya narodowa, zostaną wtedy na straży polskości.

Wobec treści książki, zapomina się prawie o jej artystycznej formie; a jednak ona to właśnie przetwarza materyał obserwacyi w rzecz tak przejmującą i skupioną w sobie, że wstrząsnąć musi czytelnikiem. Nadzwyczaj dotykalne i żywe poczucie rzeczywistości łączy się u p. Zycha z delikatnością uważnej czujności na ciemne niewyraźne życie wewnętrzne. Niektóre zaś stronnice utworu, czy to opisy natury, czy stanów duchowych, są skończenie piękną całością, która każe w p. Zychu powitać talent powieściopisarski niezwykłej miary.

M. Rawicz.

— M a r y a Z a b o j e c k a: *Dusza.* (Kraków. G. Gebethner i Sp. 1898). — Księżyc zapewne oświecał kolebkę tych sześciu szkiców, księżyc, „okno, którędy dzień wschodzi“, jak go nazywa Mickiewicz, księżyc, to „trupiego widmo lica“, według Krasińskiego, ta *riesige Himmelspomeranze* według Heine'go. Blade światło księżyca usposabia dusze choć trochę poetyzujące, nie koniecznie poetyczne, do marzeń; w niem otaczające przedmioty przybierają dziwny, tajemniczy wygląd, ich kształty potężnieją, zlewają się z sobą, człowiek w samotności patrząc naokoło siebie, łatwo pocznie światu nadawać fantastyczne postacie, rozmarzy się, zagłębi się w swej duszy i wyda się sobie piękniejszym, potężniejszym, nieszczęśliwszym, niż za dnia. Taki księżycowy charakter mają i luźne ustępy, połączone w bardzo wytwornie wydanej niniejszej książeczce.

Jej treść, to egotyczne marzenia lub majaczenia, widziadła i mistyczne obrazy, pseudo-szczere wynurzenia duszy poetki. Ich forma ładna, bez zarzutu, często i czytelnika rozmarzająca. Ich wartość? Bardzo mała i powszednia. Takich marzeń, spowiedzi, mistycznych obrazków, naczyta się człowiek dużo w imionnikach panien, gdzie ubóstwiający je studenci w platonicznej formie wynurzają swą miłość, opowiadają o wieczornych godzinach w ciszy i samotności spędzonych. Jestto ładne, ale tylko ładne, a kto zawód poetycki zaczyna — jak zapewne p. M. Z a b o j e c k a — „ładnemi“ drobiazgami, temu wielką przyszłość przepowiadać trudno. Zwłaszcza gdy w tem wszystkiem jest wiele pozy, wiele rozpływania się nad sobą, podziwu dla siebie samego. „Nie ma skargi, któraby skargą przeciągłą nie zagrała na drżących strunach duszy mojej; niema jęku, któryby jękiem rozpłakanym nie padł w głębie mego czucia. Światła niema,

któreby w myśli mojej nie znalazło odblasku, i dziękczynień niema, któreby w głosie serca mego wtóru nie znalazły“..... Gdyby takie unoszenia się nad sobą pozostały nieznane ogółowi i gdyby wiedzieli o nich tylko osobiści znajomi poetki, byłaby to rzecz śmieszna, ale nieszkodliwa. Gdy się jednak takie frazesy drukiem ogłasza i na ładnie brzmiące wyrazy łapie łatwowiernych, prawem i obowiązkiem krytyki jest wytknąć tę młodzieńczą pewność siebie. Raz już należałoby pewnym „poetom“ powiedzieć, że w takich frazesach niema ani krzty poezyi, jest tylko śmieszna duma, narkotyzowanie się ładnemi słówkami, bezduszna ospałość i nieznośna poza. Całe szczęście, że na lep już mało kto idzie, i to, że dzięki Bogu w naszej młodej poezyi są i szczersze akcenty, nie drapujące się w wyszarzały płaszcz pozy i blagi.

J. Flach.

Przegląd polityczny.



Kraków, 31 października 1898 r.

Zagmatwanie stosunków w Austryi trwało dalej. Ministerstwo hr. Thuna przechodziło przez fazy, jakie z samego początku jego istnienia można było przewidzieć. Po upadku hr. Badeniego było oczywiście pierwszą myślą sfer rozstrzygających utworzenie ministerstwa, któreby uspokoiło rozognione umysły Niemców, nie wywołując niepokoju u Słowian.

Po urzędniczem ministerstwie Gautscha, które było rodzajem przedmowy do właściwego dzieła, wstąpiło ministerstwo hr. Thuna na arenę z charakterem rządu pojednawczego. Hrabiemu Thunowi udało się pozyskać dla swojego ministerstwa jednego z najznakomitszych członków klubu czeskiego Kaizla i jednego z najruchliwszych członków niemieckiej lewicy, przywódcę szlachty niemieckiej wiernokonstytucyjnej, Bärnreithera. Ten ostatni odegrał, jak wiadomo, w walce parlamentarnej przeciwko hr. Badeniemu, jedną z najważniejszych ról. Tak połączone były w ministerstwie hr. Thuna zupełnie przeciwne sobie żywioły, woda z ogniem, a z kooperacyi tych żywiołów miała przyjść do skutku — ugoda Austryi z Węgrami.

Reszta członków ministerstwa hr. Thuna była tylko rodzajem dekoracyi dla tego głównego obrazu: Bärnreither, siedzący na skrajnej lewicy, Kaizl na skrajnej prawicy, a hr. Thun w pośrodku. Jak zawsze, tak i tym razem się okazało, że to połączenie tak sobie przeciwnych żywiołów narodo-

wych nie potrafi się długo utrzymać. Można łączyć ze sobą przeciwne żywioły *polityczne*, ale nie można łączyć przeciwnych żywiołów narodowych, jak długo istnieje walka narodowości o hegemonię. Jedyni Polacy są dzisiaj w Austryi w tem położeniu, że mogą być członkami rządu bez wzbudzenia podejrzeń o wrogie innym narodowościom tendencye; na tem polega ich znaczenie w Austryi.

Myśl jakiejkolwiek kooperacyi z Niemcami jednak tak długo jest nie do przeprowadzenia, póki nie zawarta zostanie ugoda czesko-niemiecka zupełnie niezależnie od parlamentu, niezależnie od stosunków w Wiedniu. W Pradze, nie w Wiedniu leży punkt ciężkości obecnej polityki wewnętrznej w Austryi.

Od samego początku urzędowania p. Bärnreithera występował na jaw antagonizm pomiędzy nim a większością członków ministerstwa, antagonizm, który szczególnie podczas letnich rokowań nad ugodą z p. Banffym w Wiedniu i w Peszcie miał niemałe przybrać rozmiary. Ostatecznie p. Bärnreither podał się do dymisyi, a *bezpośredni* powód dymisyi dotychczas nie jest jeszcze wiadomy. Ustąpienie p. Bärnreithera było tem więcej uderzające, że nastąpiło ono w chwili, w której wielka posiadłość konstytucyjna niemiecka przeprowadziła w łonie opozycyi niemieckiej zupełną zmianę taktyki, zmianę, na pozór dla ministerstwa korzystną. Jako hasło wydano: unikać obstrukcyi, unikać wszystkich gwałtownych scen i prowadzić walkę spokojnie, ale energicznie. Wszystkie stronnictwa lewicy podniosły po raz, już nie wiemy który, że uważają zniesienie rozporządzeń językowych za *conditio sine qua non* spokoju wewnętrznego w Austryi, ale za inicyatywą stronnictwa wielkiej posiadłości wiernokonstytucyjnej zgodziła się ich większość, z wyjątkiem stronnictwa Schönerera, na to, ażeby dozwolić do obrad nad przedłożeniami ugodowemi z Węgrami. Rozumowanie, którem się przy tej zmianie taktyki posługiwano, było następujące.

Rząd dowiódł w większej liczbie wypadków, że potrafi na podstawie § 14 konstytucyi obejść się bez parlamentu i przeprowadzić żywotne sprawy państwa w drodze rozporządzeń, a nie w drodze ustaw. W razie obstrukcyi, tak wnioskowano dalej, użyłby rząd § 14 także do prze-

prowadzenia ugody z Węgrami, co byłoby tem łatwiejsze, że bar. Banffy zgodził się na tego rodzaju prowizoryczne załatwienie sprawy ugodowej. W ten sposób osiągnęłaby opozycya w parlamencie za pomocą obstrukcyi tylko ten skutek, że izba zostałaby odroczoną a ugoda z Węgrami bez żadnych poprawek wprowadzona w życie. To rozumowanie trafiło, pomimo oporu stronnictwa Schönerera, do przekonania większości posłów opozycyjnych i walka ze zmienioną taktyką rozpoczęła się na nowo. W parlamencie toczą się obrady wprawdzie spokojnie, ale bez widocznego postępu, komisya ugodowa obraduje równocześnie nad przedłożeniami rządu także spokojnie, ale także nie postępując naprzód.

Jeżeli się wyciąga z powyższego rozumowania lewicy ostateczne wnioski, to dochodzi się do następującego rezultatu.

Lewica przyrzekła swoim wyborcom, że za pomocą tej nowej zmienionej taktyki dojdzie do zniesienia rozporządzeń językowych i nie dopuści do przyjęcia przedłożeń ugodowych z Węgrami w obecnej ich postaci. Sprawa rozporządzeń językowych chwilowo nie jest tyle aktualna, co przedłożenia ugodowe. Jeżeli więc dzisiaj znalazłaby się większość dla tych przedłożeń w izbie, tak, że okazałaby się możliwość ich przyjęcia w drodze parlamentarnej, to zmuszona będzie lewica z natury rzeczy użyć *wszystkich* środków, a więc także obstrukcyi, ażeby uniemożliwić przyjęcie ugody, albowiem w przeciwnym razie traci zupełnie na znaczeniu wobec wyborców i prądy radykalne — nie myślimy już o partyi Schönerera, ale o innych dotąd nieznanych radykałach — musiałyby wziąć górę.

Położenie lewicy było wobec tej nowej taktyki bardzo trudne. Lewica niewiedziała, o co właściwie rządowi chodzi: czy o spokojne rozprawy nad ugodą, czy o obstrukcyę, ażeby mieć pretekst do pozbycia się izby. Nic dziwnego, że wobec tego musiał nastąpić konflikt pomiędzy umiarkowanymi a pomiędzy radykalniejszymi członkami lewicy. Ten konflikt wystąpił już na jaw w komisyi ugodowej, kiedy przywódca stronnictwa postępowego niemieckiego Dr. Gross postawił wniosek przejścia do porządku dziennego nad przedłożeniami ugodowemi. Należący do lewicy przedstawiciele wielkiej posiadłości wiernokonstytucyjnej i członkowie małej grupy

Mauthnera głosowali przeciwko wnioskowi Grossa, skutkiem czego wniosek upadł. Jako skutek tego głosowania nastąpił *exodus* radykalniejszego stronnictwa ludowego niemieckiego z formalnego połączenia z lewicą. Równocześnie oświadczyło stronnictwo antysemickie, że uważa w tym stanie rzeczy niemiecką *Gemeinbürgschaft* za zerwaną i w ten sposób lewica, jako połączenie wszystkich stronnictw niemieckich opozycyjnych, przestała istnieć.

Pytanie, co dalej nastąpi? Pierwszym skutkiem będzie oczywiście, że pojedyncze stronnictwa niemieckie opozycyjne będą działać na własną rękę, że każde stronnictwo będzie mogło użyć taktyki, jaka mu się wyda najstosowniejszą, a więc stronnictwo partyi ludowej niemieckiej będzie mogło powrócić do obstrukcyi, reszta zaś stronnictw będzie mogła prowadzić dalej opozycyę w formie umiarkowanej. Gdyby się hr. Thunowi udało oderwać od opozycyi szlachtę wiernokonstytucyjną niemiecką — ideał, do którego zdążał hr. Badeni — to nie ulega wątpliwości, że byłby to ogromny postęp na drodze uspokojenia Austryi. Jak na teraz, zdążał hr. Thun do uzyskania poparcia ze strony prawicy. W miejsce p. Bärnreithera wstąpił w skład ministerstwa przywódca niemieckiego stronnictwa katolickiego, p. Dipauli, co zapewniło hr. Thunowi z pewnością bardzo ważne w obecnych stosunkach poparcie ze strony tego stronnictwa. Jakiś czas mówiono o kandydaturze Polaka w miejsce p. Bärnreithera, wymieniano nazwisko prof. Józefa Milewskiego. Więcej jak ktokolwiekbądź inny znamy i cenimy wielki talent i przymioty charakteru p. Milewskiego, który byłby z pewnością ozdobą każdego ministerstwa, ale pomimo to przyznajemy słuszność Kołu, które w obecnych stosunkach nie zgodziło się na wstąpienie jeszcze jednego Polaka w skład ministerstwa. Rola Polaków w Austryi musi być zawsze i wszędzie rolą pojednawczą, to też unikać wypada wszystkiego, coby wśród pewnych danych mogło robić wrażenie kroku zwróconego wyłącznie przeciwko jednej narodowości.

Równocześnie ze wstąpieniem p. Dipauli w skład gabinetu rozpoczęły się rokowania hr. Thuna z resztą stronnictw prawicy. W ten sposób przybiera to ministerstwo, z początku, jak to podnieśliśmy, pojednawcze, charakter mi-

nisterstwa prawicy, chociaż pewną jest rzeczą, że hr. Thun, wzrosły w szkole hr. Taaffego, będzie się starał, pomimo tego pozornego zbliżenia do prawicy, utrzymać swoje rządy w pośrodku między Niemcami a Czechami.

To zbliżenie do prawicy będzie miało jednak, o ile można już teraz przewidzieć, ten skutek, że walka o rozporządzenia językowem, a nawet walka o ugodę, ustąpi na drugie miejsce, a na pierwsze miejsce wstąpi walka przeciwko ministerstwu hr. Thuna. Jak zawsze w Austryi, tak i tym razem, skrystallizuje się walka zasadnicza w *walce przeciwko osobom*, i hr. Thun będzie celem pocisków, podobnie może jak był nim hr. Badeni. Czy najważniejsza sprawa monarchii, ugoda z Węgrami, da się wobec tego przeprowadzić na drodze parlamentarnej, wątpić wypada. Powracamy do zdania, wypowiedzianego już nieraz na tem miejscu: ugoda da się przeprowadzić tylko za pomocą § 14 konstytucyi.

Wszystkie te zajścia wewnętrzne w Austryi blakły i traciły na znaczeniu wobec zajść na zewnątrz, pomiędzy któremi zajmowały wypadki we Francyi naczelne miejsce. Tam upadło po czteromiesięcznem ledwie urzędowaniu ministerstwo Brissona, które uważano ogólnie za główną przeszkodę dla daleko sięgających planów partyi wojskowej. Brisson postanowił, pomimo oporu ministra wojny Zurlindena, rewizyę procesu Dreyfussa.

Zurlinden ustąpił, a na jego miejsce wstąpił jenerał Chanoine, podczas gdy Zurlinden został napowrót dowódcą wojsk w Paryżu. Chanoine nie opuścił ministerstwa, pomimo, że to postanowiło rewizyę procesu Dreyfussa, pozostał w jego składzie także i wtedy, kiedy w Paryżu, a więcej może zagranicą, rozeszły się wieści o sprzysiężeniu wojskowem przeciwko władzy cywilnej. Pogłoski okazały się fałszywe, ale w każdym razie zasługują one na uwagę, jako symptom opinii publicznej. Kiedy Izba zgromadziła się na pierwsze posiedzenie po wakacyach, wystąpił jednak Chanoine publicznie z oświadczeniem, że podaje się do dymisyi. Wśród dyskusyi nad stosunkiem władz wojskowych do władzy cywilnej, przyjęła Izba wnicsek, wzywający ministerstwo do położenia końca wycieczkom prasy przeciwko armii

przeciwko któremu się Brisson oświadczył. To przyjęcie wniosku było rodzajem *votum* nieufności dla ministerstwa Brissona, którego los został przez to rozstrzygnięty. Można uważać za prawdopodobne, że samemu Brissonowi chodziło o ustąpienie ze sceny publicznej i że on umyślnie doprowadził rzeczy do ostateczności. Ktokolwiek wstąpi obecnie na miejsce Brissona, nie będzie miał przeciwko sobie niechęci kół wojskowych, które nie mogły przebaczyć Brissonowi postanowienia powziętego w procesie Dreyfussa. Rozstrzygnięcie tego procesu zależy od trybunału kassacyjnego, który sam przedsięwziął rewizyę. Władze wojskowe będą musiały wydać trybunałowi kassacyjnemu dowody winy Dreyfussa, pomiędzy któremi ma się znajdować mnóstwo dokumentów sfałszowanych, między innemi także rzekome listy cesarza Wilhelma II do Dreyfussa, które miał kupić minister Hanotaux za 27.000 franków. O ile się zdaje, nie chcą władze wojskowe we Francyi przyznać się w tym wypadku do zbyt wielkiej łatwowierności, i ta chęć ukrycia popełnionego błędu gmatwa i sprawę i sytuacyę.

Jak wszystko na świecie jest jednak tylko symptomem pewnego stanu rzeczy, tak jest i cała ta sprawa Dreyfussa tylko symptomem smutnych stosunków francuskich. Władze cywilne utraciły terren po tylu brudnych sprawach, jakiemi musiała się zajmować opinia publiczna, zupełnie na znaczeniu i na zaufaniu. Ponieważ jednak każdy naród musi mieć jakiś ideał, do którego się zwraca z ufnością, który mu przyświeca w codziennem drobnostkowem życiu, przeto nic dziwnego, że wzrok ludu francuskiego odwracał się z pogardą od tych najrozmaitszych handlarzy cywilnych na targu życia publicznego a zwracał z rodzajem nabożeństwa do jedynej, dotychczas podejrzeniem niedotkniętej instytucyi — do armii. Armia wydawała się Francuzom rodzajem *palladium* wśród tych smutnych, brudnych, zepsutych stosunków. Kiedy jednak i to *palladium* zaczęło w procesie Dreyfussa być celem pocisków, podejrzeń, kalumnij, musiała opinia publiczna bronić go, i ztąd pochodzi, że pomimo najrozmaitszych dowodów o popełnionych błędach, Francuzi dotąd wierzą i w swoich jenerałów i w swoją armię. Cóżby się pozostało z całej dawnej świetności Francyi, gdyby i armia

wciągniętą została w kałużę, w jakiej się znajdują obecnie instytucye cywilne we Francyi?

Że nie brak oczywiście awanturników, którzy chcą skorzystać dla celów prywatnych z tego stanu rzeczy, to jest łatwem do pojęcia. Na szczęście, a może na nieszczęście dla Francyi, nie ma pomiędzy nimi żadnego, któryby używał większego rozgłosu i dawał gwarancyę, że pod jego kierownictwem dojdzie Francya do poprawy swoich stosunków. We wszystkich prawie oknach sklepowych Paryża, wystawiony jest portret ks. Wiktora Napoleona — czy to jest przyszły kierownik losów Francyi, któż może przewidzieć?

Jedna jeszcze uwaga. Za rok ma się odbyć w Paryżu wystawa wszechświatowa. Od powodzenia tej wystawy zależy nietylko rozgłos Francyi, ale, co więcej może tam dzisiaj znaczy, interesa ekonomiczne całych warstw ludności. Każda gwałtowna zmiana rządu, zamach stanu, lub coś podobnego, podkopałyby powodzenie wystawy, a może ją nawet uczyniły niemożliwą. Francuzi są zbyt praktyczni i zbyt dobrze umieją oni rachować, ażeby przed wystawą zapuszczać się w awantury. Można więc uważać za rzecz prawdopodobną, że przed końcem stulecia nie przyjdzie we Frnncyi do większych zaburzeń. Każdą wiadomość z Francyi trzeba obecnie wogóle przyjmować z niedowierzaniem, skoro istnieć się zdaje, jako uzupełnienie syndykatu Dreyfussa, koalicya dziennikarzy prawie całego świata, którzy uważają za jedno z głównych swoich zadań, przedstawiać rzecz stanu rzeczy we Fracyi w barwach jeszcze ciemniejszych, jak ono jest w rzeczywistości i zajmować ciągle uwagę publiczną widmami rewolucyi i zamachem stanu. Nie ulega wątpliwości, że we Francyi nagromadzonych jest mnóstwo materyałów zapalnych, ale dotychczas brak jest iskry, któraby sprowadziła wybuch.

Uwaga Francuzów zwrócona zresztą była właśnie podczas tych ostatnich zamieszek wewnętrznych na zajścia zagranicą, mianowicie w Afryce. Francuski kapitan Marchand zajął małą miejscowość Faszoda, położoną nad górnym Nilem — rzecz sama przez się mało ważna, ale przybierająca znaczenie zasadnicze ze względu na całą politykę kolonialną Francyi i Anglii w Afryce. Francya dążyła oddawna do po-

zyskania kraju od kolonii francuskiej na zachodzie Afryki, po za Nil na wschód, aż do Abissynii i uzyskania w ten sposób posiadłości przerzynającej Afrykę, podczas gdy Anglia dąży do utworzenie państwa kolonialnego afrykańskiego od Kaplandu aż do północnej części Nilu. Anglia pobiła derwiszów i opanowała faktycznie cały kraj nad górnym Nilem, a w tej chwili zajął właśnie Marchand drobną posiadłość Faszoda, oświadczając, że jest ona własnością tego, kto ją pierwszy zabrał. W Afryce widzimy tak pierwsze starcie się dwóch wielkich mocarstw kolonialnych. Sprawa Faszody przybiera zaś o tyle większe znaczenie, że za Francyą stoi Rosya, której główną przeciwniczką na dalekim Wschodzie jest ta sama Anglia, rozszerzająca swoje kolonie na cały świat.

W obecnej chwili jednak oświadczył cesarz rosyjski w znanym komunikacie o rozbrojeniu, że jego dążeniem jest utrzymanie pokoju, a póki to dążenie przeważać będzie na dworze w Petersburgu, nie potrzeba obawiać się także i zbrojnego wystąpienia ze strony Francyi; sprawa Faszody weszła na drogę dyplomatycznych rokowań, a wieści o powiększeniu marynarki francuskiej, o jej przygotowaniach wojennych, wypada może uważać za rodzaj akompaniamentu podczas tych rokowań dyplomatycznych, w tym celu, ażeby żądaniom francuskim większą nadać wagę.

Konferencya pokojowa w Petersburgu przyjdzie do skutku, skoro wszystkie państwa Europy oświadczyły gotowość wzięcia w niej udziału. Nie brakło wprawdzie głosów, które twierdziły, że cała ta pokojowa inicyatywa Rosyi dążyła tylko do tego, ażeby zwiększyć w innych państwach opozycyę przeciwko dalszym zbrojeniom, podczas gdy w samej Rosyi zbrojenia miały trwać w dawnej sile. Wskazywano na to, że znana nota ministra Murawiewa w tej sprawie nie zajmowała się zupełnie pytaniem ogólnego rozbrojenia, ale jedynie położeniem końca dalszemu zbrojeniu się państw Europy; wskazywano na to, że ta sama Rosya właśnie w bieżącym roku znacznie powiększyła swoje siły wojenne i że cesarz Mikołaj II w kilka dni po rozesłaniu noty pokojowej udał się do Sebastopola na zwiedzenie tamtejszych obwarowań i oświadczył, że prace obwarowania dalej będą prowadzone; podno-

szono i ten fakt, że rząd rosyjski nie jest w stanie powiększać dalej armii, która obecnie już wynosi na stopie pokojowej więcej jak jeden milion żołnierzy, ale że zmuszony jest do odpowiedniej organizacyi tych mas, do spokojnej pracy nad wykształceniem wojskowem nagromadzonego materyału. Z tych wszystkich danych wyciągano wniosek, że nie należy wiele ufać pokojowym oświadczeniom Rosyi, i że temu państwu, zajętemu ogromnemi planami na dalekim Wschodzie, chodzi w całej tej sprawie tylko o to, ażeby samo mogło skonsolidować swoje siły wojenne, a równocześnie przeszkodziło reszcie państw do powiększania swoich sił wojennych. Nie chcemy rozstrzygać pytania, czy wszystkie te podejrzenia są usprawiedliwione, ale w każdym razie sądzimy, że jakikolwiekbądź rezultat odniesie zamierzona konferencya, myśl, rzucona przez Rosyę, kiełkować będzie. Dla samej Rosyi zaś stanowi ta myśl w każdym razie hamulec w możliwych wojowniczych zapędach.

Także odwiedziny, jakie złożył minister Murawiew z końcem ubiegającego miesiąca w Wiedniu, miały stać w związku z tą myślą konferencyi pokojowej. Murawiew miał przy tej sposobności raz jeszcze stwierdzić zupełną jednakowość zapatrywań z dworem wiedeńskim względem spraw wschodnich, także można uważać za rzecz pewną, że oba państwa, i Austrya i Rosya, starają się obecnie w pierwszej linii o utrzymanie pokoju na Wschodzie. Dla Rosyi ten spokój jest potrzebny, potrzebniejszy jeszcze dla Austryi.

Nawet w sprawie kreteńskiej udało się czterem tam interweniującym mocarstwom dojść do pewnego pokojowego wyniku. Rząd turecki zgodził się na odwołanie swoich wojsk z Krety, która ma zostać zajętą i uspokojoną przez wojska czterech mocarstw. Nie odbędzie się to bez zaburzeń, ale w każdym razie nastąpi pewne polepszenie stosunków na tej nieszczęśliwej wyspie. Przy tej sposobności wstąpi na nowo kwestya gubernatora na porządek dzienny; jako takiego wymieniają ks. greckiego Jerzego, którego kandydatura swojego czasu spełzła głównie skutkiem oporu rządu austryackiego.

Podczas tych zajść odbywał cesarz Wilhelm II swoją tak wiele omawianą podróż na Wschód, do Jerozolimy, ażeby

być tam obecnym przy poświęceniu pierwszej kaplicy protestanckiej nad Grobem Świętym. Znający charakter cesarza Wilhelma mogą uważać za rzecz pewną, że jego fantazya, lubująca się w dalekich, pewną poezyą otoczonych podróżach, odgrywała przy tem główną rolę. Z drugiej jednak strony jest pewnem, że ta podróż przyczyni się do podniesienia wpływu Niemiec w sprawach wschodnich, a mianowicie wzmocni dotychczas powoli rozszerzający się wpływ kupców niemieckich na Wschodzie. Kupcy niemieccy opanowują ekonomicznie powoli Wschód, wypierając ztamtąd kupców austryackich; pod tym względem praktycznym, ekonomicznym, będzie miała podróż cesarza Wilhelma większe znaczenie, jak pod względem rzekomego dążenia do opanowania protektoratu nad chrześcianami na Wschodzie. Podczas podróży Wilhelma II odkryto spisek anarchistyczny, zwrócony przeciwko osobie cesarza. Da to zapewne nowy impuls do energicznej działalności na kongresie przeciwko anarchistom, jaki się ma zebrać w Rzymie. Tak będziemy w najbliższym czasie świadkami dwóch zasadniczych kongresów: kongres pokojowy i kongres przeciwko anarchistom — walka przeciwka mordercom i walka przeciwko zbrojeniom.

* * *

LIST Z POZNANIA.

W październiku.

Podwójne w tym roku przypadłe wybory, tak do parlamentu, jak i do sejmu, uwydatniły od dawna już szerzącą się chorobę rozstroju, która, na wzór Galicyi, i tutejsze rozkłada społeczeństwo. Tu i tam te same pierwiastki i te same niemal żywioły, strojne w szumną nazwę „stronnictwa ludowego“, identyczną prawie odgrywają rolę. Znamienną zaś pozostanie rzeczą, że z ziarna niezgody i zawiści, sianego od lat kilku ręką twórców tego stronnictwa, jawny wyrósł rokosz w chwili właśnie, gdy narodowość nasza doznaje niebywałego ucisku, gdy coraz bardziej zacieśnione życie polityczne nie przedstawia żadnego nawet pola do ścierania się z sobą jakichkolwiek kierunków czy programów. Próżnoby zresztą szukać u stronnictwa ludowego jakiegokolwiek programu, lub chociażby bliżej określonych środków politycznego działania. Hasło „utrzymania bytu narodowego“, głoszone obecnie przez organ tego stronnictwa, jako jego program, to chyba hasło, pod którem skupiały się nie od dziś wszelakie zabiegi i prace tych ludzi, których chcianoby odsądzić od czci i wiary, aby ich usunąć i zastąpić nowemi żywiołami. A więc cała walka z taką zaciętością prowadzona, to nie walka o cel — bo cel pozostał niezmienionym — to nie walka o środki do osiągnięcia tego celu — bo żadnych nowych środków żaden z tych nowych ludzi podać nie umiał, lecz raczej zastrzegał się, iż na krześle poselskim wiele zdziałać nie

zdoła; walka to jedynie ograniczona do kwestyi osób! Staje się zaś ona poprostu potworną karykaturą, skoro dąży do wyrugowania najlepszych, najwytrawniejszych dotychczasowych sił naszych parlamentarnych i zastąpienia ich ludźmi, których i najchlubniej uprawiane rzemiosło nie mogło wykształcić do poselskiego urzędu. Ale przypuściwszy nawet, że wprowadzenie do ciał prawodawczych, lub do wyborczych komitetów, kandydatów stronnictwa ludowego, byłoby rzeczą pożyteczną, czyż dla dopięcia tego godzi się zohydzać ludzi dobrze zasłużonych krajowi, którzy mu wiernie i uczciwie służyli? rzucać niegodne podejrzenia na osobistości powszechnie poważane, a nawet i na takie, które urzędem i znaczeniem na najwyższym stoją szczeblu naszej hierarchii społecznej? Czy godzi się szkalować całe stany, krzewić nieufność i niechęć w ludzie polskim do polskiej szlachty? Niechby o tem pamiętali ci, co podobno w dobrej wierze stali się poplecznikami lub opiekunami t. zw. ruchu ludowego. Bo mniejszym niezawodnie grzechem tego ruchu było zerwanie solidarności narodowej przy urnie wyborczej, jak to ciągłe i nieustające zaburzenie społecznej harmonii. Ważniejszym ona czynnikiem do utrzymania bytu narodowego, niż obsadzanie krzeseł poselskich nieznanemi dotychczas, a choćby zapoznanemi wielkościami. Polega zaś ta harmonia nie na przecenianiu, ale na cenieniu każdej prawdziwej zasługi i każdej rzetelnej i uczciwej pracy dla kraju. Polega na wspólnych usiłowaniach około dobra publicznego wszystkich klas społecznych i wszystkich stanów, na zobopólnej ufności tych klas i tych stanów. Najzaciętsi wrogowie naszej narodowości starali się rozbudzić i utrzymać zawiść ludu polskiego do szlachty polskiej, nie szczędzili oni, a niektórzy nie szczędzą i dziś jeszcze, żadnych po temu środków.

W Księstwie Poznańskiem, dzięki sprawiedliwym agrarnym rozporządzeniom rządu pruskiego przy uwłaszczaniu włościan, dzięki gorliwym staraniom wielu właścicieli ziemskich i wielu gorliwych duchownych, zapanował pomiędzy włościaninem a dziedzicem stosunek, który stanowi największą naszą siłę i chlubę, najpewniejszy może zadatek na przyszłość. Stosunek ten podkopać i rozerwać, siłę tę zniweczyć — oto, do czego zdąża „patryotyczna“ robota prze-

wódców ruchu ludowego. „Włościanin polski — pisał Kalinka krótko po rzezi galicyjskiej—z natury dobry jest, byle go nie odrywano od jego głowy, to jest dziedzica, od jego serca, to jest plebana“. A jakież to hasła rozbrzmiewają na zebraniach i wiecach, na których t. zw. „ludowcy“ czują się w dostatecznej liczbie? Tam słychać bezustannie: „Precz ze szlachtą“, „z księżmi do kościoła“; tem hałasem i wszczętym zgiełkiem stara się nie dopuścić do głosu ani szlachcica, ani księdza; tam nie zawaha się krzyczeć jakiś zapaleniec, że „sam widok szlachcica w dzień, nie daje mu usnąć w nocy“. Wprawdzie dotychczas cała ta zdrożna agitacya nie dotarła, ogółem biorąc, do włościanina polskiego. Księstwo Poznańskie, szczęśliwsze pod tym względem od Galicyi, niema księży - agitatorów; a agitatorom z mieszczańskiego stanu trudniej trafić do chaty włościańskiej, bo chłop polski mieszczanina nie lubi i zazwyczaj mu nie ufa. To też owe „stronnictwo ludowe“ zupełnie niesłusznie używa swej nazwy. Rekrutuje się bowiem przeważnie z klasy drobnych kupców, rzemieślników i robotników naszych miast i miasteczek. Wyjątkowo tam, gdzie agitacya była większą, zdołała i robotników wiejskich pociągnąć. Cóż jednak się stanie, gdy się temu włościaninowi ustawicznie powtarzać będzie, że panowie i księża go zdradzają, że pragnąc wodzić go na pasku, nie chcą jego „uświadomienia“? Tam, gdzie jest jeszcze dwór polski, tam częstsze osobiste stosunki dziedzica z włościaninem mogą złemu zaradzić. Ale tych dworów ubyło. Często w kilkumilowym okręgu niema polskiego pana. Gdy więc włościanin straci ufność do właściciela większej posiadłości, chociażby odlegle zamieszkałego, ulegnie z łatwością wpływom wręcz wrogim naszej narodowości. Nie pomogą wtedy już na to agitatorowie i sami nawet przewódcy stronnictwa ludowego. Oni z okazyi wyborów mogą zwoływać wiece i na nich szumne wygłaszać mowy. Lecz życie społeczne nie ogranicza się do wybierania posłów. Jest praca mniej głośna w powiecie czy gminie, która dzięki tylko zgodnemu a zwłaszcza ufnemu współdziałaniu małej własności z wielką, pożyteczną stać się może. Przy takiej zaś wspólnej pracy wyrabia się naprawdę owe „uświadamianie“ ludu. Korzystając z rad i wskazówek swych

„starszych braci“, obznajamia się lud ze swemi prawami i swemi obowiązkami. Uświadamiać ten lud, tłómacząc mu, że on już w całej pełni świadomość polityczną posiada, a najlepszy da dowód tej świadomości, gdy odepchnie dotychczasowych naturalnych swych przewodników — to raczej hamowanie wszelakiego prawdziwego i normalnego uświadamiania. To robota, przy której miłość własna, próżność czy zawiść trybunów ludowych, może święcić chwilowe tryumfy, ale która podmywa byt narodowy u samych podwalin. A jak dalece wichrzenie stało się dla ruchu ludowego, a zwłaszcza dla jego przewódców, jedyną racyą bytu, okazało się świeżo. Bo, gdy w imię zasady, że w narodzie, nie mającym niepodległości, niema miejsca na stronnictwa, w Poznaniu, w samem gnieździe rokoszu, podano rokoszanom rękę do zgody, zgodzono się na kandydata do izby poselskiej, proponowanego przez stronnictwo ludowe i utworzono wspólny komitet wyborczy z większością nawet zwolenników tegoż stronnictwa, nie przyniosła ta „maślana“ zgoda żadnego uspokojenia. Z generalnego sztabu ruchu ludowego padają po dawnemu te same hasła bojowe, a agitacya, temi samemi prowadzona środkami, nie przestaje wstrząsać i tak już kołatanem i gnębionem ze wszystkich stron społeczeństwem.

Przyczyny rozwielmożnienia się t. zw. ruchu ludowego w Poznańskiem są kilkorakie. Znalazł on grunt przygotowany dla siebie przez ogólny prąd socyalistyczny, objawiający się dzisiaj wszędzie; przez ustawodawstwo państwowo-socyalne, które zniosło dawne patrymonialne stosunki, przez materyalny wreszcie, upadek wielkiej własności i za tem idący upadek znaczenia szlachty. Dopóki szlachta była materyalnie silną, stała opromieniona blaskiem, który nawet jej wady zaciemniał. Jej materyalny upadek, bądź z własnej winy, bądź z winy ogólnych agrarnych stosunków, zmienił postać rzeczy. Osobliwie w sferach, w których miara i waga tak ważną odgrywa rolę, zrodziło się dla szlachty pewne lekceważenie. Lekkomyślność, z jaką niejeden szlachcic tracił i zaprzedawał w obce i wrogie nam ręce ziemię ojczystą, spotęgowało jeszcze to uczucie. Doszło do tego, iż nieraz spotkać się można ze zdaniem, że niebawem szlachty po wsiach nie bę-

dzie, że więc cała przyszłość narodowa oprzeć się musi na średnim stanie.

Aczkolwiek przeto dzisiaj ziemianie nasi w przeważnej swej części czują się jako *glebae adscripti*, aczkolwiek u nich oszczędność w życiu i umiejętność w gospodarowaniu ogromne zrobiła postępy, aczkolwiek tem samem siła ich odporna powiększyła się wielce, nieprzychylne mniemanie o szlachcie jest dość powszechnem. Ztąd przewódcy ruchu ludowego, uderzając w nutę tej ogólnej w klasach średnich do szlachty niechęci, znaleźli odrazu chętnych słuchaczy. Była to przygrywka. Wkrótce poszły za nią wycieczki i przeciw duchowieństwu i przeciw tym wszystkim, którzy wybitniejsze w społeczeństwie naszem zajmują stanowiska. Zmiana frontu w polityce, którą dokonało Koło poselskie z wstąpieniem na tron Wilhelma II, a zwłaszcza po ustąpieniu Bismarcka, dała możność wywołania tem namiętniejszej agitacyi w imię poniżonej i zdeptanej godności narodowej. Główny organ „ruchu“, *Orędownik*, nie pomnąc na to, że on pierwszy domagał się niegdyś porzucenia „polityki protestu“, a zainaugurowania „polityki realistycznej“, gdy spostrzegł, iż nie w jego ręku spoczęła dyrektywa, jął podburzać na Koło, czyli raczej na tych posłów, którzy większość w Kole tworzyli. Pogardliwe wyzwiska i obelżywe zarzuty były i są i dziś jeszcze przeciw tym posłom w obieg puszczane. A znajdowały i znajdują nietylko poklask wśród niedojrzałych a rozpolitykowanych małomiejskich żywiołów, ale i sympatyę więcej niż pobłażliwą u ludzi, kierujących się przeważnie polityką uczuciową. Stało się tym sposobem, że ruchowi ludowemu przybyło wielu cichych, a nawet i jawnych sprzymierzeńców. Nie pochwalali oni wszystkich sposobów, za pomocą których przewódcy ruchu prowadzili walkę, ale w ruchu samym zaczęli upatrywać zdrowe pierwiastki. W liczbie cichych sprzymierzeńców znaleźli się i niektórzy posłowie, stanowiący przegłosowaną mniejszość w Kole, i naturalnie ludzie, którym głównie o popularność i wziętość chodzi.

Do sprzymierzeńców jawnych i zdeklarowanych zapisał się zastęp młodej poznańskiej intelligencyi, który biorąc sobie za przykład „Młodo-Czechów“, nazywał się „Młodą Polską“, miał swój organ w nieboszczyku już dzisiaj *Przeglą-*

dzie Poznańskim, a pod wielu względami przypominał tendencye młodo-czeskiego stronnictwa, zanim ono w praktyce politycznego życia nie wytrzeźwiało. Tak było za t. zw. ery hrabiego Caprivi. Nastanie ery „hakatyzmu“ dało, rzecz oczywista, nową i skuteczniejszą broń w rękę wszystkich przeciwników „polityki ugodowej“, na których czele kroczyło „stronnictwo ludowe“. Tych przeciwników teraz coraz bardziej przybywało, tak, jak to się dzieje zawsze w dniu niepowodzenia. Ugodową politykę spotykała ostra krytyka nawet ze strony dawnych przyjaciół, gorliwych niegdyś popleczników. Tembardziej dawni przeciwnicy i to ludzie poważni i wykształceni, nazwali ją „kapitulacyą“, „biciem bizantyńskich pokłonów“, posłom, którzy byli tej polityki rzecznikami, zarzucili „kalectwo“ umysłowe. Wszystko to razem wzięte wyjść musiało na korzyść ruchu ludowego. A skoro dodamy jeszcze apatyę polityczną, która w Księstwie Poznańskiem od dawna trzyma wielu ludzi znaczących i wyżej usposobionych zdala od życia publicznego, zrozumiemy, czemu ten ruch, nie mający nawet „ludu“ za sobą, tak wzrósł i rozwielmożnił się.

Już przed pięćdziesięciu laty X. Jan Koźmian w redagowanem przez siebie czasopiśmie dawał Księstwu Poznańskiemu to napomnienie: „Życie publiczne nawet uciemiężonych narodów nie może mieć przerwy; należy zawsze ducha publicznego podsycać, wpływać na kształcenie się opinii, tradycye przechowywać. Na każdym obywatelu ciążą obowiązki publiczne, ogólne i szczególne, ani jednych, ani drugich zaniedbywać mu nie wolno“. Słowa to, godne zapamiętania i na dzień dzisiejszy. Główną bowiem może przyczyną wiele złego u nas, jest brak zdrowej opinii publicznej, nie zacieśnionej żadną formułką i nie zaciemnionej osobistemi względami. Obywatele znaczący, jedni zbyt wyłącznie zamknęli się w swoich zawodowych zajęciach i zbyt odsunęli od życia publicznego, drudzy nie posiadają dostatecznej odwagi cywilnej, a niektórzy nawet objawiają pohopność do ulegania chwilowo popularnym prądom; nie wpływają więc tak, jakby powinni i mogli, na tworzenie opinii. Wskutek tego opinia, rodząca się na bruku poznańskim, hałaśliwa, zmienna i namiętna, odznaczająca się niewyrozumieniem dla przeci-

wnego zdania, a często i grubą poprostu nieświadomością osądzanych rzeczy, wydaje najbardziej stanowcze wyroki, wpływa na zamącenie pojęć u wielkiego ogółu tutejszego społeczeństwa. Jestto zaś tem niebezpieczniejszem dla społeczeństwa, którego nie wyrobiła politycznie ani przeszłość historyczna, ani gorzka teraźniejszość, zapędzająca je na drogę abstencyi. Jak w całej Polsce, wedle trafnych słów Szujskiego, tak i tu, „polityki uczyła nas poezya“; ale może tu właśnie polityka najdłużej pozostała wierną swej mistrzyni. Dotychczas mgliste, w praktyce nieuchwytne programy polityczne, bardziej przemawiają nie tylko do serca, ale i do głów przeważnej większości, niżeli programy, liczące się z rzeczywistością. Dlatego też t. zw. polityka ugodowa tak namiętne i niesprawiedliwe wywołała sądy. Tembardziej więc potrzeba wytworzenia spokojnej, a oświeconej opinii publicznej. Żeby ją wytworzyć, strzedz się należy w pierwszym rzędzie wszelakich kompromisów z własnem politycznem sumieniem, gdyż tylko z dobrą wiarą, otwartością i szczerością prowadzona dyskusya może oświecić umysły. Nie powinny też razić nikogo, nawet w narodzie, pozbawionym niepodległości, rozmaite stronnictwa, czyli raczej kierunki polityczne; byleby one nie zwalczały się nawzajem niegodnemi środkami, byleby nie służyły za piedestal dla ambicyi, próżności, czy chęci przewodzenia pojedynczych ludzi. Dziś zamknął nam wprawdzie drogę hakatyzm do szerszej parlamentarnej pracy. Ale czy i hakatyzm jest wiecznym?

Świdwa.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego."

Kreuz und Schwert. Gedenkblätter der K. K. Militär-Geistlichkeit, von Carl von Hummel. I. Theil. (Buchhandlung Carl Blumrich in Wiener-Neustadt, 1898, str. 69).

Dem Tag entgegen. Novelle, von Eva A. von Arnim. (Berlin W., F. Fontane et Cie., 1898, str. 84).

Lieben und Leben. Interieurs, von Paul Mahn. (Berlin W., F. Fontane et Cie., 1898, str. 198).

In blauer Ferne. Neue Novellen, von Emil Roland. (Berlin W., F. Fontane et Cie., 1898, str. 254).

Sonnige Tage. Roman, von Wilhelm Hegler. (Berlin W., F. Fontane et Cie., 1898, str. 225).

Crispin der Dorfbeglücker und andere Geschichten, von Richard Bredenbrücker. (Berlin W., F. Fontane et Cie., 1898, str. 245).

M. Offmański: *Popularyzowanie wiedzy w Królestwie i Galicyi.* (Kraków, nakładem autora, 1898, str. 24).

Helbeck of Bannisdale, by Mrs. Humphry Ward. 2 volumes. (Leipzig, Bernhard Tauchnitz, 1898, str. 303, 270).

Księga pamiątkowa II Wiecu katolickiego, odbytego we Lwowie w dniach 7, 8 i 9 lipca 1896 r., wydał Komitet Wykonawczy. Część II: *Referaty.* (Lwów, nakładem Komitetu Wykonawczego, 1898, str. 509).

W ważnej sprawie! Szkoła Batignolska w Paryżu, napisał M. Chropieński. (We Lwowie, nakładem i drukiem I Związkowej Drukarni, 1898, str. 91).

Tales of unrest, by Joseph Conrad. (Leipzig, Bernhard Tauchnitz, 1898, str. 279).

Tales of trail and town, by Bret Harte. (Leipzig, Bernhard Tauchnitz, 1898, str. 278).

Tadeusz Korzon: *Dola i niedola Jana Sobieskiego, 1629—1674.* Wydawnictwo Akademii Umiejętności z funduszu im. ś. p. Konstantego Kmity. Tomy I, II, III. (Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1898, str. 586, 446, 542).

———x———

RIVISTA D'ITALIA.

Fascicolo VIII.—15 agosto 1898.

L. Lodi: Il Principe di Bismarck. — D. Gnoli: Secolo di Leon X?-Le lettere.—Jach la Bolina: L'impotenza delle armate odierne. — G. Mazzoni: La messe nuova (versi). — G. Rovetta: Il ramo d'ulivo (commedia. Cont. e fine). — U. Papa: Una questione d'arte per la Loggia di Brescia. — A. Sindici: Zinfonia alle „Leggende sulla campagna romana". — G. Boglietti: Ibsen e il suo teatro.

Rassegne. F. Tocco: Rassegna filosofica. — C.: Rassegna scolastica. — K. Vossler: Rassegna tedesca. — E. Boutet: Rassegna drammatica. — Uriel: Rassegna di belle arti. — X.: Rassegna politica. — Y.: Rassegna finanziaria. — Bolletino bibliografico. — Notizie. — L'Italia nelle riviste straniere.

Ritratto: Ottone di Bismarck.

Illustrazioni: Facciata attuale del Palazzo della Loggia di Brescia. Lato meridionale, secondo il disegno dello Zamboni. Facciata, secondo il disegno dello Zamboni - Facciata, secondo il progetto degli architetti Cassa, Tagliaferri e Boito.

Fascicolo IX.—15 settembre 1898.

G. Mestica: Giacomo Leopardi e i conti Broglio D'Ajano. — D. Gnoli: Secolo di Leon X?-Le lettere. — U. Fleres: Il Moretto da Brescia. — G. Fraccaroli: Leggenda e storia di Roma. — C. Giorgieri Contri: Le nozze (novella). — D. G: Rivelazioni sulla uccisione di Pellegrino Rossi.— A. Pagano: Trasporto di grossi carichi con vetture automobili.

Rassegne. E. Panzacchi: Rassegna letteraria. — Duncan: Rassegna di letteratura inglese. — O. Zannotti-Bianco e E. Giglio-Tos: Rassegna scientifica. — G. Cimbali: Rassegna di scienze sociali. — X.: Rassegna politica. — Y.: Rassegna finanziaria.—Bollettino bibliografico. — Notizie. — L'Italia nelle riviste straniere.

Ritratto: Andrea Broglio D'Ajano, recanatese.

Illustrazioni. Moretto da Brescia: S. Nicoló da Bari— Ritratto ignoto — La Vergine col figlio — La Maddalena ai piedi del Redentore.

DEUTSCHE RUNDSCHAU.

Inhalt des October-Heftes 1898.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr Jerzy Mycielski.

LA REVUE DES REVUES.

La livraison du 1 octobre 1898, contient:

I. Avons-nous une noblesse française? par le vicomte A. de Royer (1 gravure). — II. Comment J. J. Rousseau fut calomnié (d'après des documents inédits), par Frédérika Macdonald. — III. Les lampes, par Georges Rodenbach. — IV. La production littéraire dans le monde en 1898, par Frédéric Lolliée. — V. Les amies de Chateaubriand (suite et fin), par Henry Lapauze. — VI. Les Moujiks, par A. Tchékoff. — VII. L'architecture des gouttes d'eau (9 gravures), par le Dr. L. Caze. — VIII. L'alliance anglo-américaine (Contre le désarmement) (4 gravures), par le comte A. de Beaumont. — IX. *Analyse des „Revues" françaises, anglaises et américaines, d'art, italiennes, internationales.* — X. *Caricatures politiques* (15 gravures).

La livraison du 15 octobre 1898, contient:

I. Le sentiment public en Allemagne et la question d'Alsace-Lorraine, par Maurice Wolff. — II. La jeune poésie française en 1898 (8 gravures), par Henry Bérenger. — III. Souvenirs, conseils et souhaits de psychologie oratoire, par le prof. Enrico Ferri, député. — IV. L'idéalisme social, par Eugène Fournière, député. — V. Les briseurs de chaînes, par Georges Lefèvre. — VI. Les Moujiks (suite), par A. Tchékoff. — VII. L'enseignement classique est toujours nuisible, par A. Rieffel. — VIII. La famine universelle (Ce que nous mangerons demain) (8 gravures), par le Dr. L. Caze. — IX. Le théatre des Lamas (7 gravures). — X. Revue des derniers livres anglais. — XI. Revue dramatique, par Georges Lefèvre. — XII. *Analyse des „Revues" françaises, allemandes, d'art, néerlandaises, polonaises et russes.* — XIII. *Caricatures politiques* (11 gravures).

Prix de l'abonnement par an: Paris et la France, 20 francs; Étranger (Union postale), 24 francs.

„PRZEGLĄD POLSKI"

pismo naukowe i literackie, wychodzi rok trzydziesty pierwszy w Krakowie, w pierwszych dniach każdego miesiąca, w zeszytach zawierających 10 — 12 arkuszy druku w 8ce (rocznie najmniej 120 arkuszy druku).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Dr Jerzy Mycielski**

Prenumerata na „Przegląd Polski" z przesyłką pocztową:

	rocznie:	półr.:	kwart.:
w Austryi	16 złr.	8 złr.	4 złr.
„ Niemczech . . .	32 mar.	16 mar.	8 mar.
we Francyi, Belgii, Włoszech i w Ameryce	40 fran.	20 fran.	10 fran.

Cena pojedynczego zeszytu 1 złr. 50 ct.

Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administra „Przeglądu Polskiego": Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej w Krako

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarn oraz urzędy pocztowe w kraju i za granicą.

Dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla duchownych prenumerata „Przeglądu Polskiego" wynosi:

rocznie	**w Austryi . . . . . .**	**12 złr.**
„	**w Niemczech . . .**	**24 mar.**
„	**we Francyi . . . .**	**30 fran.,**

którą przyjmuje wyłącznie tylko Administracya.

W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



CESARZ FRANCISZEK JÓZEF

1848—1898.

W pięćdziesiątą rocznicę wstąpienia na tron Cesarza Franciszka Józefa.

Pięćdziesiąt lat panowania! Rzadkie są tak długie, rzadsze tak ciężkie troską i smutkami, najrzadsze tak budujące wytrwałością i poświęceniem w dźwiganiu tego brzemienia korony, tego krzyża, jakim ona jest dla Franciszka Józefa. Jego przodek Karol V trudów miał w życiu wiele, ale przeciwności dużo mniej, niż powodzeń, a przecie się znużył i zniechęcony poszedł w klasztorze dumać na temat *Vanitas Vanitatum.* Franciszek Józef nie dał się ani zniechęcić, ani znużyć, ani złamać, ale w starości swojej, w strasznem osieroceniu swojem, stoi silny i śmiały, jak żeby żaden grom nie był w niego uderzył, choć biły wszystkie w głowę monarchy i w serce człowieka. Stoi, i dźwiga swój ciężar, i rządzi — bo powinien! Co w nim za siła, że to wszystko wytrzymał i wytrzymuje? Siłę jego hartuje i krzepi wola, a wolę, po łasce i pomocy Bożej—świadomość obowiązku. On chce wszystko wytrzymać, bo mówi sobie, że kogo Bóg na takiem miejscu postawił, na kogo taką odpowiedzialność włożył, temu z pola schodzić nie przystoi — ten, cokolwiekby się działo,

musi trwać, aż pokąd nie odwoła go z posterunku ten głos, który go do takiej służby powołał. To jest prawdziwie wielki, bohaterski pierwiastek w jego charakterze i w jego historyi, ten, którym on przewyższa wszystkich swoich szczęśliwszych od siebie przodków, którym jaśnieje nad swymi poddanymi i swymi następcami, jako wzniosły przykład. Jego życie mówi do wszystkich: „Tak trzeba pojmować i tak pełnić miłość swojej ojczyzny, obowiązek swego stanu i urzędu".

Pasmo wieków przesuwa się w myśli, kiedy ona zwróci się ku tej głowie, na której spoczęła dziedziczna korona tylu cesarzy. Główny prąd historyi płynął przez ich dom. Odsypywał mu całe lądy, całe kraje, czasem podmulał i odrywał brzegi — ale posad nie zachwiał. Dawni współtowarzysze wiekowych dziejów, dawni współzawodnicy, runęli i zeszli z pola: ten dom stoi, z królewskich najstarszy i pierwszy, z katolickich królewskich niemal jedyny, a wśród wszystkich, jakie są, zawsze pierwszy dostojeństwem cesarzy dawnych, dostojnością Cesarza dzisiejszego. Przechodzi się po kolei ich postacie jednego po drugim, od tego założyciela, którego imię, po wiekach wznowione, miało być dobrą wróżbą, zadatkiem pomyślności dla domu i dla Monarchii, a stało się wspomnieniem tak bolesnem, że go się nie śmie dotykać — i z tego rzutu oka wynosi się dręczący wniosek, że wszystkim było łatwiej żyć i rządzić, wszyscy byli szczęśliwsi, jak ten. Stary Maxymilian mógł umierać szczęśliwy — zostawiał wnuków pierwszymi panami w świecie. Karol składał koronę, miał dosyć tego panowania; ale mógł sobie mówić, że w jego domu słońce nie zachodzi, tak, jak w jego państwie.

Ferdynand musiał się bronić od protestantów i od Turków, ale się obronił. Drugi Ferdynand wyszedł szczęśliwie z trzydziestoletnich zapasów. Leopold drżał o Wiedeń, ale miał Sobieskiego, i rozpoczął dzieło odzyskania Węgier, zabezpieczenia Monarchii od Wschodu. Marya Teresa miała do walczenia z wrogiem zdradliwym i wiele musiała poświęcić, ale byt Monarchii umocniła i zabezpieczyła, a dom zostawiła kwitnącym. Franciszek I wyszedł nadspodziewanie cało z napoleońskich wojen. Franciszek Józef przyszedł po nich wszystkich, odziedziczył z ich koroną stosunki, zawikłane skutkami dawniejszych przyczyn, na pozór mniej groźne, na prawdę nie mniej trudne, niż bywały za dawnych cesarzy—a nie miał i nie ma tych, co oni, pociech i uspokojeń.

Opowiadano lat temu pięćdziesiąt, że kiedy stryj składał koronę, a ojciec zrzekał się swoich do niej praw, ośmnastoletni Arcyksiążę miał powiedzieć: *Lebe wohl meine Jugend.* Opowiada się dziś, że dowiedziawszy się o śmierci Cesarzowej, miał powiedzieć: *Mir war nichts erspart!* Te słowa wyrzeczone w odstępie pół wieku czasu, ujmują jego panowanie jak w smutne ramy. Pierwsze wyrażają uczucie odpowiedzialności, znamienny rys charakteru, to uczucie, które miał młodzieniec przed rozpoczęciem swego zawodu, kiedy stał wobec tej wielkiej niewiadomej, jaką dla każdego jest przyszłość, a dla młodego życie. Słowa drugie, to streszczenie smutnego życia, to pieczęć na niem wyciśnięta, kiedy kielich goryczy spełniony był do dna.

Wstąpił na tron w chwili zaburzeń, zachwiania państwa. We Włoszech wojna, Węgry prawie oderwane; stolicę, Wiedeń, trzeba było zdobywać woj-

skami. Cesarz młodziutki, bez znajomości jeszcze życia i rządzenia, musi polegać na otaczających, ufa ich zdaniu, ich radzie. Ci zasiewają ziarna tych złych niebezpiecznych stosunków, które w dalszych latach on, już sam przez się, będzie musiał naprawiać. Dużo nagromadzonej nienawiści, która wybucha zamachem Węgra na życie Cesarza. W braterskiem sercu, przejętem radością z ocalenia, rodzi się myśl uwiecznienia tej radości i wdzięczności kościołem: zbierają się składki, rysują się plany na *Votivkirche*. A tymczasem młodość ocalonego Cesarza zaczyna jaśnieć najpiękniejszym blaskiem, kwitnąć najmilszym z kwiatów. Miłość jest rzadka na tronach; rzadki monarcha, któryby mógł zaślubić tę, którą kocha. Tu, jak w czarodziejskich powieściach, młody król i młoda księżniczka widzą się, kochają się, idą oboje za popędem serca sami, przez nikogo sobie nie przeznaczani. Czarodziejska powiastka, a razem istna sielanka w ulubionym Ischlu, sielanka zakochanego młodzieńca i szesnastoletniej panienki, jak żeby Cesarz był pasterzem, a księżniczka z królewskiego domu pasterką. Co za wjazd radosny do Wiednia! co za blask szczęścia na tych młodych twarzach, a blask piękności na twarzy młodej oblubienicy! Kto to pamięta, a potem widział wjazd jej drugi, w czterdzieści cztery lat później, czarną nocą, na czarnym wozie, temu staje w myśli ów kamień Mickiewicza, z którego pewne widoki i pewne porównania winny wycisnąć łzy.

Niebawem wojna wschodnia. Sposobność jedyna, sposobność, jak zdarza się nader rzadko, zabezpieczenia Monarchii na długo, może na wieki, od gróźb i nieszczęść ukrytych w łonie przyszłości. Rosya

mogła być oddaloną od granic Austryi, od wpływu na jej słowiańskie kraje i ludy; Prusy wtedy straszne nie były. Sposobność opuszczona. Ministrowie spraw zagranicznych patrzą za wiele wstecz, za mało naprzód; boją się więcej tego, co kiedyś groźnem było, niż tego, co teraz groźnem się staje. Ministrowie spraw wewnętrznych hodowali zarody przyszłych wewnętrznych sporów i oporów, w złudzeniu, że budują jednolite państwo.

Po kilku latach wojna włoska i pokój w Villafranca. Zmiana w rządach; boleśniejsza zapewne w duszy Cesarza. Ujrzał naraz stan swego państwa gorszym, niż sądził go dotąd. Wojsko, skarb, usposobienie ludności, wszystko ukazało się w innem świetle. Nieszczęście sprowadziło przełom. Wywołało hart, odwagę, postanowienie; męzkie przymioty dojrzały. Co zniósł, ile go kosztowała amputacya Lombardyi, to tylko jemu wiadomo i Bogu. Ale kiedy inny byłby kwilił, albo żółć w sobie wyrabiał, on w jednej chwili pomiarkował się w położeniu, ujrzał swój obowiązek, i śmiałym umysłem, silną wolą, powziął postanowienie. Skoro się pokazało, że nie jest w jego państwie tak dobrze, jak być powinno, to musi być lepiej, musi być dobrze. Samodzielnie, z własnego przekonania i świadomego zamiaru, wchodzi na drogę nową. Do pomocy wzywa człowieka, o którym wie, że go nigdy i w niczem nie zawiedzie, Gołuchowskiego—i rok zaledwo minął od klęski, kiedy Cesarz zapowiada nowy system rządzenia. Pierwsza myśl zmienia się znacznie przed wykonaniem jeszcze—błąd, który wywołał opór Węgrów, a za lat kilka omal nie pomścił się na państwie wielkiem niebezpieczeństwem. Ale rozpoczął się nowy okres w historyi

austryackiej, zmieniła się natura rządów, a Cesarz, który to nowe położenie stworzył, przyjął je tak szczerze, tak bez zastrzeżeń, jak żaden może z poddanych mu ludów, czy ludzi. Nikt nigdy rzetelniej i zupełniej od niego nie przeszedł ze stanowiska monarchy samowładnego, na stanowisko konstytucyjnego; nikt nigdy wierniej, ściślej, nie trzymał się i nie dochował tego stanowiska. Kiedy zaś zmierza tą drogą do równowagi, spokoju i sprawiedliwości w państwie, zmierza do jego odrodzenia i wzmocnienia, to razem z wytężeniem wszystkich sił pracuje nad podniesieniem armii; waleczność sama nie wystarcza, trzeba sztuki, umiejętności, zasobów, organizacyi. Wszystko, na wszystkich polach, potrzebuje naprawy; a Monarcha wszystko podejmie, nic nie zaniedba, i rozwija tę energię, tę pracowitość niesłychaną, która przechodzi trud wyrobnika. Ośm godzin pracy żąda dla siebie wyrobnik; ten Cesarz, wstający o czwartej z rana, nie pozwoli sobie nigdy marzyć o ośmiu godzinach pracy; wypoczywa i rozrywa się wtedy chyba, kiedy szlachetna myśliwska passya wywiedzie go na szczyty Alp za giemzą.

Nadchodzą wypadki polskie. Znowu sposobność. Nie tak dobra, jak w r. 1854, ale jeszcze możliwa do przyjęcia. Zepsuł ją Napoleon III żądaniem granicy Renu; zepsuł dowcipny wiedeński paradox: „Nie prowadzi się wojny na to, by stracić prowincye". Trzy lata później, niestety, prowadziło się wojnę, wygrywało się bitwy na lądzie i morzu, na to, by prowincye stracić; a tamta wojna mogła się skończyć nie utratą prowincyi, ale zyskaniem Królestwa. Nie stało się; a natomiast zaniosło się na istotne straty. Zjazd książąt Rzeszy w Frankfurcie musiał

się skończyć albo takim tryumfem Austryi, któryby Prusy zepchnął i zgasił—albo porażką austryackiej polityki. Prusy zaś były już wtedy i silniejsze i czujniejsze, a dawny duch Fryderyka odrodził się potężnie w Bismarcku i czyhał na prawnuka Maryi Teresy. Wojna duńska stała się koniecznością dla Austryi i jej Cesarza; zatarg z Prusami i nowa wojna z niemi, były nieuniknionem, przebiegle zdawna obmyślanem, zręcznie naprowadzonem następstwem wojny duńskiej. Odwieczna zazdrość i zdrada, długo skryta i przyczajona, za Fryderyka otwarta już i śmiała, doszła po wiekach do swego celu. Prusak zamknął Niemcy przed Austryakiem, Hohenzollern przed Habsburgiem, protestant przed katolikiem. Co się w tej chwili dziać mogło w sercu potomka Rudolfa, Ferdynandów i Maryi Teresy, w tem sercu austryackiem, habsburskiem, i cesarskiem?

Cesarz coraz wspanialszy. Miał heroizm przezwyciężenia siebie, wyrzeczenia się siebie. Stłumił w sobie ból, a poświęcił się swemu państwu. Skończył dawny spór z Węgrami, jątrzący się od Józefa i Leopolda, niedawno wybuchły, podczas wojny pruskiej groźny. Przywrócił i zaprzysiągł prawa, przywrócił i zapewnił pokój i bezpieczeństwo z tej strony Kiedy wkładał na głowę koronę św. Szczepana, mógł się czuć zaspokojonym i dumnym z siebie. Ale i na tę piękną w jego życiu chwilę padł żałobny cień. Brat, złudzony pięknem, lecz bezpodstawnem marzeniem, przepłynął oceany, na to, by tam zginąć śmiercią nie tak straszną, ale prawie tak smutną, jak niegdyś śmierć Maryi Antoniny. Darmo! Trzeba znieść i to, i dalej swoje powołanie pełnić, przywracać spokój i prawa. Nowe prawo publiczne zachowuje Cesarz

aż nazbyt prawie sumiennie; tak się czuje obowiązanym szanować prawodawczą władzę parlamentu, że aż swojej władzy pozwala zrobić uszczerbek, kiedy przystaje na zerwanie konkordatu z Papieżem. Ale prawo, sprawiedliwość, wolność, narodowe życie, nie dla jednych silnych Węgrów tylko. Cesarz czuje się ojcem wszystkich, i gdzie jest co dobrego do zrobienia, to zrobi, i gdzie są krzywdy do naprawienia, tam je naprawi. Jego przodkowie zabrali Galicyę — on ją zdobył. Podbił ją swoją dobrocią, swojem szlachetnem sercem, a jakakolwiek czeka nas jeszcze przyszłość, pamięć jego będzie u nas błogosławioną, jak długo stanie polskiego imienia na ziemi.

Wśród tego, wojna Prus z Francyą. Francya nie zrozumiała przed czterema laty, że miała bronić siebie w Austryi, że po klęsce Austryi na nią kolej przyjść musi; teraz Austrya nie mogła już bronić Francyi, i nad całą Europą zaciężyła przewaga Prus. Zmienić nie można, znosić trzeba. Kiedy wojska rosyjskie przechodzą Dunaj i Bałkany, kiedy grożą wzięciem Austryi we dwa ognie, od północy i południa, ona musi patrzeć spokojnie, nie może się ruszyć, bo gdyby się ruszyła, zagrozićby jej mogło inne niebezpieczeństwo, przez Alpy, albo przez Sudety. Z traktatu berlińskiego wychodzi ona o tyle szczęśliwie, że zyskuje silną podstawę na bałkańskim półwyspie, może się zabezpieczać z tej strony. Ale w tym stanie i w tej proporcyi sił w Europie, na śmiałe przedsięwzięcia zrywać się niepodobna. Trzeba utrzymać *status quo;* na to trzeba pokoju, a pokój o tyle pewny, o ile wielką siłą strzeżony. A więc złączyć się z tymi, którym na jego utrzy-

maniu zależy; a więc podać jedną rękę temu, co wziął cesarską koronę Niemiec, podać drugą temu, co wziął Lombardyę i Wenecyę Cesarzowi, Arcyksiążętom Toskanę i Modenę, zawrzeć z nimi przymierze, i tego przymierza wiernie, rzetelnie im dochować.

Nie mamy miary do mierzenia zwycięztw nad sobą i poświęceń, ale tak myślimy, że mało ich było na świecie temu równych.

Potem kilka lat spokoju. Stosunki wewnętrzne się łagodzą i prostują, skarb państwa, oddawna zachwiany, dochodzi do porządku i równowagi; Monarcha ma trochę odpoczynku, trochę wytchnienia w swojem ciężkiem życiu. Ma zapewne nawet chwilę słodkiej radości, kiedy Monarchia cała, kiedy stolica, obchodzi z takim szczerym gorącym zapałem dwudziestą piątą rocznicę jego zaślubin. Czy wolno nam myśleć i cieszyć się tą myślą, że miał Cesarz także pociechę, miał kilka dni miłych, kiedy w r. 1880 nasz kraj odwiedzał?

Nastało kilka lat względnie dobrych: teraźniejszość była spokojna, droga przyszłości zdawala się dość jasną i pewną.

I wtedy to, co najgorsze!

Malarz grecki kiedy malował ofiarę Ifigienii, zakrył płaszczem głowę Agamemnona. Do tego płaszcza nie godzi się ręki zbliżać. Są boleści, przed któremi schyla się głowę z niemem uszanowaniem, ale których nie tyka się słowami.

Potem, jak przedtem, to samo zapomnienie o sobie, ta sama „myśl o szczęściu państwa“, ta sama praca. Człowiek prywatny ma w nieszczęściu choć tę ulgę, że może się usuwać, zamykać; panujący

może w takich razach być „więcej z Bogiem“, ale nie może być „mniej z ludźmi“. Musi się pokazywać, musi mówić i słuchać, musi działać: *die Sklaverei des Volksdiensts* nie daje mu wolności i wytchnienia nigdy, ani nawet kiedy najnieszczęśliwszy. Ale tego panującego ta niewola może utrzymywała przy siłach. On tak żył swojem uczuciem obowiązku, że co z tego uczucia robił, to mu pomagało żyć i znosić—to jego atmosfera, to oddech jego płuc, bez tego nie mógłby żyć.

„Myśl o szczęściu państwa“ zawsze najpierwsza; jej przedsięwzięcia coraz nowe, potrzebą czasu wskazane. Z Węgrami pokój jest, ale w Czechach dwa narody w waśni i złości wzajemnej: trzeba z kolei tam zrobić pokój, zgodę na sprawiedliwości opartą. Czas nie stoi. Żadne prawo publiczne, żadne prawo wyborcze nie może być doskonałem nazawsze; ludność uboższa, pracująca, niech też ma możność mówienia o swoich potrzebach i uciążliwościach. Te dwa zamiary dobre, te dwie sprawy podjęte, powinny były właśnie prowadzić państwo do spokojnego, do stałego rozwoju jego sił. Ale Austrya jest Monarchią, Cesarz jest Habsburgiem, konstytucya jest bezwyznaniowa, ale tradycya została katolicką: nie można znosić w środku cywilizowanej Europy takiego zabytku barbarzyńskich czasów, a przybytku katolickich i monarchicznych przesądów! Na Austryę więc kierują i wytężają się oddawna systematycznie wszystkie usiłowania bezbożnych sekt i rewolucyjnych stowarzyszeń. Trzeba ją rozprządz, rozłożyć od wewnątrz, to z czasem rozpadnie się i zamieni na coś innego! Ta praca prowadzi się na Węgrzech, tak, jak w niemieckich prowincyach Austryi, jak

i w słowiańskich. Zamierzona zmiana prawa wyborczego dawała wyborną sposobność, mogła służyć za archimedesowy punkt siłom rozkładowym i burzącym. Miała prowadzić do równowagi i spokoju; zrobiono z niej pierwiastek fermentu i wzburzenia.

Sprzeczne interesa na półwyspie bałkańskim mogły doprowadzić do zatargu z Rosyą, ztąd do zawikłań i niebezpieczeństw. Uniknąć ich, odwrócić je, było wielkim interesem i Austryi, i Rosyi, i pokoju Europy. Cesarz podjął to zadanie, porozumiał się. Przez to i pokój zabezpieczył, i sam stał się pewniejszym. Mniej zagrożony, mniej też potrzebował pomocy; jego państwo i jego polityka stawały się mniej zależnemi. Ale w tej chwili, zaledwo wrócił z Petersburga, spór niemiecko-czeski, dawny i aż do tej chwili umiarkowany, nie namiętny, wybuchnął ze strony niemieckiej z nienawiścią blizką wściekłości, ogarniającą coraz szersze koła ludności, zaraźliwą, dochodzącą wreszcie do istnego szaleństwa — bo szaleństwem były gorszące burdy w Radzie Państwa, szaleństwem i brakiem wszelkiego względu na Cesarza i państwo było umyślne spychanie spraw najważniejszych, najkonieczniejszych. „Albo musi się tak stać, jak my chcemy, albo my będziemy górą — albo niech się z państwem dzieje co chce!“ Negacya zasad konstytucyjnych, negacya państwa, negacya patryotyzmu, wszystko!

Tak Cesarz wchodził w pięćdziesiąty rok swego panowania, w ten rok, który miał być świętem wierności i wdzięczności za pół wieku rządów, trudów, poświęceń, dobrodziejstw — osłodą po pół wieku nieszczęść i boleści. Ci wierni poddani, którzy mówią,

że go szanują i miłują, taką mu zgotowali nagrodę, taki przynieśli wieniec — cierniowy!

Nie na tem koniec! W środku tego roku przyszło nieszczęście największe: śmierć Cesarzowej, „okrucieństwo plugawe i głupie“. Boleść nieskończenie większa, niżby ją mogła sprawić śmierć zwykła, naturalna.

Zdawało się, że teraz przynajmniej ludzie zmiłują się nad nim, i dadzą mu pokój, nie zechcą dodawać mu cierpienia, że go zaspokoją o los i przyszłość państwa, że zgodnie i rychło skończą sprawę ugody z Węgrami, że go zechą choć trochę pocieszyć widokiem wewnętrznego spokoju i zgody. Przecież mają ludzkie serca! przecież muszą mieć i serca austryackie — niepodobna żeby w takiej chwili nie mieli na niego względu i chcieli go dręczyć? *Es wäre so feig als es barbarisch wäre!* Ale nie: robią co robili, bez miłosierdzia napawają troską i goryczą to serce, które przez lat pięćdziesiąt dla nich biło, im służyło, dla nich się tysiącznym bólem krwawiło. Gdyby Cesarz znał Krasińskiego, powiedziałby o sobie w końcu tego *jubileuszowego* roku: „Moich ludów duch zatruty — to dopiero bólów ból!“

Tak się kończy te pięćdziesiąt lat panowania, w ciągu których *Ihm war nichts erspart.*

Dlaczego jemu właśnie los tak srogi? Dlaczego on miał być najnieszczęśliwszym z Habsburgów, kiedy jest ze wszystkich najlepszym? Bo nie ujmując nic jego wielkim i szczęśliwszym przodkom, cnoty w tej mierze nie miał z nich żaden. Dlaczego? Dowiemy się kiedyś, na tamtym świecie: na tym, zamiarów Opatrzności, wyroków sprawiedliwości Boskiej, znać i rozumieć nie możemy. Tyle wiemy, że w długim

szeregu cesarzy godniejszego i szlachetniejszego nie było nigdy. Najmłodszy z nich zapisał w dziejach domu i Monarchii kartę od wielu smutniejszą, ale od wielu piękniejszą, a postać jego z każdą może się zmierzyć, niejedną przewyższy, każdą przeważy wagą swoich cnót i poświęceń.

Gdyby nie tyle smutku i żałoby, z jakim popędem, z jakim zapałem składałoby się Cesarzowi życzenia: „Żyj, i panuj jeszcze drugie lat pięćdziesiąt!“ Dziś nie śmie się tak mówić; Cesarz miałby prawo odpowiedzieć:

Jam bardzo smutny, jam bardzo strudzony,
Dajcie mi pokój.....

Ale on i potrzebny bardzo — on w tej przemieniającej się Europie Monarcha-wzór, on „król w każdym calu“, w tej Austryi zawichrzonej i zaburzonej środek ciężkości, pierwiastek równowagi, głowa — i serce najwyższe. Może ta sama świadomość obowiązku, ta sama miłość Austryi, która krzepiła i trzymała go dotąd, utrzyma go, da Pan Bóg, i dłużej. Tego spodziewać się, tego pragnąć się godzi — a tem więcej wolno i należy prosić, modlić się z głębi serca:

Boże pociesz, Boże wspieraj
Nam Cesarza.....

St. Tarnowski.

Z pięćdziesięcioletnich roczników „Czasu“.



(Ciąg dalszy.)

IV.

Lata 1857—1860.

Zupełny brak polityki krajowej — przymusowa cisza i bezczynność bywa zwykle niebezpieczną, bo przyduszonemu życiu każe koncentrować się w tajnych związkach. Tak bywało w czasach metternichowskich, tak znów mogło być za reakcyi paskiewiczowskiej w Królestwie i prowincyach zabranych, a reakcyi bachowskiej w Galicyi. Tak jednak nie było. Przeważał tu i tam jakiś instynkt oszczędzania się i oczekiwania. „To tak długo trwać nie może“ — mówiono sobie z cicha.

W Galicyi czesko-niemiecka biurokracya dokuczała jak mogła — oddawano jej za to ironią i żartami. Gdy *Kreishauptmann* lub *Bezirksvorsteher* ze znanej rodziny Precliczków, powieści Jana Lama, pozwalał sobie za wiele, jechało się do Lwowa, a gubernator hr. Gołuchowski, choć niezbyt równego przy audyencyach bywał humoru, rad zwykle przyjmował tego rodzaju skargi obywateli, bo chętnie zbierał materyał przeciw podległemu sobie, ale do którego czuł wstręt, żywiołowi napływowej biurokracyi.

Gdy krzywda przybierała ogólniejsze i niebezpieczne rozmiary, wtedy kilku ludzi, ze sprawą administracyi kraju

znakomicie obeznanych, zbierało daty, pisało memoryały, i te memoryały bądź to wiozło wprost do Wiednia, bądź ogłaszano w *Czasie*. Pisanie memoryałów do Wiednia, to wyborny środek przeciw biurokracyi, wypróbowany oddawna. W pierwszych dziesiątkach lat po anneksyi Galicyi i na początku naszego stulecia, pisywano takie memoryały, i odznaczali się w tej sztuce Izydor Pietruski i stary mecenas Dzierzkowski.

Memoryał, choć pozytywnego nie osiągał skutku, miewał zwykle ten skutek negatywny, że szkodliwe krajowi projekta bądź to centralnego rządu, bądź miejscowych fiskalistów i biurokratów wstrzymywał — dawał im t. zw. *Schiebera* na długie lata. Środka tego ze świetnym rezultatem używali teraz ludzie, stworzeni do rządzenia krajem i do tek ministeryalnych, że tylko wymienimy Maurycego Kraińskiego i niestrudzonego w swej pracy, nie szczędzącego nigdy zachodów i nakładów dla sprawy dobra ogólnego, Kornela Krzeczunowicza. Nie bywał obcy podejmowanym zachodom tych ludzi gubernator hr. Gołuchowski; gdy chciał on przyśpieszyć sprawę regulacyi serwitutów, którą tendencyjnie *ad infinitum* przedłużać zamierzał system z góry i system z dołu, wtedy Krzeczunowicz z Kraińskim pisali do Wiednia memoryały. Gdy Galicyi zagrażał nowy kataster gruntowy, mający obciążyć w dwójnasób ziemię, Krzeczunowicz wypróżnia drugie piętro w swoim domu przy ulicy Majerowskiej we Lwowie na skład map katastralnych, rozkłada je na posadzkach całej enfilady salonów, i w pantoflach całemi dniami skacze po kartach geograficznych Galicyi, aby wszelkie pomyłki rządowego katastru wyśledzić — i to dzieło biurokracyi, które podobno kosztowało milion, a byłoby pomnożyło ciężary gruntowe corocznie o kilkanaście milionów, wstrzymywać i obalić.

Zamiar powiódł się niestrudzonemu pracownikowi. Trudy jednostki zdołały dwadzieścia kilka lat utrzymać prowizoryum, aż wreszcie cały kataster pod młotem Krzeczunowicza rozleciał się w kawałki — i miał się pojawić w odmiennej formie o wiele lat później.

Złośliwi opowiadali, że Kornel Krzeczunowiez nosił pod pachą milion morgów ziemi podolskiej, które zdołał swemi

zachodami przez dwadzieścia kilka lat ukryć przed badawczym wzrokiem autorów katastru i rządowych fiskalistów. Jestto może legenda, w której chciano przedstawić prawdziwie tytaniczną pracę tego małego, ale dzielnego obrońcy naszej ziemi od przeciążeń podatkowych. Krzeczunowicz stworzył osobną umiejętność katastralną — a jak mawiał z właściwym sobie sarkazmem Leszek Borkowski „w tej nauce jest on tem większą powagą, że nikt go skontrolować nie zdoła“. Bądź co bądź niezrównanym był ten zapał i ta gorliwość, posuwająca się poniekąd do manii w sprawie suchych cyfr. Była to bohaterska walka jednostki przeciw całemu legionowi obcych fiskalistów, a polem walki bywały szpalty *Czasu*.

W *Czasie* spotykamy całe szeregi artykułów o katastrze Kornela Krzeczunowicza, również jak memoryały jego pióra w sprawach serwitutowych, majątków gminnych i w innych przedmiotach. P. Kornel bywał dość częstym gościem w Krakowie — podobno kawalerem wiódł go tu jakiś sentyment — później ścisłą złączony przyjaźnią i wielce ceniony przez Adama Potockiego, Henryka Wodzickiego, Franciszka Paszkowskiego, z *Czasem* zostawał w stałych i wiernych stosunkach — a gdy później na sejmach poddmuchnięto jakieś współzawodnictwo czy antagonizm wschodniej do zachodniej Galicyi, Krzeczunowicz bywał ogniwem, łączącem konserwatystów podolskich z Krakowianami.

Wspominając tego męża wielkich zasług, niezrównanej gorliwości, wysokiego rozumu i szlachetnego charakteru — ale nie wolnego od zewnętrznych oryginalności—niech mi będzie wolno przytoczyć własne wspomnienie. Piszący próbował praktyki urzędowej w kancelaryi sejmowej marszałka ks. Leona Sapiehy, po skończonej długiej sesyi sejmowej 1866 r. Książę marszałek namyślał się, do jakiego biura Wydziału Krajowego swego praktykanta przyłączyć—Maurycy Kraiński radzi, że najlepiej do Kornela Krzeczunowicza. „Ależ niepodobna — zauważył książę Leon — on jedynak wdowy, a pan Kornel już trzech swoich sekretarzy nadmiarem pracy na tamten świat wyprawił“. — „Przepraszam — woła obecny temu p. Kornel — tylko dwóch umarło, trzeci zwaryował!“....

Wróćmy do *Czasu.* Oprócz tych memoryałów, przeważnie opracowywanych we Lwowie, oprócz dość gęsto nadsyłanych listów z prowincyi o sprawach i biedach krajowych— głuche w tych rocznikach milczenie o jakiejś polityce krajowej. Nawet korespondencye z Wiednia rzadkie i czcze, wobec mnogich i zajmujących korespondencyj zagranicznych. Inaczej być nie mogło w owych czasach.

Lecz francuzkie przysłowie, że „ton robi piosenkę“, zastósować można i do milczenia. Bywa milczenie jakieś ponure, pełne niechęci i beznadziejne, milczenie, które się przerwie kiedyś wybuchem namiętności; ale bywa milczenie oczekiwania, skupienia wewnętrznego, przygotowywania się do akcyi dodatniej w danej chwili. Takie jest w owych latach milczenie *Czasu.* W gronie ludzi go otaczających dojrzewają w ciszy myśli, które, gdy nadejdzie właściwa chwila, sformułują się w program dodatni. Choć straszne widmo 1846 r. budziło ludzi po nocach, z jutrzenki 1848 r. rozsnuły się pewne złote nici, a znów kiedyś może przyjść chwila, że się z nich jakaś nowa rozwinie przędza.

Gdy ucisk mikołajowski za kordonem równoważył się z uciskiem bachowskim, zachodziły atoli ważne różnice; tam już było prześladowanie religijne, wywiezienie biskupa Gutkowskiego, gnębienie Unitów białoruskich i tyle innych oznak schizmatyckiej tendencyi. Austrya, w której także umiano wywozić biskupów, jak Skórkowskiego, a Czechów i Węgrów nasyłać na probostwa, kanonie ibiskupstwa — teraz zawiera konkordat z Rzymem. Konkordat ten przyjmuje *Czas* z uznaniem, a jego rozbiorowi poświęca kilkanaście numerów dziennika. Konkordaty bywają dla Kościoła tylko *malum necessarium,* nie obywają się bez ważnych zasadniczych ustępstw, ale tworzą *modus vivendi,* który reguluje na długie często lata stosunek władzy świeckiej z władzą duchowną. Konkordat austryacki nie stał ponad krytyką, ale miał te dobre strony, że wzmacniał władzę biskupów, dawał podstawę prawną kościelnej dyscyplinie, zapewniał wpływ Kościoła na szkołę. Było to bądź co bądź obalenie józefinizmu w jego podstawach, choć szkoła, którą józefinizm stworzył, jeszcze długo dawała się uczuwać. Konkordat nie był dziełem popularnem — uchodził za akt reakcyi; obrona za-

sad konkordatu, choć nie bez krytyki w rozbiorach *Czasu*, rzuciła na dziennik pierwszy cień niepopularności, jako organu klerykalnego. Równocześnie Rosya przeprowadza konkordat z Watykanem. *Czas* przyjmuje go bardzo nieufnie, wypowiada obawy podstępu, przewiduje, że ten konkordat, dla celów dyplomatycznych zawarty, dotrzymanym i przeprowadzonym nie zostanie.

Pozostaje inna różnica — różnica materyalnego bytu na korzyść stosunków zakordonowych, i pozostaje ten jeden pociąg wiejskich polityków galicyjskich do panslawizmu, że pod rządem rosyjskim jak się cicho siedzi, to się ma spokój, a małe płaci podatki. Tym obrachunkom i pociągom przeciwstawia *Czas* całą sferę idei, które nas łączą z Zachodem.

Nieraz się to i nie podobało—mianowicie, gdy w r. 1854 ogłoszono dobrowolną w Austryi pożyczkę — ów panslawizm podatkowy galicyjski wzmógł się znacznie, ale pożyczka mimo cichych szemrań w Galicyi się powiodła, a ludzie wielkiej fortuny dali tu przykład pewnej ofiarności, której z pewnością nie składali z jakiegoś serwilizmu, lecz dla myśli dalej sięgających. W liście subskrypcyj spotykamy tam bardzo wysokie sumy z podpisami przyjaciół *Czasu*, jak Adam Potocki, Leon Rzewuski, Jerzy Lubomirski, Władysław Sanguszko — nie mówiąc już o tych, którzy mieli oddawna stanowisko lojalności i względy dworskie, a w kraju uchodzili za t. zw. „Schwarzgelberów", jak Kazimierz Lanckoroński Kazimierz Starzeński, Kajetan Lewicki, Wit Żeleński.

Cesarz przybywa po raz drugi do Krakowa w r. 1857— i spędza trzy dni. Przyjęcie nie oficyalne tylko, ale jakieś serdeczne i od tłumów i od zjazdu obywateli—znać w niem, że ludzie polityczni i ogół umie odróżnić system od monarchy. *Czas* umieszcza artykuł pełen godności, ale nie sztywny, bez alluzyj, jak i bez pochlebstw. Do tych symptomatów jakiegoś instynktowego zbliżenia zaliczyć należy, że młody Cesarz oddaje swego brata arcyksięcia Karola Ludwika do Lwowa, aby tam pod kierunkiem hr. Gołuchowskiego nabrał wiadomości administracyjnych, aby poznał się z krajem, a do nauki języka i historyi polskiej dla brata cesarskiego wybrano naszego historyka Maurycego Dzieduszyckiego. Wiadomo, jak życzliwe i wierne wspomnienia dla

kraju i narodowości polskiej wyniósł Arcyksiążę z tego kilkoletniego pobytu we Lwowie. W tym kierunku hr. Gołuchowski, którego wpływ wzrastał, zrobił wszystko, aby sfery dworskie zbliżać do kraju. Arcyksiążę Karol Ludwik wierną przyjaźnią odznaczał do śmierci rodziny Gołuchowskiego i Dzieduszyckiego, a niezmierną okazywał życzliwość dla naszego kraju. Inni Arcyksiążęta odwiedzali często hr. Kazimierza Starzeńskiego w Górze Ropczyckiej, a hr. Wita Żeleńskiego w Brzesku.

Praktyczne rezultaty w kierunku ekonomicznym tego zwrotu nie dały na siebie czekać, choć były niedostateczne, aby wynagrodzić zubożenie kraju, które od wielu lat zdawało się być programem rządowym.

Książę Leon Sapieha we Lwowie podejmuje na tem polu wielokrotnie ważną inicyatywę i wytrwale za poruszoną sprawą w Wiedniu chodzić umie. Gdy Towarzystwo Kredytowe, skrępowane gwarancyą sejmów stanowych Galicyi i Bukowiny, nie może organicznie się rozwinąć, aby wzmagającym się potrzebom ziemian odpowiednio zadość uczynić – książę Leon wraz z wice-prezesem Towarzystwa, Kazimierzem hr. Krasickim, daje początek Kasie Oszczędności we Lwowie, która była pierwszą w kraju.

Następnie jego to zasługą, że budowa kolei wzdłuż Galicyi z Krakowa do Lwowa przechodzi w ręce krajowców i na krajowych opiera się kapitałach. Niepodobna nam wchodzić we wszystkie fazy tej sprawy, którą *Czas* od swego założenia gorliwie i specyalnie się zajmuje.

W wytknięciu linij kolejowych były wrogie tendencye polityczne, wychodzące nie z samego tylko Wiednia, a zwrócone w tym duchu, aby Kraków, o ile się da, zostawić na uboczu, aby linię, łączącą Wiedeń z Warszawą, oddalić od starej stolicy polskiej, aby za punkt styczny trzech mocarstw rozbiorowych a bramę wjazdową do ziem polskich wybrać piaszczystą pustynię, jaką jest Szczakowa. O tem dużo pisano w *Czasie*, poruszając kwestye handlowo-ekonomiczne, interesa kraju i miasta, ale bezskutecznie. Obecnie sprawa kolei galicyjskich znajduje w naszym dzienniku najgorliwsze poparcie, uwieńczone skutkiem.

Koncesya, przyznana konsorcyum polskiemu, które tej linii nadaje imię „Arcyksięcia Karola Ludwika“, owego „polskiego Arcyksięcia“, jak go później miano nazywać w Wiedniu.

W konsorcyum biorą udział wszyscy zamożniejsi obywatele obu części kraju. Gdy pierwsza część tej linii z Krakowa do Dębicy została otwartą, odbył się zjazd w Krakowie i wielki bankiet.

Na bankiecie tym był obecny świeżo mianowany wice-gubernator zachodniej Galicyi Henryk hr. Clam-Martinitz, którego nominacya po hr. Mercantinie sympatycznie została przyjętą.

Na bankiecie pierwszy toast na cześć Cesarza wniósł ks. Leon Sapieha, następnie Paweł Popiel zdrowie inicyatora i prezesa księcia Leona, wspominając owe czasy, gdy równocześnie Sapieha pod Lubeckim, Popiel pod Mostowskim zaprawiali się do służby publicznej w Warszawie. Wincenty Kirchmajer pił na cześć gubernatora i wice-gubernatora, na co bardzo serdecznie odpowiedział hr. Clam, zapewniając o szczerej życzliwości rządu dla popierania dobrobytu kraju i jego ekonomicznego rozwoju. Pięknym był toast Adama Potockiego, zwrócony ku wschodniej części Galicyi, z affirmacyą jednolitości i solidarności kraju, z powitaniem dla współobywateli wschodnich, z którymi zbliżać nas będzie do wspólnej, łącznej pracy ta linia żelazna. Edward Stadnicki zakończył zdrowiem księżnej Leonowej z Zamoyskich Sapieżyny.

Na jednem z poufnych zebrań Kazimierz Starzeński, który lubo odrębną szedł drogą, więcej z dworem wiedeńskim złączony i z *Czasem* nie miał bliższych stosunków, lecz zawsze odznaczał się wysoką szlachetnością — rzekł do grona założycieli: „Panowie! mamy w kraju człowieka, który odznacza się rozumem i charakterem—ale jest ubogi, chorowity i ciężko pracuje, oddając ważne krajowi usługi—wnoszę, abyśmy między sobą podpisali pewną ilość akcyj na imię Maurycego Manna“.

Myśl gorące znalazła przyjęcie, gdy zabrał głos Wincenty Kirchmajer, dziękując Starzeńskiemu za ten akt uznania dla redaktora dziennika, którego on jest właścicielem, a zarazem dla jego osobistego przyjaciela—tej ofiary jednak

nie przyjmuje, gdyż zadaniem jego i obowiązkiem będzie zabezpieczyć warunki bytu i przyszłości człowiekowi tych zasług.

Mann podówczas chory był we Włoszech – i przez długie lata nie wiedział wcale o pięknej inicyatywie Starzeńskiego, którą Kirchmajer odrzucił—a nigdy o tem Mannowi nie wspomniał. Szczegół ten przytaczamy, gdyż był to jedyny wypadek, w którym jeden z redaktorów *Czasu* miał otrzymać materyalny dowód uznania za prace dla dobra kraju, lecz i w tym wypadku ta nagroda chybiła.

Obok budowy nowej kolei najpierw z Krakowa do Dębicy, następnie do Lwowa, zajmuje umysły przygotowująca się sprawa założenia Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń. Przez kilka lat sprawa ta natrafia na trudności, bo w sekcyach ministeryalnych w Wiedniu przyczaja się ustawicznie ten duch nieufności, że wszelka instytucya krajowa, na własnych społeczeństwa siłach oparta, jest rzeczą niebezpieczną, stanowi podstawę organizacyi i zjednoczenia, któremu przeszkadzać z zasady należy.

Coraz silniej budzące się życie objawia się w liczniejszym udziale w naradach Towarzystwa Rolniczego, pod prezydencyą pułkownika Michała Badeniego i wice-prezydenturą Henryka Wodzickiego. W parę lat żywsze jeszcze uderzy tu tętno, gdy Towarzystwo Rolnicze w Warszawie stanie się tam głównem centrum prac społecznych.

Oto mniej więcej wyczerpaliśmy całą kronikę krajową *Czasu* z owych lat, poprzedzających zmianę systemu politycznego w monarchii.

Wyczekujące stanowisko *Czasu* nabierało teraz podniety w dyskusyach politycznych, gdy w nich brał chętnie udział nowy zastępca namiestnika, hr. Henryk Clam-Martinitz. Jego wysłanie do Krakowa było oznaką zwrotu w sferach arystokracyi wiedeńskiej — nie było to już to uprzedzenie, pełne niechęci, jakiem się odznaczał ks. Feliks Schwarzenberg i jego otoczenie — ludzie szerszych poglądów dojrzewali i szukano teraz zetknięcia, którego dotąd unikano, z panami i szlachtą galicyjską. Hr. Clam, choć ścisły wykonawca systemu, nie taił w pogadankach z Potockim, Wodzickim, Popielem i Mannem, że jest przeciwnikiem centralizacyi. Otwarły się salony w pałacu Spiskim, gdzie pełna uroku gospodyni domu sta-

rannie oddzielała świat urzędniczo-wojskowy od gości polskich, którym oddawała szczególniejsze honory. Jako jeden z symptomatów, był ów słynny kulig u księstwa Sanguszków, w którym hrabina Clam nosiła strój krakowski starościny weselnej. Mann wszedł w kółko poufniejszych znajomych nowych mieszkańców pałacu Spiskiego i podobno nie był obojętny na wdzięki uroczej gospodyni.

Reakcya sfolgowała — i sfolgowała cenzura.

Kirchmajer w przystępie dobrego humoru, gdy dochody drukarni sowicie pokrywały niedobory dziennika, uległ namowie Siemieńskiego, aby założyć *Dodatek miesięczny do Czasu.*

Pismo to zbiorowe miało istnieć lat pięć — od r. 1855 do r. 1860.

Pierwsze to było przedsięwzięcie miesięcznika literackiego w Galicyi. Istniała *Biblioteka Warszawska*, a jej sesye u Leona Łubieńskiego miały sławę punktu zbornego ludzi pióra. X. Jan Koźmian, świeżo wyświęcony, zakłada *Przegląd Poznański* — niemal równocześnie Julian Klaczko z Waleryanem Kalinką rozpoczynają publikacyę *Wiadomości Polskich.* W Wilnie przestało właśnie wychodzić *Ateneum*, pod redakcyą Kraszewskiego i Michała Grabowskiego.

Współczesność tych pism zbiorowych nie jest bez znaczenia w ruchu literackim. Wielcy poeci powoli zawieszali swe lutnie. Pierwszy Słowacki zamilkł na wieki—przerażająca ze Wschodu nadchodzi wieść o zgonie Mickiewicza — Krasiński coraz więcej ulega postępom choroby i cierpieniom moralnym. Okres wieszczów się kończy — pozostali poeci zwolna cichną, poezya sama już nie wystarcza. Żywszy objawia się ruch na polu historyi, powieści, pamiętników i krytyki. Mnóstwo rzeczy i zdarzeń jest do opowiedzenia, mnóstwo spraw do przestudyowania. Objawia się potrzeba ognisk dla życia literackiego. W Galicyi zadanie nie było łatwem, a tem bardziej potrzebnem, że nie bez powodu złą miała Galicya sławę pod względem zamiłowania do książek — czytano tu i kupowano książek o wiele mniej, niż w dzielnicach sąsiednich. Tej sławy Galicya jeszcze dotąd sobie nie poprawiła! O Krakowie mawiali ci, co tu przybywali z Warszawy, iż jestto miasto, gdzie co miesiąc, co ty-

dzień, codziennie przepada bez echa i śladu wiele rzeczy pierwszorzędnych, które gdzieindziej wstrząsałyby publicznością czytającą i słuchającą. Statystyka prenumeratorów i kupujących, gdzie indziej dająca miarę wartości pisma i autora, u nas często do niej stoi w odwrotnym stosunku. Podobno Buloz nie chciał wierzyć Klaczce, że jego pismo polskie ma 100 prenumeratorów, mniemając, że chyba 100.000. *Dodatek do Czasu* czy o wiele pozostał w tyle pod względem prenumeratorów za dzisiejszym *Przeglądem Polskim* — nie śmiałbym zapytać, aby bolesnej nie popełnić niedyskrecyi — a jednak trzydzieści lat od tej pory minęło i Galicya wreszcie powinna była nauczyć się czytać.

Siemieński z zapałem zabrał się do dzieła — oddawna nie zdołał on pomieścić w felietonie, co się garnęło do szuflady stołu redakcyjnego. W „przeglądach literackich“ dawał obraz współczesnego ruchu literackiego u nas i zagranicą, a czynił to, jak on to czynić umiał. Mann zamiast „przeglądów politycznych“, do każdego miesięcznika pisał osobny traktat z dziedziny politycznej. Artykuły takie, jak *Państwo i self-government, Państwo i opozycya, Walka z opinią, Koran i schizma, Polityka i dyalektyka* — nie straciły na znaczeniu zasadniczem i dziś do nich sięgnąć warto.

Gdy praca niniejsza zbyt rozciągle przybiera rozmiary, niepodobna, jakby należało, wydobywać to wszystko, co te 20 tomów *Dodatku* zawierają.

Wymieńmy ważniejsze rzeczy i znane nazwiska.

Ignacy Domeyko z Chili daje dyaryusz swej podróży za Kordyliery i pierwsze wrażenia tego świata tak odległego, gdzie wileński filaret zapalić miał pochodnię oświaty.

Jenerał Załuski, jeden z najwymowniejszych narratorów wojskowych, daje *Wspomnienia pułku lekkokonnego z 1812 r.* i układa odpowiedź na tendencyjne pomijanie polskich żołnierzy i polskich jenerałów w *Historyi* Thiersa. *Zapiski ornitologiczne* Kazimierza Wodzickiego miały niezmierne powodzenie, gdy autor obserwacye natury i życia ptaków urozmaica wycieczkami w społeczność ludzką i barwnie dotyka kwestyj psychologicznych i socyalnych. Te zapiski, przedrukowane dziś i ozdobione illustryacyami, byłyby jeszcze bardzo ponętną i pełną artystycznej woni książką. Stary kasztelan

Koźmian w *Dodatku do Czasu* umieszcza *Żywot Księcia Jenerała,* a jego syn Andrzej opisuje ostatnie chwile Zygmunta Krasińskiego. Z powieściopisarzów spotykamy tu J. I. Kraszewskiego, Mikołaja Antoniewicza, Ignacego Chodźkę, Leona Kaplińskiego, Konstantego Gaszyńskiego, Fryderyka Skarbka i mało w Polsce znanego, a cenionego w Niemczech, Bronikowskiego.

Z poetów bywają fragmenty niedrukowane dotąd Słowackiego, Mickiewicza i Krasińskiego; jenerał Morawski i kasztelan Wężyk odzywają się w tonie klassycznym—obok najbardziej ekscentrycznych poezyj Cypryana Norwida, nigdy nie pozbawionych bujności myśli. Wincenty Pol drukuje tu *Wita Stwosza*, Syrokomla *Jana Dęboroga*, X. Chołoniewski sonety, Lenartowicz odzywa się do wtóru. Z młodszych Faleński swe poezye na temata greckie, Pajgert przekłady z Byrona, wreszcie Szujski *Poważne chwile* i *Halszkę z Ostroga* umieszcza.

Słuszną dumę wydawców *Dodatku* obudzić mógł fakt, że im przypadło podać po raz pierwszy do druku jedną z najgłębszych prac słynnego myśliciela, Józefa de Maistre. Rzecz tak się miała. Poseł sardyński na dworze petersburskim, który, jak wiadomo, wywierał silny wpływ na umyśle Aleksandra I, zagadnięty raz został przez cesarza, jak przyśpieszyć zniesienie niewoli i usamowolnienie włościan w Rosyi i w jaki sposób zreformować wychowanie publiczne.

W odpowiedzi na te pytania J. de Maistre napisał cztery memoryały poufne. Jeden egzemplarz wręczył cesarzowi, drugi powierzył jenerałowi Jezuitów O. Brzozowskiemu, który poznawszy kiedyś na Białorusi młodego Leona Rzewuskiego, ową kopię mu oddał. Przez Rzewuskiego dostały się te memoryały do *Czasu* w pół wieku po ich napisaniu. Nie schlebiał autor *Wieczorów petersburskich* dumie narodowej rosyjskiej w tych memoryałach. „Wy nie znacie ducha chrześciaństwa, tylko przybraliście jego skostniałą skorupę. Wszędzie, gdzie chrześciaństwo nie przeistoczyło do gruntu społeczeństwa, tam niewola jest koniecznym warunkiem bytu państwowego. Dopokąd Rosya nie pozna prawdziwej wiary, nie wsiąknie w nią moralność katechizmu, nie wpłynie wyższy duch miłości bliźniego, jak ją prawdziwy Kościół pojmuje,

usunięcie niewoli byłoby wielkiem niebezpieczeństwem. Wtedy powstanie osobna, specyalnie rosyjska rewolucya, która się będzie nazywać *le rienisme*, czyli znicestwienie, bo żeby pochłonąć przepaść, trzeba otworzyć jeszcze większą przepaść bez dna". Czyliż ten pessymistyczny pogląd nie jest istną wróżbą rosyjskiego nihilizmu—wszak nihilizm to *rienismu* synonim?

Memoryał o wychowaniu publicznem mieści niemniej głębokie poglądy o stósowaniu miary oświaty do natury i warunków każdego społeczeństwa, że światło ma ten sam pierwiastek, co ogień, może oświecać, ogrzewać, ale także palić i niszczyć, gdy to światło nie ujęte w lampę odpowiednią warunkom komnaty, w jakiej ma świecić.

Wiadomo nam zkądinąd, że książę Adam Czartoryski, który zwykle uczestniczył w dyskusyach cesarza Aleksandra z Józefem de Maistre, lękał się jego pessymistycznych i wstecznych poglądów, aby one nie oddziałały szkodliwie na los szkół publicznych na Litwie i Wołyniu. De Maistre przyrzekł Czartoryskiemu, choć często z nim się różnił w zdaniach, że nic nie powie takiego, coby zagrażało zakładom naukowym w krajach polskich, bo „wasz stopień moralny znosić może bezpiecznie wyższą miarę oświaty". Z *Czasu* dopiero memoryały de Maistre'a o Rosyi przedrukowane zostały we Francyi.

Zgubilibyśmy się w szczegółach biograficznych *Dodatków* i feiletonów *Czasu* — wróćmy do polityki.

Polityka europejska, przedmiotowo badana według dyplomatycznych konjunktur, bez nakręcania do narodowych pragnień i marzeń, choć z baczną uwagą, co zwiastować złego lub dobrego nam może — to nowość w publicystyce polskiej.

Polityką europejską, obok muzyki i teatru, zajmowano się w prasie warszawskiej i niezwykłą już wówczas okazywał biegłość w rozwiązywaniu najzawilszych węzłów Józef Kenig, lecz warunki cenzuralne wytworzyły tam osobny system analogii i alluzyi. Zajmowano się wielką polityką w Paryżu, a w Hotelu Lambert istniał prawdziwy gabinet dyplomatyczny, którego archiwum, dotąd zamknięte, odkryje kiedyś przejmujące tajemnice poświęcenia, zabiegliwości i złu-

dzeń..... Lubiono wielką politykę w kraju, a im większa tutaj panowała cisza i bezczynność, tem dalej sięgano w najśmielszych przewidywaniach. Każda prowincya, niemal każda parafia miewała wielkiego dyplomatę, „ministeryalną głowę“—jak mawiano wówczas — który nie wahał się pisywać memoryałów ze swego zakątka to do Palmerstona, to do cesarza Napoleona III. W. Ks. Poznańskie i Galicya posiadały parę takich typów, przypominających „szlachtę na winie“ Wincentego Pola, lub mickiewiczowski zaścianek Dobrzyńskich.

Francuzi już stoją nad rzeką Łososną,
A wojna jeśli będzie, to chyba aż z wiosną.

I rzeczywiście od owej wiosny 1812 r. nie było podobnej konstellacyi, jak ta przed wojną krymską. Kometa, jak wówczas, ukazała się na niebie i przy jej świetle odczytywano gorączkowo ostatnie wiadomości *Czasu* z pola walki, gdy posłaniec z poczty spóźnił się wieczorem. Anglia z Francyą odwiecznych zapominają nienawiści. Przymierze zachodnie w miejsce Św. przymierza, koalicya, wojna.....

Jakkolwiek o nas nigdzie niema wzmianki—ani w notach gabinetowych, mowach ministrów, ani nawet w owych broszurach, jakie tak często wypuszczano na zwiady z Tuileryów, jak gołębie z arki Noego — o miejscach świętych, o utrzymaniu „chorego człowieka“, opiece nad chrześcianami w Turcyi, kwestye handlowe i żeglarskie, wszystko poruszano, tylko o tej jednej sprawie nie było wzmianki. Optymizm naszej opinii umiał to zawsze na dobre tłómaczyć i wyczytać ze sfinksowego oblicza Napoleona III zamiar spełnienia tego, czego się nie imał Napoleon I, a co miał na wyspie Św. Heleny wspominać, jako główny swój błąd.

Gdy wojna wybuchła—po świetnych dniach Jnkermanu, Silistryi, Bałakławy—nastały długie miesiące wyczekiwania, niemal rok cały oblężenia Sebastopola, lecz wyobraźnia polityków miejskich i wiejskich zaspakajała się wyprawą Napiera na Bałtyk, okkupacyą księstw naddunajskich przez wojska austryackie.

Zdawało się niewątpliwem, że tak wielkie przedsięwzięcie skojarzonych mocarstw nie może zadowolnić się zburze-

niem jednej fortecy i zamknięciem Dardanellów okrętom rosyjskim, jako jedynym rezultatem.

Mann bada wszystkie dyplomatyczne fazy zawikłań, poprzedzających wojnę, kwestyj będących przedmiotem sporu, które w świeżo odbytej podróży na Wschód poznał do głębi. Chrzanowski zapisuje strategiczne obroty.

Możnaby złożyć dokładną historyę wojny krymskiej od początku aż do zawarcia traktatu paryskiego z dwóch roczników *Czasu* i artykułów specyalnych w *Dodatku do Czasu* pióra Manna.

Mann był publicystą na wzór zachodni, a przyznać należy, że jeśli monarchia lipcowa obfitowała w pierwszorzędnych mowców, jakich już potem z trybun parlamentarnych nie miano usłyszeć, to za drugiego cesarstwa publicystyka francuska zajęła pierwszorzędne miejsce i doszła do szczytu, z którego nagle miała spadać. Dość wspomnieć Emila Girardin w *La Presse*, redaktorów *Journal des Débats*, gdzie obok historyka rewolucyi i dzieła o demokracyi w Ameryce, Tocquevilla, naprzemian przemawiają Saint Marc Girardin, John Lemoine i Prévost-Paradol; w *Revue des deux Mondes* przeglądy dwutygodniowe pióra Mazade'a lub Forcade'a, a wobec tych publicystów na krój akademicki Ludwik Veuillot w *Univers*, z cytatami Ewangelii lub Ojców Kościoła, rzuca się w tę arenę nawpół pogańską publicystycznych zapasów i miota gromy szyderstwa, oraz błyski najwznioślejszych prawd. Nigdy może nie umiano z tem mistrzowstwem zmieniać na drobną monetę artykułu dziennikarskiego lub polemiki najtrudniejszych problematów ekonomii politycznej, nauk społecznych, dyplomacyi, prawa narodów, historyi, filozofii i teologii. Ilekroć zaś Napoleon III zamierzał poruszyć jedną z kwestyj europejskich, pojawiała się broszura z podpisem La Gueronniere'a.

W tej epoce sztuka dziennikarska wytwarza dwa typy: dzienników poglądowych z artykułami rezonowanemi, i dzienników czysto informacyjnych, idących na wyścigi w obfitości doniesień bezkrytycznych. Prototypem pierwszego rodzaju jest *Journal des Débats*, drugiego w ślad angielskiego *Timesa*, *L'Indépendance Belge*. Niezmiernie do rozwinięcia indywidu-

alizmu publicystów francuskich przyczyniło się osobne prawo o podpisywaniu artykułów.

W Niemczech zawsze pierwsze zajmuje miejsce, a może jedyne pod względem wszechstronności, *Gazeta Augsburska*, ale ten organ profesorski podaje wówczas codziennie po kilka arkuszy rozpraw i studyów z obfitemi *Beilagami* naukowo-literackiemi. Czytało się *Gazetę Augsburską* jak książkę, jak Encyklopedyę o rzeczach współczesnych—wyrywało się z ręki dzienniki francuskie, bo z nich tryskało żywe słowo chwilowych wrażeń, namiętności, tendencyj.

Wspominamy mimochodem o tym współczesnym rozwoju publicystyki francuskiej, bo ono nie minęło bez wpływu na rozwój *Czasu*. „Francuzi północy“, jak nas nazywają, jeśli kiedy, to za drugiego cesarstwa żyliśmy atmosferą kulturalną Paryża. Gdy przeciw francuszczyznie Stefan Witwicki podniósł kampanię w *Wieczorach pielgrzyma*, ktoś mu zrobił uwagę, że od Sobieskiego, hetmana Jabłonowskiego do księcia Józefa Poniatowskiego, francuszczyzna w mowie i w przywyknieniach nie wstrzymywała nigdy polskiego bohaterstwa, ani nie ziębiła polskiego patryotyzmu. I Kraków w owych czasach miał z Francyą i Paryżem ustawiczne związki, bądź przez emigracyę, podróże, bądź przez książki i dzienniki. Maurycy Mann miał francuskie wychowanie, lepiej i swobodniej po francusku, niż po polsku pisał, a dla swego dziennika szukał wzorów w Paryżu. Nie co do tendencyi często anti-chrześciańskiej, lecz co do metody traktowania spraw, obrał on dla *Czasu* wzór *Journal des Débats*. Z Ludwikiem Veuillotem w blizkich osobistych zostawał stosunkach, odwiedzając redakcyę *Universa* w Paryżu, spotykając znakomitego szermierza sprawy Kościoła w Rzymie. Obaj bracia Veuillot i cały szereg dziennikarzy katolickich utrzymali blizkie związki z Polakami i nie wahali się nigdy każdy nowy zamach i nowy ucisk, wywierany na katolików polskich, światu katolickiemu obwieścić.

Paweł Popiel z lat swych uniwersyteckich przed r. 1830, z udziału swego w redakcyi dziennika *L'Avenir* zachował liczne stosunki przyjaźni, które wbrew błędnemu a rozpowszechnionemu mniemaniu o niestałości francuskiej, zamieniają się w węzeł przyjaźni, często kilka obejmujących ge-

neracyj, jeśli są oparte na wspólności zasad. Takie same stosunki zawarł Mann w Genewie, w Paryżu i w Rzymie, stosunki te stale utrzymywał i w nich czerpał w swej publicystycznej pracy podnietę do obrony wspólnych interesów Kościoła i chrześciaństwa, a zarazem znajdywał środki i drogi do poruszania spraw religijnych naszego narodu.

Od początku stulecia po koniec drugiego cesarstwa, ruch ten myśli katolickiej w literaturze i umysłowości francuskiej przebywał rozmaite fazy i wydawał świetne dzieła, promieniste postacie. Zaczyna się to gdzieś od Chateaubrianda ewolucyą w sferze literackiej, potem idą tak potężni myśliciele, jak Józef de Maistre, Bonald, a gdzieindziej Donoso Cortes i Balmes. Potem za monarchii lipcowej cały zastęp mowców, mężów stanu, świetnych pisarzy, myślicieli, przeprowadza wspólnemi siłami zasadniczą zmianę, kruszy resztki ducha gallikańskiego, lecz gdy ideę katolicką wyzwala z kilkowiekowych powijaków narodowej odrębności, gdy wspólnie stawia sprawę Kościoła na uniwersalnym gruncie rzymskim, wnet mają zaznaczyć się różnice i rozdziały. Ustaliły się nazwy, niezbyt ściśle określające te różnice według podziałów na szkołę ultramontańską i szkołę liberalną. Ultramontanami byli ci wszyscy, co zerwali z gallikanizmem, a więc Lacordaire, Montalembert, de Falloux, zarówno jak bracia Veuillot i arcybiskup Pie. Różnica z czego innego płynęła. Lamennais pozostawił po sobie, nawet wśród tych, którzy się cofnęli i opuścili go na drogach buntu — owo marzenie, aby się wyzwolić z tego wszystkiego, co łączyło ustrój Kościoła ze starym porządkiem, a szukać środków ujęcia nowych prądów w łożysko chrześciańskie. Dążenie wzniosłe, odpowiadające syntetycznej naturze Kościoła i prawd objawionych, bo Kościół nie powinien iść na monopol lub wyzysk tych lub innych przemiennych form polityczno-społecznych, stronnictw i szkół — lecz dążenie naprzód zbyt spiesznie zwrócone, wiedzie częstokroć do innych niebezpieczeństw. Szkoła ówczesnych liberałów francuzkich uległa złudzeniom co do natury i wartości liberalizmu, co do rzekomych rękojmi form parlamentarnych, popadła w zupełny błąd filozoficzno-dogmatyczny, gdy zasady 1789 r. stawiała tak wysoko, iż dla nich szukała kompromisu z Ewangelią. Po-

dobne niebezpieczeństwa w tym samym szlachetnym popędzie zdobycia dla prawd wiary nowego świata, mieszczą w sobie pewne kierunki dzisiejszej demokracyi chrześciańskiej i chrześciańskiego socyalizmu. Prawd absolutnych na świecie jest bardzo mało, są niemi tylko prawdy objawione i prawdy matematyczne: dogmaty katolickie i „dwa a dwa cztery“. Wszystko inne jest tylko względne – ma swoje znaczenie w historycznych ewolucyach, w zwrotach myśli ludzkiej. Względność ich zawisła od miejsca i czasu — to, co było dobrem przed pół wiekiem, to nie wytrzyma dziś egzaminu, zegary Paryża lub Londynu wskazują inną godzinę, niż zegary Wiednia lub Warszawy.

Jedną z największych trudności dla dziennikarza katolickiego—mówię to z własnych doświadczeń — stanowi to, jak on w głębi umysłu i we własnem sumieniu ustalić może ową relatywność prawd względnych, chwilowych, problematów, jakie czy to doktryna naukowa, czy system polityczny, czy prąd idący z dołu z sobą na dziś przynosi — do owych stałych punktów, gwiazd i słońc prawd wiary.

Liberalizm był o wiele szlachetniejszy temu 50 lub 40 lat wstecz, niż jest dzisiaj, obiecywał wiele dobrego, dawał pewne rękojmie duchowe; a jednak zbłądzili zasadniczo ci, co przyjmowali jego doktryny i formułki bez zastrzeżeń, a jego dążenia i ideały stawiali niemal na równi z tryumfem Kościoła.

Prawda katolicka jest tak wysoka, a zarazem tak szeroka, że nie powinna wchodzić nigdy w zrównania pewnych danych z dziedziny polityki, ekonomii, socyologii. Katolicki myśliciel i katolicki publicysta winien ją zachowywać jako najwyższe kryteryum i czynnik, oświecający i uzupełniający ludzkich myśli i ludzkich uczuć różnice i niedostatki.

Rozdział, jaki wówczas tak silnie występował w świecie katolickim francuzkim wielkich pisarzy i myślicieli, znakomitych biskupów i kaznodziei na dwa obozy — dałby się sprowadzić do różnic raczej psychologicznych, niż zasadniczych.

Od de Maistre'a padał jakiś głęboki cień pessymizmu na rozpoczynający się rozwój kulturalno cywilizacyjny w duchu Wielkiej Rewolucyi, przewidywał on wszystkie jego mo

ralne bankructwa, przepowiadał kataklizmy. Ten sam pessymizm, posunięty do uczucia pogardy dla naszego stulecia, przenika pióro Ludwika Veuillota.

Przeciwnie, jakiś promienisty optymizm, jakby zapożyczany od współczesnych poetów romantyczno - mistycznych, wieje z kazań Lacordaire'a, z mów Montalemberta, prac Ozanama, z dzieł O. Gratry i Augusta Cochin, z filozofii Nicolasa, z akcyi politycznej ministra de Falloux, z akcyi pasterskiej biskupa Dupanloup.

Zdawało nam się koniecznem dla zrozumienia ówczesnej chwili i tego, co w umysłach i sumieniach publicystów katolickich się rozgrywało, dotknąć i wyjaśnić pokrótce te przejścia i różnice, które miały trwać do soboru watykańskiego. Oddziaływały one silnie na kółko otaczające *Czas*. Pisarze wyżej wymienieni, kaznodzieje i publicyści, mieli tu nietylko gorących zwolenników, ale i osobistych przyjaciół. Każde nowe pismo, kazanie, *mandement* biskupie lub artykuł dziennikarski, dotyczący tych problematów, stanowił przedmiot ogólnego zajęcia i żywej dyskusyi na zebraniach wieczornych, którym Mann przewodniczył.

Popiel miał wspomnienia i pociągi, które go raczej zbliżały do odcienia liberałów katolickich, zachował je z udziału w redakcyi dziennika *L'Avenir*, ze ścisłej przyjaźni z Lacordairem, Montalembertem. Mann przeciwnie wychował się raczej pod wpływem dzieł de Maistra — miał o wiele mniej naturę zapalną i zdolną do porywów, niż Popiel i w gruncie rzeczy odczuwał wewnętrzną satysfakcyę, po odczytaniu smagających i „górskich“ artykułów Ludwika Veuillot. Lecz nigdy nie dzielił jego metody. „We Francyi — mawiał — dla zapewnienia powodzenia niezbędną jest gwałtowność, w Polsce, aby jakąś zasadę przeprowadzić, trzeba wiele miary, umiarkowania i spokoju“.

Te kwestye podniosłe, ale subtelne, łączące sferę wiary ze sferą czynu i myśli, nie bywały dostępne u nas dla ogółu. W całej Polsce wyliczyć możnaby na palcach te domy, w których oddziaływało z Rzymu i z Francyi to poruszanie wytycznych idei, podstawowych prawd, te zapasy w obozie katolickim, ten proces duchowy. W Wielkopolsce Turwia jenerała Chłapowskiego, Jurków Kajetana Morawskiego i Góra

Cezarego Platera, stanowiły te środowiska, gdzie się najpierw dostawała książka i dziennik katolicki, gdzie myślą wyżej i szerzej sięgano po za lokalną biedę, a uczucie patryotyczne dostroić się starano do dyapazonu wyższych katolickich zasad. W Królestwie ognisk takich było jeszcze mniej, a w Galicyi *rari nantes in gurgite vasto* błąkali się t. zw. ultramontanie, nie tworząc nawet jakiejś zjednoczonej grupy.

Tu Popiel z Rzewuskim i Mannem toczą dyskusye, tam Maurycy Dzieduszycki z Kalikstem Orłowskim i kilku zaledwie księżmi w kraju mają świadomość o tych nowych objawach współczesnego życia katolickiego. Wśród nich Zygmunt Golian, świeżo przybyły z Leodyum w Belgii, gdzie odbywał studya teologiczne z Wincentym Popielem, i z Rzymu, gdzie przebył kurs filozofii — wnosił na ambonę te odgłosy zasadniczych walk i świetnego ruchu w świecie katolickim. Kierunek ten nie odpowiada usposobieniu ogółu, który w lenistwie ducha zadawalnia się katolicyzmem obyczaju i tradycyi, nie przyjmując jego konsekwencyi.

Tradycyjna i obyczajowa religijność nie stawiała żadnej zapory przypływowi rozlicznych nowinek. Leon Rzewuski mawiał, że „jeśli słusznie dwory magnatów i dworce szlacheckie przyrównywnano do karczem i domów zajezdnych, to obecnie porównanie takie okaże się równie trafne w zastosowaniu do głów polskich — wczorajszego gościa wypędza dziś inny przybłęda, czy to nową teoryą, czy nową książką, która przewraca do góry nogami wszystkiemi pojęciami gospodarza domu“.

Mann miał wielki dar i wielką zasługę w tem właśnie, że cokolwiek dzień przynosił w zakresie polityki zewnętrznej, czy też, co ważniejsza, w problematach, dotyczących ustroju wewnętrznego—poddawał zawsze fakt czy doktrynę głębszej krytyce, pytał się w swem sumieniu i w umyśle o odpowiedź zgodną z zasadami wiary. Odpowiedź ta zawsze się znalazła, bo jeszcze opportunizm tak nie zawładnął, jak dziś, nad umysłami, a pisarze i publicyści katoliccy szukali wpierw zasady, niż skuteczności. Moglibyśmy całym szeregiem przykładów stwierdzić te studya, te poszukiwania publicysty katolickiego o ściśle oznaczenie drogi prawdy.

Była w tym względzie różnica między dwoma przyjaciółmi — umysł Popiela miał pewne wyrobione tory i formuły, które nadawały jego zdaniom formy doktryny, u Manna było więcej zdolności odcieni, i tego, co nazywano w czasach napoleońskich *la science des limites*.

Paryż drugiego cesarstwa oddziaływał na nas silnie. Imię Polski przestało być tem hałaśliwem hasłem i jaskrawem godłem każdego zaburzenia, jak to bywało za monarchii lipcowej – ale jeszcze pewien urok nas otaczał i sympatye ku nam się zwracały. Wziąć garść broszur z owej epoki, a wszędzie Polska z miłością wspominana, bez względu na barwę autora i stronnictwa. Nie tylko salony tuileryjskie zapełniały się w dniach balowych polskiemi pięknościami, ale i podwoje gabinetów cesarskich otwierały się łatwo to dla starego Księcia Adama, jego syna Władysława, jenerała Zamoyskiego, to znów dla Zygmunta Krasińskiego, który władcy Francyi rozwijał idee narodowości, jako podstawę przyszłego systemu państw i prawa międzynarodowego, to znów niekiedy dla przybywających z kraju. Hr. Walewski chętnie utrzymywał stosunki z Polakami. Arystokracya polska miała liczne związki na przedmieściu St. Germain — emigracya w obozach liberalnych, opozycyjnych i rewolucyjnych.

Świat naukowy i literacki Francyi, choć mało znał rozwój naszej poezyi i piśmiennictwa, to jednak z uznaniem i odszczególnieniem wchodził w styczność z polskimi pisarzami, od Mickiewicza do Juliana Klaczki, niektórych wcielał w swe szeregi, od ekonomisty Ludwika Wołowskiego do powieściopisarza Edmunda Chojeckiego. Magnetyczny wpływ Paryża olśniewał nas blaskiem wspomnień napoleońskich i nadziejami przyszłości, a inaczej, lecz niemniej silnie, oddziaływał na całą Europę, która regulowała zegary według paryzkiej godziny. Tryumfalne powroty wojsk po zwycięzkich kampaniach, wystawy powszechne, zjazdy monarchów, kongresy dyplomatyczne, przebudowania miasta według planów Hausmanna—wszystko, co tylko mogło zaspokoić żądzę wielkości i nowości, wszystko, co mogło podnieść Paryż na szczyt jako metropolię świata, to uczynił Napoleon III.

Mann częstym bywał w Paryżu gościem. Lubo nie szukał przystępu do sfer tuileryjskich, a trzymał się z uszanowaniem, ale w pewnem oddaleniu od Hotelu Lambert—miał liczne stosunki w świecie polskim i świecie francuzkim politycznym i literackim, czerpał u źródeł zasoby, któremi się dzielił w dzienniku.

Z Paryża droga zwracała się do Rzymu. Tam od niedawna Polacy zaczęli liczniej się garnąć i zdobyli sobie przystęp i ufność. Miewaliśmy tu przed wiekami poselstwa polskie, budzące podziw wspaniałością i przepychem, lecz to poselstwo, jakie tam istniało za Piusa IX, jaśniało gorącością uczucia i wyższością umysłową. Ubogi klasztorek św. Klaudyusza na *Vicolo del Mortaro*, i polskie Kollegium na *Salara vecchia* w pobliżu Colosseum, stały pod wodzą zakonników rycerzy. Nie miała Polska gorętszych miłośników, a Kościół rzymski wierniejszych sług, jak ci starzy założyciele Zakonu. O. Hieronim Kajsiewicz był przy narodzinach *Czasu* w Krakowie i zachował dla naszego dziennika uczucia ojcowskie. O. Piotr Semenenko od prac filozoficznych, przyrodniczych, historyozofii i teologii, odrywał pióro dla korespondencyj do *Czasu*, lub dla obszerniejszych prac, gdy chciał wytłómaczyć w kraju jaki problemat religijno-filozoficzny na tle epoki. Świetny stylista, właściwej sobie metody filozoficzno-mistycznej używał nawet w korespondencyach dziennikarskich, powtarzały się tu zwykle rozdziały na troistość i podobne metafory. Na dnie tych form retorycznych tkwiła mądrość niezwykła. O artykułach Semenenki mówić jeszcze będziemy, gdy dojdziemy do czasów soboru; tu naznaczamy, że O. Piotr był przez długie lata wiernym pośrednikiem między krajem a Rzymem przez swe listy do *Czasu* i stałą korespondencyę z Mannem. O. Aleksander Jełowicki odzywał się do *Czasu*, gdy chodziło o poparcie jakiejś biedy emigracyjnej. Pałac Odescalchich na Placu Apostołów zapełniony galeryą obrazów i dziełami sztuki, gromadził wieczorami w salonach księżnej Zofii z Branickich Odescalchi, przybywających z kraju z pierwszymi dygnitarzami świata watykańskiego. Księżna miała wysokie wpływy i wyjątkowe stanowisko — a wielki zapał w sprawach wiary i Kościoła łączyła z wielką gorliwością w rzeczach dotyczących Polski. Tu Maurycy Mann

zawarł ścisłą przyjaźń z Włodzimierzem Czackim, jeszcze świeckim. Natury to były pokrewne i umysły zbliżone, łącząc stanowczość zasad i miłość sprawy z pewnym duchem krytycznym, nie wolnym od sarkazmu i ironii. Tu było zetknięcie z odznaczającymi się życzliwością dla spraw Kościoła polskiego kardynałami, jak Reisach, Bianchi, zwłaszcza zaś kardynał Franchi, jeden z najbystrzejszych dyplomatów watykańskich, a wspólnik kierunku i wielu prac kardynała Czackiego. Leon Rzewuski spędzał zimy w Rzymie w pałacu swego szwagra, księcia Caetani Sermonetta, naczelnika opozycyi. I tę odwrotną, a bardzo interesującą stronę medalu poznawał Mann w tym typie ociemniałego patrycyusza rzymskiego, wielkiego artysty i myśliciela, który mając papieża, i to Bonifacego VIII w rodzie, marzył o przywróceniu przewagi oligarchicznych rządów za pomocą rewolucyjnych przewrotów.

Pominąć nie możemy dziennikarza o katylinarnej naturze. Władysław Kulczycki, poparty przez pałac księstwa Odescalchi, otrzymał posadę, tytuł i protekcyę w sferach watykańskich. Publicysta i poeta nie bez talentu, pisywał wiele do *Czasu* i do *Dodatku*. Wnet jednak przerzucił się do przeciwnego obozu — próbował czas jakiś siedzieć na dwóch stołkach, pisać biało i czarno, według barwy dziennika. Nie wahał się podstępnie rzucać oszczerstw i zręcznie układanych oskarżeń to na Zmartwychwstańców, jak ów słynny opis audyencyi Zmartwychwstańców u jednego z W. książąt rosyjskich, audyencyi opisanej w najdrobniejszych szczegółach, choć ona nigdy nie miała miejsca—to znów podobnych potwarzy na Czackiego, to wreszcie na samego Ojca Św. Korespondencye jego po różnych pismach polskich i zagranicznych robiły wiele złego. *Czas* z nim zerwał i napiętnował dwulicowość. Smutną karyerę skończył skruchą i śmiercią chrześciańską.

Wspomnijmy jeszcze kilka pięknych postaci: to jenerał Szymanowski, co papieżowi towarzyszył do Gaety i sypiał w przedpokoju, aby go strzedz od zamachu, Karol Bodenham, ten Anglik, ożeniony z Polką, którego dom bywał także rodzajem „poselstwa polskiego". Wiele pękło ogniw i usunęło się postaci, które stały tam na straży i oddziały-

wały w dwóch kierunkach, aby usuwać nieprzyjazne dla nas wpływy, szerzące do Polaków uprzedzenia, aby ostrzegać kraj i zbliżać go z Rzymem.

Po za publicystą był w Maurycym Mannie dyplomata. Cnotę dyskrecyi posiadał wyjątkową, zwłaszcza u dziennikarza. Mawiał on, że wtedy się rzecz dobrze wyjaśni i broni, gdy się powie w dzienniku mniej, niż się wie. Dbał on o skutek dla sprawy, a nie o efekt. Nie spieszył z nowością, gdy chwila jej odkrycia nie nadeszła. Jeśli wielu u nas wpadało w fanatyczną wiarę w Napoleona III, to wszystkie głębsze a wierzące duchy olśnione były promienistą postacią Piusa IX.

Wielkie odrodzenie religijne stulecia znajduje swój najwyższy wyraz w tej postaci wielkiego papieża. On był dzieckiem swego narodu i synem stulecia — wyszedł z pokolenia *giovine Italia*, dzielił szlachetne porywy ku zbrataniu ludów pod godłem krzyża. To właśnie, że w duszy Piusa IX i w jego losach tkwiły te same poczucia i te same zawody i ciosy, to gromadziło u jego stóp rzesze ludów, które tu szukały drogi, pociechy i znajdowały prawdę.

Zboczenie nasze do Paryża i Rzymu było niezbędne, aby sobie uwidocznić tło epoki, odbijającej się jak w zwierciedle w naszym dzienniku.

Jeszcze kongres paryzki wszystkich nie rozwiązał węzłów kwestyi wschodniej, unia księstw naddunajskich staje się początkiem stopniowego rozczłonkowania państwa ottomańskiego, a już rozpoczynają się wikłać węzełki kwestyi włoskiej.

Zaczęło się od zaburzeń, jakby na zamówienie, w Legacyach papieskich. To znów awanturnicza wyprawa Garibaldi'ego na Sycylię, zbrojenie się Piemontu, przemowa noworoczna Napoleona III do posła austryackiego Hübnera, wypowiedzenie wojny przez Austryę, kampania sześciotygodniowa, wystąpienie Francyi, pogrom pod Magentą i Solferino, i nagły pokój w Villa-Franca.

Gorączkowe wypadki, pośpiechem swym przypominające zwycięztwa Napoleona I we Włoszech, porywały opinię, która o wiele więcej, zwłaszcza u nas, miała powodów do

nadziei i zapału podczas wojny wschodniej, a była wówczas o wiele chłodniejszą.

Czas po raz pierwszy staje w sprzeczności z prądem opinii wobec wypadków we Włoszech.

Zastanówmy się nad powodami tego rozdwojenia—najpierw co do samej wojny między Austryą a Włochami i Francyą.

Ciężką przebywał próbę młody monarcha, gdy mu zrywano z czoła „żelazną koronę“ medyolańską, którą przed dziesięciu laty utwierdził zwycięztwem pod Nowarą, ale była to rzeczywiście sprawa niepodległości narodowej, wyzwolenia z obcych rządów. Wszystkie dążenia reakcyjne, wszystkie złe i czarne tradycye, wszystkie narzędzia despotyczne i ucisku narodowości miały swój punkt oparcia i jakby historyczny magazyn w tym czworoboku fortec lombardzkich, w tem panowaniu austryackiem we Włoszech. Kto dobrze Austryi życzył, a głębiej patrzał, ten w tej klęsce przewidywał konieczność zmiany systemu i początek wewnętrznego odrodzenia. W tym punkcie między uczuciami ogółu, przyjmującego odgłosy postępu orłów napoleońskich nad Ticinem i Adygą ze źle tajonym zapałem—a poglądem o wiele chłodniejszym *Czasu,* nie było sprzeczności. *Czas* umiał między liniami powiedzieć, że straty Lombardyi nie opłakuje.

Ale to był dopiero pierwszy akt i wstęp do zjednoczenia Włoch, a *Czas* zapału nie podziela, i kwestyę włoską porównywa do karczocha, którego listek po listku zabiera się spożyć król sardyński.

Mann tłómaczył w szeregu artykułów, że „narodowość jest faktem, a nie jest zasadą, że fakt narodowości wszędzie uszanować należy, ale że byłoby rzeczą fałszywą i bardzo niebezpieczną, gdyby podstawą idei państwowej stała się jednolitość i wyłączność narodowa“. Definicya głęboka, nie była wówczas rozumianą; dziś, gdy widzimy do czego doprowadziła zasada narodowości w organizacyi państw i w kierunku politycznym — odczytujemy te uwagi jako jasne przewidzenie konsekwencyj, co tak twardo nad nami zwłaszcza zaciężyły, gdy w imię jednolitości narodowej państwa zaczęto nas tępić w Prusiech i Rosyi. Nad ideą unitaryzmu narodowego oddawna pracował duch rewolucyi przez związki

Tugendbundu w Niemczech, przez związki karbonaryzmu we Włoszech. Wbrew naturze tych narodów i naprzekór historycznego rozwoju, co wytwarzał we Włoszech ducha municypalności, a we Włoszech i Niemczech z feudalizmu przeszedł do federalizmu, jedność postawiono za cel dziejowy. Do celu tego wiódł na półwyspie terroryzm Mazzinich i sztuka Macchiavella, mająca swego mistrza w hr. Cavourze. Bomba Orsiniego przypomniała Napoleonowi III dawne zobowiązania wobec tajnych związków włoskich. „Francya — czytamy w jednym z artykułów Manna, — pracuje nad jednością włoską, a może doczeka się niebawem z drugiej strony jedności niemieckiej, bo konsekwencya historyczna bywa nieubłaganą, a wtedy czy zdoła utrzymać tę przewagę, jaką dziś posiada w Europie?“ Przewidywanie agglomeratów narodowych, a w ich następstwie walk szczepowych, często się powtarza w tych poglądach w przyszłość — równie nie trafia do przekonań opinii, jak krytyczny pogląd *Czasu* na znaczenie plebiscytów, mających rozstrzygać o anneksyach krajów. „Liczba jest zawsze rzeczą przypadkową, a często brutalną, większość w plebiscytach osiągnie zawsze ten, kto w pewnej chwili ma siłę i wykonywa władzę. Lękaćby się należało o najświętsze sprawy, za które wiele najszlachetniejszej wylano krwi na polach bojów, gdyby te sprawy puszczano na kreski“. Wreszcie *Czas* potępia jedną z nowych zasad Napoleona III, zasadę *du fait accompli*. „Każdy gwałt jest także faktem dokonanym — czy dlatego staje się momentem prawnym, zasadą polityczną, i uznać go trzeba, choćby burzył w jednej chwili to, co wieki stworzyły“?

Z tych kilku cytat widzimy, że owa zasadniczość czy doktrynerstwo, którą nieraz *Czasowi* zarzucano, pewniejszą daje podstawę do rozpoznania, jaka droga wiedzie w górę, a jaka w przepaść, niż owa wrażliwość i ten opportunizm, który chwyta hasła chwili i idzie za jej podmuchem. Popularności to *Czasowi* nie przymnożyło, owszem owa krytyka jedności włoskiej ciągnąca się przez szereg lat zachwiała wziętością *Czasu*, a nawet wstrząsała wewnętrzną redakcyi zgodnością.

Wszędzie wieszano obok wizerunku Kościuszki portret Garibaldiego, wszędzie wysnuwano analogię między sprawą

jedności włoskiej a sprawą odbudowania Polski, w przekonaniu, że Napoleon III postawił sobie te dwa zadania do spełnienia, i gdy jednego dokona przejdzie do drugiego.

Niepopularność jeszcze się wzmogła, gdy wystąpiła kwestya władzy doczesnej papieży. Poruszył ją najpierw cesarski publicysta w broszurze, De la Gueronniere w *Le Pape et le Congrès*. „Jeszcze do tego nie przyszło — pisze *Czas* — aby Namiestnik Chrystusowy, następca św. Piotra, którego poprzednicy w wiekach średnich rozstrzygali spory królów i narodów, miał stawać przed areopagiem dyplomatów różnych państw, których większość jest niekatolicką".

Jeśli porównanie kwestyi jedności włoskiej do karczocha było trafnem — to najsmaczniejszą częścią, samem dnem karczocha była kwestya rzymska. Tu zmierzała oddawna sekta wolnomularska, nie tylko dla ukoronowania jedności Włoch, lecz dla uwieńczenia tych robót i planów uniwersalnych, aby w ustroju państw i organizacyi narodów zniszczyć co było katolickie, a ze szczytu gmachu historyi strącić krzyż. Wolnomularstwo działało tu dwiema drogami: rewolucyjną i dyplomatyczną. Niepodobna przechodzić wszystkich faz tej kwestyi — zwłaszcza od restauracyi 1815 r., ciągłych międzynarodowych konferencyj, jakie w kwestyi rzymskiej gabinet St. James podsuwał. Od r. 1848 niewiadomo kto więcej przykładał tu starań i podkładał min, czy Mazzini z Garibaldim, czy lord Palmerston, wielki mistrz loży.

Napoleon III ulegał naprzemian wpływowi dawnych swych związków sekciarskich i stawiał krok naprzód — to znów się cofał wobec opinii katolickiej we Francyi, wobec katolickich uczuć cesarzowej, zwłaszcza zaś wobec interesu narodowego francuskiego, dla którego posterunek rzymski był kluczem przewagi światowej. Chodzi nam tu raczej o wyjaśnienie dążeń i zasad, niż o przypomnienie przebiegu faktów.

Wiadomo, że bezpośredniem następstwem wojny włoskiej 1859 r. były zaburzenia w Legacyach wyprawy Garibaldiego, dwulicowość Francyi — i że w następstwie miał się odegrać pierwszy akt tego dramatu na polach Castelfidardo i Mentany.

Po rozbiorach Polski — nie było ohydniejszej historycznej zbrodni z większym przeprowadzonej podstępem, jak

te zamachy na Państwo Kościelne i Stolicę chrześciaństwa — na papieski Rzym. Po której stronie staną Polacy? Niestety w szeregach zuawów papieskich przy obronie Ancony garstka tylko była Polaków, kilkanaście nazwisk znanych i trochę ochotników.

W walce pióra, które w naszych czasach idzie często przed sieczną i palną bronią — nie brakło także śmiałych obrońców.

Maurycy Mann, Zygmunt Golian i Paweł Popiel ogłaszają broszury w obronie władzy królewskiej papieży i spuścizny św. Piotra. Mann napisał osobną broszurę, bo w dzienniku nie bez trudów zdołał usunąć korespondencye rzymskie Kulczyckiego, a przeprowadzać listy Semenenki i Rzewuskiego — a każdy artykuł w obronie praw Stolicy św., każda encyklika Piusa IX z protestem i affirmacyą władzy doczesnej, umieszczona w *Czasie*, wzbudzała w opinii objawy niezadowolenia.

Ilekroć mowa u nas o masoneryi w Polsce, tylekroć widzimy ruszanie ramionami, jak gdyby się mówiło o żelaznym wilku. Nie przeczę, że od czasów stanisławowskich, kiedy masonerya była światową modą ogólnie rozpowszechnioną, werbunek sekty nie bywa ani liczny, ani doniosły. Mimo to wpływu masoneryi, choćby pośredniego, na opinię polską — nikt lepiej odczuć nie zdoła, jak katolicki dziennikarz. Są pewne hasła, są pewne prądy, są pewne momenta, w których ulegamy bezwiednie i z właściwą Polakom powolnością temu, co sekta rzuci, co z pism, będących na jej usługi, płynie.

W owych latach 1859—1860 i następnych prądy te sekty międzynarodowej na nas może najsilniej działały.

Pierwsza próba tej przewagi obcych prądów, próba rozdwojenia, podrażnienia, piętnowania ludzi i stronnictw, a następnie terorryzmu, odbyła się w kwestyi dla sekty najważniejszej, aby od zagrożonej w swych prawach Stolicy św. odciągnąć wszystkie narody katolickie.

Trudno zbadać, jakiemi szczelinami wciskał się ten prąd, ale to pewna, że bardzo spiesznie dostał się do liberalnych naszych dzienników, do salonów, do klubów i na ulicę.... Wtedy to powstała nazwa ultra-montanina, jako najwyższa

obelga, jako piętno ludzi, których należy zwalczyć i wykluczyć. „Tyś ultramontanin — tyś papieżnik“ — wołał na ulicy jakiś proletaryusz intelligencyi, uderzając w twarz przechodzącego mieszczanina koło kościoła Panny Maryi. Piszący przechodził wieczorem koło lokalu stowarzyszenia rzemieślniczego, gdy otwarło się okno i podniosły się okrzyki: „Jezuita-ultramontanin“.

To działo się na ulicy. W zakrystyi kościoła Panny Maryi złożono pierwszy arkusz adresu do Ojca św. z wyrazem wierności i wspólności katolików polskich, wobec zagrożonych praw Stolicy św. Na adresie było dopiero cztery podpisy: Leon Rzewuski, Adam Potocki, Jerzy Lubomirski, Paweł Popiel. Jeden z kapłanów, zresztą poważnych, napisał na adresie zastrzeżenie, że jako katolicy stoimy wiernie przy Stolicy św., ale jako Polacy nie możemy popierać rządu, który nieuznaje jedności włoskiej. Adres został w ten sposób unicestwiony. W kilka dni później interpellowano Adama Potockiego na zgromadzeniu Towarzystwa Rolniczego o dwa adresy, które podpisał, do Papieża za władzą doczesną i do Cesarza z powodu urodzin syna, tak zwany „adres pieluszkowy“. Te adresy, to były ważne gravamina.

Przytaczamy te szczegóły, aby wskazać, jak prędko opinia dała się porwać na tory rewolucyjne wpływom masoneryi. Moment ten naznaczamy, jako bardzo ważny, bo był on początkiem terroryzmu rewolucyjnego, który odtąd stopniowo przez lat kilka się wzmagał, aż doprowadził do zupełnej przewagi i strasznej katastrofy.

Czas w kwestyi papieskiej utracił po raz pierwszy wziętość i popularność. W klubach, nawet konserwatywnych nadawano mu już odtąd miano klerykalnego dziennika. W salonach, nawet bardzo wykwintnych, wzmagał się entuzyazm dla czerwonych koszul Garibaldiego, a zdarzyło się, że w licznem gronie Mann bronił Papieża i kwestyi rzymskiej — przeciw wszystkim, a popierał jego zdanie jeden tylko, protestant, baron Karol Larisch. Autorów trzech broszur napisanych w obronie władzy doczesnej, Manna, Goliano i Popiela, niepopularność zamieniająca się często w prześladowanie ścigała do śmierci — a taka nieprzebłagana zaciętość, to także cecha sekciarstwa. Ojciec św. w uznaniu katolic-

kiego stanowiska *Czasu*, odznaczył Maurycego Manna komandoryą św. Grzegorza.

Tymczasem w monarchii skutki wojny 1859 r., spiesznie się objawiały. Już manifest cesarski datowany z Villa Franca, w podniosłym tonie mówiąc o klęskach doznanych na polu boju, dając wyraz uznania waleczności armii i donosząc o zawarciu pokoju, kończy się zwrotem do potrzeb wewnętrznych państwa, które wymaga całkowitego oddania się im monarchy.

Wiener Zeitung z 22 czerwca wymienia w urzędowym komunikacie szereg zadań, których załatwienie nie znosi zwłoki: zaprowadzenie harmonii w gałęziach administracyi, uregulowanie finansów państwa, kontrola wydatków, zapewnienie autonomii i wolnego wyznawania religii, uporządkowanie stosunków izraelickich zgodne z duchem czasu, zastósowanie ustawy gminnej z pomocą mężów zaufania ze wszystkich klas w prowincyach, przeniesienie znacznej części czynności władz rządowych na organa autonomiczne, a po rozwiązaniu tych najpilniejszych zadań — powołanie do życia reprezentacyi w różnych krajach koronnych.

Ogłoszenie tego komunikatu nastąpiło w kilka dni po ogłoszeniu składu nowego gabinetu — i było widocznie już programem męża stanu, który po świeżem wstrząśnieniu miał ująć ster nawy państwa.

Tym mężem stanu był powołany ze Lwowa hr. Agenor Gołuchowski. Skład gabinetu był następujący: hr. Rechberg minister domu cesarskiego, spraw zagranicznych i prezes rady ministrów, hr. Gołuchowski minister spraw wewnętrznych, bar. Hübner minister policyi, bar. Bruck skarbu, hr. Leon Thun-Hohenstein spraw duchownych i oświecenia, bar. Nadasdy sprawiedliwości.

Hr. Gołuchowskiego *Czas* w jednym artykule żegna z uznaniem i żalem, jako opuszczającego namiestnictwo galicyjskie, w drugim go wita jako prezesa ministrów z zaufaniem, bez słów pochlebstwa, ale z uczuciem dumy, że w ciężkiej chwili korona zwróciła się do naszego kraju, aby z niego powołać męża, który umiał w trudnych warunkach łączyć zawsze wierną służbę dla monarchy i państwa z gor-

liwością i znajomością stosunków kraju, którego jest obywatelem.

W powyż przytoczonym artykule *Wiener Zeitung* hr. Gołuchowski zakreślił sobie od razu pole działania, jakie miał zapełnić, zadania, jakie chciał przeprowadzić, dotąd a nie dalej. Chciał on skruszyć dawny system i nowe, silne ze zdrowego materyału podciągnąć podwaliny. Maszyna rządowa, nie wiele od czasów metternichowskich zmieniona, była na wskróś strupieszałą — ztąd naznaczona potrzeba harmonii w gałęziach administracyi; uregulowanie położenia finansowego po wojnie stawało się tem bardziej naglącem, ale znaczącem jest, że program finansowy od kontroli wydatków reformę zapowiada; kwestya wolności wyznań i stanowiska izraelitów zdaje się być przynętą dla prądu liberalnego, kwestya gminna wskazuje, że nie na biurokratycznych podstawach, jak dotąd wyłącznie, nowy system chce się opierać — to też dalszy punkt mówi o przeniesieniu części czynności władz na organa autonomiczne, a wreszcie w dalszej przyszłości urzędowy dziennik zapowiada reprezentacye krajowe.

Ten program byłby dał *Czasowi* szerokie pole do uwag i gloss punkt za punktem, bo był w zasadach zgodny z jego programem i dążeniem. Lecz hr. Gołuchowski w rozmowie z Adamem Potockim wyraził życzenie, aby wstrzymywano się od wszelkiego nacisku, zwłaszcza ze strony polskiej. W rozmowie tej, którą Potocki przepisał w liście do Manna z dodatkiem *tibi soli*, nie taił Gołuchowski, że uważa swą misyę jako przygotowawczą i swój system jako przejściowy. „Ja chcę“ — dodawał hr. Gołuchowski“ — założyć zrąb, przeprowadzić to, czego koniecznie wymaga ta zachwiana budowla — na system konstytucyjny ja już nie pójdę. Dlatego proszę wstrzymać wszelkie programowe artykuły lub adresy, dopokąd ja nie ustąpię“.

Wskutek tej rozmowy i tego listu, wskutek ciągłych informacyj o sytuacyi wiedeńskiej, jakich udzielał Adam Potocki, zachowano w dzienniku i w kraju stanowisko wyczekujące. Artykuł programowy *Czasu* napisał Mann, po naradzie z Potockim i schował go do biurka, gdzie czekał kilka miesięcy, aż telegram doniósł, że Cesarz przyjął dymisyę hr.

Gołuchowskiego. Podobnie Helcel miał w pogotowiu słynny adres, aż miała nadejść chwila dla deputacyi galicyjskiej.

Podziwiać należy bystrość z jaką Gołuchowski wytknął sobie zadania najbardziej naglące, zrozumiał następstwa rozpoczętych reform, przeczuł niebezpieczeństwa i ocenił własne siły i kwalifikacye. Chciał on być przedsłannikiem ustroju konstytucyjnego, chciał mu naznaczyć kierunek autonomiczny, lecz nie chciał puszczać się na rwące wody systemu reprezentacyjnego. Niezwykłej to miary mąż stanu, który nie daje się porwać miłości własnej i z góry zakreśla sobie kres, do którego pójdzie.

Wszelako hr. Gołuchowski nie tracił czasu. Już 8 sierpnia ogłasza reskrypt ministeryalny, że zmienia się przepis, aby w wyższych klasach gimnazyalnych uczono tylko po niemiecku — odtąd tam, gdzie niema większości niemieckiej, językiem wykładowym ma być język krajowy.

Czas, przyjmując to rozporządzenie z radością, walczy o zastósowanie go do poszczególnych gimnazyów z miejscowemi władzami, które się nie spieszą.

Drugie rozporządzenie z października poleca urzędnikom w krajach koronnych, aby, jeśli nie posiadają języka krajowego, starali się go nabyć w najkrótszym czasie, inaczej przeniesieni zostaną do innych prowincyj.

Czas znów do tego daje objaśnienia, a zwłaszcza cytaty tłómaczeń ustaw na język polski, pokaleczony germanizmami.

Hr. Gołuchowski przybywa do Lwowa, i tam doznaje serdecznych owacyj od całego obywatelstwa zgromadzonego z kraju. W namiestnictwie zastępuje go chwilowo wiceprezydent Mosch, w Krakowie w miejsce hr. Clama mianowany p. Wukasowicz naczelnikiem rządu.

Hr. Clam, który, jak długo był w urzędzie, ściśle wypełniał rozporządzenia ministeryalne, na posłuchaniu przedłożył Cesarzowi kilka memoryałów, między innemi o reformie gminnej. Memoryał ten był rezultatem dyskusyj z Leonem Rzewuskim, który się sprawą gminną szczególnie zajmował. Gdy Cesarz memoryału od razu nie potwierdził, hr. Clam podał się do dymisyi, bo jak mówił, w ten sposób pojmuje stanowisko wobec korony. „Na urzędowem stanowisku

mam być wykonawcą rozkazów — gdy raz zapytany o zdanie, monarsze je przedłożę, już nie mogę pozostać urzędnikiem". Teraz hr. Gołuchowski zwołuje komisye we Lwowie i w Krakowie, do przygotowania ustawy gminnej. Komisya krakowska powtórzyła zasadę owego memoryału, opracowanego przez Clama i Rzewuskiego. Wyśledził to jakiś korespondent z Kazimierza do *Gazety Wrocławskiej*, bo organizazacya gminy miała się opierać na parafii i miała cechę zasad chrześciańskich, organicznych, więc należało na nią uderzyć. Ztąd polemika, w której znów odzywa się Paweł Popiel. Zachodzą ważne różnice między rezultatami ankiety lwowskiej a krakowskiej. Hr. Gołuchowski był zawsze zwolennikiem unormowania istniejącego tylko stanu, jak to normowała przed dziesięciu laty owa prowizoryczna ustawa, „książeczką niebieską" nazwana, a wydana przez namiestnika. Krakowianie szli dalej: chcą oni zachowania gromady i dworów i połączenia ich w obrębie parafii w gminie. Po raz pierwszy w *Czasie* pojawia się myśl i nazwa „gminy zbiorowej", a szkic ten pochodzi z pióra Adama Potockiego. Gminę zbiorową i granice parafii odrzucają Lwowianie ze względu na podwójne parafie, czyli ze względu na kwestyę ruską.

Dla tych przygotowawczych i wstępnych prac, które sobie zakreślił hr. Gołuchowski, zwołuje on t. zw. „wzmocnioną Radę państwa" *(verstärckter Reichsrath)*, złożoną z mężów zaufania z krajów koronnych. Z Galicyi powołani do niej zostali Maurycy Kraiński, Stanisław Starowieyski i adwokat Polański, jako przedstawiciel Rusinów.

Ludwik Dębicki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Budżet i kredyt publiczny.

(Dokończenie).

V.

Zadaniem teoryi pokrycia jest postawienie zasad co do słusznego użycia dochodów skarbowych.

W rzędzie tych dochodów — zwyczajnych i nadzwyczajnych — można postawić dwie grupy, różniące się co do stopnia zależności od woli państwa. Jedna z nich — dochody z zarobkowych czynności, z opłat, sprzedaży dóbr skarbowych — są w wysokości swej łącznej niezależne od woli państwa; skarb może podnieść n. p. skalę opłat, ale pewności niema żadnej, czy podwyżka ta ceny nie zmniejszy popytu na dane świadczenia organów rządowych, a zresztą widzieliśmy wyżej, że bynajmniej nie tylko fiskalne względy mają rozstrzygać o wysokości opłaty; łączny przeto dochód z opłat nieda się w miarę potrzeby i woli skarbu odpowiednio podnosić. Tak i przy swych zarobkowych czynnościach, może skarb podnieść produkcyę, ale to samo jeszcze nie poręcza zwyżki czystego dochodu, bo zniżka ceny, czy brak popytu, mogą spodziewaną korzyść pieniężną ograniczyć, lub zupełnie uchylić. Odnosi to się także do podatków konsumpcyjnych i części obrotowych. W razie potrzeby skarbu nie może więc państwo z pewnością liczyć na to, że te grupy dochodu dadzą mu pożądany dochód wyższy.

Pewność tę, przynajmniej względną, dają skarbowi podatki, zwłaszcza bezpośrednie, oraz kredyt publiczny. Praktycznie przeto występują podatki i kredyt, jako jedna grupa środków pokrycia, jako ta grupa, która w miarę woli i potrzeby skarbu odpowiednio wysoki, względnie wyższy dochód dać może i powinna, a zadaniem teoryi pokrycia jest wskazanie, w jakich warunkach i do jakiej granicy należy zapewnić dochód z podatków, oraz czy, kiedy, w jakich warunkach i do jakiej granicy można lub należy posłużyć się kredytem publicznym.

Panowały niegdyś dążenia i istniały zakusy wyciągania i wyciskania przez podatki jak najwięcej, ale są to zgubne praktyki i przestarzałe zapatrywania. Panowała też niegdyś, a przynajmniej śmiało podnosiła głos, teorya, potępiająca bezwzględnie kredyt publiczny, wszelkie długi skarbowe, a posługująca się i politycznemi, i finansowemi, i ekonomicznemi argumentami; równocześnie zaś praktyka skarbowa, bez argumentów i bez zasad, posługiwała się dowolnie i bez planu kredytem publicznym, używała go wtedy, gdy innych środków nie było, nie umiała go użyć świadomie jako dźwigni i sprężyny gospodarczego dobrobytu społeczeństwa, a praktyka ta nieumiejętna, znajdowała poparcie niewykształconej jeszcze teoryi [1]). Wadliwą była powyższa i teorya i praktyka — racyonalna polityka finansowa na innej oprzeć się musi teoryi i inną praktykę wprowadzić w życie.

Słuszne oznaczenie wskazówki i granicy co do użycia podatków, a kredytu na pokrycie wydatków skarbu, oprzeć się musi na uwzględnieniu trzech różnych momentów, a mianowicie: istoty zamierzonych wydatków, dalej skutków dobranych środków pokrycia, wreszcie faktycznych stosunków,

---

[1]) Tak n. p. Rau, znakomity zresztą autor, pisze w swej *Skarbowości* (§ 471): „Wenn zur Bestreitung des beschlossenen Staatsaufwands die gegenwärtigen Staatseinkünfte nicht zureichen, eine Erhöhung derselben für volkswirtschaftlich nachtheilig oder überhaupt nicht für rathsam erachtet wird, und kein früher angesammelter Hilfsvorrath zur Verfügung steht, so muss die fehlende Summe durch eine Schuld gedeckt werden", a to oznacza tylko czas, ale nie zasadę słusznego użycia kredytu.

stopnia gospodarczego rozwoju, wysokości ciężaru podatkowego i zadłużenia danego kraju, jego ekonomicznego, społecznego i politycznego ustroju. Zadaniem teoryi jest wskazanie, co wszystko przy tych trzech momentach uwzględnić należy, zadaniem praktyki — tych co układają plan finansowy i budżet — zastósować się do tych wyników teoryi, faktycznie oznaczyć rozmiar użycia podatków, a kredytu.

Pytanie co do istoty zamierzonych wydatków, o ile chodzi o teoryę pokrycia, identyczne jest z pytaniem, na co potrzebne dochody mają być użyte, a pod tym względem wystarcza przypomnieć jeden z powyżej już omówionych podziałów wydatków, a mianowicie podział na zwyczajne i nadzwyczajne. Przestroga rzymskiego prawnika: *omnis definitio periculosa est, parum est enim, ut non subverti possit*, słuszna dla całych szeregów zjawisk społecznego i gospodarczego życia, doprowadziła w literaturze skarbowej do illustrowania tego podziału porównaniem z kapitałem obrotowym, który całą swą wartością przechodzi w wytwarzany produkt, i kapitałem zakładowym, służącym trwale produkcyi, współdziałającym przy niej przez dłuższy okres czasu. Trwałość skutków ma przeto i przy tym podziale wydatków stanowić cechę znamienną i odróżniającą; wydatki, które wywoływają skutki tylko w okresie roku budżetowego — jak pensye urzędników i służby, żywność wojska, koni wojskowych, surowce i materyały pomocnicze w przedsiębiorstwach skarbowych — są wydatkami zwyczajnemi, wydatki natomiast, których skutki normalnie i w późniejszych epokach działać będą — jak budowa dróg, fortec, regulacya rzek, rekonstrukcya wałów ochronnych — są wydatkami nadzwyczajnemi.

Tak pociągnięta granica co do wydatków nadzwyczajnych, przyznaje im zakres bardzo szeroki, tak, iż w obrębie tej grupy należy dalszy znów podział przeprowadzić. Z jednej bowiem strony mogą wydatki nadzwyczajne być spowodowane świadomą akcyą państwa, celem wytworzenia na przyszłość lepszych stosunków, gdzie państwo dobrowolnie, nie przymuszone koniecznością zewnętrzną, przystępuje do podjęcia inwestycyj z prywatno-gospodarczym, lub z publicznym charakterem, z drugiej strony mogą zaistnieć fakta

zewnętrzne — klęski elementarne, wojna, rozruchy — zmuszające państwo do podjęcia czynności i wydatków na wielką skalę. Inwestycye i wydatki nadzwyczajne w ścisłem znaczeniu, tworzą razem dopiero tę wielką grupę wydatków nadzwyczajnych; składowe jej części różnią się tak powodem, jak celem, jak momentem powtarzania się, to też pomimo pewnego, uzasadniającego ich przynależność teoretyczną do jednej grupy podobieństwa pod względem dłuższej trwałości wywołanych skutków, domagać się będą osobnego omówienia co do odpowiednich środków pokrycia.

Zwyczajne wydatki służą na pokrycie bieżących potrzeb państwa, wynikających z normalnego spełniania zadań państwowych, ztąd z natury rzeczy powtarzają się co roku, i nawet liczyć się trzeba z stopniowym, a ciągłym ich wzrostem. Sam przyrost ludności już staje się powodem ich stopniowego wzrastania, a tendencyę tę zasila jeszcze dążność słuszna coraz lepszego i coraz zupełniejszego spełniania zadań państwowych. Czynności rządowe, wykonane kosztem zwyczajnych wydatków, wytwarzają niewątpliwie warunki konieczne dla zapewnienia społeczeństwu bezpieczeństwa, kultury, możności skutecznej gospodarczej pracy, ale czynności te nie podnoszą bynajmniej trwale możności gospodarczej kraju na przyszłość, one domagają się peryodycznego, nieprzerwanego wykonywania; żądają trwale dochodów skarbu celem ich pokrycia, corocznego pokrywania tych wydatków. Ztąd też dochód odnośny płynąć powinien z trwałego źródła, winien płynąć — przy niedostatecznej wysokości dochodów zarobkowych i opłat — z podatków. Użycie tu kredytu jest zupełnie błędnem, prowadzi nieuchronnie do chronicznych deficytów, ruiny skarbu, i to tak skutkiem anormalnego przyrostu wydatków zwyczajnych, przez procent od długów, zużytych na pokrycie wydatków zwyczajnych nie mających ztąd żadnego ekwiwalentu w gospodarstwie skarbowem, jak skutkiem lekkomyślnej niegospodarności, jaka zwykle zakrada się do budżetu w epoce deficytów administracyjnych. Przy niedostateczności dochodów zwyczajnych, przy odstąpieniu od stanowiska, że kredytu używać należy nie na uzupełnienie dochodu, lecz na uzupełnienie kapitału, łatwo zakrada się coraz dalsze podnoszenie wydatków, deficyt znów

wzrasta, mnożą się długi. Stojąc twardo przy zasadzie, że zyskiwany dochód zwyczajny jest miarą, do której wydatki zwyczajne wzrastać mogą, lecz nie powyżej, żądając stanowczo podniesienia podatków w razie nieuniknionego wzrostu wydatków zwyczajnych, bada się bardzo sumiennie i szczegółowo każdy wydatek, nie jeden się zmniejszy, nie jeden opóźni. Z chwilą natomiast, gdy dochód zwyczajny przestanie być miarą i warunkiem zwyczajnych wydatków, gdy zacznie się pożyczać na uzupełnienie dochodu, pokrywającego wydatki zwyczajne, to każdy nowy wydatek staje się tylko powodem pożyczania trochę więcej, nie stacza już walki z zasadą, tylko z cyfrą, coraz dalej brnie się w długi, oczekując wybrnięcia z tych trudności przez jakieś wielkie środki nadzwyczajne, przez wielkie reformy, które tem są trudniejsze im dłużej panował chroniczny deficyt, im więcej wzrósł ciężar długów skarbowych, bez żadnego ekwiwalentu bądź to w gospodarstwie skarbowem, bądź społecznem.

Zniżenie wzrosłych anormalnie zwyczajnych wydatków skarbowych jest bardzo trudnem, małej zawsze doniosłości pieniężnej, bo oddalanie urzędników, czy służby tylko z powodu oszczędności, pogarszanie żywności, umundurowania— wszystko środki wybrnięcia z deficytu, jakie gospodarstwo prywatne zastósować może — tak samo jak znoszenie urzędów, czy zakładów, są bądź to zupełnie wykluczone, bądź też dopuszczalne tylko na bardzo małą skalę w gospodarstwie skarbowem. Lepiej niewątpliwie nie pomnażać urzędów, czy szkół przedwcześnie, zanim niema odpowiednich środków po temu, aniżeli być zmuszonym do ich zniżania po pewnym czasie. Trudności redukcyi zwyczajnych wydatków skarbu są też zwykle tak wielkie, tyle względów przemawia przeciw tej redukcyi, że głównym środkiem wyratowania z deficytu zawsze będzie znaczne podniesienie podatków, stanowcze powstrzymanie dalszego wzrostu wydatków zwyczajnych. Ludzenie się jakiemiś nadzwyczajnemi środkami ratunku jest błędem, staje się zgubą, bo tak fakt, jak termin ich zaistnienia — n. p. monopol elektryczności, proponowany na wypadek dalszych ulepszeń, czyniących z niej najlepszy motor — jak wreszcie wydatność finansowa tego nowego źródła, są niepewne i wątpliwe. A tak podnoszenie

znaczne podatków, jak redukcya, lub powstrzymanie normalnego wzrostu wydatków, są faktami niepożądanemi, wstrząsają dotkliwie gospodarczemi stosunkami kraju. Pomyślmy tylko, ile krzywdy, ile niedoli wywoła dłuższe opóźnianie nominacyj, czy zasłużonego awansu! Tem większą zaś będzie ta krzywda i niedola, gdy wpierw skutkiem błędnej polityki finansowej, bez zachodu i bez czekania, otrzymano jedno i drugie. Ztąd też jako przewodnią skarbową zasadę uznać trzeba, że wydatki zwyczajne winny być pokryte dochodami zwyczajnemi. Wydatki te tworzą granicę minimalną, do której dochody zwyczajne dojść muszą, a znów faktyczne dochody zwyczajne tworzą granicę maksymalną, powyżej której wydatki zwyczajne przerastać nie powinny; z zastrzeżeniem pewnem można też dodać, że wyłączywszy wydatki zwyczajne z budżetu, oznaczamy granicę maksymalną dla ewentualnego użycia kredytu publicznego; aż do tej granicy użyć go wyjątkowo można, powyżej nigdy używać nie należy.

Ustawienie przeto grupy i ustalenie pojęcia wydatków zwyczajnych ma bynajmniej nie tylko teoretyczne znaczenie, lecz jest nader doniosłem dla całej polityki finansowej. Przypomnieć tu więc należy, co już wyżej o słusznem pomieszczaniu w tej grupie powiedziano, aby fałszywe pomieszczanie w budżecie znacznej części wydatków istotnie zwyczajnych danego gospodarstwa skarbowego — a zakres ten zależy od wielkości gospodarstwa — w grupie wydatków nadzwyczajnych nie było płaszczykiem, pokrywającym deficyt, ani powodem nadużycia kredytu, fałszywej polityki skarbowej.

Co do pokrycia wydatków nadzwyczajnych należy indywidualizować i odnośną odpowiedź dać można tylko dla każdej grupy tych wydatków z osobna, a widzieliśmy, że tu wchodzą tak inwestycye prywatno-gospodarcze, dające dochód czysty, czy przynajmniej pokrycie kosztów, jak inwestycye publiczno-gospodarcze, jak wreszcie wydatki nadzwyczajne w ścisłem znaczeniu, spowodowane niekorzystnemi faktami zewnętrznemi.

Polityka inwestycyjna nabiera tem większego i zakresu i znaczenia, im więcej z jednej strony rozszerza się uznanie, że państwo ma szersze zadania, niż tylko produkowanie bez-

29*

pieczeństwa, że dziedzina społecznego życia, kultury, gospodarstwa, domagają się nieustannej interwencyi państwowej, im dalej ze strony drugiej wielkie wydatki skarbowe, tą szeroką akcyą państwa wywołane, skłaniają państwo do troskliwej pieczy o podniesienie trwałej wytwórczości i zasobności gospodarstwa społecznego. Inwestycyjna ta polityka objawia się na dwóch drogach, bądź to z cechą publiczną, gdzie państwo wytwarza tylko lepsze warunki bytu i pracy dla społeczeństwa, a nie przysparza sobie bezpośrednio dochodu, bądź też z cechą prywatną, gdzie państwo przedsiębierze inwestycyę, mogącą dawać dochód bezpośrednio.

Same względy skarbowe uznaliśmy za powód niedostateczny do podejmowania jakiej czynności przez państwo, ale gdy ogólne względy za podjęciem danej czynności — n. p. budowa kolei, regulacya rzeki, rozszerzenie sieci telegraficznej — przemawiają, to fakt możności pobrania dochodu z tego działania, ułatwiając je finansowo, przyspieszyć zdoła jego podjęcie. Od stosunków gospodarczych kraju zależy, jakie inwestycye wogóle i jakie przedewszyskiem skarb podjąć powinien, jakie zdoła administrować w myśl zasady opłaty, czy zasady prywatno-gospodarczej; czy jedna czy druga z tych zasad będzie zastósowaną, zawsze skarb dochód pewien mieć będzie, a o ile dochód ten starczy na pokrycie nie tylko bieżących kosztów prowadzenia, lecz również na procent i amortyzacyę wydanego na daną inwestycyę kapitału, o tyle nabiera ona charakteru inwestycyi prywatno-gospodarczej w ścisłem znaczeniu, i w tym razie słusznem jest użycie dochodów nadzwyczajnych, a nie zwyczajnych, kredytu, a nie podatków, na pokrycie odnośnych wydatków zakładowych. Wbrew dawniejszym wyobrażeniom, uważającym długi skarbowe, jako objaw biedy czy niegospodarności skarbowej, zwalczającym je dalej z politycznych powodów, jako czynnika ułatwiającego rozszerzenie działania i wzmożenie władzy państwowej, uznać przeto należy kredyt publiczny jako integralną część systemu dochodów publicznych, jako czynnik doniosły politycznie, właśnie przez to, że uzdalnia państwo do spełnienia swych nowożytnych zadań. Naturalnie, że istnieją dla użycia kredytu ścisłe granice, on nie ma i nie może on być bezgranicznie i bezkrytycznie używanym do po-

krywania potrzeb publicznych; ale nie trzeba bynajmniej uważać go za środek nadzwyczajny, wyjątkowy, lecz raczej uznać w nim należy niezbędny składnik systemu dochodów publicznych. Bo czyż byłoby słusznem, aby państwo, celem budowania jakiej ważnej linii kolejowej, podnosiło gwałtownie podatki, utrudniało byt znacznych kół w społeczeństwie, ograniczało konsumpcyę ludności i zdolność kapitalizacyi, a jeszcze pomimo tego wstrząśnienia i ucisku ogólnych stosunków gospodarczych, budowało tę kolej z braku dostatecznego nagromadzenia gotówki małemi kawałkami, przez cały długi szereg lat?! Zarówno techniczne, jak ekonomiczne względy, aby nie czekać za długo na zwrot procentu od wydanego na budowę kapitału, przemawiają przeciw używaniu w takim wypadku dochodu z podatków, a ten sam sąd ujemny dają w tym razie i względy polityki finansowej, zwłaszcza o ile budowana kolej rokuje opłacić sama wszelkie koszta z jej budowy wynikłe. O ile więc sama natura wydatku — co teraz badamy — ma rozstrzygać o dobraniu odpowiedniego środka pokrycia, to przy inwestycyach prywatno-gospodarczych postawić należy zasadę, że tu użycie kredytu, a nie podnoszenie podatków jest jedynie słusznem. Kredyt ten wytwarza, czy powiększa, zadłużenie państwa, ale to nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa dla skarbu, gdyż równocześnie z długiem wzrasta i majątek skarbu właśnie przez dokonaną inwestycyę. Zarzut więc czy obawa, że to droga, wiodąca do nadmiernego zadłużenia, jest niesłusznym, a natomiast podnieść można liczne korzyści, właśnie z użycia tu kredytu wynikające. W drodze kredytu może państwo otrzymać sumę potrzebną na pożądane szybkie wykonanie danej inwestycyi, a pobierając z niej dochód, starczący na pokrycie odnośnych kosztów, może stworzyć daną instytucyę, bez żadnego alterowania systemu i stosunków podatkowych, bez niepotrzebnego wstrząsania gospodarczemi stosunkami kraju. Użycie tu podwyżki podatków wstrząsa natomiast dwukrotnie temi stosunkami, raz podnosząc podatki w epoce budowy, po raz drugi zniżając je w epoce, gdy inwestycya sama pocznie się rentować. Nie zniżając ich wtedy, prowadziłoby się znów do

błędnej polityki skarbowej, do nieracyonalnego powiększania wydatków jedynie z powodu, że skarb ma za wielkie dochody. A kto zna życie i stosunki podatkowe, ten wie, że tak podniesienie, jak zniżka podatków, nie są bynajmniej ani rzeczą łatwą, ani pożądaną, bo jedno i drugie wnieść może lub spotęgować element niesprawiedliwości w systemie podatkowym.

Stawiając zasadę używania kredytu, a nie podatków, celem podjęcia prywatno-gospodarczych inwestycyj, należy jednak zrobić zastrzeżenie, że mogą od niej zachodzić wyjątki, zachodzić nawet powinny, o ile chodzi o zupełnie drobne — w porównaniu do całości budżetu danego gospodarstwa skarbowego — kwoty, i o ile konieczne wydatki zwyczajne znajdują już w dochodach zwyczajnych zupełne swe pokrycie. Jak każdą wogóle teoryę, tak i teoryę pokrycia, należy stosować nie po doktrynersku, lecz z pełnem uwzględnieniem realnych stosunków; teorya ma być dyrektywą, nie więzami dla życia.

Drugą grupą wydatków nadzwyczajnych, są inwestycye publiczno-gospodarcze. Zakres i doniosłość tych inwestycyj wzrastają z postępem kultury, występują one w coraz większej liczbie i z coraz większem znaczeniem na wszystkich polach publicznej działalności. Budowa fortec i portów wojennych, budowa wogóle gmachów publicznych, uzbrojenie wojska i floty, zakładanie nowych szkół, muzeów, laboratoryów, szpitali i klinik, reformy monetarne, sądowe, administracyjne, gospodarcze — n. p. uwłaszczenie czy kolonizacya — oto przykłady takich publicznych inwestycyj. Wspólną ich cechą, że uzdalniają państwo do lepszego spełniania jego zadań, lub chronią na przyszłość od wydatków, a dając społeczeństwu wyższe bezpieczeństwo, lepsze warunki oświaty, bytu i pracy, przez to samo uzdalniają je do skuteczniejszej, więcej wytwórczej, więcej wartej pracy na przyszłość. Wydatki państwa, nie mające tych skutków dodatnich, nie zasługują na miano publicznych inwestycyj, a przynajmniej błędnem było ich założenie, czy przeprowadzenie. Uznając olbrzymią doniosłość publicznych inwestycyj, trzeba jednak zawsze krytycznie badać na podstawie realnych stosunków

danego czasu i kraju, gdzie, kiedy, jaką i w jaki sposób podjąć inwestycyę; zakładając n. p. gdzieś w małej mieścinie wielką bibliotekę publiczną, budując tam wspaniały gmach dla szkoły ludowej czy więzienia, popełniałoby się proste marnotrawstwo, zasługujące na stanowcze potępienie; to nie byłoby inwestycyą, lecz nagannym zbytkiem, nie byłoby czynnikiem dźwigania społeczeństwa, lecz hamulcem postępu, szkodą dla zasobów i zdolności do akcyi państwa.

Ze względu na cel i skutek wydatku, na pewną trwałość jego następstw dodatnich, na niepowtarzanie się jego, można i przy inwestycyach publiczno-gospodarczych, niedających przeto dochodu wcale, lub dających go tylko w mierze wielce niedostatecznej, oświadczyć się za pokryciem odnośnych wydatków kredytem, a nie podatkami. Za użyciem kredytu jednak nie można oświadczać się tu równie stanowczo i bezwzględnie, jak przy prywatno-gospodarczych inwestycyach; owszem, o ile dochody zwyczajne, łącznie z podatkami, starczą na pokrycie wydatków zwyczajnych i jeszcze zostawią niezużytą nadwyżkę, nie jest wskazanem zniżanie zaraz podatków, czy podnoszenie wydatków zwyczajnych tylko z powodu, że jest nadwyżka, ale raczej słusznem jest wykonanie choć części owych inwestycyj publicznych za pomocą owej nadwyżki dochodów zwyczajnych. Nadwyżka ta chwilowa, nie starcząca zwykle i tak na systematyczne wykonywanie niezbędnych inwestycyj publicznych, będzie zresztą potrzebną na przyszłość na oprocentowanie i amortyzacyę przyszłych długów, bo skarb nie będzie z nich miał bezpośredniego dochodu; byłoby więc przedwczesnem i niewłaściwem zrzekać się dochodu, który w przyszłości i tak — w miarę wykonywania na kredyt inwestycyj — koniecznym się okaże.

Za użyciem i tu kredytu, o ile nie starczą dochody zwyczajne, przemawia też wzgląd praktyczny, a mianowicie, że tylko na tej drodze można uzyskać dostatecznie wielkie sumy, aby w stosunkowo krótkim czasie, bez niepotrzebnej zwłoki w osiągnięciu spodziewanych dodatnich skutków, do wykonania tych inwestycyj przystąpić.

Nie braknie jednak w tej mierze i opozycyi, a mianowicie występowano przeciw użyciu tu kredytu niejednokrotnie z argu-

mentami powziętemi ze stanowiska gospodarstwa prywatnego, uprawnionemi w obrębie tego widnokręgu, ale stanowisko to fałszywe i widnokrąg za ciasny. Stósowanie się do tych argumentów, do tego braku rozróżniania celów, środków i zadań gospodarstwa prywatnego, a gospodarstwa publicznego, zaszkodziło już częstokroć postępowi i nauki i życia — byłoby też tu zupełnie niewłaściwem. Prywatny gospodarz stać może i powinien na stanowisku, że użycie kredytu w jego gospodarstwie jest tylko wtedy uzasadnionem, gdy zdoła tym kredytem więcej zarobić, niż zań trzeba będzie zapłacić; on żądać musi bezpośredniej produktywności kredytu. Nie licząc się z tem, popadnie prywatny gospodarz w długi coraz dalsze, dojdzie do zupełnej ruiny. Dla gospodarstw publicznych inne stanowisko jest słusznem; im zdoła wystarczyć pośrednia produktywność, wytworzenie nie wprost przybytku dla siebie, lecz podniesienie zamożności i wytwórczości gospodarstwa społecznego. Mając dzięki publicznym inwestycyom zapewnione lepsze warunki bytu i pracy, zdoła społeczeństwo dużo lżej dotychczasowe, zdoła bez szwanku wyższe ciężary publiczne na przyszłość ponosić. Ze skarbowego przeto stanowiska jest to użycie kredytu i uzasadnionem i wskazanem.

Dwa tu jednak jeszcze zrobić trzeba zastrzeżenia. Najpierw, aby przez błędne budżetowanie nie uważano za wydatki nadzwyczajne i takich wydatków, które, chcć nie indywidualnie, to generalnie powtarzać się będą, i przez to przedstawiają się is totnie dla skarbu jako wydatki zwyczajne. Mówiliśmy już o tem wyżej, ponownie przeto tylko należy przestrzedz, aby błędy budżetowania nie stały się powodem błędnego i nadmiernego użycia kredytu. Drugie zastrzeżenie odnosi się do ilości i szybkości przedsiębranych inwestycyj. Optymizm co do błogich skutków, pospiech zbytni w podejmowaniu każdej reformy — n. p. zmiana uzbrojenia za każdym najmniejszym wynalazkiem, czy nerwowa budowla dróg publicznych, jak po r. 1870 we Francyi — mogłyby łatwo być przyczyną bolesnych zawodów, wepchnąć kraj na drogę przedwczesnego i nadmiernego brnięcia w długi. Potrzebną jest i doniosłą świadoma celów i środków publiczna polityka inwestycyjna, ale ona winna być prowadzoną z spokojem i miarą, aby ciężarem

procentów od zaciąganych długów nie przygnieść i nie zniweczyć spodziewanych skutków dodatnich, zamiast ulgi, nie wywołać przeciążenia ciężarami publicznemi. Dodatnie skutki każdej takiej inwestycyi wymagają pewnego czasu, zanim się przebiją w wyższem podatkowem uzdolnieniu społeczeństwa, a skutki te uchyla, czy znosi, kto za wcześnie, nakładając coraz dalsze ciężary, utrudni pracę i byt, przez to umniejszy wytwórczość i zdolność podatkową społeczeństwa [1]).

Wydatki ściśle nadzwyczajne, jakoto klęski elementarne, zaraza, wojna, mobilizacya, różnią się od powyższych dwóch grup inwestycyj, tak co do trwałości skutków i momentu powtarzania się, jak co do gospodarczego znaczenia dla skarbu. Zbudowana n. p. klinika służyć może cały długi szereg lat, takiej samej kliniki dla tego samego uniwersytetu nie będzie trzeba niebawem budować, odnośny wydatek przeto nie powtórzy się w okresie, z którym praktyczny plan finansowy liczyć się powinien; ale powódź, pożar czy trzęsienie ziemi, zaraza czy nieurodzaj, tak samo i wojna czy rozruchy, mogą powtórzyć się i na drugi rok i tu niema pewności żadnej, że spowodowane zwalczaniem tych klęsk wydatki nie powtórzą się niebawem; jest w najlepszym razie pewne prawdopodobieństwo, że powtarzać się nie będą ani co roku, ani w równie wielkim rozmiarze. Taka klinika dalej przedstawia przybytek do majątku publicznego państwa, staje się czynnikiem nauki i assanacyi; gdy ją zbudowano na kredyt, to wprawdzie wzrosło przez to zadłużenie państwa, jego passywa, ale wzrosły i aktywa skarbu. Przy porównaniu wydatków ściśle nadzwyczajnych z inwestycyami prywatno-gospodarczemi, przychodzi jeszcze dalszy

---

[1]) Bastable (j. w. str. 550), idzie jeszcze dużo dalej w tem zastrzeżeniu i pisze: „Out lay on public works is not of itself, and apart from the revenue to be thence derived, different from the cost of war or other unproductive expenditure. No readier or more dangerous mode of increasing debt can be found than the execution of works that are not economically productive. Vague assertions of indirect benefits should not be allowed to conceal the fact, that „improvements“ of this kind should be paid out of income, and cannot be regarded as investments in the proper sense of the term“.

moment odróżniający, a mianowicie dochód bezpośredni skarbu. Same te momenta już wskazują, że ściśle skarbowe względy domagają się z natury rzeczy innych środków pokrycia dla tych wydatków ściśle nadzwyczajnych, a innych dla inwestycyj. Przy inwestycyach zgodzić się można zasadniczo na użycie kredytu, przy tych wydatkach nie zdołają same skarbowe względy za kredytem przemówić; użycie tu kredytu przedstawia dla skarbu wielkie wątpliwości i wielkie niebezpieczeństwa. Odnośne wydatki bowiem nie powiększają, ani dochodu skarbu, ani majątku, ani też nie uzdalniają społeczeństwa w wyższym stopniu do ponoszenia ofiar na przyszłość, jedynie restytuują — w najlepszym razie — stan dawny przed klęską istniejący; mogą ztąd i powinny być uważane wprost za stratę pieniężną skarbu i społeczeństwa. Każde gospodarstwo, prywatne czy publiczne, indywidualne czy zbiorowe, jest na podobne straty narażonem, a nie chcąc skutkiem tych strat przez nieodpowiednie użycie kredytu popaść w nadmierne długi, prowadzące wcześniej czy później, ale niewątpliwie, do bankructwa, starać się musi o pokrycie tych wydatków bądź to z dochodów zwyczajnych, podnosząc ich dostateczność przez zwiększoną produkcyę, lub ograniczenie się znaczne w innych, niekoniecznych wydatkach, bądź też za pomocą pewnej rezerwy zasobów, o których nagromadzenie, w przewidywaniu i na wypadek zaistnienia takich niespodziewanych, nadzwyczajnych a koniecznych wydatków, gospodarstwo każde starać się powinno. Fundusze rezerwowe banków, powiększane systematycznie w miarę rozrostu interesów, są najlepszym przykładem i dowodem, jak uzasadnioną i praktyczną jest ta idea nagromadzania zawczasu pewnej rezerwy, przynajmniej dla gospodarstw prywatnych. O ile nie ma dane gospodarstwo takiej rezerwy, musi uciec się do kredytu — ale zdążać powinno do uważania tego kredytu za pomoc tylko chwilową, tymczasową, a który jaknajwcześniej z zwykłych dochodów spłacić należy.

Same skarbowe względy przemawiałyby przeto w razie takich ściśle nadzwyczajnych wydatków ze strony państwa za użyciem i tu tylko dochodów zwyczajnych. W życiu jednak jest to tylko wyjątkowo dla skarbu możebnem, mianowicie, gdy chodzi o względnie niewielkie wydatki; zapomogi

w razie lokalnego nieurodzaju, czy zarazy bydła, zdoła państwo i zdołać powinno pokryć z dochodów zwyczajnych, ale o pokryciu kosztów wojny czy mobilizacyi, dzięki istniejącym czy nowozaprowadzonym dochodom zwyczajnym, nie może być mowy. W uwzględnieniu ryzyka takich wydatków ściśle nadzwyczajnych domagano się, jak to mówiliśmy wyżej, takiego urządzenia systemu podatków, żeby w razie potrzeby na pewno wyższy z nich dochód otrzymać, domagano się nieraz dalej przygotowania zawczasu systemu podatków nadzwyczajnych, obowiązujących tylko w razie takiej potrzeby; ważnemi i doniosłemi są te wymogi co do organizacyi podatków, ale i najdoskonalsze ich urządzenie nie zdoła od razu dać sum, dostatecznych na bezzwłoczne sprostanie przez skarb danemu wielkiemu zadaniu, n. p. mobilizacyi. Podatki wpływają stopniowo — mianowicie przy podwyższonych podatkach okaże się często pewne opóźnianie w uiszczaniu, trudnościami wynikłemi dla podatników wywołane—ta więc podwyżka dochodów ma dopiero dla przyszłości, nie od razu, swą skuteczność i znaczenie. Ograniczenie się w wydatkach, celem umożliwienia użycia zebranych dochodów zwyczajnych na pokrycie tych nowych potrzeb, nieda się w gospodarstwach publicznych nigdy w tym stopniu i z tym skutkiem przeprowadzić, co w gospodarstwie prywatnem; wstrzymanie wypłaty procentów od dawnych długów byłoby ruiną kredytu, krzywdą wielu obywateli, a ich niespodziewana strata dochodu odbiłaby się falą powrotną na całem gospodarstwie społecznem; wstrzymanie znów wypłaty pensyi urzędnikom i sługom, wypłaty żołdu wojsku, byłoby wprost rozprzężeniem administracyi i to właśnie w chwili, gdy niespodziewane, a trudne zadania najbardziej sprężystego działania domagają się od państwa. Rozumna oszczędność ma być zawsze przewodnią zasadą prowadzenia gospodarstwa skarbowego, a gdy zasada ta istotnie weszła w życie skarbu, to dalsza wszelka oszczędność w razie nagłej potrzeby nigdy mieć nie zdoła wielkiego finansowego znaczenia.

Ani przeto na dostatecznie i wielką i szybką zwyżkę dochodów zwyczajnych, ani też na dostateczną pomoc, dzięki nagłemu ograniczeniu wydatków, państwo tu liczyć nie może; ztąd też uznano nieraz za konieczne i słuszne, aby i państwo

miało specyalną rezerwę na nieprzewidziane wydatki, pewien skarb w ścisłem znaczeniu. Państwa starożytne zbierały takie skarby w mierze bardzo wielkiej, podobnie państwa wieków średnich, a zwyczaj ten — zarzucony przez państwa nowożytne w myśl słusznego zresztą hasła, że zamożność społeczeństwa, a nie gotówka w skarbie jest podstawą i czynnikiem siły finansowej państwa—przetrwał jednak aż do naszych czasów; mianowicie miały na zawsze Prusy, ma skarb wojenny 120 milionów marek nowe cesarstwo niemieckie. Łatwą jest rzeczą i popularną krytyka takiego skarbu, łatwym rachunek, ile to gospodarstwo społeczne traci na takiem nieproduktywnem trzymaniu zapasów w gotówce, łatwem i popularnem owo twierdzenie, że zamożność społeczeństwa, a nie zasoby skarbu, są siłą ekonomiczną państwa, że ztąd nie ma państwo nigdy zbierać dochodów w wysokości umożliwiającej mu gromadzenie zasobów — ale i ta krytyka i ta zasada jest słuszną tylko do pewnej miary, dozwala na wyjątki. Widzieliśmy już wyżej, że sama natura administracyi państwowej nie dozwala na zupełnie ścisłe przewidzenie i obliczenie z góry, ile dla spełnienia zadań państwowych w ciągu roku na pewno będzie potrzeba, nie dozwala uważać cyfr budżetu za absolutnie nieprzekraczalne ramy, i ztąd uznaliśmy dostateczną zasobność kasy skarbu, celem uniknięcia zaniechania działań koniecznych lub popadania z najmniejszego powodu w długi bieżące, za ważny postulat praktycznej administracyi skarbu.

Podobne powody i względy dadzą się też przytoczyć za utworzeniem osobnego skarbu, specyalnie na pokrycie pierwszych potrzeb wojennych, na przeprowadzenie mobilizacyi i zgromadzenie armii przy granicach kraju; taki skarb podnosi w sposób doniosły wojenną zdolność kraju do akcyi zaczepnej, czy odpornej, może ochronić cały szmat pograniczny od dewastacyi inwazyą nieprzyjacielską spowodowanej, może przeto z czasem nawet ściśle ekonomicznie opłacić się znakomicie, wyrównać cały wieloletni ubytek procentów. O ile przeto pomyślne stosunki skarbowe i ekonomiczne dozwalają na założenie i utrzymywanie takiego skarbu oznaczonej wysokości, to oświadczyć się za nim należy, bo bezpieczeństwo kraju jest rzeczą wszechstronnie tak doniosłą,

że dla niej można świadomie i pewne ofiary materyalne ponosić [1]). W razie istnienia takiego skarbu, naturalnie uczynić trzeba ścisłe zastrzeżenia co do użycia go do pokrycia tylko pewnych potrzeb skarbu, istotnie zresztą nadzwyczajnych, a użycie to ulegać również powinno konstytucyjnemu zatwierdzeniu, chociażby *ex post*. Mając być trwałą instytucyą, winien być skarb w razie użycia go ponownie znów niebawem zebranym, czy uzupełnionym, ale zebranie to będzie praktycznie słusznem tylko wtedy, jeżeli nie będzie połączonem z zbytnią ofiarą gospodarstwa społecznego.

Skarbiec, owa nadzwyczajna rezerwa na pewne nadzwyczajne cele, jest obecnie instytucyą zupełnie wyjątkową, extra-podatki, czy podwyżka podatków często nie są w stanie od razu, w chwili i w miarę nagłej nadzwyczajnej potrzeby, dostarczyć środków dostatecznych, i ztąd pomimo braku uzasadnienia, okaże się użycie przy wydatkach ściśle nadzwyczajnych kredytu nieuniknionem [2]). Ale licząc się

---

[1]) Ad. Wagner, j. w. oświadcza się stanowczo za skarbem, a nawet Leroy-Beaulieu j. w. II, 208, pisze: „Il est certain qu'au point de vue économique il n'y a presque rien à dire en faveur de l'accumulation d'un trésor de guerre et que les objections contre ce procédé sont très nombreuses. Si nous considérons, au contraire, *les finances, non pas seulement* comme un département de la *science économique, mais* comme une partie de la *science politique*, alors nous devons adopter une autre conclusion et dire que l'existence d'un trésor immédiatement disponible et d'une réserve mobilière facilement réalisable est une force réelle pour un pays dont le crédit n'est pas bien établi, et que, dans la situation troublée où nous vivons, *les Etats*, dont les charges ne sont pas excessives, *agissent avec prévoyance en s'assurant ce secours*".

[2]) W szeregu ministrów skarbu odznaczył się w tej kwestyi Gladstone, zajmując stanowisko, że wydatki wojenne należy pokrywać podniesieniem podatków, a nie w drodze kredytu, i teoryę tę po części zastósował w życiu. Motywował to: „The expences of a war are the moral check which it has pleased the Almighty to impose upon the ambition and the lust of conquest that are inherent in so many nations. There is pomp and circumstance, there is glory and excitement about war, which, notwithstanding the miseries it entails, invests it with charms in

z tem, że tu kredyt występuje po prostu z braku innych, odpowiedniejszych środków, że skutkiem wydatku zwykle nie będzie żadnego podniesienia zasobności ani społeczeństwa, ani państwa, należy na ten rodzaj długów i ich spłatę zapatrywać się inaczej, niż na długi spowodowane przez inwestycye.

Ściśle skarbowe względy dają przeto jasną odpowiedź, kiedy kredytu użyć należy, kiedy można, kiedy nie powinno się, ale o praktycznem użyciu kredytu decydują i względy inne, przedewszystkiem ekonomicznej natury, a mianowicie rozważenie wpływu podatków z jednej, pożyczek z drugiej strony na gospodarstwo społeczne.

W poprzedzającym rozdziale omówiliśmy już wymogi co do systemu podatków, mianowicie też rozdziału ciężaru podatkowego; im mniej obowiązujące ustawodawstwo odpowiada tym wymogom, gdy jednostronnie obciąża nadmiernie tylko pewne warstwy, czy zawody gospodarcze, przyznając jawne, czy tajne ulgi innym warstwom, czy zawodom, pomimo ich równej, czy nawet wyższej możności ekonomicznej, tem zgubniejszym jest wpływ podatków nawet przy względnie nizkiej ich wysokości, bo zmienia niekorzystnie stosunki dochodowe i majątkowe w gospodarstwie społecznem, a przez to zmniejsza jego wytwórczość. Kwestya dobrego rozdziału ciężaru podatkowego, zawsze ważna, nabiera tem większego znaczenia, im więcej wzrasta wysokość podatków. Przy każdem przeto podnoszeniu podatków trzeba tem ściślej baczyć na ich system, rozdział, aby w ten sposób nie spotęgować ujemnych gospodarczo i moralnie skutków podatkowych. Pamiętać jednak należy, że niewątpliwie — o ile abstrahujemy od wpływu działalności państwowej na gospodarcze stosunki — każdemu gospodarzowi jest łatwiej, gdy płaci mało podatków, niż gdy ich ma płacić wiele, i ztąd wykazywanie ujem-

---

the eyes of the community, and tendes to blind men to those evils to a fearful and dangerous degree. The necessity of meeting from year to year the expenditure which it entails is a salutary and wholesome check, making them feel what they are about and making them measure the cost of the benefit on which they may calculate". (6-ty marca 1854, Hansard).

nych skutków każdego podatku, wszystkich ich razem, każdej ich wysokości, jest rzeczą łatwą..... i popularną, ale również pamiętać trzeba, że podatki są warunkiem skutecznej działalności państwa, są ceną uiszczaną przez podatników za całą opiekę i ochronę udzieloną przez państwo. Niskie podatki nie leżą przeto bynajmniej ani w interesie kraju, ani tem mniej w interesie słabszych warstw społeczeństwa, bo im właśnie zależy na szerokiej i skutecznej działalności publicznej, a bez odpowiednio wysokich podatków państwo takiej działalności rozwinąć nie zdoła. Mylnem przeto jest porównywanie tylko skutków wysokich, a nizkich podatków, na gospodarstwo podatników, ale badanie i ocena odnosić się powinny do rozważenia, czy lepiej jest utrzymać niskie podatki, a odpowiednio ograniczyć działanie państwa, czy też lepiej jest wprawdzie podnosić podatki, ale i równocześnie powiększyć, czy ulepszyć działalność publiczną. Odnosi się to zarówno do zwyczajnych, jak nadzwyczajnych wydatków, i realnie brzmi odnośne pytanie, czy lepiej jest utrzymać dawną wysokość podatków, a zaniechać nową czynność państwa, n. p. założenie szkoły czy naprawę wałów ochronnych zniszczonych przez powódź, czy też jest lepiej czynność tę podjąć nawet kosztem, chociażby i znacznego, podniesienia podatków. Błędem to było częstym dyskusyj o podnoszeniu podatków, że oceniano je tylko z kasowego punktu widzenia prywatnego gospodarza, a ignorowano skutki tych podniesionych podatków. Wiemy już, że wartość czynności państwa nieda się ściśle obliczyć, ale pomijanie jej zupełne przy ocenie tych kwestyj jest błędem stanowczym. Zdawszy sobie sprawę z tego, że bez podniesienia podatków dany gospodarz nie otrzyma bitej drogi do swej wsi, nieraz odstąpi on od stanowiska, że dlań jest lepiej niższe, niż wyższe podatki płacić. Uiszczenie wyższych podatków stanowić dlań naturalnie będzie pewną ofiarę, zabierze mu część dochodu, ale ofiara ta znajdzie często pełne pokrycie w podniesionej produkcyi, czy w zastósowaniu oszczędności. Czego skarb oszczędzić nie zdołał, to zdołają oszczędzić obywatele, co skarb więcej wydał, to zdołają swą podwyższoną produkcyą uzyskać producenci, dla których to podniesienie podatków w pewnych granicach staje się bodźcem do podnie-

sienia wytwórczości pracy. Sam przeto fakt, że na dany wydatek trzeba będzie podnieść podatki, nie zdola jeszcze przeciw temu wydatkowi, ani przeciw pokryciu go przez podatki przemówić. Podatki biorą zwykle zasoby z dochodu, pożyczki z kapitału społecznego, słusznem jest przeto pokrycie wszystkich bieżących potrzeb — zwyczajnych i nadzwyczajnych — z bieżącego dochodu społeczeństwa, t. j. podatków. Odkładanie i tu pokrycia na przyszłość jest ekonomicznie zgubnem, bo opóźni wzrost oszczędności i produkcyi, które reprodukować kiedyś powinny zasoby zużyte bez pozostawienia trwałych skutków dodatnich [1]). Nie apellując zawczasu i w dostatecznym rozmiarze do podatków, wywoływa się może ulgę chwilową, ale stanowczo pogorsza ekonomiczną przyszłość kraju.

Zastrzedz jednak ponownie trzeba, że i dla podnoszenia podatków istnieją nieprzekraczalne granice. Tak n. p. zupełnie fałszywym był projekt, podniesiony przez pewne koła finansowe Francyi po wojnie 1870-1871 r., aby całe koszta wojenne, łącznie z ową pięcio-miliardową kontrybucyą, ponieważ wydatki te bynajmniej nie polepszą gospodarczego położenia Francyi, pokryć nie w drodze kredytu, lecz przez podatki, przyczem opierając się na szacunku majątkowym myślano, że pięcio-procentowy podatek majątkowy da pożądaną kwotę. Projekt ten był wadliwym pod każdym względem, a pozorami uzasadnienia finansowego i ekonomicznego miał pokryć najbrzydszy wyzysk i lichwę. Nie każdy gospodarz może zlikwidować od razu 5% swego majątku; łatwem to jest tylko dla ludzi, którzy mają swą własność ulokowaną wyłącznie w formie pieniężnego kapitału; trudnem już staje się wycofanie owych 5% majątku z handlowego czy przemysłowego przedsiębiorstwa, a dla właścicieli domów czy ziemi jest to wycofanie zupełnie niemożebnem; oszczędność

---

[1]) Słusznie pisze Mill (*Principles*, V, ch. VII, § 1), że racyonalnem jest postępowanie, „to submit to as much of the privation immediately, as can easily be borne, and only when any further burthen would distress or cripple them too much, to provide for the remainder by mortgaging their future income. It is an excellent maxim to make present resources suffice for present wants; the future will have its own wants to provide for“.

tu też nie pomoże, bo owe 5% majątku to prawie dochód całoroczny, nieraz dużo więcej, niż dochód, taki więc wielki podatek grozi zachwianiem majątkowem dla całego szeregu jednostek, zmusza ich do użycia kredytu, za który oni musieliby w każdym razie dużo wyższy płacić procent, niż państwo od swej pożyczki płacićby potrzebowało. Ekonomicznym skutkiem takiego nagłego podniesienia podatków byłaby przeto ekspropryacya słabszych majątkowo żywiołów na rzecz silniejszych, częściowa likwidacya socyalna i to w złym kierunku. Za wysokie podatki mogą zawsze te ujemne skutki wywołać, one potwierdzają zdanie Lafitte'a, że „podatki, biorą pieniądze, gdzie ich nie ma“ ; ztąd zależnie od faktycznych stosunków majątkowych, podatkowych, i od wielkości nadzwyczajnego wydatku można uznać w praktyce, celem uniknięcia ekonomicznie złych skutków, szersze ramy dla użycia kredytu, niżby to wskazywały same względy skarbowe, ale można też na tej samej podstawie użyć zwyczajnych dochodów i tam, gdzieby skarbowe względy użycie kredytu dopuszczały, a coby słusznie nazwać można przymusową oszczędnością społeczeństwa na rzecz przyszłych pokoleń.

Jak przez swą wysokość, tak mogą dalej podatki i przez swą chwiejność wywoływać niepożądane następstwa. Zmienna stopa da się bez nadmiernych utrudnień administracyi, podnoszących znacznie koszta poboru, i bez naruszenia równomierności w rozkładzie, zastósować tylko przy nielicznych grupach podatków, mianowicie przy osobisto - dochodowym, a i tu ma podniesienie stopy swe dość ścisłe granice ; bardzo znaczne różnice w corocznej wysokości podatków miałyby i tu swe ujemne następstwa, ztąd też do znacznego podniesienia podatków przystępować tylko należy, skoro trwale przez dłuższy czas wyższe będą potrzeby skarbu; niepokojenie częstemi zmianami stopy podatkowej byłoby ekonomicznie zgubnem, a zwykle i niesprawiedliwem w następstwach, mianowicie przy całej grupie podatków przychodowych i obrotowych. Nie każda przeto przemijająca potrzeba skarbu ma być powodem zmiany stopy podatkowej, ale w tym razie może z ekonomicznych względów być wskazanem posłużenie się przez skarb t. zw. długiem bieżącym.

Tak samo przeto panujący system podatków, jak ich wysokość w porównaniu do dochodu społecznego, oraz rodzaj i trwałość potrzeb mających być pokrytemi, rozstrzygają o możności i słuszności podniesienia podatków. Każde podniesienie podatków będzie faktem niepożądanym dla podatników, oni odczują bezpośrednio ujemne skutki tej wyższej ofiary na rzecz skarbu, ale ten fakt powodowania wyższego ciężaru dla podatników nie może jeszcze być dostatecznem kryteryum dla zgodzenia się na użycie kredytu, lecz równocześnie należy ocenić skutki, jakie pokrycie danych wydatków kredytem publicznym dla gospodarstwa społecznego za sobą pociągnie.

Ocena znaczenia i skutków kredytu publicznego ma po za sobą wielką literacką[1]) historyę, a w teoretycznym tym sporze wystąpiły dwa skrajne, wykluczające się obozy: jeden, oceniający optymistycznie cały kredyt publiczny i jego skutki, przyrównujący go do min złotodajnych, do nowej a skutecznej alchemii, zdolnej państwu dostarczyć pieniędzy na wszystkie potrzeby, uznający go niemal za różczkę czarodziejską, mogącą od razu całe finansowe i ekonomiczne położenie kraju na korzyść przemienić, a przynajmniej uznający go za fakt obojętny, bo kraj nic na tem nie traci, że jedna ręka drugiej płaci swe długi — drugi znów obóz ocenia nader pessymistycznie skutki kredytu publicznego, widzi w nim źródło marnotrawstwa grosza publicznego, niepotrzebnego a zgubnego rozszerzania akcyi państwa, powód wojen i zatargów międzynarodowych, czynnik ogałacający produkcyę z kapitału, przez to niechybnie ubożący kraj, wiodący wprost do ruiny, prowokujący zaciekłe antagonizmy społeczne między wierzycielami państwa a biednymi podatnikami. Nie zbadanie bezstronne skutków kredytu i na tej podstawie wskazanie warunków jego słusznego użycia, ale raczej bezwzględny sąd o kredycie, jego pochwała zupełna, czy potępienie stanowcze, zdawaćby się mogło być celem i powodem owych dawniejszych teoryj.

---

[1]) Dobry przegląd tych doktryn podaje G. Cohn w swej *Finanzwissenschaft*, a trafny szkic pomieszcza Leroy-Beaulieu, j. w. II, 211—243.

Skrajne to w jednym czy drugim kierunku, a niedostateczne stanowisko, chcące raz na zawsze zawyrokować o dodatniej, czy ujemnej istocie kredytu, odnajdujemy nie tylko przy kredycie publicznym, lecz również przy kredycie w ogóle, odnajdujemy je tak w teoryi, jak w życiu. I o kredycie wogóle można naczytać się i nasłuchać podobnych bezwzględnych, a sprzecznych zdań, z jednej strony adorujących go niemal, upatrujących w kredycie nowe bogactwo, najpotężniejszą dźwignię produkcyi i dobrobytu społeczeństwa, uznających ztąd każdy fakt kredytu już sam przez się za dodatni, żądających ztąd wszędzie i zawsze tylko ułatwień dla najszerszego używania kredytu — a równocześnie z drugiej strony słyszymy, że to czynnik coraz dalszego rozstroju społecznego, czyniący bogatych coraz bogatszymi, ubożący coraz bardziej ubogich, przygniatający ich coraz więcej materyalną przewagą pieniężnego kapitału, który skutkiem kredytu wogóle wszystko, ziemię, przemysł, pracę i państwo w coraz wyższym stopniu czyni od siebie zależnem, wszystko dostaje pod swe nieograniczone panowanie. A i w życiu widzimy tę sprzeczność, widzimy jednostki które kredyt wydźwignął z trudności, dla których stał się istotnie czynnikiem dorobku, bogactwa, ale równocześnie widzimy liczne ofiary kredytu, egzystencye zrujnowane wysokością procentów, wypowiedzeniem kapitałów przez wierzycieli, nie mówiąc już o tych, co z własnej winy, skutkiem złego użycia kredytu podupadli, czy też zupełnie upadli. Abstrahując od osób dłużników, a patrząc na gospodarcze stosunki różnych państw, możnaby i tu znów dostrzedz i wykazać owe skrajnie różne skutki, możnaby wykazać olbrzymie dzieła, dokonane dzięki assocyacyi kapitałów umożliwionej dopiero w wysokim stopniu przez kredyt, który, dzięki należytej sieci instytucyj kredytowych, umiał zgromadzić oszczędzony grosz z najdalszych zakątków kraju, krzewił zmysł i fakt oszczędności, dostarczając każdemu możność fruktyfikowania od razu za pośrednictwem tych instytucyj i zupełnie drobnych zaoszczędzonych kwot, możnaby wykazać jako skutek kredytu doniosły wzrost produkcyi, kapitalizacyi, popytu na pracę i bogactwa kraju — ale tak samo nie brak z drugiej strony i smutnych przykładów, gdzie nadmierne ułatwienia

kredytu, antycypowanie spodziewanego dopiero wzrostu wartości, doprowadziły do awanturniczej nadprodukcyi, szalonej a zgubnej spekulacyi towarami, papierami, nawet ziemią, z czego rodziło się straszne przesilenie, likwidacya przymusowa rujnowała bezwzględnie winnych i niewinnych, zadając straty dotkliwe kołom bardzo szerokim, podkopując na długi czas zaufanie, ową niezbędną podstawę kredytu i przedsiębiorczości, wstrząsając całem gospodarstwem społecznem, koncentrując zyski w ręku nielicznej oligarchii pieniężnej, której nadmierna przewaga jest zawsze błędem gospodarczego ustroju społeczeństwa, a niebezpieczeństwem socyalnem.

Sądząc po przykładach skutków, jakie przyniósł kredyt prywatny czy publiczny, można dojść do jednej, czy drugiej z powyższych ocen skrajnych, ale każda z nich jest błędną, żadna nie daje jasnej wskazówki co do słusznego użycia kredytu. Sprzeczne te oceny, różowe i czarne — przyczem subjektywizm autora i miejscowe współczesne stosunki często wielką grały rolę — jeden tylko mają wspólny rezultat, a mianowicie, że kredyt, to instytucya gospodarcza bardzo doniosła, ale i bardzo niebezpieczna, domagająca się stanowczo ścisłego zbadania warunków użycia, aby był dźwignią, a nie czynnikiem rozstroju i ruiny. Prywatny gospodarz używając kredytu ma tu do uwzględnienia tylko warunki, pod jakiemi otrzyma go, i własną sposobność korzystnego użycia. Gdy ma realną szansę zarobienia więcej, niż sam ma zań płacić, a gdy równocześnie warunki wypowiedzenia ze strony wierzyciela nie są w sprzeczności z istotą jego gospodarstwa, to on kredytu użyć może, bez oglądania się dalej już na to, jakie ten fakt mieć będzie skutki dla innych osób. Państwo więcej tu ma do zbadania i rozważenia; najpierw jako dłużnik musi rozważyć to wszystko, co dłużnik prywatny, ale dalej jako naczelne gospodarstwo w kraju ma obowiązek baczyć, jakie skutki dla ogółu gospodarczych stosunków wywoła użycie przez państwo kredytu.

Zbadanie tych skutków ścisłe jest obecnie bardzo utrudnionem przez fakt międzynarodowej migracyi kapitałów. Obrót międzynarodowy papierów pieniężnych, zarówno lokacyjnych, jak spekulacyjnych, rozwinął się do nadzwyczajnych rozmiarów, tak, że izolowane gospodarstwo społeczne należy

do dawno minionej przeszłości, skutek pożyczek państwowych nie objawia się bynajmniej w obrębie jednego gospodarstwa społecznego, lecz wpływa na ogólne międzynarodowe stosunki targu pieniężnego i nawzajem jest od nich zależnym. Ale mimo tego powikłania w życiu, jakie zresztą odnosi się do przeważnej liczby zjawisk ekonomicznych, utrudniając tem samem ich naukowe zbadanie, winna teorya skarbowa przystąpić do ich zbadania, a chcąc otrzymać pewne wyniki, może posłużyć się hipotezą i badać, jakieby skutki w pewnych — hipotetycznych — warunkach kredyt publiczny za sobą pociągnął. Na tej drodze można istotnie otrzymać pewne ścisłe teoretyczne wyniki; mają one i dla praktyki swe wielkie znaczenie, o ile rozumną oceną różnicy między owemi hipotetycznemi a rzeczywistemi warunkami zdołamy ocenić i wynikającą ztąd różnicę skutków. Metoda ta dochodzenia na podstawie hipotezy do teoretycznych wyników ma i miała swe wielkie znaczenie dla teoryi ekonomicznej, dla posunięcia naprzód zrozumienia istoty i związku przyczynowego zjawisk ekonomicznych; przedstawia jednak i ujemną stronę, a mianowicie przez to, że t. zw. praktycy, bez względu nieraz na ową różnicę hipotetycznych a rzeczywistych warunków i pomimo tej różnicy, wynik teoretyczny uważają za pewnik życiowy i ztąd, powołując się na słuszną teoryę, błędnie postępują w życiu, a potem narzekają na teoryę, na naukę, niepomni, że właśnie brak nauki, brak zrozumienia istoty i warunków danych badań, jest ich błędów i zawodów przyczyną.

Także w kwestyi zbadania skutków pożyczek posługiwano się licznie [1]) hipotezą co do źródła, z którego państwo kredyt swój czerpie, a mianowicie może to być bądź to własne gospodarstwo społeczne danego państwa, bądź też zagranica.

Państwowe pożyczki zagraniczne, o ile naturalnie cel wydatku użycie kredytu uzasadnia, mają licznych zwolenników. Podnoszą oni z naciskiem różne ich zalety, z których najważniejszą: przybytek nowego kapitału do kraju.

---

[1]) N. p. Mill, Leroy-Beaulieu, a zwłaszcza Ad. Wagner.

Skutkiem tego może łączna produkcya krajowa być wyższą, aniżeli bez tego przybytku kapitału, ciężar wykonania inwestycyj czy pokrycia strat zostaje istotnie przełożony z biedniejszej teraźniejszości na bogatszą przyszłość, bogatszą, bo opartą o wyższą produkcyę, niż teraźniejszość. Pokrywając swe nowe wydatki podniesieniem podatków, czy w drodze pożyczek krajowych, powoduje państwo redukcyę rozporządzalnych zasobów gospodarstwa społecznego, może wywołać ograniczenie konsumpcyi, częściowe ogołocenie krajowej produkcyi z dostatecznego kapitału, co powstrzyma jej wzrost, lub ją nawet obniży, może, wytwarzając konkurencyę w popycie za kapitałem, przyczynić się do podrożenia procentu w kraju, co podnosząc koszta krajowej produkcyi byłoby powodem znacznych strat. Przed zaistnieniem tych skutków ujemnych chroni istotnie pożyczka zagraniczna, a jeżeli bacząc na międzynarodowy ruch kapitałów wystąpiono z zdaniem, że kapitał nie ma i nie zna ojczyzny, tylko szuka najkorzystniejszego dla siebie zajęcia, że on przeto i bez interwencyi państwa dopłynie tam, gdzie go będzie potrzeba, wypełni luki powstałe w wyposażeniu kapitałem produkcyi krajowej skutkiem pożyczek państwowych, to wbrew temu trzeba jednak podnieść, że warunki otrzymania kredytu zagranicą ze strony państwa są zwykle korzystniejsze i co do procentu i co do warunków spłaty, niż warunki, jakie zdołają otrzymać prywatni, i to już skutkiem samej dużo wyższej i szerszej podaży kapitałów, skłonnych prędzej stać się wierzycielami jakiegoś państwa, niż osób czy przedsiębiorstw prywatnych. A jak zaciągnienie pożyczki za granicą jest przybytkiem kapitału do kraju, i już przez to zyskiem, tak i powstawanie wierzytelności w ręku zagranicy jest dowodem, że własny kapitał krajowy ma w prywatnej produkcyi korzystniejsze zajęcie, a cała ta różnica między procentem wygospodarzonym w krajowej produkcyi, a procentem płaconym od długów państwowych zagranicy, jest czystym zyskiem dla kraju [1]).

---

[1]) Nasse: *Steuern und Staatsanleihen* (w *T. üb. Ztschrft.* 1868) str. 26: „Staatsschulden werden nur dann in den Besitz der Ausländer gelangen, wenn das Inland eine bessere,

Ale nie brak i ciemnych stron i niebezpiecznych skutków pożyczek zagranicznych. Nie za darmo otrzymało się tę pożyczkę, trzeba ją oprocentować i kiedyś trzeba będzie spłacić, a jedno i drugie przedstawia pewne niebezpieczeństwa dla kraju. Regularna wypłata procentów za granicą wpływa trwale niekorzystnie na bilans płatniczy kraju, domaga się regularnej nadwyżki eksportu krajowego nad import, korzystnego salda bilansu handlowego, bez czego przyjdzie do zachwiania i podrożenia stosunków dyskontowych kraju [1]), albo do dalszego znów zadłużenia wobec zagranicy. Nie mając bowiem nowych wierzytelności z nadwyżki eksportu powstałych w mierze dostatecznej, trzeba celem uiszczenia swych zobowiązań zagranicznych albo znów posłać dalsze krajowe papiery, powiększyć zadłużenie, przez to samo na przyszłość spotęgować jeszcze ryzyko z zadłużenia zagranicznego wynikające, albo też wprost posłać gotówkę t. j. kruszec monetarny, ogołacając bank biletowy częściowo z metalicznego pokrycia, czego znów następstwem będzie podrożenie kredytu w całym kraju, utrudnienie produkcyi, zniżka cen, a co wreszcie, zadawszy wpierw liczne rany gospodarstwu społecznemu, doprowadzić może w razie utrwalenia się tego stanu, w razie chronicznego deficytu w bilansie płatniczym, aż do zawieszenia wypłat kruszcem, do popadnięcia w walutę papierową, jak tego Włochy świeżym przykładem, a taki rezultat jest klęską istotnie nieobliczalną.

Do ujemnego tego rezultatu, do chronicznego deficytu w bilansie płatniczym, trwałej niedostateczności bilansu towarowego, tem łatwiej niestety przyjść może, że w sprawach eksportu i jego materyalnych rezultatów kraj żaden nie stoi

---

einträglichere Verwendung für sein Capital hat, und die Differenz zwischen den Zinsen, welche der Staat zahlt, und denen, welche die inländische Privatindustrie mit ihrem Capital macht, ist dann ein reiner Gewinn für die Volkswirtschaft".

[1]) Dla całej kwestyi wypłat międzynarodowych zwracam uwagę na sławne dzieło Goschena: *Theory of foreign exchanges*, dalej Schraut: *Auswärtige Wechselcurse*, a z nowszej literatury, Edmond Théry: *La crise des changes.* 1894.

niezawiśle, nie zależy wyłącznie od rezultatów swej produkcyi, lecz jest wysoce zależnym od działalności i polityki gospodarczej innych państw, tak swych wierzycieli, jak i innych. Zmiana taryf cłowych, czy kolejowych, budowa nowych sieci kolei, kanałów, uspławnienie rzek, może wywołać radykalny przewrót w warunkach zbytu za granicą, w warunkach eksportu, może je stanowczo pogorszyć, a to samo może też nastąpić poprostu skutkiem nowego współzawodnictwa w danej grupie produkcyi, pracującego w dużo korzystniejszych warunkach, przed czem i najkorzystniej zawarte traktaty handlowe, mogące na szereg lat zabezpieczyć przed niespodzianą i niekorzystną zmianą taryf cłowych i transportowych, nie zdołają bynajmniej uchronić. A zadłużenie zagraniczne zmusza do eksportu; nie dając zaś rękojmi możności trwałej korzystnego eksportu, jest istotnem niebezpieczeństwem.

Niebezpieczeństwo to występuje jeszcze i pod innemi względami. Kredyt państwowy ma bynajmniej nie tylko skarbowe, finansowe, ani bynajmniej nie tylko ekonomiczne znaczenie — owszem znaczenie jego jest w równej mierze polityczne, on jest i powinien być tą ostatnią pomocą, do której państwo powinno mieć możność skutecznie zaapellować w chwili groźnego niebezpieczeństwa, wtedy, gdy chodzić będzie o obronę, o zwycięztwo, o przyszłość i niezależność kraju.

Państwo posiadające znaczne długi za granicą nie ma pewności żadnej, czy na pomoc tę liczyć zdoła w chwili najważniejszej, bo nieprzyjaźń zagranicznego mocarstwa, skłaniająca swych kapitalistów do rzucenia na targ znacznej ilości papierów danego państwa może zachwiać, czy zniszczyć kredyt tegoż państwa właśnie w chwili dlań najważniejszej. Uczyniła to Anglia przeciw Rosyi, i nie bez skutku, w początku wojny 1877 r.; usiłował deprecyacyą papierów rosyjskich zmusić Rosyę do politycznej uległości ks. Bismarck, i jedynie politycznemi znów motywami podyktowana ofiarność i gotowość nieograniczona do finansowego poparcia Rosyi ze strony Francyi, unicestwiła zamiary finansowe antirosyjskie „żelaznego kanclerza“. Ale na taką skuteczną pomoc trzeciego państwa nie każdy i nie zawsze liczyć może, i ztąd uzasadnioną jest obawa, że znaczne użycie kredytu zagra-

nicznego wywołać może zgubną finansową i polityczną zależność od zagranicy. I bez politycznych powodów i wpływów tworzy dalej zagraniczne zadłużenie wyższy stopień ekonomicznej zależności. Obce fakta gospodarcze — przesilenie gospodarcze czy nowa, korzystna dla wierzycieli emissya innego państwa, lub wielka liczba nowych zarobkowych przedsiębiorstw z wielką szansą zysku — gotowe spowodować rzucenie niespodziane na targ znacznej ilości papierów danego państwa, co od razu gwałtowne pogorszenie bilansu płatniczego, zniżkę kursów, podrożenie dyskonta, przykre wstrząśnienie całości gospodarczych stosunków za sobą może pociągnąć. Słusznie podnoszono nieraz możność stopniowego, powolnego odkupna papierów krajowych od zagranicy, jako zaletę kredytu zagranicznego, bo to dozwala na stopniowe wyrabianie się społeczeństwa z długów — choć chwaląc ten fakt przeoczono, że wtedy zwykle kraj odkupuje swe długi, po wyższym kursie, niż je objęła zagranica — ale to ryzyko pojawienia się od razu, w chwili nieodpowiedniej, znacznej ilości papierów krajowych na targu tworzy odwrotną i niekorzystną stronę medalu. Lichym dowcipem starano się raz uspokoić odnośne obawy [1]), twierdząc, że „do kupna jak do małżeństwa należą dwie strony“, że zagranica sprzedać nie może, gdy kraj odkupić nie zechce; ale dowcip to bardzo lichy i fałszywe porównanie, bo renta państwowa przecież nie może na giełdzie pozostać bez nabywców, bez kursu, kurs ten w braku licznych chętnych nabywców spadnie, ale ona ostatecznie nabywców znajdzie, a tylko każdy procent zniżki kursu renty państwowej jest ciężkim ciosem dla gospodarstwa kraju, stać się może wielką dlań klęską. Ztąd też uznając w całej pełni zaznaczone wyżej korzyści i zalety zasilenia w pewnych warunkach kapitałów krajowych pożyczką zagraniczną, uznając z Ad. Wagnerem „kulturnohistoryczną misyę międzynarodowego kredytu“, jako czynnika dźwigającego ekonomicznie opóźnione w gospodarczym

---

[1]) Wydawca *Neue Freie Presse*, p. Benedict, w ankiecie walutowej austryackiej 1892.; *Stenogr. Berichte* str. 21. Prof. K. Menger w swem przemówieniu w ankiecie bardzo dobrze to skrytykował.

rozwoju czy podupadłe kraje i narody, uznać jednak trzeba z drugiej strony, że ta skuteczna „pomoc dla biednych“ bynajmniej nie jest obojętną, że to środek, który rozumna polityka finansowa tylko w pewnych warunkach i do pewnego stopnia użyć może i powinna [1]), że wreszcie prawdą jest zdanie, iż szczęśliwe, bo bezpieczne i niezależne od obcych, są narody, co tej — ryzykownej — pomocy kredytu zagranicznego używać nie potrzebują. Wielkie zadłużenie zagraniczne nie jest bynajmniej ideałem finansowej polityki.

Skutki ekonomiczne pożyczek krajowych, t. j. dokonanych w kraju, czy istotnie udzielonych przez kapitał krajowy, różnią się od pożyczek zagranicznych przedewszystkiem tem, że nie powodują żadnego przybytku kapitału do kraju, nie przenoszą ciężaru danych wydatków „z uboższej teraźniejszości na bogatszą przyszłość“, nie stanowią przeto żadnej ulgi dla kraju, bo pożyczki te — podobnie jak podatki — są pokryte z istniejących w danej chwili zasobów społeczeństwa. Gdyby zamożność w społeczeństwie była zupełnie równo rozdzieloną — co naturalnie jest nierealną hipotezą — to nie byłoby żadnej różnicy w skutkach ekonomicznych między pobraniem potrzebnego dochodu przez skarb w drodze pożyczki krajowej, czy w drodze podatków; w obu bowiem razach całe gospodarstwo społeczne i każde gospodarstwo prywatne z osobna równą sumę zasobów oddawałoby na cele gospodarstwa skarbowego, a jedynie tytuł oddania byłby odmiennym, dobrowolnym lub przymusowym. Faktycznie istniejące różnice majątkowe w społeczeństwie [2]), oraz mały tylko stopień równomierności obciążenia, jaki panującym sy-

---

[1]) Ryzyko pożyczki zagranicznej wzrasta znacznie, skoro dług zaciągnięto w walucie odmiennej, niż krajowa. Tak n. p. Indye mając do płacenia w Anglii około 15 mil. funtów szterlingów rocznie, potrzebowały na to dawniej, przed demonetyzacyą srebra w Europie, około 150 mil. rupij indyjskich; później na to samo prawie 200 mil. rupij było potrzeba. Por. mój *Stosunek wartości złota do srebra*, str. 67, str. 5—10.

[2]) Por. Dietzel: *System der Staatsanleihen*, 1855, str. 152 i d. Dziełko bardzo dobre, ale idące za daleko w zgodzie na użycie kredytu.

stemom podatkowym udało się osiągnąć, powodują znaczne różnice w skutkach ekonomicznych, wywołanych w razie ściągania potrzebnych dla skarbu kwot w drodze pożyczki lub w drodze podatków. Zadaniem praktycznej polityki finansowej jest w każdym wypadku obrać tę drogę, która mniej złe skutki za sobą pociągnie, a drogą tą bynajmniej nie zawsze jest pożyczka. Zależy to i od wielkości sumy, o jaką chodzi, i od systemu podatków, i od ustroju gospodarczego w kraju, i wreszcie wprost od współczesnych stosunków krajowego targu pieniężnego, stopnia rozporządzalności kapitałów w kraju. A pod tym względem mogą istotnie wielkie zachodzić różnice. Może być położenie, gdzie znaczne kapitały daremnie szukają korzystnej a pewnej lokacyi — co tak przy wielkiem bogactwie kraju, jak przy braku przedsiębiorczości, oraz w epokach zastoju wielkiem przesileniem wywołanego zachodzić może — gdzie więc te kapitały leżą bezużytecznie i gotowe kraj opuścić, skoro tylko im gdzieś w świecie okaże się szansa korzystnego zajęcia, i mogą znów być położenia, gdzie popyt na kapitał jest tak wielkim i silnym, chęć użycia go tak intensywna, że wierzyciele zdołają wysokie co do procentu i wzrastające stawiać wymagania, że każda oszczędność znajdzie od razu korzystne zatrudnienie, a stan ten przewagi popytu na kapitał nad podażą kapitałów zaraz rozporządzalnych znów może wynikać bądź to z absolutnej niezasobności kraju, bądź też z znacznego wzrostu produkcyi — n. p. po odkryciu ważnych nowych kopalń, czy w epoce stósowania doniosłych wynalazków — bądź też wynikać może z niezdrowej spekulacyi i nadmiernego odpływu kapitałów z kraju, co tak ekonomicznemi, jak politycznemi przyczynami może być wywołane. Między temi ekstremami nadmiaru i niedostatku kapitału w kraju istnieją naturalnie różne stopnie przejściowe, a zależnie od faktycznej rozporządzalności kapitałów wywrze pożyczka państwowa różny wpływ ekonomiczny, względnie państwo tylko wtedy do pożyczki uciec się może i powinno, o ile jej skutki nie będą wprost ujemne dla kraju. Gdy niema braku kapitałów, gdy owszem grozi ich bezczynność, czy ucieczka z kraju, czy też rzucenie się wprost na spekulacyę z braku sposobności wzięcia udziału w produkcyi, wtedy pożyczka państwo-

wa -- o ile także cel ją uzasadnia — może być wprost dobrodziejstwem dla kraju, bo powstrzyma zbytnią zniżkę procentu, ochroni substancyę kapitału od straty czy emigracyi, powstrzyma anormalny wzrost cen ziemi, domów, papierów, a nie przyniesie żadnego uszczerbku produkcyi krajowej. W tym też razie jest słuszniejszem celem pokrycia wydatków nadzwyczajnych użycie pożyczki, a nie podwyżki podatkowej.

Ale inne będą skutki i innym sąd o pożyczce w razie przewagi popytu nad podażą kapitałów, przy niedostateczności rozporządzalnych kapitałów. Wiemy już, że stan ten z różnych powodów zaistnieć może; jest to epoka, gdzie skutkiem braku rozporządzalnych kapitałów produkcya i tak już walczy z trudnościami, nie może dźwignąć się odpowiednio, opóźnia się postęp gospodarczy, cierpi na tem dobrobyt i pomyślność kraju. W takiem położeniu nie otrzyma rząd pożyczki po korzystnych warunkach, za niski procent i po wysokim kursie; chcąc pożyczkę otrzymać, będzie zmuszonym przyznać znaczne korzyści wierzycielom swym: wysokim procentem, niskim kursem, dogodnością wpłaty, ograniczeniem prawa konwersyi, opodatkowania dochodu z tej pożyczki, jej spłaty, temi i może dalszemi jeszcze przywilejami — n. p. przy konwersyach, lombardowaniu — starać się będzie rząd pozyskać pożądane kapitały, pobić współzawodnictwo przedsiębiorców prywatnych w poszukiwaniu wolnych kapitałów, a dzięki swej zwierzchności skarbowej, dzięki prowizyom, jakie w równej wysokości nikt inny pośredniczącym bankom przyznać nie zdoła, ma stanowczą szansę, ma pewność zwycięztwa w tej konkurencyi poszukiwania za kapitałem. Skutki takiej pożyczki będą dwustronnie bardzo ujemne: najpierw dla skarbu, przez faktyczną drogość pożyczki i nieraz na długie lata związanie sobie rąk w sprawie ulżenia tego ciężaru przez konwersyę czy spłatę — dalej będą te skutki równie ujemne ze względu na całe gospodarstwo społeczne, ze względu na rozdział zamożności i ciężarów publicznych w społeczeństwie. Pierwszym wybitnym, a ujemnym skutkiem, będzie wzrost procentu w kraju, a kto zna życie, ten wie, że każda podwyżka procentu w stolicy odbija się w progressyi prawie geometrycznej na prowincyi, na powiecie, zwłaszcza

dla tych, co z trzeciej czy czwartej ręki dopiero kredyt otrzymują. Wzrost taki staje się ciężkim ciosem dla całej produkcyi krajowej, grozi ruiną lub stratami licznym przedsiębiorstwom. Falą powrotną odbije się to i na wysokości płacy, na trwałości zarobku robotników, w ilościowym i jakościowym popycie na pracę i to w kierunku ujemnym, powodując zniżkę płacy, przerwy w zatrudnieniu, pogarszając dotkliwie położenie warstw robotniczych. A o ich doli nawet wobec zadań państwowych nam nigdy zapominać nie wolno. Mógł pocieszać się ciasny manchestryanizm zimną i brzydką formułą: „Pomagaj sobie człowiecze"! z ową nieubłaganą konsekwencyą: „A gdy pomódz sobie nie zdołasz, to giń i bądź pognojem dla innych, szczęśliwszych, silniejszych, co po tobie nastąpią". Ale to niemożebne, nieludzkie stanowisko, ono nam wystarczyć nie zdoła i nie powinno. A więc i wpływu na tę dolę wywartego czynami państwa, chociażby tylko pośredniego, przeoczać nie wolno. Wpływ ten istnieje w powyższych warunkach przy pożyczkach państwowych, a ujemny ten wpływ na dolę robotników i warunki bytu całej produkcyi, wszystkiego co od niej zależy, wystąpi tem silniej, gdy sumy z danej pożyczki zebrane zostaną zupełnie nieproduktywnie użyte, zwłaszcza gdy zupełnie odpłyną z kraju, n. p. na budowę floty zagranicą, uiszczenie kontrybucyi wojennej i t. p.

Obok pogorszenia ogólnych warunków gospodarstwa społecznego, następuje jeszcze skutkiem takiej pożyczki niekorzystna przemiana w rozdziale zamożności i ciężarów publicznych. Jedna klasa ludności zyska kosztem wszystkich innych i kosztem kraju. Wierzyciele państwowi stać będą lepiej, niż dawniej; oni tylko dlatego pożyczyli państwu — a mówimy tu o pożyczkach dobrowolnych nie o (wyjątkowych) pożyczkach przymusowych, które skutkami swemi więcej do podatków majątkowych, niż do pożyczek są zbliżone — że to było chwilowo *najkorzystniejsze* ulokowanie kapitału, dające im wyższy dochód, niż mieli dawniej. Procent zaś tej pożyczki, nie mówiąc nawet o spłacie, domagać się będzie wyższej sumy dochodów zwyczajnych, a więc podwyżki podatków, która ciężarem swym spadnie na wszystkich, wszystkim utrudni byt, z jedynym wyjątkiem posiadaczy pieniężnego kapitału, którzy stać będą lepiej, niż daw-

niej. I dlatego też wielkim — a niestety częstym — błędem jest, że różni politycy w kwestyach finansowych jednostronnie informują się u bankierów — a tacy rzeczoznawcy nie zawsze są wolni od wpływu osobistego interesu — zamiast zajrzeć do dzieł naukowych [1]). Ztąd w takich warunkach, mianowicie gdy chodzi o ściśle nieproduktywny wydatek, okaże się nieraz zwyżka podatków — o ile chodzi nie o olbrzymie sumy — słuszniejszą, bo mniejszem złem. Nie będzie przynajmniej jednostronnego zbogacenia kosztem całego kraju

---

[1]) Mill: *Principles*, v. I, ch. V. § 8. „Whenever capital is withdrawn from production, or from the fund destined for production, to be lent to the State and expended unproductively, that whole sum is withheld from the labouring classes: the loan therefore is in truth paid off the same year; the whole of the sacrifice necessary for paying it off is actually made: only it is paid to the wrong persons and therefore does not extingnish the claim; and paid by the very worst of taxes, a tax exclusively on the labouring class. And after having in this most painful and unjust way, gone through the whole effort necessary for extinguishing the debt, the country remains charged with it and with the payment of its interest in perpetuity". Podobnie Ad. Wagner: „Im Werte der Schuldtitel erhält sich das *Privat*kapital der Kapitalisten für sie als Besitzer, selbst wenn es für einen ganz unproductiven Zweck vom Staate verzehrt worden, also als Teil des *National*kapitals untergegangen ist. Ein besonderes Bestreben..... durch vermehrte Thätigkeit und Sparsamkeit einen solchen Verlust wieder einzubringen, besteht daher hier für die Kapitalisten nicht, denn sie haben als Private ja gar keinen Verlust erlitten. An der Last für die unproductive Verzehrung nehmen sie keinen reellen Anteil. Diese Last muss also hier vollständig von den übrigen, besonders von den unteren, nicht besitzenden Klassen getragen werden". (W Schönberg's *Hnd. B.* III, 1, 790). Leroy-Beaulieu dochodzi tu także do wyniku (j. w. II, 215): „Les rentiers ne gagnent les intérêts du capital prêté à l'État qu'aux dépens des contribuables qui les paient..... Quand il y a un emprunt, l'une des parties est lésée; quand il n'y a pas d'emprunt, chacune des deux parties, les contribuables et les rentiers, a à sa disposition la somme qui, dans le cas d'un emprunt, n'appartiendrait qu'à l'une d'elles".

i innych warstw ludności, ciężar będzie równiej, bo przez wszystkich ponoszonym, wszyscy doznają redukcyi dochodu, ztąd reprodukcya tej straty kapitału przez ogólną oszczędność może nastąpić łatwiej i szybciej, niż gdy tylko część społeczeństwa jest redukcyą dochodów dotknięta i do oszczędności pewnej zmuszona.

W tym stopniu ujemne skutki jednak nie zawsze potrzebują wystąpić. Zależy to mianowicie także od celu, na jaki państwo tę pożyczkę zaciąga. W epoce, gdy każdy wydatek państwowy uważano z góry za bezproduktywne zużycie, przeoczano tę różnicę; ale ona jest w rzeczy uzasadnioną, państwo może daną pożyczkę użyć produktywnie w kraju, państwo może nawet — n. p. budując kolej, przeprowadzając doniosłe melioracye wodne — użyć produktywniej, więcej z pożytkiem ogólnym całego gospodarstwa społecznego ów pożyczony kapitał, aniżeliby to zdołały uczynić przedsiębiorstwa prywatne. W tym też razie nie będzie ubytku w popycie na pracę, tylko co najwyżej zmiana popytu, ogólne warunki pracy i płacy nie pogorszą się wcale; nie będzie dalej ubytku produktywnej działalności kraju, tylko znów częściowa zmiana produkcyi, mająca często znaczenie dodatnie, jako korzystne przekształcenie ogólnych warunków produkcyjnych dla licznego szeregu gospodarstw w kraju. O ile zresztą i sposób wpłaty pożyczki — n. p. drobnemi miesięcznemi kwotami w urzędach podatkowych całego kraju — umożliwi szerokim kołom pokrycie znacznej jej części stopniową oszczędnością, to zmniejsza się bardzo daleko ów ujemny wpływ na rozdział zamożności i ciężarów publicznych, może to nawet zupełnie nie nastąpić.

Przypuszczenie powyższe ograniczenia kraju wyłącznie na swój kapitał, ma w znacznej mierze znaczenie tylko hipotetyczne, nosi cechę prawie wyjątkową, ale pomimo wielkiego międzykrajowego i międzynarodowego ruchu kapitałów i dziś jeszcze — chociażby tylko czasowo, wśród specyalnie niekorzystnych gospodarczych i politycznych warunków — do takiej izolacyi kraju przyjść może, i to tem więcej, im biedniejszym jest kraj, im więcej niepewną jest opinia o całości jego wewnętrznych stosunków. Radykalne agitacye, co tyle burzą i tyle krzyczą, są i pod tym względem zgubne

dla kraju, ale zgubnym jest i zaskorupiały zastój, nie skory do przyłożenia ręki do świadomej naprawy stosunków i poprawy bytu kraju. To pewna, że gdzie gospodarstwa publiczne, państwo, kraj, wielkie gminy czy wielkie towarzystwa, nie są w stanie korzystnie ulokować swych papierów za granicą, nie otrzymują zagranicznej pożyczki — tam i wtedy nie otrzymają też pomocy zagranicznych kapitałów gospodarze prywatni, chyba po bardzo uciążliwych warunkach, tak że owa hipoteza o absolutnem ograniczeniu kraju tylko na własny kapitał może i dziś stać się prawdą. Z tem niebezpieczeństwem mniej potrzebują liczyć się kraje bogate, bo sam fakt bogactwa czyni i łatwiejszą pewną redukcyę kapitału w produkcyi prywatnej i trwalej utrzymuje zaufanie zagranicy, skorość jej do udzielenia pożyczki; ale kraje biedne, zacofane, z niebezpieczeństwem tem liczyć się powinny, i nie chcąc rzekomą pracą dla dźwigania kraju — nieudałe melioracye!—pogorszyć trwale stosunków przez zaprzepaszczanie kapitałów, winny tem staranniej badać przeznaczenie pożyczek, nie łudzić się co do znaczenia gospodarczego różnych t. zw. publicznych inwestycyj, winny dawać przewagę inwestycyom stanowczo produkcyjnym, a i co do ich wykonania zachować stósowną miarę.

Dla oceny ekonomicznych skutków kredytu publicznego ważnem jest rozpatrzenie kwestyi amortyzacyi długów, i to tak ze względu na wielką jej doniosłość dla wielkości rzeczywistego ciężaru długu, jak ze względu na różne bałamutne, zbyt optymistyczne lub zbyt pessymistyczne wyobrażenia panujące co do tej sprawy. I tu znów rozważać trzeba względy ściśle skarbowe i względy społeczno-ekonomiczne. Ściśle skarbowe względy uznać mogą uprawnienie długów tylko o tyle, o ile w gospodarstwie skarbowem — w formie inwestycyj — istnieje ich materyalny ekwiwalent, gdy passywa skarbu mają odpowiednie pokrycie w jego aktywach. O ile niema odpowiednich aktywów — jak n. p. przy długach powstałych wskutek klęsk, wojen—to *a priori* słusznem jest jak najszybsze ich spłacenie; i ztąd też domagaćby się trzeba spłaty i długów powstałych na inwestycye w miarę ustawania skutków dodatnich, względnie w miarę zużywania się danej inwestycyi. Za spłatą przemawia dalej

wzgląd, że pożyczając w złych czasach, gdy nagła wystąpi potrzeba, a nie spłacając w czasach pomyślnych, wolnych od wydatków nadzwyczajnych, a przynajmniej od wydatków ściśle nieprodukcyjnych, dochodziłoby się wreszcie do kolosalnej sumy długów, zgniatającej ciężarem swym budżet państwowy. Naiwnością i lekkomyślnością byłoby zapomnieć o tem, że tak zwane złe czasy dla skarbu, konieczność wielkich wydatków i na instytucye publiczne i na cele ściśle nadzwyczajne, nie są bynajmniej wykluczone, że one i zdarzyć się i powtarzać mogą, a tak samo może gospodarstwo społeczne przechodzić epoki przesilenia, zastoju, które stanowczo obniżą wydatność podatków, zmniejszą skarbowe dochody i zdolność do działania. Nie spłacając dawnych długów, w miarę potrzeby zaciągając nowe, dojdzie wreszcie kraj do nadmiaru długów, do chronicznego deficytu. Wtedy konwersya długów, mająca dostarczyć pożądanej ulgi w ciężarze oprocentowania długów, jest prawie wykluczoną, a przynajmniej wielkiej korzyści przynieść nie zdoła, bo tylko pewny dłużnik może liczyć na korzystne, na lżejsze warunki ze strony wierzycieli, dłużnikowi zaś niepewnemu, niedbałemu za wczasu o poprawę swych finansów, nie przyzna się ulgi. Nie spłacając a pożyczając, dojść można do bankructwa, poprzedzonego zwykle długą, rujnującą gospodarstwo społeczne epoką waluty papierowej — tego niewypowiedzialnego długu bieżącego — zniszczyć warunki rozwoju, czy nawet egzystencyi dla państwa.

O ile niespłacanie długów przedstawia istotne niebezpieczeństwo dla skarbu, o tyle spłacanie stopniowe przedstawia szereg poważnych korzyści, a mianowicie przedewszystkiem polepsza stanowczo na przyszłość stan majątkowy skarbu, jego zdolność kredytową, wytwarza szansę korzystnej konwersyi pozostałych długów, jako też korzystnych warunków przy nowych długach; o ile dalej chodzi o pożyczkę krajową, to spłata jej ma i tę zaletę, że zwraca gospodarstwu społecznemu odciągnięte mu wpierw kapitały, przez to zasila produkcyę i popyt na pracę w kraju. Jeżeli zresztą uznać trzeba uprawnienie kredytu wszędzie tam, gdzie dzięki odnośnym wydatkom wytworzyło się pewną korzyść społeczeństwa na przyszłość, to tak samo uznać trzeba i obowią-

zek spłaty w miarę zaniku tej korzyści, w miarę tego, jak odnośny wydatek trzeba będzie ponowić. Inaczej obarcza się przyszłe pokolenia ciężarami bez ekwiwalentu, oddaje im się nadszarpaną spuściznę bez dobrodziejstwa inwentarza, utrudnia im spełnienie współczesnych im zadań, co do zastoju i przerwy w postępie, znaczeniu i dobrobycie społeczeństwa doprowadzić może.

Ale nie braknie i tu optymistów, uważających amortyzacyę za niepotrzebną, obawy na tem oparte za nieuzasadnione. Optymizm swój opierają oni na nadziei, że zamożność społeczeństwa stale wzrastać będzie, tak iż procent dawnych długów nigdy zbytnio późniejszych nie obarczy pokoleń, i liczą na to tem pewniej, że i na przyszłość spodziewają się zniżki wartości pieniądza, jaka w dawniejszych epokach wystąpiła kilkakrotnie, a uznając słusznie państwo za gospodarstwo — w idei przynajmniej — wieczyste, godzą się na wieczyste długi. Jak zawodnym i nieuzasadnionym jest powyższy optymizm co do gospodarczego rozwoju, o tem mówiliśmy już wyżej, a ztąd też wielce niebezpieczną jest oparta na niej teorya, zaprzeczająca potrzebie i uzasadnieniu stopniowej spłaty długów. Potrzeba ta jest rzeczywistą, uzasadnienie niewątpliwem, ale nie zawsze ma skarb możność po temu. Jedynym bowiem i słusznym i prawdziwym środkiem spłaty długów, jest nadwyżka dochodów zwyczajnych skarbu nad wydatki zwyczajne. Wiemy, jak trudno jest częstokroć o utrzymanie prostej równowagi budżetu—tem trudniej naturalnie o nadwyżkę; mając ją otrzymywać trwale, trzeba powstrzymywać wzrost wydatków, zachowywać i nadal wszelkie dochody skarbowe; o zniżce podatków myśleć wtedy nie można. Powstaje przeto pytanie, czy lepiej jest amortyzować, a nie zniżać podatków, czy też lepiej zrzec się amortyzacyi, a zniżyć podatki, mianowicie te ich grupy, co najwięcej cisną konsumpcyę, czy utrudniają produkcyę. I to są te drugie względy, rozstrzygające o uzasadnieniu amortyzacyi w praktyce. Odpowiedź na odnośne pytanie może być daną jedynie na podstawie dokładnej realnej znajomości stosunków danego państwa—czy też kraju, lub gminy, o ile chodzi o komunalne finanse — po ścisłem rozpatrzeniu i rozważeniu tak systemu podatków, jak stopnia podatkowego

obciążenia, tak sumy i rodzaju długów, ciężaru ich procentu, warunków spłaty, jak rozwoju i ustroju gospodarstwa społecznego i stopnia spełniania zadań, a zaspokojenia potrzeb publicznych. Różne te czynniki nie dopuszczają do szablonowej, raz na zawsze odpowiedzi, domagają się raczej, aby przed rozstrzygnięciem pytania: podnieść podatki celem amortyzacyi, a przynajmniej utrzymać dawną ich wysokość? czy też nie podnosić, lub nawet obniżyć podatki, zrzekając się amortyzacyi? wszystkie powyższe momenta dokładnie ocenić. A odnośna decyzya—za, czy przeciw amortyzacyi—nie może znów nigdy być stałą, powziętą raz na zawsze, bo w miarę zmiany stosunków, odpowiednio zmienić należy i ową decyzyę. Ztąd stały, na wiele lat rozłożony plan amortyzacyi, zmuszający bezwzględnie do cyfrowo oznaczonej spłaty, przedstawia więcej wątpliwości, niż zalet, tak samo, jak znów przeznaczanie na amortyzacyę stałej dotacyi — n. p. całego dochodu z podatku spadkowego—jest niesłusznem skrępowaniem swobody zarządu skarbowego. Za jednem i drugiem przemawia tylko obawa, że bez przymusu spłaty czy stałej *ad hoc* dotacyi zawsze znajdzie się dość argumentów, aby bądź to inaczej użyć budżetową nadwyżkę, powiększyć wydatki skarbu, bądź też aby nie podnosić podatków jedynie celem spłaty, lub aby je zniżyć—a zwłaszcza to ostatnie żądanie znajdzie argument w optymistycznem twierdzeniu, że każda podwyżka podatków obniża kapitalizacyę, za to zaś każda zniżka ją powiększy, zbogaci kraj, uzdolni go do dźwigania na przyszłość i wyższych ciężarów. Argument ten jest optymistycznym, bo pewności niema żadnej, czy zyskana skutkiem redukcyi podatków przez podatników kwota użytą będzie na kapitalizacyę, czy też na konsumpcyę, owszem, spodziewać się można, że znaczna jej część pójdzie na konsumpcyę, a zatem nie uzdolni społeczeństwa w wyższym stopniu na przyszłość do dźwigania ciężarów publicznych. Lekkiem sercem nie można przeto zaniechać spłaty długów publicznych; owszem, zachowując słuszną, stosunkami ekonomicznemi wskazaną miarę co do szybkości i wielkości ich spłaty, trzeba uznać w zasadzie konieczność tej spłaty, a w praktyce można odstąpić od tej zasady tylko na pewien czas, oraz o ile, bądź to nadmierne ciężary publiczne,

bądź też niedostateczny rozwój działalności państwowej skutkiem zbyt miernego uposażenia, rzeczywiście nie dozwolą na zbieranie nadwyżki, czy jej użycie na spłatę długów.

Dla oceny skutków, jakie kredyt publiczny za sobą pociąga, jest ważną pomocą historyczne zbadanie, jakie on istotnie w różnych krajach skutki przyniósł w przeszłości. Domagałoby to się przedstawiania historyi gospodarczego rozwoju, historyi finansów, jak również specyalnie historyi długów poszczególnych państw; te jednak wywody, również jak przedstawianie szczegółowe formy długów, ich rodzajów, sposobów emissyi i spłaty, przekraczają zamierzony zakres tej pracy, to też i co do nich odsyłamy do specyalnej, powyżej podanej literatury.

Powyżej już, omawiając momenta rozstrzygające o użyciu kredytu, jak również o spłacie długów, zaznaczono wielokrotnie, że obok skarbowych i ekonomicznych względów, należy tu wciągnąć w rachubę również faktyczne stosunki, a więc cały ustrój gospodarczy, społeczny, nawet polityczny danego państwa, oraz podniesiono już niektóre momenta z tych stosunków, wpływające na słuszną decyzyę co do użyć się mających środków pokrycia. Stosunki te faktyczne, badane pod tylu względami, są tak różne i tak zmienne, że kazuistyczne rozwiązanie wszystkich ewentualności, wszystkich możebnych kombinacyj stosunków — przyczem i psychologiczne momenta, panujące w opinii dążenia, czy ideały, należałoby wciągnąć w rachubę — i to kazuistyczne badanie z celem, aby na każdy specyalny wypadek dać z góry specyalną odpowiedź, niejako na wzór osobnej recepty na każdą słabość, zupełnem, wyczerpującem, przewidującem wszystko, nigdyby nie było i nigdyby być nie mogło. Słusznie powiedziano, że ekonomia polityczna jest umiejętnością, a nie sztuką szarlatanów; ona i w tej kwestyi ma więc obowiązek zbadać i zaznaczyć, jakie stosunki i w jakim kierunku przy powzięciu decyzyi należy uwzględnić, a nie może wszystkich kombinacyj stosunków chcieć przewidzieć, na wszystkie dać z góry w książce szablonową odpowiedź. Umiejętne zastósowanie teoryi przy rozwiązywaniu praktycznych zagadnień jest zadaniem czynnych polityków, a ich polityka finansowa będzie dobrą, gdy zdoła słusznie ocenić faktyczne stosunki kraju i podług nich

oznaczyć tak zakres działania, jak sposoby pokrycia. W ich rzędzie zajmuje i kredyt publiczny miejsce poważne i znaczące; uznając to, należy pamiętać równocześnie, że on może być dźwignią, ale i powodem ruiny, że broń to doniosła, ale obosieczna, której w pewnych warunkach i dla pewnych celów użyć można i trzeba, ale której też tylko w pewnych warunkach używać wolno. A godząc się zasadniczo na uznanie kredytu publicznego za składnik uprawniony w systemie dochodów skarbowych, wypada jeszcze zwrócić uwagę na jeden wybitnie ujemny skutek nadmiaru jego użycia. Przyczynić on się może do powiększenia i zaostrzenia społecznych antagonizmów, do coraz dalszego rozdziału między kapitałem a pracą, do zgubnego podziału społeczeństwa na żyjących z państwa i na płacących na jego utrzymanie. Prywatna produkcya bowiem domaga się troskliwości zarządu, bez czego i największa fortuna żadnej renty dawać nie będzie; właściciel wielkich dóbr, czy fabryk, czy kopalni, daje i dać musi całemu szeregowi ludzi sowity zarobek, on bez takiej pomocy swego gospodarstwa korzystnie prowadzić nie potrafi, a te trudności i koszta zarządu są też zaporą olbrzymiego przyrastania fortuny, nadmiernej przewagi ekonomicznej jednostek. Rentier, którego cały majątek zarobkowy ulokowany w wierzytelnościach, niema żadnych ani kosztów, ani trudności zarządu; obcinanie kuponów i ewentualne przeglądanie losowań, to jego praca jedyna, powiększenie fortuny nie znajduje żadnej zapory w trudnościach zarządu, on troski nie zna żadnej o swój dochód, zatraca zrozumienie dla troski innych ludzi. Jego egzystencya jest przeto nader wygodną, ale jest i bezczynną i bezmyślną, podobną na prawdę do egzystencyi pasożytniczej. Wygoda tej egzystencyi może stać się na dwóch drogach hamulcem gospodarczego rozwoju, tak przez to, że zniechęca ludzi do brania na siebie uciążliwej i kłopotliwej przedsiębiorczej pracy, łamie ducha inicyatywy gospodarczej, jak przez to, że utrudnia przedsiębiorstwom znalezienie dostatecznego kapitału, bo ten szuka tylko państwowej, zupełnie bezkłopotliwej lokacyi, a to zabija rozwój gospodarczy w samym zarodku. A im mniej własną siłą dźwiga się gospodarstwo społeczne, tem więcej wystąpi obowiązek czy pokusa dla państwa, aby

inwestycyami przerwać ten zastój, co znów do rozszerzenia użycia kredytu publicznego, spotęgowania ujemnych skutków panoszącego się rentierstwa prowadzić może, i to tem pewniej, jeżeli państwo w wyborze czy przeprowadzaniu inwestycyj nie miało szczęśliwej ręki. Wtedy mogą wystąpić też owe skutki ujemne, rozpatrzone powyżej przy pożyczkach krajowych, a ciężar procentu tych coraz nowo przybywających pożyczek, spadając jako nieunikniona podwyżka podatków na znajdujące się w zastoju gospodarstwo społeczne, może podkopać jego siły, relatywnie polepszyć położenie rentierów kosztem wszystkich innych warstw społeczeństwa, przez to powiększyć różnice i zaognić antagonizmy socyalne, skutek to zaś zgubny pod każdym względem, ciężarny osłabiającą i politycznie i ekonomicznie groźbą walk klasowych i przewrotów społecznych.

Obawa ujemnych skutków, wywołanych nadużyciem kredytu, jest tem więcej uzasadnioną, że decyzya co do polityki finansowej, użycia kredytu lub podatków, jest zależną od współudziału czynników, kierujących się świadomie czy bezwiednie dużo więcej względami na opinię publiczną, na popularność, chwilowe życzenia wyborców, niż względem na dobroć polityki finansowej. A podniesienie podatków nigdy nie jest popularnem; zawsze łatwiej je krytykować wobec szerokich kół, niż bronić i uzasadnić, i ztąd jest i niebezpieczeństwo i fakt, że osobiste czy partyjno - polityczne względy krzyżują decyzye finansowe, godzą się na użycie kredytu i tam, gdzie jedynie podwyżka podatków byłaby słuszną.

Wielką radością i wielkiemi nadziejami powitano przywrócenie społeczeństwu praw ukróconych niegdyś przez absolutyzm, mianowicie też powołanie do życia instytucyj autonomicznych, współudział społeczeństwa w polityce finansowej przez swych posłów w sejmach i parlamentach. Mówiliśmy już wyżej o znaczeniu tej zmiany, o owych nadziejach, i o przyczynach doznanego zawodu i rozczarowania. Niestety obniżyło się życie publiczne. Wielkie i uprawnione cele demokracyi, mianowicie zdobycie wolności społecznej, stworzenie możności dla każdej jednostki dobijania się talentem, pracą i zasługą stanowiska i majątku i znaczenia,

oraz wytworzenie warunków dla kulturnego i gospodarczego dźwigania wszystkich warstw społeczeństwa, poszły niestety w zapomnienie—natomiast coraz głośniej odzywa się nie miłością i rozumem, lecz zazdrością podyktowana chęć niwelowania społeczeństwa ku dołowi, zamiast dźwigania wszystkich ku górze. Podkopano pojęcie „powagi“ wszelkiej, podkopano tem samem wpływ i znaczenie publiczne uczciwości, rozumu, pracy, a bez nich niema postępu, niema zdrowego życia społeczeństwa, fatalnie obniżono wymogi co do jakości ludzi w życiu publicznem, ich rozumu i charakteru. To nie jest już demokracya, owszem, to wprost zaprzepaszczenie wielkich niegdyś, zgodnych z chrześciańskiem pojęciem człowieka, demokratycznych celów i ideałów. A ta obniżka wymogów co do jakości ludzi jest niestety bynajmniej nie tylko wadą i winą stronnictw radykalnych. Zapanowała ona w życiu całem, i ztąd wielkiem jest wywołane przez to niebezpieczeństwo. A gdy skutkiem tej dążności, nadętej zawiścią i pychą, niechcącej uznać wyższości żadnej, z jedynym chyba wyjątkiem dla majątku, wzrasta udział nieukwalifikowanych moralnie i umysłowo w ciałach reprezentacyjnych, to ujemne skutki nie omieszkają od razu objawić się w błędach popełnianych w polityce finansowej, zarówno co do zakresu wydatków, jak doboru środków pokrycia, w błędach z dopuszczeni a i z opuszczenia. A dobra polityka finansowa, to bynajmniej nie sprawa abstrakcyjna, obchodząca przedewszystkiem naukę, albo tylko skarb, pojęty archaicznie jako antiteza interesów społeczeństwa, owszem, to sprawa pierwszorzędnej doniosłości politycznej. To też niech uzasadnia zakres tej pracy, pomieszczenie w niej roztrząsań nie tylko finansowych, lecz także politycznych. Dobre finanse bowiem są warunkiem spełnienia zadań publicznych i czynnikiem społecznego postępu. Organizacya władz czy reforma gminna, obrona kraju czy koleje, stan szkół czy dróg—to wszystko zależy od dobrych finansów. Ztąd wielkim błędem i wielkiem niebezpieczeństwem jest, gdy decyzya co do finansów przechodzi w ręce nieodpowiednie, bo to zniszczyć może warunki rozwoju kraju. A bez zdobycia zaufania szerokich mas ludowych utraca się stopniowo wpływ na faktyczną politykę finansową. Zaufanie to zdobyć można

tylko ofiarną i gorliwą służbą obywatelską. Pomimo takiej służby przychodzą epoki, gdzie wicher szalonej agitacyi przeleci po kraju, podkopie czy zniszczy zaufanie — ale ono powróci, byle nie ustała praca, i wtedy tem jaskrawiej wystąpi cały fałsz agitatorskich radykalnych obiecanek. Błędy polityki finansowej, to znów broń pożądana dla przewrotowych tendencyj, a jej dobroć może i tu stanowić skuteczną obronę.

Stojąc już od szeregu lat w czynnem życiu politycznem, przekonałem się niestety, że zrozumienie ścisłego związku między finansami a polityką nie dosyć jest powszechne, że na finanse patrzy się często jak na jakąś specyalność o nudnej i techniczno-rachunkowej naturze, a ztąd błędy i zgubne ich następstwa są tem więcej niestety prawdopodobne. A pamiętajmy, że jak państwo, tak i kraj, wszystkie ciała autonomiczne mają zadania finansowe, mieć powinny dobrą finansową politykę, winny ustrzedz się błędów i zaniedbań. To też kończę przypomnieniem owej starej prawdy, że „niema dobrych finansów bez dobrej polityki, ani możebną dobra, skuteczna polityka, bez dobrych finansów“.

Dr. Józef Milewski.

Obrady w sprawie reformy szkół średnich,

we Lwowie w październiku r. 1898.

Stosując się do uchwały Sejmu z dnia 22 lutego r. 1898, powołał Wydział Krajowy w porozumieniu z Radą szkolną krajową ankietę dla zbadania, czy jest obecnie potrzeba podjęcia reformy szkół średnich, czy to w kierunku jednolitej szkoły średniej, czy też stosownej bifurkacyi w klasach wyższych.

W skład jej weszli: 1) reprezentanci Akademii Umiejętności (prof. dr. Henryk Jordan), Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie (prof. dr. Wincenty Zakrzewski), Uniwersytetu we Lwowie (rektor dr. Henryk Kadyi), Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych (prof. II-go gimnazyum we Lwowie dr. Mieczysław Warmski i prof. szkoły realnej we Lwowie Edmund Grzębski), Towarzystwa politechnicznego (prof. Roman Dzieślewski i prof. Tadeusz Fiedler), Towarzystwa lekarzy galicyjskich (lekarz dr. Edward Stroynowski), Towarzystwa „Związek Rodzicielski“ (adwokat dr. Antoni Dziędzielewicz) i Towarzystwa im. Szewczenki we Lwowie (em. dyrektor gimnazyalny Aleksander Borkowski).

2) Przewodniczący komisyj egzaminacyjnych dla nauczycieli szkół średnich we Lwowie i w Krakowie: profesorowie Uniwersytetu dr. Ludwik Ćwikliński i dr. Franciszek Czerny.

3) Dyrektorowie gimnazyów i szkół realnych: Emmanuel Wolff, Edward Charkiewicz, dr. Leon Kulczyński, Józef Skupniewicz, dr. Franciszek Majchrowicz, dr. Antoni Danysz,

dr. Teofil Gerstmann, dr. Ignacy Petelenz i Michał Rembacz, nareszcie:

4) Posłowie na Sejm: Aleksander Barwiński, ks. Jerzy Czartoryski, hr. Wojciech Dzieduszycki, hr. Mieczysław Rey, Tadeusz Romanowicz, Jan Rotter, Józef Soleski, Stanisław Szczepanowski, hr. Stanisław Tarnowski, Anatol Wachnianin i Tytus Zajączkowski.

Oprócz tego wzięli udział w ankiecie jako delegat Rady szkolnej krajowej dr. Ludomił German, krajowy inspektor szkół średnich i ze strony Wydziału Krajowego członek tegoż i referent spraw szkolnych dr. Józef Wereszczyński, tudzież dr. Damian Sawczak.

Nie mogli wziąć udziału tylko posłowie hr. Dzieduszycki, Wachnianin i Zajączkowski; zresztą zgromadzili się wszyscy w liczbie 32.

Ankiecie przewodniczył Marszałek krajowy J. E. dr. Stanisław hr. Badeni, a tylko przez bardzo krótki czas zastępywał go członek Wydziału Krajowego dr. Józef Wereszczyński.

Obrady trwały przez 4 dni: od 27 do 30 października po 7 do 10 godzin dziennie. Wszyscy członkowie wyrazili swoje opinie, niektórzy przemawiali po 2 i 3 razy, tak, iż przemówień było razem 60.

Nie dziw, że wszyscy czuli potrzebę wypowiedzenia zdania, bo rozumieli wszyscy poważne znaczenie sprawy i pojmowali jej pierwszorzędną doniosłość. Od tego bowiem, jaki kierunek nadamy wychowaniu młodzieży, zawisła nietylko jej dola, ale także najbliższa i dalsza przyszłość narodu.

Jedni bronili szkół dzisiejszych stanowczo i z energią, nie przecząc, że „postęp“ i ulepszenie ich jest możebne, sądzili jednak, że zasada powinna zostać jak jest, więc, że powinny zostać i gimnazya, i szkoły realne, a obok nich przemysłowe i handlowe, rękodzielnicze i jeśliby jeszcze można jakie wymyśleć, ogólnie kształcące, a zarazem przygotowujące rozmaicie do różnych zawodów życia. Drudzy chcieli „reformy“ zupełnej, żądali szkoły jednolitej, przygotowującej wszystkich bez wyjątku w jednakowy sposób i na jednym materyale naukowym do wyższych studyów fachowych.

Stanęły zatem przeciwko sobie dwa obozy, jeden trzymający się stanu obecnego i tradycyi, drugi walczący przeciwko mniemanym uprzedzeniom i pragnący je odrzucić. Rozważmy obydwa stanowiska jak najbezstronniej i najspokojniej.

Czem się tłómaczy dzisiejszy ustrój szkół średnich, prawie we wszystkich państwach cywilizowanych?

Jest w społeczeństwie olbrzymia masa ludności, która dzieciom swoim nie może dać żadnego wyższego wykształcenia. Są to ludzie ubodzy, z pracy rąk żyjący; stosunki materyalne zniewalają ich do tego, ażeby ich dzieci, skoro tylko podrosną, zaraz także pracowały na utrzymanie i rodzicom w wyżywieniu rodziny pomagały. Dla tej młodzieży, ażeby nie została bez żadnego wykształcenia, istnieją szkoły ludowe i zaprowadzono przymus szkolny przeciw opornym wszelkiej szkolnej nauce.

Część liczebnie mniejsza w społeczeństwie, może, albo chce kształcić dzieci wyżej, ażeby zajęły później celniejsze stanowiska, wymagające fachowej nauki wszelkiego rodzaju. Zanim jednak ta znowu młodzież już fachowo do zawodów przysposabiać się zacznie, potrzebuje więcej lub mniej dłu giego czasu na ogólne wstępne wykształcenie, wychować się musi i wyrobić charakter, który ją ma uzdolnić do zajęcia wybitnych pozycyj w społeczeństwie i do odpowiedzialności, jaka na tych pozycyach ją czeka.

Otóż to wstępne ogólne wykształcenie nazywamy średniem i teraz o to idzie, jak ono jest zorganizowane, ażeby celowi swojemu zadość uczyniło.

Idealnie pojęta, każda szkoła średnia służyć ma przedewszystkiem do wychowania młodzieży, czyli do wielostronnego rozszerzenia wiedzy, zainteresowania dla niej i do wykształcenia prawego i religijnego charakteru. Jest tu oczywiście mowa o charakterze nie w ciasnych granicach życia zamkniętym, lecz na tle bardzo szerokiego widnokręgu inteligencyi i rozległego pola działania. Ponieważ podstawy charakteru wyrabiają się właśnie w tym czasie, na który przypada szkoła średnia, t. j. na wiek mniej więcej od 10 do 20 roku życia i wtedy przybiera on zakrój, który prawie całe życie późniejsze w głównych zarysach trwale zostaje,

przeto właściwie szkoła średnia tworzy zamkniętą całość. W niej kończy się praca wychowawcza, o ile ona do szkoły należeć może; dalsze wyrobienie człowieka spoczywa już w jego własnem ręku, bo będąc już nieprzystępnym dla wpływów obcych osób, sam myślą swoją nad sobą pracuje. Zresztą później wyrabia go jeszcze życie i walka, jaką w niem staczać musi.

Z tem wszystkiem jednak trudno oczy zamknąć i puścić młodzieńca w świat i życie, nie uwzględniając już w szkole średniej, jaka przyszłość go czekać będzie, czyli nie przysposobić go przynajmniej najogólniej do różnych zawodów i kolei życia. A że o tych zawodach rozstrzygają studya fachowe w uniwersytecie, politechnice i innych wyższych specyalnych instytucyach, przeto i wykształcenie średnie do tych instytucyj w pewnym stopniu stosować się musi. Ztąd obok określenia ogólnego celu każdej szkoły średniej opisanego powyżej, zwykle łączymy dodatek, że temsamem szkoła ma przygotować zarazem do pewnych studyów fachowych w wyższych naukowych zakładach.

W dzisiejszem społeczeństwie wyższe warstwy intelligencyi dzielą się bardzo wyraźnie na dwa kierunki: jeden zajmujący się życiem ludzkości i myśleniem człowieka, drugi obejmujący działalnością swoją świat przyrody, sił w niej działających, materyalnych potrzeb życia, słowem t. zw. świat realny. Nie idzie za tem, ażeby kierunek pierwszy miał być obojętny na dzisiejszą żywotną stronę pracy technicznej, przemysłowej, handlowej i t. d., ani też, ażeby drugi kierunek nie miał się całkiem zajmować rozwojem cywilizacyjnego postępu umysłu ludzkiego. Owszem, w wielu punktach schodzą się te dwa prądy, krzyżują się i wspierają wzajemnie. Jeżeli mówimy o wyraźnym rozdziale, to mamy na myśli tylko punkta ciężkości, ku którym przechylają się dwa światy intelligencyi, jeden humanitarny ku ludzkości w historyi, drugi, realny, ku teraźniejszości.

Zastrzedz należy, że nikt rozsądny nie stawia dzisiaj humanistów wyżej nad realistami, ale też nikt nie powinien przeciwnie wyższego znaczenia przypisywać realistom nad humanistami. Są to dwa równorzędne kierunki, ale na wszelki sposób przecież między sobą różne. Techniczne wy-

nalazki i ich zastosowania, dział inżynieryi, architektoniki, nareszcie większego przemysłu fabrycznego i innego, zajmują dzisiaj tak poważne i wysokie miejsce w gospodarstwie i życiu społecznem, że ich przedstawiciele równie znaczącą rolę mają w gronie wykształconych, jak księża i lekarze, prawnicy i profesorowie. Z koła jednych i drugich wybijają się w równej mierze zdolniejsi i energiczniejsi na najwyższe posterunki w państwie.

Na wszelki sposób jednak niepodobieństwem jest nie uznać, że mimo równości znaczenia w ustroju towarzyskim, przecież jedni i drudzy oprócz oczywiście różnych fachowych studyów, potrzebują także różnego ogólnego wykształcenia, które fachowe studya poprzedza. Na cóż bowiem przyszłemu inżynierowi, technikowi, fabrykantowi i t. d. poświęcić kilka lat na naukę języków greckiego i łacińskiego, skoro żaden z nich niema konieczności w działaniu swojem i myśleniu sięgać do źródeł dawnej cywilizacyi, a natomiast zajęcie jego tak tkwi w teraźniejszości, w rozległem polu wielkiego rozkwitu nauk przyrodniczych i wyzyskaniu ich wyników, że niemal cała myśl jego tą pracą się wypełnia i wyczerpuje. Ażeby zaś znał i rozwój świata ludzkości i zrozumiał, zkąd wynik dzisiejszej oświaty wypływa, wystarczy z wybornym rezultatem poznać mu historyę powszechną, literaturę nowszą, a o starożytnej wyrobić sobie dobre pojęcie z przykładów i przeglądu jej dziejów.

Lecz jeżeli zwrócimy uwagę na drugą warstwę intelligencyi, która w swojej znowu działalności ustawicznie spotyka się z kwestyami, nie dającemi się inaczej zrozumieć, jak tylko na tle całego rozwoju europejskiej cywilizacyi i to szczególnie gruntu jej greckiego i rzymskiego, to łatwo pojąć, że tu nie wystarcza poznać podstawy naszej oświaty, przez Greków i Rzymian rzucone, tylko z drugiej ręki, z opowiadań i z tłómaczeń, lecz że musi się sięgnąć do oryginału, do właściwego pierwotnego jej wyrazu. Przynajmniej ta jedna część społeczeństwa intelligencyi powinna w każdym narodzie czy państwie bezpośrednio zaznajomić się i wejrzeć w pierwszorzędnego znaczenia dzieła literatur klassycznej starożytności, poznać je o tyle bliżej, o ile to przez czytanie oryginalnych tekstów jest możebne. To się powinno

czynić za młodu, w wieku wypadającym na szkoły średnie, kiedy umysł żywo przejmuje się wrażeniami i z taką siłą je w głąb duszy wszczepia, że w całem życiu późniejszem już niezatarte ślady zatrzymuje.

Można się o to spierać, dla kogo szczegółowo takie wykształcenie, związane z starożytnością klassyczną jest konieczne, czy naprzykład potrzebuje go ktoś, co w uniwersytecie oddać się ma naukom przyrodniczym i matematyce i przyszłe życie studyom tym poświęcić zamierza, albo lekarz myślący tylko o praktyce i t. p. Chociaż bezsprzecznie lepszym będzie lekarz, który gruntowniej zna ludzkość w jej rozwoju, niż ów, który ją zna mniej zasadniczo, bo lekarz ma nietylko znać medycynę, chorobę umieć rozpoznać i leczyć ją, ale w przeważnej części wypadków ma do czynienienia z psychologiczną stroną całej masy pacyentów. Przyrodnik może prędzej mógłby się obyć bez bliższej znajomości starożytnych źródeł naszej oświaty, ale tylko w takim razie, jeżeli abstrakcyjnie umiejętność przyrody pielęgnuje, nie wtenczas, kiedy n. p. jako nauczyciel w szkole wychowawczej ma z skarbów umiejętności czerpać, aby młodzież wyżej kształcić, bo wtedy już znowu ma przed sobą zadanie, które mu nakazuje znać najskrytsze tajniki duszy, które najlepiej tłómaczą się ewolucyą postępu ludzkości.

Powtarzamy jeszcze raz, że można się spierać, czy dla pewnych zawodów, dla których dzisiaj się wymaga nauki łaciny i greckiego, jest ona nieodzownie potrzebną, ale powtarzamy znowu z najsilniejszym naciskiem, że dla pewnej części intelligencyi w państwie nie można zaniechać tej nauki, ze względu na potrzebę oparcia się na oryginalnych źródłach naszej cywilizacyi.

Przyrodnicy twierdzą, i słusznie, że chcąc poznać świat zwierząt, trzeba wniknąć w pierwotny ich rozwój embryologiczny, poznać go samemu z własnego badania i patrzenia, aby skomplikowane zjawiska zrozumieć. Taksamo, aby zrozumieć ludzkość dzisiejszą, musimy śledzić zawiązki jej cywilizacyjnego ustroju i poznać je nie z opowiadania, albo przez pośrednictwo innego języka, lecz w tymsamym wyrazie i w tej szacie, w jakiej tajniki swej myśli wyrażała. Jeżeli w gimnazyach zaznajamiamy młodzież z myślą tej

ludzkości, która w starożytnej Grecyi i Rzymie pracowała nad swoim rozwojem, to uczymy tę młodzież historyi naturalnej człowieka od czasu, kiedy zaczęła się prawdziwa jego intelligencya objawiać i z tak wielką siłą wystąpiła, że na wiele wieków zostawiła dorobek swój dla pokoleń innych narodów, aby go dalej rozwijały i z nim szły razem w ewolucyi ludzkiego ducha i myśli.

Pokrótce, o ile można w niewielu zdaniach, skreśliliśmy stanowisko i argumenta obrońców dzisiejszego systemu szkół, a zwłaszcza tych, którzy obstają stanowczo za utrzymaniem gimnazyów w obecnym ustroju, pozostawieniem obok nich szkół realnych i tworzeniem jeźli można innych jeszcze szkół średnich, ogólnie kształcących, rozmaitego typu.

W przeciwieństwie do nich skrajnem stanęli ci, którzy byli ostatecznym powodem zwołania ankiety, a żądają zupełnej reformy systemu szkół średnich, jaki w Austryi istnieje. Jeżeli dobrze zrozumieliśmy dążność przeciwników, a szczególnie wnioskodawcy w Sejmie krajowym posła Rottera, to idzie właściwie o to, ażeby usunąć gimnazya i szkoły realne i jeźliby jeszcze jakie być mogły n. p. realne gimnazya, a w ich miejsce utworzyć tylko jeden rodzaj szkół, które nazwano jednolitemi z uprawnieniem dla ich uczniów do wstępu tak na uniwersytet jako też do politechniki. Po za tem kryła się myśl, nie wysuwana zbyt jaskrawo, wykluczenia z nauki szkół średnich języka łacińskiego i greckiego, a przynajmniej w ostateczności samego greckiego. W ciągu dyskusyi myśl ta skrajna wprawdzie się zmieniła, gdyż godzono się na pozostawienie obok szkoły jednolitej nawet kilku gimnazyów, a w szkole jednolitej przystawano na naukę łaciny z pominięciem tylko języka greckiego. Bierzemy jednak myśl pierwszą, gdyż ona jedynie zdaniem naszem jest konsekwentna i jako z taką liczyć się można.

Rozważmy, jakie pobudki wpłynąć mogły na pomysł projektu i uwzględnijmy wszystko, co go tłómaczyć może.

Już od dłuższego czasu, wkrótce potem, jak zaprowadzono w szkołach naszych język wykładowy ojczysty, błąka się myśl o potrzebie reformy szkół naszych. Reformy chciał Szujski koło r. 1880, jakkolwiek nie zburzenia tego, co istnieje, lecz zmian dosyć daleko sięgających. Za jego sprawą obra-

dowała jakiś czas komisya w Akademii Umiejętności krakowskiej, a gdy wynik jej narad ogłoszono, ocenił je zmarły właśnie radca dworu dr. Zygmunt Samolewicz całkiem spokojnie i przedmiotowo i wykazał niefortunność pomysłu. Prawie równocześnie radzono w komisyi lwowskiej o szkole jednolitej, o czem p. dyrektor Gerstmann na ankiecie mówił, i obmyślono jej program. Rzecz jednak poszła w zapomnienie, ale znowu tu i owdzie pojawiały się w pismach i dysputach niekorzystne krytyki dzisiejszego systemu, podnoszące rzekomo wyższe zalety naszych własnych polskich szkół dawniejszych. Pojawił się przed kilku laty w kole Towarzystwa nauczycieli krakowskiem wniosek zupełnego przeobrażania szkół, który do dziś dnia ciągle stoi na porządku dziennym. Część publiczności naszej chwyta chciwie te wszystkie objawy i ma jakieś nieokreślone i niejasne pragnienie zmiany. Zdawałoby się, że w powietrzu wisi potrzeba reformy, konieczna, nieunikniona.

Głównym powodem dążeń do reformy, powiedzmy to otwarcie, jest brak znajomości rzeczy samej: z jednej strony niedostateczne zrozumienie dzisiejszego systemu szkół u nas, z drugiej niewyrobione i niedojrzałe pojęcie o tem, jakie szkoły rzeczywiście dla społeczeństwa są potrzebne.

Że pewna część publiczności nie ma szerszego poglądu na sprawy szkolne, temu się dziwić nie można, bo rzecz to trudna i wymagająca fachowych studyów. Więcej dziwić się należy, że w kołach nauczycielskich naszych tak często spotykać się musimy z niedokładną rozwagą kardynalnych podstaw społecznej edukacyi, a jeszcze może więcej zastanawia, że zdradziło się to samo u niektórych członków samej ankiety.

Inne pobudki do żądań reformy tłómaczą się szczególniejszemi stosunkami, wśród których szkoły teraźniejsze u nas powstały i wśród których istnieją.

Nie można zaprzeczyć faktowi, że dzisiejsze szkoły u nas w Galicyi stworzyli Niemcy, jakkolwiek nie własnym wyłącznie przemysłem, bo tworząc je, pytali się wybitnych ludzi różnych narodowości w Austryi żyjących, i nie na wzór szkół narodu niemieckiego, bo austryackie szkoły w czasie ich organizacyi bardzo się różniły od współczesnych niemiec-

kich. Ostatecznie jednak nie kto inny, tylko Niemcy austryaccy szkoły nasze obmyślili. Otóż, ztąd oczywiście wniosek, że te szkoły nie są dla nas, że nie są narodowe. Na ankiecie podniósł tę myśl szczególnie poseł Romanowicz, a z nim i inni zwolennicy reformy. Coś w tem twierdzeniu racyi jest, o tyle mianowicie, że żal może nas ogarniać, iż nie pozwoliły nam nasze stosunki polityczne wyrobić swojego odrębnego typu, wyrosłego z właściwości narodowych i do potrzeb narodowych przystosowanego. Ale, choć to rzecz przykra, żal żalem zostać musi, a trzeba się liczyć z koniecznością i patrzeć tylko na to, czy te szkoły, nam narzucone, naprawdę są tak nienarodowe. To pewna, że twórcy *Zarysu organizacyi* z r. 1849 nie mogli prawie więcej liberalnie planu szkół dla wielu narodowości w państwie obmyśleć i każdemu narodowi do jego własnego oddzielnego rozwoju obszerniejszego pola zostawić, jak się o tem każdy, kto ma ochotę go przepatrzeć, przekonać może. Przytem trzeba dodać, że sam w sobie jestto plan tak znakomity, iż lepszego, a bodaj równie dobrego w całej Europie i Ameryce cywilizowanej nie znajdzie. To także jest dla naszego narodu niepoślednia korzyść. Zresztą, wśród przeprowadzania idei w *Zarysie* wskazanej, przechodziliśmy co prawda zapędy germanizatorskie, wręcz pierwotnemu zamiarowi przeciwne, ale nareszcie dziś doszliśmy do tego, że uczymy swobodnie ojczystego języka i piśmiennictwa, że w swoim języku udzielamy wszystkich przedmiotów i mamy osobną, chociaż jeszcze niestety nadobowiązkową historyę kraju rodzinnego. Na tym materyale i tle mamy sposobność swoją rodzimą myśl w młodzież wpajać i narodową odrębność utrzymać, a tylko rozumie się samo przez się, obowiązani jesteśmy wśród naszych stosunków lojalność wobec państwa i monarchy zachować. Tradycyi naszej narodowej szkoły, która się datuje dopiero od czasów Komisyi Edukacyjnej, niepodobnaby było po przeskoku całego wieku i olbrzymim wśród niego postępie nawiązać, Czackiego szkoły naśladować nie można, bo miała wielkie błędy, a Wielopolski z Korzeniowskim bodaj czy przy organizacyi szkół w Królestwie właśnie nie korzystali z znakomitych urządzeń szkół austryackich.

Dalszą pobudką dążeń do reformy jest wyobrażenie, że nauka łaciny i greckiego, a przynajmniej greckiego, należy do zastarzałych uprzedzeń, że jest niepotrzebną i żadnych albo prawie żadnych rezultatów nie przynosi, a zatem daremnie zabiera czas, potrzebny na inne nauki.

Może za jakie setki lat, kto wie, kiedy, przyjdzie czas że cywilizacya tak się sama w sobie wzmoże i tak wchłonie pierwiastki całego poprzedniego rozwoju ludzkości, iż ludzie wykształceni wszyscy i całkiem obejdą się bez studyów starożytnych klassycznych narodów. Ale trudno się bawić w proroka. Dziś w każdym razie jeszcze nie pora na takie zupełne wyzwolenie. Jak już poprzednio przedstawiliśmy, zanadto jeszcze ściśle jesteśmy z tą cywilizacyą związani i nie dość jeszcze wprost ją wyzyskaliśmy, abyśmy ją mieli porzucić i ignorować. Widzimy też, że ile razy w historyi nowożytnej który naród zajmie się więcej starożytną cywilizacyą, zaraz sam nietylko w literaturze, ale i w cywilizacyi własnej znacznie postępuje. Dowodziłoby to, że w tej starożytności klassycznej mieści się tyle pierwiastków dobrych i cennych, iż każde bliższe zetknięcie się z niemi ożywczo wpływa nawet na narody, o wiele wieków w dziejach późniejsze.

Nie chcemy przeczyć, że w miarę tego, jak coraz więcej dokonywa się coraz lepszych tłómaczeń starożytnych autorów, jak coraz silniej w utwory literackie i w urządzenia społeczne wnika na wskróś cywilizacya starożytna, z drugiej strony im więcej wzmaga się potęga noworodnej cywilizacyi na przyrodniczych naukach i technicznym postępie opartej, że w miarę tego coraz więcej się ścieśnia koło tych, którzy z oryginalnych tekstów potrzebują zaznajamiać się z starożytnością. Koło to jednak jest jeszcze dzisiaj bardzo obszerne, jeszcze wielu ludzi potrzeba nam takich, którzy bezpośrednio powinni poznać zdobycze greckiego i rzymskiego ducha, bośmy jeszcze z niego wielu a wielu rzeczy nie wyczerpnęli, jeszcze on nas dzisiaj ogromnem bogactwem swojem intellektualnie i moralnie uczy i zasila. Dlatego utrzymujemy ponownie, że przynajmniej pewna część młodzieży, z której ma wyróść intelligencya narodu, powinna w średniem wykształceniu uczyć się łaciny i greckiego, czy to z niej wyjdą

prawnicy i teologowie, historycy czy znawcy literatury, czy wreszcie nawet lekarze, albo nawet przyrodnicy, szukający szerszego pola działania.

Gdybyśmy się zgodzili na taką potrzebę, to stajemy wobec ważnego zagadnienia, jaką młodzież w tym kierunku kształcić, a jaką przeznaczyć do szkół równorzędnych, ale bez łaciny i greckiego. Dziś ojciec, mając oddać syna dziewięcioletniego do szkół średnich, może się wahać i namyślać, czy zapisać go do gimnazyum, czy do szkoły realnej, albo innej. Tę niepewność rodziców podniesiono na ankiecie, jako jeden z powodów przemawiających za szkołą jednolitą. Kwestya to nie nowa. Podnosi ją już równie *Zarys organizacyi* z r. 1849 w bardzo poważny i gruntowny sposób.

Wszelako, czy naprawdę jestto taka sytuacya trudna? W przeważnej części wypadków stanowczo nie. Największa część młodzieży bywa na całym świecie o równomiernych z natury zdolnościach. Taką, czy się skieruje na drogę realnego kształcenia czy gimnazyalnego, zawsze z niej wyrobi się po latach pracy w wyższym lub niższym stopniu dobry technik, czy prawnik, albo historyk i t. p. Zdolności takich podatne są prawie równo na różne pola. Po za tą masą idzie o małą część chłopców o skłonnościach wybitniejszych i wyraźnie się zarysowujących. Ale tacy zdradzają już zwykle swoje skłonności bardzo wcześnie. Już dzieci kilkoletnie, zanim się myśli dla nich o gimnazyum lub szkole realnej, lubią: jedne mechaniczne więcej roboty, rysować lub układać, budować z klocków, albo nawet zajmować się rozmaitemi przyrządami, inne do tego wcale ochoty nie objawiają, a natomiast lubią słuchać historyek i powtarzać je wielokrotnie łatwo i gładko i interesują się oczywiście na swój sposób stosunkami osób, wśród których otoczenia żyją.

Jeżeli jedna z tych skłonności wybitnie się odzywa, to zdaniem naszem, rodzice nie powinni się namyślać, lecz odrazu chłopca w swoim czasie czy do gimnazyum czy do realnych szkół zapisać. Gdyby jednak pomyłka zaszła, która też jest zupełnie możebną, i gdyby okazało się po kilku latach, że uczęszczający do gimnazyum nadaje się lepiej do realnego zajęcia lub przeciwnie, to w naszym dzisiejszym ustroju szkół zostawiono po temu możność i w praktyce czyni się daleko sięgające

ułatwienia do zmiany błędnie obranego kierunku. Z wszelką swobodą może gimnazyalista przenieść się do szkoły realnej, składając egzamin, przy którym robi się znaczne uwzględnienia; nawet poduczenie się języka francuskiego nie sprawi mu wcale trudności, skoro ma podstawy do tego w języku łacińskim, a zresztą mógł i francuskiego języka i rysunków chociaż nadobowiązkowo w gimnazyum nieco się nauczyć. Trudniej realiście przejść do gimnazyum, ale i w tym wypadku przy egzaminach wymiarkowanie jest wielkie, a zresztą jeżeli istotnie przechodzi dlatego, że zdolność do języków objawia, nie będzie mu trudno nauczyć się, czego mu z elementów łaciny i greckiego niedostaje. Mamy tu na myśli głównie niższe klasy, bo w nich pospolicie o potrzebie zmiany kierunku rozstrzyga obserwacya zdolności ucznia i następuje postanowienie. W bardzo rzadkich wypadkach, w których się sam młodzieniec rozmyśli, ukończywszy gimnazyum lub szkołę realną, że dogodniej mu zmienić, choć późno, charakter studyów, ułatwienia bodaj czy nie idą jeszcze dalej. Przynajmniej patrzymy na wypadki niemal co roku, że maturzyści szkoły realnej już po roku pracy — a w realnej szkole mają tylko siedm lat — przy jakich takich zdolnościach składają egzamin dojrzałości gimnazyalny, a jeszcze częściej się trafia, że ukończeni gimnazyaliści po złożeniu egzaminu dojrzałości mają wstęp za łatwym egzaminem do politechniki i tam ich jeszcze przeważnie dosyć wysoko cenią.

Zdaje nam się atoli, że nie tyle w tej sprawie idzie o trudności rozstrzygnienia, czy chłopca w roku dziesiątym lub jedenastym ma się zapisać do gimnazyum, lub szkoły realnej, ile raczej o kwestyę uprawnień dla ukończonych gimnazyalistów, a realistów. I ta też kwestya była na ankiecie przedmiotem rozwagi, chociaż może nie z tym naciskiem, na jaki istotnie zasługuje. Jest to kwestya tak zwana aktualna. Faktem jest, że młodzież, kończąca gimnazyum, ma o wiele szerszą drogę do dalszych studyów otwartą, oprócz bowiem studyów uniwersyteckich bez żadnych ograniczeń, może i do politechnicznych, jakeśmy właśnie wspomnieli, łatwo być dopuszczoną i zresztą do innych wyższych szkół, jak akademii handlowej, rolniczej, górniczej i t. d., bez trud-

ności wstąpić. Niemniej do urzędów pocztowych, telegraficznych, kolejowych i innych, przyjmują ją w razie potrzeby dosyć chętnie. Realiści natomiast dotychczas, przynajmniej w Austryi, uniwersytety mają przed sobą zupełnie zamknięte. Ztąd pochodzi, że rodzice, chociaż widzą nieraz w synu pewne skłonności do realnego kierunku, nie oddają syna do realnej szkoły, niechcąc mu zamknąć szerszej widowni późniejszej, żałując szczególnie uniwersyteckich studyów i karyery, do której one utorować drogę mogą. Gromadzi się z tego powodu niepomierna ilość uczniów w gimnazyach i rośnie w ostatnich czasach z roku na rok coraz więcej. Kto bliżej zna nasze gimnazya, ten wie, że przeważna bodaj część uczniów, do nich uczęszczających, niewątpliwie ze względu na rodzaj swoich zdolności błędny obrała kierunek kształcenia. Wyrobiło się u nas pewne uprzedzenie na korzyść gimnazyów częścią dla złudnych uroszczeń szukania stanowisk urzędniczych, lekarzy, adwokatów i t. d., częścią z konieczności. Niemal każda rodzina pragnęłaby doprowadzić młodsze pokolenie do tych pozycyj; w innych zajęciach z zakresu techniki, przemysłu, handlu albo rzemiosł na większą skalę, nie widzi tak ponętnych nadziei.

Sprawa jest nader trudna do rozwiązania, na razie nawet niemożebna, wymaga bowiem zmiany stosunków społecznych, która dopiero po dłuższym czasie niewątpliwie nastąpi. Obecnie żyjemy niejako w epoce przejściowej i cierpieć musimy niejedno złe dlatego, że jest dziś nieuniknione. Żadna szkoła jednolita na to nie poradzi.

Ażeby gimnazya zdołały należycie spełnić swoje zadanie i służyły do tego, do czego służyć powinny, trzebaby w nich zostawić tylko część odpowiedniej młodzieży, nadającej się rodzajem zdolności swoich do owej intelligencyi, która żywy związek z ciągiem cywilizacyi ma kiedyś utrzymać i czuwać nad tem, abyśmy nie stracili tego, co myśl ludzka od starożytności zdobyła. Reszta młodzieży powinnaby gimnazyum opuścić dla dobra samych gimnazyów, dla dobra społeczeństwa i dla własnej i rodzin własnych korzyści. Na pytanie, co z tą masą młodzieży począć, odpowiadamy, że wypadałoby jej przenieść się do szkół realnych, przemysłowych, technicznych i t. p. Tymczasem znowu słyszymy zarzut, że

brak jest takich szkół w dostatecznej ilości i rozmaitości. Brak jest istotnie, ale dlatego, że społeczeństwo nie wyrobiło u nas dotąd stanowczej ich większej potrzeby, a nie wyrobiło, bo nie ma widoków dość zachęcających, ażeby młodzież po ukończeniu takich szkół znalazła godne i zaszczytne stanowiska, bo nie mamy majątków większych i dosyć przedsiębiorczości, ażeby powstały większe fabryki, wielki handel, większe prace techniczne. Zaledwie tego wszystkiego zjawia się u nas słaby początek. Znajdujemy się więc w błędnem kole. Niema większych technicznych, przemysłowych, handlowych przedsiębiorstw, zatem nie ma dość szkół do nich prowadzących i dość uczniów do założonych już szkół z gotowością uczęszczających. Ale znowu można powiedzieć, że nie powstaną u nas większe techniczne, przemysłowe, fabryczne przedsiębiorstwa, dopóki nie wykształcimy dla nich młodzieży należycie i odpowiednio. Gdybyśmy ją wykształcili, niewątpliwie podnosiłaby ona z czasem rzemiosła wyższe, kupiectwo na szerszą skalę, przemysł fabryczny i t. d.

Wszystko to da się zrobić powoli przy wytrwałości, rozumie i energii. Pomału już widzimy u siebie techników, którzy rugują zagranicznych, budując sami nietylko trudniejsze i szczególniejszych warunków wymagające budowle, koleje, mosty itd., ale którzy także usuwają obcych przedsiębiorców, dostarczając dobrze urządzonych wodociągów, machin fabrycznych, aparatów, widzimy kupców prowadzących interesa na wielką skalę uczciwie i umiejętnie, także rzemieślników współzawodniczących zwycięzko w wyrobach z pozakrajowemi. Ten dział pracy jeszcze nie jest u nas dosyć rozwinięty, ale z czasem dojdziemy wyżej, a wtedy kwestya uprawnień zacznie się na bok usuwać. Nie będzie żalu, że realne i inne średnie szkoły oprócz gimnazyów nie dają wstępu do uniwersytetów, bo dawać będą za to w rękę bodaj czy nie lepsze widoki, a znaczenie nie mniejsze od tych, którzy studya uniwersyteckie będą przechodzić i kończyć. Doczekamy się może i u nas kiedyś takich stosunków, jakie istnieją w innych krajach, a szczególnie w Anglii. O ile wiemy, i tam studya techniczne i przemysłowe nie dają stopni w uniwersytetach, ale nikt się na to nie skarży. Tylko, że w Anglii dział przemysłu i fabryk jest tak rozwinięty, iż każdemu,

kto ku niemu się skieruje, zapewnia wszystko niemal na równi z kończącymi studya humanitarne. Ztąd też w Anglii jest i taki obyczaj, że w szkołach średnich tylko część młodzieży dopuszczają do studyów klassycznych, a tę część, która się do nich nie nadaje, zmuszają obrać inny kierunek. My dziś u siebie jesteśmy w tem fatalnem położeniu, że chociaż widzimy w gimnazyach wiele młodzieży nieodpowiedniej do tych szkół, zostawiamy ją już tam ze względów ludzkości, bo widzimy, że za mało dla niej innych szkół, a kształcić się przecież ta młodzież pragnie. Cierpimy za to naturalnie, bo przez tę młodzież poziom nauk gimnazyalnych musi się zniżać, charakter szkoły nieco odmieniać i ciężar nauki wobec przewagi nieodpowiednich żywiołów staje się dotkliwym, czasem zdaje się nie do zniesienia.

Toby były właściwe i jeszcze dość zrozumiałe pobudki, skłaniające reformistów do żądania przewrotu dzisiejszego systemu szkół naszych. Staraliśmy się wydobyć je jako istotny rdzeń z toku dyskusyj w ankiecie, z powodzi przemówień nader licznych, a mięszających w trudny do rozwikłania splot argumenta poważne z drobiazgami mało lub nic nieznaczącemi.

Wszystkich innych pobudek niepodobna nam w niniejszym szkicu brać pod rozwagę, bo trzebaby napisać niemal całą pedagogię w skróceniu, ażeby z jej pierwszych kardynalnych podstaw zbijać je i nieracyonalność ich wytłómaczyć.

Wspomnimy tylko o kilku.

Poruszono przeciążenie młodzieży, a oczywiście miano na myśli tylko gimnazya i w ich organizacyi upatrywano jego powód. Naszem zdaniem, jeżeli w czem możnaby się dopatrzeć pewnego obarczenia pracą młodzieży, to chyba tylko w tem, co w naszych stosunkach jest nieuniknionem, że mianowicie nasi uczniowie muszą się uczyć obok swojego ojczystego języka i literatury, jeszcze obowiązkowo i niemieckiego, a dojść w nim mają do biegłości władania i poznać bogate jego skarby piśmiennicze. Zresztą innych przedmiotów jest niewiele i mają zakres w miarę oznaczony. Języków klassycznych uczy się u nas w rozmiarach skromniejszych, niż w szkołach innych państw cywilizowanych, reli-

gii, historyi powszechnej i nauk przyrodniczych z matematyką w najmniejszej możebnie liczbie godzin, jaka jeszcze wystarcza, ażeby z nich rzeczywistą korzyść osiągnąć. I propedeutyka w klasie VII i VIII ogranicza się do krótkiego zarysu logiki i psychologii, opartego przeważnie na znanych już uczniom z poprzedniej nauki podstawach. Ile razy da się zauważyć, że uczeń mimo to istotnie ma wiele, a nawet przejściowo za wiele pracy, to przyczyny nie leżą w systemie szkoły, lecz zupełnie gdzieindziej. Naprzód niewątpliwie u nas w tem, że jeszcze, jak wyżej mówiliśmy, mamy wielu uczniów z nieodpowiedniemi dla gimnazyum zdolnościami. Dalej często się zdarza, że przez jakiś czas uczeń w nauce się zaniedbywał, a zbyt łagodny nauczyciel przypuścił go do wyższej klasy, tu zaś obejmuje naukę nauczyciel, ścisłe wymagania mający. Natenczas oczywiście uczeń ma pracy za wiele, aby równocześnie uzupełniać braki dawniejsze i podążyć za tokiem nowej nauki, która tem trudniej mu idzie, że podstawy ma słabe i niepewne. Trafia się też, że uczy w klasie kilku nauczycieli fachowych, z których każdy w swoim przedmiocie wygórowane ma żądania, nie pomny na to, że uczniowie mają obok jego lekcyj lekcye inne do opracowania, albo żdarza się, że jeden i drugi nie dość jasno i dokładnie rzecz przedstawia, a wymaga ścisłego wyuczenia się i zrozumienia. Wtedy nie winien system szkolny, lecz niedostateczne wyrobienie nauczycieli—nie system zatem zmieniać, lecz nad odpowiedniem przysposobieniem nauczycieli trzeba pracować, co się też ciągle dzieje i to z coraz lepszym wynikiem.

Odzywały się głosy przeciw dwustopniowości w nauce niektórych przedmiotów, zwłaszcza historyi powszechnej i nauk przyrodniczych. Nie umielibyśmy jej uzasadnić lepiej, niż to czyni *Zarys Organizacyi* z r. 1849 ze względów psychologicznych i wręcz praktycznych. Dwustopniowość jest wielką zaletą naszych szkół, pomysłem tak trafnym i szczęśliwym, że dziwić się należy, iż nie we wszystkich szkołach średnich na świecie ją wprowadzono.

Osobliwsze i zdumiewające wyrażano na ankiecie, i to kilkakrotnie, mniemanie, że szkoły nasze tylko uczą, a nie wychowują. Dziwolągiem byłoby gimnazyum, któreby się

do samego tylko uczenia, t. j. gromadzenia wiadomości, ograniczało, a na wyrobienie charakteru całkiem stanowczo nie wpływało. Na wychowanie młodzieży składa się co prawda wiele czynników: najpierw dom i jego najbliższe otoczenie' potem Kościół, niemniej społeczeństwo, w którem młodzież żyje, jego urządzenia, zwyczaje i obyczaje i t. d., i t. d. Nie wahamy się jednak twierdzić, że najpotężniejszym czynnikiem w sprawie wychowania jest szkoła, i to właśnie taka, jak nasza, gimnazyum i szkoła realna. Bardzo często rodzice z powodu własnych zajęć nie mogą, częściej nie wiedzą, jak oddziaływać należy na młody umysł, aby nim ku dobremu pokierować, zaledwie wyrabiają pewne rysy charakteru, nieraz sprzeczne pomiędzy sobą, co dla całości charakteru niewątpliwie szkodę przynosi. Szkoła zaś ma zorganizowany system; nauką i bezpośredniem zwracaniem uwagi na postępowanie, nauczyciele, którzy w sprawie wychowania w całości z pewnością więcej są biegli, niż ci, którzy się szkołą nie zajmują, wywierają na młody umysł wpływ stały według jednego planu, który musi skuteczny wynik osiągnąć. Społeczeństwo, ileż razy błędną drogą idzie! Porwane prądami różnemi chwilowego częstokroć znaczenia, a często szkodliwemi, nizkiemi, chwieje się między dobrem a złem i młodego albo jednostronnie ku niepewnym celom pociągnie, albo go w chwiejności zostawia. Szkoła ma cele idealne, najwyższe, jakie ludzkość z wiekowej pracy i myśli wysnuła i biorąc spokojnie zupełną odpowiedzialność za to, wiedzie młodzieńca nie ku temu koniecznie, co teraz modne i na porządku może dziennym stoi a wartości jest nie wiedzieć jakiej, lecz co ma wartość trwałą i niespożytą, co podnosi człowieka nad powszedni poziom. Szkoła uczy pracy, gdy dzień za dniem jej wymaga, równej i ciągłej, zarazem przyzwyczaja do obowiązkowości. W niej uczeń żyje w społeczeństwie — bo każda klasa i cała szkoła jest społeczeństwem w miniaturze, złożonem z różnorodnych żywiołów — a żyjąc w niem, nabywa umiejętności życia, tworzy stosunki jakby prawne, ma pole do zastosowania zasady słuszności, życzliwość w różnych stopniach rozwija. A cóż mówić dopiero, jeżeli się pomni, że szkoła rozbudza dzień za dniem, rok za rokiem dążność do coraz większego doskonalenia się

w nauce i w zachowaniu, że treścią nauki, wybranej z najcelniejszych utworów umysłu ludzkiego, utrzymuje umysł w atmosferze i na wyżynie najpiękniejszych ideałów człowieka.

Tego wpływu szkoły nikt nie może nazwać niewychowawczym, kto tylko cokolwiek się nad tem zastanowi.

I znowu słyszeliśmy na ankiecie jeszcze i takie zdanie, że szkoła nasza nie daje broni do walki z życiem!

Ciekawy jestem, co może dać człowiekowi silniejszą broń do tej walki, jak właśnie zaznajomienie go z temi ideałami, które wskazują, jakim człowiek być powinien. Tem więcej, że w szkole nie uczą go tylko abstrakcyjnego ich pojęcia, lecz przedstawiają mu konkretnie i każą mu samemu patrzeć i czytać, jak ludzie w historyi dawnej i dzisiejszej pracowali i pracują nad własnem oświeceniem, nad poznaniem prawdy w naturze i człowieczeństwie, nad opanowaniem sił przyrody i poddaniem ich pod swoją władzę, nareszcie nad zdobywaniem czci i szacunku wśród swoich społeczeństw i całej ludzkości współczesnej i potomnej. Nasze szkoły zresztą mają program, obejmujący najistotniejsze działy wiedzy, które służą do oryentowania się w dzisiejszym świecie społecznym i przyrodniczym. Zarzuty w tym kierunku na ankiecie czynione albo są niesłuszne, albo bez większego znaczenia. Wypominano, że gimnazyum nie uczy dzisiejszych urządzeń państwowych i krajowych, a przecież wszystkim wiadomo, że w klasie VIII, a częściowo w klasie IV, są na tę naukę osobne lekcye wyznaczone; wypominano, że uczniowie nie wynoszą wiadomości o literaturze powszechnej, tymczasem w każdem dobrem gimnazyum znajduje się wiele sposobności do zaznajomienia z najważniejszemi jej dziełami przy nauce historyi powszechnej, tudzież przy literaturze polskiej i niemieckiej. Uczą się uczniowie i pewnych pojęć prawa na nauce religii przy etyce, nieco przy psychologii, a najwięcej przy czytaniu dzieł czterech literatur, które często stosunków prawnych dotykają. Nie na wszystkie działy nauki potrzebne są osobne godziny z osobnym tytułem przedmiotu; do ogólnego wykształcenia wystarcza całkowicie z niejednej umiejętności poznać tylko przygodnie niektóre ważniejsze

elementa, a systematyczna ich nauka należy już do późniejszych fachowych studyów.

Jeżeli zwrócono uwagę, że uczeń gimnazyalny nie wynosi ze szkoły nauki i wprawy w rysunkach, to istotnie niekiedy brak ten uczuwać się dać może i byłoby pożądanem wymyśleć jakiś sposób, ażeby ten przedmiot w planie pomieścić można. Zanim do tego przyjdzie, już i dziś uczeń chętny ma przynajmniej sposobność nauczyć się rysować, korzystając z nadobowiązkowej nauki tego przedmiotu.

Na liczne inne zarzuty, czynione na ankiecie, przeciw dzisiejszym gimnazyom w długich, nieraz patetycznych przemówieniach, wystarczy odpowiedzieć krótko, że tyczyły się raczej mniejszych lub większych usterek w wykonaniu programu szkolnego, aniżeli organizacyi samej szkoły. Takich wypadków, że któryś z nauczycieli źle uczył i błędnie zrozumiał intencye ustawodawców szkolnych, albo że ten i ów uczeń z jakiegoś gimnazyum pewnych wiadomości nie posiadał, lub okazał się bezradnym i niedołężnym, takich wypadków żadna szkoła na świecie nie uniknie. Nie wolno jednak na ich postawie niekorzystnego światła na samą szkołę rzucać i chcieć ją burzyć i usuwać bezzasadnie i bezskutecznie.

Nie obeszło się naturalnie i bez zarzutów, skierowanych wprost albo ubocznie przeciw naszej najwyższej władzy szkolnej, to za jakąś bezwzględność wobec nauczycielstwa, to za częstą zmianę nauczycieli, za to, że w najniższych klasach nie uczą wytrawni nauczyciele, nawet za szowinizm wobec ruskiej narodowości i t. d. Ostatni zarzut odparł energicznie obecny na ankiecie członek Rady szkolnej, dr. German, z zupełną słusznością. Co do reszty wyżej wspomnianych wypomnień i innych, powiedzieć musimy, że częścią są nieusprawiedliwione, częścią że bynajmniej nie do Rady szkolnej powinny być zwrócone; winą bowiem niejednej niedogodności są stosunki, wśród których żyjemy, jeszcze nie dość wyrobione, brak dostatecznej liczby należycie przysposobionych nauczycieli i poniekąd brak sił w ogóle, za wielka ilość uczniów w gimnazyach i t. d. Kto na działalność Rady szkolnej od szeregu lat bezstronnie patrzy, musi przyznać

nietylko chęci jej najszczersze, ale i zarządzenia coraz więcej ku wszelkim ulepszeniom zmierzające. Sama Rada szkolna nie jeden niedostatek jeszcze widzi i uznaje, zaradza mu, lecz wszystkiego na razie zrobić nie może.

Najdziwniejszem może było wyrażenie żalu ze strony ks. Jerzego Czartoryskiego, że Rada szkolna zachowuje się odpornie względem wniosków, odnoszących się do reformy, że w tej sprawie nie występuje ze swojem zdaniem i z inicyatywą. Tego żądać albo spodziewać się od władzy krajowej, podległej ministerstwu, przeznaczonej do czuwania nad ustawami i ich wykonaniem, jest czystą extrawagancyą. Dlatego dobrze się stało, że ze strony naszej najwyższej magistratury szkolnej obecnym był tylko jej przedstawiciel wyłącznie i jedynie w tym celu, aby możliwe błędne mniemania o szkole istniejącej prostować.

Jako ciężką baterye przeciwko istniejącemu ustrojowi szkół i zwolennikom jego wytoczono opinię publiczną, niby domaganie się reformy przez społeczeństwo. Zadał sobie pytanie jeden z członków ankiety: kto się skarży na szkołę? i odpowiedział sobie sam bez wahania „wszyscy“. Niektórzy inni wołali, że społeczeństwo niezadowolone, że istnieje rozdział między społeczeństwem a szkołą, prawie grożono jakby rewolucyą społeczeństwa, jeżli dzisiejsze szkoły zostaną, a jako dowód opinii publicznej służyć miały dwa tysiące czy więcej podpisów, głosujących w całym kraju za reformą.

Ktoby miał lękliwe serce, gotówby się przerazić i czemprędzej przed niebezpieczeństwem ustąpić. Atoli nie przedstawia się rzecz tak naprawdę, jak ją malowano.

W opinii publicznej trzeba zawsze rozróżnić ludzi, którzy znają gruntownie rzecz, o której sądzą i poważnie się nad nią zastanawiali, od tych, którzy o rzeczy wyobrażenia nie mają, albo posiadają o niej zbyt szczupłe i błędne wiadomości, i między tymi znowu jednych, którzy się wstrzymują słusznie od sądu, i innych, co mają uroszczenia do wydawania wyroku. Otóż w sprawach tak ważnych, jak organizacya szkół, znaczenie mieć może tylko sąd ludzi, którzy mają pojęcie o zadaniu wychowawczem państwa; oczy-

wiście nie muszą to być koniecznie pedagogowie fachowi, ani sami tylko organizatorowie szkół, lecz wszyscy dość wykształceni, którzy sobie zadali trud, by poznać zagadnienia edukacyi na szeroką skalę i którzy zdołają objąć myślą tysiączne warunki, od jakich dobre rozwiązanie zagadnienia zawisło. Wszyscy inni, szczególnie ogrom publiczności, chociaż szanowani z innych względów, mogą zdaniem swojem niejedną sprawę wychowania rozjaśnić, trafną radą w szczegółach pomódz i pragnienia swoje uzasadnione wyjawiać, lecz w ostatecznem rozstrzyganiu niezmiernie ciężkiej i ważnej kwestyi ustroju szkolnictwa głosu nie mają.

Agitacya zręcznie rozwinięta, hasło rzucone, potrafią pozyskać i zebrać mnóstwo głosów tych ostatnich, ale przecież sam rozsądek dyktuje, że należy je, co najwyżej, przyjąć do wiadomości, ale nie upatrywać w nich czynnika wiele znaczącego, tak samo jak głosów, odzywających się w dysputach przygodnych ustnych, lub w artykułach niektórych dzienników.

Znana to od niepamiętnych czasów zasada, że w poważnych sprawach głosy ważyć, nie liczyć należy, czyli innemi słowy, że nie można ustępywać opinii większości, chociażby bardzo przeważnej, jeżeli mniejszość, złożona z poważnie myślących, jej się sprzeciwia. Częstokroć tak się zdarza oddawna na świecie, że mała garstka ludzi prawdziwie rozważnych lepiej myśli o dobru ogółu, niż ogół sam o sobie i wtedy bezpiecznie w imię uczciwych zasad i przekonań narzuca lub utrzymuje dobre instytucye i niema obawy o rozłam i wzburzenie, gdyż z czasem sama większość, pierwotnie przeciwna, pozna dobre wyniki zarządzenia owej garstki i zadowolona i jeszcze wdzięczna jej będzie.

Bogaty w liczbę, ale nie pewnej wartości arsenał grawaminów na dzisiejsze gimnazya i ustrój szkół średnich, kończył się projektem zaprowadzenia szkoły jednolitej t. j. jednej dla wszystkich: teologów, prawników, lekarzy, filozofów, techników i t. d. Z dyskusyi na ankiecie zostało wszelako wrażenie, że żaden z członków jej, dążących do reformy, nie obmyślił bliżej, jakby w rzeczywistości szkoła jednolita mo-

gła być zbudowaną. Widoczne były różnice w zapatrywaniach.

P. Rotter prawdopodobnie myślał pierwotnie o szkole jednolitej wyłącznej z wykluczeniem z systemu szkół gimnazyów, szkół realnych i nie wiemy, czy także nie innych. W toku dyskusyi, zdaje się, zauważył, że byłoby to żądanie za daleko posunięte; dlatego godził się na pozostawienie nawet małej liczby gimnazyów we Lwowie i w Krakowie. W szkole jednolitej proponował obowiązkową naukę rysunków i naukę o urządzeniach społecznych teraźniejszych, a chciał wykluczenia języków greckiego i łacińskiego, tudzież propedeutyki filozoficznej; ostatecznie jednak za zupełnem usunięciem łaciny nieobstawał. Byłoby to niemal to samo, co realne gimnazya w Niemczech.

P. rektor Kadyi podzielił przedmioty nauki w szkole jednolitej na cztery grupy: języki, historyę z geografią, matematykę i fizykę z rysunkami i geometryą wykreślną, nareszcie nauki przyrodnicze (nie wspomniał o religii). Dla każdej z tych grup domagał się równej liczby godzin. Ponieważ nie wykluczał języka greckiego, przeto według jego propozycyi wypadłoby, gdybyśmy liczyli po 28 godzin nauki tygodniowo, n. p. na języki polski, niemiecki, łaciński i grecki razem 7 godzin w tygodniu, co jest stanowczo niemożebne.

P. Szczepanowski wyobrażał sobie, że więcej jak 18 godzin nauki w tygodniu dla szkoły jednolitej nie potrzeba, oprócz rysunków i gimnastyki. Bliżej godzin tych nie rozdzielił, dodając tylko, że grecki język, który on osobiście bardzo wysoko ceni, powinien być nadobowiązkowym.

Oceniać i krytykować dokładniej tych i innych projektów nie chcemy, bierzemy tylko myśl zasadniczą, która z nich przebija i wtedy nie możemy się obronić wrażeniu, że skoroby się naprawdę ze stanowiska reformistów chciało stworzyć plan szkoły jednolitej, musiałoby się albo przepełnić ją taką ilością przedmiotów, iż umysł ucznia pracy by nie podołał, albo zmniejszając zakres wszystkich oddzielnych przedmiotów, ogólne wykształcenie bardzo obniżyć i płytkiem a powierzchownem uczynić.

Ponieważ ani jednego, ani drugiego nikt dopuścić nie pragnie, przeto nie zostaje nic innego, jak zgodzić się na razie na stan dzisiejszy, rozdziału kierunków gimnazyalnego i realnego i w tym obrębie starać się obmyśleć sposoby pewnych modyfikacyj, rozszerzyć w dopuszczalnych granicach uprawnienie dla realistów, szukać w końcu jeszcze innych typów szkół po za gimnazyami i szkołami realnemi, a wszystkie we wewnętrznej wartości podnosić i wzbogacać. Wtedy coraz mniej będzie obawy, że społeczeństwo, wykształcone w rozmaitych szkołach, nie będzie miało wspólnych podstaw do wzajemnego porozumienia.

Wzorem, jak szkoły powinny być urządzane, zostanie bezsprzecznie *Zarys Organizacyi* z r. 1849, pomysł z pewnością najlepszy, jaki świat cywilizowany w ostatnich czasach wydał, ale wabić może i warta zastanowienia myśl, poruszona także w *Zarysie*, ustanowienia kilku klas niższych wspólnych dla wszystkich uczniów z bifurkacyą w klasach wyższych w tym duchu, w jakim za nią przemawiał na ankiecie prof. Jordan. Nie łatwo ją jednak w praktyce przeprowadzić, jak tego dowodzą próby szczególnie w Szwajcaryi i w Szwecyi, gdzie ją urzeczywistniono, ale zarazem nabawiono się nadzwyczajnych kłopotów. Wolelibyśmy w każdym razie, ażeby dłuższy czas przeczekać, aż owe próby swojej racyi bytu dowiodą i pozytywne wyniki okażą, zanim się na nie u siebie odważymy.

Czybyśmy zostawili nienaruszony dzisiejszy stan szkół, czy też myśleli o zmianie ich w kierunku bifurkacyi, czy też jakiej innej, zawsze przy dzisiejszym rozwoju nauk i postępie oświaty przygotować się na to musimy, że młodzież nasza w każdej szkole pracy musi mieć dużo. Nieźle jest, kiedy się do niej przyzwyczai, nawet chociażby pewnego utrudzenia i mozołu doznała, bo czeka ją życie, jakie każdy z nas przechodzi, pełne walki i wymagające wielkiego wysilenia ducha, jeżeli się chce spełniać sumiennie swoje obowiązki. Jednak, gdy umysł ma w wytężeniu wytrwać, musi fizyczna strona naszej natury w równowadze się trzymać i zaniedbać jej się nie godzi. Dlatego też dobrze się stało, że na ankiecie przy całej dyspucie o umysłowem kształceniu, szczególnie wybitny nacisk położyli na pielęgnowanie ciała

dwaj lekarze, dr. Stroynowski i prof. Jordan. Obydwaj żądali — i na to się godzili wszyscy bez wyjątku — obowiązkowej gimnastyki, zabaw i wprowadzenia lekarzy szkolnych. Na tę kwestyę nie ma co wiele słów tracić, a raczej należy wskazać tylko, że obecnie gimnastyka obowiązkowa już się w szkołach średnich wprowadza, a gry i zabawy, których pierwszy, świetny przykład właśnie prof. Jordan stworzył w swoim parku w Krakowie, co raz powszechniej wchodzą w zwyczaj. Można tylko wyrazić życzenie, aby co raz się zaczęło, wzrastało w szybkiem tempie, aby szczególnie obok gimnastyki, zabawy jak najwięcej w zwyczaj wchodziły, a na dalszym planie, ażebyśmy się doczekali wszędzie i zdrowotnych stosunków we wszystkich budynkach, i lekarzy, którzyby w każdej szkole nad stanem higienicznym pilnie czuwali.

Z tą ostatnią uwagą przebiegliśmy prawie wszystko, co było na ankiecie poruszone i co do istoty rzeczy należy, o ile nam to było możebne bez stenograficznych sprawozdań, a tylko na podstawie dorywczo schwyconych notatek. O zupełne wyczerpnięcie wszystkiego, co mówiono, naturalnie kusić się nie można, może nawet nie jedno nie całkiem dokładnie przedstawiliśmy, bo wśród wielu mów łatwo jakiś szczegół przeoczyć, a przeto i rzecz nieco w innem świetle, niż ją chciał mieć przemawiający, przedstawić. Pozostaje nam jeszcze tylko kilka słów dorzucić o zewnętrznej, że tak powiemy, stronie ankiety, jéj dyskusyi i o ostatecznym wyniku jej obrad.

Uderzało dziwnie, że w składzie ankiety obok różnych działów intelligencyi nie było ani jednego przedstawiciela duchowieństwa; ztąd o nauce religii zaledwie tylko tu i owdzie świeccy wspominali. Zamiaru wykluczenia księży z pewnością nie było, mogło być tylko przeoczenie.

Kwestyonarz, rozesłany członkom ankiety, ułożono niepraktycznie, pomieszczono w nim bowiem na początku pytania zbyt ogólne, tak, iż wiązały się z wszystkiemi niemal następnemi. To też wszelkie próby dyskusyi punkt za punktem nie udały się, prawie ciągle mówiono o wszystkiem razem. Rzecz na tem może nie wiele straciła, ale bodaj czy obrady się nie przewlekły i czy się to nie stało powodem,

że na niektóre punkta kwestyonarza nie wypadły dosyć ścisłe odpowiedzi.

Sama dyskusya, obok przemówień, trzymających się istotnego tematu narady, w znacznej części, jak zauważył słusznie prof. Zakrzewski, miała charakter scholastyczny; chwytano przeciwnika za słowa i nad niemi się rozwodzono bez względu na myśl, którą miał, i na właściwą rzecz, o którą chodziło. Rozwodzono się też nieraz niezmiernie szeroko nad szczegółami nauki i metody szkolnej, znanemi wszystkim, którzy cokolwiek o szkole wiedzą, aż do unużenia. Wniosków, ze szczegółowych wypadków wysnuwających zbyt ogólne sądy, było aż zanadto.

Ostateczny wynik głosowania, jak zresztą już wiadomo z dzienników, wypadł niepomyślnie dla wniosku posła Rottera za szkołą jednolitą bez greckiego, z uprawnieniem do studyów uniwersyteckich. Upadł także wniosek rektora p. Kadyjego za szkołą jednolitą z obowiązkową nauką języka greckiego, a utrzymał się, lecz tylko małą większością 18 głosów przeciw 13, wniosek posła hr. Reya, który żąda, ażeby w niższych klasach nauka była wspólna dla wszystkich, w wyższych zaś, ażeby w dwóch osobnych oddziałach jedni uczyli się więcej w realnym kierunku, ale z łaciną, drudzy więcej w humanitarnym, opartym na wyczerpującej nauce hellenizmu, z greckim językiem względnie obowiązkowym. Wstęp do uniwersyteckich studyów ma być dla obydwu kierunków otwarty.

Przeszedł zatem wniosek najmniej szczęśliwie pomyślany, bo ustanawiający bifurkacyę, a bez jasnego odgraniczenia kierunków obu działów; jeżliby bowiem drugi kierunek nie miał greckiego języka obowiązkowego, to prawie niczem nie różni się od kierunku pierwszego.

Oczywiście wniosek uchwalony, zostaje bez merytorycznego znaczenia, przedstawiony będzie jednak Sejmowi jako substrat do dalszego obradowania.

Oddzielnie złożyło na piśmie kilku członków ankiety oświadczenie, że obstają za utrzymaniem dzisiejszego systemu szkół, nie wykluczając jednak w nim postępu. I ci chcieli tem samem zaznaczyć, że obawiają się daleko idącego nowatorstwa i przewrotu w wychowaniu młodzieży, stawiania

w miejsce dobrej znanej instytucyi, czegoś nieznanego i nieokreślonego i to nietylko z powodów poprzednio obszerniej wyłuszczonych, ale także i dlatego, ażebyśmy w oświacie naszej nie odbiegli od zachodu, z którym nas łączą wiekowe stosunki, i nie narażali naszego młodego pokolenia na samotne odgraniczenie nawet wobec innych prowincyj państwa, w którem żyjemy.

Dr. Leon Kulczyński.

GRECYA.

Wspomnienia z podróży, odbytej na wiosnę r. 1896.

CZĘŚĆ I.

(Dokończenie).

III. KORYNT.

Wysiadamy z wagonu czemprędzej, a oddawszy nasze pakunki do depozytu, ruszamy na miasto. Po drodze ofiaruje swe usługi agent „Hotelu Kolejowego“, w którym żądano od nas po 12 fr. w złocie za dobę (mieszkanie z wiktem). Wkrótce skręciliśmy w prawo i mając w ulicy po lewej stronie pierwsze domy miasta, między innemi i urząd pocztowy, po prawej wolne pole i tuż za niem brzeg morski, doszliśmy po kwadransie niespełna do śródmieścia, gdzie mieliśmy dwa hotele do dyspozycyi: *To Stemma* i *Xenodochion ton Parision.*

Wybraliśmy „Hotel Paryski“.

Oddawszy drobiazgi podróżne właścicielowi hotelu i zamówiwszy obiad, jedni poszli użyć morskiej, tak pożądanej po skwarze dnia kąpieli, drudzy, do których i ja należałem, udali się drogą polną nadmorską wzdłuż toru kolejowego [1] ku przekopowi cieśniny Istmijskiej. Po prawej stronie minęliśmy jakieś olbrzymie bloki skał, fundamenta murów starożytnych, dalej cmentarz, po lewej zaś wznosił się olbrzymi

[1]) Wiodącego ku Atenom.

nasyp, za którym już niedaleko szumiało morze zatoki korynckiej. Po dwudziestu minutach doszliśmy do kanału Istmu. Ten równy skrawek lądu, piękny, upstrzony różnowzorym kobiercem kwiatów, urodzajnego pola, ogrodów i lasków, wyglądający z dala jak obszerna łąka pasznista, wtłoczony pomiędzy górę *Geranion* od strony Megary (na północny wschód) i dalekie roztocza zasiane winnicami południowej góry *Oneion*, a oblany z dwóch pozostałych stron wodami zatoki koryncikiej (na północny zachód) i sarońskiej (na południowy wschód) – to *Istmos*. Przez ten to przesmyk, zaledwie 6 klm. długi, podają sobie ręce Peloponez i Grecya środkowa, to węzeł nierozerwalny, którym — jak powiadają Nowogrecy — Opatrzność na zawsze skojarzyła dwa lądy. A jednak na ten węzeł czyniono zamach już w starożytności, osobliwie za czasów cesarstwa rzymskiego. Śmiałe jednak plany starożytnych inżynierów rozbiły się o twardą opokę terrenu Istmu. Dopiero nowoczesna, przed żadnemi trudnościami nie cofająca się sztuka i genialność wykonawców, podołały trudnemu zadaniu. Z końcem r. 1893 oddano do użytku publicznego kanał koryncki, którego długość wynosi 6 klm., szerokość 23 m., a głębokość 8 m. Wjazd do kanału od zatoki koryncikiej osłoniony jest dwiema długiemi groblami, zamykającemi w pięciokąt wyborną przystań. Na groblach widnieją dwie latarnie morskie. Przy tym porcie po obu stronach ujścia kanału powstaje świeżo założona osada *Posejdonia*. Takisam port i całkiem taksamo skonstruowany, z dwiema zakrzywionemi groblami i dwiema latarniami, znajduje się u wejścia do zatoki sarońskiej. Miejscowość tam założona zwie się *Isthmia*. W odległości 2 klm. od wjazdu zachodniego (od Posejdonii) rzucony jest śmiało 82 m. długi most kolei żelaznej w wysokości 52 m. ponad zwierciadłem wody. Terren przesmyku koryncikiego zniża się ku zatoce koryncikiej, wznosi się zaś ku sarońskiej, gdzie też i ujście kanału ma brzegi wysokie, gdyż także i przesmyk od strony zatoki znaczy się wzniosłościami do 80 m. i więcej.

Myśl połączenia obydwóch zatok dla udogodnienia komunikacyi w żegludze zaprzątała już, jak wspomnieliśmy, umysły starożytnych i objawiała się w dwojaki sposób. Raz myślano o istotnem przekopaniu kanału, drugi raz pomagano

sobie w sposób więcej prymitywny przez założenie stałych torów, dla przesuwania po nich pomniejszych okrętów od jednej zatoki ku drugiej. Od czynności przesuwania nazywano ten tor *diolkos*.

W połowie drogi od dworca kolejowego do kanału odkopano na całej przestrzeni Istmu szlak muru istmijskiego, który stanowił wał ochronny dla obszaru Koryntu i zaporę dla nieprzyjaciela, chcącego się weń wedrzeć drogą lądową. Pierwszą wzmiankę o tym murze spotykamy w historyi z czasów drugiej wyprawy Xerxesa. Najlepiej zachowały się części muru od strony zatoki sarońskiej (wspaniałe kamienie ciosowe i wieże), a więc tam, gdzie była święta dzielnica świątyni Posejdona i Melikertesa i słynne w starożytności Stadyum Istmijskie, przeznaczone dla zapasów, powtarzających się co dwa lata. Na pewnej przestrzeni przypierały mury świętego obszaru do obwarowań muru istmijskiego. Na zachód od Stadyum rozkopano skąpe resztki teatru greckiego i rzymskiego.

Wróciwszy jeszcze dość wcześnie do miasta, staraliśmy się przypatrzeć jego wewnętrznej fizyognomii. Nowy Korynt zabudowuje się w szachownicę. Kilka ulic, przecinających się prostokątnie, tworzy grupy kamiennych, szarych, nad wszelki wyraz skromnych, prawie nędznych domków, zwykle jednopiętrowych. Główna ulica, przy której jest Hotel Paryski, wiedzie od strony morza ku koszarom, położonym przy trakcie kolei patraskiej i cmentarzowi. Sklepy i ich towary nie odpowiadają najskromniejszym wymaganiom podróżnych. Kilka ordynarnych kawiarń, handel kolonialny i galanteryjny, kilka trafik *(kapnopolion)*, salon fryzyersko-felczerski *(kurion)*, większy cokolwiek skład papieru *(chartopolion)* — oto wszystko.

Ruch na ulicach prawie żaden. Kilku domorosłych safandułów z fajkami lub papierosami w ustach przechadza się poważnemi krokami, przypominając żywo typ naszych małomiasteczkowych, prowincyonalnych polityków. Nawet nie słychać nawoływań sprzedawaczy gazet, ani nie widać przekupniów drobnych towarów, np. zapałek i owoców południowych. Minąwszy dwie albo trzy przecznice, podobne do ulicy głównej, tylko jeszcze mniej ożywione, dochodzimy do ja-

kichś drzew, które mają stanowić zawiązek przyszłego parku. W pobliżu także plac większy, gdzie się snuje kilku wyrobników i kilka kumoszek opowiada sobie wyłowione nowości z dnia ubiegłego. Wszędzie spokój wzorowy, cisza nie odpowiadająca temperamentowi synów południa. Jakiś ponury smutek i poważna zaduma obsiadła czoła małej, 5.000 mieszkańców liczącej, lichej, ubogiej mieściny.

Zakupiwszy tytoniu w trafice, gdzie nam wydawano fałszywą monetę, a po 50 *lepta* sprzedawano paczkę tytoniu, na której wypisana była cena 35 *lepta*, udaliśmy się do naszej gospody na obiad. Sala jadalna, mająca wielkie drzwi i nie zasłonięte nawet siatką kwadratowe otwory zamiast okien, mieściła zarazem kuchnię, nie oddzieloną niczem od restauracyi, w której stały trzy podłużne stoły i długie ławki oparte o ścianę. Krzesła, które z trudnością zgromadzono z pokojów gościnnych i pożyczono w sąsiedniej kawiarni, były tak różnego kalibru, że nie udało mi się znaleźć dwóch do siebie podobnych. Przy stole środkowym zasiadło trzech oficerów w randze naszych kapitanów i jakiś dygnitarz cywilny. Uważali nas pilnie, jednak nie wyzywająco, gdyż to nie jest obyczajem żołnierzy krajów południowych.

Byliśmy już głodni. Ale chwila posiłku zbliżała się coraz bardziej, dodawało zaś nam wiele otuchy to, że pieczyste przyrządzano w naszych oczach. Skrzętny i zapobiegliwy gospodarz i kucharz zarazem ledwie podołać mógł swoim obowiązkom wobec tak licznej gromady nigdy niewidzianych gości. Wreszcie improwizowany kelner *(pedi)* zaczął roznosić dania, każdemu już z góry na jego talerz wydzielone. *Menu* było następujące: *arnaki* (pieczeń barania), chleb *(psomi)* z masłem i czosnkiem (wielkim, okazałym, świeżo wyrwanym razem z zieloną łodygą) i pomarańcze. Syci całodziennych wrażeń, ale niemal z pustym żołądkiem opuściliśmy lokal. Udaliśmy się do sąsiedniej kawiarni, w której zastaliśmy już kilkanaście osób bardzo wątpliwego charakteru. W kawiarni było pełno dymu. Na środku sali kilku gości grało w bilard, po rogach grano zapamiętale w karty i w domino.

Przybiegł kelner i każdego z nas zapytał, kto pije *kafes gliko* (słodką kawę), kto *metrio* (na pół słodką), kto *scheto*

(bez cukru). Sąsiedzi, którzy grali w karty, palili na długich, krętych cybuchach *nargile*, t. j. fajki, których dym oczyszcza się przez wodę, w osobnym zbiorniku zawartą. Ten rezerwoar z wodą umieszczony był pod stołem, a pulsujące za każdem pociągnięciem cząstki wody i bulkotania świadczyły o większym lub mniejszym zapale i namiętności gracza, zdradzały psychologicznie nastrój wewnętrzny, były zmysłowem odbiciem jego duchowych pragnień. W chwilach skupienia myśli spoczywała *nargila* nieruchomo i ognisko w fajce zdawało się wygasać. Wody sodowej (*neró tis sodas*) nie można było dostać ani w tej kawiarni, ani, jak nas zapewniono, w całym Koryncie. Po wypiciu czarnej kawy opuściliśmy lokal czemprędzej, udając się do Hotelu Paryskiego na spoczynek.

Tutaj czekała nas nowa niespodzianka, żebyśmy mogli ujemne strony podróży po Grecyi poznać w całej pełni. Przeszedłszy sień o bardzo ponurem i niepewnem wejrzeniu, drapaliśmy się po chwiejących się drewnianych schodkach do komnat pierwszego piętra. Właściciel hotelu sam ciągle nas przestrzegał, abyśmy nie szli gromadnie, gdyż schodki mogłyby łatwo runąć. Jakoż były nie wiele lepsze od tych, po których wstępowaliśmy do twierdzy w Patras. W izbach hotelowych czekały nas nowe zawody.

Wyznaczono nam po dwa pokoje, tak urządzone, że w pierwszym były dwa łóżka, w drugim trzy. Nikczemna pościel i obdarte przykrycia leżały na tych nędznych barłogach. W kątach pokojów migotały gasnące lampki olejne. Weszło nas zatem pięciu do jednej izby. Ktoś zwrócił uwagę gospodarza na brak klucza. Oświadczył, że obawa jakiegoś napadu lub rabunku wykluczona jest tem bardziej, że do wnętrza i tak nie łatwo się dostać, gdyż ostatni wchodzący gość winien wyjąć klamkę z zewnątrz drzwi, poczem można zaszczepić drzwi od środka i jest się bezpiecznym. Niektórzy koledzy dostali umieszczenie w jednej izbie z osobami zupełnie sobie obcemi. Ci całą noc oka nie zmrużyli. Atoli i nam wszystkim nie wiele snu dostało się tej nocy w udziale. Spaliśmy w ubraniach na naszych własnych kocach i torbach podróżnych, pozrzucawszy wprzód brudną i nie budzącą zaufania pościel hotelową. Świeciliśmy też przez

całą noc własne świece. Wiadomo, jak pożądanym jest nocny spoczynek po całodziennych trudach w ciągu kilkomiesięcznej uciążliwej podróży. Lecz takiej nocy, jak wówczas w Koryncie w Hotelu Paryskim, nie zaznaliśmy nigdzie ani przedtem, ani potem. Nawet później, w czerwcu nie dokuczyły nam tak moskity w południowych Włoszech i Sycylii, w Katanii, Syrakuzach, Messynie, jak owej nocy do żywego dały się nam we znaki owady nocne i najgorszego gatunku plugastwo.

Wczesnym rankiem wstaliśmy, skontrolowaliśmy nasze ubranie, torby, koce i wyrównawszy rachunek hotelowy udaliśmy się na dworzec. Po drodze wstąpiliśmy do urzędu pocztowego, gdzie jeden z kolegów chciał nadać przesyłkę, zawierającą ubranie zimowe, do Austryi. Urzędnik pocztowy wyjaśnił, że przyjmuje tylko przesyłki w obrębie królestwa, a tego rodzaju ekspedycye może załatwiać tylko główna poczta w Atenach. Podążyliśmy więc na dworzec, gdzie oczekiwaliśmy przybycia Dörpfelda, zapowiedzianego na godzinę dziesiątą. Wśród długiego czekania nasunęły się nam mimowolnie kontemplacye na temat znikomości światowej. Jakoż zadawaliśmy sobie pytania, jak mogła tak całkiem bez najmniejszego echa przebrzmieć owa przysłowiowa świetność Koryntu, owe czasy rozwoju handlowego starożytnej Efyry, olśniewającej bogactwami i przepychem kupców fenickich, gdzie się podziała owa potęga Kypselosa i Peryandra i wewnętrzny rozwój miasta i kraju, gdzie przepadły i bezpowrotnie zniknęły owe świetne czasy prokonsulatu Achai, kiedy Korynt był ogniskiem handlu całej Hellady, skarbcem nieocenionych bogactw, dostatku i zbytku, gdzie wreszcie św. Paweł Apostoł zakładał gminę chrześciańską i nawoływał do pokuty i poprawy obyczajów?

Otóż nie należy zapominać, że ta starożytna Efyra, późniejszy Korynt, leżała o 5 kilometrów dalej na zachód od dzisiejszego miasta, u stóp potężnej akropoli, Akrokoryntu, w oddaleniu (obecnie) około dwóch kilometrów od morza.

W owem miejscu starożytnego Koryntu, siedziby szczęścia i dostatku i rozpasania i zbytku, dziś tylko kilka chat wieśniaczych, licha gospoda i siedm starożytnych monolitowych słupów świątyni nieznanego bóstwa pozostało.

Tam jednakże na gruzach starożytnego Koryntu, z ziemią zrównanego w r. 146 przez konsula Luciusa Mummiusa, istniała [1]) w wiekach średnich osada, wznowiona przez Cezara jako kolonia obywatelska, przeważnie z wyzwoleńców złożona, która jako najznakomitsze miasto handlowe greckie i całego Wschodu doszła do najwyższego rozwoju, rozkwitu, bogactwa i potęgi; tam nauczał św. Paweł Apostoł, ganił zbytek i rozpustę i zakładał gminy chrześciańskie. W nowożytnych czasach była tam już tylko skromna wioska, którą straszne trzęsienie ziemi z 2 lutego 1858 r. w stosy kamieni i gruzów obróciło. Wówczas to ludność wioski dotkniętej klęską elementarną przeniosła się w miejsce dzisiejszego miasteczka i założyła tu nową siedzibę, której obraz obecnego rozwoju podaliśmy przed chwilą.

Wśród takich kontemplacyj powoli czas upływał. Rozmawialiśmy pomiędzy sobą, z naczelnikiem stacyi, służbą kolejową, dawaliśmy czyścić ubranie pachołkom a buty „lustrosom“, gdy wtem dano sygnał, że pociąg od strony Aten przyjeżdża. Zajechał. Z wszystkich wagonów wysypało się mnóstwo podróżnych, różnemi językami mówiących i nieraz zbyt oryginalnie ubranych. Byli to towarzysze ekspedycyi Dörpfelda, z którymi mieliśmy wspólnie odbyć całą podróż po Peloponezie i wszystkie wycieczki morskie, do wysp Archipelagu i do Troi. Byli więc tutaj Anglicy, Szwedzi i Norwegowie, Włosi, Grecy i Niemcy, grono austryackich profesorów i najliczniejszy ze wszystkich zastęp Amerykanów. Ci ostatni przybyli z paniami. Niemcy mieli okrągłe, płytkie czapki burszowskie, Jägera koszule do podróży, wysokie buty silnie grubemi gwoździami nabijane, manierki u boku i fajki w ustach. Oryginalne były stroje synów Albionu. Ci mieli białe płócienne czapki z opaskami, dającemi się spuszczać na kark w czasie zbytnich skwarów słonecznych, a na kratkowanych płóciennych surdutach mieli przez grzbiet zarzucone białe koszulki, których rękawy były dokoła szyi omotane i z przodu związane. Ile razy następo-

---

[1]) Korynt podupadł i stracił całkiem znaczenie przechodząc w ręce Turków 1458 r., to Wenecyan 1682 r., to znowu Turków 1715 r.

wał mrok wieczorny lub temperatura się obniżała, albo wiatr ostrzejszy na wyniosłościach górskich powiewał, panowie ci rozwiązywali rękawy, spadające jakby motyl wielkiej krawatki na piersi, i przez głowę zakładali na surduty owe kaftany z owczej wełny. Ponieważ wielu z nich miało także ubranie „parterowe“ nieposzlakowanej białości, przeto po założeniu owych kaftanów, wyglądali jak niedźwiedzie polarne i pod tą też nazwą byli znani w kółkach ściślejszych znajomych. Wszyscy uczestnicy podróży skupili się w jednem miejscu, gdzie otoczyli mężczyznę przeszło czterdziesto-letniego, wzrostu słusznego, o włosach niegdyś jasnych, dziś cokolwiek szpakowatych, o jasnych, wyrazistych i żywych oczach, rysach twarzy męskich, cerze czerstwej i prawie rumianej, podbródku zdradzającym nie tyle energię, co śmiałość i pewność siebie. Ubrany był w ciemno-popielaty strój francuski, zarzutkę miał zimową, szaraczkową, i miękki filcowy kapelusz. To Dörpfeld. Kiedy nas Dr. Zingerle z nim zaznajomił, nastąpiły także wzajemne przedstawienia reszty towarzyszów podróży, których ogólna liczba wynosiła 65 osób. Pociąg mieliśmy osobny do Nauplii na 4 dni i do Trypolicy.

Zaznajomieni osobiście z Dörpfeldem należeliśmy już odtąd do jego ściślejszego towarzystwa, stanowiąc jakby jedna rodzinę, aż do ukończenia wyprawy peloponeskiej [1]). Odtąd starał się on już o wszystkie potrzeby codziennego wspólnego pożycia naszego, opłacał wydatki wspólne na wikt, hotele, konie, muły, osły, pociągi i podwody. Uczestnicy rozliczali się z jego sekretarzem co kilka dni, zwykle raz w tygodniu, i płacili koszta z dołu w drachmach papierowych, albo złocie. Przeciętnie wynosiły koszta utrzymywania dziennie 20—25 drachm = 6 złr. 80 ct. do 8 złr. 50 ct.

---

[1]) Wypada podnieść szczegół, że o przyjęcie na listę uczestników wspólnych wycieczek i wspólnej naukowej podróży należy się już znacznie wcześniej postarać, najpóźniej do listopada roku poprzedniego, pisemnem zgłoszeniem się u Dörpfelda, który stale przebywa w Atenach i mieszka w Archeologicznym Instytucie Niemieckim, *σχολὴ γερμανικὴ* (*scholi jermanike*), którego jest sekretarzem.

Zasiedliśmy więc do wspólnego śniadania w restauracyi hotelowej. Dania były smaczne i dość pożywne, acz nie wybredne. Po śniadaniu, zajęliśmy bezzwłocznie miejsca w dwukolnych, wysokich wózkach, których pudła, mogące pomieścić 4 do 8 osób, osadzone były na niezwykle wysokich kołach. Tego rodzaju wózki, przypominające polskie biedy dawniejszego kalibru, są typowym przykładem wozu używanego w krajach południowych, a mają swoją tradycyę w najdalszej starożytności [1]).

Greckie wózki dwukolne są co do formy i wykończenia skromne i proste. Tu wzgląd praktyczny przeważa nad wymaganiami dobrego smaku i poczucia estetycznego. Niektóre były nawet bardzo prowizorycznie sklecone z pięciu desek, w czasie jazdy szybkiej niesłychanie trzeszczały i w razie rozsypania się groziły gościom upadkiem ze znacznej wysokości. Były jednak obok tych taradajek, także dorożki, osadzone na 4 kołach i urządzone po europejsku. Takie spotyka się we wszystkich ważniejszych miastach Włoch i Grecyi i służą one prawie wyłącznie do przewożenia osób. Ten typ powozów roz-

---

[1]) Takie wózki, wykonane ze smakiem i elegancyą, spotykałem już w czasie włoskiej podróży, naprzód w Bolonii i na ulicach Florencyi, oraz w Rawennie, ciągnione przez zgrabne kucyki, a używane do miejskiej przejażdżki nawet przez intelligencyę; podobne wozy, używane do przewożenia wielkich ciężarów n. p. z magazynów kolejowych, widywałem nieraz w Genui lub Medyolanie. Zaprzęgano do nich po trzy, cztery, pięć koni, idących nie obok siebie, ale po jednym, jeden za drugim. W ciasnych uliczkach i zaułkach Neapolu rozwożą kupczykowie małemi dwukolnemi dryndulkami drobne towary, mięsiwo, owoce i jarzyny, wykrzykując przytem na cały głos i zachwalając towar sprzedawany, a skrzętne gosposie spuszczają z okien cztero- i pięcio-piętrowych domów na sznurkach koszyki z monetą po owe specyały. Takie wózki spotykałem też w wielu miejscach Sycylii, osobliwie w Syrakuzach, Palermie i Giardini di Taormina. Tutaj pudła wozów, nawet ciężarowych, były ozdobione malowidłami przedstawiającemi sceny teatralne, sceny z życia codziennego, a nawet ustępy z Pisma św.

winął się z pierwotnych *plaustrów*, używanych przez barbarzyńców.

Przejeżdżaliśmy południową część miasteczka Nowego Koryntu, gdzie widokiem tylu pojazdów i tylu obcych zwabione, powybiegały młodsze i starsze Greczynki przed progi swych domów, by się przypatrzeć przybyszom. Także całe rzesze dzieciaków biegły obok lub za naszemi wózkami. Tyle naraz dzieci zdarzyło mi się później raz jeszcze tylko widzieć, a mianowicie w jednej z głębokich ulic Resiny, tuż obok wykopalisk starożytnego Herculaneum, gdzie fala główek dziecięcych prawie nieskończona drobnych *fanciulli* i malutkich *ragazze* płynęła obok przechodniów, przy nich lub przed nimi. Ale fala włoskich dzieci jest niespokojna, krzykliwa i namiętna; tam wszystkie wyciągają rączki i prawie nie rozumiejąc słów wołają *un soldo, un soldo Signore.* Grecka dziatwa, to dzielne pokolenie młodych Olimpioników w odnowionych po półtrzecia tysiąca lat igrzyskach olimpijskich. Ta dziatwa nie narzuca się, nie żebrze natrętnie, jak włoska, ale zaprawia nieletnie nóżki do biegu *(dromos)*, by wyćwiczyć i wydoskonalić charakter w nogach na lata późniejsze.

Za miastem przebyliśmy most na niewielkim potoku górskim *Lewka*, który biorąc swój początek na górze *Skona*, doprowadza swe skąpe strumienie do morza na zachodnim krańcu miasta.

Zaraz za mostem skręca gościniec na południowy zachód, przecina tor kolejowy drogi wiodącej do Patras i tu się rozgałęzia. Jedna droga, nowsza, biegnie ciągle w niewielkiem oddaleniu od morza, wzdłuż toru kolejowego, w linii matematycznie prostej, wśród winnic na przestrzeni zupełnie otwartej i równej, druga droga, starsza, stanowi przedłużenie tej, która przecina tor i prowadzi dalej w kierunku południowo-zachodnim, wznosząc się pomału i nieznacznie po ostatnich stokach *Akrokoryntu*, widniejącego przed przybyszem w całej swej majestatycznej okazałości i zwartą potężną skałą strzelającego śmiało w niebiosa.

Po upływie niespełna godziny przybyliśmy na miejsce starego Koryntu. Kilka nędznych chat kamiennych, które może przetrwały straszne trzęsienie ziemi z r. 1858, albo na

nowo zostały wzniesione, zajmuje dawne miejsce potęgi i chwały. Wszędzie mnóstwo gruzów i kamieni, na pół rozwalonych domków wiejskich, u których wpada w oko charakterystyczny sposób budowania pieców, rozumie się piekarskich, nie wewnątrz domu, ale po za jego obrębem przybudowanych i jakby przytulonych do chat kamiennych.

I cóż pozostało ze starożytnego Koryntu? — pyta niejeden w tem miejscu. Literalnie nic, bo i jakżeż miało pozostać po tem zniszczeniu, jakiego tu dokonał oręż rzymski w r. 146 przed Chrystusem, w wiekach średnich Turcy, Wenecyanie i znowu Turcy, i straszniejsze od wojennej grozy trzęsienie ziemi.

Pokazują tu wprawdzie kilka zakamarków w skale wykutych i nazywają to „kąpielą Wenery [1]) (*lutró tis Afroditis*). Można jej pogratulować takiej łazienki, ale jej z pewnością nikt nie pozazdrości. W tych nyżach i pieczarach raczej zwierz dziki szukał schronienia przed niebios kąpielą w czasie burzy zimowej, aniżeli Wenus maczała swe nadobne członki, szerzące rozkoszną woń dokoła, lśniące śnieżnym blaskiem paryjskich marmurów — ona, pani Pafu, ona, o której kolebkę trącało morze, mogące jej i tutaj dostarczyć kąpieli w niedalekiej przystani *Lechajon*, to morze, lśniące różnorodnością mieniących się barw, równe jak najgładsza powierzchnia kryształu, niezmącone najlżejszym wietrzyku powiewem, poznaczone tylko delikatnemi smugami w linie prostokątne, jakby niemi igrał jakiś duch wodny. Tutaj to raczej kąpała cudne swe kształty urocza Wenus, w chwili, gdy siedzący w beczce Cynik przyjmował na przedmieściu *Kraneion* wizytę Aleksandra W.

Morze się dzisiaj znacznie cofnęło i jest odległe przeszło dwa kilometry od starego miasta ruin. W starożytności znacznie bliżej opłókiwało fundamenta murów okrężnych, których obwód największy przyjąć można na 20 klm., gdy okręg samego miasta wynosił 8 klm., razem z zamkiem 17 do 18 klm. Część murów okrężnych rozkopano już w r. 1892, obecnie praca trwa dalej.

---

[1]) *Λουτρὸ τῆς Ἀφροδίτης.*

Oprócz tego pokazują tu jeszcze resztki amfiteatru rzymskiego niedaleko tej drogi, którąśmy przejeżdżali.

Ale ponad te wszystkie drobiazgi, nie mające dziś dla nauki większej wartości, ponad względy studyowania topografii, jest przecież pomnik, co przetrwał lat tysiące i burze dziejowe i klęski elementarne. Pomnikiem tym jest siedm potężnych, monolitowych słupów doryckich, z rowkowaniami, wysokości przeszło 7 stóp, o średnicy dolnej $1^3/_4$ m. Kolosalne ich głowice i potężne belkowanie świadczą o zamierzchłej starożytności. Oparły się wielkim burzom dziejowym i przewrotom elementarnym, aby jeszcze dziś po tylu wiekach i lat tysiącach dawać świadectwo prawdzie dziejowej, mówiącej księgami historyków o minionej świetności. Jakiego bóstwa imię nosiła ta świątynia, nie wiemy wcale i zdaje się, że nie dowiemy się nigdy. Jest jeszcze drugi pomnik starożytnego Koryntu, ale tego nie wzniosła pracowita rąk ludzkich robota; ten drugi pomnik, to dzieło Stwórcy — nie uległ zniszczeniu, bo nie mógł, bo nieśmiertelny. Mówię o górze zamkowej, zwanej *Akrokoryntem.*

Kiedy Dörpfeld udał się do robót, około świeżych wykopalisk prowadzonych, całe towarzystwo nasze wyruszyło częścią pieszo, częścią na wytrzymałych konikach górskich, w daleką i uciążliwą pielgrzymkę na szczyt góry zamkowej.

Zrazu mieliśmy jeszcze ścieżkę znośną, wśród ogrodzeń kamiennych; zatrzymaliśmy się przy obmurowanem źródle niezłej wody, nad którem widnieje wykuty w skale napis turecki, następnie zaczęliśmy się piąć coraz wyżej, ścieżyną wśród głazów skał, złomów kamiennych i nierówności drogi. Po lewej ręce spadzisto sterczały boki olbrzymiej góry, jakby ściany zamku cyklopskiego, po prawej staczały się stromo niższe części podgórza, przechodzące u dołu w roztocza pagórkowate i piękną urodzajną równinę nadmorską, zarosłą niewielkim laskiem i zasianą winnicami. Z pod kopyt końskich usuwały się co chwila w przepaść roztrącone kamienie, lub sypał się drobny gruz i piasek. Czasem się droga rozszerzała na krótko, częściej ścieśniała i zwężała się, osobliwie na skrętach skał, w ścieżkę niesłychanie szczupłą, tak, że koń wraz z jeźdzcem prawie dotykał głazów skal-

nych z jednej strony, z drugiej wisiał nad urwistym brzegiem i tylko dzięki instynktowi umiał zachować równowagę, przekraczając większe i mniejsze kamienie i zręby skaliste z przezornością może lepszą, niżby zdołał ją okazać sam jeździec. To też podziw nasz i zaufanie do tych zwierząt górskich rosły z każdą chwilą. Po całogodzinnej mozolnej jeździe dotarliśmy do miejsca, gdzie otwierał się przed nami znaczniejszy wąwóz. Tu część towarzystwa zsiadła z koni i po pochyłościach piaszczystych ciemnych stoków podążyła wprost do bramy twierdzy; inni okrążyli wąwóz po małej wyniosłości bocznego cypla górskiego, na którego grzbiecie oddali swe konie przewodnikom *(agojatis)* i poszli za innymi ku bramie średniowiecznych oszańcowań i fortyfikacyj. Oprócz bramy głównej, zewnętrznej, potrzeba przejść jeszcze kilka wewnętrznych, stanowiących niekiedy dość znaczny i długi korytarz, nim się wreszcie dojdzie do wnętrza twierdzy, której mury okrężne zaledwie w godzinę obejść można dokoła. Na tej wewnętrznej przestrzeni terren nie jest bynajmniej równy, ani droga na najwyższy szczyt (575 m.) łatwą.

Wszędzie pełno gruzów i ruin greckich, weneckich i tureckich, częściowe, na poły rozwalone wnętrza domów, pałaców, kaplic i świątyń, budowli starożytnych i średniowiecznych, wszędzie zwaliska bez ładu, omotane gęstemi, plączącemi się zaroślami, pod których zakryciem czyhają zdradliwie ciemne otchłanie głębokich cystern. W nieznośnym skwarze gorącego dnia kwietniowego pięliśmy się mozolnie, spoceni, zadyszani, w górę, prawie ustając ze znużenia i nierówności terrenu i zaledwie po upływie pół godziny dotarliśmy do szczytu.

Widok, jaki nam się ztąd przedstawił, wynagrodził sowicie nasze trudy. Jak na dłoni widać teraz Istmos cały, jakby łąkę rozesłaną kobiercem jasno-zielonym u stóp wzgórza Geranion po jednej stronie, od wschodu zatokę sarońską i góry Megary, Eginę i Salamis, a w równej linii ponad nią wzrok sięga aż do Aten, jakby przykutych do gór Hymettu, a jeszcze dalej góry Laurionu i przylądek Sunion. Na zachód zaś obejmuje wzrok ogromną przestrzeń zatoki koryntskiej, stanowiącej wśród wieńca piętrzących się po obu jej brzegach gór peloponeskich i środkowej Grecyi, jakby ja-

kieś olbrzymie jezioro lub morze śródziemne. Od najdalszych na zachodzie gór Etolskich począwszy, przebiegamy wzrokiem wzdłuż poszarpane, z głębokiemi wcięciami i zatokami brzegi północne tych wód szafirowych, a oko zawsze znajduje punkt oparcia, to na górach Lokrydy, to Phokis, to Boecyi; Phokidę uświetnia śnieżny Parnas, białemi szczytami dumnie w niebo strzelający, w Beocyi wyróżnia się przysadkowaty, barczysty, przez Muzy ukochany Helikon i prawie nad sam brzeg zatoki zstępujący Kyteron, jakby słup graniczny pomiędzy górami Beocyi, Attyki i Megary. W zachodni rąbek zatoki koryncklej śmiało wybiega przylądek *Perakora,* starożytna *Peraia,* od którego na południe głęboko pod stopami naszemi szarzeją grupy domków Koryntu Nowego.

Na południe od zatoki widnieje część urodzajnego pobrzeża u stóp gór Arkadyjskich, pośród których wyróżniają się „śnieżystej Cylleny chochoły“, dotykane jedynie śmiałą stopą licyjskiego Pana. Na południe i ku południowemu wschodowi zaległy góry Argolskie, w których głąb prowadzi dolina rzeczki *Lewka,* wygodny gościniec i południowe ramię toru kolejowego do argolskiej równiny. Zoryentowawszy się w ten sposób w otoczeniu i krajobrazie, badamy jeszcze szczegółowo górny terren Akrokoryntu. Otóż ta część wierzchołka góry, która się zawiera w obrębie średniowiecznych murów, składa się z dwóch części, niższej, obszerniejszej, z ruinami z różnych czasów, i wyższej, wschodniej, na której stoimy. Tu sterczą ruiny meczetu tureckiego i kilka kamieni z fundamentów świątyni Afrodyty zwanej Urania.

W obrębie twierdzy Akrokoryntu znajduje się źródło starożytne *Peirene,* dziś *Drakonera* zwane, które dostarcza czystej jak łza wody do picia. A więc gdy tam głęboko na dole, na przesmyku Istmijskim, panował Posejdon, władca morza, którego rumaki uganiały po wspaniałej arenie, odbrzmiewającej oklaskami zadowolenia, podziwu i zachwytu ludu dla zwycięzców, gdy tam rozhowory niemilknące, okrzyki i wołania nieprzeliczonych rzesz przybyłego osobliwie z Attyki ludu współzawodniczyły z rozgłośnym szumem morza — tutaj na tych wyżynach panowała bogini miłości niebiańskiej, do której cichych ale słodkich komnat i pałaców wiodła droga stroma, mozolna i ciężka, jak zwykle w życiu ludz-

kiem. Co za wspaniała antyteza pojęć, jak głębokie zrozumienie istoty rzeczy, świadczące o bystrości sądów starożytnych!

W raźniejszem tempie, niż pod górę, dostaliśmy się z powrotem aż do ruin owych siedmiu monolitowych słupów, przypatrując się ciągle wspaniale roztaczającej się u stóp góry okolicy, która łączyła w sobie w harmonijną całość i błękit nieba i wód lazury i strome stożki gór i zielonych łąk kobierce.

Połączywszy się z Dörpfeldem i pokrzepiwszy winem i owocami w gospodzie, przypominającej nasze prowizorycznie sklecone kuźnie wiejskie, ruszyliśmy żwawo do Nowego Koryntu. Raźno toczyły się dwukolne wózki, koniki prychały, odgłos desek wozów przypominał klekotanie młotków drewnianych po deskach, gdy wybijają chłopcy w Wielki piątek i sobotę hasło na „Anioł Pański“. I w takt tego klekotania desek, turkotu kół, tententu kopyt i dudnienia ziemi, kołysały się ciała siedzących i pochylały głowy, a dusze snuły marzenia o dawno, bardzo dawno minionych czasach, kiedy w podobny sposób spieszyła nie gromadka wózków, ale przelewały się fale rzesz, dążących z całej Grecyi na wielkie święto igrzysk Istmijskich.

Może podobne wspomnienia, osobliwie w związku z świeżo wznowionemi zapasami gimnastyków ateńskich, zbudziły się także w umyśle naszych woźniców, którzy zacinali konie i pędząc w cwał prześcigali się wzajemnie, zamieniając naszą jazdę na wyścigi wozowe. Jakoż nie hamowali tego biegu szalonego nawet na skrętach ulic w mieście. Kilka wózków przechylało się ryzykownie na boki, gdy z drugiej strony dolatywało uszu warczenie kół szybko obracających się w powietrzu. Wśród takiej jazdy szalonej dosięgliśmy wnet dworca, gdzie dziękując Bogu za szczęśliwe ocalenie z tej karkołomnej jazdy, pozsiadaliśmy z ekwipażów i udaliśmy się wprost na perron, a ztąd do wagonów czekającego na nas pociągu. Wnet ruszyliśmy w dalszą drogę do Nauplii.

IV. NAUPLIA.

Cała droga aż do doliny argolskiej nie przedstawia nic osobliwego. Tor kolejowy rozramienia się zaraz za miastem od toru wiodącego do Patras, a minąwszy po lewej stronie koszary i cmentarz i przeciąwszy żyzne winnice wjeżdża się w wąwozy górskie wzdłuż biegu rzeczułek i gościńca dla wozów. Po prawej stronie widać jeszcze jakiś czas górę Akrokoryntu i zębate mury twierdzy, dalej mamy widok na górę *Skona* 703 m. wysoką, a po lewej niższe pasmo gór *Oneion*.

Tak przebiega pociąg ciągle w kierunku południowym, aż do stacyi *Hagios Wasilios* w sąsiedztwie starożytnych *Kleonai*, gdzie zwraca się na zachód, w którym to kierunku biegnie przez pięć kilometrów do stacyi *Nemea*, odkąd zatrzymuje już stale bieg południowy aż do Nauplii.

Góry po jednej, góry po drugiej stronie czynią widoki monotonnemi. Wierzchołki przeważnie nagie dają pewne wyobrażenie o systemie tych gór, czasem tylko zaspokoi wzrok widza zieleń jakiejś kępy drzew lub uprawnych stoków górskich. Jedyne prawie urozmaicenie stanowi niezbyt wielka dolina górska Nemei, przy której pociąg dosięga najwyższej wyniosłości trzystu kilkudziesięciu metrów. Dolina wygląda na podłużny prostokąt równy jak dłoń, podzielona na umiarowe obszary pól i przerznięta gościńcem. Na tych polach udaje się wyborne wino czerwone.

Właściwy terren starożytnych igrzysk Nemejskich, ruiny narodowej świątyni Zeusa, znajdują się w oddaleniu kilku kilometrów od stacyi, na północnym zachodzie. Kiedy towarzysze podróży spiekłemi od żaru dnia wargami doświadczali dobroci wina nemejskiego, ja przywodziłem sobie na pamięć mityczne postaci najstarszych bohaterów greckich i rozpatrywałem się w niegdyś tak dzikiej, a i dziś smutnej okolicy, kędy Herakles dusił lwa i wznawiał dwuletnie zapasy w igrzyskach, urządzonych na pamiątkę śmierci Archemorosa. Wzrok odrywał się od równiny i przebiegał wierzchołki gór okolicznych, a myśl gnała jeszcze dalej nad stru-

mieniami Nemei, źródłami Asopu i ruinami Fliuntu, aż znalazła ochłodę w nizkiem zagłębieniu pomiędzy górami Kylleny i gniazdem Skiathis, w Stymfalijskiem jeziorze, na którego wodach dławił Herakles potworne ptaki, żywiące się mięsem ludzkiem.

Po kilkuminutowym przystanku pociąg rusza w dalszą drogę. Przez przełęcz Derwenaki, gdzie w trzecim lat dziesiątku bieżącego stulecia bohatersko potykali się Grecy z Turkami, dostajemy się do argolskiej równiny. Po lewej ręce widać sterczące dwie potężne masy czarnych, nagich skał, *Św. Eliasz* i *Sara*, pomiędzy które za małą wyniosłością wcisnęły się *Mykeny*, słusznie — jak powiada Homer — *en mychó Argeos*[1]. Po prawej stronie piętrzą się potężne góry *Artemision*, po lewej cały kompleks gór, których dwa wybitne stożki, wymienione przed chwilą, stanowią jakby bramę równiny, dalej pięknie uprawna, wzdłuż na dwadzieściakilka kilometrów wyciągnięta dolina, a w końcu śmiało sterczaca góra *Palamidi;* do jej stóp przytuliło się miasto *Nauplia*, mające wyborną przystań, o której murowane brzegi daremnie tłucze swe fale wiecznie szumiące morze. W dolinie minęliśmy stacye *Phichtia-Mykenai*, *Argos* z czerwonemi dachami, *Tiryns* i o zmroku stanęliśmy w Nauplii. Mierny dworzec w rodzaju wadowickiego stoi na wolnej przestrzeni, której gleba, zapewne rozmokła po ostatniej ulewie, a teraz wyschnięta, przedstawiała doły i dołki, jakby wyrobione w blaszanej formie do wypiekania pewnego rodzaju ciast. Dokoła dworca pusto i głucho, zupełnie taksamo, jak przy dworcu kolei peloponeskiej w Atenach, gdzie i terren okoliczny bardzo przypomina terren dworca w Nauplii. Oddawszy wszystkie nasze pakunki dwom greckim „agojatom“, najętym na cały czas podróży peloponeskiej, sami ruszyliśmy pieszo do miasta. Po prawej stronie gładkie jak marmur zwierciadło wody, na której mające się ku schyłkowi słońce tworzyło tysiączne cuda, wyprawiając przed olśnionym wzrokiem widza najfantastyczniejsze optyczne przemiany i zjawiska. Ciemno niebieskie, do atramentu podobne tło wody, przeszywały rozpalone, złociste groty promieni słonecznych i uderzając wśród

---

[1]) *Ἐν μυχῷ Ἄργεος*.

iskier o nie, wywoływały kłótnię barw, które w oczach zdziwionego widza przebiegały całą skalę tonów, przechodząc to pomału w odcienia pokrewne, to czyniąc gwałtowne przeskoki. Od niebieskich topieli odbijały jaskrawo górne części bronzowe, których najwyższa powierzchnia z warstwą wody najcieńszą lśniła się to złotym odblaskiem słońca samego, to była prawie bezbarwną koloru przeźroczystego oleju skalnego. W miarę jak się obniżał czerwony krąg słońca, a dzieje się to bardzo szybko w krajach południowych, na wód przeźrocza padały jakby kółka, to czerwone, to miedziane, to rdzawe, tworząc wspaniały z misternych ogniw złożony pancerz dla Posejdona na nocne przygody. Na uboczu w zakątku zatoki, dokąd już słońca promienie nie sięgały, przechodził niebieski kolor wód pomału, statecznie w barwę seledynowo-zieloną, a gładką wód powierzchnię znaczyły prostokątne smugi, to białawe, to ciemniejszego koloru, w środku zaś tych prostokątów spostrzegałeś jakieś plamy, to czerwonawe, to rdzawe, niekiedy całkiem czarne, jakby odbicie tłustej kropli na płynie czystym i jasnym. Po lewej stronie drogi, wiodącej ku miastu, sterczą ostre szarawo-białe ściany prostopadle strzelającego ku niebu olbrzyma, któremu na imię *Palamidi.* Ta góra skalista (215 m. wys.), wraz z nazwiskiem swojem jest trafnym symbolem i przypomnieniem mitycznego bohatera, którego umysł niezachwiany jak skała, genialnością pomysłów strzelał w niebiosa i górował ponad poziomem otoczenia, czy to gdy pierwszy wynalazł znaki liter na oddanie głosów ludzkich, czy to gdy pionowo, jak ta góra, ustawiał wyniosłą sosnę, jako maszt okrętu, czy gdy na wysokich cyplach lądów rozniecał ogień i światło pierwszych morskich latarni. Kiedy mijaliśmy Palamedesa, jeszcze jego głowę, uwieńczoną koroną murów, muskały ostatnie promienie zachodzącego słońca, wywołując w szczelinach wierzchołka i dolnych częściach góry te niezrównane różnice światła i cienia, o jakich mogą mieć pojęcie tylko synowie południa.

Wkrótce szerokim, kamiennym, wspartym na siedmiu łukach mostem, przekroczyliśmy głęboki rów forteczny, mający od połowy połączenie z morzem i znaleźliśmy się przed

bramą miasta, której strzeże lew św. Marka, a wenecki napis głosi chwałę średniowiecznej „mórz pani“. W duszach przybyszów rodziły się jeszcze pytania, jak też nam się Nauplia przedstawi. Nauczeni smutnem doświadczeniem w Koryncie, który zaledwie o stu mieszkańców mniejszy jest od Nauplii, nie spodziewaliśmy się i tutaj wiele dobrego. Z drugiej strony wlewała niejaką otuchę w nas myśl, że to przecież tylowiekowa przystań wojenna, twierdza niepośledniej miary i znaczenia, a wreszcie pierwsza rezydencya króla greckiego z epoki odrodzenia (1833 r.), kiedy to Ateny były tylko wioską, na której wycisnął półksiężyc muzułmański piętno wiekowej niewoli i zniszczenia. Wkrótce rzeczywistość rozwiała wątpliwości, a zwątpiałe dusze pokrzepiło miłe rozczarowanie. Miasto dość czyste i porządne, domy kamienne, przeważnie jednopiętrowe, wyglądają schludnie, chociaż bez okazałości, uliczki proste, bezimienne, równe, przecinają się pod kątem prostym, tylko od trzeciej, czy czwartej przecznicy, lekko ku północy zwrócone, biegną za kierunkiem obwarowania tej części i doprowadzają do wolnego placu; na nim zasadzono skromne plantacye drzew i ustawiono pomnik Demetriosowi Ypsilantisowi, który dzielnie raził z Larissy przy Argos w r. 1822 tureckie wojska Dramalisa, a w r. 1825 bohatersko potykał się pod Mili z tłumami Arabów i Murzynów pod wodzą Ibrahima Paszy. Na tym placu zwanym Agora (inne ulice Nauplii nazwisk nie mają) otrzymaliśmy nasze gospody, bliżsi Dörpfelda towarzysze w narożnym hotelu „Mykeny“ *(Xenodochion Mikine)*, kolonia profesorów austryackich w „Hotelu Cudzoziemców“ *(Xenodochion ton xenon)* po lewej stronie placu z widokiem na rynek. Hotele skromne, ale czyste. Zająwszy pokoje gościnne, po dwóch lub po trzech w jednej izbie, wybiegliśmy na miasto, aby się jeszcze pierwszego dnia przypatrzeć jego fizyognomii wewnętrznej. W mieście ruch słaby. Krótką uliczką koło bardzo skromnego urzędu pocztowego (z ograniczoną służbą dzienną) udaliśmy się do esplanady nadmorskiej, gdzie kilka kawiarń zgromadza przeważnie cudzoziemców.

Na prawo w przystani prawie pusto, kilka tylko żaglowców wyładowywuje towary; słabe krzyki i nawoływania,

zresztą cicho. Przechadzaliśmy się długo nad brzegiem morza. Słońce już zaszło, a przy mroku wieczornym powiewał od zachodu wiatr silny, użyczając pożądanej ochłody naszym spiekłym skroniom. Na dalekim zachodzie przemykały żółtawe błyskawice, rozwidniając przed oczyma naszemi szerszy horyzont. W pewnem oddaleniu od maryny, w kierunku północno-zachodnim od esplanady, szarzała warownia Burci na wysepce tegoż nazwiska. W warowni tej pomieszczono więzienia największych zbrodniarzy, chcąc ich w ten sposób odciąć od reszty świata. Tam także mieszkają obaj kaci helleńscy, którzy rekrutują się z ułaskawionych od kary śmierci zbrodniarzy. Kto inny nie podjąłby się tego smutnego obowiązku skracania o głowę swoich współziomków. Jednym nie pozwoliłaby na takie wstrętne rzemiosło duma narodowa, drudzy lękaliby się krwawej zemsty obywatelstwa, które posuwało się nie tylko do zgładzania katów, ale do zrównania z ziemią ich domostw i zniszczenia ich mienia. Dlatego obecnie mieszkają w tym odludnym zakątku, w tej oddzielonej od świata twierdzy, na tym ostrowie, dokoła morzem oblanym. Południowy cypel malutkiego półwyspu o kierunku wschodnio-zachodnim, na którym leży Nauplia, wypełnia góra *Iczkalé*, 85 m. wysoka, na której płaszczyznie znajduje się zamek, koszary i twierdza obronna. O stoki południowe i zachodnie przylądka lazurowe morze roztrąca swe fale, lub rozbite łamią swą nawałność i rozbrajają swą dzikość wzburzone bałwany; od północy przytuliła swe białe lub szare domki ścieśniona mieścina, której stopy od północy opłukuje srebrzysta piana spienionych wód, zamknięta od zachodu obronnym murem i rowem fortecznym. Jedyna brama i jedyny most kamienny stanowi od wschodu połączenie miasta przez ten istmos z lądem, na którym od południa stanowi jakby przedłużenie góry Iczkalé trzy razy od niej wyższy Palamedes; jego skronie wieńczą potężne mury twierdzy, chowającej w swem wnętrzu strażnice wojskowe i kazamaty więzienne. Jak Patras jest niemal głównym dla Grecyi portem handlowym, tak Nauplia była zawsze i jest przystanią wojenną i twierdzą w całem tego słowa znaczeniu, strzegącą wejścia do doliny argolskiej od strony morza.

Chcieliśmy jeszcze tego wieczora dostać się wązką, stromą ścieżyną na wyniosłą terasę Iczkalé, gdzie jest także skromna kawiarnia, ale brud i niechlujstwo zaułka, w który weszliśmy, wstrzymały nasze zapędy, gdyż woleliśmy się wyrzec pięknego widoku góry, oblanej z trzech stron wodą, aniżeli narazić się na niechybną utratę zmysłu powonienia. Zresztą i tak już była pora spieszenia na obiad, wyjątkowo tego dnia znacznie spóźniony. Po obiedzie odbyliśmy krótką przechadzkę po bezludnych ulicach miasta, którego ciszę przerywała tylko monotonna gra luzujących się wart na Palamidi i Iczkalé straży.

Nazajutrz rano zbudziła nas tęskna nuta śpiewnie wołającego koziarza: *gala glyko* (słodkie mleko). Wyjrzeliśmy oknem na prawo od mieszkania, na drugim rogu głównej ulicy i rynku a na przeciw Hotelu Mykeńskiego spostrzegliśmy miniaturową cerkiewkę, przerobioną niewątpliwie z meczetu tureckiego, którego główne zarysy jeszcze silnie występowały. Do koziarza zbiegali się interesanci i albo doili sami kozę, albo kupowali mleko roznoszone w wielkich naczyniach glinianych, ustawionych w przewieszone przez barki kosze. Wkrótce byliśmy sami na placu. Otwierano sklepy i kawiarnie. Obok naszej gospody była trafika po jednej, „kafenion“ po drugiej stronie. Lecz kawiarnia ta nie budziła w nas najmniejszego zaufania.

Za stołami siedział gmin z pod ciemnej gwiazdy, osmoleni maszyniści, robotnicy i pomocnicy okrętowi, kilka typowych postaci o czarnym silnym zaroście i opalonej aż do czarności twarzy a przenikliwem oku, zdradzało przebiegły charakter negocyantów. Kilka indywiduów poufaliło się w widoczny sposób z biednymi i zaniedbanymi popami, których napływało coraz więcej; prowadzili oni tajemnicze rozmowy z gośćmi, szepcąc sobie do uszu wśród żywej gestykulacyi, a wymawiając tylko od czasu do czasu głośniej kilka wyrazów, w których zauważyliśmy cyfry. Treści rozmów nie zdołaliśmy dociec.

Udaliśmy się do kawiarni po drugiej stronie placu. Tu było towarzystwo więcej dystyngowane, podróżni z lepszych sfer, majętniejsi kupcy i wielu wojskowych. Wszyscy czytali

skwapliwie dzienniki, przeważnie ateńskie z dnia poprzedniego. Spóźnienie takie w Grecyi nic nie znaczy. Wszak i dzienniki ateńskie nie mają europejskich wiadomości z pierwszego źródła w drodze telegraficznej z powodu drogości depesz, ale współpracowniey układają sami depesze *(tilegrafimata)* na podstawie depesz i wstępnych artykułów gazet włoskich, francuskich i niemieckich, które co dwa dni przywozi regularnie poczta do stolicy królestwa. U nas jest inaczej. Telegramy otrzymuje się na własnym drucie, a listy oryginalne od specyalnych korespondentów, siedzących za stołem w redakcyi. Gdy zażądaliśmy kawy, podano nam wszystkim za chwilę wyłącznie *kafés mawro* t. j. czarną. Zażądaliśmy białej. Przyniesiono nam wówczas w szklankach wielkich jakieś bełty bardzo słodkie, prawie białe, zapewne wyłącznie mleko kozie ocukrzone, z małą domieszką kawy. Płyn ten wypełniał szklanki do $^{2}/_{3}$ wysokości naczynia. Do jedzenia podano nam obwarzanki tego samego kalibru, jakie roznoszą wieczorami po ulicach Aten, śpiewając melancholijną nutą: *sestá kuluria* [1]) (gorące obwarzanki).

Po kawie skręciliśmy papierosy i poprosiliśmy o zapałki. Służący podał w tej chwili, jak się zdawało, popielniczkę z grubą warstwą popiołu. Zażądaliśmy zapałek *(spirtá)* ponownie. Zniecierpliwiony lokaj *(pedi)* przystąpił do stołu, wziął szybko ową popielniczkę, odsunął ruchem palca warstwę popiołu i wskazał na tlejące pod nią węgle, które dmuchaniem rozżarzył. Od tego wspólnego ogniska zapaliliśmy papierosy, a po chwili wyrównawszy rachunek opuściliśmy salę.

W Nauplii zabawiliśmy cztery dni i ztąd odbywaliśmy codzień naukowe wycieczki po całej argolskiej równinie. Jakoż Nauplia nadaje się do tego celu najlepiej ze względu na blizkie sąsiedztwo z Tirynsem, kolejowe połączenie

---

[1]) Nazwa kuluryów pochodzi od stolicy Salaminy, zwanej do niedawna Kúluri, przy której zatoka tak głęboko wciska się w ląd, że zda się zewsząd lądem otoczona; ztąd poszła nazwa *kúluri* t. j. obwarzanek. Dziś przywrócono urzędownie nazwę Salamis.

z Argos i Phichtią, a przedewszystkiem ze względu na możliwie najlepsze umieszczenie w zajazdach. Ponieważ tego dnia mieliśmy wyjechać dopiero o 8-ej godzinie rano, pozostawało nam więc dużo czasu, który postanowiliśmy zużytkować na dalsze zwiedzenie miasta i zakupienie niektórych artykułów spożywczych na drogę. Zwiedzaliśmy północną część miasta. Tu pełno sklepów i warsztatów rzemieślniczych. Sprzedają wyroby żelazne, skórzane, sukiennicze, słomiane, towary kolonialne; liczne sklepy z dystrybucyą wina i napojów wyskokowych, których sprzedaż drobna znajduje się także często obok hurtownej innych gałęzi handlu. Bliżej przystani większe składy, magazyny, domy zapasowe. O godzinie 8-ej ruszyliśmy szesnastu powozami do Tirynsu.

V. TIRYNS.

Mijamy za dworcem kolejowym po prawej stronie olbrzyma Palamidi, a po lewej skromne domki przedmieścia *Pronia* (*pronoia* = przezorność) w trzy rzędy domów ukośnie wyciągniętego. Droga wiedzie bitym, gładkim jak dłoń, prostym jak linia matematyczna, gościńcem wśród urodzajnych pól żyznej równiny; na prawo i lewo rozbudzona z wiosną bujna roślinność wśród ogrodzeń olbrzymich płotów kaktusowych. W kielichach kwiatów i na wątłych źdźbłach zbóż perliły się krople rosy w promieniach słońca głaskane lekkim podmuchem wonnych wietrzyków od strony morza. Wszystko oddychało świeżością, życiem nowem, młodem, uroczem i rozkosznem, taksamo jak przed lat tysiącami. Wzdłuż drogi srebrne listki białych topól prowadziły ze sobą rozhowory tajemniczym szumem, a szum ten przypominał nam starożytne dęby tessalskiej Dodony, która tyle dni pięknych, tyle dni chwały i szczęścia zwiastowała bogobojnym synom Hellady.

Duszą naszą owładnęły jakieś cudowne marzenia, jakaś zaduma poważna na myśl, że za chwilę staniemy przy niewielkim pagórku, którego pamiątki i ruiny sięgają czasów przedhistorycznych, świadcząc o potędze tych, którzy

tu panowali, o zdolnościach tych, którzy tu olbrzymie budowle obmyślali, o bezprzykładnej sile ramienia tych, którzy wznosili te mury cyklopskie, iście rąk boskich robotę. Za chwilę mieliśmy obaczyć własnemi oczyma te głazy nieporuszone, które tysiące lat przetrwały i to w tem samem miejscu, gdzie były w czasach zamierzchłych, i stojące tak, jak je po dokonanem spustoszeniu w starożytności opuściła zazdrosna ręka mściwego Argos. Sterczą nieporuszone te bryły kamieni, istne skały po trzy metry długie a na metr szerokie, tak jakby dopiero wczoraj przeleciał nad niemi anioł zniszczenia, a jednak to tak dawno, że myśli wątek zamiera na wspomnienie ich powstania i ich młodości. Nad niemi przemknęło tyle wieków, koło nich przesunęły się setki pokoleń, przy nich szalało tyle burz dziejowych, tyle krwawych wojen i zapasów i w bezsilne ciało człowiecze tylekroć anioł zarazy uderzał i zmiatał ludzkość, jak wicher morski zmiata lekki pył lub jak ostry szron mrozi i zabija delikatne tkaniny i koronki kwiecia wiosennego. I ogień pożarów trawił bogate miasta i dostatnie wioski i mienie i życie istot marnował, w niwecz obrócił i pałac książęcy samego Tirynsu i spalił belki złocone, stopił kosztowne skarby, i bronzy i kruszcowe spojenia, wypalił kamienie i przetopił marmury i oblekł je szklistą, lśniącą powłoką — a te głazy olbrzymie fundamentów, murów i bram twierdzy przedhistorycznej przetrwały wszystko i pozostały do dziś takie same, jak były w pierwszym dniu wykończenia dzieła, w swoich lat zaraniu, przed lat tysiącami.

Snać nawet geniusz myśli i ducha greckiego bezsilnym lub za słabym się odczuwał w porównaniu z tem olbrzymiem dziełem i nie rościł sobie pretensyi do oryginalności. Podanie każe królewskiemu bratu Proitosowi sprowadzić nieocenionych budowniczych, Cyklopów, z lądu azyatyckiego z Lykii. Jako władców Tirynsu znamy z mitologii Akryzyusza i jego wnuka Perseusa. Zapewne niespożyte rąk cyklopskich dzieło było powodem, że inne podanie wymyśliło w niem twardą kolebkę największego siłacza starożytności, syna Zeusa i Alkmeny, niecnotliwej wnuczki Perseusa.

Wśród tych dumań rychło przejechaliśmy 4-kilometrową drogę, powozy skręciły w prawo koło szkółki rolni-

czej i wnet znaleźliśmy się u stóp niewysokiego pagórka (10—15 m. wys.). To Tiryns. Wysiadłszy z powozów, zoryentowaliśmy się naprzód w ogólnem położeniu, o czem pomówimy jeszcze później. Następnie okrążywszy pagórek od strony wschodniej, zaczęliśmy postępować w górę, zrazu wązką ścieżką wśród ostów i kolczastych roślin, następnie wygodniejszą już rampą doszliśmy do bramy głównej. Po prawej ręce wznosiły się głazy olbrzymie, których naoczny widok prześcignął najśmielsze przypuszczenia, oparte na czytaniu dzieł, odnoszących się do tego przedmiotu.

Cały pagórek, na którym stał zamek Tirynsu, jest podługowaty o kierunku zachodnio - północnym ku południowemu wschodowi. Część północno - zachodnia przypomina swem wejrzeniem plan stadyonu dla wyścigów wozowych, jest niższa i zawiera zachowane do dziś starożytne mury zamku dolnego, część południowa z lekką inklinacyą ku wschodowi ma niemal postać elipsy i zawiera zamek środkowy i górny. Plan Tirynsu porównywują z podeszwą stopy. Do środkowego wiedzie wspomniana wyżej brama główna, wśród kolosalnych murów i olbrzymich głazów, za bramą skręca droga w lewo i biegnąc wewnątrz tuż obok muru zewnętrznego po lekkiej pochyłości doprowadza do zamku górnego, z którego tylko fundamenta i plany pozostały. Przy bramie głównej zatrzymało się całe towarzystwo z 65 osób złożone i wysłuchało dłuższego wykładu Dörpfelda, którego żywe słowo illustrowane zabytkami starożytności na miejscu jaśniej i lepiej trafiało do przekonania słuchaczy, niż najobszerniejsze opisy i najściślejsze wywody uczonych, zawarte w książkach drukowanych. Z notatek, spisywanych za wykładem Dörpfelda, pozwalam sobie powtórzyć następujące ważniejsze szczegóły. Przedewszystkiem zwrócił uwagę naszą uczony przewodnik na to, że owe głazy olbrzymie cyklopskich budowli nie były wynikiem jakiegoś „widzimisię“ owych czasów lub wypływem szczególnego upodobania w tak potężnych wielobocznych blokach mas skalistych, ale były wywołane potrzebą, oparte na poważnem liczeniu genialnych budowniczych. Stosowano tedy składanie tych olbrzymich brył kamiennych przy budowie murów fortecznych, przy zakłada-

niu wsporników (*Stützmauern*) dla dania wielkiej odporności naciskowi z góry na ściany boczne, lub przy progach, których kamienie musiały dźwigać potężne odrzwia. Naocznie przekonał nas także Dörpfeld o błędnem mniemaniu, jakoby te olbrzymie kamienie były zupełnie nieobrabiane i tylko wyłącznie tak zestawiane i składane, jak na to ich wielokątny kształt pozwalał, przyczem musianoby ciągle dobierać przystających do siebie głazów. W części mogło i to być, ale jest także wiele kamieni ociosanych, obrobionych piłą kamienną lub z bronzu i wygładzonych. Kamienie są bardzo twardym zlepieńcem krzemiennym. Ważnym jest także szczegół, że te kamienie nie były tylko składane mechanicznie i przystosowywane do siebie, ale drobne otwory i szpary pomiędzy niemi wypełniano kamykami i gliną.

Cały mur okalający zamek tiryncki składa się z potężnych, w części obrobionych głazów kamiennych, które były spajane gliną, jak o tem poucza fakt, że jaszczurki i szczury wyciągają za sobą ciągle ze szczelin murów żółtawy piasek. Kolosalne te głazy układano nawet wedle możności warstwami poziomo, jak dowodzi tego narożnik ściany zachodniej. O wielkości kamieni świadczą ich wymiary; gdy n. p. niektóre z nich są trzy metry długie a metr szerokie i wysokie, średnia ich waga wynosi 3000 do 4000 kilogramów. Z jakiemi kolosami miano tu do czynienia, wnosić można z olbrzymiej bryły na powierzchni zamku górnego, tam mianowicie, gdzie się znajduje domniemana łaźnia książęca, której posadzkę wyściela jedna płyta kamienna, ważąca 20.000 kilogramów. Grubość muru okrężnego jest różna; na około zamku dolnego ciągnie się mur 7 do 8 metrów gruby, a sterczy jeszcze dotąd na wysokość przeszło 7 metrów, szerokość murów zamku górnego wynosi 5 do $17^1/_2$ metrów, osobliwie w stronie południowej, gdzie w obrębie tych kolosalnych murów znajdują się potężne wieże, chodniki, magazyny i cysterny. Takie chodniki znaleziono w stronie południowej i wschodniej (w narożniku wschodnio-południowym). Są to owe słynne galerye, których plany zestawił i porównał Dörpfeld całkiem słusznie z krużgankami w murze akropoli kartagińskiej, świadczącemi o kolonizacyi fenickiej.

Południowa galerya Tirynsu znajduje się w głębokości 7·50 metra poniżej płaszczyzny zamku górnego i stanowi długi korytarz mniej więcej 1$^1/_2$ m. szerokości, z okienkiem od strony wschodniej. Sklepienie korytarza jest ostrołukowe, zrobione przez wystające w górze coraz bardziej i zbliżające się ku sobie bloki ścian bocznych. Od tego chodnika wiodą na prawo drzwi, również ostrołukowo zakończone, do obszernych kwadratowych komnat bocznych. Także komnaty miały sklepienia ostrołukowe. Dwie z nich są dłuższe o metr od trzech wschodnich, których długość wynosi 4·30 m. Do galeryi wiodą z podwórza zamku górnego kamienne stopnie naprzód prostopadle do kierunku korytarza, następnie równolegle w lewo i w trzecim zakręcie jeszcze raz prostopadle. Rzecz osobliwa, że ściany tych galeryj są gładkie aż do oślizgłości. Tłómaczą to wszyscy ocieraniem się owiec, których schronieniem były te krużganki przez setki, może tysiące lat aż do dni naszych. Trudne do uwierzenia, a jednak prawdziwe.

Pytanie się teraz nasuwa, co było w tych podziemiach w czasach przedhistorycznych, kiedy na górze dumnie panował potężny pałac możnego Proitosa i jego następców. Niektórzy z uczonych domyśliwali się, że w tych komnatach, może opatrzonych okienkami, były strzelnice dla wojowników, których postać była murem w całości zasłonięta. Domysł ten zbił stanowczo Dörpfeld, który wskazał na to, że zbyt kosztownem byłoby założenie takich strzelnic dla pięciu żołnierzy i nie pozostawałoby w żadnym stosunku do istotnych potrzeb obrony. Słusznie też twierdzi zasłużony architekt i sekretarz ces. niemieckiego Instytutu Archeologicznego, że komnaty te obszerne były krytemi ze wszech stron magazynami dla zapasów żywności na chwilę krytyczną. Z górnego muru nad galeryą strony wschodniej w narożniku południowym, gdzie z sześciu komnat trzy są przesklepione, wnosić można, że nad galeryami biegły szerokie krużganki, otwarte do środka zamku. Zachowały się bowiem na tym murze cztery podstawy słupów, należące niewątpliwie do jakiejś kolumnady.

Dodać tu winniśmy także, że zaginął wszelki ślad schodów, które wiodły do galeryi wschodniej. Dla zaokrąglenia

obrazu warto przytoczyć szczegół, że w galeryach mogliśmy się dokładnie przekonać, iż do budowy tej części jak i całego muru obwodowego użyto dwojakiego kamienia, niebieskawego twardego jak opoka i miększego czerwonawego, który kruszejąc w ciągu wieków wywoływał obsuwanie się partyj górnych. Może więc po setkach lat przyjść czas, kiedy i te resztki Tirynsu, imponujące jeszcze dziś wspaniałością i potęgą, zamienią się w ogólne rumowisko gruzów.

Po dokładnem zwiedzeniu galeryj wyszliśmy ponownie na górę, aby poznać całe wnętrze zamku i nieoceniony dla nas pod względem archeologicznym plan pałacu książęcego z doby przedhistorycznej, zupełnie zgodny z opisami Homera. W obręb zamku górnego można się dostać drogą, wyżej opisaną, pomiędzy murem zewnętrznym fortyfikacyjnym, a środkowym, okalającym zamek. Droga ta wiodąca w kierunku od północy ku południowi i wznosząc się coraz bardziej, doprowadza nas aż do wysokości przeszło 24 m., gdzie się rozszerza i skręca w prawo ku *propyleom*, bramie głównej zamku górnego. Obszerna budowla bramy głównej odpowiada zasadniczym planom tego rodzaju budowli i składa się z halli frontowej i tylnej, przez której środek wiedzie droga wśród dwóch słupów na początku i końcu bramy. Mury tej części, jak i całego zamku górnego, nie były z tego samego materyału, co cyklopskie mury obwodowe, ale zbudowane były z drobnych kamyków wapieńca i cegły glinianej. W wielu punktach zamku sterczy mur jeszcze dziś do wysokości metra. Przez propylee wchodzi się na *obszerne podwórze*, dziś zasiane szczątkami przeróżnych budowli bizantyńskich, w których się nawet zoryentować niepodobna. W stronie północnej tego podwórza znajdują się *propylee mniejsze*, których terren jest o dwa metry wyższy. Przez nie wchodziło się do głównego *podworca* przed *pałacem książęcym*, zwróconym frontem ku południowi z widokiem na morze i zatokę argolską. Trzy strony podworca 20 m. szerokiego a 15 m. długiego, wyścielonego wyborną mozaiką (zlepieńce z krzemienia i cementu), wskazują na rzędy słupów podpierających niewątpliwie kolumnady, przy południowej zaś tuż na prawo od małych propyleów obszerny dół murowany, niewątpliwie ołtarz Zeusa zwanego *Herkeios*. (*Odyssea*, 22.335).

Tu wyłuszczył w pięknym wykładzie Dörpfeld, jak z pierwotnej posadzki, twardo i jednolicie ubitej, powstała przypadkowo mozaika, którą następnie sztucznie naśladowano. Posadzkę stanowił w najdawniejszych czasach cement wapienny, naszpikowany dla trwałości krzemieniami drobnemi, które jednak nie były wcale widoczne i nie wystawały na wierzch z twardej masy. Z biegiem lat ścierała się ona i zużywała pod stopami, a z masy cementu zaczęły przeglądać drobne kamyki, które niekiedy dzięki przypadkowi układały się w więcej lub mniej foremne grupy lub prymitywne figury. To naprowadziło na myśl tworzenia takich grup i obrazów sztucznie przez rozmyślne układanie kamyków w cemencie, i tak powstała mozaikowa posadzka. W późniejszej występują już kamyki obrobione sztucznie, gdy w starszej widzimy krzemienie nieociosane, naturalne. Próbkę takiej, uzyskanej w propyleach głównych mozaiki z epoki najstarszej przywiozłem z sobą na pamiątkę pobytu w zamku Tirynsu i pałacu książęcym. Homer nazywa dwa razy (*Odyssea* 4.625 i 17.167) taką posadzkę *tykton dapedon* (*τυκτόν δάπεδον*).

Gachy zaś, zgromadzone w podwórzu zamczyska,
Bawili się ciskaniem oszczepu i dyska,
Na miejscu zwykłych igrzysk pięknie brukowanem.

Po dwóch stopniach wchodziło się do sieni *aithusa* (*αἴθουσα*), z której wiodło troje podwojów do przedpokoju blizko 5 m. długiego, szerokości około 9 m., a ztąd przez jedyne drzwi i potężny próg *mégas udós* (*μέγας οὐδός*) z olbrzymiego acz nie wysokiego kamienia, wchodziło się do sali recepcyjnej (*mégaron*), 12 m. długiej, o powierzchni 116 m. kwadr.

Wkrótce się i Odyssejs do izby przemyka,
Istny dziadek żebrzący, obciążony laty,
Pełzł o kiju, okryty w łachmany i łaty.
I siadł na jaworowym progu; oparł głowę
O misternie rzeźbione odrzwia cyprysowe,
Które cieśla do miary przyciosał, jak trzeba.
(*Odyssea*, 17,333.)

Rzecz jasna, że tego jaworowego progu dziś już niema, taksamo jak niema misternie rzeźbionych odrzwi cyprysowych. Wszystko, co było z drzewa, jak n. p. słupy, kolumny, filary i belki padło już w najdawniejszych czasach ofiarą płomieni, wśród strasznej pożogi. Ale ślady gliny spajającej kamienie pozostały. Widać jej ułamki stopione i szklistą powłoką okryte. Drobne kawałeczki wzięliśmy na pamiątkę.

W samym środku sali *megaron* znajdowało się okrągłe ognisko w otoczeniu czterech słupów, które podtrzymywały potężne belkowanie drewniane. Takiego typowego *megaronu* oddźwięk znajdujemy w opisie Homera, kiedy to rzeczy, widziane gdzieindziej, a nie wysnute tylko z bujnej fantazyi poetyckiej, przenosi na mityczny pałac króla Feaków. I tam widzimy w środku *megaronu* ognisko *eschára (ἐσχάρη)*, a czcigodna Anakte siedzi na tronie, oparta o jeden ze słupów wspaniałych dokoła ogniska ustawionych.

Lecz posłuchajmy raczej samego Homera:

.... z feackich dworów najpyszniejszy
Dwór mego ojca, nawet różni się w strukturze,
A gdy się tam dostaniesz i wnijdziesz w podwórze,
Przebiegniesz wielką izbę, dalej masz na stronie
Komnatę mojej matki; przed nią ogień płonie,
Ona kręcąc wrzeciono z purpurową wełną,
Siedzi o słup oparta; przy niej kobiet pełno,
Tam również i mój ojciec przed ciepłym kominem
Siedzi jak bóg na tronie i krzepi się winem.
(*Odyssea*, 6.307 nast.).

Albo w księdze VIII. wiersz 66 i nast.:

Wszedł i Keryks, z nim pieśniarz wesołej zabawy [1]),
Muzy kochanek, dobrem i złem obdarzony;
Bo mu wzrok wziąwszy dała dar śpiewu pieszczony,
Więc Pontonoj w srebrzystem sadził go krzesełku,
Pod filarem, pośród ucztujących zgiełku.

Lub cokolwiek dalej, w tejże pieśni wiersz 472 i nast.

[1]) Cytaty polskiego przekładu według L. Siemieńskiego.

Tak rzekł i obok króla usiadł on Alkina,
Właśnie mięsa krajano i mięszano wina,
Gdy wszedł Keryks prowadząc ze sobą pieśniarza,
Demodoka, którego lud wielce poważa,
I posadził go w środku o filar wspartego.

Tutaj to wśród gruzów pałacu tirynckiego, patrząc własnemi oczyma na resztki dekoracyj ściennych, owego fryzu alabastrowego, który ozdobiony był niegdyś niebieskawem szkliwem (powłoką perłową), zrozumieć możemy dopiero owe *θριγκὸς κυάνοιο* Homera (*Odyssea.* VII w. 87), „gzyms niebieski“. Przytaczamy tu też cały ten dłuższy ustęp, aby dać czytelnikowi pojęcie o całości pałacu książęcego, według słów starożytnego poety:

Odys w królewskie gmachy podążył w tej dobie,
I długo stał przed niemi i rozważał sobie,
Czy ma nogą przestąpić pański próg spiżowy,
Gdzie jak promień słoneczny, lub blask księżycowy
Wnętrze komnat pałało. Ściany wyłożone
Miedzią biegły to w jedną, to w drugą znów stronę
Od pokoju w głąb i głębiej: w koło gzyms niebieski —
Wewnątrz w każdej świetlicy drzwi ze złotej deski;
Próg miedny odrzwia srebrne dźwigał, a sklepienie
Ze srebrnej belki. U drzwi też złote pierścienie.
Psy złote i psy srebrne z obu stron podwoi,
Co je Hefajstos ukuł, ten mistrz w sztuce swojej —
Leżały, rzkomo stróże domu swego pana.
Ani śmierć, ani starość, stróżom tym nieznana.
Od progu w głąb i głębiej w rząd poustawiane
Pod ścianami stały stołki; na stołkach zaś dziane
Kobierce, ręką niewiast misternie wyszyte,
Tam siadają feackie pany znamienite
Jedząc, pijąc; nie zbywa nigdy im na niczem.
Na podstawach dokoła z młodzieńczem obliczem
Stały złote posągi trzymając kagańce,
Gościom przyświecając przy złotej hulance.

Na te tak miłe, a tak ponętne wspomnienia przyszło i nam na myśl, że już się zbliżyła pora posiłku. Zasiedliśmy więc, gdzie kto mógł, w książęcym salonie, ale nie na kunsztownie rzeźbionych krzesłach, zaścielonych różnowzoremi, miękkiemi kobiercami, które delikatna ręka niewiast tkała, lecz gdzie kto mógł, na złomach murów, na resztkach ścian, na progu, na stopniach przedsionka.

Jakoż w tej chwili zaczął się krzątać nasz „agojata“, nazwiskiem Angelis, Grek siwobrody w białej fustanelli i wydzielał każdemu z osobna porcye baraniny (*arnaki*) i skrzydełka drobiu upieczonego, surową sałatę głowiastą, jaja (*awga*), chleb (*psomi*) i płaty sera koziego (*tiri*), nakoniec podawał szklankami wino z żywicą. Wszystkie te zapasy żywności przywiózł nasz przewodnik na osobnym wózku z Nauplii.

Brakowało nam jednak kochanka Muz, gęślarza, i formingi i śpiewów wesołych i odświętnie przystrojonego wieńca dziewic. Natomiast zasiadły do wspólnej uczty ryże Angielki, miedziane Amerykanki i kilka Niemek, o cerze twarzy pergaminowo-żółtej — żywe zabytki inwentarza archeologicznego.

Po śniadaniu zwiedziliśmy dalsze części zamku w Tirynsie, a mianowicie analogicznie zbudowane *megaron* sąsiednie, równoległe do opisanego dopiero, tylko w założeniu mniejsze, mające jednak taksamo brukowany mozaiką podworzec (*αὐλή*), przedpokój (*πρόδομος*) i właściwe *megaron* z ogniskiem (*ἐσχάρα*) uważane pospolicie za salon pani domu (*γυναικωνῖτις*). Tylną ścianę megaronu mężczyzn (*ἀνδρωνῖτις*) jak i megaronu kobiecego obiega korytarz (*λαύρα*), jako ramiona boczne korytarza oddzielającego obydwa megarony w pośrodku ścian podłużnych. Taki sam korytarz otacza *gynajkonitis* także po prawej stronie od wejścia t. j. od strony wschodniej, stanowiąc zapewne połączenie z kompleksem pokojów dalszych, zbudowanych równolegle do dwóch poprzednich megaronów. W tylnej komnacie tego trzeciego budynku domyślają się komnaty małżeńskiej (*θάλαμος*). Całość pałacu zamkowego zamyka jakby skrzydłem wschodniem czwarty dom o planie równoległym do poprzednich domów t. j. w formie prostokąta, wciskając się fundamentami silnie we wschodnią połać olbrzymiego grubością muru zamkowego. I ta

partya komnat, w której domyślają się między innemi skarbca (*θησαυροί*), oddzielona jest korytarzem od północy ku południu od domu trzeciego. Na południowy wschód od megaronu niewieściego (budynek drugi) znajduje się podwórko, trzecie w obrębie pałacu, od którego na południe widać resztki fundamentów komnat, których ani jasnego planu ani wyraźnego przeznaczenia dotąd określić nie zdołano.

W ten sposób całość zamku górnego w Tirynsie składa się z dziedzińca zamkowego, pałacu utworzonego z czterech budowli równoległych, prostokątnych, oddzielonych od siebie korytarzami i opatrzonych trzema podwórzami pałacowemi, brukowanemi mozaiką pierwotnego typu.

We wschodniej ścianie *prodomos* megaronu męskiego są drzwi, od których prowadzi kręty w trzech kondygnacyach korytarz do obszernej izby, której posadzkę wyściela jedyna płyta kamienna wspomniana wyżej i ważąca 20.000 kilogramów. Izbę tę uważają powszechnie za łazienkę pałacową, z której dna woda miała w właściwy sposób urządzony odpływ na zewnątrz.

Pomiędzy tylną ścianą pałacu, a murem zamkowym od północy znajduje się zakątek (*μυχὸς δώματος*), w którym zaledwie na ślady fundamentów natrafiono. Przeznaczenie tej części całego domostwa nie jest więc również należycie oznaczone. Z tej części oddalając się uważnie po stromych zwaliskach, przechodzi się około potężnej czworobocznej wieży w murze zachodnim do korytarza, w którym sześćdziesięciu kilku stopniami schodzi się w dół w obrębie muru zachodniego do małej ostrołukowej furtki, stanowiącej komunikacyę z równiną od strony zachodniej. Była to zapewne furtka tylna (rodzaj *posticum*) służąca do wycieczek po za obręb zamku wówczas, gdy droga główna i brama w stronie wschodniej były oblężone.

Nie wszystkie części tego chodnika są zachowane w stanie pierwotnym. Brakuje wielu stopni; korytarz jest w znacznej przestrzeni odsłonięty; najlepiej stosunkowo zachował się w części górnej i dolnej tuż przed wyjściem w równinę. Chodnikiem tym schodziło całe nasze grono podróżnych, przypatrując się jeszcze raz potężnym budowlom cyklopskich murów i zamku tiryńckiego i przenosząc się myślą w odległe wieki

świata starożytnego i ślady pierwotnej kultury Europy. Kiedyśmy jeden za drugiem wyszli przez małą furtkę na równinę od strony zachodniej, zastaliśmy czekające już na nas w blizkości powozy, któremi zaraz podążyliśmy do Heraion (mniej więcej w połowie drogi od Tirynsu do Myken), odkopanego starannie i uporządkowanego przez amerykańskich uczonych.

Stanisław Rzepiński.

Ponieważ autor artykułu p. t. *Grecya* bawił przez lipiec i sierpień po za granicami kraju i nie mógł sam prowadzić korekty I-ej części drukowanej w tym czasie w numerze 386 na str. 314—336, przeto zdarzyło się tam kilka drobnych usterek, które w tem miejscu prostujemy. Na str. 316 w. 9 od góry po wyrazie „dwie“ należy dodać „ostatnie“; str. 320 w. 10 od dołu wyraz opiewa: Kalikiopulo; str. 321 w. 1 ma być „S. Quaranta“; w. 8 od góry po wyrazie haftowanych średnik i dodać „mieli“; str. 326 w. 14 ma być „pendary“ nie „pantary“, w. 18 „kurews“ nie „kurws“; w. ostatni w przypisku *κουρεύς*, nie *κουρεὸς*; str. 328 w. 18 „zesiadać“ nie „zasiadać“; str. 329 w. 7 i 11 od dołu „Chrysandakis“ nie „Chrysaudakis“, w. 10 „Słowian“ zamiast „Słoweńców“; str. 330 w. 1 „wziąć“ nie „wziąść“ w. 6 od dołu „kaktusowym“, w. ostatni „mawrodafne“ nie „mawronda“; str. 331 w. 20 od góry „mawrodafny“; str. 333 w. 7 od góry wyrazy „o których“ mają stać na początku wiersza; str. 333 w. 7 od dołu „psomi“ zamiast „psonii“; str. 334 w. 7 od dołu „terrenu“, str. 335 w. 7 od góry „Rhion“.

Kronika literacka.

— *Konstanty Ireneusz Pomian hrabia Łubieński, biskup sejnejski.* Napisał ***. (Kraków, 1898. 8-o, str. 450). — Zdawaliśmy niedawno sprawę z *Pamiętników arcybiskupa Felińskiego.* Prawie równocześnie z niemi ukazuje się książka, odnosząca się do tych samych czasów i spraw, ważna dla dziejów Kościoła w Polsce pod panowaniem rosyjskiem. Czytając ją, i widząc dobrze jej wartość i ważność, nie możemy odżałować, że ona nie jest, jak książka arcybiskupa, *Pamiętnikiem.* Znaczenie jej, jako źródła informacyi, byłoby oczywiście nierównie większem, gdyby biskup Łubieński mówił o sobie sam; a przedstawienie rzeczy byłoby dokładniejszem. Biograf miał wprawdzie pod ręką wszystkie papiery i korespondencye biskupa prywatne, rodzinne; miał i te papiery urzędowe, które rząd rosyjski po śmierci biskupa zwrócił jego rodzinie; był zaś prócz tego, z książki widać to wyraźnie, bardzo blizkim, ciągłym i zaufanym świadkiem jego życia, powiernikiem jego myśli i zamiarów, nieraz może uczestnikiem i pomocnikiem w jego pracach. To stanowisko dawało mu większą, niż każdemu innemu, możność i łatwość napisania żywota, który mu był doskonale znany. Jednak biskup sam musiał jeszcze więcej i lepiej o sobie wiedzieć; i gdyby był pisał pamiętniki, byłby nie jeden szczegół opowiedział, byłby myśl swoją wytłómaczył jaśniej i wierniej.

Biograf, pomimo swoich szczęśliwych warunków, nie wszystko przecie wie, myli się czasem w szczegółach, tak, że człowiek pamiętający te lata i wypadki, musi go niekiedy prostować i powiedzieć, że w tym a w tym razie nie było tak, jak on opisuje, tylko inaczej. Dlatego żałujemy, że to biografia, nie własny pamiętnik biskupa Łubieńskiego. A prócz tego, gdyby on był o sobie pisał sam, nie byłby pisał z tem bezwzględnem uwielbieniem, które u autora książki jest zapewne naturalne i zrozumiałe, ale które książce nadaje kolor nieco pa-

negiryczny. *Żywot* jest książką ciekawą i ważną, ale nie jest dokumentem, tylko opracowaniem. Pamiętnik byłby dokumentem, a jako taki, miałby większą wartość historyczną bezwzględną, i zwłaszcza większą w odniesieniu do *Pamiętników arcybiskupa Felińskiego*, bo jeden drugiemu służyłby za uzupełnienie i niejako za kontrolę. Ale próżna rzecz żałować tego, co się nie stało i stać się już nie może. Trzeba poprzestać na tem co jest i wdzięcznie to przyjąć.

X. Feliński i X. Łubieński byli do siebie zbliżeni powołaniem, wypadkami życia, szacunkiem wzajemnym; byli rozdzieleni sposobem pojmowania tych wypadków, w których działać im przyszło. Oba kapłani, oba biskupi, oba najgorliwszego ducha i poświęcenia w służbie Kościoła, inaczej widzieli swój stosunek do władz świeckich, a raczej kres, do którego w powolności dla tych władz posunąć się mogą. Każdy na swojej drodze, swoim sposobem, doszedł do tego samego końca. Feliński, skłonniejszy do niedowierzania i oporu, prędzej; Łubieński, przekonany, że ustępowaniem ochroni Kościół od prześladowania, później. Oba byli wywiezieni; ale Łubieński umarł w tej podróży ze wszystkiemi pozorami otrucia. Pojęcia w rzeczach świeckich były inne, ale pojęcie biskupiego obowiązku i gorliwość w nim była podobna, dochodząca do wyznawstwa i do męczeństwa, które doszło aż do ofiary życia u tego, który więcej i dłużej dowierzał. X. Łubieński miał przez cały ciąg swego życia, ale zwłaszcza około r. 1863 i po nim, opinię stanowczego i bezwzględnego stronnika rządu. W owych latach nazywano go nieraz wprost zdrajcą. Zbytecznie mówić, że tym nie był nigdy, ani w myśli, ani w słowie, ani w uczynku. W swoim czasie Sobieski był posądzony o zdradę na korzyść Turków; w swoim znowu Mickiewicz oskarżony był o zdradę przez..... Gurowskiego! Można z tych przykładów powziąć miarę, ile należy dawać wiary takim oskarżeniom. Ale X. Łubieński nie u płochej brukowej opinii, ale u poważnych współczesnych, uchodził nie za odstępcę oczywiście, ale za zbyt uległego względem rządu. Czy był takim kiedy w swojem postępowaniu, nie nam sądzić; że był przedewszystkiem sługą i wyznawcą Kościoła, tego dowiódł aż nadto dostatecznie. Ale niniejsza książka ma tę wielką wartość i zasługę, że daje poznać jego sposób myślenia, sam grunt jego uczuć, przez to ocenić powody jego działania i uszanować je jak należy. Po niej będzie każdy mógł sądzić jak zechce, czy biskup pomylił się lub nie w tym lub owym postępku; ale nikt nie będzie mógł z dobrą wiarą przeczyć szlachetności jego myśli i woli.

Ksiądz z rzetelnego powołania, które zresztą w jego rodzinie zdarzało się wiele razy, w najpierwszej młodości już zwierza się bratu, że myśli o stanie duchownym. To nie marzenie, ani zachcenie, ani ułuda wyobraźni; to stanowcza i sta-

teczna wola, choć objawiona bardzo wcześnie. Młody chłopiec w niej trwa; ojciec, widząc to, ani wstrzymuje, ani przeszkadza. Wyświęcony w r. 1849, dwudziestoczteroletni kapłan udaje się zaraz do Rosyi, do Kurska, żeby towarzyszyć ojcu wysłanemu tam na wygnanie. W nawiasie powiemy, że autor byłby może powinien dać dokładniejszą wiadomość o tem wygnaniu hr. Henryka Łubieńskiego. Ludzie późniejsi, choć nawet starzy, jak niżej podpisany, już o niem nie wiedzą. Czy w tem był jaki związek z wypadkami r. 1848? Czy podejrzenie o jakie stosunki z emigracyą? Wyjaśnienie tej sprawy ojca nie było koniecznem w żywocie syna, ale brak jego przecie czytelnik czuje.

Młody X. Łubieński jest tedy z ojcem w Kursku, a rozdział, trzeci w książce, opowiadający jego tam pobyt, jest jednym z najciekawszych, bo daje klucz do całego sposobu myślenia i do późniejszego życia przyszłego biskupa.

Oto zarys jego myśli.

Polska miała przeznaczenie posuwać prawdziwą wiarę na Wschód. W przeznaczeniu tem zaniedbała się i upadła. Ale przeznaczenie nie ustało i obowiązek z niego wynikający powinien się spełniać, choć w innych warunkach i innemi sposobami. Nawrócenie Rosyi jest wielką sprawą Kościoła powszechnego, która prędzej czy później, na dobro Rosyi samej, dokonać się musi. Te niezliczone od stu lat wywożenia Polaków, zwłaszcza polskich księży, w najróżniejsze strony ogromnego imperyum, dają właśnie sposobność do takiej służby, i może są takiem opatrznościowem zrządzeniem woli Bożej. To nawrócenie nie może być prędkiem, ani łatwem. Musi się przygotować w wielkiej liczbie sumień i umysłów, zanim zdoła objawić się na zewnątrz i dokonać w państwie. Ale takich dusz, pragnących innej wiary i duchowego życia, jest w Rosyi wiele. Gdyby każdy ksiądz, zesłany na wygnanie, był chciał i umiał szukać ich, znajdować, pocieszać i oświecać, jak daleko od stu lat to dzieło byłoby już posuniętem! Ale co się zaniedbało w przeszłości, to trzeba robić na przyszłość. Kto chce Rosyanina do Kościoła przyciągnąć, ten nie może występować jako jego nieprzyjaciel; owszem, musi mu być życzliwym, musi szanować jego zwyczaje, musi rozumieć jego uczucia, musi nawet naginać się do jego wyobrażeń. Żadnej dążności, ani działalności politycznej, nic, coby groziło Rosyi jakąbądź polityczną szkodą, czy stratą. Trzeba na ich stanowisko się przenieść, a wtedy dopiero przeciągać ich na inne.

Oto plan, dla wielu zapewne zbyt szeroki i trudny, wogóle może w praktyce niewykonalny, bo ta służba missyjna, gdyby się stała systematyczną i rozszerzoną, byłaby naturalnie dostrzeżoną i powstrzymaną srogiem prześladowaniem—ale plan, który mógł przemówić do niezwykłego umysłu i niezwykłego charakteru, zarówno logicznością do rozumowania, jak rozmia-

rem i zamiarem do uczucia i do wyobraźni. Stał się też programem całego życia X. Łubieńskiego, aż do czasu, kiedy wyświęcony na biskupa, znalazł się wobec innych obowiązków i zadań. Program przyjęty z całą świadomością i determinacyą, a wykonywany ze ścisłością i pilnością zadziwiającą. Zaraz w Kursku młody kapłan bierze się do swego zamierzonego dzieła. Urządza kaplicę i nabożeństwa dla katolików, a na innowierców działa słowem, towarzyskiemi stosunkami i samemi temi katolickiemi nabożeństwami — nie bez skutku.

Trwało to do r. 1853. Wtedy X. Łubieński w sprawach ojca jeździł do Petersburga i spotkał się po raz pierwszy z arcybiskupem Hołowińskim. Z jego, czy z własnej inicyatywy, w każdym razie z jego aprobatą napisany, ale z powodu wielkich przeszkód nie wysłany, memoryał do papieża, wskazujący potrzebę uznania Rosyi za jeden z krajów w stanie missyjnym. Metropolita Hołowiński, uderzony zdolnością i przedsiębiorczością Łubieńskiego, zażądał od niego, żeby osiadł w Petersburgu, zrobił go wikarym przy kościele Św. Katarzyny i spowiednikiem alumnów w Akademii duchownej. Pole działania rozszerzyło się wtedy bardzo. X. Łubieński częścią miał znajomości w wielkim świecie i we dworskim, częścią porobił nowe; kazaniami francuskiemi ściągał wielu słuchaczy, nawet schizmatyków. Życie katolickie rozwijał przez zakładanie towarzystw i bractw, przez nabożeństwa, głównie przez wpływ na młodzież duchowną. Śmierć arcybiskupa Hołowińskiego sprowadziła smutne zmiany na gorsze w zarządzie dyecezyi i w jej duchu; dwaj młodzi księża, Łubieński i Feliński pracują połączonemi siłami nad odparciem złego, a utrzymaniem dobrego. Kiedy nuncyusz Chigi jechał na koronacyę Aleksandra II, X. Łubieński był jego prawie nieodstępnym i nader pomocnym towarzyszem, objaśniał go o stanie Kościoła i o osobach. Noty i memoryały, jakie w tym czasie dla nuncyusza pisać musiał, zaginęły; zapewne zabrane po wywiezieniu biskupa.

Nastąpiły wkrótce nowe prześladowania Unitów na Litwie i Białej Rusi. Dziernowicze, Sławatycze przekonały rząd, że *połączeni w miłości* przez Mikołaja I w r. 1839, w duchu zostali katolikami. Zdziwienie i postanowienie ostrych środków zaradczych. Minister wyznań i oświaty zażądał od tak zwanego Kollegium katolickiego w Petersburgu rozporządzenia, zakazującego księżom przyjmować do spowiedzi ludzi, którychby nie znali z wszelką pewnością jako katolików. Rozporządzenie dla sumienia kapłańskiego nie do przyjęcia; ale możliwie do uchwalenia w owem Kollegium. Metropolita Żyliński zaś był słaby, choć wierny, i mógł dać na sobie wyłudzić lub wymusić podpis. Uprzedził to, i arcybiskupa przekonał X. Łubieński. Za to wywieziony był zaraz do Charkowa.

Robił tam to samo, co wszędzie, ale zostawał nie długo. Przyjaciołom udało się wyrobić pozwolenie na przyjazd do Petersburga; po czem X. Łubieński do Charkowa już nie wracał, ani w stolicy zostać nie miał, tylko wysłany był do Rewla, jako proboszcz tamtejszej parafii.

Tu, przez znajomość z gubernatorem i z namiestnikiem Finlandyi (a później Królestwa Polskiego) hrabią Bergiem, miał ruchy swobodniejsze, i otrzymał paszport do wyjazdu za granicę. Było to w r. 1861. Jechał do Rzymu na Wiedeń; po drodze zatrzymał się w Krakowie i w Krzeszowicach. Tu musimy autora zatrzymać, i wytknąć mu, że jest źle powiadomiony. Opowiada on, że właśnie podczas tego przejazdu X. Łubieńskiego odbywała się w Krzeszowicach narada, na której „bezwiednie i bezmyślnie postanowienia ostateczne powzięto“, a „*zwabiony* umyślnie z Paryża sławny hr. Montalembert, miał być świadkiem zapału i cierpienia“.

Z tych słów zdawać by się mogło, że w Krakowie i Krzeszowicach zapadały jakieś postanowienia, odnoszące się do ówczesnego, już poczętego ruchu, a wpływające na dalsze wypadki. „Jeden X. Konstanty miał tę niesłychaną odwagę, i tę wyższość umysłu w Krzeszowicach, że głos protestu podniósł“.

Bardzo nam przykro, że powiedzieć to musimy, ale z obowiązku oświadczamy i świadczymy, że w tem wszystkiem niema ani słowa prawdy. Ani wypadki w Królestwie nie były kierowane z Galicyi, ani Adam Potocki i jego przyjaciele nie grali takiej roli, jaką im autor przypisuje, ani Montalembert nie był *zwabiony*, ani nie było najmniejszego zjazdu czy narady w Krzeszowicach.

Adam Potocki i jego przyjaciele trzymali się zawsze i stanowczo zdala od wszystkich działań emigracyjnych. Podpisany może to poświadczyć, bo wie, jak miał im za złe to, że nie chcieli mieć żadnych stosunków z tak zwanem *Biurem* w Paryżu. Demonstracye i organizacye w Królestwie uważali za wielki błąd i przewidywali ich złe skutki. Narady żadnej w Krzeszowicach nie było. Montalembert nie *zwabiony*, tylko powodowany swoją miłością Polski, przyjechał istotnie z rodziną, mieszkał u swego przyjaciela Pawła Popiela w Krakowie, napisał broszurę: *Une nation au deuil* w Krzeszowicach był pewnej niedzieli po południu, jak podówczas często ludzie z Krakowa jeździli, ale żadnej narady nie odbywał. X. Łubieński istotnie był w Krzeszowicach, ale nie zastał tam żadnego zjazdu, ani narady; nie zastał nawet Adama Potockiego, który bawił w Wiedniu w Radzie państwa. Zastał tylko jego żonę i matkę. To zeznanie współczesnego, a po części naocznego świadka, mogą potwierdzić inni żyjący, a jeszcze tacy są.

Po tej niedokładności, następuje zaraz druga. X. Łubieński w przejeździe przez Wiedeń widział się z *kardynałem* Li-

twinowiczem. „Porozumienie i zawiązanie stosunków było łatwe“, gdyż „zapatrywanie na sprawę rusińską było do siebie zbliżone, a obudwóch kierowała zarówno we wszystkich krokach myśl jedności Kościoła i służby Bożej“.

Otóż naprzód *kardynał* Litwinowicz nie był nigdy kardynałem. Powtóre, nie wchodząc w jego działanie polityczne, w złamanie *kapłańskiego* i *biskupiego słowa*, które ładnem w każdym razie nie było, kościelnego i biskupiego ducha nie miał. Sam się nie sprzeniewierzył, to prawda; ale na dzieło stopniowego sprzeniewierzenia swoich duchownych i świeckich wiernych, patrzał przez szpary i pozwalał. Nie zrobił nic, żeby powstrzymać szerzącą się propagandę apostazyi. Z pod jego ręki wyszli ci apostaci, którzy dokonali oderwania Chełmszczyzny od Kościoła. On zalecił X. Kuziemskiego na biskupa. Usposobienie zaś miał nie tylko nie duchowne, ale tak bardzo świeckie, że przez zbytek wplątał się w nader przykre i upokarzające stosunki majątkowe, które groziły nawet niebezpiecznemi procesami. Kiedy autor pisze, że „myśl jedności i służby Kościoła“ ożywiała go tak, jak X. Łubieńskiego, autor tego ostatniego chwali trochę dziwnie. Szczęściem ludzie wiedzą, że X. Łubieński nie był taki, jak X. Litwinowicz.

Są to niedokładności w szczegółach może nie wielkiej wagi, ale niedokładności bardzo szkodliwe. Czytelnik, który raz zobaczył, że autor opowiada rzeczy inaczej, niż one się miały, traci zaufanie i wiarę do książki. Rad nie rad musi ją czytać z pewnem niedowierzaniem, i pytać, czy w rzeczach ważniejszych niema takich niedokładności, jak w tych mniejszych.

Te ważniejsze następują teraz, w coraz większej liczbie i doniosłości. Żeby autora kontrolować, a w razie potrzeby sprostować, trzebaby być naocznym świadkiem ówczesnych spraw kościelnych w Królestwie. Tacy są; ale z powodu cenzury, ani tej książki czytać, ani z niej sprawy zdawać nie mogą. Podpisany zrobić tego nie może. Widzi tylko, że zdarzają się twierdzenia nie dowiedzione, i na takie z obowiązku uwagę zwrócić musi, a przytem żałować, że X. Łubieński nie pisał o sobie sam.

Śmierć arcybiskupa Fijałkowskiego, zamknięcie kościołów, uczestnictwo X. Łubieńskiego w nominacyi Felińskiego, starania o otwarcie kościołów (bo był w Warszawie zaraz po ich zamknięciu) i o powstrzymanie duchownych od organizacyi i spisków, początki rządów arcybiskupa Felińskiego — oto, co wypełnia następne rozdziały, aż do nominacyi X. Łubieńskiego na biskupstwo sejnejskie. W tych rozdziałach jest naturalnie mowa o stosunku X. Łubieńskiego do arcybiskupa. Pierwszy ma wielką słuszność i zasługę, kiedy drugiego błaga i zaklina, żeby nie wysyłał swego listu do cesarza, a tłómaczy mu, że dotykając kwestyj politycznych, osłabia i naraża swoje stano-

wisko, utrudnia położenie Kościoła. Pominięty jest szczegół jeden, zapisany przez arcybiskupa w pamiętnikach: ten mianowicie, że *List Pasterski*, zredagowany jeszcze w Petersburgu. posłany był przez X. Łubieńskiego do *Monde'a*, a gdy arcybiskup już w Warszawie redakcyę *Listu* cokolwiek zmienił, to przedwczesne ogłoszenie stało się dla niego powodem znacznych przykrości i trudności.

Biskup Łubieński w swojej dyecezyi przekonywa się z każdym dniem wyraźniej, że jego teorya była złudzeniem, że nie sprawa polska jest powodem prześladowania Kościoła w Rosyi, ale sama istota katolickiego i rosyjskiego Kościoła, sama natura prawosławia i sama treść odwiecznej polityki państwa. Biskup jest wiernym i uległym poddanym, z władzami utrzymuje stosunki jak może najlepsze, ustępuje w czem tylko może. Ale jest kapłanem i biskupem: swego sumienia, swego urzędu, swego Kościoła, nie może odstąpić, ani zaniedbać, i zachodzi w jedne po drugich starcia z rządem, które się kończą jego wywiezieniem i śmiercią.

Od początku postępuje on z wielką zręcznością, a z niemniejszą gorliwością i stanowczością. Księży, rządowi podejrzanych, zasłania i broni, dyecezyę objeżdża, praw swoich i kościelnych strzeże, życie katolickie krzewi i krzepi, seminaryum reformuje. Od początku zaś ma do walczenia z coraz nowemi zamachami na Kościół. Zamknięcie klasztorów, zabór dóbr kościelnych i dotacya księży ze skarbu państwa, prześladowanie Unitów i zakaz słuchania ich spowiedzi, jedno po drugiem wali w Kościół jak grom. Murawiew chce część dyecezyi sejnejskiej oderwać i dostać pod swoje wielkorządztwo; Czerkaski w Warszawie przygotowuje rozprzężenie Kościoła, a marzy o przeciągnięciu Polski na prawosławie w zmienionych formach. Biskup Łubieński paruje, odpiera te ciosy; chwilami ugina się i ustępuje, ale na to, by w zasadniczych kwestyach oprzeć się tem stanowczej. Służą mu do tego dawne stosunki z Bergiem i z W. ks. Konstantym. Czytelnik jest zbudowany jego dzielnością, odwagą i roztropnością, podziwia, jak wiele on zdołał zrobić lub odwrócić. Podziwiałby może jeszcze więcej, gdyby autor nie kazał mu podziwiać takich skutków tej pracy, których nie dowiódł. Mówi on i powtarza nieraz, że biskup Łubieński obalił Murawiewa i Czerkaskiego. Co do Murawiewa, podług opowiadania autora, biskup skarżył się na niego ustnie przed W. ks. Konstantym, który przyrzekł swoją pomoc u cesarza. Jakoż, skutkiem tej interwencyi, część gubernii augustowskiej, którą Murawiew chciał przyłączyć do Litwy, została przy Królestwie. Wierzymy najchętniej, ale nie widzimy związku między tym faktem, a późniejszem odwołaniem Murawiewa, ani dowodu, iżby to ostatnie było nastąpiło za pośrednim wpływem biskupa Łubieńskiego. O powodach zaś odwołania księcia Czer-

kaskiego z Warszawy, słyszał świat dotąd wersyę inną. Wiedziano i sądzono, że Berg, zazdrosny o swoją władzę, czyhał tylko na sposobność, by się Czerkaskiego z Warszawy pozbyć. Gdy więc, na jego szczęście, pokazały się grube nadużycia pieniężne, skorzystał z dobrej sposobności i Czerkaskiemu w Petersburgu zaszkodził. Tak dotąd wiedziano i mniemano. Być może, że wersya autora jest prawdziwszą i że powodem upadku Czerkaskiego była skarga przez biskupa na niego podana do Rady Stanu i jego noty do różnych osób, ale dowodu na to w książce nie znajdujemy.

Taką ciernistą drogą zdążał biskup do ostatniej swojej z rządem walki. W r. 1867 wyszedł ukaz, zabraniający biskupom znoszenia się z Rzymem inaczej, jak przez pośrednictwo Kollegium *katolickiego* (*!*) w Petersburgu — w ślad za tem, już w r. 1868 rozkaz do biskupów, żeby do tego Kollegium wysłali każdy swojego delegowanego assesora. Biskup Łubieński, nie mogąc sam znieść się z papieżem, wysłał do Rzymu swego brata Tomasza z memoryałem o całem położeniu Kościoła i z instrukcyą, żeby przywiózł rozkazy, jak się ma w tem położeniu zachować.

Przedtem już, bo w październiku r. 1867, Pius IX wydał Encyklikę, w której orzekał, że owo Kollegium jest *damnandum et reprobandum*. Hr. Tomasz Łubieński znosząc się z dostojnikami kuryi i żądając od nich wskazówek dla brata, odebrał od mgra. Berardi odpowiedź, że „biskupi mogliby w konieczności rządowi ustępować, wszelako o tyle, o ileby to nie naruszało wiary, ani konstytucyi Kościoła". Była to odpowiedź słowna, wysokiego urzędnika wprawdzie, ale nie żadnej kongregacyi, i była sama w sobie warunkowa. Stała się ona powodem i pomyłki biskupa Łubieńskiego, i później najpiękniejszego aktu jego cnoty, i wreszcie jego wywiezienia. Wziął on to oświadczenie za stanowcze upoważnienie, i na tej podstawie wyznaczył delegata do Kollegium. Biskup Popiel odmówił, i za to był wywieziony. Biskup Łubieński przesłał przez zaufanego poprzednika, Anglika p. Bodenham, swego krewnego, sprawozdanie swoje do Rzymu; odebrał odpowiedź, że Stolica Apostolska nagania jego postępek.

Wtedy, wiedząc już co ma robić i co go niechybnie czeka, wygotował polecenia dla kapituły i duchowieństwa co mają robić po jego wywiezieniu, wyznaczył administratora dyecezyi, delegatowi do Kollegium posłał odwołanie z tego urzędu, i napisał do namiestnika hr. Berga list, którym cofa i odwołuje swój krok, jako niezgodny z wolą papieża, a prócz tego listy do wszystkich biskupów pod rządem rosyjskim, jacy jeszcze w dyecezyach swoich byli, z zawiadomieniem, że jego postępek był naganiony z Rzymu, i że go, ile mógł, odwołaniem naprawił.

Jeżeli był błąd, to istotnie nie mógł być naprawionym szczerzej, pokorniej i odważniej. Niezaprzeczenie piękna to chwila w życiu biskupa. Skutki nie mogły chybić; on sam wiedział o tem najlepiej. Sam list do Berga byłby wystarczył; ale list do biskupów, zachęta do *buntu* podług rozumienia rządu, ten już przechodził wszelaką miarę i zasługiwał na srogą karę! W nocy 31 maja 1869 r. zajechał pułkownik z żandarmami. Wywieziono biskupa, z przeznaczeniem do Permu. Dnia 3 czerwca w Orle zjadł kompot, podany przez odwożącego go pułkownika Kurzelowskiego. Nazajutrz uczuł się chorym. W Moskwie był już tak chory, że błagał o księdza, a przytem o odpoczynek, o pozostawienie na miejscu przez parę dni. Na telegraficzne zapytanie przyszła z Petersburga odpowiedź odmowna. Wieziono go tedy dalej. W Niżnym Nowogrodzie zlitowano się przecież nad wijącym się w boleściach, umieszczono w hotelu, sprowadzono spowiednika. Skończył dnia 16 czerwca 1869 r.

Pogłoski o otruciu rozeszły się zaraz. Wydawały się niepewne. Jaki cel miałby rząd w tej zbrodni? Biskup wywieziony, uwięziony, nie mógł mu już w niczem przeszkadzać. To prawda; ale ze swojem usposobieniem, ze swoją gorliwością, mógł działać na ludzi tam w Rosyi—mógł wreszcie znajdować sposoby znoszenia się z Rzymem?

Rzecz, która zdawała się wątpliwą, niepodobną do prawdy, bo bezcelową, stwierdziła się z czasem, jako pewna. Prawda wyszła na wierzch, jak oliwa, przynajmniej tym razem. Gdy złożono biskupa na katafalku, włożono mu w rękę pastorał. Później ten pastorał, i inne insygnia biskupie, zwrócono rodzinie. Ta dostrzegła, że w miejscu, gdzie dotykał ręki zmarłego, srebrny pastorał był cały zczerniały. Pastorał był rozkręcany. Zczerniałą więc część laski odjęto, i nic nie tłómacząc, ani opowiadając, poddano analizie chemicznej w publicznych laboratoryach. Analiza wykazała arszenik.

Taka jest w krótkiem streszczeniu historya żywota biskupa Łubieńskiego. Autor dodaje do niej epilog, w którym porównywa biskupa z różnymi znakomitymi ludźmi w Polsce naszego wieku, i stawia go wyżej nad wszystkich; jeden tylko „Gołuchowski może z nim iść w zawody, lub mu dorównać". Nie mamy ani sposobu, ani kompetencyi mierzyć znakomitość ludzi, więc zostawiamy innym, lub potomnym, sprawdzenie lub sprostowanie tego obrachunku. Sami zaś poprzestajemy na tem, że książka, pomimo niedokładności nam wiadomych i innych, które w niej być mogą, choć my o nich nie wiemy, jest pełna treści, nauczająca i do historyi Kościoła polskiego pod rządem rosyjskim potrzebna i ważna. *St. Tarnowski.*

— Dr. Ernest Till: *Prawo prywatne austryackie.* Tom IV. *Wykład nauki o stosunkach obowiązkowych.* II. Część szczegółowa. (Lwów, 1898, str. VIII i 465). — Część ogólną

nauki o stosunkach obowiązkowych ogłosił autor w r. 1895 (ob. zeszyt wrześniowy *Przeglądu Polskiego*, z r. 1895, str. 742 do 748). W wydanym obecnie tomie uzupełnił tę naukę częścią szczególną i pozostaje mu jeszcze do wykończenia całego obszernego dzieła, nauka o prawie familijnem i o prawie spadkowem.

Po krótkim wstępie (§ 330) autor część szczegółową o zobowiązaniach wyłożył w trzech rozdziałach, z których pierwszy, najważniejszy i najobszerniejszy, obejmuje stosunki obowiązkowe, wynikające z umów czyli kontraktów (§ 331—393), drugi stosunki obowiązkowe z czynności niedozwolonych (§ 394—405), trzeci wreszcie stosunki obowiązkowe, powstałe z innych przyczyn (§ 406—411). Przy końcu dołączony jest alfabetyczny spis rzeczy.

Podział powyższy, uczyniony ze względu na rozmaite źródła powstania zobowiązań, opiera się w zasadzie na podziale, przyjętym przez rzymskiego prawnika Gaja i określonym w Digestach Justyniańskich wyrazami: *Obligationes aut ex contracta nascuntur aut ex maleficio aut propio quodam iure ex variis causarum figuris* (*l. 1 pr. D. de obl. et act. 44.7*). Podział ten przeważnie i dzisiaj jeszcze główną stanowi podstawę systemów przyjętych w części szczegółowej nauki o zobowiązaniach, chociaż słuszną uwagę autora, że wszelkie usiłowania ułożenia systematycznego porządku co do umów nie doprowadziły dotąd do pożądanego rezultatu, snadnie odnieśćby można do wszystkich podziałów, przyjętych dotychczas pod względem systematycznym w całej części szczegółowej nauki o zobowiązaniach.

Co do *umów*, autor upatruje w nich cztery rozmaite grupy. Do pierwszej zalicza kontrakty o zwrot (skład, wygodzenie, pożyczkę i kontrakt zastawu), do drugiej kontrakty o wymianę (zamianę, kupno, najem rzeczy, najem pracy i pełnomocnictwo), do trzeciej kontrakt spółki, a do czwartej kontrakty losowe. Z naszej strony podnieść możemy tę uwagę, że t. zw. kontrakty o zwrot przedstawiają się zwyczajnie, mimo to, że ustawa cywilna kontrakt zastawu w § 1369 nazywa kontraktem dwustronnie obowiązującym, jako kontrakty jednostronnie obowiązujące, kiedy wszystkie inne kontrakty, objęte trzema następnemi grupami autora, są po największej części kontraktami dwustronnie obowiązującemi i dlatego sądzimy, że może było lepiej pozostać przy podziale kontraktów na jedno i dwustronnie obowiązujące, w którym to razie kontrakt pełnomocnictwa znalazłby właściwsze pomieszczenie przy kontraktach jednostronnie obowiązujących, skoro prawidłowo jest takim (§ 1004 ust. cyw.).

Co w swoim czasie powiedzieliśmy o trzecim tomie, obejmującym ogólną część nauki o zobowiązaniach, da się odnieść także do obecnie wydanego tomu. Z wielką sumiennością, jasno i obszernie omówione są tu wszelkie kwestye sporne, tudzież uwzględnioną literatura i uwzględnione orzeczenia najwyższego

trybunału sądowego, dotyczące każdego przedmiotu. Tak samo, jak w poprzednim tomie, są i tu przytoczone materyały do powstania kodeksu austryackiego, mianowicie wyprzedzające go projekty ustawodawcze i obrady nad niemi, służące do wyjaśnienia właściwego znaczenia wielu w kodeksie zawartych przepisów, zwłaszcza powstałych z nich kwestyj wątpliwych.

Zwracając się z kolei do szczegółów, mianowicie do wyłuszczonego naprzód kontraktu *składu*, zaznaczyć wypada, że autor słusznie odrzuca zdanie Scheya, odmawiające zachowcy środków posessoryjnych w celu odparcia naruszenia stosunku, w jaki wchodzi przez odebranie rzeczy na przechowanie. Do argumentów autora dodać możemy jeszcze tę uwagę, że gdyby skład według ustawy austryackiej ograniczony był do rzeczy ruchomych, toby zachowcy wystarczyć jeszcze mogły środki posessoryjne, służące do obrony posiadania, czy to domu, czy mieszkania, w których rzecz sobie powierzoną przechował, skoro zwyczajnie trudnoby przeciwnikowi było dostać się do takiej rzeczy bez naruszenia posiadania miejsca, w którem została złożoną. Gdy jednak kontrakt składu dotyczy także rzeczy nieruchomych, przy których naruszenie stosunku zachowcy do tych rzeczy nie inaczej, jak przez naruszenie ich posiadania, nastąpić może, to zachowca nie mający środków posessoryjnych, w razie naruszenia posiadania powierzonych sobie nieruchomości, pozostałby bez wszelkiej obrony prawnej.

Natomiast nie możemy się zgodzić na zdanie autora, przytoczone na str. 16, w uwadze 10, jakoby zachowca według prawa rzymskiego odpowiadał zwyczajnie tylko za *dolum*, mimo to, że końcowy ustęp *l. 1. § 10 D. depositi (16.3)* za niem przemawia, a to raz ze względu na ogólną zasadę prawa rzymskiego *culpa lata dolo aequiparatur*, powtóre ze względu na wyraźny przepis *l. 32 D. eod.*

W dalszym ciągu podnieść wypada interpretacyę § 967 ust. cyw., według której — zdaniem autora - terminu trzydziestodniowego, wyznaczonego dla wzajemnych roszczeń obudwóch stron i mającego być liczonym od chwili zwrotu rzeczy przechowanej, nie należy odnosić do wniesienia skargi, ale do oznajmienia stronie przeciwnej swych roszczeń, co nastąpić mogło także w drodze pozasądowej. Interpretacya ta, przyjęta w nowszych czasach, wysnutą została z materyałów, dotyczących powyższego §. Podnieść tu możemy następnie słuszne uwagi autora, uczynione na str. 32 co do znaczenia sekwestracyi, mianowicie o zasadniczej różnicy, zachodzącej pod względem prawnym pomiędzy sekwestracyą dobrowolną i sekwestracyą konieczną czyli egzekucyjną. Dobre uwagi przytoczył autor także co do t. zw. *depositum irregulare* (str. 38 nr. 2), którego według ustawy cyw. za kontrakt składu poczytywać nie można.

W znanym sporze pomiędzy Ungerem i Pfaffem względem rozciągłości *odpowiedzialności gospodarzy* domów zajezdnych, szyprów i przewoźników za rzeczy, oddane im, lub służbie (§ 970 w związku z § 1316 ust. cyw.), autor przychyla się do zdania Pfaffa, który twierdzi, że odpowiedzialność gospodarza nie sięga po za granicę odpowiedzialności zachowcy, tylko że rzeczy mają być poczytane jako oddane gospodarzowi także wtenczas, gdyby nie jemu samemu, lecz jego służbie zostały oddane (uw. 11 na str. 45). W § 1316 widzi autor istotne naruszenie odpowiedzialności gospodarza po za zwykłą miarę § 1313, stanowiącego, że nikt za czynności zabronione trzecich osób nie odpowiada (str. 48 uw. 14).

Mówiąc o prawnej istocie *precarii* (str. 66 uw. 2), autor zgodnie z Randą podciąga tę instytucyę pod pojęcie umowy, a wyrazy *kein wahrer Vertrag*, użyte w § 974 ust. cyw. tłómaczy z odwołaniem się do rozwoju historycznego tego §, w ten sposób, że ustawodawca nie widział w *precarium* istotnego kontraktu wygodzenia (*keinen wahren Leihvertrag*).

Obszernie wyłuszczył autor kontrakt *kupna i sprzedaży* (str. 125—180), a chociaż przedmiotem jego mogą być rzeczy najrozmaitsze, tak zmysłowe, jako też niezmysłowe, to jednak wyraz *rzecz*, użyty w § 1053, pojmuje jako rzecz zmysłową i dobre dla poparcia zdania swego przytacza argumenty na str. 126 w uw. 3-ej. Dziwi nas tylko, iż rozbierając na str. 178 istotę prawną licytacyi, nie wspomniał słowem, ani o polemice pomiędzy Kindervaterem i Iheringem w tej kwestyi (ob. Iheringa *Jahrbücher*, *VII*), ani o rozprawie Zatorskiego, osnutej na nowej polemice (ob. *Krakowskie Czasopismo poświęcone prawu i umiejętnościom politycznym* z r. 1868, str. 251).

Także kontrakt *najmu* został obszernie wyłuszczony (kontrakt najmu rzeczy na str. 181—224, kontrakt najmu pracy na str. 224—257) i słusznie autor postąpił, używając na oznaczenie niemieckiego wyrazu *Bestandvertrag*, odpowiadającemu rzymskiej *locatio conductio rei*, słowa *najem* w obszerniejszem znaczeniu, obejmującem tak najem w ściślejszem znaczeniu, jako też dzierżawę (ob. uwagi jego na str. 182). Ustawa austryacka odmienne, jak wiadomo, stanowi przepisy dla najmu i dla dzierżawy, a jednak w niewłaściwy sposób określa w § 1091 cechę, mającą uwydatnić różnicę pomiędzy temi dwiema instytucyami prawnemi. Wszakże i mieszkanie, które się bierze w najem, wymaga tego, aby lokator dla utrzymania go w porządku i dla używania (zwłaszcza w zimie) dołożył pewnej pracy, czego nie potrzebuje czynić przy stodole, którą razem z gruntem bierze w dzierżawę. Z tej przyczyny nie godziłbym się ze zdaniem autora, upatrującego w najmie domu w celu odnajmowania mieszkań dla zarobku, właściwą dzierżawę (str. 188, uw. 13), bo

w takim razie najem pojedynczego mieszkania z zamiarem podnajęcia dla zarobku jednego, lub kilku pokoi, także stanowiłby dzierżawę. Natomiast zgadzam się zupełnie z autorem, kiedy mówiąc o ustawowem prawie zastawu, dla zabezpieczenia czynszu dzierżawnego, utrzymuje, że prawo to odnieść należy także do koni zbytkowych, znajdujących się w czasie doręczonej skargi w obrębie majątku wydzierżawionego (str. 207, uw. 8).

Wyraz *Vorauszahlung*, użyty w § 1101, autor pojmuje jako zapłatę czynszu z góry (str. 213, uw. 6). Naszem jednak zdaniem byłoby rzeczą niesłuszną, gdyby najmodawca podnajemcy mógł uczynić zarzut z zapłaty czynszu z góry w takim razie, w którym tenże według umowy do zapłaty czynszu z góry był obowiązany. Naszem zdaniem chodziło tu o to, aby najmodawca nie był poszkodowany przez zapłatę czynszu, uskutecznioną przez podnajemcę wcześniej, jak się to należało, t. j. gdyby n. p. podnajemca, obowiązany płacić kwartalnie z góry, zapłacił od razu naprzód, za dwa lub trzy kwartały.

Co do kontraktów najmu pracy wypada nam zaznaczyć, że kontraktów bezimiennych, objętych § 1173 ust. cyw., nie należy mięszać z rzymskiemi *contractus innominati*, jak to autor czyni na str. 226, albowiem według rzymskiego prawa kontrakty te były zawsze rzeczowemi t. j. istnieć poczynały jako kontrakty z chwilą, kiedy jedna ze stron, które przedtem zawarły ze sobą *pactum*, swoje przyrzeczenie, czyby obejmowało *dare*, czy *facere*, była wypełniła, kiedy według ustawy austryackiej kontrakty rzeczone, jako obustronnie obowiązujące, należą do rzędu kontraktów konsensualnych.

Omawiając kontrakt o *nakład dzieła* (str. 249), autor przy końcu (str. 257) skreślił pojęcie dzieła literackiego lub dzieła sztuki według ustawy o prawach autorskich z dnia 26 grudnia 1895, nie wdając się w inne szczegóły tejże ustawy, jako wkraczające w zakres prawa administracyjnego i prawa karnego.

W nauce o kontrakcie *pełnomocnictwa*, autor przez wyraz *Geschäft*, użyty w § 1002 ust. cyw., rozumie wszelkie działanie, połączone ze skutkiem prawnym, a więc to samo, co niemieccy prawnicy pojmują przez wyraz *juristische Handlung*, w przeciwstawieniu do *Rechtsgeschäft*, mającego ściślejsze znaczenie i odnoszącego się do takich czynności, przy których zamiar działającego wprost skierowany jest na zawiązanie, lub rozwiązanie pewnego stosunku prawnego. Autor na oznaczenie tego pojęcia ściślejszego używa wyrazu *akt prawny*, a pojęcie obszerniejsze określa wyrazem *czynność prawna*. Naszem jednak zdaniem, byłoby właściwiej, gdyby trzymał się był terminologii, przyjętej także w słowniku Akademii Umiejętności i tłómaczył wyrazy *juristische Handlung* słowami *działanie prawne*, a wyraz *Rechtsgeschäft* słowami *czynność prawna*. Trafne uwagi krytyczne względem § 1008 ust. cyw. umieścił autor na str. 266 w uw. 4.

Kontraktom losowym poświęca autor osobny dział (str. 301 do 331), ale na samym wstępie odróżnia dwa ich rodzaje, mianowicie umowy, mające wszelkie znamiona jednego z wyłuszczonych poprzednio kontraktów n. p. kupno nadziei, obowiązek do płacenia renty dożywotniej, do ubezpieczenia i t. p., które nazywa kontraktami z przydatkiem losowym, i kontrakty czysto losowe, do których zalicza zakłady, gry i losowania. Zdaniem jego powinny (pod względem systematycznym) kontrakty pierwszego rodzaju omówione być przy każdym typowym kontrakcie, do którego należą, ale ponieważ ustawione są w ustawie cywilnej z kontraktami drugiego rodzaju, przeto i on wyłuszczył je w tym samym dziale, który poświęcił kontraktom losowym w ściślejszem ich znaczeniu.

Mówiąc o ubezpieczeniu od szkód, autor (str. 314, uw. 5) nie widzi zasadniczej różnicy pomiędzy ubezpieczeniem spekulacyjnem, obliczonem ze strony ubezpieczajacego na osiągnięcie zysku i ubezpieczeniem wzajemnem, mającem na celu jedynie wzajemne ochronienie się od szkód. Jego zdaniem obydwa rodzaje dążą do zysku t. j. do osiągnięcia nadwyżki, ponad wypłacone szkody. Naszem jednak zdaniem zachodzi tu bardzo ważna i zasadnicza różnica. Przy ubezpieczeniu spekulacyjnem ubezpieczający ma niewątpliwie na celu osiągnięcie zysku, ubezpieczony ochronienie się od szkody, ale przy wzajemnem ubezpieczeniu, ubezpieczającym nie jest towarzystwo, jak to autor twierdzi, lecz każdy ubezpieczony. Towarzystwo odgrywa tylko rolę pośrednika pomiędzy wszystkimi ubezpieczonymi, będącymi zarazem ubezpieczającymi i stanowiącymi na taki sposób rodzaj spółki, do której każdy przystępuje przez swoje oświadczenie wobec towarzystwa. Cóżby bowiem w razie przeciwnym miało stanowić zysk i kto do niego miałby mieć prawo? Ubezpieczający płaci pewną zaliczkę (nie premię). Jeżeli się okaże, że wszystkie zaliczki nie wystarczą na wynagrodzenie poniesionych szkód, natenczas muszą ubezpieczający *pro rata parte* dopłacić to, czego brakuje. Gdyby zaś zaliczki wynosiły więcej, aniżeli wartość poniesionych strat, to się ubezpieczającym należeć będzie *pro rata parte* zwrot tego, co nad potrzebę zapłacili, co jednak z ich stanowiska żadną miarą stanowić nie będzie zysku, albowiem o nim wtenczas tylko mówićby można, gdyby tytułem zwrotów otrzymali więcej, jak wplacili, co jest rzeczą wprost niemożliwą.

W rozdziale II omawia autor *Stosunki obowiązkowe z czynności niedozwolonych* i wyłuszcza tu trudną i zawiłą naukę o wynagrodzeniu szkody. Jak wiadomo, ustawa austryacka stoi w tym przedmiocie na stanowisku dawniejszej teoryi, odróżniającej obowiązek do wynagrodzenia właściwej szkody (*damnum emergens—Schadenersatz)* i obowiązek do wynagrodzenia zarazem utraconego zysku (*lucrum cessans — volle Genugthuung*). Już z tego względu

trudno było autorowi wciągnąć do swoich wywodów nowsze pod tym względem teorye, które jednak ostatecznie dotąd do pomyślnego nie doprowadziły celu, zwłaszcza pod względem określenia zasady, na podstawie której w najrozmaitszych tego rodzaju przypadkach oznaczyćby można granicę, do jakiej wartość doznanej przez kogoś szkody, a więc i obowiązek do wynagrodzenia jej sięgać może. Autor oparł też swoje wywody głównie na ustawie i wyłożył cały przedmiot także pod względem systematycznym w porządku, przyjętym w ustawie.

Mówiąc o ubezpieczeniu robotników od przypadków, słusznie przestrzega na str. 384 w uw. 19, aby wyrazu *przypadek* nie mięszano, jak to niestety u nas i w potocznej mowie i w dziełach literackich i w dziennikarstwie bardzo często się dzieje, z wyrazem *wypadek*, mającym to samo znaczenie, co *wynik* (*Erfolg*), a nie oznaczającym bynajmniej tego, co wyraz niemiecki *Fall*.

Rozdział III przeznaczony został do wyłuszczenia reszty szczegółowych stosunków obowiązkowych, które w poprzednich dwóch rozdziałach miejsca znaleźć nie mogły. Naprzód omawia tu autor sprawowanie obcych interesów bez zlecenia (*negotiorum gestio*), z których według pojęć rzymskich zobowiązanie powstać miało *quasi ex contractu*. Następnie mówi o użyciu rzeczy na korzyść drugiego (*versio in rem*) i upatruje różnicę pomiędzy rzymską *actio de in rem verso* i skargą z § 1041 ust. cyw. w tem, że skarga rzymska uzasadnioną była w nieusprawiedliwionem wzbogaceniu, kiedy według prawa austryackiego pokrzywdzony przeciwnika skutecznie pozwać może, chociażby ten korzyść osiągniętą był utracił, a więc w czasie skargi już nie był wzbogacony. Jednakże i prawo rzymskie nie wymagało tego, iżby pozwany w chwili wniesienia skargi miał jeszcze w ręku to, czem się wzbogacił, wystarczało, jeżeli przedtem skutkiem t. zw. *versio in rem* faktycznie się był wzbogacił, czyli jaką korzyść majątkową odniósł, n. p. pieniądze pożyczone przez syna lub niewolnika swego odebrał (por. *l. 10 § 7 D. de in rem verso 15, 3*, szczególniej *l. 17. D. eod.*).

W końcu przytacza autor w powyższym rozdziale inne szczegółowe przypadki niesłusznego wzbogacenia się, omawia więc te stosunki obowiązkowe, w których według prawa rzymskiego miały zastosowanie rozmaite *condictiones* (w ściślejszem znaczeniu, jak *condictio indebiti, sine causa, causa data non secuta, ob iniustam causam, ob turpem causam*).

Przy drugiem wydaniu wypadnie dokładnie porównać przytoczone przez autora liczby paragrafów ustawy cywilnej, gdyż tu nie raz zdarzyły się pomyłki n. p. na str. 371 w uw. 2 i 4 zamiast §§ 1411, 1412, 1413 powinny być przytoczone §§ 1311, 1312, 1313, na str. 399 w uw. 14 zamiast § 1479, § 1489.

Prof. Dr. F. Zoll.

— Dr. Henryk Jordan: *Towarzystwo tanich mieszkań dla robotników katolików w Krakowie.* (Nakładem autora, Kraków, 1898). — Wielki dobroczyńca Krakowa, któremu miasto nasze zawdzięcza zdrowie i krzepkość dziatwy, zaprawianej w fizycznych ćwiczeniach i roztropnej a swobodnej zabawie, przykłada dziś ofiarną i uczynną rękę do innego dzieła, nie mniej żywotnego, nie mniej doniosłego. Sprawa to tanich mieszkań dla robotników, sprawa z wielu względów piekąca i paląca. Przedewszystkiem w miarę rozszerzania się i podnoszenia miast, nikną stare domy i domki o przystępnych dla uboższych warstw mieszkaniach, aż pozbawieni takowych biedni lokatorowie coraz dalszych i lichszych szukają zachron, byle się zbytecznie nie oddalać od środowiska zawodowych zajęć i zarobku. Zkądinąd owe strychy i piwnice stanowią istne wygrzewalnie moralnych i fizycznych zaraz, gdzie rosną w zatrutej atmosferze zwyrodniałe i wyradzające się coraz dalej pokolenia, a niebywała śmiertelność dziesiątkuje ubogą ludność. Wszędzie dziś znaczą się usiłowania podjęte w tym kierunku, oraz i studya próbujące zbadać kwestyę mieszkań roboczych. Streścił je poniekąd prof. dr. H. Jordan w krótkiej, lecz ścisłej i ciekawej nad wyraz rozprawie, w której skondensował wyniki zagranicznych badań, oraz postulata chwili obecnej i na gruncie naszych stosunków. Przypomniał zdanie francuzkiego ekonomisty Blanqui, który mawiał na podstawie długoletniego doświadczenia, „iż niezdrowe mieszkania są punktem wyjścia wszystkich występków i wszystkich nieszczęść społeczności robotniczej“. Dalej dr. Jordan zestawił statystyki śmiertelności, statystyki zbrodni, podnoszące się i opadające w stosunku do mieszkań, w których się gnieździ ludność uboga.

Oczywiście krótka rozprawka nie wyczerpuje przedmiotu, ale posiada wszelkie dane, aby doń żywo zainteresować. Któż z nas nie wejrzał w te nory, w których się chronią całe kolonie nieszczęśliwych, mieszkających „kątem“, kto nie zstąpił w te istne jaskinie, gdzieby i zwierzętom było źle, a których dotąd nie brak w dawniejszych miasta dzielnicach? Wobec smutnej rzeczywistości, grono ludzi dobrej woli zawiązało Towarzystwo na wzór podobnych zagranicą humanitarnych przedsięwzięć i przystąpiło do budowy tanich mieszkań dla robotników. Sypnęły się hojne dary, żeby tylko wspomnieć ofiarność hr. Andrzeja Potockiego i dzielną pomoc Kasy Oszczędności miasta Krakowa. Ale w takich rzeczach, jak bodaj w każdym objawie miłości bliźniego, poszczególne, choćby najobfitsze, nie rozstrzygają ofiary, potrzeba wspólności działania i zainteresowania całego społeczeństwa, u nas niestety opieszałego i obojętnego wobec zagadnień socyalnych. Chcąc tedy zwalczyć ową obojętność, przezwyciężyć opieszałość, która na pierwsze wezwanie przeważnie nawet odpowiedzi nie dała, dr. Jordan rozesłał swą prze-

dziwną książeczkę, która nad inne głosy winna przełamać lody i zyskać „Towarzystwu tanich mieszkań“ co najwięcej członków i uczestników. Przemawia on potężnym głosem cyfr, ale do suchości ich zestawienia tyle przydaje miłości, że chyba każdego czytelnika przekona o obowiązku przystąpienia do humanitarnego przedsięwzięcia, które nawet nie przedstawia się jako bezwzględna ofiara, lecz jako pewne, acz skromne umieszczenie kapitału. Takbyśmy pragnęli widzieć ogólne zainteresowanie poruszoną w książeczce dra. Jordana sprawą, takbyśmy chcieli przekonać nasze społeczeństwo, iż o powodzeniu podobnych dzieł nie rozstrzygają pojedyńcze, znaczniejsze datki, lecz raczej upowszechnienie drobniejszych, z których to rosną olbrzymie fundusze miłosierdzia i dobroczynności we Francyi. Mało kto dać może 20.000 reńskich, ale wielu się chyba zdobyć potrafi na 25 fl., czyli jeden udział „Towarzystwa tanich mieszkań“. Daj Boże, aby głos dra. Jordana wszędzie trafił, wszędzie gotowe wywołał echo. Świeżo biskup z Nancy, mgr. Turinaz, w trzech rozprawkach, drukowanych w *Le Correspondant,* wyjaśniał właściwe powody biedy klas robotniczych. W gwałceniu niedzieli, przez co znika rodzinne życie, w alkoholizmie i nieładzie brudnych pomieszkań, gorliwy biskup upatrywał główne powody niedoli i zubożenia robotników. Szynk od razu pochłania tych, którym źle w domu. O to tedy chodzi, aby zabezpieczyć pracującej ludności ciepłe, czyste, uszlachetniające ognisko. Do tego nas wzywa w pełnej logiki, jasności i zapału świętego rozprawie dr. Jordan, a jeśli kiedy sprawdziło się słowo, iż dobra książka równa się nieraz dobremu uczynkowi, to na tej drobnej, ale przedziwnej książeczce. *N.*

— X. Jan Gralewski: *Przygotowanie do pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej.* (Warszawa, 1898, str. 359). — Cenna ta książka może oddać wielkie usługi nietylko kapłanom, ale też rodzicom i nauczycielom domowym, zajmującym się przygotowaniem dziatwy do Sakramentów świętych. Zawiera ona w części pierwszej, nauki dość obszerne, a dla umysłów dziecięcych przystępne, o miłosierdziu Bożem, o Bogu Stworzycielu, o grzechu pierworodnym, o Zbawicielu, o grzechu uczynkowym i skutkach grzechu śmiertelnego, o grzechu powszednim, o łasce Boskiej, o Sakramencie pokuty, rachunek sumienia; w drugiej zaś części o cnocie wogóle, o Sakramentach Chrztu i Ołtarza, o obrzędach Mszy św., o przygotowaniu bliższem do Komunii św., o dziękczynieniu i urządzeniu życia po niej. Wykład autora jest jasny i pełen życia, wysłowienie poprawne; nie brak też dobrych przykładów, zaczerpniętych z dziedziny dzieciom znanej.

Jednakowoż nauki te są po większej części zbyt długie i nie można im przyznać wszystkich zalet, jakie powinny po-

siadać utwory homiletyczne pod względem kompozycyi i wysłowienia. Szczególnie w zakończeniu trzeba unikać ogólników, nie czyniących wrażenia, jak n. p.: „Zrzeknijcie się złych obyczajów, zrzeknijcie się wad swoich, zrzeknijcie się tego wszystkiego, co w was bywa ganione, karcone, karane“ i t. d. (str. 22). Gdzieniegdzie używa też autor wyrażeń trywialnych i wypowiada myśli, nie licujące z powagą przedmiotu; tak n. p. czytamy na str. 26 o ziemi, która „wyglądała jakby piłka“; „ale cóż robić z taką piłką? Nie było dzieci, któreby się nią bawiły“. Na str. 59: „A Pan Jezus czy mówi: przepraszam Mamusię?“ Na str. 98: „Zaraz buch! na kolana, co Mamusia każe?“..... „Dziobek do góry“. Rażą nas także wyrazy obce, jak „oryentować się“ (str. 101), „pretensya“ (str. 249), „komfort“ (str. 255). W innych miejscach brak pożądanej dokładności i ścisłości; nie można n. p. nazwać „złodziejem“ dziecka, które „nie szanuje rzeczy sprawionych mu przez rodziców“ (str. 164); „szlachetna emulacya“ nie jest „godziwą zazdrością“ (str. 176); posłuszeństwo nie jest „pokorą ciała“ (str. 303). Nie możemy się także zgodzić na zdanie, że „komunikować duchowo, to znaczy zazdrościć świątobliwie kapłanowi i tym, którzy Komunię św. wraz z nim przyjmują“ (str. 311), ani na wyrażenie: „zamknął swój Duch“ (str. 251). Na str. 130 twierdzi autor mylnie, że „serdelki (rybki) łamią post“.

Są to jednak drobne usterki, które mogą być usunięte z łatwością w drugiem wydaniu. *X. dr. A. P.*

— *Joseph Arch. The story of his life, told by himself,* edited with a preface by the Countess of Warwick. (London, Hutchinsen, 1898. str. 406 wielk. 8). — Trudno o większe, o jaskrawsze przeciwieństwo imion, jak te dwa, które stają przed czytelnikiem na tytułowej karcie tej wyjątkowo interesującej książki. Józef Arch, to proletaryusz wiejski, to rewolucyjny agitator, którego imię jako organizatora Unii robotników wiejskich stało przez długie lata jako postrach przed społecznością angielską, to jeden z najenergiczniejszych zapaśników emancypującej się demokracyi. Gdy dzisiaj u schyłku długiego życia, zdumiewającemi uwieńczonego tryumfami, wieśniak ten zabrał się do opowiedzenia jego przebiegu, przedstawiony jest publiczności przez hrabinę Warwick, dziedziczkę wielkiego historycznego rodu, właścicielkę najwspanialszej rezydencyi i ogromnego majątku, kobietę ogólnie uznaną za najpiękniejszą, najwykwintniejszą damę wielkiego świata. Wiejski domeczek, w którym Józef Arch rozpoczął i kończy swe życie, leży na gruntach i nieopodal od zamku hr. Warwick, ale to sąsiedztwo, jeżeli zawiązało osobistą znajomość pomiędzy proletaryuszem a wielką damą,

to nie było wystarczającem do umotywowania interwencyi tej ostatniej. Powód do niej leży gdzie indziej i przemawia, lepiej niż jakikolwiek inny, na korzyść arystokracyi brytańskiej. Rozumie ona, lepiej niżeli na stałym lądzie, jak otwierać śluzy napływowi fali ludowej, jak przez w porę uczynione ustępstwa zażegnać rewolucyjne zamachy, jak okazać szacunek postępowym agitatorom, gdy na szacunek zasługują. Hrabina Warwick bez najmniejszego kastowego uprzedzenia wyraża zdanie, że narodowa Unia wiejskich robotników była przedsięwzięciem znakomitem w swem poczęciu, postępie i spełnieniu założonego sobie celu i że zasługuje tem bardziej na poczestne miejsce w społecznej historyi Anglii, iż nigdy nie przekroczyła granic legalnych. Ten wiejski parobek, który sam i bez żadnej zrazu pomocy przedsięwziął polepszyć byt i stanowisko ekonomiczne całej warstwy wiejskich wyrobników i który celu tego dopiął, jest w jej oczach osobistością, dobrze zasłużoną narodowi. Gdy wielki duchem kardynał Manning, przed ćwiercią wieku wpośród niezakończonej jeszcze walki, stanął po stronie Józefa Arch, tłómaczono to sobie, jako nadmiar chrześciańskiego miłosierdzia i byli niedołędzy, co sarkali na „socyalizm“ purpurata. Gdy dzisiaj z obozu, któremu agitator ludowy rzucił był rękawicę, podnosi się głos bezstronny i wytrawny w jego obronie, to świadczy to o wysokim duchu sprawiedliwości, zarówno jak o politycznym rozumie klasy uprzywilejowanej angielskiej. Przy końcu swych pamiętników, Józef Arch przemawia już nie jak rewolucyonista, ale przewiduje zbliżające się pojednanie warstw społecznych i żałuje, że nie będzie mu danem ujrzeć tej wielkiej dziejowej chwili. „Ale widzę już jej brzask. A zapowiedzią tego pojednania, jego symbolem jest imię tej znakomitej i szlachetnej damy, która posunęła swą bezstronność aż do wydania życiorysu mego. Tak, to jest wskazówką, że zbliża się chwila Unii, gdy książę, lord i chłop będą działać zjednoczonemi siłami dla indywidualnego i dla powszechnego dobra!“ Takie wyznanie wiary jest nagrodą, najwyższą jakiej pragnąć mogła, dla arystokracyi gruntowej angielskiej.

Od kilku generacyj Archowie żyli w sferze zamku Warwick; dziadek i babka jako dozorcy parku uciułali mały kapitalik (30 ft. szt.) i na stare lata zakupili mały *cottage* z ogrodem i kilku zagonami w sąsiedniej wsi Barford. Matka Józefa była praczką w zamku i musiała być kobietą wyższego charakteru i umysłu, skoro syn, dzisiaj 72-letni starzec, przyznaje z dumą, iż jej zawdzięcza swą wartość moralną. Jest on także dumny, że jego rodzinny zakątek, groby jego pradziadów, leżą w hrabstwie Szekspira, w sercu kraju. To poczucie godności osobistej, to solidaryzowanie się z kilku pokoleniami swych przodków wieśniaków, sympatycznie uprzedza doń czytelnika. Położenie jego osobiste jako syna małego właściciela *freehold'u*,

było uprzewilejowanem wobec całej rzeszy wieśniaczej, która nieposiadała własnego dachu nad głową, mogła być wyrzuconą w każdej chwili przez właściciela z chaty, jaka nieraz, jak przyznaje Lady Warwick, właściwszą była jako chlew dla trzody aniżeli mieszkanie dla ludzi, a mimo tego była dla wieśniaczej rodziny dobrodziejstwem. Byt tej klasy, przy drożyznie chleba, przy racie zarobku nadzwyczaj niskiej, przy braku wszelkiego wykształcenia i wszelkiej organizacyi, w zupełnej zależności od rządców i ekonomów magnackich włości, był opłakanym nad wyraz. Józef wychowywał się i wzrastał w atmosferze ponurej i ciężkiej. Czasy były trudne a cła zbożowe spadały kamiennem brzemieniem na lud wiejski; ojciec jego nie mógł całemi miesiącami znajdować zarobku i głód panował w chacie. Ale podczas gdy inni wyrobnicy żyli z kradzieży brukwi, u nich były własne jarzyny. Trudność ich materyalnego położenia była następstwem złych stosunków, istniejących pomiędzy pastorem miejscowym a jego rodzicami. Dzieci nie uczęszczały do szkoły i matka kształciła je, czytając im Biblię i Szekspira. Na tych dwóch wielkich księgach ukształtował się umysł Józefa, ale nie mógł poświęcać im dużo czasu, bo już jako 9-letni wyrostek zarabiał po 4 pensy dziennie, najmując się do różnych robót wiejskich. Na te lata mozolnej pracy, upstrzonej batogiem i niewystarczającym do zaspokojenia apetytu kęsem jęczmiennego chleba, spogląda on z zadowoleniem: miał na okół piękną przyrodę, niebo błękitne, kąt własny, gdy wracał wieczorem, uścisk matki i książkę, którą pochłaniał. Rósł w lata i siły, idąc za pługiem, a umysł jego wybujały wcześnie kazał mu spoglądać na duchowieństwo anglikańskie i na *farmerów*, jako na ciemiężących jego klasę nieprzyjaciół. Miał lat 16 gdy stracił matkę, ale był już dojrzałym człowiekiem o energicznej woli wyrobienia sobie niezależności. Przyswajał sobie jedne po drugiej specyalność rolniczej pracy; przy młóceniu zarabiał $1 \frac{1}{2}$ shillinga dziennie, a wyuczywszy się strzyżenia żywopłotów, oddzielających jedne grunta od drugich, taką zdobył sobie reputacyę, że wkrótce został powoływany do okolicznych miejscowości. Jako żniwiarz miał pod swą komendą 25 parobków, z którymi zawierał przedsiębiorstwa w różnych stronach. W ten sposób zapoznał się ze stosunkami rolniczemi w większej części kraju i przekonał się, jak ciężkim i beznadziejnym był los ludności wiejskiej. Upadła pod brzemieniem, ale nie wiedziała, jak swój byt polepszać. I on także nie wiedział, jak im poradzić; myśli jego rozwijały się i dojrzewały powoli. Tymczasem, mając 22 lat, ożenił się z prostą wiejską dziewczyną, porządną, dobrą gospodynią i matką potem siedmiorga dzieci, której jednak było daleko do wykształcenia, jakie znamionowało jego matkę. Ta żona, o której mówi z pobłażliwem lekceważeniem, nie gra w jego

życiorysie wybitnej roli i widać wszędzie, że Józef Arch nie uważał jej za osobę równego sobie duchowego polotu.

Aż do 1870 r. życie jego płynęło w sferze niestrudzonej pracy rolniczej, w uganianiu się za zarobkiem, w wychowywaniu swej dziatwy, w sporach z pastorem i *farmerami;* przeciw nim stawał on zawsze w obronie wyrobników wiejskich, i łatwo zrozumieć, jakiej powagi i jakiego wpływu zażywać musiał u swych towarzyszy. Do niego udawali się w każdej złej doli po radę i po opiekę. Stopniowo i nieznacznie stawał się naturalnym przywódcą wiejskiego ludu w hrabstwach środkowej Anglii.

Opowiada szczegółowo w swych pamiętnikach, jak się zdarzyło, że w 1872 r. wyrobnicy wiejscy z jego okolic przyszle do niego po radę, jak się wziąć do rzeczy, ażeby podnieść swój tygodniowy zarobek z 12 shillingów do 16. Nie było większem ich życzenie, a trzeba było długich lat propagandy i agitacyi, aby tę ratę zarobkową wywalczyć. Józef Arch, który wtedy liczył 46-ty rok życia i był we względnym dobrobycie, uczynił istotną ofiarę ze swego spokoju, oddając cały swój czas i energię na usługi swych towarzyszy. Na polu, pod cieniem rozłożystego dębu, zbierali się pierwsi agitatorowie. Ich wybrany przywódca wymagał od nich jednego tylko zobowiązania, mianowicie, ażeby ruch nigdy nie przekroczył granic legalnych, ażeby wyrobnicy nie dopuszczali się, pod naciskiem prześladowań i nędzy, podpalań, rabunków i zbrodni. Gdy *farmerowie* odmówili podnieść ratę zarobku z 8 i 12 shillingów, wyrobnicy zaprzestali pracować. W pierwszym miesiącu zapisało się na członków Unii zaledwie 200 robotników w całem hrabstwie Warwick. W programie *Agricultar Labourers Union* postawiono podniesienie tygodniowego zarobku wyrobnika wiejskiego do minimalnej sumy 16 shillingów, ulepszenie domów, do których miały być dodane ogrody i parę zagonów roli. Każdy członek Unipłacił przy wpisaniu się do niej 6 pensów i stale 2 pensy tygodniowo. Zebranemi pieniądzmi Unia podtrzymywała robotników, którzy nie mogli znaleźć zarobku i podtrzymywała emigracyę do kolonij. Unia pozyskała odrazu poparcie u różnych warstw społecznych i sypały się do niej takie datki, iż robotnicy bez zarobku otrzymywali 9 shillingów tygodniowej zapomogi. Powodzenie wzrastało, ośm hrabstw środkowej Anglii stanowiło wkrótce jądro związku, i nim dwa lata upłynęło, liczyła Unia 50.000 uczestników. Prześladowania i procesy nie złamały biernego oporu wyrobników; gospodarze wiejscy znajdowali się w bardzo trudnem położeniu, nie znajdując robotników. Józef Arch przejechał Anglię od jednego końca do drugiego wzdłuż i wszerz, miewając codziennie przemowy do wyrobników, podtrzymując ich energię i zachęcając do wytrwałości. Ofiary publiczne wzrastały po każdej jego mowie. W Manchester w 1875 r. subskrypcye wyniosły 3.000 ft. szt. W roku tym liczba człon-

ków Unii, podzielonej na 1368 gałęzi, wynosiła 58.600, a dochód roczny 23.130 ft. szt. Każdy rok znaczył nowy postęp, ale *farmerowie* ciągle jeszcze wzdragali się dawać robotę członkom Unii, choćby drożej płacąc innych wyrobników. W 1881 r. Unia rozciągała się już na 22 hrabstw i nabrała takiego znaczenia, że Parlament wziął się do ustawodawstwa dla tej dotąd wydziedziczonej warstwy społecznej. Owocami tej prawodawczej akcyi był *Alotment Act* z 1882 r., który położył podstawę drobnej wiejskiej własności, i *Franchise Act* z 1884 r., dający prawo głosowania 2,000.000 wiejskich mieszkańców.

Data ta jest *Magna Charta* rolniczej Anglii. Lud wiejski otrzymał teraz swe równouprawnienie, i natychmiast opór ekonomiczny *farmerów* i wielkiej własności się rozwiał. Rata zarobku tygodniowego podniosła się do 16 shillingów, a często za dobrowolną umową jest nawet większą. Nędza i opłakany stan warstw wyrobniczych zniknęły. Ostatniem słowem tego emancypacyjnego ruchu było ustanowienie rad wyborczych w każdej parafii.

Byłoby przesadą utrzymywać, że ten olbrzymi przewrot i całe to dzieło reformy dokonane zostało wyłącznie przez Józefa Arch, ale uważany być on może jako jego inicyator i apostoł. Od 1885 r. z małemi przerwami zasiada on w Izbie gmin jako deputowany hrabstwa Norfolk, w którem położone są dobra księcia Walii, ten zaś zawsze za nim głosował. Stosunki pomiędzy następcą tronu a emancypatorem ludności wieśniaczej są uprzejme, i niedawno, goszcząc w zamku Warwick, odwiedził go książę w jego domku. Józef Arch, choć członek Parlamentu, jest zawsze prostym wieśniakiem. Majątku nie ma osobistego; komitet wyborczy zbiera subskrypcye na opędzenie kosztów kampanii wyborczej, a podczas sesyi otrzymuje on tygodniowe dyety 4 ft. szt. od swego hrabstwa. Jest to postać oryginalna, jaką tylko społeczność angielska wydać może. Głęboka wiara religijna, podniosły ideał moralny, troska o dobrobyt materyalny, wstręt do socyalistycznych utopij, wysokie poczucie osobistej godności i równouprawnienia klas społecznych, stanowią znamienne jego cechy. Jego Pamiętniki, napisane bez żadnych pretensyj literackich, dźwięczą przeświadczeniem o oddanych społeczeństwu usługach. Do szerokiego też zastępu biografij, któremi piśmiennictwo angielskie chlubić się może, ta autobiografia wieśniacza dodała nutę nową i znaczenia pełną. *R. P.*

— *Progressive Philantropy.* 54-th Annual Report of the New York Association for Improving the condition of the Poor. (Central offices, New York City). — Wspomnieliśmy tu już, iż *Przegląd* nasz obecnie wstąpił w okres międzynarodowych stosunków. Nadesłanie z Nowego Yorku 54 go sprawozdania z czynności tamecznych stowarzyszeń dobroczynnych, adresowanego *to the Editor of the Przegląd Polski*, wymownie świadczy o roz-

szerzonej pisma naszego powadze, a jednocześnie podaje nam sposobność wejrzenia w mechanizm amerykańskiej filantropii, pod względem praktyczności dostarczającej najdoskonalszych wzorów. Są zresztą poglądy, które w danej chwili nurtują w ludzkości całej, bywają prądy, których dreszcze po obu stronach oceanu odczuwać naraz przychodzi. Przed kilkoma miesiącami, znakomity pisarz francuski, współpracownik *Revue des deux Mondes*, p. Jerzy Goyau, zastanawiał się nad postępem idei organizacyi we wszystkich ludzkich usiłowaniach, a przedewszystkiem w zakresie miłosierdzia. Piękna rozprawa zatytułowana: *Des progrès de l'idée d'organisation*, stanowiła ozdobę piękniejszej jeszcze książki, noszącej skromny a wiele mówiący tytuł: *Autour du catholicisme social*. Autor zastanawiał się głównie nad ośmioletnią działalnością Centralnego Biura dobroczynności paryskiej, które mnóstwem dostarczonej informacyi pozwala ochotnym dobroczyńcom prawdziwie dobrze czynić, zamiast trwonić na marne jałmużn zbyt często wydzieranych ubogim przez żebraków. Identycznie te same hasła odnajdujemy w roczniku amerykańskim, gdzie skupienie przeróżnych dzieł miłosiernych dokoła wspólnych ognisk i ześrodkowanej sieci dobroczynności w centralnych biurach. Warto zaczerpnąć nieco wskazówek z suchego na pozór sprawozdania, zwłaszcza dla użytku tych ludzi dobrej woli, których u nas nie braknie, lecz którzy folgując silnemu polskiemu indywidualizmowi, zbyt często udaremniają lub osłabiają działanie chrześciańskiego miłosierdzia, rozdrobnieniem kierunków i niezależnością poszczególnych instytucyj, które stokroć więcej mogłyby wydać plonu sprzężeniem dłoni i sił ku wspólnemu celowi poprawy losu nieszczęśliwych.

Zaraz w pierwszej sekcyi amerykańskiego sprawozdania iście złote znajdujemy słowa, obok zupełnie niesłusznej i wstrętnej napaści na średnie wieki i ówczesną formę miłosierdzia, kiedy ukochaniem ubogich członków Chrystusowych chyba ów okres dziejowy stoi wyżej nad wszystkie inne. Kiedyś, przełożony generalny Sióstr Miłosierdzia i Missyonarzy Lazarystów, X. Etienne, widział sobie przedstawione dzieła slawnej miss Florence Nightingale, opatrzności żołnierzy angielskich w czasie morderczej wojny krymskiej. Podziwiał urządzenia i poświęcenia jej towarzyszek, atoli rozpatrzywszy się dokładnie w całej sprawie, zauważył, iż widzi doskonałą machinę, wyborne sprężyny, wprawione w ruch koła i kółeczka, nie może tylko dopatrzeć się pary, którąby tem wszystkiem obracała, tej siły gorącej wiary, gorętszej jeszcze miłości Boga, którąby potęgowała przyrodzoną litość dla nieszczęśliwych i udzielała pożądanego namaszczenia całemu mechanizmowi dobroczynności.

I tej to pary trudno się dopatrzeć w sprawozdaniach amerykańskich; atoli jest tam tyle dobrej woli, tyle zmysłu prak-

tycznego, że warto przyjrzeć się po kolei głównym działomześrodkowanego w Nowym Yorku miłosierdzia.

Przedewszystkiem w sekcyi traktującej o doraźnej pomocy i jałmużnie, odnajdujemy wiecznie wspomnianą już skargę na okradanie ubogich przez żebraków: „Zbyt często przepatrzeć przychodzi biednego, który ręki nie wyciąga, aby wspomódz żebraka, który na pomoc nie zasługuje, ani też jej nie potrzebuje“. I tu znajdujemy słuszną uwagę, że bieda prawdziwa się nie narzuca zgoła, owszem że trudno nieraz przychodzi ją odszukiwać. „Najnieszczęśliwsi zwykli kryć się ze swą niedolą, umieją cierpieć w milczeniu. Inni, zwątpiwszy o ratunku, wcale się o takowy nie upominają; inni jeszcze, zwłaszcza po większych miastach, identyfikują miłosierdzie z policyą, lękają się mniemanych dochodzeń co do własnej przeszłości, bodaj opanowania czy opodatkowania przyszłości, zaczem wymykają się dobroczynności, wietrząc wrogie zamiary nawet ze strony ludzkiego współczucia“. Dziś pomoc przedewszystkiem w kształt zarobku i pracy się obleka. Oczywiście, kiedy człowiek przymiera głodem, przedewszystkiem trzeba go pożywić. Niech się naje do syta, a następnie do roboty się zabierze. Stowarzyszenie, udzieliwszy koniecznej w danym razie pomocy, krząta się za zarobkiem dla swego klienta i takowego mu dostarcza, opuszczając go natychmiast, jeśli się przekona, że nie wart pomocy, bo pracować nie chce. „Człowiek, co nie pracuje, co pracować nie chce, choć ma ku temu sposobność, wart jest, aby go karząca ręka sprawiedliwości dosięgła“. Oczywiście, jeśli choroba powodem bezrobocia, doraźne jałmużny niosą pomoc nieszczęśliwym, niezdolnym na utrzymanie rodziny zapracować.

Ale jakże często o zarobek i zajęcie trudno! Otóż nowa znów sekcya ogólnego związku dzieł miłosiernych głównie się zajmuje sprawą wyszukania zarobku dla nieszczęśliwych, dotkniętych tem najstraszliwszem nieszczęściem.

„Bo czyliż może być straszniejsza nad tę niedola? — pisze sprawozdawca. — Ojciec rodziny wraca do domu, wyczerpnięty z sił i z otuchy. Niby ma on sobie przyobiecany zarobek, ale go się doczekać nie może. Tymczasem odłożone na książeczkę oszczędności topnieją, drobne kosztowności i sprzęty idą na lombard lub do handlarza, w końcu nawet pościel, nawet kolebka dziecięcia musi być zastawioną lub sprzedaną. A zarobku jak niema, tak niema. Czy wiesz, czem głód? Czy wiesz, czem bezrobocie? Czyś zakosztował kiedy uczucia i wrażenia opuszczenia, niesprawiedliwości, nierówności losu, błąkając się po mieście, gdzie jest tyle roboty, a dla ciebie miejsca niema i zarobku niema! Niech Bóg się ulituje nad tymi, którzy szukają pracy, a którym nikt takowej dostarczyć nie chce!“

Otóż osobny komitet zakreślił sobie zadanie wyszukiwania zarobku dla tych najnieszczęśliwszych, *Disoccupati*, których Ada Negri opiewa w płomiennym wierszu:

Sacro diritto a la fatica ho anch' io.

(„Wszakci i ja mam prawo święte do trudu!“)

Otóż półczwarta tysiąca ludzi udało się komitetowi zaopatrzyć w pracę i stały zarobek w ciągu ostatniego roku, a już półtora tysiąca w pierwszym kwartale bieżącego roku podobne za jednakiem pośrednictwem otrzymało dobrodziejstwo. A chyba robotnicy, poleceni przez komitet dobroczynności, większe wzbudzić mogą zaufanie od tych, których agenci po szynkach werbują?

Zamieniając na pieniądze podaną w formie zarobku pomoc, można orzec, iż przedstawia ona kwotę mniej więcej 5000 dollarów, zapracowanych przez owych 3524 ludzi, którym komitet w 1897 r. dostarczył zajęcia.

Ciekawie się przedstawiają księgi biurowe komitetu: najwięcej się doń zgłosiło parobków folwarcznych i rolników, dalej węglarzy, woźnych, stróżów, uczniów kupieckich, ba nawet malarzy, fotografów, nauczycieli, zecerów i t. p. Najtrudniej przychodzi umieścić ludzi starszych, których siwe włosy zbyt często odtrącają od zarobku, do którego sił im jeszcze starczy. Zaczem gdy na tabeli wieku spostrzegamy, iż między 20-ym a 40-ym rokiem życia, komitet znajdował robotę i zajęcie dla każdego niemal aplikanta, im dalej w lata, tem trudniej i rzadziej znajduje się stały zarobek dla starszych robotników. A w statystyce narodowościowej spostrzegamy, że i Polacy się do dobroczynnego zgłaszają biura, choć bodaj nie dość często, skoro zaledwie trzech z nich otrzymało posady za pośrednictwem komitetu, który 952 Niemcom a 914 Irlandczykom dostarczył zajęcia.

Osobne a poczestne miejsce w dorocznem sprawozdaniu przyznanem zostało wielkiej fundacyi rodziny Hartley, na uczczenie długoletniego generalnego agenta nowojorskich związków dobroczynnych, Roberta Hartley, którego portret zdobi niniejsze wydawnictwo. Kompleks domów, noszący miano *Hartley-House*, pozwolił rozwinąć się przewodniej idei, nurtującej oddawna pośród przyjaciół nowojorskiego ubóstwa, a mianowicie, „że gdyby mieszkania ubogich były przyjemniejsze i wygodniejsze, mniej byłoby powodów do kłótni, niezgód i zepsucia, mężowie mniej by uciekali do szynków, kobiety mniej też kosztowały opuszczenia i niedoli, że większem szczęściem w domu zapobiegłoby się skutecznie summie złego w społeczności“. Jeśli życie rodzinne stanowi o losie narodu, słusznem też jest zdanie, iż szczęście rodzinne bywa podstawą narodowego dobrobytu. Biskup z Nancy, Mgr. Turinaz, nawiązuje obecnie w czasopismie *Le Correspondant* złą dolę rzemieślników dla trzech mianowicie przyczyn: zanie-

chanie święcenia niedzieli, co okrom przekroczenia prawa Bożego, i życiu rodzinnemu zadaje cios śmiertelny, plagi alkoholizmu, nareszcie nieładu i zaniedbania domowych porządków w mieszkaniach ubogich. Tu dwa czynniki, mianowicie pod ostatnim względem, skutecznie i rozstrzygająco oddzielićby mogły. Przedewszystkiem należałoby kobiety wyuczyć porządku i staranności domowej, a w drugim rzędzie bezpośrednio działać na warstwy ludowe cywilizującemi wpływami sfer wykształceńszych. Temu dwojakiemu hasłu odpowiada Hartley-House. Fundacya rozszerzona coraz to nowemi zapisami, najczęściej spowodowanemi jaką stratą serdeczną, bo w Nowym zarówno jak i w starym świecie krzyże cmentarne zwykły zakwitać miłosierdzia kwiatem, powstała w dzielnicy najuboższej miasta, dla bezpośredniego stykania się z tymi właśnie, dla których przeznaczoną została. Co więcej: do stałego zarządu przybrano całą służbę ochotniczą, na wzór angielskich *settlements*, ludzi dobrej woli, którzy bądź na jakiś czas zamieszkują w miłosiernej przystani, bądź też codziennie, co tygodniowo, lub w pewnych oznaczonych terminach, dobre chęci swoje i siły i talenta oddają palącej sprawie poprawy losu ubóstwa, przystępują czynnie do nowojorskiego związku *for improving the condition of the poor*.

Najpierwszym celem Hartley'owskich zakładów było wytworzenie czegoś na kształt zakopiańskiej w Kuźnicach szkoły, kędyby ubogie dziewczęta mogły się nauczyć, jak ciasne mieszkanko ładnie i schludnie utrzymać, nie tylko dla siebie, lecz ze względu na ojców, mężów, synów i braci, gdzie wprawiłyby się w sztuce taniej i zdrowej kuchni i posiadłyby zmysł spotęgowania szczupłych środków, dla wygody a nawet i ozdoby najbiedniejszego mieszkania czy rodziny. Czysto umyta podłoga, starannie wybielone ściany, ładnie zawieszony obrazek, składać się gotowe na całość przyjemną i miłą. „A jak pospolite ramy i brudne otoczenie, wytwarzać zwykły pospolite dusze i brudne charaktery, tak pewna staranność i skromna wykwintność gotowe uszlachetnić serca i życia". Przedewszystkiem zaś skuteczne działanie dobrowolnych osadników wpłynąć musi dodatnio na stosunki społeczne i zciszyć waśnie kastowe. „Ileż bo dobrego wypłynąć gotowo ze zbliżenia tych, co mają czas na wykwintność i kulturę, do tych maluczkich, którzy nie znają nic i nikogo po za granicami własnej, wydziedziczonej dzielnicy! Gdy małe dzieci spakowane są w ciasnej izdebce, bez towarzyszów zabawy, bez swobodnie uśmiechniętej matki, z ojcem pijakiem, w warunkach codziennego niedostatku, bez żadnego zajęcia okrom wałęsania się od rana do zmierzchu po brudnej ulicy czy brudniejszem podwórku, bez żadnego dodatniego wpływu, pomocy, ni współczucia, gdy nigdy nie usłyszą dobrego słowa, a nieustanne tylko klątwy i wyzwiska, gdy ciągle się ocierają o ludzi złego, bodaj zbrodniczego życia — nie dziw zaiste, iż większość rośnie dla

zepsucia i niedoli, ażeby powiększać tylko szeregi przestępców i wykolejonych i wyjść na wrogów porządku i prawa. Jeśli z dzielnic ubogich corocznie krocie dzieci zmierzają wprost do więzienia lub ostatecznego zmarnowania, można powiedzieć, iż podobnież idą na marne setki sposobności wykierowania ich na dobrych i pożytecznych obywateli. Wystarczyłoby szlachetniejszą ich otoczyć atmosferą, przysporzyć im przyjaciół, chętnych a czynnych. Bo podobnie jak magnes żelazu udziela swych właściwości, i obcowanie dobrych, swobodnych serc chrześciańskich może skutecznie wpłynąć na poczciwą i pogodną ubogiej dziatwy przyszłość. Niech dzieci zakosztują nieco szczęścia i swobody, a wnet wniosą coś ładu i słońca do domów własnych, skąd przed światłem cofnie się wszelakie złe, brud i grubiaństwo. Zaprzyjaźniając się z dziećmi ich, najprędzej trafimy do serc ubogich, a tym sposobem przysporzymy na ziemi i dobrej woli i pokoju i dobrobytu".

Każde dobre dzieło głównie przez młodsze pokolenia oddziałać na starszych próbuje. Zrazu myślano o bezpłatnem przygarnianiu dziatwy. Lecz tu, jak wszędzie, przekonano się, że najmniejsza, kilkocentowa opłata jest konieczną, choćby dla lepszego ocenienia wyświadczonego dobrodziejstwa, choćby dla rozwinięcia w dzieciach pewnej przynależności do zakładu. Z owych centów kupuje się zaledwie pewne dodatki, kwiaty lub ryciny ku ozdobie izby szkolnej, łakocie dla chorego towarzysza itd. Stąd wielkie zainteresowanie dzieci w zakładzie, stąd ocalenie i rozwijanie poczucia godności osobistej. Tak hojnie przychodząca w pomoc ubóstwu Hartley'owska fundacya postawiła sobie za zasadę n i g d y nie dawać jałmużny w groszu, lecz wyłącznie w kształcie zarobku lub pomocy. Między innemi założono tam warsztaty dla ubogich kobiet, otrzymujących w miejsce jałmużny kwitek, uprawniający każdą z nich do spożycia dobrej, ciepłej obiadowej strawy, dalej do odebrania mniej więcej za 50 cent. starej odzieży, węgla lub artykułów spożywczych, jako ekwiwalent całodziennej w warsztatach roboty. Która nie chce pracować, nic też nie dostanie. Rozdawcy zaś owych kwitków mają tę błogą pewność, iż nawet gdyby się takowe dostały w niegodne i niepracowite ręce, pieniądze za nie wyłożone, zawsze tylko wspomogą rzetelną i uczciwą nędzę. Tym sposobem zagradza się drogę nieroztropnemu rozdawnictwu jałmużn w pieniądzach bądź po domach, bądź na ulicach, bez żadnego rozróżnienia i roztropności, „co bywa kształtem miłosierdzia, rozszerzającym tylko pauperyzm i utrzymującym rosnącą armię włóczęgów i oszukańców, ludzi, co nigdy się pracy imać nie będą, dopóki żebractwo pozostanie przynośnem rzemiosłem".

Sprawozdanie zarządu *Hartley-House* wchodzi w szczegóły swego działania, opisuje kursa nauki kuchennej, wskazujące, jak

dziewczyny z ludu nie mają wyobrażenia o oszczędnem i porządnem ugotowaniu najprostszego nawet posiłku; opowiada n. p., jak w zakładzie jedna izdebka służy za wzorową sypialnię, którą po kolei każda dziewczynka musi uprzątnąć, zamieść, posłać łóżko, urządzić w sposób schludny i przyjemny.

Osobny dział niniejszego sprawozdania przychodzi w samą porę dla poruszonej u nas kwestyi tanich mieszkań. Dowiadujemy się, że departament publicznej hygieny dwa razy do roku przeprowadza ścisłą inspekcyę nad blisko 50.000 mieszkań nowojorskich, zajętych przez bez mała półtora miliona osób. W jednym tylko roku zeszłym nie mniej jak 322 domów lub mieszkań skazano na opróżnienie dla niebezpiecznych warunków. Bywają i nocne inspekcye, aby walczyć z przepełnieniem ubikacyj. Zawiązało się osobne stowarzyszenie celem zapewnienia ubóstwu *home'ów*, ognisk domowych, nie zaś ladajakich schronisk. Członkowie zajmują się zarządem nowo-powstałych domostw, przestrzegają hygienicznych w nich warunków, a nadto ścisłego i regularnego wypłacania się lokatorów, co waruje zobopólne korzyści. Bo zalegający bez powodu słusznego rzemieślnik, odrazu się rozprzęga w całem życiu. Oczywiście choroba lub jaka poważna przyczyna może usprawiedliwić zwłokę, spóźnienia czynszu nie powinny atoli przejść w nałóg i dlatego to w Anglii czynsze od ubogich mieszkań ściągane bywają co tygodniowo. Od członków stowarzyszenia zależy ubogich lokatorów nauczyć porządku, uszanowania dostarczonych im wygód, nie marnowania na próżno wody, nie zatykania rur wodociągowych lub kanałów, utrzymywania powierzonych sobie i opłacanych przez się mieszkań. .

Kolonie wakacyjne osobny w niniejszem sprawozdaniu zajmują rozdział. Szczęśliwy Nowy York może odrazu zwątlałe dzieci przenieść nad morskie wybrzeża i w słonej fali skrzepiać ofiary nędzy i przeludnienia. Znalazły się i szkółki wakacyjne, a wszędzie prześwieca myśl rozwinięcia zmysłu praktyczności i oszczędności, zbyt często obcej dziatwie ludzi ubogich. Zaczem uczą n. p. dziewczynki cerowania porządnego, zamiast je zajmować marną szydełkową robotą czy haftem, mnożą wśród chłopców groszowe oszczędności na książeczkę składane itd. itd. Jak to już powiedzieliśmy wyżej, proste, nieco urzędowe sprawozdanie zawiera mnóstwo praktycznych wskazówek, pouczających szczegółów. Dobrze czynić nie wystarcza, trzeba, by dobroczynność była i roztropną i skuteczną. U nas tyle ofiar, tyle najlepszych chęci się rozprasza, lub idzie na marne, brakiem organizacyi, brakiem ześrodkowania usiłowań, niedostatkiem porozumienia, rozerwaniem wspólności. Od paryskiego *Bureau central des oeuvres de bienfaisance*, od nowojorskiej *Association for improving the condition of the poor* uczyć nam się praktycznego miłosierdzia, uczyć roztropności i skuteczności w dobro-

czynnej akcyi. Nie sztuka dawać dużo — dobrze dawać sztuka, a pod tym względem wiele nam jeszcze nie dostaje, aby dorównać narodom, które stopniowaniem umiejętnie zastosowanej dobroczynności, owej *progressive philantropy*, do świetnych i skutecznych dochodzą rezultatów. umniejszenia ludzkiej nędzy zarównaniem społecznych przepaści, wzajemnem zetknięciem skrajnych warstw, złagodzeniem i ludzkich bied i ludzkich też waśni.

N.

Z literatury powieściowej.

— *Die polnische Braut.* Roman aus den Tagen von Jena. Von Ernst Remin. (Bielefeld und Leipzig Verlag von Velhagen & Klasing. 1897). — Gdybym był Niemcem, nie pisałbym nigdy powieści *aus den Tagen von Jena.* Są chwile w historyi, których nie można rozpatrywać bez wielkiego bólu patryotycznego i goryczy. To chwile nie klęski niezawinionej, nieszczęśliwych kolei losu, ale chwile zawinionego upadku, własnej bezradności, niedołęstwa, często nawet podłości. Niech nad temi kartami dziejów zatrzymuje się historyk, publicysta, moralista, kaznodzieja, niech oni badają i przebieg wypadków i ostateczne ich przyczyny, stawiając społeczeństwu przed oczy obraz jego słabości, błędów i upadku: ale niech zdala od nich będzie artysta, bo zgorzknieje mu serce, skrzywi mu się ręka, zamroczą oczy, i uczucie wstydu zburzy spokój duszy, a wzbudzi złość niesprawiedliwą. Taką chwilą nieszczęścia, a co gorsza i sromu, jest dla Niemców bitwa pod Jeną, pamiętny dzień 14 października 1806 r., prawdziwy *dies irae* dla królestwa pruskiego. Są klęski, po których dumnie można czoło do góry wznieść, są zwyciężeni, przed którymi korzy się zwycięzca; zostać pobitym przez Napoleona, nie zawsze jeszcze było hańbą. Ale dać się pobić wskutek własnej małoduszności, lenistwa, zniewieściałości, tchórzostwa — to już wstyd. A dopiero gdy się rozejrzy w wypadkach po bitwie pod Jeną, to łoskot rozpadającego się królestwa pruskiego nie wzbudzi grozy, tragicznego podziwu i strachu—raczej litość i pogardę. Jedna czysta postać królowej Ludwiki nie zdoła rozprószyć tych ciemności, jeden powiew cnoty i heroizmu nie przeczyści tego powietrza. I takie czasy chce niemiecki autor przedstawić w niemieckiej powieści dla niemieckich czytelników! Pomysł trochę dziwny, a bardzo niebezpieczny. Bo, jak się już wyżej rzekło, poczucie własnego sromu budzi niesprawiedliwą a namiętną złość przeciw tym, którzy tego wstydu byli świadkami. P. Ernest Remin nie jest bohaterem, nic więc dziwnego, że wobec takiej chwili stracił objektywność, a powieść jego usiłuje oczyścić jego naród kosztem dwóch innych. Więc naprzód idą Francuzi,

der Erbfeind der deutschen Nation. Wszyscy są łotrzy, bez cienia rycerskości, chciwi aż do bezwstydu. Z miedzianem czołem łupią rannych, wszyscy, oficerowie i prości żołnierze, na wyścigi, a patrząc na nich, chce się powtórzyć za poetą-malarzem: „Ludzie czy szakale?“ Nie lepiej wychodzą z opałów..... Polacy. Idą z wojskiem koalicyjnem, bo muszą, ale biją się licho, a myślą tylko o dezercyi i zdradzie. To tłum. A indywidua? Prócz tytułowej bohaterki, jest tylko jeden Polak, dziwacznie przez autora nazwany Piotrem Bzinem. Stary, bardzo ograniczony pedagog, domowy nauczyciel w rodzinie von Gettkandt, obałamucony humanitarnemi ideałami Rousseau'a, Prusaków nienawidzący, chociaż je pruski chleb, po cichu biorący udział w bardzo podejrzanych dyskusyach politycznych, w razie ich wykrycia przepraszający z pokorą i serwilizmem obrzydliwym, słowem, człowiek wzbudzający pogardę, litość, śmiech — oto przedstawiciel Polaków.

A bohaterka tytułowa? Postać bardzo dziwaczna, dodajmy: szablonowo-dziwaczna. W tym pozornym paradoksie jest stwierdzenie, że dziwaczność „polskiej narzeczonej“ nie jest bynajmniej oryginalnym pomysłem p. Remin'a, lecz kroczy wydeptanemi śladami zwykłego szablonu powieściowego. Jadzia jest córką jenerała Madalińskiego. W czasie przechodu wojsk pruskich, poznała porucznika Wiktora von Gettkandt i pokochała go płomienną miłością. Potajemnie się zaręczyli, ściśle strzegąc tajemnicy; wiedzieli bowiem, że ani Madaliński nie wydałby córki za Prusaka, ani też stara baronowa von Gettkandt nie powitałaby chętnie synowej Polki. Lecz przed bitwą pod Jeną Wiktor idąc na bój, nie wiedząc, czy wróci, napisał o wszystkiem matce, Jadzia zaś nie mogąc żyć w oddaleniu od rodziny kochanka, zmuszana przez ojca do innego zamążpójścia, uciekła z domu. To pierwszy czyn, dowodzący śmiałej natury. Powitanie obu kobiet jest sztywne, a przez pierwsze dni pobytu w Grottkendorf panna Madalińska zadziwia i oburza wszystkich elementarną bujnością temperamentu, słowem jest klassyczno-szablonowym dzikusem. Gdy po klęsce dochodzą głuche wieści, że Wiktor zginął, a może gdzie ranny jest w niewoli, Jadzia ucieka znowu potajemnie z domu przyszłej teściowej w przebraniu męzkiem szuka narzeczonego. Większą część powieści stanowi opis najrozmaitszych jej przygód, groźnych niebezpieczeństw i bohaterskich czynów, o których tutaj rozpisywać się nie można. W końcu Jadzia, która okropnie się poparzyła na szyi, odkrywając Prusakom plan dezercyi, knutej przez niepoczciwych *Polacken*, odnajduje narzeczonego i po pokoju zostaje oczywiście jego żoną, a pani matka godzi się na przyjęcie w dom Polki (co mówi na to jenerał Madaliński? nie wiemy). Oczywiście są oboje bardzo, bardzo szczęśliwi, oczywiście mają

dużo, bardzo dużo dzieci, a wszystkie rodzą się z czerwoną plamą na szyi.

W powieści historycznej najważniejszem jest przedstawienie dziejowej chwili, stosunek powieści do dziejów. Że jenerał Madaliński jest osobistością historyczną, o tem wiemy wszyscy, a wiemy lepiej, niż autor. Podczas gdy on bowiem każe jenerałowi w r. 1807 i następnym żyć, gniewać się na córkę, chcieć ją zmusić do znienawidzonego małżeństwa, to polscy czytelnicy przypomną sobie, że Madaliński na rok przed bitwą pod Jeną, w r. 1805, umarł. Temsamem okazuje się, że opowiadanie p. Remin'a zbudowane jest na piaskach. Czy Madaliński miał córkę i czy jej było na imię Jadwiga, dokładnie dowiedzieć się nie zdołaliśmy, ale to jest jednak zupełnie pewnem, że nigdy żadna Madalińska nie była żoną pruskiego porucznika, czy mu na imię było Wiktor lub nie, czy się zwał von Gettkandt lub nie. Obraz epoki tak ciekawej nie znalazł zresztą w ogóle w autorze godnego siebie artysty, stanowczo zaś zabrakło p. Reminowi siły, wyrazistości i rozmaitości konturów i barw w odtworzeniu zamieszek wojennych. Jedna tylko strona współczesnego życia wypadła bardzo dobrze, niemal doskonale. Niemieckie mieszczaństwo, poczciwe i szanowne, choć trochę safandulskie i śmieszne, po części tknięte już powiewem humanitarnych idei Rousseau'a i rewolucyi francuskiej, po części trwożliwie trzymające się dawnych tradycyj, konflikt pomiędzy temi dwoma kierunkami, załagodzony wreszcie dzięki obopólnej poczciwości— to widzi się w niemieckich powieściach rzadko, a może nigdzie tak wyraziście, jak tutaj. Szkoda, że te początkowe sceny są tylko epizodyczne i że dalszy ciąg powieści spada z ich wysokości. A tak powieść, jako całość, nikomu dobrą się nie wyda, dla nas zaś Polaków często jest przykra. *J. Flach.*

— *Unterwegs.* Novellen von Anselm Heine. (Berlin. Verlag von Gebrüder Paetel, 1897). — Na książkę nieznanego dotychczas autora, składają się trzy opowiadania, z których pierwsze jest niewątpliwie najcharakterystyczniejszego. Dla niewarto pomówić o całym tomie, ono robi z niego ciekawy produkt i objaw naszego schorowanego wieku.

Hypnotyzm jako motyw powieściowy nie jest już nowością, zwłaszcza w niemieckiej i francuskiej literaturze; dość częstem zjawiskiem jest również i mistycyzm. Lecz hypnotyzm i mistycyzm w tym stopniu, jak w *Eine Gabe* p. Anzelma Heine pojawia się od wielu lat może po raz pierwszy w literaturze i bądź co bądź jest symptomatem bardzo niezdrowym. Pod przestarzałą już dzisiaj formą pamiętnika i listów dosłownie przepisywanych, wkracza tu do nowelli nadzwyczajność i cudowność, a wprowadza ją motto z Teofrasta Paracelsa, sławnego lekarza mistyka z XVI wieku. Agnieszka Heuer, córka prostego górnika, posiada cudowny dar, udzielony jej przez niezbadaną w swych

dziełach naturę. Do jego świadomości dochodzi po raz pierwszy uzdrawiając chorego za pomocą suggestyi i hypnotyzmu, w miarę zaś postępu opowiadania, jej dar czy też przeświadczenie o nim, występuje coraz jawniej, potęguje się coraz bardziej. Uzdrawia chorych, głuchoniemych, przywraca słuch i mowę, a lud pada na kolana przed tą tajemniczą siłą, to znowu potępia ją jako czarownicę. Raz podczas takiego oburzenia ktoś z tłumu rzucił na nią kamieniem, a za chwilę inny śmiałek wskoczywszy oknem do izby targał ją za kołnierz. „Wtedy wydało się wszystkim, jak gdyby ziemia się otwierała. Otoczyło nas jakby morze płomieni“, pioruny poczęły bić, napastnik padł na ziemię bezprzytomnie, tłum z oznakami grozy i przerażenia rozprószył się gwałtownie. Wybuchnął straszliwy pożar, wśród którego Agnieszka z nadludzką siłą ratowała ludzi, wynosząc ich z łatwością na słabych barkach, ratowała mienie wieśniaków, gasząc ogień. Na drugi dzień cała wieś pielgrzymowała do cudotwórczyni. Ale te chwile siły i działania przeplatane są słabością, zmęczeniem. Powtarza to się zwłaszcza od czasu, gdy wbrew jej woli zakradła się do jej serca ziemska miłość do Jana, młodego pastora, niedawno owdowiałego. Wtedy Agnieszka czuje, że moc od niej odchodzi, i wie, że to kara za sprzeniewierzenie się wzniosłej misyi. Garstka zawziętych na dziewczynę postanawia ją zgubić. Jeden z nich zakrada się pod mieszkanie „czarownicy“ i podpala je. I oto widać ją, jak wśród syku płomieni i głuchego łoskotu walących się belek stoi na dachu w białej powłóczystej sukni, straszna w swej nadziemskiej piękności. Oczy ma spuszczone, jak gdyby z litością spoglądała na ziemski świat, głowę w górę podniesioną, jak gdyby słuchała boskich głosów. A przed domem leżał ów podpalacz i płakał. Widział ją unoszącą się ku niebu i schylającą się napowrót ku ziemi. I wierzył, że jest świętą.

Dziwaczny motyw, dziwacznie jest przeprowadzony. A co w nim najbardziej razi, to owa duma Agnieszki, ogromne o sobie mającej wyobrażenie i uważającej się nieraz już nie za narzędzie łaski Boskiej, ale za samo bóstwo. Raz ma się ochotę zabić, ale rychło odstępuje od tego zamiaru, aby ludzkości nie unieszczęśliwiać. Czy jest to patalogiczne studyum dziewczyny, nazbyt przejętej czytaniem *Dziewicy Orleańskiej* Schillera? Gdyby w jej indywidualności były silniej zaznaczone od razu psychopatyczne, warunki takiej mistycznej aberracyi, rzecz byłaby do przyjęcia jak to jest n. p. z „nowellistycznem studyum“ Hauptmann'a *Der Apostel*; ponieważ jednak jest to prosta dziewczyna z ludu i nie wie się nic, jaką drogą doszła do tego stanu, opowiadanie jest dziwaczne i niewątpliwy, miejscami bardzo delikatny talent autora poszedł tu na marne.

Drugie opowiadanie: *Der Quell des Paktolus* zaczyna się przygrywką — przypomnieniem podania o królu frygijskim Mida-

sie, któremu bogowie spełnili prośbę, aby wszystko, czego się dotknie, w złoto się przemieniało. Aż król trapiony tym nieszczęsnym podarunkiem prosił bogów, aby zapomnieli o jego nieroztropnej prośbie Bogowie ulitowali się i polecili mu ukąpać się w czystej krynicy rzeki Faktolus, poczem odstąpi od niego moc przemieniania w złoto wszystkiego, czego się dotknie. Midas poszedł w świat szukać tej rzeki. Ale gdzie ona płynie? Kto ją znajdzie? Autor nie dodaje, że Midas ostatecznie źródło znalazł.

Następujące po tej uwerturze opowiadanie powtarza w części zmodernizowaną osnowę starożytnej bajki. Baron Bruno Ziegler odziedziczył kolosalny majątek. Tu początek jego niedoli. Miliony rujnują go na ciele i duszy, a obraz tego fizycznego i moralnego..... zdechlaka, rwącego się od czasu do czasu do zdrowia i światła, jest chlubnem świadectwem zdolności p. Heine'go. Bruno poznaje młodą, uczciwą pannę, Hellę von Vinken-Waldau, zostającą na łaskawym chlebie u zimnych i dumnych krewnych. W związku z nią znalazłby chęć życia, może uzdrowienie, stałby się znowu człowiekiem żywym. Lecz panna go nie chce, bo serce oddała już innemu, równie szlachetnemu jak sama, ubogiemu idealiście doktorowi Erichowi Bergerowi, docentowi prywatnemu, krępowanemu na każdym kroku brakiem zasobów pieniężnych. Odmowa nie wzbudza nienawiści. Owszem; Bruno dochodzi do przekonania, że dla niego na świecie już miejsca nie ma, że złoto wyssało z niego wszelkie soki żywotne. Truje się morfiną, lecz nie z rozpaczy, przeciwnie umiera spokojnie w poczuciu, że raz przynajmniej mógł szlachetnego dokonać czynu, zapisując w testamencie swe miliony Erichowi i jego narzeczonej. Fabuła tchnie trochę szablonowym sentymentalizmem, a pomiędzy nią, a podaniem o Midasie nie ma zupełnej zgodności, bo szlachetna ofiara daje Brunonowi tylko chwil kilka wewnętrznego zadowolenia, ale nie może go zrobić zdolnym do życia. Wartości utworu należy szukać w wybornem przedstawieniu schorowanego Zieglera, nad którym zawisło przekleństwo złota.

Trzecia nowella ma zacięcie humorystyczne i przedstawia parę młodych ludzi, Rabota von Tröschell i doktora Mary Furth, oczywiście Amerykankę, którzy widząc, że „się mają ku sobie“, a nie chcąc się pozbawiać swobody, postanawiają odbyć *wspólną podróż* (ztąd tytuł opowiadania) spodziewając się po niej wzajemnego otrzeźwienia. Naturalnie dzieje się wprost przeciwnie i młodzi zamieniają pierścionki zaręczynowe. Jest to drobnostka bez pretensyi i bez znaczenia. Po dwóch poprzednich nowellach ta ostatnia czyta się z niemiłem uczuciem, tak odrębnym i niestosownym do tamtych jest jej nastrój. Grecy lubili podobno po krwawej trylogii tragicznej, uspokajać swe nerwy i dochodzić do równowagi i pogody umysłu, słuchając swawolnej ko-

medyi. My teraz od literatury żądamy czego innego, a farsa po dramacie jest dla naszego uczucia nieznośną.

Józef Flach.

— *The Millionnaires*, by Frank Frankfort Moore. (Leipzig, Tauchnitz edition, 1898). — Jak dalece romans bywa uzupełnieniem i odzwierciedleniem rzeczywistości, niniejsza dowodzi powieść. Kto przeczytał francuskie studyum „z świata milionerów“, lub nasze takowego streszczenie, odnajdzie się bez trudności w przedstawionych tu drastycznie stosunkach i zawikłaniach życiowych, rozgrywających się „na jasnym brzegu“. Jedna wszelako znaczy się różnica: dotąd Ameryka wyłącznie dostarczała milionerów, teraz raczej ciemny kontynent, kopalnie Transvaalu, pola dyamentowe z Kimberley, stwarzają potentatów mamony, o nieco różnych cechach znamiennych. Tu przynajmniej magnat afrykański przewyższa yankesowego współzawodnika jakąś spokojną a pokorną siłą, nieśmiałością towarzyską, obok śmiałości postanowień i przedsięwzięć. Nie posiada on zgoła tej pewności siebie, którą zwykła dawać podstawa złota, owszem, wkraczając w zaklęty świat patrycyatu angielskiego, mniema, że go takowy odtrąci i wytrąci z zaczarowanego koła. Tymczasem bardzo miły i bardzo biedny zarazem lord irlandzki tłómaczy mu dosadnie, że dla milionera niema dziś zbyt wysokich progów, a z drugiej strony dodaje, iż względy kastowe i fochy towarzyskie rządzą dziś wyłącznie światem filistrów mieszczańskich, kiedy natomiast arystokracya wszechświata, głównie zaś arystokracya angielska, bynajmniej już starym nie folguje przesądom. Złoty klucz najoporniejsze zresztą otwiera bramy, ale nad potęgę kruszcu, działa tu energia i tęgość charakteru, nad ślepy traf rozstrzygająca o zwycięztwie na arenie współzawodnictwa trudu i zysku. Kto wygrywa wielki los w grze Fortuny, musiał rozumną pracą i wytrwałą walką na ostateczny tryumf zasłużyć.

Autor osobną żywi słabość dla onych wybrańców losu, mniej przychylnie malując natomiast wysoki świat angielski, przedewszystkiem panny, zbyt chyba łatwo oczarowane blichtrem zamorskich dostatków. Osnowa tu wikła się w istną „komedyę pomyłek“, ale ślepa miłość wbrew wszystkim spekulacyom i rokowaniom łączy w końcu aż cztery pary z pośród gości Riviery i bohaterów krótkiej a żwawo płynącej powieści. Oczywiście wszystko się układa na wspak; ubogi lord, który tu przez siostrę został sprowadzony dla posagowych łowów, żeni się z miłości z biedniejszą od siebie panienką; bogata dziedziczka, obojętna na cudze miliony, oddaje rękę afrykańskiemu magnatowi, ceniąc w nim dzielność charakteru, nie zaś zdobyte dostatki; pusta dziewczyna, flirtująca na umór z każdym, co jej się nawinie, na pozór tylko wesoła i bezmyślna, z niespodziewanem wyrachowaniem usidla naiwnego fabrykanta kroch-

malu czy kleju, robiącego majątek na czysto amerykańskiej reklamie i rozlepianiu odnośnych afiszów na najniedostępniejszych skałach i szczytach; nareszcie para złych duchów, usiłujących pomięszać tamtych szyki i zamącić szczęście, w końcu, wobec własnej porażki, nie widzi innej drogi wyjścia, jak pobrać się i podstępną grę przesłonić połączeniem dwustronnych zawodów. Tu i owdzie przeczuć można wizerunki z życia wzięte, podobieństwa niemal fotograficzne, które zapewne dodają pieprzu książce, nie zwiastującej większego talentu, lecz zabawnej nowością typów, oryginalnością rozmów, oraz wprowadzeniem w powieściową tkankę nowego a potężnego czynnika, w osobie tych *milionerów*, stanowiących oś niniejszego opowiadania.

N.

Przegląd polityczny.

Kraków, 30 listopada 1898 r.

W ciekawem położeniu znajdują się dzisiaj Polacy wobec Niemców w Austryi. Walka polityczna toczy się właściwie między Czechami a Niemcami, o hegemonię w Czechach chodzi w pierwszej linii, rozporządzenia językowe, które przez długi czas hamowały a i dotąd jeszcze unieruchomiają maszynę państwową, były wydane na korzyść Czechów, wszystko, co się dzisiaj w Austryi dzieje, jest tylko epizodem w tych historycznych zapasach o ziemię czeską. Pomimo to wszystko jednak nie zajmują się Niemcy austryaccy w obecnej chwili tyle Czechami, ile Polakami, nie występują tyle przeciwko Czechom, jak przeciwko Polakom. W parlamencie austryackim nie słyszy się od długiego czasu nic innego, jak mowy, napaści, wyzywania zwrócone przeciwko Polakom, od początku sesyi nie mówiono o niczem innem, jak o pp. Badenim, Abrahamowiczu i innych, nawet pojedynek parlamentarny odbył się między radykalnym Niemcem a Polakiem. Ten sam p. Wolff, który zranił swojego czasu hr. Badeniego, zranił obecnie p. Gniewosza. Ze smutkiem musimy wspomnieć o tym pojedynku. Nie mamy prawa wdawać się w niczyje przekonania: każdy musi sam wiedzieć i sądzić, czy mu bić się godzi i czy mu przystoi. Ale publiczne uznanie i podziękowanie Koła Polskiego za pojedynek było, naszem zdaniem, zbyteczne. Naprzód pojedynek jest zakazany przez Kościół, jako grzech: nie godzi się ka-

tolikom go pochwalać. Następnie pojedynek jest zakazany przez prawo świeckie, i nie należy prawodawcom dawać przykład lekceważenia prawa. Dalej jest pojedynek aktem bez celu i bez wartości, bo nic nie naprawia, niczego nie dowodzi. U narodów głębiej cywilizowanych, u Anglików, uważany jest za niedorzeczność i za wstyd; a zniewaga czy obelga, podług tamtejszej rozumnej i słusznej opinii, spada na tego, kto ją rzucił, i na tym zostawia plamę, a nie na tym, na którego była rzucona.

Wreszcie ostatni wzgląd, czysto praktyczny. Pojedynek między posłami parlamentu jest najłatwiejszym i najwygodniejszym środkiem dla każdej mniejszości pozbycia się nieprzyjemnego przeciwnika czy ministra. Powiedzieć parę impertynencyj ministrom i głowom stronnictw, potem ich porąbać, i rzecz skończona. P. Wolff miał ten honor, że się bił z hr. Badenim, i w dodatku tę przyjemność, że go skaleczył; jutro p. Schönerer zechce zmusić do pojedynku hr. Thuna, pojutrze p. Pfersche p. Kaizla, i tak dalej. Wielki czas, żeby się to raz skończyło—tem większy, że pojedynek, jak niejedno złe, bywa zaraźliwym i zaczyna się zagęszczać po za parlamentem także.

Że p. Wolff, albo p. Daszyński sypią obelgi? a cóż to komu szkodzi? Walczą tą bronią, jaką jedynie mają. Ale żeby p. Wolff mógł dotknąć czci polskiego narodu, to co innego. Guizot raz na obelgi odpowiedział: *Vos injures n'arrivent pas à la hauteur de mon mépris.* Miał racyę. A my mamy prawo, i mamy powinność, trzymać naszą godność, i naszą pogardę ponad takiemi obelgami—i głowami.

Właściwy przedmiot walki ustąpił tak na drugie miejsce, nienawiść przeciwko Polakom wstąpiła na pierwsze; zamiast o szkołach, sądach i t. d. czeskich, mówią Niemcy austryaccy dzisiaj przedewszystkiem o „przełamaniu wpływu“ polskiego w Austryi, o szlachcie, o jej rzekomej nienawiści do Niemców, o narodzie „pasożytników“ i t. d., i t. d. Myśmy stali się w ten sposób puklerzem, za którym chronią się Czesi i na który padają dzisiaj pociski Niemców — pozycya dla Czechów w każdym razie wygodna, dla nas może niebezpieczna. Jeżeli się szuka przyczyn tego zjawiska, to dochodzi się do tego wyniku, że Polacy jak zawsze, tak i tym

razem uczynili poświęcenie dla państwa. Polacy chcieli przeprowadzić najważniejsze zadanie państwowe austryackie w obecnej chwili, chcieli przeprowadzić ugodę z Węgrami. Jak zawsze w Austryi, tak i tym razem rozstrzygnęły jednak drobnostki o losach ważnej sprawy, ugoda z Węgrami nie zajmowała tyle opinii publicznej, co rozporządzenia językowe, i ci, którzy bronili ugody, stali się celem pocisków tych, którzy występowali przeciwko rozporządzeniom językowym. Jakiekolwiek są zresztą przyczyny tego stanu rzeczy, to jest pewnem, że to zbytnie wysuwanie się Polaków na pierwszy plan w walce czesko-niemieckiej nie odpowiada naszemu zasadniczemu stanowisku w Austryi. Polacy muszą tutaj odgrywać rolę pośredników i popierając zawsze interesa słowiańskie, nie mogą zapominać o tem, że umiarkowanie było i jest podstawą ich znaczenia politycznego.

Namiętność, z jaką Niemcy występowali przeciwko Polakom, znachodziła tem szersze pole, że znaleźli się w parlamencie Polacy, którzy w obecnej chwili uważali za potrzebne wyciągać sprawy galicyjskie przed forum wiedeńskie. Na posiedzeniach izby w ubiegającym miesiącu zdawało się nieraz, iż się jest we Lwowie. Nie słyszano innych nazwisk, jak nazwiska polskie, Stapiński, Winkowski, Daszyński, Stojałowski, Okuniewski — cała to zgraja ludzi zaślepionych namiętnością lub chęcią odgrywania roli politycznej, ludzi, o których powiedział p. Milewski, że więcej szkodzą dzisiaj Polakom, jak swego czasu Bismarck lub Murawiew. Cała ta zgraja rzuciła się, korzystając ze wzmiankowanego powyżej usposobienia Niemców, na Galicyę, plwając na wszystkie instytucye i wszystkie chluby naszego kraju. Znane jest przysłowie o „brudnej bieliźnie“, jakiej się nie pierze przed obcymi — tym razem brudnej bielizny nie było, a wszystko, co ci mówcy mogli powiedzieć, było albo denuncyacyą, na prostych twierdzeniach opartą, albo też prostem kłamstwem i blichtrem, rzuconym w oczy ludzi nieznających ani stosunków, ani nie chcących ich poznać. Prawdziwą zasługę wobec kraju zdobył sobie p. Milewski przez świetne, znakomite odparcie tej zgrai, ale na nieszczęście najznakomitsza obrona nie chroni przed kalumnią. *Semper aliquid haeret*, i dzisiaj można już być przygotowanym na powódź artyku-

łów i mów o stosunkach w „nieszczęsnej Galicyi“. Na nieszczęście cała ta smutna sprawa nie jest jeszcze zakończona: niezadługo, jeżeli parlament dalej obradować będzie, będzie musiał rząd przedłożyć do potwierdzenia parlamentarnego rozporządzenia, przez które zaprowadzono stan wyjątkowy w Galicyi. Sprawa raz więc jeszcze przyjdzie przed forum izby i to, po obecnych próbach sądząc, z jeszcze większym zasobem kłamstw, oszczerstw i denuncyacyj. Na jedno chcielibyśmy jednak już dzisiaj zwrócić uwagę. Główną bronią całej tej zgrai oszczerców są rzekome fakta, jakie oni przytaczają na poparcie swoich twierdzeń. I p. Daszyński i X. Stojałowski usiłują wpływać na opinię izby i opinię Niemców wiedeńskich za pomocą drobnostkowych opowiadań, mających stanowić illustracyę do ich twierdzeń zasadniczych. Przeciwko temu postępowaniu nie ma innej broni, jak przeciwstawienie faktu faktowi, jak zbicie opowiadań przez przeciwstawienie faktycznego stanu rzeczy. To też konieczną jest rzeczą, ażeby tak rząd, jak i Koło poczynili kroki względem zbadania każdego z przytoczonych przez napastników faktów i odpowiedzieli na podstawie autentycznych sprawozdań na zarzuty i na te twierdzenia. I to przeciwko złej woli za granicą nie wiele pomoże, ale koniecznem to jest wobec opinii publicznej *w kraju*, gdzie walka toczy się tylko za pomocą kłamstw i oszczerstw.

Pod względem formalnym parlament austryacki wypełniał swoje funkcye, albowiem obrady toczyły się bez przeszkód, bez obstrukcyj, ale pod względem merytorycznym nie było postępu. Z wyjątkiem kilku nagłych wniosków o zapomogi dla gmin, dotkniętych powodzią lub inną klęską elementarną, nie załatwiono żadnej ważniejszej sprawy, ale zajmowano się prawie wyłącznie, jak to już wyżej podnieśliśmy, Polakami W komisyi ugodowej toczyły się obrady także bez przeszkód, ale ze ślimaczą powolnością. Czy nadzieja, wyrażona przez ministra handlu, p. Dipaulego, się spełni, że do końca roku będzie załatwiona ugoda z Węgrami w drodze parlamentarnej, bardzo wątpimy. Za wielki postęp jednak już uważamy, że udało się przeprowadzić w izbie bez trudności hołd dla zbliżającego się jubileuszu cesarskiego. W tym hołdzie wzięły udział wszystkie stronnictwa, z wy-

jątkiem stronnictwa Schönerera, które błyszczało w izbie na tem posiedzeniu—nieobecnością. To stronnictwo coraz otwarciej występuje z tendencyą oderwania się od Austryi i połączenia prowincyj niemieckich austryackich z cesarstwem nemieckiem, z ideą „Alldeutschland“. O ile znamy stan rzeczy, musimy na nieszczęście stwierdzić, że te dążności znajdują poklask u wielu tysięcy Niemców austryackich. Nie od Słowian, ani od ich rzekomych dążności federalistycznych grozi Austryi niebezpieczeństwo, ale od tych pionierów cesarstwa niemieckiego, którzy występują wszędzie i zawsze nie jako Austryacy, ale jako członkowie wielkiego cesarstwa. Nie tylko na granicy cesarstwa, nie tylko w Chebie, w Reichenbergu lub w Bodenbachu rozpowszechnione są te dążności, ale znachodzą one poparcie u niezliczonych Niemców, pochodzących z Prus, Westfalii i z nad granic nadreńskich, jacy żyją w Austryi. Bardzo interesującą byłaby statystyka Niemców, pochodzących z cesarstwa, którzy osiedliwszy się w Austryi, zajmują tutaj najlepsze posady, ale nie tracą łączności ze swoim krajem macierzystym. Było i jest dotąd w Austryi zwyczajem sprowadzać na ważniejsze posady Niemców z cesarstwa i wielu n. p. profesorów uniwersytetów niemieckich w Austryi pochodzi z Niemiec! Kto wie, czy ta praktyka nie przyczyniła się w wielkiej części do wytworzenia tej „irredenty“, której wyrazem w parlamencie jest dotychczas tylko stronnictwo Schönerera — nie zbyt groźne z powodu intellektualnej nicości jego członków, ale po za którem kryją się groźniejsze bez porównania prądy, po za którem stoją ludzie intelligentni, trzymający się dotąd w ukryciu, ale z pogardą spoglądający na Austryę i na wszystkie inne narodowości.

Jeżeli na tem miejscu tę sprawę podnosimy, to czynimy to dlatego, że właśnie w ubiegającym miesiącu nastąpiły z Prus liczne wydalania Słowian z powodu rzekomego niebezpieczeństwa ich „agitacyj“ dla cesarstwa. Gdyby rząd austryacki choć w jednej tysiącznej części posiadał bezwzględność rządu pruskiego, toby musiał ze względu na rzeczywiście niebezpieczną dzisiaj sytuacyę Niemców z cesarstwa w Austryi, odmierzyć równą miarą. Na nieszczęście może dla Austryi, postępował i postępuje rząd austryacki

w tego rodzaju sprawach inaczej, zbyt względnie, zbyt słabo, zbyt—dyplomatycznie.

Obrady parlamentu w Austryi przygłuszała wrzawa, jaka wychodziła z Węgier. Tam odbywała przez jakiś czas prawdziwe orgie obstrukcya, walcząca siłą płuc i pięści. Obstrukcyę prowadziło stronnictwo narodowe pod przywództwem br. Apponyi, ogłaszając jako jej cel usunięcie br. Banffy od rządów. Walka na Węgrzech nie była walką zasadniczą, ale walką osobistości. Najrozmaitsze pytania odgrywały w tej walce ważną rolę: najpierw sprawa ugody z Austryą, następnie sprawy wojskowe, a mianowicie sprawa usunięcia pomnika Hentzy'ego z Węgier, wszystko tylko pozory do pokrycia właściwego celu: obalenia br. Banffy. Baronowi. Banffy zarzucano, że zaprowadził w rządach system przekupstwa i szpiegostwa, że wybory przeprowedził za pomocą najrozmaitszych nieczystych manewrów i w ten sposób zapewnił sobie większość w parlamencie. Za br. Banffy stanęła większość parlamentu, tworząca partyę liberalną, chociaż i w tej partyi wiele żywiołów, mianowicie arystokratycznych, było przeciwnikami Banffy'ego. Rodzina Tiszów, stary Koloman Tisza, który także usunięty został od rządów za pomocą niepokojów ulicznych, trzymała się stale Banffy'ego. Słabą stroną Banffy'ego były ogólnie w Węgrzech rozpowszechnione przekonania, że on w rzeczywistości nie wybiera w środkach do dojścia do celu, dalej jego stosunki familijne, wreszcie fakt, że już zbyt długo był u władzy. Ministerstwa na Węgrzech rzadko upadały przez wotum nieufności ze strony większości parlamentu, obalane zwykle zostały przez skandale parlamentarne lub uliczne, jak n. p. Tisza. Z tego stanowiska wychodziły więc partye opozycyjne, kiedy rozpoczęły skandale w izbie, którym odpowiedziały zamieszki na ulicy. Wszystkie te zajścia nie były, pomimo pozorów, wybuchem namiętności, ale poprostu manewrem naprzód obrachowanym: na komendę się rozpoczynały, na komendę dochodziły do punktu wrzenia, na komendę ziębnęły i na komendę ustawały. W tej walce przeciwko Banffy'emu można przyznać opozycyi węgierskiej pewną słuszność, ale co z największem oburzeniem potępić wypada, to wybór środków do tego celu, mianowicie agitacyę przeciwko pomnikowi

Hentzy'ego. Hentzy, który spełnił tylko swój obowiązek i w wykonaniu tego obowiązku padł, powinien był być nietykalnym dla Węgrów, którzy zawsze roszczą sobie pretensyę rycerskości. A kiedy cesarz Franciszek Józef z podziwienia godnem zaparciem się i nadzwyczaj wielkim taktem postanowił, ażeby w miejsce pomnika Hentzy'ego postawiono pomnik cesarzowej Elżbiety, która zawsze była największą przyjaciółką i orędowniczką Węgrów, to wobec tego postanowienia Cesarza powinny były ustać wszystkie dalsze napaści opozycyi. Na Węgrzech uchodzą jednak napaści na armię do bardzo popularnych i temu może trzeba przypisać, że opozycya w walce przeciwko Banffy'emu i tej broni się chwyciła. Ideałem Węgrów jest utworzenie osobnej armii i unia jedynie osobowa z Austryą. Do tego celu oni dążą, i to stanowi poważniejsze tło w całej tej obecnej kampanii przeciwko Banffy'emu. Że Banffy nie utrzyma się długo u władzy, to można uważać za bardzo prawdopodobne, ale z drugiej strony ideał Węgrów, przynajmniej pod rządami cesarza Franciszka Józefa, nie zostanie zapewne spełniony. W miejsce Banffy'ego wstąpi ktoś inny, ale armia powinna zostać nienaruszona. Czy nią zostanie i na jak długo, to niedaleka przyszłość rozstrzygnie, bo napady nie ustaną.

Podczas tych zajść w Austryi i na Węgrzech odbywał cesarz Wilhelm II dawno zapowiedzianą podróż do Palestyny. W ogłoszonym w *Przeglądzie Polskim* świetnem *essay* o Bismarcku dochodzi autor, p. Stanisław Koźmian, do wyniku, że Bismarck po utworzeniu cesarstwa niemieckiego nie powodował się myślą panowania uniwersalnego, ani nawet myślą wskrzeszenia cesarstwa niemieckiego w średniowiecznem znaczeniu tego słowa, ale zadawalał się zjednoczeniem Niemiec w jeden ustrój państwowy pod przywództwem Prus. Jeżeli Bismarck rzeczywiście tylko do tego celu dążył, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że cesarz Wilhelm II, jak we wszystkiem, tak i pod tym względem zupełnie odmiennemi kieruje się zasadami. Jego fantazya zdaje się być dość widocznie opanowaną tym ideałem *cesarstwa:* sam sobie wydaje się niby dalszym ciągiem, czy drugiem wydaniem Karola W., a przynajmniej Hohenstaufów. Osobliwsza *fin de siècle* jego pielgrzymka do Ziemi Świętej, z przytykami do

dawnych kościołów, z upomnieniem do pastorów żeby nie wstępowali w ich ślady, z programem religijnym jakiegoś chrześciaństwa *prawdziwego*, wyższego nad *dogmata*, z grzecznościami dla Papieża i katolików, z czułościami dla sułtana i muzułmanów — wątpimy, by na kimkolwiek mogła była zrobić ten efekt, jaki był jej celem.

Z jakiemi naprzykład uczuciami przyjęły ludy chrześciańskie na półwyspie bałkańskim to zbratanie się chrześciańskiego monarchy z następcą Mahometa, to dało się ocenić z artykułów dzienników serbskich, rumuńskich, bulgarskich. A kiedy cesarz Wilhelm wrócił do Potzdamu, to zgromadził około siebie ministrów i „wyłuszczył im korzyści, jakie wyciągną w przyszłości Niemcy z tej podróży cesarza na Wschód i objaśnił ich o stanie rzeczy w polityce nad morzem Śródziemnem". Tak przynajmniej brzmiał officyalny komentarz, jaki ogłosiła *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* zaraz po powrocie cesarza do Berlina. Ale jakie to korzyści, tego nie objaśnia.

Właśnie podczas podróży cesarza Wilhelma przebywała ogólna polityka europejska rozmaite fazy. Jakiś czas się zdawało, że sprawa Faszody, o której pisaliśmy na tem miejscu, doprowadzi do zbrojnego starcia między Anglią a Francyą. W ostatniej chwili Francya się cofnęła, co nie przeszkodziło prezydentowi izby w Paryżu, wypowiedzieć w tej samej chwili zdania: *La France ne tremble jamais.* Pomimo zażegnania sprawy Faszody, prowadziła Anglia na wielką skalę przygotowania wojenne. W mowie, wypowiedzianej w Guildhall, uspokoił lord Salisbury Europę, względem celu tych przygotowań, ale rzucił równocześnie hasło o „upadających państwach", przy których upadku Anglia chce być na wysokości swojego zadania. Zachodzi pytanie, które państwa należą do tych „upadających". Oprócz Hiszpanii chodzi w pierwszej linii o Chiny, a przy możliwym upadku tego kolosa wyłania się w cieniu widmo zapasów między Anglią a Rosyą. Charakterystycznym symptomem dla stosunków europejskich pozostanie w każdym razie fakt, że właśnie w chwili, w której z Petersburga wyszła myśl zaprzestania dalszych zbrojeń, z Londynu donoszą, że Anglia się zbroi i uzupełnia przedewszystkiem swoją flotę. Dziennik angiel-

ski *Daily News* kończy artykuł, poświęcony wyliczeniu poczynionych przygotowań, dumnemi słowy: *We are ready*- „My jesteśmy gotowi“. Jakiż wynik można wobec tego przewidzieć dla konferencyi pokojowej?

W Wilnie postawiono i odsłonięto pomnik Murawiewa.

Zwyciężonego nieprzyjaciela upokorzyć, bić go w twarz i kopać nogami, wbić mu nóż w serce, a potem kręcić i wiercić tym nożem, nastąpić na niego butem, żeby się głębiej wbił i gorzej bolał, to dla *szlachetnych* serc rozkosz, i ten pomnik nie dziwi nas wcale. Znamy się oddawna, i dostatecznie.

Co nam tem pomnik szkodzi? Na to pytanie odpowiemy jednym historycznym faktem. Kiedy cesarz Hadryan chciał zniszczyć ślady i pamiątki Chrystusa Pana i jego wiary, kazał w Jerozolimie stawiać świątynie i posągi swoich bożków. Na Kalwaryi stała Wenera. Pamięć różnych stacyj drogi krzyżowej mogła była z czasem się zatrzeć: przechowały i utrwaliły ją te posągi aż do czasów Konstantyna i św. Heleny.

Ślady i pamięć rządów rosyjskich nie zatrą się u nas nigdy: ale posąg Murawiewa przyda się na to, żeby je każdemu przechodzącemu co chwila przypominać, i wbijać w serce.

Lat temu sześćdziesiąt kilka pisał Mickiewicz: „Hańba ludom co swoje mordują proroki“. Miał słuszność: to wielka hańba. Ale większa hańba tych ludów, czy rządów, co wznoszą posągi ludziom, którzy byli grzechem ich ojczyzny i wstydem ich historyi. To niebezpieczne wychowanie społeczeństwa i przygotowywanie przyszłości. W ten sposób ich ojczyzna może zawsze tylko grzęznąć z jednych zbrodni w drugie, a historya skończyć się na sromocie.

* * *

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr Jerzy Mycielski.

SPIS RZECZY
zawartych w tomie II rocznika XXXIII.




BOUND BY
HNM

